

## PROLOG: MARZEC

Adele przyglądała się zaproszeniu, zastanawiając się, ile kosztuje wydrukowanie co najmniej setki takich kremowych, drogich kart. Mogłaby się założyć, że majątek. To te tłoczenia były takie drogie. Co prawda wszystko pięknie wyglądało, ale to zwykłe marnotrawienie pieniędzy.

Każdy sklep papierniczy oferował całkiem przyzwoite zaproszenia – takie, które wypisywało się samemu – ale wyglądało na to, że takie przeciętne zaproszenia nie przystoją jej bratowej. No ale przecież Rose od zawsze zadzierała nosa.

Adele z dezaprobatą przejechała palcem po ekstrawaganckich literach.

*Rose & Hugh Miller mają ogromną przyjemność zaprosić Adele Miller na przyjęcie z okazji Rubinowych Godów, które odbędzie się w sobotę 25 kwietnia w Meadow Lodge, w Kinvarrze*

Na dole widniała wskazówka odnośnie do stroju – „elegancko-swobodny”, cokolwiek by to miało oznaczać.

Włożyła którąś z dzianinowych garsonek, tak jak zawsze. Może i skończyła sześćdziesiąt pięć lat, ale dumna była z faktu, że ma szczuplejszą sylwetkę od wielu rówieśniczek. Ewentualnie weźmie jeszcze chustę, na wypadek gdyby miało być chłodno – w końcu to dopiero kwiecień – a przyjęcie miało się odbywać w dużym namiocie, nie w domu. Adele na początku nieszczerze spodobał się ten cały pomysł z namiotem. Kolejne wyrzucanie pieniędzy w błoto, nie wspominając już o manii wielkości. Potem Hugh jej powiedział, że to był jego pomysł, i nagle cały ten plan wydał się jednak naprawdę świetny.

– Wielkie przyjęcie w domu byłoby koszmarem, pomysł tylko o obcasach wbijających się w drewniany parkiet i o czerwonym winie na fotelach, Delio, moja droga – oświadczył przed tygodniem Hugh, kiedy zajął do niej w drodze powrotnej ze spotkania z klientem w pobliskim miasteczku. Adele uśmiechnęła się wtedy czule do młodszego brata, pałaszującego przyszykowaną przez nią naprędce kanapkę z wołowiną. On jedyny wciąż nazywał ją Delią. Co nie znaczy, że Adele pozwoliłaby na to komukolwiek innemu. Nawet lekarz, którego znała od czterdziestu lat, nie ośmielał się nazywać jej inaczej niż panną Miller. Listonosz, ten bezczelny szczeniak, nazwał ją raz po imieniu, lecz Adele szybko ukróciła jego zapędy. Nie należała do zwolenniczek nowoczesnego spoufalania się.

Hugh jednak mógł na nią mówić tak, jak tylko miał ochotę. Ukochany brat to zupełnie inna sprawa.

– Trzeba przecież uczcić czterdziestą rocznicę ślubu – kontynuował, przeżuując kanapkę z wyraźną przyjemnością.

Hugh lubił jeść. Był w końcu potężnym mężczyzną, no i przystojnym, pomyślała Adele. Miał metr osiemdziesiąt wzrostu i bujną srebrzystą czuprynę. Kiedyś jego włosy miały odcień arktycznego, jasnego blondu, był więc z niego prawdziwie złoty chłopak. Przed laty podkochiwały się w nim wszystkie przyjaciółki Adele. Pomyślała ze smutkiem, że może i wyszłaby za męża, gdyby udało jej się kiedyś znaleźć mężczyznę takiego jak jej brat.

Spojrzała na zaproszenie. „RSVP”. Właściwie mogła to zrobić od razu.

Bratowa odebrała po trzecim sygnale. Wydawała się nieco zadyszana.

– Witaj. Właśnie odkurzałam dywaniki. W tym domu jest taki bałagan.

Adele pomyślała, że to mało prawdopodobne. Dom jej bratowej, położony trzynaście kilometrów dalej, po drugiej stronie rozległego miasteczka Kinvarra, zawsze lśnił czystością. Był także bardzo elegancki. Choć z olbrzymią niechęcią, Adele musiała przyznać, że Rose ma doskonały gust. Komu innemu przyszłoby do głowy zburzyć te wszystkie wewnętrzne ściany, by przekształcić raczej ciemne pokoje gościnne w dobrze rozplanowaną otwartą przestrzeń? Adele osobiście wolała dywany, ale jasna, drewniana podłoga ze stonowanymi chodnikami wyglądała elegancko, nowoczesnie i świeżo w porównaniu z konserwatywną rdzawoczerwoną wykładziną, zdobiącą bardziej tradycyjny, wiktoriański w stylu dom Adele.

– Otrzymałam zaproszenie – oznajmiła sztywno.

– Podoba ci się? – zapytała Rose. – Hugh je wybrał. Mam trochę wyrzuty sumienia, wydając tak wiele pieniędzy. Właśnie zwolniono kolejnych dwudziestu ludzi z fabryki opon na końcu

ulicy, no wiesz, a my urządzamy wielkie przyjęcie z namiotem i cateringiem, i kwiatami... Grupa walcząca z ubóstwem naprawdę potrzebuje wsparcia finansowego i ten cały brak umiaru wydaje się niewłaściwy...

Zamilkła, lecz oburzona Adele ledwie zwróciła na to uwagę.

– Mój brat jest w Kinvarrze ważną osobą. Ludzie dziwiliby się, gdyby nie świętował stosownie do swego statusu – oświadczyła chłodno. – Z całą pewnością uznaliby za dziwny fakt, że nie wyprawicie wielkiego przyjęcia z okazji rubinowych godów.

Rose zdawała się zapominać, że rodzina Millerów jest filarem miejscowej społeczności. Jak to by wyglądało, gdyby nie zachowywali się stosownie do tej pozycji? Ludzie by plotkowali. Adele za nic nie chciała dopuścić do tego, by plotkowano na temat jej rodziny.

– Masz rację, Adele – odparła lekko Rose. – Na starość zaczynam wpadać w paranoję, przejmuję się najmniejszymi nawet drobiazgami. Mam nadzieję, że się zjawisz? Hugh byłby niepokieszony, gdyby było inaczej. Wszyscy bylibyśmy niepokieszeni. Bez ciebie nie byłoby tak samo – dodała uprzejmie.

Adele zasznurowała usta. Nie tak to sobie wcześniej zaplanowała. Nie miała zamiaru wyrażać aprobaty dla tego przyjęcia, a już z całą pewnością odnosić się do niego bez zastrzeżeń. A tu Rose śmie sugerować, że mogłaby się nie pojawić! Na przyjęciu jej ukochanego brata. Tak po prawdzie, to nie powinno się dokonywać żadnych ustaleń bez wcześniejszych konsultacji z nią. Była przecież najstarsza w klanie Millerów, trzy lata starsza od Hugh. Należało ją zapytać o zdanie. A gdyby zdążyła już sobie coś zaplanować i nie pasowałaby jej trzecia sobota kwietnia?

– Muszę kończyć, Adele – powiedziała Rose tym swoim niskim, łagodnym, pozbawionym akcentu głosem. Adele często zastanawiała się, jak bratowa zdołała się pozbyć wcześniejszego akcentu. – Mam rozmowę na drugiej linii. To pewnie florystka. Dziękuję, że zadzwoniłaś tak szybko, jesteś kochana. Trzymaj się. Pa.

I już jej nie było, zaś Adele jak zwykle po rozmowie z bratową odczuwała olbrzymią irytację. Florystka, rzeczywiście. Rose wychowywała się daleko od florystek. Co oczywiste, rodzina Millerów od zawsze miała w domu piękne kwiaty. Zatrudniali przecież kiedyś pokojówkę, na litość boską, w czasach kiedy nie miał jej nikt w okolicy. Rose natomiast pochodziła z walącego się domu na jakiejś zapyziałej ulicy w Wexford; domu ze spadającymi dachówkami i przedpotopową kanalizacją. W domu Riordainów brakowało pieniędzy na najedzenie, a co dopiero mówić o kwiatach. Małżeństwo z Hugh okazało się dla tej dziewczyny przepustką do innego świata. Adele popatrzyła gniewnie na słuchawkę. Miała wielką ochotę zadzwonić jeszcze raz i oświadczyć bratowej, że mogłaby sama zająć się kwiatami i nie marnować pieniędzy na florystkę. Rose miała dryg do kwiatów. Jakby na cześć jej imienia, latem w domu Millerów porozstawiane były róże: żółte, które pasowały do ścian w kolorze jaskrów, a w wielkiej porcelanowej misie różowe – zazwyczaj stały na niskiej ławie w stylu skandynawskim. Rose potrafiła układać bukiety jakby od niechcienia, a one i tak wyglądały prześlicznie. To samo dotyczy ubrań, pomyślała z urazą Adele. Najstarsza nawet biała koszula wyglądała na Rose Miller elegancko i swobodnie zarazem, bo bratowa zawsze stosowała sztuczkę polegającą na związaniu ciemnych włosów w luźny węzeł albo zawieszeniu na szyi sznura pereł. To jej wystarczyło, by wyglądać świetnie.

Adele od wielu lat bardzo starała się nie żywić urazy do Rose. Nie było to proste z tego powodu, że ona była dla niej laka miła. Z serdecznością, podobnie jak z cudzym szczęściem, niełatwo jest sobie poradzić. A skoro mowa o szczęściu, istniało więcej dowodów na to, jak wielką szczęściarą jest Rose. Miała śliczny dom, trzy dorosłe córki, Stellę, Tarę i Holly, które nigdy nie przysparzały jej trosk ani problemów finansowych, dzięki kochanemu Hugh.

Adele od zawsze żywiła przekonanie, że to dzięki mężowi Rose ma tak cudowne życie. Wprost uwielbiała młodszego brata. Był taki mądry i serdeczny. Wyrwał Rose z ubóstwa, nudnej pracy sekretarki i przekształcił ją w lady Miller. A teraz Hugh i Rose obchodzili rubinowe gody przy pomocy florystek i odzianych w uniformy ludzi od cateringu, i to w dodatku w swoim wielkim ogrodzie. To tak, jakby ponownie brali ślub, pomyślała z goryczą Adele, wspominając siebie, bezbarwną druhnę stojącą obok promiennej Rose. Wszystkie spojrzenia skierowane były

na pannę młodą, w której gęste ciemne włosy powtykano małeńkie, koralowo-różowe pąki róż. Nawet Colin, jej partner, oświadczył, że Rose wygląda ślicznie.

– Stary, dobry Hugh. – Widać było, że Colin mu szczerze zazdrości. – Ma szczęście, że zeni się z taką dziewczyną.

Adele nigdy nie wybaczyła Colinowi, że nie pojmował tego, co ona czuła: że traci Hugh na rzecz Rose. Całe godziny poświęciła na upinanie swych jasnych włosów małeńkimi spinkami, by odsłonić długą szyję, a nawet użyła odrobiny różu i szminki w odcieniu koralowa niespodzianka, zła na siebie, że ulega próżności. Wszystko na nic. Rose lśniła niczym słońce, bezwiednie usuwając szwagierkę w cień, i Adele nigdy nie zdołała jej tego wybaczyć.

Zatopiona we wspomnieniach, na chwilę porzuciła swą zwyczajową czujność. Jej na co dzień sztywno wyprostowane plecy przygarbiły się i osunęła się na stary wypłowiały fotel z uszakami. Czy gdyby przed laty powiedziała „tak” Colinowi, miałyby wspaniałe życie, rodzinę taką jak Hugh i Rose? Colin był miłym mężczyzną, słodkim i łagodnym. Ale po prostu nie mógł się równać z jej bratem. Nikt nie mógł. Wtedy przyrównywanie innych mężczyzn do Hugh wydawało się bardzo ważne, teraz jednak było inaczej. Adele czuła się samotna. Na uboczu było zimno, a ona zawsze tam się znajdowała, przyglądając się życiu innych ludzi i jakoś nie czując się częścią tego wszystkiego. Gdy tymczasem Rose miała wszystko. Wszystko. Dlaczego ktoś rozdzielający szczęście dał go tak wiele jej, która nazwisko Miller nosiła wyłącznie dzięki mężowi, a zupełnie pominął Adele?

Nawet jesienna plaga szkodników zniszczyła żywopłot Adele, pozostawiając krzewy bratowej nietknięte. No i Rose miała swoje ukochane dziewczęta, wspaniałe Millerówny. Adele uważała, że tym trzem pannom świetnie układa się w życiu, i choć bez wątpienia były rozpieszczane przez Hugh, naprawdę im się wiodło.

Podeszła do biurka, gdzie trzymała znaczki i notes, i napisała formalne podziękowanie za zaproszenie na przyjęcie rocznicowe. Wcześniejszy telefon służył bardziej zdobyciu informacji niż rzeczywistemu udzieleniu odpowiedzi. Adele Miller odebrała staranne wychowanie i na pisemne zaproszenia udzielała pisemnych odpowiedzi. Takie zachowanie wyplęwało z kindersztuby, czegoś niepojętego dla ludzi wychowywanych w małych domkach gdzieś na końcu świata.

„Z przyjemnością wezmę udział...” – napisała Adele, używając formalnego języka na miarę królowej. Westchnęła. Prawda była taka, że pomimo wszystko nie mogła doczekać się tego przyjęcia. Przyjęcia u Hugh zawsze były udane, a czterdziesta rocznica ślubu z całą pewnością okaże się towarzyskim wydarzeniem. Umówi się oczywiście na wizytę u fryzjera. Poweselawszy na tę myśl, Adele zaczęła snuć plany.

## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

### ***Ubiegły grudzień: dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem***

Rose Miller nie znosiła komitetów. Co było trochę niefortunne, ponieważ należała do trzech. Komitet Dobroczynny Kinvarry irytował ją najbardziej z tego prostego powodu, że wewnętrzne spory zabierały tyle czasu, iż tak naprawdę nie zostawało ani chwili na rzeczywiste zbieranie funduszy na role charytatywne. Dyskusje na temat rozmiaru czcionki na menu dorocznego lunchu dla pań oraz tego, czy podać łososia, czy wołowinę, wymagały niekończących się telefonów i dwóch przydługich zebrań. Gdyby nie to, że Rose praktycznie straciła panowanie nad sobą, komitet najpewniej nadal by nad tym debatował.

– Czy naprawdę ma znaczenie to, jak wygląda menu i co jemy? – zapytała ostro podczas ostatniego, przeciągającego się zebrania. – Wstała, a pozostałe panie z komitetu wpatrywały się w nią wstrząśnięte. Nieczęsto ciemne oczy pani Rose Miller ciskały błyskawice. Niemordowanie udzielała się w lokalnych instytucjach dobroczynnych i słynęła z opanowania i zdolności organizacyjnych. Wysoka i niezwykle elegancka z charakterystycznie zaczesanymi do góry włosami, wydawała się niemal królewska w swym gniewie. – Mamy zbierać pieniądze, a nie je marnotrawić. Czy tylko to potrafimy zrobić dla potrzebujących z naszego miasteczka?

Siedzieć w przytulnym hotelowym barze i raczyć się kawą i całymi pudełkami ciastek z kremem, rozwodząc się nad drobiazgami?

– Celna uwaga – krzyknęła wysokim głosem pani Freidland, aktualna przewodnicząca, która wcześniej uparcie domagała się pochylej czcionki i zupy z owoców morza, a potem wołowiny, choć większość miała ochotę na danie główne z łososia i krewetki tygrysie w ramach przystawek. – Zmarnowałyśmy zbyt wiele czasu. Przestańmy się spierać i zagłosujmy.

Rose, wstrząśnięta własnym wybuchem, usiadła i zastanawiała się, tak jak każdego roku, czy po prostu nie zrezygnować i nie zająć się czymś mniej stresującym, takim jak lotniarstwo lub pływanie z rekinami. Niemniej jednak każdego roku pozwalała na wysuwanie swej kandydatury, ponieważ gdyby nie znalazła się w komitecie, w ogóle by nie zebrano żadnych pieniędzy. A ona żarliwie pragnęła pomagać ludziom. Życie pełne egoizmu to połowiczne życie – oto jej credo. Problem w tym, że dla części pozostałych członkiń komitetu praca dobroczynna stanowiła bardziej symbol statusu społecznego niż cokolwiek innego.

Kościelny Komitet Gościnności zbierał się tylko kilka razy w roku i stanowił najmniejszy kłopot, ponieważ do jego zadań należało jedynie organizowanie kilku kolacji dla zgromadzeń międzykościelnych i okazjonalnie przyjęcia dla goszczącego akurat w parafii misjonarza.

Trzeci komitet Rose, Nie Dla Autostrady, plasował się gdzieś pośrodku skali irytacji. Powołany został po to, by zapobiec powstaniu nowej trasy, która miała przebiegać przez park krajobrazowy Kinvarra, niezwykle malowniczy teren wokół tego leżącego w środkowej części kraju miasteczka. Komitet NDA miał w swoim składzie niezwykle kompetentnego lokalnego prawnika, kilku liczących się biznesmenów i trzech lokalnych polityków. Dlatego właśnie komitet był efektywny. Ale publiczne zgromadzenia były prawdziwym koszmarem i zazwyczaj kończyły się w taki sposób, że komitet zobowiązywano do działania w przynajmniej czterech różnych kierunkach.

Po takich spotkaniach Rose potrzebowała mocnego ginu z tonikiem, choć wtedy Hugh uśmiechał się szeroko i oznajmiał, że ze swego doświadczenia ze zgromadzeniami publicznymi wie, że lepiej by było, gdyby uraczyła się takim drinkiem przed, nie zaś po.

Jako jeden z czołowych prawników Kinvarry Hugh był komitetowym weteranem. Wiele lat temu pełnił nawet funkcję burmistrza miasteczka, co jak żartobliwie twierdził, dało mu nauczkę, by Nie Angażować Się. Rose na gzymsie kominka postawiła jego zdjęcie w burmistrzowskiej todze: wysoki, dostoyny i przystojny z nienagannie zaczesanymi do tyłu srebrzystymi włosami, odsłoniętym czołem i życzliwym spojrzeniem. Aparat nie uchwycił szelmowskiego błysku w spojrzeniu Hugh – błysku, który mówił, że nie ma nic przeciwko tej pracy, ale doskonale by się obywał bez burmistrzowskiego insygnium władzy wiszącego na jego szyi niczym krowi łańcuch.

– Najczęściej niemożliwe jest zadowolenie choćby połowy ludzi – radził mądrze w kwestii komitetów. – Przez wiele tygodni wszyscy się kręcą w kółko. A jeśli chodzi o wasze zgromadzenia publiczne, marnujecie tylko czas, o ile ktoś nie poda planistów do sądu.

– Tak właśnie zrobimy, jeśli będzie trzeba – odparła żarliwie Rose. – Ale musimy pokazać naszą społecznościową solidarność. Nie chcemy, by zepchnięto nas na bok. A ty nie przejmujesz się tą autostradą?

– Nie będzie przebiegać w pobliżu naszego domu – zauważył Hugh.

Rose dała za wygraną. Ciężko jej było zrozumieć, jak jej mąż może być tak pragmatyczny w przypadku naprawdę ważnych spraw. Ona angażowała się całą sobą w każde swoje zajęcie, bez względu na to, czy dotyczyło to bezpośrednio jej czy nie, natomiast Hugh nie wydawał się przejmować tym tak bardzo.

Dziewczęta odziedziczyły wszystko po matce. Trzydziestoosmioletnia Stella, choć wydawała się rozsądną prawniczką, ciężko pracującą i wychowującą samotnie córkę, pod poważnymi garsonkami skrywała duszę romantyczki. Tara, siedem lat młodsza, była taka sama jak matka: królowa debat w szkole i na studiach, angażowała się całą duszą we wszystko, co robiła. W taki sam sposób zakochała się, po czym po sześciu miesiącach znajomości poślubiła kierownika handlowego z branży komputerowej, Finna Jeffersona, nieco zaskakując tym ludzi,

którzy uważali, że przeznaczeniem Tary jest niekonwencjonalność i że uciekłyby z gwiazdą rocka, gdyby akurat nasza ją na to ochota.

A jeśli chodzi o dwudziestosiedmioletnią Holly, najmłodszą w rodzinie, Rose wiedziała, że w delikatnym ciele jej córki kryje się wrażliwa, gorąca dusza. Ale podczas gdy Tara i Stella miały odwagę walczyć o to, w co wierzyły, o trzeciej siostrze nie można było tego powiedzieć. Rose bała się w duchu, że Holly brakuje pewności siebie przez matkę, że to ona coś uczyniła bądź czegoś nie uczyniła. Czuła, że w jakiś sposób zawiodła ukochaną, najmłodszą córkę. Myśl ta była jednak zbyt bolesna i Rose Miller, znana z tego, że ze spokojem stawia czoło wszelkim problemom, wyparła ją. Nie potrafiła o tym myśleć.

Dzisiaj odbywało się to nieszczęsne zebranie Komitetu Dobroczynnego Kinvarry i kiedy Rose parkowała samochód przed statecznym bliźniakiem Minnie Wilson, zapragnęła nagle uciec na szaloną wycieczkę po sklepach, zapominając zupełnie o zebraniu. Zachowała się jednak jak przystało na rozsądną matronę z Kinvarry: sprawdziła w lusterku makijaż ust, wsunęła niesforne pasmo siwiejących włosów na powrót do eleganckiego wężła i wysiadła z samochodu, dzierżąc w ręce ciasto cytrynowe własnego wypieku.

– Rose, to już czas? A tu kompletny chaos, jestem zupełnie w proszku! – jęknęła Minnie, otwierając drzwi.

Rose zacisnęła zęby, uśmiechnęła się i weszła do środka. Minnie musiała być co najmniej w jej wieku, w okolicach sześćdziesiątki, ale zachowywała się jak podłotek, którego równowagi może wyprowadzić byle błahostka. Należała do tych osób, które tak bardzo przejmowały się rozmiarem i czcionki na menu lunchu dobroczynnego. Przeprowadziła się do Kinvarry przed trzema laty, kiedy jej mąż przeszedł na emeryturę, i z takim zapalem zaangażowała się w lokalne sprawy, jakby należała do tej społeczności od wielu lat.

– Nie przejmuj się, Minnie, pomogę ci – rzekła automatycznie Rose. – Co mam zrobić?

– Hmm... – odparła z niepokojem Minnie. – Woda już się zagotowała, ale nie wyjęłam jeszcze filiżanek. I spójrz tylko na moje włosy...

Lotniarstwo, koniecznie. Na pewno jest zabawniejsze, uznała Rose.

– To może ty idź się uczesać, Minnie – zaproponowała ze spokojem – a ja zajmę się herbatą.

Minnie pobiegła na górę, a Rose pomyślała ponuro, że dla wybranych przez grupę organizacji dobroczynnych lepiej by było, gdyby jej członkinie po prostu raz w roku wysyłały im czek. Zaoszczędziłoby się w ten sposób pieniądze wydawane na niekończące się pogaduszki, podczas których co najmniej połowę czasu marnowano na proces rozsadzania wszystkich, częstowania napojami i ciastem.

Rose szybko naszykowała herbatę, błądząc myślami gdzie indziej. Często zastanawiała się, jak to możliwe, że wie dzie właśnie takie życie. Nigdy nie pragnęła być filarem społeczności i czołową postacią każdej lokalnej sprawy. Kiedy miała osiemnaście lat, chciała pracować w nowoczesnym biurze w mieście, gdzie z szacunkiem mówiono na nią „panno Riordain” i gdzie każdego tygodnia do jej ręki trafiała koperta z przewidywaną sumą pieniędzy. Ważny był ten szacunek i niezmiennosc wypłaty. W niewielkim gospodarstwie rolnym jej ojca dochody nie należały do przewidywalnych, czego skutkiem były chude lata i bardzo chude lata. Nikt nie odczuwał potrzeby okazywania jakiegoś szczególnego szacunku pięknej i zdolnej córce rolnika i Rose dorastała aż nadto świadoma niuansów tego, jak ludzie traktują córki miejscowego lekarza i właścicieli ziemskich. Marzyła między innymi o tym, by obdarzano ją takim szacunkiem. Dobra, stabilna praca i cotygodniowa wypłata dałyby jej wolność. Postawiła stopę na drabinie dzięki posadzie młodszej sekretarki w firmie budowlanej. Sprawna i chętna do nauki, poświęciła się samodoskonaleniu. Walczyła z przestarzałą maszyną do pisania, aż połamala sobie paznokcie, i obserwowala starszą sekretarkę w poszukiwaniu wskazówek, jak powinna się ubierać. A potem poznała Hugh, szykownego młodego prawnika, który przyjaźnił się z synem właściciela. Hugh pochodził ze świata, w którym ludziom nigdy nie trzeba było mówić, jak mają się ubrać albo którego użyć widelca. Ale dla dwojga zakochanych nie miało to znaczenia. Byli bratnimi duszami. Miłość wywróciła życiowy plan Rose do góry nogami i nie minęły dwa lata, a miała męża i maleńką córeczkę.

Czasami się zastanawiała, co by się stało, gdyby nie przyjęła oświadczyn Hugh. Może zostałyaby dynamiczną bizneswoman, wiodącą ekscytujące, acz samolubne życie, zamiast poświęcać się dla innych w Kinvarrze, gdzie jej jedynym zajęciem była praca dobroczynna, dopilnowanie naprawy zamrażarki i pomaganie Hugh w przygotowaniu świątecznych koszy z upominkami dla najważniejszych klientów jego kancelarii.

Dzisiejszego wieczoru jego firma brała udział w świątecznej zbiórce pieniędzy na rzecz miejscowej grupy wspierającej ubogich, która po ostatniej fali zwolnień w okolicznych fabrykach potrzebowała ich jeszcze bardziej niż zwykle. Oficjalna kolacja, w której udział weźmie cała śmietanka towarzyska Kinvarry. Rose lubiła ubierać się odświętnie, ale niekiedy nudziły ją nieuchronne uprzejme rozmowy, prowadzone podczas tego typu imprez. Hugh natomiast nigdy nie nudziły takie uroczyste kolacje.

Skoncentrowała się na powierzonym jej zadaniu.

Komitet liczył siedem członkiń, wyjęła więc siedem filiżanek i spodków, ponieważ Minnie zawsze wybierała porcelanowe filiżanki, nie zaś kubki. Postawiła na stole mleko i cukier, pokroiła swoje ciasto cytrynowe i kiedy Minnie zeszła na dół, wszystko już było gotowe.

– Och, Rose, jesteś taka dobra – zapiszczała Minnie, kiedy to zobaczyła. – Nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobiły.

Rose już-już miała odpowiedzieć coś w rodzaju, że to żaden problem, kiedy uważniej przyjrzała się Minnie. Tym razem jej dziewczęca cera („Mydło i woda każdego ranka!” twierdziła) była szara i zmęczona. Oczy miała wyraźnie zaczerwienione. Rose uświadomiła sobie, że to nie jest zwykle zmęczenie. Chodziło o coś jeszcze.

– Wszystko w porządku? – zapytała delikatnie.

Minnie popatrzyła na kobietę, którą podziwiała, odkąd przeprowadziła się do Kinvarry. Rose przypominała elegancką gwiazdę telewizyjną, uprzejmą i wytworną, o zawsze nienagannej fryzurze. Przypominała w tym tę biedną Jackie Kennedy, niech spoczywa w pokoju. Minnie nigdy nie miała do czynienia z arystokratami, ale łatwo było rozpoznać taką osobę, gdy się ją poznało. Rose Miller wywodziła się z wyższych sfer, to dla Minnie nie ulegało wątpliwości. I była uprzejma; równie miła dla dziewczyny w pubie, która podawała im herbatę, jak i dla Celi Freidland, przewodniczącej komitetu.

Minnie wyjątkowo starannie wysprzątała dom przed zebraniem głównie z tego powodu, że miała się na nim pojawić Rose. Jej mąż był bardzo wpływowym człowiekiem i miała piękny dom w najdroższej części miasteczka, no i trzy urocze córki. Przy każdym spotkaniu pani Wilson chciała zrobić na Rose wrażenie.

– Minnie – podjęła właśnie idolka. – Na pewno wszystko w porządku? Czy coś się stało?

Pokręciła głową.

– Nic – odparła. – Jestem po prostu zmęczona, to wszystko. W każdej chwili może się zjawić komitet. – Jej uśmiech nadawał się do pamiątkowej fotografii. – Rozumiem, że jesteśmy gotowe? – dodała.

– Tak – odparła uprzejmie Rose. Wyraźnie nie chodziło tylko o zmęczenie, ale skoro Minnie nie miała ochoty o tym mówić, to jej sprawa.

Rozległ się dzwonek do drzwi i Minnie pospieszyła, by je otworzyć, witając gości tak, jakby wolna była od wszelkich trosk.

Tym razem Rose wyjątkowo nie popędzała członkiń komitetu. Była cichsza niż zazwyczaj i zebranie ciągnęło się aż do wpół do szóstej, kiedy wszystkie panie zaczęły wydawać pełne zdumienia okrzyki na temat tego, jak szybko płynie czas i że muszą iść i nakarmić rodziny. Przed wyjściem Rose znacząco ucisnęła dłoń Minnie.

– Zadzwoń, proszę, gdybyś chciała porozmawiać – wyszeptwała.

Jadąc do domu, Rose nie potrafiła wyrzucić Minnie Wilson ze swych myśli. Coś było nie tak i pragnęła jakoś pomóc. Biedaczka. Kiedy Rose zastanawiała się nad tym, co mogło trapić ich dzisiejszą gospodynię, mimowolnie oddała się znowu rozmyśleniom o swoim życiu i o tym, jak bardzo okazało się szczęśliwe.

Adele często mówiła z niechęcią, że Rose ma szczęście. Ale to prawda. Rzeczywiście miała szczęście.

Nikt nie mógł być bardziej dumny ze swych córek niż ona ze Stelli, Tary i Holly. Nawet gdyby nie była ich matką, i tak uważałaby je za wyjątkowe kobiety. Miała także wnuczkę, którą uwielbiała. Amelia miała w zwyczaju wpatrywać się w babcię tymi wielkimi poważnymi oczami i zadawać pytania w rodzaju: „Babciu, czy ty i dziadek będziecie mieli dzidziusia, z którym mogłabym się bawić?”

Stella wybuchnęła śmiechem, kiedy usłyszała o tym od Rose.

– Co jej powiedziałaś?

– Powiedziałam, że myślimy o kupnie szczeniaka i że on może by jej wystarczył.

– O nie – jęknęła Stella. – Psa pragnie mieć bardziej niż młodszą siostrę; nie pozwoli wam o tym zapomnieć.

Gdyby tylko, pomyślała Rose, w życiu Stelli był ktoś bliski. Tara była bezgranicznie szczęśliwa z Finnem, bardziej niż to sobie wcześniej Rose choćby przez chwilę wyobrażała. Przyglądanie się stabilizacji średniej córki sprawiało, że takiego samego szczęścia pragnęła dla Stelli. Oddałaby wszystko, by widzieć ją zadowoloną z życia. Co nie znaczy, że kiedykolwiek jej o tym powiedziała. No ale matce zawsze wolno mieć nadzieję.

No a Holly... Cóż, Holly nigdy nie mówiła nikomu, czego pragnie. Rose robiła, co mogła, by ją wspierać, ale najmłodsza córka uciekła od życia w Kinvarrze i Rose, desperacko pragnąc pomóc, musiała to zaakceptować. Być może Holly była jednak szczęśliwa. Przecież nigdy nie wiadomo, jak to jest naprawdę.

Hugh nalegał, by Rose przestała się tak zamartwiać o swoją gromadkę.

– To nowoczesne kobiety i w końcu dobrze im się wiedzie, prawda? – mówił, dumny jak paw ze swych zdolnych córek. Kiedy dziewczęta przyjeżdżały do domu do Kinvarry, Hugh zawsze ochoczo zabierał je do miasteczka na lunch albo kolację, by „się nimi popisywać”, jak przekomarzała się z nim Rose.

– Dziwi mnie, że nie ustanowiłeś Specjalnych Zakładów Pieniężnych – żartowała – do których wszyscy porządni obywatele Kinvarry mogliby zgłaszać swoje córki, by się przekonać, która jest najlepsza.

– To całkiem dobra myśl – odparł ze śmiertelną powagą. – Zawsze mi powtarzasz, że masz dość organizowania dobrotliwych wieczorków tanecznych i sprzedaży ciast. Zakłady pieniężne stanowiłyby doskonałe urozmaicenie.

Kochany Hugh. Obdarzony był wielkim poczuciem humoru, natomiast doprowadzał Rose do szału swoją umiejętnością robienia chaosu w całym domu, przy czym nigdy nie zawracał sobie głowy sprzątaniami. Bez względu na to, ile razy go rugała, i tak po jego wyjściu łazienka wyglądała tak, jakby kąpano w niej wszystkich uczestników wystawy psów rasowych Crufts, z porozrzucanymi przynajmniej trzema przemoczonymi ręcznikami i zdjętą nakrętką z żelu pod prysznic, tak że wyciekał na prysznicową półeczkę. Ale pomimo wszystko kochała go i był cudownym ojcem. Mieli też za sobą rzecz jasna gorsze chwile. Ale Rose przetrwała burze i teraz wszystko to należało do przeszłości. Rzeczywiście miała szczęście.

\*\*\*

Kiedy wrócił Hugh, pełen zakamarków dom Millerów pogrążony był w ciemnościach. Kiedyś Meadow Lodge był niszczącym domem rolnika i za sąsiedztwo miał rozpadające się stodoły z sianem, dół z kiszonką wykopany tuż obok kuchennego okna i owce, pasące się z zadowoleniem w ogrodzie, dokładające starań, by użyźnić okoliczną glebę. Przed czterdziestu laty Hugh i Rose kupili całość i zburzyli rozwalające się budynki gospodarcze, przekształcili trzyakrową działkę w porządną, wolny od owiec ogród i zmodernizowali cały dom. Dzisiejszy Meadow Lodge wyglądał, jakby od zawsze był eleganckim, proporcjonalnym budynkiem z dużymi pokojami, wielką, wygodną rodzinną kuchnią i ogrzewaniem gazowym, które dawało sobie radę z wiatrami hulającymi niekiedy po środkowej części kraju. Rose wypełniła dom wygodnymi kanapami, meblami wyglądającymi na luksusowe, mnóstwem obrazków, lamp, które roztaczały złotą poświatę, i całą masą niezwykłych ozdób.

Obladowany codzienną partią dokumentów i teczką, Hugh przekręcił klucz w drzwiach, otworzył je ramieniem i włączył światło w korytarzu. Zastanawiał się, gdzie się podziewa Rose. Zazwyczaj była w domu, kiedy wracał. Nawet jeśli wieczorem brała udział w którymś z tych swoich zebrań, rzadko wychodziła, dopóki on nie wrócił, a jeśli nie mieli w planach żadnego wyjścia, zawsze gotowała dla niego coś pysznego. Dlatego zdziwiło go to, że dom jest ciemny i zimny, zwłaszcza że niedługo musieli się zbierać na tę kolację Grupy Wsparcia Ubogich.

Pozbywszy się bagażu, Hugh rzucił swój wielki kożuch na krzesło w korytarzu, upuścił kluczyki od samochodu na stolik, nie myśląc, że mogą porysować drewno, i udał się do dużego, pomalowanego na żółto salonu.

Włączył górne światło, nie przejmując się zasuwaniem zasłon ani włączeniem którejs z orientalnych lamp stołowych, które tak bardzo lubiła Rose. Usiadł wygodnie w fotelu, oparł długie nogi na ławie, ponieważ nie było nikogo, kto mógłby zaoponować, po czym włączył telewizyjne wiadomości.

Kiedy pół godziny później zjawiała się Rose, nadal je oglądał. Włączyła światło w korytarzu, po czym włożyła klucze męża do kremowej, glazurowanej misy ceramicznej, gdzie było ich miejsce.

Hugh pozostał przyklejony do wiadomości.

Rose przełknęła irytację, kiedy weszła do salonu i przekonała się, że palą się górne światła. Skoro rozsunięte zasłony stanowiły dla niej problem, to naprawdę nie sposób powiedzieć, że ma dużo zmartwień. Bez słowa zaciągnęła ciężkie, żółte story i włączyła lampki, co zajęło jej zaledwie chwilę. Dlaczego mężczyźni nigdy nie robili czegoś takiego? Czy bycie myśliwym-zdobywcą zwalniało cały męski gatunek z obowiązków domowych?

– Jak się masz? – zapytał z roztargnieniem Hugh, nie odrywając spojrzenia od telewizora.

– Dobrze – odparła Rose. – Za godzinę musimy wychodzić. Napiję się herbaty, a później wezmę prysznic.

– Och, ja też napiłbym się herbaty.

Dlaczego jej w takim razie nie zaparzysz? – pomyślała gniewnie Rose. W porę jednak ugryzła się w język. Z jakiegoś powodu miała dzisiaj zrzędlivy nastrój. Powinna wziąć się w garść. Akurat ona nie miała powodu do narzekań. Ale kiedy weszła do ciemnej kuchni, by włączyć czajnik, pomyślała, że może i miała szczęście, ale Hugh czasami doprowadzał ją do szaleństwa.

\*\*\*

Zdążyła właśnie zaparzyć herbatę, kiedy zadzwonił telefon.

– Hejka, mam – rzekła pogodnie Tara. – Co u ciebie?

Rose uśmiechnęła się szeroko, słysząc głos swej średniej córki. Tara należała do ludzi, dla których szklanka zawsze była do połowy pełna, i nie można było się smucić w jej obecności.

– Świetnie, skarbie, a u ciebie?

– Cudownie. Finn i ja zaraz pędzimy na specjalny pokaz filmowy, ale właśnie ma telefon z pracy, więc pomyślałam sobie, że zadzwonię na chwilkę do ciebie.

– Zapowiada się interesujący wieczór – rzekła Rose, trzymając przenośną słuchawkę w jednej ręce, a drugą nalewając herbatę do dwóch ceramicznych kubków.

– Chciałabym – westchnęła Tara. – To niskobudżetowy, czarno-biały i nudny film jednego z dawnych scenarzystów *National Hospital*. – *National Hospital* to serial telewizyjny, w którym Tara była jedną ze scenarzystek. – Zmuszono nas wszystkich, byśmy tam poszli. Strasznie się boję, że Finn zaśnie w połowie. – Zaśmiała się radośnie. – Wiesz, jaki on jest, kiedy każe mu się oglądać coś, co nie jest piłką nożną, wyścigami samochodowymi albo filmem z Cameron Diaz.

Taki jak twój ojciec, innymi słowy – odparła z uśmiechem Rose. Nalała do herbaty Hugh odpowiednią ilość mleka. – Dlaczego kobiety wychodzą za swoich ojców?

– Dla oszczędności czasu – odparła Tara. – Co dzisiaj porabiałaś?

– To, co zwykle. Rano supermarket, po południu zebrami dobroczynne, a niedługo idziemy na galę akcji wspierającej ubogich.

– Mam nadzieję, że zamierzasz założyć rodzinne szmaragdy Millerów – zażartowała Tara.

– Ależ oczywiście – odparła jej matka. Rodzinne szmaragdy Millerów składały się ze staromodnych kolczyków oraz małego i bardzo brzydkiego wisiorka. Przechowywała je u siebie ciotka Adele i nieustannie czyniła aluzje na temat zostawienia ich po swej śmierci jednej z siostrzenic, ale dziewczęta robiły, co mogły, by im tego oszczędzono. – Właściwie to jeszcze nie zdecydowała mi, co założyć, a niedługo musimy wychodzić – dodała Rose.

– Wstydz się – przekomarzała się Tara. – Całe miasteczko będzie gadać, jeśli nie pojawisz się wystrojona w swoje najlepsze ciuchy. Nie masz jakiejś eleganckiej sukni z przepastnym dekoltem, na którego widok ludzie tak się zdziwią, że wysuplą więcej pieniędzy na cel dobroczynny?

– Próbuję odwieść się od pomysłu przywdziewania stroju rozpustnej ladacznicy – odparła ze śmiertelną powagą Rose. – A poza tym nie mam już dekoltu odpowiedniego do tego typu ciuchów.

– Szkoda – zaśmiała się Tara. – Muszę już kończyć, ale mogę się tylko przywitać z tatą?

Wyposażony w czujnik, który zawsze go powiadał, że dzwonią ukochane córki, Hugh zdążył już odebrać telefon na korytarzu.

– Witaj, Taro, kochanie – rzekł radośnie. – Jakież to szalenie seksowne sceny napisałaś w tym tygodniu, by zgorszyć nas, prostych telewidzów?

Nawet wchodząca po schodach Rose usłyszała jęk Tary:

– Ta-ato!

\*\*\*

– Jest w doskonałej formie – zauważył Hugh, kiedy kilka chwil później wszedł do ich sypialni, rozluźniając krawat.

– Tak, bardzo szczęśliwa – rzekła Rose, która stała przed lustrem wbudowanym w szafę, próbując zapiąć kremową, ozdobioną koralikami suknię wieczorową. – Pomożesz mi? – zapytała.

Hugh przeszedł przez pokój i rzucił krawat na łóżko.

– Rozmawiałaś dzisiaj ze Stellą? – zapytał, z wprawą eksperta zapinając zamek aż do samego końca.

– Nie, dzisiaj nie – odparła jego żona. – Mówiła, że będzie bardzo zajęta. No i już od tygodnia boli ją szyja. Mogłabym teraz do niej zadzwonić.

– Świetnie.

Hugh uśmiechnął się szeroko. Rozebrał się szybko, gdy tymczasem Rose przysiadła na skraju łóżka i wystukała numer Stelli. Wsadziła słuchawkę między ucho a ramię i zaczęła nakładać na paznokcie warstwę perłowego, blad różowego lakieru.

– Witaj, Amelio – powiedziała z radością, kiedy wreszcie po drugiej stronie odezwał się głos. – Tu babcia. Myślałam, że ty i mamusia gdzieś wyszłyście, tak długo nie odbierałyście.

– Mamusia jest w wannie. Ma w szyi świerszcza – odparła poważnie Amelia – i ciocia Hazel dała jej coś niebieskiego, co mama wlała do wanny i co pomoże jej pozbyć się świerszcza.

– Biedna mamusia – rzekła Rose. – Powiedz jej, by absolutnie nie wychodziła z wanny.

– Już wyszła – oświadczyła Amelia. – I kapie na podłogę.

– Przepraszam, kochanie – rzekła Rose, kiedy słuchawkę przejęła Stella. – Powiedziałam Amelii, by nie wyciągała cię z wanny.

– Już pora była wyjść – odparła Stella. – Mało brakowało, u zasnąłabym w niej.

– Jak twoja szyja?

– Trochę lepiej – przyznała Stella. – Zaczęło się od lekkiego klucia czy też świerszcza, jak to nazywa Amelia, ale dzisiaj to już prawdziwy ból. Nie mogę niczego podnosić, a Amelia jest bardzo grzeczna, prawda, skarbie?

Rose usłyszała, jak w tle jej wnuczka mówi z dumą „Tak”.

– Zostały ci te środki przeciwzapalne od ostatniego razu? – zapytała z troską Rose. – Jeśli ci się skończyły, to pamiętaj, że trochę zostawiłaś na wszelki wypadek tutaj. Jeśli chcesz, mogę ci je jutro podrzucić.

Kinvarrę od domu Stelli w Dublinie dzieliła godzina jazdy samochodem, ale dla Rose nie stanowiło to przeszkody.

– Byłoby cudownie, mam – odparła Stella. – Nie mam już żadnych tabletek – przyznała. – Ale czy jesteś pewna, że chcesz tu przyjechać? Zbliżają się święta i na pewno będą koszarne korki.

Rose uśmiechnęła się.

– A od czegoż jest matka? – odparła z prostotą.

– Mogę się przywitać? – zapytał Hugh.

Rose uniosła palec, by dać mu znać, że dopiero za chwilę.

– Powiedz mi, o której mam się zjawić – poprosiła. – Jeśli przyjadę na dziesiątą, możesz wrócić do łóżka, a ja zawiozę Amelię na pływanie.

– Och, mam, byłoby wspaniale. – W głosie Stelli słychać było ogromną wdzięczność. – Ale mam straszne wyrzuty sumienia...

– Bzdury. Potrzebujesz odpoczynku – oświadczyła stanowczo jej matka. – Daję ci ojca.

Rose i Hugh zamienili się miejscami.

– Ja też przyjadę – oznajmił Hugh. – Amelia uwielbia pływać z dziadkiem.

Kiedy rozmawiał z najstarszą córką, Rose odwiesiła jego krawat na wieszak w szafie, po czym podniosła z beżowego dywanu koszulę i wrzuciła do kosza z brudną bielizną. Ich sypialnię łatwo się sprzątało. Znając skłonność Hugh do robienia bałaganu, Rose umeblowała ją w taki sposób, że nigdzie nie dało się śmiecić. Znajdowało się w niej jedynie wielkie łóże przykryte pikowaną narzutą w kolorze cynamonu, małe buduarowe krzesło obite takim samym materiałem, i stoliki nocne z jasnego drewna, na których stały lampki i oprawione w drewniane ramki fotografie dziewcząt. Perfumy i kosmetyki Rose trzymała w dużej szafce pod umywalką w przyległej łazience. Według niej prosty wystrój sypialni poprawiał nastrój. Działał relaksacyjnie. Nie licząc rodzinnych fotografii i dużych akwarel z czterema odmianami orchidei na ścianach, nie było tu niczego, co mogłoby utrudniać zaśnięcie. Hugh chciał telewizor, ale Rose stanowczo zaprotestowała. Sypialnie były po to, by w nich spać.

Sen w chwili obecnej wydawał się czymś niezwykle kuszącym. Rose żałowała, że nie zostają dzisiaj w domu. Wolałaby pójść wcześniej spać i z samego rana pojechać do Stelli. Kolacja podana na tacy by ją uszczęśliwiła.

Hugh pożegnał się i rozłączył.

– Spróbuj zadzwonić do Holly – rzuciła z łazienki Rose. Nie rozmawiała z nią od tygodnia, co nie było niczym niezwykłym, ale mimo to martwiła się, kiedy jej najmłodsza córka się nie odzywała.

– Nikt nie odbiera – rzekł po chwili Hugh. – Jej sekretarka także nie działa. Mógłbym kupić jej na Gwiazdkę. Ta stara jest bezużyteczna. – Wystukał kolejny numer. – Komórkę ma też wyłączoną. Cześć, Holly, tu tata. Pamiętasz mnie? Tatusiowaty, siwe włosy, zna cię od, och, dwudziestu siedmiu lat. Dzwonię, by ci powiedzieć cześć. Twoja matka także ci to mówi. Pewnie jak zwykle dobrze się bawisz. Kolejna szalona impreza? Odezwę się w weekend, skarbie, pa.

Rozłączył się.

– Holly jest straszna, jeśli chodzi o oddzwanianie – zrzędził.

– Cieszy się życiem – odparła automatycznie Rose. – Ma prawo dobrze się bawić i zapominać o nas. Tak właśnie robią dziewczęta w jej wieku. – Cóż, miała nadzieję, że to właśnie robi Holly.

– Pewnie masz rację – przyznał Hugh.

W łazience on i Rose obchodzili się nawzajem w wyćwiczonym tańcu ludzi od czterdziestu lat przyzwyczajonych do dzielenia łazienki. Podczas gdy Rose nakładała przed lustrem szminkę, Hugh napszczał wodę, by się ogolić.

W ostrym łazienkowym świetle Rose zauważyła, że wokół jej oczu zdaje się widnieć więcej zmarszczek niż zazwyczaj. Czy gdyby od wielu lat nabożnie wklepywała krem pod oczy, uczyniłoby to jakąś różnicę? Dla Rose nie miało to znaczenia. Zostawiła golącego się Hugh i

wróciła do sypialni, by pakować torebkę i zaplanować w myślach jutrzejszą podróż. Następnie wyjęła z kosza brudne ubrania i zeszła na dół do kuchni, by nastawić pranie. Czuła się szczęśliwsza od samej nizinowy z ukochanymi córkami.

Stella sprawiała wrażenie tak bardzo wdzięcznej za to, że Rose do niej przyjedzie, ale prawda była taka, że Rose uwielbiała spotykać się ze Stellą i małą Amelią i uwielbiała pomagać córce choćby w niewielki sposób. Co nie znaczy, że na siłę wpychała się do ich życia, o nie. Pozwolenie dzieciom na odejście z rodzinnego gniazda było częścią macierzyństwa, do którego nie istniała instrukcja obsługi. Rose ze wszystkich sił starała się nie być matką, która dosłownie przylepia się do dzieci. Pozwalała córkom prowadzić własne życie i dlatego właśnie podwójnie wspaniałe było to, że pragnęły w nim jej obecności.

Kuchnia w Meadow Lodge była ulubionym pomieszczeniem Rose. Najprawdopodobniej dlatego, że niewiele się zmieniła od czasów, gdy Stella, Tara i Holly siadywały przy wyszorowanym sosnowym stole i narzekając, odrabiały pracę domową z matematyki. Ściany miały ten sam bladoniebieski kolor, na podłodze ułożona była terakota, przed sfatygowaną dwuosobową sofą leżał postrzępiony szkarłatny kilim, a szafki zmieniły się tylko w ten sposób, że przez te wszystkie lata zdobyły kilka warstw kremowej farby. Przypięte do lodówki dziecięce rysunki były teraz dziełem Amelii, zaś ścianę z rodzinnymi fotografiami można było nazwać prawdziwą galerią Millerów. Widać tam było Tarę w dniu jej ślubu, elegancką i rozpromienioną w sukni od Amandy Wakeley, wstydzącą się aparatu Holly, wyraźnie skrępowaną w todze w dniu ukończenia studiów i piękny, czarno-biały portret Stelli i Amelii, wykonany przez jej przyjaciółkę Hazel.

Rose ustawiła w pralce odpowiedni program, po czym rozejrzała się, czy jest coś jeszcze do zrobienia. Uznała, że ten wieczór nie będzie wcale taki zły. Rozmowa z dziewczętami wiała w nią energię. Poza tym wielu ludzi bardzo by chciało spędzić uroczysty wieczór na wytwornej kolacji. Była szczęściarą, mając tak udane życie towarzyskie. Była szczęściarą, koniec, kropka. Ludzie zawsze jej to mówili. Ale przecież sprawiać wrażenie, że się wie dzie życie idealne to co innego, niż rzeczywiście je wieść. Pozory mogą mylić. Minnie Wilson była tego doskonałym przykładem: pozornie radosna, gdzieś w głębi wyraźnie skrywała smutek. Rose zastanawiała się, czy życie wszystkich ludzi jest inne za fasadą.

## ROZDZIAŁ DRUGI

W następny poniedziałek, cierpliwie czekając w sklepie jubilerskim na obsłużenie, Stella Miller także myślała o tym, jakie znaczenie mają pozory. Do Bożego Narodzenia zostało dziesięć dni i wszyscy gonili za prezentami, ulicami zaś przelewały się tłumy wzburzonych kupujących, którzy nie przejmowali się tym, że mogą wydlubać komuś parasolką oko. Czas życzliwości, niech go diabli wezmą.

Stella weszła do sklepu jubilerskiego Austyn's dokładnie u tym samym czasie, co kosztownie odziana para, ale jedyny wolny sprzedawca, nieomylnie wyczuwając ludzi, którzy wydadzą mnóstwo pieniędzy, skierował się natychmiast ku tej parze, szukającej pierścionka zaręczynowego.

Kobieta miała płaszcz z kaszmiru, z daleka pachnący pieniędzmi. Stella pomyślała cierpko, że od jej płaszcza czuć jedynie dobrym interesem, ponieważ przed dwoma laty kupiła go na wyprzedazy. Nie przeszkadzało jej jednak to, że musi czekać. Dawno temu uznała, że życie jest prostsze, jeśli człowiek nie przejmuje się mało znaczącymi drobiazgami.

Opierając się o ladę, obserwowała, jak na jej oczach rozgrywa się przedstawienie z pierścionkiem zaręczynowym w roli głównej. Oczy sprzedawcy błyszczały z radością, gdy sięgnął na wystawę i jego palce z nabożną czcią ujęły jasnoszarą zamszową poduszkę. Poduszkę Nr 1, miejsce, gdzie spoczywały najbardziej wartościowe brylantowe pierścionki.

Przyniósłszy ją ostrożnie, jakby była bezcennym antykiem, on zaś Indianą Jonesem, sprzedawca położył poduszkę na szklanej ladzie, dyskretnie przytwierdzając jej stalowy łańcuch

do znajdującego się poniżej haczyka, na wypadek gdyby ktoś ośmielił się chwycić ją i uciec z brylantami bez skazy, wartymi kilka milionów.

Klienci westchnęli zgodnie. Było to westchnienie ulgi, że znaleźli idealny pierścionek zaręczynowy. Wyglądali na zachwyconych. Sprzedawca także pozwolił sobie na westchnienie, myśląc o prowizji.

– Chciałaby pani przymierzyć? – zapytał z nadzieją.

Stella znajdowała się na tyle blisko, że mogła się dobrze przyjrzeć pięciu pierścionkom spoczywającym na szarym zamszu, z których każdy wyraźnie pragnął przyćmić pozostałe. Najbardziej spodobał jej się pierścionek w samym środku. Zauważyła go na wystawie tydzień temu, kiedy szła pospiesznie ulicą po lunchu z koleżanką. Wtedy zostało jeszcze co najmniej czternaście dni na świąteczne zakupy, Stella należała jednak do tych zorganizowanych ludzi, którzy w szufladzie układają bieliznę według kolorów, co miesiąc przeglądają zawartość zamrażalnika i kupowanie prezentów gwiazdkowych później niż na tydzień przed świętami uważają za lekkomyślne.

Jej matce bardzo się podobały ładnie zdobione emalią pudełka na lekarstwa i Stella chciała kupić jej coś wyjątkowego w ramach podziękowania za weekend, podczas którego Rose i Hugh przyjechali, by zabrać Amelię na basen. Matka przywiozła jej wtedy koszyk organicznych jajek, świeżo upieczony chleb i całe mnóstwo jej ulubionych babeczek z owocami, a także cudownie działające leki przeciwzapalne, które przyniosły ukojenie jej szyi. Rose zasługiwała na znacznie więcej niż zwykłe pudełko na lekarstwa, a w Austyn's mieli ich duży wybór: pudełka w kwiatki, z precyzyjnie wymalowanymi truskawkami; czegokolwiek by człowiek zapragnął, oni to mieli. Stella myślała sobie, że gdyby poprosiła o pudełko z namalowanym martwym karaluchem, także by takie znaleźli.

Ale jej spojrzenie przyciągnął właśnie ten brylantowy pierścionek, umieszczony wygodnie na poduszce Nr 1 pośród przystrojonej łańcuchami kolekcji wisiorków i rzędów bransolet, w dniu, kiedy nie miała czasu, by wstąpić do środka. Zerkając na wystawę i myśląc sobie, że być może zamiast tego powinna kupić bon prezentowy do domu towarowego, od razu go zauważyła. Olśniewający brylant otoczony owalnymi brylantowymi płatkami, niczym szalenie drogocenny kwiat umieszczony na platynowej wstążce. Duży, ale z całą pewnością nie w złym guście; po prostu na tyle duży, by świadczyć i miłości, oddaniu i żywej gotówce.

– Przymierz go, kochanie – namawiał teraz mężczyzna.

Kobieta uśmiechnęła się do niego promiennie i wyciągnęła wypiełgnowane palce.

Sprzedawca fachowo zdjął pierścionek, myśląc, że ten rok okazał się dla sklepu wyjątkowo udany. Tak szybko sprzedawali Rolexy i zegarki Patek Philippe, że nie nadążali z importem; wczoraj osobiście sprzedał dwa złote, wysadzone szafirami naszyjniki, a teraz to: para zainteresowana najpiękniejszym (i najdroższym) pierścionkiem w całym sklepie.

Jednym płynnym ruchem pierścionek znalazł się na palcu kobiety. Był przepiękny. Stella westchnęła. Bez względu na to, jak bardzo lubiła sztuczną biżuterię, którą kupowała za grosze na bazarach i w second-handach, prawdziwe kamienie szlachetne miały w sobie coś nieodpartego.

– Czym mogę pani służyć?

Podniosła głowę i zobaczyła przed sobą drugiego sprzedawcę, który był w bardzo złym humorze, ponieważ to on powinien zajmować się teraz obsługiwaniem rojującej nadzieję pary od brylantowego pierścionka, i tak właśnie by było, gdyby terminal kart kredytowych nie działał w tak ślimaczym tempie.

Stella się wyprostowała. Była wysoka i szczupła, miała na sobie grafitowy wełniany płaszcz, jedynym zaś akcentem kolorystycznym w jej surowym stroju była szkarłatna, robiona na drutach czapka.

– Chciałabym zobaczyć kilka z tych pudełek na lekarstwa zdobionych emalią – powiedziała.

Rzuciła ostatnie tęskne spojrzenie olśniewającemu brylantowi, który podziwiała zakochana para, po czym udała się za sprzedawcą w głąb sklepu, gdzie czekała ekspozycja z malowanymi pudełkami.

Nie minęło pięć minut, a Stella wybrała pudełko w stylu wiktoriańskim, a teraz czekała niecierpliwie, aż wciąż nachmurzony sprzedawca zakończy transakcję przy użyciu jej karty kredytowej. Spieszyła się, ponieważ dziś wieczorem w szkole Amelii odbywały się jasełka. Stella nie mogła się już doczekać. Mała od miesiąca nie mówiła o niczym innym. Jej ciemnobrązowe oczy błyszczały, kiedy ćwiczyła swoją partię, na którą składało się powolne chodzenie po scenie, klękanie przed trzema rzędami aniołów i fałszywe śpiewanie kolędy. Amelia po matce nie miała za grosz słuchu, ale wyglądała tak uroczco, kiedy śpiewała, że to nie miało znaczenia.

Siedmioletnia i niezwykle urocza dziewczynka była niesamowicie wprost podobna do matki. Podczas policyjnej konfrontacji każdy dostrzegłby między nimi podobieństwo, choć młodsza wersja miała błyszczące kasztanowe włosy zaplecione w warkoczyki, a mama nosiła sięgającego brody pazia. Mała twarz Amelii w kształcie serca była bardziej poważna niż pogodna, owalna twarz Stelli, a spojrzenie jej wielkich oczu było czujne, przez co nieznanicy jej ludzie sądzili, że jest cichym dzieckiem. Nic bardziej mylnego. Była po prostu nieśmiała wobec obcych, za to może nieco bardziej dojrzała od większości dzieci w jej wieku. Tego jednego właśnie żałowała Stella, jeśli chodzi o rozwód z Glennem – jego nieobecność i ich status niepełnej rodziny sprawiły, że mała Amelia wydawała się starsza niż w rzeczywistości. Nie znaczy to, że dziewczynce przeszkadzał fakt, iż spotyka się z tatą tylko kilka razy w roku, ale Stella i tak się tym przejmowała.

Wczoraj wieczorem Amelia skakała wokół salonu w białym połyskującym stroju anioła i lekko chropawym głosem śpiewała *Cichą noc*.

– Tata Davida ma zamiar to nagrać, mam, i panna Dennis mówi, że jeśli damy jej kasetę, to zrobi nam wszystkim kopie.

– Musimy w takim razie dostać dwie kopie, skarbie – odparła Stella, przytulając Amelię. – Jedną zostawimy sobie, a drugą wyślemy tatusiowi.

– Okej. Mam zaśpiewać jeszcze raz?

– Tak, kochanie.

Stella pomyślała, że ta taśma może w końcu wyrwie tatusia z jego notorycznego rozleniwienia. Był naprawdę beznadziejny, jeśli chodzi o pamiętanie, jak ważne dla dzieci jest coś takiego jak Boże Narodzenie. Stella kiedyś miała nadzieję, że po nagłej śmierci ukochanego ojca dwa lata temu Glenn dorośnie i przypomni sobie o obowiązkach – tak się jednak nie stało. W zeszłym roku skończyło się to tak, że kupiła Amelii prezent od tatusia, po czym tatuś pojawił się w drugi dzień świąt z czymś innym. „Jeszcze jeden prezent, tatusiu, jesteś tuki dobry” – wycedziła wtedy Stella przez zaciśnięte zęby, choć wcześniej mu powiedziała, że kupiła Amelii coś od niego. W tym roku pracował na Bliskim Wschodzie i prezent od niego przybył już dawno temu, tylko dlatego, że Stella nie dawała mu przez telefon spokoju, bez końca mu o tym przypominając. Nie potrafiła pojąć tego, jak bardzo jej były mąż nie rozumie dzieci, skoro sam jest takim dzieciakiem. W takim tempie Amelia dorośnie znacznie wcześniej niż jej ojciec.

Stella przykazała sobie, by ponownie do niego zadzwonić i potwierdzić ustalenia odnośnie do ich rozmowy telefonicznej w Boże Narodzenie. Najważniejsze było to, by Amelia nie czuła się rozczarowana. Zazwyczaj spokojna w przypadku wszystkich innych kwestii, Stella mogłaby Glenna wypatroszyć, gdyby Amelia smuciła się z jego powodu.

Zerknęła na zegarek: dziesięć po piątej. Czas się zbierać. Gdzie się u diabła podział sprzedawca z jej paragonem i kartą kredytową? Zerknęła do tyłu na mającą się wkrótce zaręczyc parę, która wciąż zastanawiała się nad pierścieniem z brylantem.

Uznała, że nie sprawiają wrażenia nieprzytomnie, szaleńczo zakochanych. Wyglądali na zadowolonych, ale nie wydawali się kandydatami na namiętny numer w czasie lunchu, ponieważ nie są w stanie wytrzymać do wieczora. Może byli zalubieni, co było prostsze niż bycie zakochanym. Mniej kłopotów. I dobry sposób na samotność. Stella miała dużo koleżanek, które zrobiłyby wszystko, by znaleźć porządnego mężczyznę, w którym mogłyby się „zalubić”.

Jestem szczęściarą, pomyślała z wdzięcznością Stella, gdy pojawił się sprzedawca z wydrukiem. Gdyby nie miała ukochanej Amelii, możliwe, że byłaby jedną z tych samotnych

osób, które przez cały dzień mają włączone radio, by po powrocie do domu powitały ich jakieś dźwięki. Córka była dla niej wszystkim.

Odsunęła od siebie przelotną myśl, że fajnie byłoby mieć w życiu mężczyznę. Stella Miller nie miała czasu na mężczyznę – nie dla niej pierścionki z brylantem. Amelia była jej priorytetem, koniec, kropka.

Pospiesznie wyszła od jubilera na zatłoczoną ulicę. Temperatura odczuwalna była niska i znowu padał deszcz. Zignorowała rzędy przesadnie udekorowanych wystaw z olśniewającymi strojami imprezowymi. Błyszczące kuse topy i wyszczuplające biodra spódnice nie znajdowały się na liście zakupów Stelli. Jej życie towarzyskie nie wymagało tego typu ubrań. Najważniejszym wydarzeniem w okresie świątecznym był dzisiejszy występ Amelii, po którym na szkolnej auli miało się odbyć małe przyjęcie. W szafie Stelli najładniejszymi ubraniami były stroje do pracy i nie miała nic bardziej twarzonego niż dopasowany szary garnitur, do którego wkładała jedwabną koszulę w kolorze żurawin.

Dzięki strumieniom samochodów, wlewających się do centrum miasta na wieczorne zakupy, ruch w przeciwnym kierunku był zadziwiająco mały i już o wpół do szóstej Stella zaparkowała samochód przed domem Hazel.

Rzadko odbierała Amelię z domu przyjaciółki bez zmówienia krótkiej dziękczynnej modlitwy za to, że jej córką opiekuje się ktoś tak idealny. Hazel mieszkała zaledwie ulicę od Stelli i opiekowała się Amelią, odkąd ta skończyła dziewięć miesięcy. Początkowo była piastunką, a stała się ukochaną przyjaciółką rodziny. Dla Amelii była niczym druga matka, ktoś, kto się o nią troszczył, kochał ją i wiedział, kiedy zanosi się na psoty. Córeczki Hazel, bliźniaczki, były dwa miesiące starsze od Amelii i cała trójka bawiła się razem niczym siostry, co oznaczało mnóstwo potyczek i rozejmów. Hazel, wcześniej kierowniczka banku, urodziła córeczki w wieku trzydziestu ośmiu lat dzięki zapłodnieniu in vitro, i nie dała się długo namawiać na rezygnację z pracy zawodowej, by opiekować się upragnionymi maluchami.

– Czekałam na chwilę, kiedy będę mogła wyrzucić garsonki i stać się uosobieniem macierzyństwa – mówiła często, spoglądając na swój codzienny strój, składający się z dzinsów z gumką w pasie i obszernych T-shirtów, które skrywały jej dodatkową oponkę. Z całą pewnością wczuła się w tę rolę. Jej dom był przytulny, wygodny i zawsze pachniało w nim domowym jedzeniem. Hazel robiła nawet sama dżem.

– Przez ciebie mam straszne wyrzuty sumienia – jęczała Stella, kiedy widziała rząd słoiczków z różnokolorowym dżemem.

– Mamy cztery krzaki agrestu, czerwoną porzeczkę i jabłonkę – odpowiadała Hazel. – Nie mogę ich zmarnować.

Kiedy dzisiaj dotarła do domu Hazel, nie zdążyła jeszcze sięgnąć do dzwonka, a już drzwi otworzyła rozemocjonowana Amelia.

– Cześć, mamó – rzuciła niecierpliwie. Ładnie wyglądała w zwiewnej szacie anioła ze srebrnymi wstążkami powiewającymi wokół zrobionych z wieszaków skrzydeł. Stella niemal płakała, kiedy robiła te cholerne skrzydła. Poświęciła na to dwa wieczory i trzy złamane paznokcie.

– Witaj, Amelio – odparła Stella, pociągając ją lekko z warkoczyk i całując w czoło. Wiedziała, że Hazel nie pozwala dzieciom otwierać samych drzwi, ale nie potrafiła się zmusić do tego, by wydać Amelię po takim powitaniu. – Jesteś gotowa na przedstawienie, skarbie?

– Tak, mamó. Czy mogę chodzić na balet? Becky i Shona będą chodzić i musimy kupić buty i takie coś jak sukienka.

– Ich klasa oszalała na punkcie baletu – odezwała się Hazel, wylaniając się z kuchni z marchewką w jednej ręce i nożykiem do obierania warzyw w drugiej. Ubrana była na wieczór w brązową suknię z aksamitu, na którą narzucił pomarańczowy ceratowy fartuch, by się nie pobrudzić. Specjalnie na tę okazję rozpuściła rudawe loki, a jasne rzęsy pospiesznie musnęła tuszem. I to wszystko: Hazel nie miał ani czasu, ani ochoty na długie zabiegi upiększające. – Szaleństwo gimnastyczne można uznać za oficjalnie zakończone i teraz skupiamy się na tutaj i różowych baletkach. W daremnej próbie uspokojenia ich przed przedstawieniem, pani Dennis

oznajmiła, że w nowym roku do programu nauczania powraca balet. Powiedziałam, że do końca grudnia ani myślę jechać do centrum do sklepu dla tancerzy.

Z kuchni wybiegła Becky, kolejny anioł ze złotymi wstążkami w rudych lokach i pomalowanymi na złoto skrzydłami, krzywo zwisającymi z ramion. Przy dwóch małych aniołkach Hazel miała dwa razy więcej roboty z wieszakowymi skrzydłami niż Stella.

– Mama Mary uszyje jej prawdziwą sukienkę baletową – oświadczyła Becky, a w powietrzu zawisło pytanie: „Dlaczego ty tego nie możesz zrobić, mamoo?”

Becky, zawsze pełna energii, tupiała nogami niczym mały słoń i kiedy wchodziła po schodach, brzmiało to tak, jakby waliło się całe piętro domu.

– Chcę być łąbodzią księżniczką – dodała stanowczo.

Hazel i Stella ponad głowami dzieci wymieniły rozbawione spojrzenia.

– Ja też chcę być łąbodzią księżniczką – oświadczyła Amelia.

Becky posłała jej gniewne spojrzenie.

– Wszystkie możecie być łąbodziami księżniczkami – powiedziała uspokajająco Hazel, wieczny rozjemca. – Ale nie chcemy wydawać mnóstwa pieniędzy i kupować wam strojów łąbodzi księżniczek i butów do tańca, jeśli po tygodniu ma się to wam znudzić.

Zarówno Amelia, jak i Becky wydawały się zaszokowane tym pomysłem. Jeszcze czego.

– Rozdawano ulotki na temat lekcji baletu i włożyłam jedną do torby Amelii – powiedziała Hazel.

Stella uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Popatrz, mamoo! – zawołała Amelia, tańcząc tak, jakby już znajdowała się za lekcji baletu. Zrobiła całkiem przyzwoity obrót primabaleriny, unosząc zwiewną suknię anielicy. – Popatrz na mnie, mamoo.

– Nie, popatrz na mnie – upierała się Becky. Też próbowała wykonać obrót, a w efekcie wpadła na Stellę.

– Jestem pewna, że będziesz uroczą łąbodzią księżniczką – rzekła uprzejmie Stella do Becky.

Amelia, która była w wieku, w którym w pełni zdawała sobie sprawę z różnicy pomiędzy tym, co dorośli mówią, a co innego mają na myśli, wpatrywała się uważnie w matkę.

– No dobrze, dziewczynki, jesteśmy gotowe na przedstawienie? – zapytała pośpiesznie Stella.

– Tak! – zapiszczały w odpowiedzi dwie dziewczynki.

– Dwie minuty i jestem gotowa – odparła Hazel. – Shona! – zawołała.

Z bawialni wyłonił się jeszcze jeden rudowłosy aniołek, który wyraźnie zajmował się tam malowaniem siebie klejną z brokatem. Bliźniaczki nie były jednojajowe, ale obie miały niesforne rude włosy matki i jej orzechowe oczy.

– Idźcie na górę i skorzystajcie z łazienki, zaraz wychodzimy – zaordynowała Hazel. – Umyjcie porządnie ręce. Za chwilę przyjdę sprawdzić.

Dzieciaki pobiegły z hałasem na górę, by po raz ostatni przejrzeć się w lustrze i bez wielkiego entuzjazmu umyć ręce. Stella zaś udała się za przyjaciółką do przytulnej kuchni. Nie licząc swych dwóch siostr, Hazel była bliższa niż wszystkie inne przyjaciółki. Ich życie było zupełnie różne i Stella miała trzydzieści osiem lat, podczas gdy Hazel czterdzieści pięć, ale łączyło je takie samo ironiczne poczucie humoru. Stella czuła, że się rozumieją. Nigdy nie próbowała wrabiać jej w randki w ciemno ani nie gromiła jej za to, że nie umawia się z facetami. Rozumiała, że Stella jest zadowolona z takiego życia, jakie ma, i kropka. I nawet jeśli często myślała, że bardzo by chciała, żeby jej najlepsza przyjaciółka miała kogoś szczególnego – zachowywała te myśli dla siebie.

– Zdążę napić się szybko herbaty? – zapytała Stella, włączając czajnik. – Byłam na zakupach i jestem wykończona.

– Pewnie, mnie też zrób. – Hazel szybko pokroiła marchewki i dorzuciła je do naczynia żaroodpornego. – Kupiłaś coś ładnego?

– Pudełko na lekarstwa dla mojej matki w Austyn's. Mam już wszystko – dodała z satysfakcją. – Pewna para kupowała tam niesamowity pierścionek z brylantem: był naprawdę olbrzymi. Licho wie, ile kosztował, ale gdybyś taki miała, musiałabyś cały czas chodzić z ochroniarzem.

– Czy mówicie o prezencie gwiazdkowym dla Hazel? – zapytał jej mąż, Ivan, zamykając za sobą drzwi wejściowe i wchodząc do kuchni. Był wysokim, żyłastym mężczyzną ze śmiejącymi się niebieskimi oczami, okularami w modnych szylkretowych oprawkach i prawie zupełnie pozbawionym włosów. Pracował jako kierownik firmy budowlanej. Jego największą miłością była żona i bliźniaczki, a zaraz potem opera. Hazel czasami utyskiwała, że ogłuchła od słuchania na cały regulator *Pierścienia Nibelungów*, ale Stella wiedziała, że tak naprawdę nie przeszkadza jej to. Szalała za Ivanem w takim samym stopniu, jak on za nią. Pełne uczucia przekomarzenie się było spoiwem, które mocno sklejało ich małżeństwo.

– Chyba mi nie kupiłeś następnego wielkiego brylantu, kochanie? – zapytała Hazel, odwracając się do męża, by go pocałować. – Brakuje mi już palców!

– Wybacz, ale tak. – Ivan starał się z całych sił wyglądać na skruszonego. – Jutro odniosę pierścionek i kupię ci zamiast tego gustowny peniuar z czerwonego nylonu. Zostało w dzbanku trochę herbaty?

– Wolę różowy nylon, głuptasie. Wiesz, że lubię, by moje ubrania gryzły się z kolorem włosów. A skoro już tu jesteś, Ivan, to wyjmij herbatniki – dodała Hazel, kiedy wziął z szafki kubek. – Wrócimy najwcześniej o dziewiątej i wiesz, jak wyglądają te szkolne przyjęcia: będziemy mieć szczęście, jeśli dostaniemy na spólkę jednego rozmiękłego krokieta.

Stella i Hazel przyglądały się, jak Ivan pochłania pięć ciastek w czekoladzie, gdy tymczasem one zmuszały się, by zjeść tylko po jednym, i to w dodatku bez polewy.

– Jak możesz tyle jeść i nie tyć? – nie mogła nadziwić się Stella.

Ivan poklepał się po wklęsłym brzuchu.

– Pierwszorzędne geny – mruknął z pełnymi ustami.

Hazel zdjęła fartuch i rzuciła nim spokojnie w męża.

– Tego typu uwagi jak najbardziej stanowią podstawę do rozwodu, prawda? – zapytała Stellę.

– Nie pytaj mnie, nie specjalizuję się w prawie rodzinnym – zaśmiała się Stella, przyzwyczajona do ich słownych potyczek. – Jestem królową nieruchomości. – Wyszła z kuchni, wołając przez ramię: – Sami się kłóćcie, ja idę się szybko odpicować.

W niewielkim kącie na płaszcze pod schodami Stella wyjęła szczotkę i zabrała się za porządkowanie włosów. Choć przyglądała się swemu odbiciu w lustrze, tak naprawdę nie widziała siebie. Zamiast tego rozmyślała o Ivanie i Hazel i parze ze sklepu jubilerskiego. Stella mogła do końca życia by całkiem szczęśliwa bez brylantu na serdecznym palcu. Nie brakuje tego, czego się nigdy nie miało, jak często mówił jej matka. Ale można tęsknić za czymś, z czym się dorastało, nawet jeśli nie było to tak naprawdę twoje. Stellę wychowywali rodzice, którzy uwielbiali się nawzajem. I każdego dnia widziała prawdziwą miłość pomiędzy Hazel a Ivanem, którzy przekomarzali się, kłócili o groźną dla błony bębenkowej operę, a jednak czcili ziemię, po której stapało to drugie. Stella od wielu lat twierdziła, że miłość zajmuje ostatnie miejsce na jej liście priorytetów, ale czasami, tylko czasami pragnęła, by było inaczej.

Zafundowała włosom energiczne szczotkowanie i dwie minuty później wróciła do kuchni z puszystą fryzurą.

Hazel uśmiechnęła się z czułością do przyjaciółki. Stella także nigdy nie zawracała sobie głowy nakładaniem mocnego makijażu. Tyle że Hazel zdawała sobie sprawę z tego, że różnica między nimi jest taka, iż Stella go nie potrzebuje. W jej owalnej twarzy dominowały wielkie ciemne oczy otoczone gęstymi rzęsami, nadając jej wygląd średniowiecznej Madonny, cierpliwie czekającej, aż artysta skończy malowanie jej portretu. Nad głęboko osadzonymi oczami widniały idealne luki ciemnych brwi. Prosty nos nie potrzebował żadnego uważnego cieniowania, a mleczna cera była na tyło ładna, że wystarczała jej jedynie odrobina podkładu, co powinno

wzbudzać dziką zazdrość Hazel. Jej z kolei cera była piegowata, łatwo się czerwieniła i wymagała całego mnóstwa korektora. Co nie znaczy, że go otrzymywała.

Stellę cechowała elegancja, którą doceniała Hazel, wielka znawczyni piękna: drobne kostki i nadgarstki odziedziczone, jak twierdziła, po matce. Ale Hazel za bardzo kochała przyjaciółkę, by odczuwać zazdrość. Zamiast tego dumna była z jej urody i rozpaczała, że Stella w ogóle nie zdaje sobie sprawy z tego, jaka jest śliczna.

Dzisiejszego wieczoru Stella pomalowała usta zaskakująco szkarłatną szminką, która pasowała do głębokiego odcienia jej satynowej koszuli. Rzadko można ją było zobaczyć w tak żywych kolorach i wyglądała oszałamiająco.

– Mam cię, panienko – rzekła Hazel.

– Myślisz, że przesadziłam z tą szminką? – zapytała Stella. – Kupiłam ją dzisiaj, ale może jest jednak zbyt jaskrawa.

– Jest śliczna, naprawdę seksowna – upierała się Hazel. – Nie rozumiem, dlaczego częściej nie malujesz ust na czerwono.

– Szkolne imprezy nie są właściwymi okazjami na „seksowność” – zauważyła Stella. – Pamiętasz, jak było rok temu?

Na zeszłoroczne jasełka nauczycielka ubrała się w kusą sukienkę wyszywaną cekinami i skończyło się to tak, że zaszokowana wysłuchiwała wybuchu jednej z matek, której mąż notorycznie uganiał się za spódniczkami. Zarówno Stelli, jak Hazel żal było wtedy słodkiej, pełnej entuzjazmu panny Palmer, świeżo upieczonej nauczycielki, która była przekonana, że włożenie najlepszej kreacji wieczorowej jest jak najbardziej na miejscu. Tańcząc energicznie z dziećmi podczas przyjęcia, panna Palmer niemal wyskoczyła z sukienki, dzięki czemu zyskała na popularności wśród ojców, a zdecydowanie straciła w oczach niektórych matek.

– Prawdziwa katastrofa – przyznała Hazel. – Ale jest różnica pomiędzy odrobiną czerwonej szminki a prześwitującą sukienką z cekinami. – Zmierzyła wzrokiem szary garnitur Stelli. – Chyba że masz w planach zdarcie tego z siebie i śpiewanie *Jingle Bells* w samych majtkach?

– Jak ci się udało zgadnąć? – Twarz Stelli była śmiertelnie poważna.

– A tak w ogóle, to co było nie tak z sukienką panny Palmer? – zapytał Ivan, który jednym uchem przysłuchiwał się ich rozmowie. – Nie wiem dlaczego to głupie babsko tak na nią naskoczyło. Ta biedna dziewczyna ładnie wyglądała. To wolny kraj, każdy może nosić to, na co ma ochotę.

Hazel posłała przyjaciółce wymowne spojrzenie.

Stella podjęła próbę wyjaśnień.

– To była odpowiednia sukienka na nieodpowiednią okazję. Wyobraź sobie, że wybierałabym się na imprezę do was na przykład i na przyjęcie do domu starszego współnika, Henry'ego Lawsons. Nie mogłabym ubrać się tak samo.

– A dlaczego nie? – zapytał Ivan.

Wtrąciła się Hazel.

– Ponieważ gdyby Stella pojawiła się w domu Henry'ego Lawsons w obcisłym, błyszczącym kombinezonie, Henry dostałby zawału i jego żona pewnie też, z czystej wściekłości, gdyż byłaby przekonana, że Stella jest uganiającą się za facetami ladacznicą.

– Winą obarczam te wszystkie artykuły w kolorowych magazynach, które mówią kobietom, jak duże jest ryzyko tego, że ich mężowie kręcą na boku z koleżankami z pracy – mówiła dalej Stella. – Są przekonane, że biuro to jedna wielka pozamałżeńska agencja kojarząca pary, gdzie wszyscy wprost dyszą z pożądania. Jeśli kobieta nie jest mężatką, wszystkie żony uważają, że zagięła parol na ich mężów.

– Co jest doprawdy komiczne, jeśli spojrzeć na większość tych mężów – zauważyła Hazel, która miała okazję poznać Henry'ego w biurze Stelli. Może i był czarujący i przyjacielski, ale z całą pewnością nie stanowił materiału na jurnego byczka.

Stella uśmiechnęła się szeroko.

– Bardzo bym chciała wiedzieć, w jakich biurach przeprowadzają tego typu badania, ponieważ wygląda na to, że przez wszystkie te lata pracowałam w niewłaściwych miejscach.

Prawda jest taka, że jeśli uda mi się ostatnimi czasy złapać jakąś wolną chwilę, pędzę do toalety albo robię sobie szybko herbatę. Ganiecie się wokół biurka ze starszymi współpracownikami zajmuje bardzo odległą pozycję na liście rzeczy do zrobienia.

– Czyżby? – przekomarzała się z nią Hazel. – Czyż brzuch Henry'ego nie faluje uwodzicielsko nad paskiem od spodni? Jego podobieństwo do lwa morskiego uważam za zniewalające.

– Możesz go sobie w takim razie wziąć – odparła uprzejmie Stella.

– Nie wiedziałem, że masz błyszczący kombinezon, Stel – wtrącił z przejęciem Ivan. – Mogłabyś go pożyczyć Hazel?

– Jutro go wam podrzucę – odparła cierpko Stella.

Kilka minut później nadal się śmiali, kiedy obie rodziny pakowały się do przestronnego samochodu Hazel. Siedząc tyłu z dziećmi, Stella upewniła się, czy wszyscy są dobrze przypięci pasami i zapinała właśnie swój, kiedy poczuła, jak w jej dłoń wślizguje się mała, zimna rączka. Amelia wpatrywała się w matkę, a jej twarz w świetle ulicznych lamp wydawała się przerażona i blada. Stella objęła córkę i przytulała ją mocno, że łaskotała ją sztuczne futerko przy kapturze kurtki Amelii.

– Wszystko będzie dobrze, kochanie – wyszeptwała. – Tyle razy wszystko ćwicyłaś, że pamiętasz wszystko nawet od tyłu.

– A jeśli zapomnę? – zapytała głucho Amelia.

– Nie zapomnisz – uspokajała ją Stella. – Jesteś na to zbyt bystra. Wiem, że znasz wszystkie słowa i wypadniesz doskonale, a mamusi mają zawsze rację, prawda?

Amelia kiwnęła głową na taką logikę i przez resztę drogi siedziała przytulona do mamy.

Przed rzeźbiście oświetloną Szkołą Podstawową Benton ciągnął się sznur samochodów, z których rodzice wypuszczali aniołki, pastuszków, mędrców i kilka zwierząt hodowlanych.

– To nie jest prawdziwa owca, prawda? – zapytał Ivan, kiedy się przyglądali, jak z jednego z aut wyskakuje białe, puchate zwierzę, po czym podnosi łapę przy cennym bukszpanie dyrektorki szkoły, udekorowanym złotymi wstążkami.

– To pies pani Maloney – wyjaśniła Shona. – Wczoraj był na próbie. Nasikał na scenę.

Dziewczynki zachichotały.

– Mam nadzieję, że nie musicie klękać w jego siuśkach – rzekł poważnie Ivan.

– Uuuuuch! – wrzasnęły.

– Ale pewnie tak właśnie się stanie – kontynuował – i będziecie mokre, i będziecie brzydko pachnieć, więc nie dam wam wsiąść do samochodu, tylko będziecie musiały po ciemku biec do domu w swoich anielskich strojach, śmierzące, mokre i paskudne...

Chichotanie z mokrych kolan dało taki efekt, że kiedy Hazel zatrzymała się przed wejściem do szkoły, po tremie nie było już śladu, a Amelia, Shona i Becky ochoczo pobiegły tam, gdzie tłoczyło się mnóstwo dzieciaków, niemilosiernie się wydzierających. Niektóre miały brokat na twarzach, inne natomiast domalowane wielkie wąsy w stylu Groucho Marxa. Jedne skrzydła zaczepiały o drugie i co rusz któreś z dzieci wrzeszczało, podczas gdy pani Maloney, wycieńczona nauczycielka muzyki, próbowała je porozczepiać. Poziomi hałas był ogłuszający pomimo obecności trzech nauczycielek i wielu udręczonych rodziców.

– Nie wiem, ile zarabiają nauczyciele, ale na pewno za mało – stwierdził Ivan, odjeżdżając, by zaparkować samochód.

– Gdzie będziesz siedzieć, mamusiu? – zapytała Amelia, nagle znowu niespokojna. Trzymała się mocno ręki matki, kiedy znalazły się wśród podekscytowanego tłumu. – Chcę cię zobaczyć.

– Uściskaj mnie – rzekła Stella, kucając. Przytuliła mocno córeczkę, wdychając świeży zapach szamponu i kredek. – Pomacham do ciebie, kiedy wejdiesz, tak że mnie zobaczysz. Siądę tak blisko sceny, jak się da, obiecuję.

– Obiecujesz?

– Trzy palce na sercu – odparła z powagą Stella.

– Dzieci, cisza! – zadudnił głos i hałas w cudowny sposób przycichł. Pani Sanders, dyrektorka szkoły, posiadała władczą osobowość i każde jej polecenie wszyscy wykonywali w podskokach. Nagle aniołki odplynęły do klasy na ostatni przegląd skrzydeł, pastuszkowie zostali odesłani do toalety na ostatnią wizytę przed przedstawieniem, rodzice zaś usłyszeli, że wszystko jest pod kontrolą, a oni powinni zająć wolne miejsca.

W auli panował niemal równie wielki hałas, jak wcześniej na korytarzu: wypełniali ją rozgadani rodzice i wrzeszczące młodsze rodzeństwo, które miało ochotę biegać i wdawać się w bójki z innymi dziećmi. Hazel i Stella precyzyjnie się na miejsca mniej więcej pośrodku i czekały.

– Ciekawi mnie, czy matka Gwyneth Paltrow też tak się denerwuje przed przedstawieniem – rzekła Stella, drżącymi palcami przesuwając po pasku torebki.

– Pewnie nie. Nie martw się, poradzą sobie – odparła Hazel. – Wszystkie są świetnie przygotowane. Martwię się tylko tym, że Becky pokłóci się z kimś i zdieje go po głowie tamburynem. Jest taka krnąbrna.

– Po prostu przechodzi taki etap – Stella próbowała jakoś ją pocieszyć.

– Przechodzi taki etap, odkąd zaczęła chodzić – westchnęła Hazel. – Jeśli tak się zachowuje w wieku siedmiu lat, wyobraź sobie, co osiągnie jako nastolatka. Nie masz pojęcia, jaka z ciebie szczęściara, że masz Amelię; to dziecko jest takie grzeczne. Becky przy niej powinna się wstydić.

– Posuńcie się i zróbcie mi miejsce, dziewczyny – Ivan trząśnięty z zimna.

Stella przesunęła się o jedno krzesło i zaczęła się rozglądać, by jakoś ukoić nerwy.

Nie była tutaj jedynym samotnym rodzicem, co stanowiło ulgę, choć wydawało się, że jest więcej par niż zazwyczaj. W klasie Amelii jeszcze kilkoro rodziców samotnie wychowywało dzieci, ale z okazji Bożego Narodzenia ludzie, którzy najczęściej jedynie krzyczeli na siebie przez telefon, dołożyli starań i teraz w lodowatym milczeniu siedzieli ramię w ramię dla dobra potomków. Stelli nie brakowało Glenna, ale podczas tego typu okazji zastanawiała się, jak bardzo Amelia tęskni za tatą.

– Okej? – zapytała Hazel, ściskając jej ramię. – Mam nadzieję, że nie ogarnęły cię znowu wyrzuty sumienia rozwiedzionej mamy?

Kochana Hazel. Jest taka spostrzegawcza, pomyślała z uczuciem Stella. Pokręciła głową.

– Nic mi nie jest, naprawdę.

Przy fanfarze trąb ze szkolnego odtwarzacza CD rozpoczęło się przedstawienie. Pierwsze pojawiły się najmłodsze dzieci w szkole, które weszły nerwowo na scenę i zaśpiewały *Jingle Bells*, głośno i w różnych tonacjach. Przy akompaniamencie szkolnego pianina i zachęcie stojących z boku nauczycielek, wykonawcy śpiewali, chichotali, szlochali i w jednym przypadku krzyczeli na całe gardło. Doszło do jednej niebezpiecznej sytuacji, kiedy stajnia miała się zawalić na małego Jezusa, granego przez lalkę Tiny Tears w sukience do chrztu, ale pani Sanders w porę wkroczyła na scenę i pociągnęła stajnię do tyłu, zażegnując kryzys. Niełatwo było dojrzeć, co się dzieje na scenie. Rodzice wciąż podskakiwali na krzesłach, by robić zdjęcia i nagrywać przedstawienie i Stella bała się, że przegapi Amelię. Ale kiedy na scenie stłoczyły się aniołki, natychmiast dostrzegła córkę, która stała nerwowo pomiędzy uśmiechniętymi szeroko bliźniaczkami. Wstała i pomachała do niej ręką. Proszę, dojrzyj mnie, modliła się w duchu, szaleńczo machając.

– Proszę usiąść – syknął ktoś za nią, ale Stella zignorowała głos i nadal machała.

Na twarzy Amelii pod aureolą malowało się napięcie, gdy wpatrywała się w rzędy nieznanych twarzy. Światła tak mocno oświetlały scenę, że nie widziała dobrze niczego... i wtedy dostrzegła szaleńcze machanie mamy, i wszystko już było dobrze. Mamusia się przyglądała, mamusia tutaj była. Jej drobną i warz rozjaśnił uśmiech. Popatrzyła na pannę Dennis, która znajdowała się z przodu sceny, gotowa dać sygnał do rozpoczęcia śpiewu.

– Dzieci gotowe? – zapytała nauczycielka.

Piątoklasistki pokiwały z powagą głowami i czekały, z oczami rozszerzonymi wyczekiwaniem, aż rozbrzmi muzyka, po czym zaczęły śpiewać *Cichą noc* tak pięknie jak nigdy wcześniej.

W całej auli słychać było ochy i achy, a rodzice trzymali się z dumą za ręce.

Stella czuła, że w jej oczach wzbierają łzy, gdy patrzyła, jak Amelia śpiewa z przejęciem. Jej wielkie oczy lśniły i wyglądała niczym anioł Botticelliego. Stella wiedziała, że nie jest stronnicza – Amelia naprawdę była tu najładniejszym dzieckiem. I najcudowniejszym.

– Są fantastyczne, prawda, Hazel? – zapytała ze łzami w oczach przyjaciółkę.

– I pies nie nasikał jeszcze na scenę – stwierdziła rzeczowo Hazel.

Stella zachichotała, ale ani na chwilę nie oderwała wzroku od Amelii. Była naprawdę wielką szczęściarą. Miłość macierzyńska to dopiero prawdziwa miłość. Ten inny rodzaj miłości, do mężczyzny, nie mógł się z nią równać.

### ROZDZIAŁ TRZECI

Cztery dni później siostra Stelli, Tara Miller, mocno zakochana w poślubionym pół roku temu mężu i mocno zdenerwowana z powodu ceremonii rozdania nagród, w której brała udział, stała w damskiej toalecie niesamowicie wytwornego hotelu Manon i po raz chyba dziesiąty tego wieczoru poprawiała suknię. Problem z wieczorową suknią bez ramiączek z wbudowanym stanikiem z wkładkami powiększającymi piersi – dla wtajemniczonych „filetami z kurczaka” – polegał na tym, że tylko klej przemysłowy był w stanie utrzymać wszystko na swoim miejscu. Taśma do peruk nie zdawała egzaminu. Damska toaleta podczas wręczania Nagród Ogólnokrajowej Telewizji i Radia pełna była znanych gwiazd telewizyjnych i nie stanowiła idealnego miejsca dla tego typu działań, ale Tara nie miała innego wyjścia. Wsunęła więc dłoń w dekolt swej srebrnej sukni i podniosła wyżej obydwa filety.

– Wbudowany stanik, niech go licho – mruknęła pod nosem do swego odbicia w lustrze. Wiła się, mając nadzieję, że wszystko znajdzie się na swoim miejscu i nabierze kształtu zbliżonego do piersi.

– Ooch, Taro – zagruchała Sherry DaVinci, wyłaniając się z jednej z kabin. – Jaka śliczna suknia.

– Dzięki – odparła słabo.

Sherry wcisnęła się obok niej i z wieczorowej torebki Louisa Vuittona wyjęła połowę asortymentu Maca. Tara doskonale widziała, dlaczego kierownik obsady tak się wcześniej palił do tego, by to Sherry DaVinci zagrała seksowną szpitalną recepcjonistkę w kasowej telenoweli *National Hospital*. I nie miało to nic wspólnego z umiejętnościami aktorskimi Sherry.

Wciśnięta w przylegającą do ciała złotą sukienkę mini z naszywanymi cekinami, Sherry była spełnieniem marzeń fana porno, a jej okazałych rozmiarów piersi sięgały zuchwale niemal podbródka niczym dwie opalone połówki melonów, sprawiając wrażenie, jakby lada chwila miały wyskoczyć. Ta to nie potrzebuje filetów z kurczaka, pomyślała z żalem Tara, porównując obfity biust Sherry z własną płaską klatką piersiową.

– Cześć, Sherry – odezwała się inna piękność z telenoweli, uśmiechając się do niej po drodze i ignorując Tarę.

Czując się jak niewidzialna, Tara zastanawiała się, dlaczego pięknym kobietom nie przydziela się własnych toalet podczas tego typu uroczystości, tak by zwykle, niepiękne kobiety nie musiały stawać twarzą w twarz z perfekcją „talentów”, kiedy podciągały rajstopy, poprawiały sztuczne piersi i malowały błyszczkiem wąskie usta. Nie znaczy to, że Sherry można było nazwać utalentowaną. Ale przyciągała przed telewizory widzów i była słodka. Jej ograniczenia stawały się oczywiste tylko dla scenarzystów, próbujących napisać takie dialogi, których ona by nie schrzaniła. Jako redaktorka i współscenarzystka *National Hospital*, Tara poświęcała dużo czasu na pisanie dialogów, które następnie Sherry wygłaszała z werwą listonosza dostarczającego wyciągi z kart kredytowych. Kolejny dowód na to, że wygląd to

jeszcze nie wszystko, co Isadora, koleżanka Tary, mruzczała złośliwie pod nosem przy każdym sypnięciu Sherry.

Mając wrażenie, że powinna się nieco bardziej wysilić, Tara przejrzała zawartość swej torebki (czarna satyna, pożyczona, brak widocznego logo). Pod telefonem i notesem z długopisem, na wypadek gdyby przyszedł jej do głowy jakiś rewelacyjny pomysł na historię trójkąta miłosnego, nad którą pracowała, znajdowała się czerwona szminka, bardzo stary korektor i etui na okulary.

Wcześniej skrywała się tam także para rajstop na wszelki wypadek, ale musiała je wykorzystać po przystawce z wędzonego łososia, kiedy zahaczyła zegarkiem tamte, które miała wówczas na nogach.

– Chcesz coś pożyczyć ode mnie? – zapytała Sherry, z wprawą profesjonalistki koncentrująca się na nakładaniu eyelinera. Fachowo posługiwała się małym, ukośnym pędzelkiem.

– Eee, nie, dzięki – odparła Tara. Pospiesznie przejechała szminką po ustach, po czym przyjrzała się sobie krytycznie, sprawdzając efekt. Miejsce obok Sherry było strategicznym błędem. Tara była prosta niczym deska do prasowania, gdy tymczasem Sherry to gorące krągłości z połyskującym złotym pyłem na jedwabistej skórze.

Czasami Tara zastanawiała się, tak po prostu, jakby to jest być piękną zamiast inteligentną. Jej matka, Rose, była piękna, wciąż piękna, nawet zbliżając się do sześćdziesiątki. Rodzina droczyła się z nią z powodu listonosza z Kinvarry, który się w niej durzył i na jej widok prawie rozbijał samochód pocztowy. Stella, jej starsza siostra, także była olśniewająca, miała rozbrajające ciemne oczy i pogodną uśmiechniętą twarz, dzięki której przyciągała ku sobie ludzi. A Holly, która miała więcej kompleksów na punkcie swego wyglądu niż cały wybieg nastoletnich modelek, była niesamowicie ładna w taki uderzająco świetlisty sposób. Ale w przypadku Tary gen urody wyraźnie zastrajkował.

Co nie znaczy, że jakoś szczególnie jej to przeszkadzało. Wiedziała, że otrzymała dar, który wynagradzał to, iż nie jest piękną – umysł ostry niczym brzytwa i talent do łączenia ze sobą słów. Dar, dzięki któremu znalazła się dzisiaj w tym właśnie miejscu.

Uśmiechnęła się szeroko, myśląc o mantrze ciotki Adele, powtarzanej podczas spotkań rodzinnych: „Dzięki Bogu za to, że Tara jest taka zdolna”. Tara wiedziała, że to skrót od „Na szczęście nie musi polegać na swym wyglądzie”. Jej matka posyłała ciotce znaczące spojrzenie za każdym razem, gdy ciotka mówiła coś takiego, ale nie odnosiło to żadnego skutku. Adele należała do tych osób, które uważały, że szczerłość i brak taktu w hierarchii cnót znajdują się bardzo blisko boskości, i czuły, że mówienie tego, co myślą, jest nie tylko ważne, lecz także obowiązkowe.

Ale Tara, po kilku bezcelowych latach sekretnych marzeń o urodzie, była najzupełniej zadowolona ze swego wyglądu. Nigdy nie będzie ładna, ale zamiast tego jej wygląd stanowił połączenie ekscentryczności i niezwykłości: mały, spiczasty podbródek, figlarne, pełne usta i długi nos, który dominowałby w jej twarzy, gdyby nie głęboko osadzonej orzechowe oczy, błyszczące rozbawieniem i błyskotliwością. Nawet w sąsiedztwie całego mnóstwa złotowłosych ślicznotek ludzie zawsze zauważali bystrą, pełną życia twarz Tary. A kiedy zaczynali z nią rozmawiać, od razu poddawali się jej czarowi, ponieważ była nie tylko inteligentna, ale i zabawna.

Kiedy poszła na studia, miała już wypracowany pomysły i ekscentryczny wizerunek, na który składały się bardzo modne stroje, krótkie, niemal po męsku obcięte włosy i szminka czerwona jak wóz strażacki. Na jej korzyść działało to, że była wysoka, więc w męskich ciuchach i fryzurze było jej do twarzy. Teraz, w świetnym wieku trzydziestu dwóch lat i dzięki pewności czerpanej z uwielbianej pracy zawodowej, Tara była najzupełniej pogodzona ze swym wyglądem. Ciemne włosy miała fachowo obcięte i utrwalone w postaci nienagannych pazurków profesjonalnym woskiem, używanym każdego ranka. Modne okulary w ciemnych oprawkach dodawały jej spojrzeniu ostrości i odwracały uwagę od nosa. Od wielu lat rozważała operację plastyczną, ale Finn oświadczył stanowczo, że w ogóle jej nie potrzebuje.

– Kocham twój nosk taki, jaki jest – mówił, z czułością przesuając po nim palcem.

Twarz Tary złagodniała na myśl o poślubionym pół roku temu mężu. Kochany Finn. Ich zaloty przebiegły w naprawdę zawrotnym tempie. Poznali się rok temu na przyjęciu, szaleńczo w sobie zakochali i po sześciu miesiącach pobrali, pewnym głosem oświadczając zdumionym przyjaciółom, że kiedy człowiek spotyka bratnią duszę, ma pewność i nie musi się zastanawiać. Finn miał wszystko to, czego Tara oczekiwała od mężczyzny: był dowcipny, seksowny, uprzejmy, bystry – i niesamowicie przystojny. Smukły mężczyzna z sennymi, pełnymi radości oczami, zmierzwionymi jasnymi włosami i aurą ospałej seksualności. Finn był naprawdę oszałamiający. Ludzie mówili jej, że nadawałby się na dublera Brada Pitta, lecz dumna Tara odparowywała wtedy, że Finn jest o niebo przystojniejszy.

Nawet głos miał seksowny i wystarczyło, że pytał ją, ile mleka jej dolać do kawy, a już przypominał jej o niespiesznym, leniwym kochaniu się.

Cudownie byłoby wkroczyć na salę balową, mając go obok siebie. Dobrze wyglądał w garniturze; no ale w końcu wyglądałby dobrze nawet w worku.

W dniu ich ślubu ciocia Adele nie zawiodła rodziny Millerów i znacząco oświadczyła, co najmniej pięć razy, że nie może się nadziwić, jak Tarze udało się złowić tak przystojnego mężczyznę. Tak jakby Tara wzięła wielką wędkę i złapała na nią pierwszego olśniewającego osobnika, jaki się nawinął.

– Twoja ciotka ciągle mi się przygląda i kręci głową – rzekł Finn podczas wesela. – Jest w szoku, że twórczy geniusz taki jak ty poślubił głupiego sprzedawcę komputerów?

Tara roześmiała się.

– Wprost przeciwnie, uważa, że wygrałam w totka. Od wielu lat ciocia Adele przygotowywała mnie do staropanieństwa, przypominając, że nie jestem zbyt urodziwa. Teraz jest więc zdumiona, że przygruchałam sobie takiego byczka i w ciągu sześciu miesięcy namówiłam cię, byś się ze mną ożenił. I wcale nie jesteś głupi.

Finn przyciągnął ją do siebie, by po raz kolejny pocałować. Wyglądało na to, że nie jest w stanie się nią nasycić.

– Cóż... – Jego usta przesuwały się z czułością po jej po liczku. – Może nie aż taki głupi. W końcu udało mi się ożenić z błyskotliwą kobietą. I piękną także.

Szkoda, że go tu nie ma, pomyślała teraz Tara i na nowo ogarnęła ją tęsknota. Finn wiedział, jak bardzo się stresuje tego typu ceremoniami wręczania nagród, i wiedział, jak ważna jest dla niej dzisiejsza uroczystość. Był jej dokładnym przeciwieństwem: miał niefrasobliwie podejście do wszystkiego i podziałaby na jej nerwy bardziej kojąco niż Rescue Remedy\*. Ale bilety na wręczanie Nagród Ogólnokrajowe Telewizji i Radia były niczym złoty pył i nawet nie wszystkim scenarzystom udało się je zdobyć. Tara nie miała żadnych szans zabrać Finna z sobą. Zadzwoń do niego szybko, tylko po to, by mu powiedzieć, że za nim tęskni. Włączyła telefon i wystukała pospiesznie jego numer. Nikt nie odebrał telefonu domowego. Tara uśmiechnęła się na myśl o Finnie, biegnącym na drugą stronę ulicy na całodobową stację benzynową, by coś kupić, zapomniawszy o włączeniu automatycznej sekretarki. Uwielbiała te drobiazgi, o których zapominał. Były takie urocze. Spróbowała zadzwonić na komórkę, ale była wyłączona. Głupek. Nadal się jednak uśmiechała.

– Perfumy? – zapytała Sherry, spryskując dekolt zawartością niewielkiego flakonika Gucci Envy.

\* Krople z ekstraktów roślinnych o działaniu uspokajającym.

– Bardzo chętnie – odparła Tara, żałując, że nie pomyślała o zabraniu ze sobą Coco Mademoiselle, które dostała na urodziny od Finna. Na sali balowej było strasznie gorąco i połączenie pikantnego głównego dania i zbyt dużej ilości czerwonego wina oznaczało, że wszyscy mieli zarumienione twarze. Co nie będzie dobrze wyglądać w telewizji. W głowie Tary pojawiła się nagle przerażająca wizja, że ludzie zapamiętają jedynie jej błyszczące, różowe jak homar oblicze, pokazane podczas odczytywania nominacji do nagród dla telenowel.

Wzięła od Sherry flakon perfum, spryskała hojnie dekolt i delikatnie nadgarstki.

– Zmieniłam zdanie. Mogę pożyczyć parę kosmetyków? Chyba są mi potrzebne.

Pięć minut później Tara była zupełnie odmieniona. Miała wrażenie, że w ciągu tych chwil spędzonych w damskiej toalecie dowiedziała się więcej o Sherry niż podczas kilku miesięcy pracy. Trajkotała o tym, że to mama pomogła jej kupić sukienkę, którą miała teraz na sobie, i że cała rodzina miała się spotkać następnego wieczoru, kiedy będą nadawać wręczanie nagród, na wypadek gdyby miała im mignąć Sherry. Nigdy nie przegapili ani jednego odcinka z jej udziałem. Byli z niej tak bardzo dumni.

– Byłam kiedyś kosmetyczką, wiesz? – rzekła Sherry, umiejętnie nakładając cię na powieki Tary. – Mama martwiła się, kiedy to rzuciłam i zapisałam się do szkoły aktorskiej.

– Robisz naprawdę doskonały makijaż – oświadczyła z entuzjazmem Tara, kiedy podziwiała swe zmysłowe oczy, ciemne i wyraziste dzięki przydymionym ceniom.

– Dzięki – odparła radośnie Sherry, zapinając kosmetyczkę ze swymi cudёнkami.

Tara szczerze wolałaby powiedzieć Sherry, że jest także świetną aktorką, ale nie znosiła hipokryzji.

Razem wyszły stawić czoło sali balowej. Było to olbrzymie wysokie pomieszczenie, ozdobione wielkimi pasami fioletowego aksamitu, który współgrał ze złoceniami i fioletowymi krzesłami. Tłoczyli się tu wszelkiego typu pracownicy radiowi i telewizyjni. Aktorzy i prezenterzy ocierali się o scenarzystów i producentów, wszyscy zaś udawali, że fantastycznie się bawią, bo całe to wydarzenie było filmowane i wszyscy powtarzali w kółko to samo: „Już znalezienie się tutaj jest zaszczytem, bycie nominowanym i wygrana nie ma znaczenia”. Co było stekiem bzdur, ponieważ absolutnie wszystkim chodziło o wygraną.

Sama ceremonia miała zająć dziewięćdziesiąt pięć procent czasu antenowego, ale nikt nie chciał, żeby go przyłapano na posyłaniu wrogich spojrzeń rywalom i żeby to jeszcze wyemitowano w telewizji. Albo co gorsza, żeby trafiło do odrzutów nagrań, które zostaną puszczane w obieg, gdy tylko skończy się ta cała impreza. Tak więc cała sala promieniała od uśmiechów.

Nie minęło kilka sekund, a Sherry odłączyła się od Tary, dostrzegłszy ekipę telewizyjną. Lawirowała wśród tłumu, a jej kształtne biodra falowały seksownie, gdy tak szła kołysząc się. Podobno Marilyn Monroe celowo obcinała pół centymetra przy obcasie jednego buta, by jej chód był tak zmysłowy. Wyglądało na to, że Sherry poszła dalej i skróciła obcas o całe dwa centymetry, dzięki czemu jej biodra poruszały się w taki sposób, że Tara pomyślała, iż przechodzący obok biskup uznałby to niewątpliwie za zaproszenie do grzechu.

Przeciskając się pomiędzy stolikami, Tara rzucała na wszystkie strony pozdrowienia, ale nie zatrzymywała się. Pracowała w telewizji od dziewięciu lat i знаła tu mnóstwo ludzi: gdyby się zatrzymała, nigdy nie zdołałaby dotrzeć do stolika w tak bardzo pożądaną lokalizację z przodu.

Mijając stolik *Forsytha i córki*, skinęła głową do dawnego kumpla z pracy, który teraz pisał scenariusz do tej właśnie telenoweli.

– Powodzenia – odezwał się pokrzepiająco Robbie. – Mam nadzieję, że wygrasz.

– Nawzajem – odparła. Naprawdę miała nadzieję, że on wygra. Było to jednak mało prawdopodobne.

Robbie uśmiechnął się blado, Tara zaś udała się dalej, wiedząc, że nie może nic zrobić, by mu poprawić nastrój. *Forsyth i córki* to pięcioletnia telenowela o rodzinie składającej się z kobiet pracujących jako kierowcy ciężarówek i nawet dr Luca Kovac z *Ostrego dyżuru*, mężnie dzierżący elektrody defibrylatora, nie byłby w stanie przywrócić jej do życia. Scenariusz był oklepany, akcja wyeksploatowana i według Tary serial można było już tylko zakończyć. Robbie i jego ekipa nie mieli najmniejszej nawet szansy wygrania czegokolwiek, gdy tymczasem ekipę *National Hospital* uważano za faworytów we wszystkich kategoriach.

Kiedy Tara dotarła do stolika, jakiś głos przez mikrofon poprosił, by wszyscy zajęli swoje miejsca.

*National Hospital*, jak przystało na jedną z najgorętszych obecnie krajowych telenowel, przydzielono podczas ceremonii dwa stoliki i kiedy zabrano z nich puste butelki i talerze, wyglądały na nagie, zaś na białych obrusach widać było plamy po winie. Aktorzy dostali stolik blisko sceny, podczas gdy scenarzyści i ludzie zajmujący się produkcją znajdowali się za nimi.

Przy stoliku aktorów nie było nikogo, ponieważ kiedy tylko posiłek oficjalnie się zakończył, wszyscy popędzili dać się obfotografować i wyrabiać sobie znajomości. Scenarzyści z kolei upierali się, że nie zależy im na nawiązywaniu kontaktów, i siedzieli nad winem, prześcigając się w obrabianiu tyłków konkurencji. Prawda była taka, że nikogo nie interesowało robienie zdjęć scenarzystom, co ich wkurzało. To oni pisali dialogi, to oni tworzyli akcję, na tle której błyszczeli aktorzy, dlatego więc nikt nie wiedział, kim oni są?

– Słyszeliście ten dowcip o laluni, która chciała grać w filmach? – wymamrotał znad kieliszka Tommy, gdy Tara wślizgnęła się na miejsce obok niego. Tommy należał do osób z najdłuższym stażem w ich telenoweli. – Pojechała do Hollywood i przespała się ze scenarzystą.

– Taaa, taaa – odmruknęła grupa, która dobrze znali tego typu dowcipy.

Isadora, która przesunęła się, tak by mieć lepszy widok na scenę, siedziała teraz po drugiej stronie Tary. Była jednym z redaktorów, scenarzystką, która zajmowała się kształtowaniem losów bohaterów i wymyślaniem długoterminowych wątków. Ona i Tara ściśle ze sobą współpracowały i świetnie się dogadywały.

– Ładnie wyglądasz – stwierdziła teraz. – Wyszukowałeś się na przemówienie?

Tara roześmiała się.

– To robota Sherry. Dobra jest, prawda?

– Bardzo. – Isadora była pod wrażeniem. – Czy może zrobić coś i w moim przypadku? Potrzebna mi natychmiastowa pomoc. Przez to czerwone wino moja twarz wygląda jak ser pleśniowy.

– Rozpada się? – zapytał Tommy.

– Nie, przecinają ją żyłki – odparła cierpko Isadora. – Ale i tak moje naczynka nie są nawet w połowie tak widoczne jak twoje, słonko.

– Miau – odparował Tommy.

Światła przygasły i ludzie gorączkowo przepychali się ni swoje miejsca. Głośne rozmowy zmieniły się w szepty, gdy publiczność czekała na rozpoczęcie ceremonii.

Patrząc na monitory ustawione z boku sceny, Tara i Isadora widziały, co rejestrują kamery. Teleobiektywy przeczesywały pomieszczenie, zatrzymując się na najważniejszych tego dnia aktorach i najpiękniejszych kobietach. Te niemal duszę oddały, byle włożyć suknię, o której tego wieczoru będzie najgłośniejsz. Suknie z dekolcami do pępka i z rozcięciami na udach albo z jednym i drugim należały do standardów tego typu imprez. Te bardziej znane gwiazdy nie odkrywały się aż tak bardzo, gdy tymczasem niedoszłe aktorki pragnęły zwracać na siebie uwagę i wyglądało to tak, jakby nie stać ich było na kupno całej sukni.

– W tym roku rządzi skóra – skomentowała Isadora, rozglądając się. – Popatrz na tę kobietę z sobotniego porannego programu dla dzieci. To nie suknia; to bikini ze skóry pytona z prześwietlającą niby-halką.

– Nie rozumiem dlaczego niby-halką – mruknął Tommy. – Dla mnie wygląda jak halka.

– Powinna uważać – kontynuowała Isadora. – Nie pozostanie ulubienicą wykończonych wczesnym wstawaniem mamus i tatusiów, jeśli będzie paradować w takich kusych, seksownych strojach. Od sobotniej porannej telewizyjnej opiekunki do dzieci chcą niebieskich džinsów, powyciąganych swetrów, nastroszonych włosów i ogólnej czystości.

Przez krótką chwilę panowała cisza, po czym z głośników zadudnił muzyczny temat nagród i ceremonia się rozpoczęła. Tarę w końcu dopadły nerwy. To był dla niej bardzo ważny wieczór. Od trzech lat pracowała przy *National Hospital* i w kwietniu awansowała na redaktora. Jako najmłodsza osoba na tym stanowisku, musiała udowodnić, że awans nie był pomyłką. Ale udało jej się. W sporej części dzięki niej oglądalność jeszcze bardziej wzrosła. Krytycy uwielbiali tę telenowelę, firma produkcyjna uwielbiała ją i teraz nadeszła pora, by się przekonać, czy uwielbiają ją także ludzie, którzy przyznawali prestiżową nagrodę Telenoweli Roku. W ciągu ostatnich trzech lat otrzymywali nominacje, ale za każdym razem przegrywali o włos z *Ardmore Grove*, ich głównym konkurentem. Oby dzisiaj nadszedł w końcu wieczór, kiedy nagroda przypadnie *National Hospital*. Tarze ze zdenerwowania zbierało się na mdłości.

Po przeciwnej stronie stołu siedział Aaron, reżyser, razem ze swoją piękną, blondwłosą żoną. Tara pomyślała o Finnie, czekającym w domu na jej telefon. Nie denerwowałaby się aż tak bardzo, gdyby siedział teraz przy niej i trzymał ją za rękę. Ale tylko ludzie rangi Aarona otrzymali podwójne zaproszenie.

Na scenie pokazywano urywki najlepszych filmów animowanych. Tara rzuciła okiem na zegarek. Minęło dwadzieścia minut. Choć ceremonii nie transmitowano na żywo, i tak wszystko powinno przebiegać zgodnie z wcześniejszym harmonogramem. Telenowełe miały pojawić się w pierwszej godzinie, ale czas włókł się niemiłosiernie.

Znajdujący się na scenie irlandzki aktor w sile wieku otwierał powoli fioletową kopertę z wynikami. Przeczytał je na głos i z tyłu sali rozległy się okrzyki radości. Wszyscy przy stolikach *National Hospital* się uśmiechali. Cała sala się uśmiechała. Przecież ich filmowano.

Wręczono kolejne trzy nagrody. Zwycięzcy z powagą dziękowali wszystkim, od swych opiekunek z przedszkola do instruktora pilates. Poruszenie nastąpiło jedynie wtedy, gdy Najlepsza Aktorka, kobieta sporo po czterdziestce, obdarzyła nieco zbyt entuzjastycznym pocałunkiem nastoletniego członka boysbandu, wręczającego jej nagrodę. Publiczność była z zachwytem brawo. Wreszcie ktoś zachowywał się niegrzecznie.

– Jeszcze raz pocałuj go z języczkiem! – zawołał jakiś pijany głos z tyłu sali.

– Oto celny komentarz – uśmiechnęła się szeroko Tara.

– Pojawiły się języki? – zapytała z przejęciem Isadora.

– Nie z jego strony – odparł Aaron. – Ten biedny chłopiec wyglądał na śmiertelnie wystraszonego.

– No bo powinien – zauważył Tommy. – Takich chłopców ona zjada na śniadanie.

– Nie dyskryminuj ludzi starszych – warknęła Isadora, nieco przewrażliwiona na punkcie tego, że sama zbliżała się do czterdziestki. – Nie powinieneś się z niej naśmiewać tylko dlatego, że przekroczyła czterdziestkę. Obcałowywanie się z młodszymi jest czymś jak najbardziej dozwolonym. Sam zresztą też masz już swoje lata, Tommy, i założę się, że nie odmówiłbyś, gdyby cię chciała pocałować jakaś nastoletnia gwiazdka.

– Spokojnie, dzieci – wtrącił ze spokojem Aaron. – Nie kłóćcie się. Musimy wyglądać na szczęśliwych. Kłótnie zostawcie sobie na później, do studia.

Wszyscy jak na komendę uśmiechnęli się promiennie. Atmosfera często robiła się gorąca, kiedy znajdowali się w pracy pod presją.

Po przerwie przekonamy się, kto został Radiowym Prezenterem Roku, kto jest Najlepszym Aktorem i która telenowela otrzyma tytuł zwycięzcy – oświadczył radośnie konferansjer. Tłum posłusznie zaczął bić brawo.

Zapalono światła i konferansjer dodał, że przetrwa potrwa piętnaście minut. Natychmiast w górę pomknęły ręce, przywołujące kelnerów z winem.

Tara sądziła, że ta przerwa nigdy się nie skończy, ale w końcu się doczekała. Osobowość Radiowa Roku, gospodarz nocnego talk show Mac Levine, wygłosił bardzo zabawną mowę.

Isadora ścisnęła dłoń Tary pod stołem, tak by nikt nie zobaczył, jak bardzo są obie zdenerwowane.

– Cudownie, prawda? – zapytała Isadora przez zaciśnięte zęby, prezentując sztuczny uśmiech.

– Cudownie. – Tara równie mocno zacisnęła zęby. – Jak się nie pospieszy, to padnę tutaj trupem.

A potem nadeszła ich kolej.

Efektowna piosenkarka odczytała nominacje do nagrody dla Najlepszej Telenoweli. Kiedy pokazywano urywki poszczególnych seriali, przy ich stoliku nie rozległ się ani jeden dźwięk. Tara zamknęła oczy w bezgłośnym błaganiu, po czym uświadomiła sobie, jak dziwacznie i desperacko może to wyglądać na ekranie, otworzyła więc je ponownie. Pokaz zakończył się i piosenkarka zabrała się za otwieranie koperty. Tara przyglądała się, jak wymanikiurowane szpony w koszmarnie powolny sposób rozrywają papier. Czuła, jak jej serce zwalnia, niczym u pacjenta pogrążonego w stanie śpiączki. Błagam, błagam, wygrajmy.

– Zwycięzcą jest... *National Hospital*.

– Wygraliśmy! – zapiszczeni wszyscy jednym głosem. – Wygraliśmy.

Krzycząc z radości, siedzący przy obu stolikach wstali i zaczęli się ścisnąć. Tara prawie nic nie widziała przez łzy.

– Och, Isadora, wygraliśmy, nie mogę w to uwierzyć – zaszlochała.

– Dalej, Tara, rusz tyłek – oświadczył żwawo Aaron. – Musimy tam iść i odebrać nagrodę.

– Co? Ja? – zapytała zaszokowana Tara.

– Tak, ty i Isadora – odparł. – Nie możemy wszyscy wparować na scenę, ale wy dwie musicie ze mną iść, obie w tym roku tak ciężko pracowałyście.

Isadora wystrzeliła ze swojego miejsca jak strzała, gdy tymczasem Tara podeszła do Aarona, potykając się. Otoczył ją ramieniem w talii.

– To twój rok, Taro.

– No ale co z Tommym i całą resztą...? – zapytała bez tchu Tara, starając się otrzeć łzy z twarzy.

– To twój rok, mała – powtórzył Aaron. – Ciesz się tym. Kiedy Aaron i Tara weszli na scenę, znajdował się tam już cały stół aktorów oraz Isadora i producent.

– Tak bardzo dziękujemy! – zapiszczała Sherry, łokcie złączone, piersi wystawione do kamery. – Dziękujemy, że nas kochacie.

Została dyskretnie odsunięta na bok przez główną aktorkę telenoweli, Allegrę Armstrong, delikatną z pozoru brunetkę.

– Nie macie pojęcia, co ta nagroda znaczy dla nas wszystkich w *National Hospital* – rzekła ciepło Allegra. – Bardzo ciężko na nią pracowaliśmy i chcemy podziękować wszystkim naszym fanom.

Publiczność zaczęła bić brawo. Allegra była gwiazdą, którą uwielbiano, a rola błyskotliwego chirurga zdążyła jej już przynieść wiele nagród.

– Chcielibyśmy także podziękować wspaniałym scenarzystkom, bez których nie byłoby tego serialu – dodał obiekt kobiecych westchnień, Stephen Valli, grający apetycznego doktora McCambridge. Stephen także zdobył już wiele nagród, z których przynajmniej połowa przyznana została najbardziej seksownej gwiazdce telewizyjnej i mężczyźnie, obok którego chciałaby się obudzić większość kobiet. Objął jednym ramieniem Isadorę, drugim zaś Tarę, która oblała się rumieńcem. Wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w widownię, i wlepiające światła sprawiały, że widziała jedynie ciemność, ale wiedziała, że wszyscy przyglądają się całej ekipie i jej. To było dziwne uczucie.

W oszłomieniu usłyszała zapowiedź kolejnej przerwy.

– Gratulacje! – wołali wszyscy, gdy ekipa *National Hospital* schodziła ze sceny.

– Nazywam się Jill McDonnell, jestem z „Sentinela”. Jak to jest należeć do zespołu tworzącego najlepszą telenowelę? – Jakaś kobieta pojawiła się nagle przed Tarą i podetknęła jej pod nos niewielki dyktafon.

Tara zachwiała się w butach na wysokim obcasie i musiała przytrzymać się marynarki Aarona, by zachować równowagę.

– Cudownie – wyrzuciła z siebie, pierwszy raz w życiu niezdolna wymyślić niczego innego.

– Czy mogłabym umówić się z panią na wywiad?

Tara uśmiechnęła się niepewnie. A więc to właśnie była sława.

– Oczywiście – odparła. – Proszę jutro zadzwonić do biura i wtedy się umówimy na jakiś dzień. I

Przy stoliku następowało kolejne ścisnięcie i pojawił się szampan.

– Muszę zadzwonić do Finna – oświadczyła drżącym głosem Tara, czując, jak fale emocji powoli zaczynają odpływać. Trwała jeszcze przerwa, pospiesznie wyszła więc z sali, by znaleźć jakieś ustronne miejsce.

Telefon domowy ponownie nie odpowiadał, zadzwoniła więc na komórkę.

– Jestem w pubie z Derrym i chłopakami! – zawołał Finn. – Nie mogłem siedzieć sam w domu i czekać na jakieś wieści.

– Wygraliśmy! – Tara na przemian śmiała się i płakała.

– Och, kochanie – zawołał uszczęśliwiony Finn. – Gratulacje! Jestem z ciebie taki dumny.

Zaraz miała się rozpocząć ostatnia część ceremonii i Tara pobiegła z powrotem na salę. Wysoki mężczyzna z błyszczącymi oczami i dziką brodą, niczym filmowa wersja proroka ze Starego Testamentu, położył dłoń na jej ramieniu. Tara natychmiast rozpoznała Mike'a Hammonda, megaważnego producenta pochodzącego z Galway, który w Stanach właśnie skończył dla HBO pracę nad serią sztuk Oscara Wilde'a.

Nie miał w zwyczaju pojawiać się na tego typu imprezach; bardziej pasowałby do Oscarów lub nagród Emmy.

– Gratulacje – rzekł z miękkim akcentem z okolic Galway wymieszanym z kalifornijskim. – Jestem Mike Hammond.

– Wiem. Tara Miller. – Wyciągnęła dłoń. Tak jakby ktoś mógł nie wiedzieć, kim on jest.

– Dowiedziałem się pocztą pantoflową, że to ty jesteś jedynym z głównych powodów, dla których *National Hospital* otrzymał nagrodę.

Oczy Tary zrobiły się wielkie niczym spodki. Mike Hammond nie tylko wiedział, kim ona jest, ale także słyszał o niej dobre rzeczy.

– To niezupełnie prawda – odparła. – Pracujemy jako zespół. Stanowię jedynie jego część. Jest wielu współscenarzystów i spora ekipa ludzi od wymyślania nowych wątków. Pisanie scenariusza na taką skalę musi stanowić pracę zespołową, inaczej to wszystko uległoby samozniszczeniu podczas starć różnych ego.

– Na dodatek skromna – stwierdził Mike. – Powinniśmy umówić się kiedyś na lunch. – Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął wizytówkę, na której zapisał swój numer. – To numer mojej komórki. Przez następnych kilka miesięcy będę w Stanach, ale zadzwoń do mnie powiedzmy u marcu. Poplotkujemy sobie, pogadamy o nowych projektach i tym podobnych.

– Dobrze – wyjąkała Tara, biorąc od niego wizytówkę.

– Cześć, Mikey – odezwał się jakiś głos i wysoka, olśniewająca kobieta o ciemnej karnacji gestem właścicielki położyła dłoń na ramieniu odzianym w Armaniego.

– Cześć, Crystal – odparł, odwracając się w jej stronę.

Tara oddaliła się, ledwie mogąc uwierzyć w to, że życie może być aż tak doskonałe. Mike Hammond chciał ją poznać. Serial, dla którego pracowała, właśnie zdobył prestiżową nagrodę. I miała za męża najwspanialszego faceta na świecie. Czegoż można pragnąć więcej?

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Dwadzieścia cztery godziny po tym, jak *National Hospital* otrzymał nagrodę dla Najlepszej Telenoweli, Tara wciąż była w euforii. Bardzo spodobał jej się bukiet z gratulacjami, który rano przysłała jej Holly, przez cały dzień udawała, że pracuje, ale była na to zbyt podekscytowana, a teraz ona i Finn wybierali się na uroczystą kolację do swojej ulubionej restauracji.

– A więc nie masz zamiaru zostać w domu i oglądać się w telewizji? – przekomarzała się Holly.

Na drugim końcu linii jej siostra jęknęła.

– Nie ma mowy! Zamiast tego nagram to i może pewnego dnia zdołam obejrzeć.

– Ja też wychodzę, ale nagrywam ceremonię – rzekła Holly – tak bym w przyszłości mogła zmuszać wszystkich do oglądania i podziwiania mojej wspaniałej siostry, której *National Hospital* zawdzięcza otrzymanie tej nagrody.

Kiedy zakończyły rozmowę, Tara nadal się śmiała.

Holly, która miała już mało czasu, popędziła z powrotem do swego pokoju, by pomalować paznokcie, następnie przysiadła na skraju łóżka, machając palcami, tak by połyskujący liliowy lakier szybciej wysechł. Czekало ją jeszcze wsunięcie morderczych dla stóp kozaczek, które kupiła, bo pasowały do nowych czarnych spodni, choć nie była pewna, czy będzie w stanie się schylić i je zapiąć. Gorset Dolce & Gabbana, pożyczony na jej odpowiedzialność przez Gabriellę

z działu zagranicznej mody, można było eufemistycznie nazwać „przypadkiem” dopasowanym. Oddychanie było trudne, skłon mógłby się okazać niemożliwy.

Został zwrócony, gdyż był za duży na jedną z naszych najlepszych klientek i znajdzie się na wyprzedazy w styczniu, ale cokolwiek będziesz robić, Holly, nie możesz się spocić! – ostrzegła ją wczoraj Gabriella. – I nie pal!

– Nie będzie – obiecała Bunny, przyjaciółka Holly i koleżanka z działu dziecięcego. To właśnie jej udało się załatwić u ołsniewającej Gabrielli pożyczanie tego gorsetu. Chłopięca i zadziorna, z krótko ostrzyżonymi jasnymi włosami i umiejętnością noszenia ciuchów w taki sposób, że uniform składający się z białej koszuli i czarnych spodni na niej wyglądał jak na modelkach z wybiegu, Bunny była idolką Holly. Pomyślała, że gdyby nie wstawiennictwo przyjaciółki, Gabriella za żadne skarby nie pożyczylaby jej tego gorsetu.

Zarówno Bunny, jak i Holly trzymały kciuki za bezpieczeństwo tej części garderoby: dziwne rzeczy przydarzały się Holly z regularną częstotliwością, dziwne i niewytłumaczalne, niszczące jej ubrania. Kawa w niezwykle sposób wyczołgiwała się z kubków i rzucała na nią; pijacy z narażeniem życia przechodzili przez ulicę, by iść chwiejnym krokiem obok niej; najzupełniej zwyczajne kawałki chodnika podskakiwały, aby podciąć jej nogi. Dlatego też jak najbardziej możliwy był jakiś niezwykle wypadek, który sprawi, iż pożyczony strój skurczy się/zostanie obłany wybielaczem/zostanie w inny sposób oszpecony pod wpływem tajemniczych sił Trójkąta Bermudzkiego, który otaczał Holly. Gabriella nie musiała jednak wiedzieć tego wszystkiego.

– Wiem, że to czterdziestka, a ty nosisz czterdzieści dwa, ale gorsety lepiej wyglądają, gdy są ciaśniejsze. A ten leży na tobie idealnie – westchnęła Bunny wcześniej tego dnia, kiedy Holly wcisnęła się w niego w przymierzalni w sklepie towarowym Lee's, gdzie wszystkie pracowały.

Obie wpatrywały się w lustro. Wspaniale skrojony gorset wyszczuplił talię Holly, nadając jej figurze kształt klepsydry, którego nie miała w prawdziwym życiu bez D&G. Bunny szybkim ruchem ściągnęła Holly gumkę, tak że proste kasztanowe włosy rozsypały się na ramiona.

– Proszę bardzo – obwieściła, zachwycona efektem swych starań. – Wyglądasz niesamowicie. Dzięki tym kozakom twoje nogi wydają się takie długie. Jeszcze tylko mój naszyjnik i będziesz wyglądać idealnie.

– Myślisz, że wyglądam grubo? – zapytała z niepokojem Holly. Nie powiedziałyby tego, gdyby Gabriella znajdowała się w pobliżu. Gabriella przypominała bardzo piękną gałązkę na jeszcze bardziej patykowatych nogach i komórki tłuszczowe w ogóle nie odważyłyby się jej dotknąć.

– Grubo? Nie bądź niemądra. – Bunny potrząsnęła energicznie głową. – Wyglądasz wspaniale, Holly. Będą się tobą zachwycać przez cały wieczór.

– Powinien istnieć oficjalny zakaz zjazdów klasowych – mruknęła pod nosem Holly, sprawdzając, czy lakier już wysechł.

Denerwowała się, odkąd Donna zadzwoniła do niej z ekscytującymi wieściami o zjeździe ich klasy z okazji dziesiątej rocznicy ukończenia Cardinal School w Kinvarrze. W przypadku kobiety z poczuciem pewności siebie tak niskim, że mogłoby odtańczyć limbo pod tyczką zawieszoną na wysokości pięciu centymetrów, perspektywa spotkania się z dziewczętami, z którymi uczęszczało się do szkoły, wydawała się koszmarem.

Dawne koleżanki będą chciały wiedzieć, co ekscytującego porabiała Holly i z jakimiż to fantastycznymi facetami się umawiała. „Eee, nic” i „z żadnym” nie stanowiłyby właściwych odpowiedzi. Plus był taki, że przynajmniej schudła od czasów szkoły, ale nigdy nie będzie kobietą, którą można by nazwać chudą. I jaki sens być szczuplejszą, skoro nic z tego nie ma?

Donna, jej najlepsza przyjaciółka z czasów szkolnych, była zachwycona pomysłem zjazdu i z podekscytowaniem nawijała, jak cudownie będzie spotkać się ze wszystkimi.

– Tylko pomyśl, po tylu latach nasza klasa znowu razem. Nie, umiem wyobrazić sobie niektórych dziewczyn jako dwudziestoosmiolatek: w mojej świadomości nadal mają siedemnaście. Nie Lilii i Caroline, rzecz jasna – dodała. – Spotykam je każdego dnia pod bramą szkoły, kiedy odprowadzam Emily, i obie nic się nie zmieniły, wierz mi. Ale jest tyle dziewczyn,

z którymi nie mam pojęcia, co się dzieje. Wiele mieszka w Dublinie albo za granicą... Cudownie będzie ponownie się wszystkimi spotkać, prawda?

– Tak – odparła słabo Holly.

– Słyszałam, że Michelle Martin także się zjawi i trzeba przyznać, że organizatorkom udało się dokonać nie lada wyczynu. Kto by pomyślał, że jedna z naszych dziewczyn zostanie wielką gwiazdą telewizyjną.

– Donna, ona jest reporterką w wiadomościach, a nie Britney Spears – zauważyła Holly, przewyciężając zdenerwowanie w celu właściwego postawienia sprawy. Michelle była w szkole po prostu koszmarna: głośna, zadufana w sobie i pełna determinacji, by wciągać w to nieśmiałe dziewczyny (takie jak Holly i Donna). Każdy, kto się z nią nie zgadzał (ponownie Holly i Donna), stawał się obiektem pogardliwych spojrzeń, sugerujących, że nawet ameby są fajniejsze. – O ile dobrze pamiętam, to chowałyśmy się kiedyś przed nią.

– Nieprawda. – Głos Donny miał radosne brzmienie. – Och, będzie tak fajnie. Zjawisz się, prawda, Holly? Rozumiem, że jesteś szalenie zajęta i pewnie czekają na ciebie miliony niesamowitych przyjęć bożonarodzeniowych, ale będzie naprawdę fantastycznie. Do grudnia zostały jeszcze dwa miesiące, a i tak powiedziałam już Markowi, że będzie musiał zająć się dzieckiem, ponieważ zostanę w Dublinie na noc. O to właśnie chodzi z organizowaniem tego w hotelu, żeby nie trzeba było przejmować się wzywaniem taksówek i powrotem do domu.

Donna nadal mieszkała w Kinvarrze, ale wiele dziewczyn z dawnej klasy przeprowadziło się do Dublina i dlatego właśnie jeden z tamtejszych hoteli wybrano na miejsce imprezy. Donna była z tego powodu podwójnie zadowolona. Po pierwsze, nie będzie się musiała obawiać konsekwencji imprezowych szaleństw podczas zjazdu w rodzinnym miasteczku, gdzie plotki rozchodziły się lotem błyskawicy. Po drugie, wprost uwielbiała jeździć do Dublina, a ta wyprawa oznaczać będzie także błogie zakupy następnego dnia, bez ciągnięcia ze sobą wózka.

– Jedyne problem to w co się ubrać – zastanawiała się na głos Donna, po czym wymieniła listę możliwych strojów i przyczyny, dla których nie są odpowiednie: ponieważ są stare/niemodne/za ciasne w biodrach. – Ty oczywiście nie będziesz miała tego problemu, Holly. Kiedy człowiek wychodzi co wieczór, jak ty, dokładnie wie, w co się ubrać. Ostatnimi czasy Mark i ja nie wychodzimy dalej niż do restauracji Mariaż, a tam można zjawić się w bluzie poplamionej wymiocinami dziecka i nikt nawet okiem nie mrugnie.

Po kilku kolejnych minutach synek Donny, Jack, zaczął głośno płakać i musiała się pożegnać.

Holly powoli odłożyła słuchawkę i uśmiechnęła się z żalem, myśląc o tym, że prowadzi szalone życie, chodzi na setki prestiżowych imprez i ma w szafie ciuchy na dosłownie każdą okazję. Kochana Donna, cóż ona mogła wiedzieć. Uważała, że każdy, kto wyrwał się ze szponów Kinvarry, automatycznie wkraczał w swego rodzaju hollywoodzką strefę cienia, gdzie życie jest dziko ekscytujące, gzyms kominka zawalony zaproszeniami i nieustannie wydzwaniają olśniewający mężczyźni, żądając odpowiedzi na pytanie, dlaczego nie chce z nimi pojechać do Rio.

Holly zarzuciła próby wyjaśniania, że wykonywanie zawodu sprzedawczyni w dziale dziecięcym w Lee's pozbawione jest splendoru i tak naprawdę polega na spędzaniu mnóstwa czasu w magazynie i na cierpliwym składaniu T-shirtów dla czterolatków. Mężczyzna mógłby się na nią rzucić tylko wtedy, gdyby spadł ze schodów autobusu linii 15A, podczas gdy ona wchodziła na górę. Prawdę powiedziawszy, coś takiego się wydarzyło, tyle że rzeczony mężczyzna okazał się straszliwie zażenowanym nastolatkiem, który praktycznie uciekł zawstydzony. Na ciele Holly przez kilka tygodni widniały siniaki.

A jeśli chodzi o wychodzenie, to była zdecydowanie zbyt spokojna, by zasługiwać na włączenie do imprezowej ekipy Lee's. Imprezy generalnie napawały ją przerażeniem. Dręczyła ją obsesja na punkcie tego, w co powinna się ubrać, i wszelkie rozterki odzieżowe nieuchronnie kończyły się czernią ze względu na jej wyszczuplające właściwości, a jeszcze bardziej nieuchronnie kończyły się w kuchni z powodu paraliżującej nieśmiałości, która dopadała ją

podczas spotkań towarzyskich. Dla Holly idealnym wyjściem była wycieczka do pubu razem z Kennym i Joan, zajmującymi mieszkanie naprzeciwko.

Kiedyś tłumaczyła to Donnie, ale ona nie dała się przekonać.

– Próbujesz jedynie podnieść mnie na duchu – upierała się wtedy. – Nawet nie zaprzeczaj. Ekscytujące rzeczy dzieją się w dużych miastach, a nie w tej dziurze. Na miłość boską, w Kinvarrze prawie że ogłoszono stan wyjątkowy, kiedy w kafejce Melanie's skończyło się ciasto z karmelem.

– Kinvarra to urocze miejsce – zaprotestowała Holly.

– Skoro jest takie urocze, to dlaczego wyjechałaś? – zapytała ostro Donna, zamiast przyznać, że nie da się porównywać tej jaskini rozpusty, jaką jest wielkie miasto, i małego, ładnego miasteczka, położonego niespełna sto kilometrów dalej.

– Ach, no wiesz, chciałam po prostu trochę pojeździć – odparła Holly.

Zapisała w terminarzu datę zjazdu i rozpoczęła plan zamartwiania się. Był on podobny do planu działania, tyle że w rzeczywistości nie było w nim żadnego działania, jedynie rozważania w stylu, jak mogłabym się z tego wykręcić?" w samym środku nocy. Zastanawiała się także, jak to się stało, że Donna nabrała takiej pewności siebie, iż nie może się doczekać klasowego zjazdu. Małżeństwo i macierzyństwo muszą stanowić potężne połączenie, uznała Holly. Dlaczego nikt nie sprzedawał tego w tabletkach? Koncerny farmaceutyczne są naprawdę do kitu.

W szkole ją i Donnę przyciągnęła do siebie obopólna cichość. Nigdy nie należały do zuchwałej, aczkolwiek popularnej bandy dziewczyn, które stawiały się nauczycielom, wiedziały, jak skręcać jointy, i chodziły na szalone imprezy z szalonymi chłopakami. Holly oniemiałaby, gdyby przyszło jej się zmierzyć z szalonym chłopakiem albo jointem. Dla niej i Donny szkolne lata to anonimowość grzecznych dziewczyn i Holly gotowa się była założyć o tygodniowe zarobki, że połowa koleżanek ze szkoły nie pamięta teraz żadnej z nich. Chyba że jako chudą dziewczynę w wielkich okularach (Donna) oraz puszystą i nieśmiałą najmłodszą siostrę tria Miller. Tak naprawdę miała ochotę spotkać się z tymi innymi anonimowymi dziewczynami, ale one najpewniej wcale się nie pojawią. Holly próbowała je sobie przypomnieć: Brona, która przez cały czas przesiadywała w bibliotece, i Roberta, nieuleczalnie nieśmiała dziewczyna, która zawsze coś rysowała w szkicowniku i nigdy nie spojrzała nikomu prosto w oczy.

W miarę jak zbliżał się termin zjazdu, Holly rozważała wymyślenie jakiegoś wcześniejszego zobowiązania i wykręcenia się z tego, ale wtedy dowiedziała się o nim jej matka (Kinvarra wyraźnie pozostawała siedliskiem plotek, gdzie nie dał się ukryć najmniejszy nawet strzęp informacji) i zadzwoniła, by się upewnić, że Holly się na zjazd wybiera.

Kochanie, będzie cudownie – zapewniła ją. – Wciąż pamiętam zjazd Stelli z okazji dziesięciolecia ukończenia szkoły. – W głosie jej matki słychać było nostalgię. – Bardzo jej się podobało. I pomyśleć, że powoli zbliża się dwudziestolecie. Czas płynie jak szalony. Wybierasz się tam z Donną?

– Oczywiście – odparła automatycznie Holly.

Mało sensu miało tłumaczenie różnicy pomiędzy uczestnictwem w zjeździe osoby, która była w szkole tak uwielbiana jak Stella, a osoby, której nikt nie pamięta. Ani nawet nie ma ochoty pamiętać.

– W co się ubierasz? – zapytała Rose z nutką niepokoju, jakby podejrzewała, że Holly ma zamiar pojawić się na imprezie w jakiejś szalonej kreacji.

– Joan mi szyje minisukienkę z lycry i skóry – odparła Holly, nie mogąc się oprzeć pokusie. Joan była studentką mody z naprzeciwka, a szyk pojmowała jako porozdzierane ubrania ozdobione graffiti z błędami ortograficznymi. Jej matka ją lubiła, ale nie była zachwycona kolczykiem w jej brwi. – Żartuję – dodała pospiesznie Holly. – Pewnie coś z Lee's. – Skrzyżowała palce. Jak zwykle była bez grosza.

– Och, to dobrze – odparła z ulgą Rose. Sklep Lee's słynął z pięknych i kosztownych ubrań.

– Jesteś straszną snobką, mamó – drażniła się Holly.

– Wcale nie. Chcę tylko, byś wyglądała jak najlepiej.

Holly uśmiechnęła się cierpko. No to jest nas więcej, pomyślała.

Zanim nadszedł dzień zjazdu, w jej nerwowe rozterki zaangażowały się Tara, Stella, Bunny, Joan i Kenny.

– Spodoba ci się, jestem tego pewna – oświadczyła z przekonaniem Stella. – Ja się świetnie bawiłam na swoim zjeździe, choć wiem, że na początku można się czuć nieco dziwnie, ponieważ wszyscy wyglądają inaczej i nie ma już tej zażyłości, która wcześniej was łączyła.

Kochana Stella, pomyślała z uczuciem Holly. Dla niej szkoła nie była miejscem, z którego miała ochotę uciec.

– I naprawdę rozumiem, że lata szkolne to był trudny okres, kiedy zamartwiałaś się swoją figurą, Holls, ale teraz jesteś taka zachwycająca, i to wszystko to już tylko przeszłość.

W taki oto pokrzepiający sposób Stella chciała siostrze powiedzieć, że przestała być nieśmiałą dziewczyną z nadwagą, która nie pisnęła do nikogo ani słówka, na wypadek gdyby ten ktoś miał jej odpowiedzieć, by przeszła na dietę.

– Włożę strój zawodnika sumo – odparła Holly. – A potem zerwę go z siebie i wszyscy przeżyją szok, gdy zobaczą, że nie ważę sto dwadzieścia kilo.

Stella śmiała się z tego.

Tara była równie serdeczna, kiedy zadzwoniła, aczkolwiek bardziej bezpośrednia.

– Pomyśl o tym, jaką będziesz miała frajdę, kiedy pojawisz się, wyglądając absolutnie bosko. Ty i ja zdecydowanie wyładniałyśmy od czasów szkoły. Na moim zjeździe wszyscy byli zdumieni, kiedy zobaczyli, że tak dobrze wyglądam. Idź na całość, Holly. Niech im pospadają majtki. Niech będą zazdrosne. Jestem pewna, że masz w domu mnóstwo wystrzałowych ciuchów, no i przecież masz w sklepie zniżkę dla pracowników, prawda?

To była prawda, ale Holly nie korzystała z dziesięcioprocentowej zniżki, by kupować wyjściowe ubrania. Jaki to miało sens, jeśli chodzi się tylko do pubów? Tara sądziła, że jej młodsza siostra prowadzi równie intensywne życie towarzyskie jak ona. A ona bez przerwy chodziła na imprezy i efekciarskie przyjęcia dla świata mediów. To stanowiło część jej pracy. Ale choć Holly potrafiła sobie dowcipkować równie niefrasobliwie jak siostra, to tylko w towarzystwie bliskich przyjaciół i rodziny. W innym gronie traciła rezon i zamykała się w sobie.

Wielkoduszna Joan rzeczywiście zaoferowała się, że zaprojektuje strój dla Holly.

– Widzę dla ciebie image na miarę ery kosmicznej, na wpeł edwardiańskie zniewolenie; to komentarz dotyczący historii szkoły – oświadczyła Joan, szkicując na starej kopercie. Ktoś dał jej płytę z reżyserskimi cięciami *Lowcy Androidów* i nieco dała się ponieść wizjom przyszłości.

– Era kosmiczna, na wpeł edwardiańskie zniewolenie! – jęknął Kenny, który mieszkał z Joan, choć nie jako para, o czym oboje bezustannie wszystkich informowali. Kenny był gejem, pracował w designerskim butik dla mężczyzn, *Vogue'a* czytał do poduszki i pragnął, by Joan porzuciła awangardę i oddawała cześć przed ołtarzem Toma Forda, największego idola Kenny'ego. Byli idealnie dobranymi współlokatorami, ponieważ potrafili bez końca debatować o modzie, no i wspólnie mogli sobie pozwolić na ładne mieszkanie z balkonem, na które nie byłoby stać żadnego z nich w pojedynkę. – Holly chce, by wszystkie koleżanki z klasy zzieleniały z zazdrości – upierał się Kenny. – A nie żeby się z niej śmiały. Takie rzeczy mogą nosić czternastoletnie modelki z Europy Wschodniej, które ważą czterdzieści kilo i kości policzkowe mają ostre jak sztylety, ale na każdym innym wyglądałyby idiotycznie. Holly pragnie czegoś... – Kenny uczynił dramatyczną pauzę – bajecznego. I rujnującego kartę kredytową.

Bunny, praktyczna jak zawsze, wymyśliła odpowiednio bajeczny strój, w ogóle niewymagający wyjmowania z portfela karty kredytowej. Holly nie wiedziała, jak jej dziękować. Wystrojona w pożyczony gorset – obiecała wcześniej Bunny, że nie popsuje efektu mówieniem komukolwiek, że tak naprawdę nie należy do niej – pomimo potęgi swojej samokrytyki musiała przyznać, że wygląda dobrze. Cóż, znośnie. Jako tako. Musiała teraz tylko niczego na siebie nie wylać.

Zadowolona z tego, że wyschły jej już paznokcie, Holly wstała i wzięła głęboki oddech, po czym spróbowała się pochylić i włożyć kozaczki. Minęły całe wieki, nim wreszcie zapięła obydwa i wyprostowała się, walcząc o tlen niczym poławiacz pereł.

Stała przed lustrem, po raz ostatni przeczesła szczotką włosy, po czym wzięła torebkę. Zabiłaby za papierosa, ale Gabriella wściekłaby się, gdyby gorset wrócił przesiąknięty dymem z marlboro light, wypaliła więc ostatniego, zanim się ubrała. Nie miała pojęcia, jak jej się uda wytrzymać cały wieczór bez fajek, ale jakoś będzie musiała. Nie była to zbyt wygórowana cena. Holly ponownie wypróbowała przed lustrem spojrzenie w stylu „twarde, ale seksowne”. Wypróbowała nawet spojrzenie spod rzęs w stylu Lauren Bacall (uwielbiała Lauren), ale posępnie uznała, że efekt bardziej przypominał Bogiego niż Bacall. Czas się zbierać. Umówiła się wcześniej z Donną, że wyjdzie po nią do pociągu, zabierze na drinka, a potem pojedą do hotelu, gdzie Donna zdąży się zameldować i przebrać. Nie wspomniała jej natomiast o tym, że dzięki temu planowi modnie się spóźnią na zjazd. To był pomysł Bunny.

– Zróbcie efektowne wejście – poradziła. – Nie chcecie przecież snuć się bez celu i czekać, aż impreza się rozkręci. Spóźnijcie się dwadzieścia minut, a sprawicie wrażenie zbyt zajętych, by zdążyć.

\*\*\*

Caroline i Lili zawiązały przytulnym kątem przy hotelowym barze, zaznaczając teren torebkami i zakietami i stojącą przed każdą z nich podwójną wódką ledwie rozcieńczoną dietetyczną colą. To dla kurazu. Zjazd odbywał się w wydzielonej części hotelowej restauracji, ale komitetowi nie udało się załatwić części baru na wyłączność, więc Caroline i Lili zjawiły się wcześniej, by zająć dobre miejsca dla swej paczki. Nawet dziesięć lat po opuszczeniu murów szkoły Cardinal nadal myślały o koleżankach z klasy jako o „swojej paczce”. Oczywiście ich życie bardzo się od tamtego czasu zmieniło. Caroline była matką trójki małych dzieci i filarem Kółka Dramatycznego Kinvarry. Lili miała dwie małe dziewczynki i pracowała na pół etatu. Sasha, kolejna członkini paczki, pracowała jako zastępca kierownika w miejscowej wypożyczalni wideo. Dwie inne dziewczyny, w tym gwiazda telewizji Michelle, wyprowadziły się z Kinvarry i rzadko bywały domu, dlatego właśnie dzisiejszy wieczór zapowiadał się tak ekscytująco: będzie się można przekonać, jak sobie w życiu poradzili inni. Lili i Caroline wiedziały, że w zjazdach nie chodzi tak naprawdę o spotkanie się z dawnymi przyjaciółmi, lecz o zaznajomienie się z sukcesami i porażkami rówieśników.

Lili zerknęła na swoją listę.

– Dwadzieścia pięć potwierdzeń, trzy odmowy, brak odpowiedzi od dwóch osób. To całkiem niezły wynik – stwierdziła.

– Zastanawiam się czy Michelle miała jakąś operację – powiedziała Caroline, po czym przyssała się do drinka.

– Z całą pewnością nie – odparła ze znanstwem Lili. – Michelle zawsze była ładna. Ma teraz odpowiednio wydepilowane brwi i tyle. Osobiście nie wierzę w chirurgię plastyczną.

– Ja oczywiście też nie – zgodziła się Caroline, która miała dalekosiężny plan liftingu powiek, zanim zaczną jej opadać tak jak młodszej siostrze.

– Nie powinno się ingerować w naturę – kontynuowała Lili, trzymając kieliszek palcami zakończonymi twardymi jak skała paznokciami z akrylu. – To się nie liczy – dodała pośpiesznie, kiedy dostrzegła spojrzenie Caroline na swych tipsach. – Przy małych dzieciach posiadanie przyzwyczajonych paznokci jest niemożliwe.

Do baru weszła kobieta, rozglądając się nerwowo i ściskając małą torebkę. Była niska i chuda, jej strój nie należał do najmodniejszych, zaś ciemne, niewystylizowane włosy opadały bezwładnie na ramiona. Caroline i Lili zmierzyły ją uważnym spojrzeniem.

– Brona Reilly – wyszeptła Lili do ucha przyjaciółki. – Ani trochę się nie zmieniła.

– Można by sądzić, że dzisiaj choć trochę się wysili – odszepnęła Caroline.

Ona i Lili postawiły wszystko na jedną kartę i jakiś czas temu odbyły wycieczkę do miasta, by się uważnie przyjrzeć szaleniu drogim, modnym kreacjom, które mogłyby skopiować. Obie były u fryzjera i specjalnie na ten wieczór dały sobie zrobić makijaż, zaś Caroline, choć nie powiedziała o tym Lili, udała się nawet do najwytworniejszego salonu piękności w Kinvarrze na zabieg wyszczuplający z wodorostów, by zgubić kilka centymetrów. Jej gorsetowa sukienka okazała się niezwykle bezlitosna dla talii.

Udawały, że nie dostrzegły Brony, i patrzyły, jak ich dawna koleżanka podchodzi z wahaniem do baru i zamawia coś do picia. Zjazd może i polegał na spotkaniu się z ludźmi, ale to musieli być właściwi ludzie.

Brona należała do osób, które dziewczyny z paczki Michelle ignorowały. Donnę także, a teraz była ich przyjaciółką. Ale to inna sprawa.

Lekkie wyrzuty sumienia z powodu tego, jak kiedyś traktowały Donnę, zniknęły, ponieważ sama Donna zdawała się tego nie pamiętać. Kiedy ona, Caroline i Lili spotkały się przypadkowo przed trzema laty przy szkolnej bramie podczas pierwszego dnia w szkole ich dzieci, w ogóle nie było mowy o niezręczności.

– Tylko sobie wyobraźcie, trzy dziewczynki w tym samym wieku – westchnęła wtedy Donna. – Mogą chodzić do szkoły i się przyjaźnić, tak jak kiedyś my.

Caroline, którą cechowała większa przenikliwość niż Lili, zarumieniła się na te słowa, przypominając sobie, jak te bardziej popularne dziewczyny ignorowały szkolne szare myszki pokroju Donny, chyba że chciały od nich spisać pracę domową. Teraz, kiedy Caroline sama była matką, rozerwałaby na strzępy każde dziecko, które śmiałoby ignorować jej ukochaną Kylie. Ale Donny wyraźnie nie dręczyły złe wspomnienia związane ze szkołą albo z nimi. Wszystko na szczęście poszło w niepamięć.

– Masz ochotę wstąpić do mnie na kawę, kiedy już zostawimy dziewczynki? – zapytała tamtego dnia Caroline, pragnąc jej to wynagrodzić.

– Bardzo chętnie – uśmiechnęła się Donna.

I taki był właśnie początek ich przyjaźni. Ale pomimo trzech lat starań, Donna nigdy nie zdołała ponownie przedstawić ich Holly.

Zarówno Lili, jak i Caroline nie mogły się doczekać, by zobaczyć, jak teraz wygląda Holly. Jej siostra była sławna i pragnęły się przekonać, czy choć część blichtru Tary Miller przeniosła się i na nią. Tara od czasu do czasu pojawiała się w gazetach i sfotografowano ją na wielu głośnych premierach. Wskutek tego Holly była znacznie bardziej interesująca niż w czasach, gdy należała do szarych myszek. Odbita sława była lepsza niż żadna.

Donna im powiedziała, że Holly mieszka w fantastycznym mieszkaniu w Dublinie, ma świetną pracę w Lee's i imprezuje jak szalona. Stwierdziła także, że bosko wygląda. Caroline i Lili, pamiętające pulchną, nieśmiałą dziewczynę z okrągłą poważną twarzą, miały ochotę zobaczyć to na własne oczy.

\*\*\*

Donna była cała rozgorączkowana, kiedy wraz z Holly pięć po ósmej zatrzymały się przed hotelem.

– Jesteśmy strasznie spóźnione! – pisnęła, gramoląc się z taksówki i wciskając w dłoń Holly banknot dziesięciofuntowy. – To moja część. Muszę się zameldować. Miałyśmy być tutaj o wpół do ósmej, kolacja rozpoczęła się pięć minut temu, a ja muszę się jeszcze przebrać... – Wbiegła po schodach i wpadła do hotelowego lobby.

– I po co ten pośpiech? – odezwał się przyjacielsko taksówkarz, gdy Holly mu płaciła. – Kiedy Bóg stworzył czas, to od razu całe mnóstwo. No i zbliża się Boże Narodzenie i żadna impreza nie rozpoczyna się punktualnie. Pewnie będziecie mieć szczęście, jeśli dostaniecie kolację przed dziesiątą, a co tu dopiero mówić o ósmej.

Holly uśmiechnęła się do niego.

– Święte słowa.

Plan Bunny dotyczący spóźnienia, okazał się dobry. Kiedy Holly odebrała Donnę z dworca i zabrała ją na powitalnego drinka, zapewniła ją, że pojedą na imprezę taksówką i że zajmie to pięć minut. Przedsięwzięty ruch, zacinający deszcz i gorączkowe wieczorne zakupy zwiększyły ten czas do czterdziestu pięciu minut.

– Wielkie dzięki – rzuciła Holly, po czym wysiadła z taksówki i zatrzasnęła za sobą drzwi. Zrobiła krok do przodu i uświadomiła sobie, że przytrzasnęła sobie szalik. Kierowca zaczął powoli odjeżdżać. – Stop! – zawołała w panice. Zahamował. Jej szalik naturalnie w jakiś sposób dostał się do mechanizmu zamykającego drzwi i aby go wyciągnąć, musiała przez pięć minut

gorączkowo szarpać. – Jeszcze raz dzięki – rzuciła słabym głosem, trzymając postrzępione końce szalika i mając nadzieję, że da się je obciąć. Przynajmniej nie był to gorset.

W hotelu Donna zdążyła się już zameldować i właśnie miała biec na górę, by wciągnąć na siebie sukienkę na imprezę, kiedy pojawiła się Holly.

– Chodź! – zawołała do niej.

Podczas gdy histeria Donny narastała w trakcie wciągania rajstop i posypywania połyskującym pudrem sukienki zamiast ramion, Holly siedziała na krześle przy oknie i patrzyła na mokre ulice, zastanawiając się, po co w ogóle tu przyjechała.

– Chodźmy.

Donna była gotowa, choć od gorączkowego pośpiechu nadal miała zadyszkę.

Holly wstała, a zarówno gorset, jak i jej nowe kozaczki zatrzeszczały złowroźnie.

Odrzuciła do tyłu włosy i wzięła oddech na tyle głęboki, na ile pozwolił przyklejony do jej ciała designerski gorset wart kilkaset funtów.

– Jestem gotowa – rzekła.

– Fantastyczny strój – mruknęła Donna, kiedy schodziły na dół. – Nie znoszę tej starej sukienki. Ty wyglądasz świetnie, a ja tak, jakbym przez cały dzień doiła krowy i przerwała dziesięć minut temu, by się przebrać.

– Nie macie krów – zauważyła Holly. Uśmiechnęła się, słysząc tę zwariowaną logikę. – I wyglądasz super.

– Wiesz, o co mi chodzi. Ty masz w sobie ten wielkowiejski szyk, a ja wyglądam jak kmiotek ze wsi.

– Wcale nie. Poza tym ten gorset jest pożyczony – wyznała Holly, łamiąc obietnicę daną Bunny. – Tak bardzo się bałam, że będę wyglądać okropnie i reszta uzna, że nic się nie zmieniłam i nadal jestem nudną i grubą Holly Miller.

– Ale przecież jesteś piękna – odparła ze zdumieniem Donna. – Już od lat świetnie wyglądasz. Masz w końcu fantastyczne życie i w ogóle, no nie? Czemu miałabyś się bać?

– Naćpałaś się czegoś? – zapytała ostro Holly, zdumiona tym, w jak kompletnie niewłaściwy sposób przyjaciółka postrzega jej życie. – Nie mam fantastycznego życia, pracuję w sklepie, wynajmuję mieszkanie, na które nie byłoby mnie stać, gdybym nie brała nadgodzin, nie zdołałabym zapłacić rachunku za prąd, a moja ostatnia randka okazała się katastrofą.

– Skąd mam wiedzieć, jeśli mi o tym nie mówisz? – zapytała z rozdrażnieniem Donna.

– Ciągle ci mówię, ale ty jesteś przekonana, że kłamię. Uważasz, że mieszkanie poza Kinvarrą jest niczym magiczny pył, który zupełnie odmienia życie. Wcale tak nie jest.

Donna zatrzymała się.

– No dobrze. W każdym razie nie będziemy o tym wspominać. Powiedziałam dziewczynom, że doskonale sobie radzisz i że faceci się o ciebie zabijają.

Holly wybałuszyła oczy.

– Co takiego?

– Myślałam, że świetnie się bawisz. Nieważne, zapomnij o tym, nic na ten temat nie powiemy. Z Caroline i Lilią fajnie się spędza czas, wiesz przecież – dodała.

– Nie wiem. – Kiedy już zaczęła, Holly była gotowa wyrzucić z siebie wszystkie lęki i obawy. – Nigdy nie rozmawiałam z nimi w szkole, patrzyły na nas z góry, bo byłyśmy spokojne.

– W szkole to my same byłyśmy swoimi najgorszymi wrogami, Holly – oświadczyła stanowczo Donna. – Powinnyśmy się były bardziej udzielać. Dlatego właśnie koleguję się teraz z Caroline i Lilią. Nie chcę, by Emily, dorastając, była tak cicha i myszowata jak my. Bawi się z dziewczynkami Caroline i Lilią i kiedy będą starsze, to się nią zaopiekują. Nikt nie będzie nazywał mojej córki okularnicą.

A więc Donna jednak pamiętała. Holly wpatrywała się w przyjaciółkę.

– A ja przez cały czas byłam przekonana, że cierpisz na syndrom wybiórczej pamięci.

Donna uśmiechnęła się szeroko.

– Nie, ja jedynie przerobiłam się na kogoś nowego. Jak Madonna. Nadrabiam stracony czas. Chodźmy.

Caroline i Lili dopiły już trzeci podwójny drink. Bar rozbrzmiewał gwarem i plotkowały jak szalone, ale nadal nie było ani śladu Michelle.

– Głupia suka – warknęła ze złością Lili. – Zawsze mówiłam, że nie można na niej polegać. No i gdzie się podziewa ta Donna?

– Już jest – pisnęła Caroline. – I, o mój Boże, kim jest ta dziewczyna z nią?

Przyglądały się ze zdumieniem Donnie, zdyszanej jak zawsze, w towarzystwie tej wysokiej, ponętnie olśniewającej kobiety, ubranej w coś, co podejrzanie wyglądało jak oryginalna wersja gorsetu Caroline. Ciemne włosy tej piękności pływały na ramiona, tak błyszczące, jakby kilku stylistów fryzur pracowało nad nimi przez wiele godzin.

Ona z całą pewnością nie potrzebowała zabiegu wyszczuplającego na bazie wodorostów, by wcisnąć swe ciało u gorset; niczym u młodej Sophii Loren, jej figura tworzyła naturalną klepsydrę z talią osy, jak nic węższą niż udo Caroline, która od czasów szkolnych przytyła sześć kilo i żalowała teraz swego przedpołudniowego nawyku w postaci batonika mars.

Ta ciemnowłosa kobieta trzymała w ręce śliczną, wyszywaną koralikami torebkę, a jej naszyjnik niewątpliwie był tym samym, który na zdjęciach w „Hello!” nosiła Posh Spice. Pewność siebie emanowała z niej niczym kosztowny krem nawilżający z rozświetlających perełek Estee Lauder.

– To Holly Miller – powiedziała Lili głosem pełnym zdumienia i podziwu.

Donna podeszła spieszenie do dwóch nowych przyjaciółek, które wygramoliły się ze swego kąta, by przywitać się z nią Holly. To był dopiero prawdziwy zjazd. Większość dziewczyn wyglądała prawie tak samo jak w szkole, tyle że miały lepiej zrobione pasemka, prawdziwą biżuterię i droższe ubrania, rat Wilson obcięła długie ciemne włosy na pazia, rude włosy Angeli Maguire teraz poparbowane były na zdumiewający blond, i nawet Babs Grafton miała nareszcie wyprostowane zęby, a zamiast ciężkich okularów nosiła szkła kontaktowe. Ale Holly była zupełnie odmieniona, jak ktoś, kto występował w tym programie o półrocznych metamorfozach.

– Holly, nie poznałabym cię! – oświadczyła Lili, zdecydowana zyskać przewagę, kiedy stanęła twarzą w twarz z tak bardzo udoskonaloną wersją koleżanki.

– Bajecznie wygląda, no nie? – zapytała Donna.

– Wspaniale – przyznała Caroline. – To prawdziwy designerski gorset, prawda?

– Tak – odparła Holly, ogarnięta pragnieniem powiedzenia im, że jest pożyczony. – Choć nie...

Donna przerwała jej, nim Millerówna zdążyła powiedzieć „jest mój”:

– Wszystkie chciałybyśmy mieć zniżkę dla personelu w Lee's.

Dała Holly kuksańca w ramię, a ta pojęła aluzję.

– ... zapłaciłam za niego pełnej ceny – zakończyła Holly. – Bo rzeczywiście mamy zniżkę.

Miała nadzieję, że Lili i Caroline nie wyczują w tym kłamstwa. Holly kłamała niczym pobożna zakonnica.

– Opowiedz nam wszystko o sobie – rzekła niecierpliwie Caroline. – Bardzo bym chciała pracować w Lee's; to musi być niesamowite, ci wszyscy sławni ludzie, którzy się tam przewijają i przymierzają wieczorowe sukienki od Versace.

– Pracuję w dziale dziecięcym – odparła przeproszającym tonem Holly. – Mamy co prawda kolekcję Baby Dior, ale nie pozwalamy na wbijanie maluchów w wyszywane cekinami sukienki wieczorowe. Ciężko jest sprząć wymioty z cekinów.

Wszyscy zaśmiali się i Holly poczuła, że nieco się odprężyła. Zazwyczaj była zbyt zdenerwowana, by żartować w towarzystwie.

– Ale przynajmniej masz zniżkę – rzekła Donna. – Muszę przyjechać i rozejrzeć się za strojem na Pierwszą Komunię Emily. Mają teraz urocze sukienki, nie tak jak te koszarne falbaniaste potworki, które my musiałyśmy nosić. Pamiętasz moją sukienkę, Holly? Była paskudna, a moja mama na noc zakręciła mi włosy na wałki i tak się zakręciły i sterczały na wszystkie strony, że wyglądałam, jakby strzelił we mnie piorun.

– Założę się, że moja była gorsza – oświadczyła Lili, wzdrygając się. – Babcia wyciągnęła starą sukienkę mamy i kazała mi ją włożyć. Była poźółkła i za ciasna. Ależ ja fatalnie wyglądałam!

No i zaczęły wymieniać się historiami na temat tego, jak koszmarnie wyglądały. Holly uświadomiła sobie, że nie jest tak źle, jak przewidywała. Wyglądało na to, że Lili i Caroline okazują jej szczerze zainteresowanie i nie były tymi samymi aroganckimi uczennicami, które miała w pamięci. Lili nadal miała czasami cięty język, ale Holly potrafiła teraz sobie z tym poradzić. Wiedziała, że była zabawna także wtedy, gdy chodziła do szkoły, tyle że po prostu nie widział tego nikt oprócz Donny.

Jako że nie pojawiła się Michelle, Holly z całą pewnością była tego wieczoru najmodniejszą i najbardziej interesującą dziewczyną ze szkoły Cardinal i Caroline i Lili starały się trzymać blisko niej. Wolałyby porozmawiać z innymi dziewczynami spoza szkolnej paczki, nie dojrzała jednak żadnej z nich. Spotkała Andreę, która siedziała kiedyś obok niej na plastyce, a Geena Monroe objęła Holly i uściskała ją radośnie. Dawna przyjaciółka Caroline, Selina, która w szkole ani razu nie odezwała się do Holly, teraz wychwalała z emfazą jej strój, naszyjnik i ogólny wygląd. Ale Holly nie dostrzegła uroczej i spokojnej Brony Reilly, która siedziała po jej drugiej stronie na plastyce, ani Muniry Shirsat i jej najlepszej przyjaciółki, Jan Campbell.

– Chyba widziałam wcześniej Bronę, ale pozostałe dziewczyny nie odpowiedziały na zaproszenie – odparła Caroline, kiedy Holly zapytała ją o Bronę, Jan i Munirę. – Można by sądzić, że powinny chcieć takiego spotkania. Po tym, co wspólnie przeżyłyśmy.

Holly zastanawiała się, czy te dziewczyny nie odpowiedziały na zaproszenie, bo tak bardzo denerwowały się samą ideą zjazdu.

– Dowiedziałas się już wszystkiego o nas – powiedziała Lili, kiedy czekały na deser – a my nie usłyszałyśmy ani słowa na temat mężczyzny w twoim życiu.

– A może powinnyśmy powiedzieć „mężczyzn”? – zachichotała Caroline, która uznała, że Holly, nie opowiadając o sobie, jest po prostu tajemnicza. Nawet nie przyszło jej do głowy, że ta olśniewająca kobieta może być nieśmiała, a skoro ktoś wyglądał tak niesamowicie, to musiał mieć jakiegoś fantastycznego faceta. – No dalej – popędziła ją. – Opowiedz nam.

– Nie ma o czym – odparła Holly.

Donna kopnęła ją pod stołem.

– No a ten facet, o którym wcześniej mi opowiadałaś?

Holly pamiętała jedynie, że Donna opowiadała o przerabianiu samej siebie.

– Założę się, że jest niezły – powiedziała zazdrośnie Lili.

– Patrzcie! – westchnęła Andrea, kiedy kelnerzy postawili przed nimi talerze z musem karmelowym, tortem czekoladowym i deserem hawajska niespodzianka.

Donna wykorzystała chwilę osłabienia koncentracji koleżanek i wyszeptała do ucha Holly:

– Wymyśl kogoś!

– Czemu? – syknęła w odpowiedzi Holly.

– Ponieważ powiedziałam im, że wiesz fantastyczne życie, i nie chcę, byś mnie zawiodła. W szkole byłyśmy nudne i teraz musimy to sobie odbić!

Kilka kęsów deseru i uwaga dziewczyn ponownie skoncentrowała się na Holly, która z całego serca żałowała, że nie może zapalić, gdyż zje w takim razie cały mus i wylize talerz, a nie może sobie pozwolić na rozsądzenie gorsetu.

Caroline, Lili, Selina i Andrea czekały niecierpliwie. Donna uśmiechała się krzepiąco. Holly pomyślała o tym, jaka jest kiepska w kłamaniu, a potem o tym, jak bardzo schlebające jest to, że Caroline i Lili naprawdę sądzą, że ona może mieć seksownego chłopaka.

– To ktoś sławny? – zapytała Lili, nagle pełna podejrzeń.

– Nie – wyjąkała Holly.

Donna ponownie kopnęła ją pod stołem i Holly skrzywiła się. Jutro będzie miała pełno siniaków.

– No cóż...

Wszystkie patrzyły na nią z niecierpliwością. Właściwie to cała część stołu patrzyła na nią w taki właśnie sposób. Można było odnieść wrażenie, że wszelkie rozmowy zamilkły, gdy wszyscy czekali na informacje na temat faceta nowej, lepszej Holly Miller.

– No mów – ponagliła Donna.

Holly przełknęła ślinę. Z jakiegoś obłąkańczego powodu jedynym mężczyzną, jaki przychodził jej do głowy, był obecny przedmiot pożądania Kenny'ego: model o imieniu Xavier. Umięśniony, blondwłosy i z twarzą nadąsanego archanioła, który emanował seksem, choć Holly wiedziała z dobrego źródła (śliniaczy się Kenny), że nie jest zainteresowany seksem z żeńską częścią populacji. Tylko jej może przyjść do głowy gej jako wyimaginowany chłopak. Kenny posikałby się ze miechu, gdyby się o tym dowiedział.

– Powiedz nam – zażądała Caroline.

Holly opisała więc Xaviera z każdym idealnym szczegółem, pomijając istotne fakty, iż jest gejem i chodzi, ale nie z nią. Wiedziała, że to kłamstwo przez niedopowiedzenie. Co takiego powiedział Kenny? „Jego dolna warga jest niczym wielka, apetyczna, jedwabna poduszka w kolorze koralu. Pycha”. Kiedy ogarniało go pożądanie, jego wyobrażenia nie znała granic.

– Poduszka, a niech mnie. Wydaje się niesamowity. – Nawet na Lili zrobiło to wrażenie.

Holly uśmiechnęła się słabo i pociągnęła spory łyk wina. Później zamorduje Donnę.

Ale gdy Caroline i Lili poczęły w samych superlatywach opisywać swe drugie połowy, chcąc pokazać, że nie tylko ona potrafi sobie znaleźć przystojnego faceta, Holly zaczęło świtać, dlaczego uległa Donnie i skłamała. Feminizm stanowił dla Caroline i Lili pojęcie przestarzałe. Posiadanie mężczyzny było symbolem statusu bijącym na głowę wszystkie inne. Bez niego Holly należałyby do niższej kasty.

– Cześć – odezwał się jakiś głos.

To Brona, jedna z niewielu uczennic, które były jeszcze bardziej nieśmiałe od niej. Podczas gdy Caroline i Lili pogardliwie uznały Bronę za nudną i pozbawioną stylu, życzliwe spojrzenie Holly dostrzegło dawną koleżankę, w której oczach pobłyskiwało poczucie humoru.

Holly zerwała się z krzesła i serdecznie ją uściskała.

– Co u ciebie? – zapytała z radością. – Cudownie cię widzieć. Nie było cię tutaj od początku wieczoru, prawda? Gdzie się podziewałaś?

– Na końcu sali, nie chciałam przeszkadzać – odparła Brona, posyłając lekko złośliwe spojrzenie w kierunku Caroline i Lili.

Holly uśmiechnęła się szeroko i odciągnęła ją do cichego kąta, by mogły porozmawiać.

– Wyglądasz po prostu niesamowicie – powiedziała Brona ze szczerym podziwem. – Biednej Lili z zazdrości oczy wychodzą z orbit. Co słychać?

Po upływie niezwykle przyjemnej półgodziny Holly wiedziała, że Brona pracuje na zastępstwo w Donegal, trzy lata wcześniej uzyskawszy tytuł doktora medycyny. W wolnym czasie malowała, nurkowała i właśnie kupiła odnowiony domek rybacki na wybrzeżu. Była autentycznie szczęśliwa.

– Doktor Reilly – powiedziała Holly, na której zrobiło to spore wrażenie. – Chodźmy i powiedzmy o tym dziewczynom z dawnej paczki, a zaimponujemy im.

Brona uśmiechnęła się.

– Może lepiej nie – odparła. – Przekonałam się, że nie warto imponować ludziom z niewłaściwych pobudek. Kiedy tylko nachodzi mnie ochota pokazania innym, jaka jestem bystra, zadaję sobie pytanie: „Dlaczego chcę im zaimponować?”

Holly oblała się rumieńcem.

– Tak, masz rację – powiedziała ze wstydem, ponieważ tego właśnie wcześniej pragnęła: zaimponować dawnym szkolnym koleżankom. Dlaczego zawracała sobie głowę wymyślaniem kłamstw? Była tym, kim była. Jaki sens miało udawanie?

– Kiedy chodziłyśmy do szkoły, strasznie onieśmiały mnie takie Caroline i Lili – wyznała Brona. – Ale teraz już nie jestem taka cicha. Studia medyczne oduczyły mnie tego i nie czuję potrzeby rozmawiania z ludźmi, którzy kiedyś patrzyli na mnie z góry.

– Nie, masz rację, w pełni się z tobą zgadzam – rzekła Holly.

– Wiesz, trochę się denerwowałam tym spotkaniem – dodała Brona. – I cieszę się, że tu przyszedłam, ponieważ to mi pokazało, jak bardzo się zmieniłam i stałam się nową, silniejszą osobą.

Kiedy Brona wyszła, Holly ponownie usiadła obok Donny, czując się jak oszustka.

Temat rozmowy nadal stanowili mężczyźni.

– Jesteś taką szczęściarą, Holly – powiedziała marzycielskim tonem Caroline. – Naprawdę uwielbiam być mężatką, ale czasami żałuję, że nie jestem młoda i wolna tak jak ty. Nigdy nie miałam okazji, by umawiać się z wieloma facetami i ostro flirtować...

– Wiem, co masz na myśli – wtrąciła Donna, która była już niezłe wstawiona. – Niesamowicie byłoby przestać na chwilę być mamusią i imprezować z przystojnymi mężczyznami. Kiedy jest się zamężną można patrzeć, ale to by było na tyle.

– Można patrzeć, zgadza się – zachichotała Caroline, pokazując na kelnera, który był bardzo młody i przystojny. – Holly jedyna z nas może go poderwać.

– Wiesz co – powiedziała w zamyśleniu Lili – on z wyglądu przypomina faceta, z którym kiedyś chodziłaś. Tego, którego zabrałaś na nasz debiutancki bal. Jak on miał na imię?

– Richie! – oświadczyła Donna, uszczęśliwiona tym, mimo oszołomienia alkoholowego pamięta jego imię. – Co się z nim dzieje?

– Nie mam pojęcia – odparła Holly, wzruszając ramionami. – To było tak dawno temu, że ledwo pamiętam, jak wyglądał.

Prawdę powiedziawszy, pamiętała, ale nie chciała nawet myśleć o Richiem. Był jej pierwszym chłopakiem w ogóle i pierwszym, który w bezceremonialny sposób ją porzucił. Jego obraz zakorzeniony miała w pamięci jako prototyp faceta-któremu-nie-należy-ufać. Od czasu Richiego nie można powiedzieć, by szczęście Holly w stosunku do mężczyzn uległo poprawie. Tak naprawdę nie ufała żadnemu.

– Ten Richie był całkiem przystojny – stwierdziła Lili.

– Ale nie tak, jak się wydaje twój nowy facet – rozplywała się Caroline.

– Musimy go poznać – dodała Lili. – Koniecznie go przywieź do Kinvarry.

Do twarzy Holly przyklejony był uśmiech.

– Tak, pewnie – odparła.

Następnego ranka dział dziecięcy w Lee's wprost falował od przedsięwziętych zakupowiczów, co nie wpływało dobrze na lekkiego kaca Holly. Zeszłego wieczoru nie upiła się: nie dało się tego zrobić i jednocześnie pamiętać o wszystkich kłamstwach na temat olśniewającego chłopaka z ustami przypominającymi miękkie poduszki. Ponieważ jednak nie mogła palić, z całą pewnością wypiła więcej niż zazwyczaj – dwie krwawe mary plus kilka kieliszków wina do kolacji.

Ciężko jej było wstać dziś rano i trzy razy wciskała przycisk drzemki, nim w końcu zdołała zwlec się z łóżka. W ostatniej chwili przypominała sobie o zabraniu torby z cennym gorsetem, który przysięgła zwrócić dzisiaj Gabrielli.

W drodze na dół z trzeciej wycieczki do toalety zatrzymała się na schodach dla personelu, by nieco odpocząć. Jeszcze długo musiała czekać na przerwę na kawę, a zabiłaby za możliwość posiedzenia na krześle i czekoladowego herbatnika.

– Dzień dobry, panno Miller – rozbrzmiał za nią jakiś głos.

– Och, eee, dzień dobry, panie Lambert – odparła, gorączkowo szukając w rękawie chusteczki. Wydmucha głośno nos, żeby wyglądało to tak, jakby się szykowała do zejścia do sklepu. Tylko ją kierownik sklepu może przyłapać na obijaniu się. Pan Lambert przytrzymał otwarte drzwi i zmęczona Holly musiała udać się za nim do działu dziecięcego. Starając się wlać w swe ruchy nieco energii, podeszła do miękkich, fioletowych i pomarańczowych krzesełek dla dzieci, gdzie Bunny próbowała przekonać dziesięcioletniego chłopca, że zwariowani na punkcie piłki nożnej koledzy nie wyśmieją go, jeśli na chrzest siostrzyczki włoży coś równie nudnego jak koszulę pozbawioną logo drużyny piłkarskiej.

Sądząc po wdzięczności malującej się na wyczerpanej twarzy ojca chłopca, Bunny wygrywała tę bitwę.

– Kiedy pojedziemy do restauracji, będziesz mógł się przebrać, w co tylko zechcesz – powiedział gorliwie ojciec, gdy pogardzana koszula została zapakowana do czerwonozłotej reklamówki firmowej domu towarowego Lee's. – Dziękuję – dodał z wdzięcznością do Bunny.

– Ależ nie ma za co – uśmiechnęła się szeroko. – To moja praca.

Specjalnością Bunny byli mali chłopcy, zwłaszcza kiedy się pojawiali w towarzystwie przystojnych tatusiów.

– Jak ma pani na imię, tak bym następnym razem ponownie o panią poprosił? – zapytał klient.

– Bunny\*.

\* Bunny (ang.) – króliczek.

Mężczyzna uśmiechnął się, jakby to było najzupełniej normalne imię dla kogoś dorosłego. Bunny była jedyną osobą, znaną Holly, która mogła nosić takie imię i nie narażać się przy tym na śmieszność.

– Mój ojciec uważał, że jest śliczne – wyznała pierwszego dnia, zanim Holly zdążyła zapytać, dlaczego ma takie dziwaczne imię. – Tak naprawdę mam na imię Colleen, ale nikt nigdy tak na mnie nie mówił. Dlaczego Holly? – zapytała swobodnym tonem. – Masz urodziny w Boże Narodzenie\*?

\* Holly (ang.) – ostrokrzew.

– W lipcu – odparła Holly. – Moja matka lubi niezwykle imiona. Ojciec chciał, byśmy wszystkie nosiły tradycyjne imiona, ale matka wygrała. Moja najstarsza siostra to Stella Verena, ja jestem Holly Genevieve, a średnia siostra to Tara Lucretia.

– Mam nadzieję, że po Borgii? Ale super – stwierdziła Bunny. – Czy Tara Lucretia to typ trucicielki?

Holly roześmiała się.

– Jedyną osobą, którą czasem chyba ma ochotę otruć, jest nasza ciotka Adele. Tara pisze scenariusz do *National Hospital*.

– Ho, ho. – Na Bunny zrobiło to wrażenie. – Widzisz, to potwierdza tezę mego taty, że ludzie z niezwykłymi imionami zajmują się w życiu niezwykłymi rzeczami. Choć wydaje mi się, że spodziewał się po mnie czegoś więcej niż pracy w dziale dziecięcym w Lee's.

Holly wkrótce się przekonała, że w typowy dla Bunny sposób nie było to tak do końca prawdą.

Bunny dopiero co ukończyła filologię angielską i pracowała, by uezbić pieniądze na roczną wędrowkę po świecie. Planowała pobyczyć się w Indiach, po czym pracować jakiś czas w Japonii jako nauczycielka angielskiego.

Była jedną z tych osób, w których towarzystwie Holly czuła się zupełnie swobodnie, i natychmiast się ze sobą zaprzyjaźniły.

Teraz Bunny pomachała na pożegnanie wdzięcznemu klientowi i podeszła do Holly, składającej wyłożone bluzy sportowe. Wystarczyło, by jedna osoba pogrzebała w ubraniach i cała ekspozycja wyglądała strasznie nieporządnie. Panna Jackson, kierowniczką działu, nie tolerowała nieporządku nawet w strefie działań wojennych, które stanowiły przedsięwzięcie zakupy.

– Nie masz nic przeciwko, jeśli zrobię sobie pierwszą przerwę na kawę? – zapytała Bunny.

Jedną z niedogodności pracy w tym samym dziale było to, że nie mogły mieć wspólnej przerwy. W dziale ubrań dziecięcych pracowały cztery ekspedientki i trzy z nich musiały być przez cały czas obecne na swych stanowiskach.

– Jasne – odparła Holly, żałując, że pierwsza nie wysunęła takiej propozycji.

– Oddałabym wszystko za fajkę. – Bunny zaczęła grzebać w szafce pod kasą w poszukiwaniu papierosów i swetra. W Lee's palenie było surowo zabronione, więc palacze zbierali się na górnym poziomie parkingu. – Do zobaczenia za piętnaście minut.

Za piętnaście minut będzie mogła zaparzyć sobie dużą kawę. Holly zamknęła oczy, żałując, że nie potrafi sobie powiedzieć stop, jeśli chodzi o czerwone wino.

– Dobrze się czujesz, Holly? – zapytała panna Jackson, wyłaniając się z działu ubrań dla niemowląt.

– Tak, oczywiście – odparła pogodnie. Uśmiechnęła się tak szeroko, iż miała wrażenie, że zaraz jej pęknie skóra na twarzy.

Panna Jackson doceniała Holly Miller. Sumienna i uprzejma wobec klientów, była zawsze schludnie ubrana i nigdy nie sprawiała najmniejszych nawet problemów, nawet jeśli była osobą nieco cichą. Ale z drugiej strony panna Jackson widziała, jak Holly plecie trzy po trzy z Bunny, możliwe więc, że była milcząca jedynie w stosunku do kierownictwa.

– Jeśli masz chwilę, to może uporządkowałybyśmy to wieszaki z kostiumami... – zaczęła panna Jackson.

– Macie to na dziesięć lub jedenaście lat? – zapytała kobieta, trzymając w ręce chłopięce spodnie.

– Zaraz sprawdzę – uśmiechnęła się Holly, przenosząc z wdzięcznością uwagę na klientkę, która ją uratowała. Porządkowanie kostiumów to był prawdziwy koszmar, jako że klienci szukając odpowiedniego rozmiaru, mieli zwyczaj szaleć wśród strojów wróżek i czarnoksiężników niczym tornada. Kiedy Holly robiła to ostatnim razem, z roztargnieniem założyła sobie na głowę parę kocich uszu, zapomniała je zdjąć i przez cały ranek obsługiwała klientów z podskakującymi, puszystymi różowo-czarnymi uszami, dopóki nie zauważyła tego panna Jackson.

Kiedy tylko Bunny wróciła z przerwy, Holly udała się pospiesznie na swoją. Desperacko pragnąc kawy, darowała sobie zwyczajowy przystanek na parkingu i pognała prosto na stołówkę. To ją zgubiło.

Przebywało tam właśnie kilka dziewczyn z gatunku tych imprezowych i wymieniały się plotkami na temat imprez gwiazdkowych, w których zdążyły już uczestniczyć. Holly przygotowała się na nieuchronne pytania związane ze swym życiem towarzyskim. Ta grupka nigdy nie rozmawiała o niczym innym niż imprezy i faceci i nie rozumiała, jak ktoś (Holly) może nie podzielać ich fascynacji. W rezultacie uważały, że Millerówna jest trochę nieprzystępna, nie zdając sobie sprawy z tego, że to po prostu nieśmiałość.

Cicho zbliżyła się do ekspresów do kawy i napełniła kubek aromatycznym płynem, po czym – ponieważ niegrzeczne mogłoby się wydać odejście i siedzenie w pojedynkę – z wahaniem przysiadła się na skraju grupy. Dziewczyny słuchały jak urzeczona opowieści Pii (parter, stoisko Clinique) o tym, co się wydarzyło po tym, jak Tomas, ten z rozbijającym obcym akcentem, powiedział jej, że jest na tyle piękna, że mogłaby być modelką.

– To nie znaczy, że wcześniej tego nie słyszałam – rzekła Pia bez arogancji w głosie. Była w końcu oszałamiająco piękna. Cera niczym jedwab w kolorze toffi, oczy łani i gracia baleriny. Mężczyźni z całą pewnością ciągle jej powtarzali, jak bardzo jest piękna, pomyślała tęsknie Holly. – Ale on naprawdę jest fotografem – kontynuowała Pia.

Grupa była pod wrażeniem. Mężczyźni podający się za fotografów, by poderwać Pię, to nic nowego. Niespodzianką było to, że jeden z nich okazał się nim rzeczywiście.

– Który to? – zapytała Rebecca (dział pończoszniczy). Nie ten wysoki, starszy facet? Zauważyłam, jak z tobą rozmawia, ale potem poszłam na półpiętro na fajkę z Leo i strasznie długo nas nie było.

– Tak, to ten wysoki. Jest Węgrem – odparła marzycielsko Pia. – A tak w ogóle to sądziłam, że rzuciłaś palenie? – dodała.

Rebecca uśmiechnęła się szeroko.

– Znasz mnie: dwa drinki i zebrzę u wszystkich o papierosa.

– O tak, a co się działo na półpiętrze z Leo? – zapytała Fiona (dział kapeluszy). – To chyba nie ten Leo nie-chcę-go-już-nigdy-widzieć?

Uśmiech Rebecki stał się jeszcze szerszy.

– To samo, co z papierosami – odparła szelmowsko. – Dwa drinki i zapominam o wszystkich postanowieniach.

Wszystkie się roześmiały.

– Wcześniej rozmawiałam z twoim Tomaszem – oświadczyła Fiona. – W ogóle nie wspomniał o tym, że jest fotografem.

– Najpewniej kłamał – stwierdziła swobodnie Pia. Fiona, Rebecca i Pia uśmiechnęły się. Mężczyźni. Już tacy byli.

– No a co u ciebie, Holly? – zapytała uprzejmie Rebecca, wciągając Holly do rozmowy, gdyż pozostawianie jej na uboczu nie było zbyt miłe. – Robiłaś wczoraj coś ciekawego?

– Byłam na zjeździe klasowym – odparła nieśmiało Holly.

Inne dziewczyny uśmiechnęły się, ale na Pii nie zrobiło to wrażenia. Zjazdy klasowe zajmowały bardzo odległą pozycję na jej liście ekscytujących wydarzeń. Prawdziwa impreza wymagała obecności gwiazd rocka, może także jakiegoś piłkarza, albo i dwóch, i co najmniej jednego fotografa z rubryk plotkarskich, upamiętniającego to wydarzenie dla potomności.

– Nie zwracam sobie głowy szkolnymi zjazdami – oświadczyła Pia.

Zmierzyła Holly badawczym spojrzeniem, które przypomniało jej Lilii z wczorajszego wieczoru. Pia i Lilia są ulepione z tej samej gliny, pomyślała Holly. Obie uwielbiały oceniać sukces danej osoby według niewłaściwych standardów.

Holly żałowała, że nie umie rzucić w odpowiedzi czegoś dowcipnego, ale słowa ją zawiodły jak zwykle, gdy miała do czynienia z ludźmi pokroju Pii. Uśmiechnęła się blade, wiedząc, że wygląda jak idiotka.

Fiona zaczęła opowiadać o jakichś niedawno kupionych ślicznych kozaczkach na wysokim obcasie, które wyglądały na niesamowicie drogie, choć wcale takie nie były. Wszystkie pokiwały z szacunkiem głowami. Tanie, modne rzeczy, wyglądające na drogie to ich ulubiony temat, ponieważ żadna z nich nie zarabiała szczególnie dużo pomimo efekciarskiego stylu życia.

– Och, nie uwierzycie, jak zobaczycie nowe buty, które kupiłam w poniedziałek – zabrała głos Rebecca.

Holly piła kawę i przerzucała kartki starego czasopisma, które ktoś zostawił na jej krześle. Nie była w stanie się na nim skoncentrować, gdyż zastanawiała się, dlaczego jest takim mięczakiem.

Dopiła kawę i wstała, a jej ruchy pełne były wdzięku. Powiedz coś, nakazała sobie w duchu, no powiedz coś.

– Lecę już. Na razie.

No dobrze, to już było lepsze niż nic.

Kiedy wyszła ze stołówki, uświadomiła sobie, że na stole zostawiła papierosy, więc zawróciła po nie. Wtedy właśnie usłyszała, jak o niej mówią.

– Wierzycie w ten cały szkolny zjazd? – zapytała Pia z litością w głosie. – Ja ani trochę. Prawdę powiedziawszy, to nie wydaje mi się, by w ogóle miała jakiegokolwiek życie towarzyskie. Prawdziwa z niej dziwaczka. Nigdy nie ma nic do powiedzenia.

Czekająca przed drzwiami stołówki Holly znieruchomiała wstrząśnięta.

– Jest nieśmiała – zaprotestowała Rebecca.

– A ja uważam, że po prostu gburowata – kontynuowała lekceważącym tonem Pia. – Albo głupia. Ktoś powinien jej to powiedzieć. Zabiłabym się, gdybym była tak tępa jak ona.

– Nie bądź taką zolzą – rzekła Rebecca. – Nie każdy jest lak pewny siebie jak ty.

– Nie rozumiem nieśmiałości – oświadczyła wyniośle Pia. – Jeśli jest się jąkałą, można temu zaradzić. Skoro jest nieśmiała, dlaczego nie pójdzie na jakieś warsztaty? Dla czegoś takiego nie ma usprawiedliwienia.

– Biedaczka. I pewnie nigdy nie miała chłopaka. Już wiem, a może zapoznamy ją z kimś? – zasugerowała Rebecca. – To może dać jej chociaż namiastkę życia towarzyskiego.

– Strata czasu. – W głosie Pii słychać było pogardę.

Twarz Holly płonęła z zakłopotania i bólu. Ona sama na oślep ruszyła w kierunku schodów i zbiegła na dół do działającego kojąco działu z odzieżą dziecięcą. Oddychała głęboko, by przestać się trząść. Oparła się o ścianę, mając nadzieję, że nogi nie odmówią jej posłuszeństwa. Jak te dziewczyny mogły pozwolić Pii mówić takie okropne rzeczy? Holly pomyślała ponuro o tym wszystkim, co chciałaby jej powiedzieć, gdyby tylko miała wystarczająco dużo odwagi. Już

ona jej pokaże. Będzie prowadzić cholernie fantastyczne życie, którego Pia jej będzie zazdrościć, tak właśnie się stanie.

Tak jak w przypadku wszystkich naznaczonych łzami planów zemsty, pod koniec dnia Holly nie czuła już chęci odegrania się, była po prostu nieszczęśliwa i samotna. Był piątkowy wieczór i szła wolno do autobusu, przekonana, że wszyscy inni na całej planecie mają w planach ekscytujące imprezy przedświąteczne, gdy tymczasem ona jedzie do domu sama na randkę z kubelkiem lodów.

Odezwała się jej komórka i choć raz Holly udało się ją znaleźć w wypchanej torbie, zanim dzwoniący się poddał.

– Halo?

– Cześć, Holly. – To Joan. – Puść farbę. Jak ci wczoraj poszło?

– W porządku – odparła z przygnębieniem Holly.

– Co się stało? – zapytała Joan. – Mówisz to jak Kopciuszek, któremu karoca z dyni uciekła sprzed nosa.

– Nic się nie stało. – Holly nie mogła prowadzić tej rozmowy na ulicy. Jeszcze by wybuchnęła płaczem, co bez wątplenia dostarczyłoby Pii więcej amunicji, popierającej teorię „Holly Miller to nietowarzyska wariatka”. W jej telefonie zaczęło trzeszczeć. – Jest tu kiepski zasięg – zawołała do słuchawki, ale było za późno. Połączenie przerwane. Czując się jeszcze okropniej, wyłączyła komórkę.

I Joan, i Kenny wychodzili tego wieczoru, więc zobaczy się z nimi dopiero rano. Wtedy im opowie o tym koszmarnym incydencie w stołówce. Ale nie teraz.

Mieszkała w niszczącym okropieństwie w stylu wiktoriańskim, tyle razy przebudowywanym, że architekt, który je kiedyś zaprojektował, w ogóle by go teraz nie poznał. Lokum to znajdowało się przy Windmill Terrace, długiej krętej ulicy z dziwnym zbiorowiskiem zdewastowanych starych kamienic czynszowych i rozłożystych domów w stylu wiktoriańskim, które obrotni deweloperzy stawiali z myślą o przyszłym podniesieniu statusu okolicy. Kiedy tak się stanie, gospodarz bez wątplenia wyeksmituje wszystkich swoich lokatorów na ulicę i sprzeda dom. Holly krzyżowała palce w nadziei, że nie stanie się to, zanim ona zdoła zaoszczędzić pieniądze na wkład na własne mieszkanie, choć to pozostawało bardzo odległą perspektywą. Jej obecne mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze. Po przeciwnej stronie korytarza mieszkali Joan i Kenny, w znacznie większym lokum, z dwiema sypialniami, miniaturowym balkonem, łazienką z popękana wanną zamiast prysznicą, który miała do dyspozycji Holly, i kuchnią, gdzie nie robiono niczego poza kawą i tostami. Kenny i Joan wprowadzili się przed dwoma laty, w tym samym czasie co Holly, i kiedy tylko odkryli, że ich sąsiadka uwielbia gotować, zjawiali się u niej przynajmniej dwa razy w tygodniu, sprawiając wrażenie głodnych. Joan, która jako studentka miała najlepsze godziny pracy, robiła większość zakupów spożywczych, gdy tymczasem Kenny zajmował się praniem i prasowaniem. Holly z żelazkiem stanowiła niebezpieczne połączenie, a to z powodu zdolności do wypalania dziur w większości ukochanych ubrań. Tak czy inaczej wiedziała, że nigdy nie zdoła zaprasować kantów w spodniach w sposób tak perfekcyjny, jak to potrafił Kenny.

Temperatura spadła, kiedy Holly wracała z przystanku do domu, i gdy ze znużeniem otworzyła drzwi, była przemarznięta do szpiku kości. Włączyła światło i czajnik, powiesiła ciężki zimowy płaszcz na drzwiach i westchnęła z ulgą, że jest już w domu. Mieszkanie należało do maleńkich, ale jeden z talentów Holly polegał na przekształcaniu obcych miejsc w dom. Uczyniła to za pomocą własnej odmiany bardzo taniego szyku. Wszystkie ściany pomalowane zostały na uspokajającą jabłkową biel, a na nich pozawieszano wielkie, kolorowe grafiki w sztucznie postarzonych białych ramach. Na honorowym miejscu stała wielka komoda ze szklanymi drzwiczkami, którą Holly kupiła na bazarku za 20 euro i samodzielnie postarzyła. Komoda skrywała wszelkiego rodzaju skarby: przez szyby widać było porcelanę, książki, ozdobione brokatem drobiazgi, z gaiki zwisało zaś haftowane japońska kimono z szafranowego jedwabiu. Światło zapewniały ozdobione koralikami podstawki ze świeczkami, zdobiona emalią francuska lampa i zreperowany żyrandol. Miejsc do siedzenia dostarczały dwie małe sofy, co

najmniej z piątej ręki, ale umiejętnie ukryte pod dwoma aksamitnymi narzutami w kolorze bursztynu oraz kilkoma poduszkami nie do kompletu, pozszywanymi z kawałków perkalu. Nad pojedynczym tapczanem w przypominającej pudełko sypialni udrapowany był baldachim, którego nie powstydzilaby się cesarzowa Józefina, i nawet wieszaki Holly obite były kwaciastym materiałem w kolorach pasujących do pokrywających drewnianą podłogę dywaników.

To mieszkanie, wyjątkowe i jedyne w swoim rodzaju, wyrażało jej osobowość w sposób, w jaki nieśmiałość tak często nie pozwalała jej czynić osobiście.

Tego wieczoru Holly zrobiła to, co zawsze, kiedy była zmartwiona: zabrała się za gotowanie. Do odtwarzacza CD wsunęła płytę Destiny's Child, podkreśliła dźwięk, naląła sobie kieliszek czerwonego wina, zapaliła papierosa i zaczęła kroić duże soczyste pomidory na sos. Kiedy ten już bulgotał, otworzyła mały, lecz doskonale wykorzystany zamrażalnik i wyjęła porcję mrożonego makaronu. Puryści może i by się wzdrygnęli na myśl o mrożeniu makaronu, ale to był makaron domowej roboty, a Holly mroziła go w porcjach na okazje, kiedy nie miała czasu go zrobić. Maszynka do robienia makaronu była sporym wydatkiem, ale stanowiła jedną z jej najcenniejszych rzeczy: było coś niezwykle uspokajającego w łagodnym zagniataniu ciasta i powolnym wsuwaniu rozwałkowanych kawałków do błyszczącej maszynki ze stali nierdzewnej. Dzięki temu czuła się bezpiecznie, jak w domu, tak jakby mnóstwo włoskich mam albo jej własna, irlandzka patrzyły jej życzliwie przez ramię, pomagając i pocieszając.

O wpół do ósmej rozległ się dzwonek i Holly wiedziała, Ho to może być: albo Joan, albo Kenny. Zagryzła wargę, wierząc, że bez względu na to, kto stoi za drzwiami, natychmiast wyciągnie z niej całą tę upokarzającą historię.

– O rany, co za dzień – jęknęła Joan, wparowując do pokoju.

Była chudsza niż wycior do fajki, ale jakimś cudem wydawała się zabierać dużo przestrzeni. W tym tygodniu przechodziła fazę fioletową i ubrana była jak przystało na studentkę projektowania mody: włosy w kolorze granatowej czerni Morticii Adams, kolczyk w brwi, ufarbowany na fioletowo mundur polowy i ręcznie malowany liliowy T-shirt, ozdobiony jej własną odmianą japońskiej kaligrafii. Kenny, który w czasie gdy nie fantazjował na temat Xaviera, od dawna durzył się w przystojnym studencie z Japonii, mieszkającym na tej samej ulicy, ciągle błagał Joan, by nie wkładała tego T-shirtu, ponieważ napis na pewno wyraża coś niecenzuralnego. Joan ignorowała go, twierdząc, że japoński student nie jest gejem i nie spojrzy dwa razy na Kenny'ego bez względu na to, co jest napisane na jej T-shircie. Teraz uszczyptała Holly w policzek, wsadziła palec do sosu pomidorowego, by go posmakować, zrobiła głośniej muzykę, do poziomu kłopoty-z-gospodarzem, po czym rzuciła się na mniejszą sofę, a wszystko to trwało ledwie kilka sekund.

– Ugotowałam za mało dużo jedzenia. Myślałam, że dziś wieczorem wychodzicie – rzekła Holly.

– Możliwe, że tak się stanie – odparła wymijająco Joan, pewna, że z Holly jest coś nie tak i zdecydowana to z niej wyciągnąć. – Co słychać? – zapytała. – Wyglądasz, jakbyś też miała główniany dzień.

– Nie, dlaczego tak sądzisz?

– Opadają ci kąciki ust i wyglądasz, jakbyś lada chwila miała się rozplakać – oświadczyła Joan. – Więc albo jesteś przygnębiona, albo strasznie się postarzałaś w ciągu tych dwudziestu czterech godzin, które minęły, odkąd ostatnio się widziałyśmy, a skoro tak, to polecam botoks. Co się stało? I opowiedz mi wszystko o wczorajszym zjeździe. Wyglądałaś bosko i dałaś w zęby którejś z tych wstrętnych jędz, co kiedyś cię ignorowały?

– Jesteś głodna? – zapytała Holly, tylko dlatego, by uniknąć odpowiedzi na jej pytania. Joan zawsze była głodna. Kenny mówił, że w jej brzuchu siedzi tasiemiec.

– Tak, a co się stało?

Holly odsunęła się od blatu, który oddzielał maleńki aneks kuchenny od pokoju. Odwrócona plecami do Joan, zapaliła następnego papierosa. Przyjaciółka ciągle suszyła jej głowę, by rzuciła

palenie, ale Holly ono pomagało, a poza tym gdyby je rzuciła, znowu zmieniłaby się w grubaskę. I wtedy byłaby zarówno antyspołeczna, jak i gruba...

Starala się stłumić pociągnięcie nosem, ale Joan i tak je usłyszała.

– Co się stało? – powtórzyła łagodnie.

W obliczu serdeczności przyjaciółki Holly wydusiła z siebie całą historię: jak świetnie się czuła, ponieważ wszystko szło dobrze na zjeździe, ale potem jak głupio jej się zrobiło z powodu tego, że skłamała na temat chłopaka. No a potem jak bardzo zraniły ją słowa Pii.

– Głupia suka! – wściekała się Joan, grożąc Pii śmiercią, unicestwieniem i zdeformowaniem twarzy. – Nie rozumiem, dlaczego nie dałaś jej po pysku. Wspomniałaś o tym Bunny?

Joan i Bunny nadawały na tych samych fałach. Obie były twarde, nikogo się nie bały i zachowywały się niezwykle opiekuńczo wobec Holly.

– Nie – odparła żałośnie. – Nie potrafiłam. Ja naprawdę jestem nieudacznikiem, Joan. Pia miała rację.

Już tak było w przypadku wrażliwców, że wystarczyło jedno pchnięcie i leżała na ziemi.

– Nie jesteś nieudacznikiem – wrzasnęła z wściekłością Joan.

– Kiedy okłamałam dziewczyny na zjeździe, to wymyślony przeze mnie chłopak był gejem! Nawet kłamać nie potrafię jak normalni ludzie.

– Kenny jest uroczy – zauważyła Joan.

– To nie był Kenny, umawiam się z Xavierem.

Joan uśmiechnęła się szeroko.

– Z panem Poduszkowe Usta. Holly, skarbie, trzeba kłamać na szkolnych zjazdach. – Uznała, że Holly należy najpierw poprawić nastrój, a dopiero potem podnieść morale. – No a co innego mówić? Każdy ma super życie, jeśli wierzyć Innu, co mówi, gdy spotka dawnych wrogów. Słyszałaś, by ktoś kiedyś na takim zjeździe powiedział: „Wyrzucono mnie ze studiów, prawie posadzono za narkotyki i uniknąłem więzienia, wykonując osiem milionów godzin prac społecznych, poza tym mieszkam na dziko, nigdy nie uprawiałem seksu, u moja praca polega na tym, że przez cały dzień pytam, co podać do frytek”?

Holly wybuchnęła śmiechem.

– W porównaniu z tym wiodę rzeczywiście fantastyczne życie i nie rozumiem, czemu w ogóle kłamałam.

– A ja rozumiem – odparła Joan. – Skłamałaś, a tak przy okazji to było takie tycie kłamstewko, z tego samego powodu, dla którego kłamią inni: ponieważ wszystkim nam generalnie brakuje pewności siebie i chcemy, by ludzie uważali, że odnosimy sukces za sukcesem. Mam rację czy nie?

– Masz – odparła z wahaniem Holly. – Ale jeśli poddaję się takiemu sposobowi myślenia, staję się bardzo płytkim człowiekiem.

– Każdy tak robi. – Joan była rzeczowa. – Moja siostra mówi ludziom, że jej mąż pracuje w branży relokacyjnej, a tak naprawdę jest kierowcą ciężarówki, moja matka zaś mówi babci, że ubieram się w taki, a nie inny sposób, ponieważ na studiach musimy nosić dziwne ubrania. Tak jest łatwiej niż kazać się babci odpieprzyć, gdyż jest wścibską starą krową.

– To coś innego – rzekła Holly. – Ja skłamałam, ponieważ to było prostsze niż przyznanie się, że jestem beznadziejna, jeśli chodzi o facetów, i po prostu nie potrafię z nimi rozmawiać. Skłamałam, by dziewczyny, z którymi chodziłam do szkoły, nie patrzyły na mnie w taki sposób jak Pia. Powiedziała, że nie ma sensu, by poznawać mnie z jakimś facetem, ponieważ to byłaby strata czasu.

Holly wyglądała na tak bardzo przybitą, że w Joan ponownie zawrzała krew. Pia była już martwa.

– W takim razie będziemy ci musieli znaleźć fantastycznego chłopaka, kogoś, kto zjawi się w dziale dziecięcym tuż przed zamknięciem i dobierze się do ciebie na stercie piżam z reniferem Rudolfem, i wtedy dopiero pokażesz tej głupiej zdzirze Pii.

– Nie wiem tego z własnego doświadczenia, ale ośmielam się stwierdzić, że tego rodzaju zachowanie doprowadziłoby do mojego zwolnienia z pracy.

– Ale przynajmniej dziewczyny wiedziałyby, że masz superfaceta.

– Zostałabym także bez pracy.

– To tylko luźna propozycja. – Joan bawiła się w zamyśleniu włosami.

Holly zgasiła papierosa i z nieszczęśliwą miną wróciła do mieszania sosu.

– Już wystarczy – oświadczyła Joan, zmieniając temat rozmowy. – Czy wszyscy na zjeździe byli pod wrażeniem twojego stroju?

Po raz pierwszy tego dnia Holly uśmiechnęła się szeroko.

– Oczywiście powychodziły im z orbit. Nie mogły uwierzyć, że to ta puciołowata, mała Holly Miller.

– To właśnie nazywam należyтым rezultatem. Nie potrafię sobie wyobrazić ciebie jako puciołowatej dziewczynki dodała Joan. – W ogóle nie jesteś gruba.

– Taa, wiem – mruknęła Holly. – Ale byłam, i wcale nie czuję się inaczej, Joan. Wciąż czuję się jak dawna ja.

Joan przyjrzała jej się ponuro.

– Problemem nie są inni ludzie, Holly – oświadczyła – ale ty sama. To wszystko siedzi w twojej głowie.

Ponownie rozległ się dzwonek. Był to długi ponaglący dźwięk, wydawany przez kogoś trzymającego niecierpliwy palec na przycisku. Tylko Kenny dzwonił w taki sposób. Słowo „niecierpliwy” w ogóle nie oddawało pośpiechu, który zawsze mu towarzyszył.

– Nic nie mów o tym Kenny'emu – błagała Holly, idąc otworzyć drzwi. Nie wytrzymałaby, gdyby oboje mieli ją rugać przez cały wieczór za to, że jest neurotycznym mięczakiem.

– Witajcie, słoneczka. Jest wystarczająco jedzonka dla mnie? – zapytał Kenny, kiedy już uściskał Holly i zmierzył spojrzeniem bulgoczącą zawartość stojącego na ogniu garnka.

W przeciwieństwie do Joan i jej ciuchów prosto ze studiów projektowania mody, Kenny był starannie ubrany w grafitową koszulę, przylegającą do szczupłego torsu, i eleganckie szare spodnie, które wyglądały, jakby zostały uszyte specjalnie dla niego. Gucci i Hugo Boss. Kenny uwielbiał markowe ciuchy i potrafił je rozpoznać z odległości pięćdziesięciu kroków. Był starszym sprzedawcą w ekskluzywnym butiku z męską odzieżą i zdarzało mu się także pracować w charakterze stylisty. Marzył, by rzucić pracę w butiku i zająć się wyłącznie stylizacją.

Holly uważała, że mógłby spokojnie pracować po obu stronach obiektywu. Miał krótko przycięte ciemne włosy, przetykane wczesną siwizną w stylu Richarda Gere, i przystojną twarz z ciemnym zarostem. Gdy tylko wychodził na ulicę, towarzyszyły mu pełne podziwu spojrzenia kobiet. Joan uwielbiała przekomarzać się z nim w ten sposób, że wzdychała i mówiła: „Taka szkoda, że jesteś gejem. A może jednak spróbujemy? Wiem na pewno, że jedyne, czego ci trzeba, to miłość porządnej kobiety”.

Kenny w odpowiedzi przewracał teatralnie oczami i wzdrygał się. „Nie ma mowy” – oświadczał.

Holly wyjęła z zamrażalnika więcej makaronu.

– Wystarczy dla wszystkich – oznajmiła.

– To świetnie.

Kenny klapnął na sofę obok Joan i oboje popatrzyli radośnie na Holly, a na ich twarzach malował się głód. Przypominali dwójkę dzieci, z wyczekiwaniem przyglądających się gotującej mamie. Ich troje z całą pewnością tworzyło coś w rodzaju małej rodziny, choć funkcję mamy pełnili na zmianę, ponieważ zawsze jedno z nich cierpiało z powodu jakiejś traumy. Kenny średnio co miesiąc pogrążał się w rozpacz, ponieważ jego życie uczuciowe nie należało do najłatwiejszych i zawsze się znalazł jakiś przystojniak, który nie odpowiadał na jego telefony. Traumatyczne przeżycia Joan wiązały się z finansami – wydawała całe stypendium na ciuchy, regularnie brakowało jej na czynsz i nieustannie się zapożyczała. Problemem Holly była ona sama, co było praktyczne w tym względzie, że nie dotyczyło wpływów z zewnątrz.

– Sądziłam, że oboje wychodzicie? – odezwała się Holly.

– Zmiana planów – oświadczył Kenny.

– Jest dziś coś dobrego w telewizji? – zapytała Joan, wertując na próżno gazetę z programem.

– W piątki nie ma nic ciekawego z wyjątkiem *Seksu w wielkim mieście* na satelicie – odparł natychmiast Kenny. Uwielbiał telewizję i w gazecie czytał najpierw program, po nim swój horoskop, a dopiero później inne wiadomości.

Holly uśmiechnęła się szeroko. Może i nie wiedziała z własnego doświadczenia, czym jest szalone życie z wieloma facetami, ale dzięki dziewczynom z *Seksu w wielkim mieście* mogła to oglądać w telewizji. Zaczęła trzeć parmezan, a wydarzenia mijającego dnia powoli opuszczały jej myśli, gdy tymczasem Joan i Kenny spierali się o to, co oglądać. Co ona by bez nich zrobiła?

Dziesięć minut później kolacja znajdowała się na stole, podana na kupionej na aukcji włoskiej porcelanie z pastelowymi malunkami owoców. Zastawa nie była kompletem, ale wyglądała uroczo.

Joan zaczęła moczyć w sosie bułkę grubo posmarowaną masłem, tymczasem Kenny pedantycznie zanurzał w swoim kawałki suchego chleba.

– Przepyszny – rzekł. – Holly, masz prawdziwy talent.

Uśmiechnęła się promiennie.

– Musisz zapomnieć o tym, co się dzisiaj stało – kontynuował, wysłuchawszy szeptanej wersji wydarzeń od Joan, podczas gdy Holly zajęta była w kuchni.

Holly przestała się uśmiechać.

– Obiecałaś, że mu o tym nie powiesz – rzekła do Joan.

– Zgadza się z Joan – oświadczył Kenny. – Pia szpeci krajobraz, ale nie spieszmy się tak z wymierzaniem jej kary. Strzyże włosy u mojego kolegi Marco i poczekajcie tylko do następnego razu, kiedy będzie chciała podciąć grzywkę. Linda Evangelista to jedyna osoba, której jest do twarzy z dwucentymetrową grzywką. Ha. Ale ukaranie Pii nie jest naszą główną misją – dodał Kenny. – To fajne, zgoda. – Uśmiechnął się złośliwie. – Z całą pewnością przezabawne. Ale to nie nasza główna misja. Nią... – uczynił pauzę – ...jest znalezienie ci faceta, kochana Holly. Wtedy twoje życie zupełnie się odmieni.

Holly niespokojnie zamrugła oczami.

– Nie potrzebuję faceta – oświadczyła.

Kenny zaprezentował uśmiech kota z Cheshire.

– Ależ tak – rzekł. – Musisz być kochana, otoczona opieką i uwielbiana przez mężczyznę, który przez całe życie mówi ci, jaka jesteś piękna i cudowna. A my pomożemy ci go znaleźć.

– Czy to mój prezent na Gwiazdkę? – zapytała Holly, dostrzegając zabawną stronę tego wszystkiego.

– Nic mi nie mów o świętach – jęknęła Joan. – Nie kupiłam niczego i jestem spłukana.

– A ja jestem spłukana, gdyż kupiłam wszystko – dodała Holly. – Ale w tym roku nie czekam z taką niecierpliwością na święta, ponieważ Tary nie będzie w Kinvarrze razem z resztą rodziny. Planuje je spędzić z rodzicami Finna.

– Z budzącą postrach teściową? – zapytała Joan.

– Właśnie tak. We wrześniu kupiła Tarze na urodziny żelazko.

– Uroczy prezent – zagruchał Kenny. – Mam nadzieję, że Tara kupiła jej pod choinkę coś równie koszmarnego.

Holly zachichotała.

– Wspominała mi, że kusi ją, by podarować jej roczny zapas tabletek na zaparcia, ale ostatecznie stchórzyła i kupiła perfumy.

– Cóż, kupiłem już prezenty dla wszystkich oprócz mamy – dodał Kenny. – Mam na oku fantastyczną torebkę firmy Tanner Krolle, która na pewno by jej się spodobała.

– Och, to znaczy, że nie wszystkim dajesz w prezencie chłopaka? – zażartowała Holly.

Kenny posłał jej całusa.

– Tylko tobie, Holly, tylko tobie.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

W Wigilię po południu Tara leniwie zastanawiała się, co porabia reszta rodziny. Normalnie trzy Millerówny rozsiadłyby się wygodnie w kuchni w Kinvarrze, pakowałyby prezenty, śmiały się i żartowały pośród taśmy klejącej i błyszczącego papieru, a pomocą służyłaby im Amelia. Bez nich wszystkich Boże Narodzenie nie będzie takie samo, pomyślała. No ale przecież miała Finna. Życie musiało się zmieniać, a gdyby się nie zmieniło, ona nigdy by go nie poznała. Zerknąwszy na zegarek, udała się na poszukiwanie męża. Podczas gdy ona kupowała na ostatnią chwilę kilka drobiazgów, on miał spakować swoje rzeczy i wszystkie prezenty. Jego walizka stała jednak pusta na podłodze sypialni, Finn zaś leżał w ubraniu na łóżku. Długie ramię zwisało z łóżka, niemal dotykając podłogi, drugie obejmowało poduszkę. Tara zbliżyła się cicho i popatrzyła na niego. Rankiem nie ogolił się i połączenie zarostu i potarganych złotych włosów powinno mu być nadać wygląd rozpustnika. Tak się jednak nie stało. Nawet rozczochrany i pogrążony w głębokim śnie jej mąż emanował wewnętrzną dobrocią. To przez te długie dziewczęce rzęsy, uznała Tara.

Zsunęła buty i wskoczyła na łóżko.

– Pobudka! – zawołała, podskakując na materacu obok śpiącego męża.

– Eee co? – jęknął Finn, otwierając przekrwione oczy.

– Miałeś się spakować i ogolić, gdy mnie nie było – oświadczyła Tara, czołgając się po łóżku, aż wreszcie legła na swoim mężu.

– Musiałem odpocząć – jęknął, chowając głowę pod poduszkę. – Jeszcze kilka minut. Dopiero pora lunchu.

– Już prawie druga trzydzieści, a mamy się zjawić u twoich rodziców przed wpół do czwartej.

W jakiś sposób zostali wrobieni w kameralne Boże Narodzenie u rodziny Jeffersonów, choć Tara wołała, by pojechali do Kinvarry. Wiedziała jednak, że poza udawaniem ataku wyrostka robaczkowego nie ma szans na zmianę scenariusza. Musieli się jeszcze spakować na trzydniowy pobyt, a na podróż trzeba liczyć co najmniej godzinę, co oznaczało, że bardzo się spóźnią, jeśli natychmiast nie wyjadą.

– Wstawaj – powtórzyła. – Wiesz, jakie są korki do twoich rodziców, a dzisiaj będzie o wiele gorzej niż zazwyczaj.

Spod poduszki wydobył się kolejny jęk.

– Możemy zadzwonić i powiedzieć, że się spóźnimy. Wtedy mógłbym się jeszcze zdrzemnąć.

Tara zabrała poduszkę.

– Nie ma mowy, Finn. Jeśli się spóźnimy, twoja matka nie będzie obwiniać ciebie, tylko mnie. Wstawaj więc z tego łóżka albo pójde po zimną gąbkę.

– Tylko nie gąbka – błagał Finn. – Wszystko, tylko nie gąbka.

Palce Tary wsunęły się pod jego sweter i zabrały za laskotanie.

– Przestań – rzekł słabo. – Nie jestem w stanie...

Przerwała, ogarnięta wyrzutami sumienia. Finn wykorzystał tę chwilę słabości. Jednym szybkim ruchem podskoczył na łóżku, przekręcił się i zaczął laskotać Tarę, a jego długie, silne palce nie poddawały się.

– Nie! – pisnęła, kiedy zaczął ją laskotać w stopy. – Nie stopy! Nie, ty świni! Przestań!

– Niech ci będzie.

Zbyt skacowany, by ciągnąć to dalej, zsunął się z niej i oboje leżeli na plecach, ciężko dysząc.

– Spakowałeś cokolwiek? – zapytała Tara.

– Połowę, a potem się położyłem, by się zdrzemnąć – wyznał Finn. – Jestem wykończony.

– Tak bywa, kiedy człowiek się zaleje w trupa podczas laurowej imprezy gwiazdkowej – oświadczyła Tara, zadowolona z siebie. – Mówiłam ci, że picie to nie dyscyplina olimpijska.

Finn uśmiechnął się szeroko.

– Człowiek robi to, co musi.

– Nie dzień przed wyjazdem do twoich rodziców na święta, kiedy zostawiasz mi na głowie całe pakowanie – zganiała go Tara. – Wstawaj, leniuchu. Musimy wyjechać za dwadzieścia minut.

– Tak jest – zsalutował bez entuzjazmu Finn.

Tara zaczęła ich szybko pakować, biegnąc po mieszkaniu w poszukiwaniu takich rzeczy jak ładowarka do jej komórki i terminarz. Obiecała sobie, że niedługo przeprowadzą remont.

Sypialnia była chyba najlepszym pomieszczeniem w tym dwupokojowym mieszkaniu, ponieważ wisiały w niej najmniej ohydne zasłony (gładkie, francuski błękit) i chlubiła się całą ścianą skrywających mnóstwo grzechów szaf z lustrami zamiast drzwi. Ani Tara, ani Finn nie należeli do osób zbyt porządnickich i kiedy tylko otwierały się drzwi szaf, różne rzeczy wypadały na podłogę i trzeba je było z powrotem wpychać do środka. Niemniej jednak nie minęło pół godziny, a byli spakowani i siedzieli w samochodzie. Zgodnie z przewidywaniami Tary, korki były straszne. Jeffersonowie mieszkali w ładnym miasteczku na wschodnim wybrzeżu, ale pięćdziesięciokilometrowa podróż z Dublina zdawała się nie mieć końca.

– Spokojnie – rzeki Finn, kiedy stali w siedmiokilometrowej kolejce do płatnego mostu. – Mamcia się nie pogniewa.

Tarze udało się nie odezwać ani słowem. Mamcia, czyli pani Gloria Jefferson, obrazi się i to bardzo, po czym bez wątpienia odegra się na Tarze. Na samą myśl o następnych trzech dniach robiło jej się niedobrze. Uwielbiała teścia, Desmonda, ponieważ był zabawny i serdeczny, tak jak Finn, ale Gloria to zupełnie inna sprawa. Chłodniejsza niż cienka warstwa śniegu na poboczu drogi do Naas, miała obsesję na punkcie klasy, pieniędzy i „robienia tego, co należy”. Wyglądało na to, że właściwym zachowaniem w Boże Narodzenie było spotkanie się dzień wcześniej na spokojnej kolacji z przyjaciółmi, kameralny rodzinny obiad w pierwszy dzień świąt (Tara miała już okazję doświadczyć ciszy podczas posiłków, kiedy na liście gości widniała tylko ona, Finn, Desmond i Gloria) oraz popołudniowe przyjęcie z drinkami u Jeffersonów w drugi dzień świąt, kiedy to zapraszano mniej ważnych sąsiadów, by mogli zobaczyć nowo kupiony stół w jadalni i dwanaście, a jakże, krzesel. Zachowaniem niewłaściwym, jak Tara zdołała wywnioskować, było małżeństwo ich jedynego syna ze scenarzystką telewizyjną. W chwilach większej złośliwości Tara żałowała, że nie wychodziła za Finna w zaawansowanej ciąży, po to tylko, by zobaczyć zaszokowaną twarz Glorii patrzącej, jak jej synowa płynie w stronę ołtarza w ciężowej sukni ślubnej. Ależ byłby to widok. Mocno rozwinięta wyobraźnia Tary zaczęła pracować na najwyższych obrotach. A co by było, gdyby w połowie drogi do ołtarza zaczęła rodzić...

– Ona cię lubi, to oczywiste – protestował Finn, gdy tylko Tara łagodnie zauważała, że jego matka niezbyt za nią przepada. – Jest opiekuńcza, i tyle. I skryta. Tak po prostu została wychowana.

O ile tylko Glorii nie wychowywali trapiści, Tara nie dostrzegała powodu jej lodowatego milczenia. No ale trapiści byli ludźmi życzliwymi, a w żadnym wypadku nie dało się tego powiedzieć o teściowej. Umiała być przyjacielska wobec innych ludzi, owszem, po prostu nie w stosunku do Tary, w której nigdy nie gasi podziw, że Gloria potrafi jednocześnie obdarzyć Finna uśmiechami, ją zaś pogardliwymi spojrzzeniami.

Nie było żadnych byłych dziewczyn, mogących usprawiedliwiać taką wredność, nikogo, kogo zdaniem Glorii jej syn miałby poślubić zamiast niej. Tara uznała, że dla teściowej wszystkie kobiety są rywalkami, jak nie w taki sposób, to inny. Może i nie zagrażała jej, jeśli chodzi o pana Jeffersona, była jednak rywalką w wyścigu o uczucia Finna. To właśnie umieściło ją na liście tych, których Gloria nienawidziła. A potrafiła nienawidzić, oj, potrafiła.

Było już dobrze po szóstej, kiedy przejechali przez bramę Czterech Wiatrów, starannie utrzymywanego domu Jeffersonów. Dom był mały, ale i tak mniej więcej trzy razy większy od mieszkanka Tary i Finna. Gloria otwarcie czyniła uwagi na temat tego, że młodzi mogliby sobie pozwolić na coś większego, gdyby tylko przeprowadzili się z miasta bliżej Czterech Wiatrów. Ale Tara wołała nieustające liczenie każdego grosza, wyrzekanie się luksusów i posiadanie łazienki wielkości szafy wnękowej, o ile tylko dzięki temu znajdowała się daleko od teściowej.

– Będziemy mieć kłopoty – rzekł posepnie Finn.

Nawet on uznał, że jego matka się wścieknie z powodu spóźnienia. Co za tym idzie, to Tara próbowała go pocieszyć.

– Wychodzimy tylko na krótką kolację. Wystarczy mi pięć minut, by się przebrać.

– Wiem – odparł – ale mama nie będzie zadowolona. Wychodzimy razem z Baileyami-Montfordami, a mamę i Liz B-M łączy swego rodzaju rywalizacja, więc wszystko musi być idealnie. Przywiozłaś na dzisiejszy wieczór coś eleganckiego?

– Widziałeś przecież, co pakowałam – rzekła zaskoczona Tara. – Nie mam ze sobą nic szczególnie eleganckiego, na żaden dzień. Sądziłam, że to po prostu spokojna kolacja z przyjaciółmi rodziny. Ani słowem nie wspomniałeś, że ma tak wielkie znaczenie. – Tara pomyślała o swojej walizce ze swobodnymi ubraniami, które wcześniej uznała za odpowiednie na rodzinne Boże Narodzenie. Zabrała ze sobą kilka swetrów, białą koszulę stylizowaną na męską koszulę frakową, spodnie khaki, dżinsy na spacer po śniegu z Finnem i sztruksową sukienkę w kolorze indygo na pierwszy dzień świąt. Teraz miała na sobie czarne dżinsy, czarny golf i ukochany kożuch. Pakowała się w pośpiechu i przez to przywiozła za dużo ubrań, ale mimo to żadnej z wrzuconych do walizki rzeczy nie dało się określić mianem eleganckiej. – Dlaczego mi nie powiedziałeś, że trzeba się będzie wystroić? – zapytała.

– Myślałem, że będziesz wiedziała – mruknął Finn, gdy zaparkował samochód.

– Wiesz co? – Tara zaczynała się robić zła. – Przywiozłam ze sobą takie ciuchy, jakie podczas świąt nosiłabym w Kinvarrze. Tam byłyby odpowiednie. Chcesz mi powiedzieć, że twoja matka ma zamiar odstawić się dzisiaj jak stróż w Boże Ciało, i w inne dni także?

Milczenie Finna stanowiło wystarczającą odpowiedź.

– Super. Naprawdę świetny początek – oświadczyła Tara. W oddali majaczyła kolejna krecha u teściowej.

– Nie kłóćmy się – rzekł błagalnie Finn.

Tara posłała mu spojrzenie pełne rezygnacji.

– Masz rację – odparła. U Jeffersonów będzie wystarczająco kłótni bez ich osobistego wkładu. Gloria potrafiła się kłócić doprawdy po mistrzowsku.

Desmond otworzył drzwi, zanim jeszcze zdążyli nacisnąć dzwonek.

– Witaj, Taro, wesołych świąt, witaj, Finn – powitał ich.

Był wysokim, nieśmiałym mężczyzną, starszą wersją Finna, z takimi samymi niesfornymi jasnymi włosami i zyczliwą przystojną twarzą. Jego znajomi często opisywali go jako „jednego z prawdziwych dżentelmenów”. Zanim odszedł niedawno na emeryturę, pracował jako urzędnik służby cywilnej Departamencie Spraw Zagranicznych. Obecnie planował spędzać dużo czasu w ogrodzie. Tara uważała, że teść pragnie po prostu przebywać jak najdalej od Glorii, co nie znaczy, by Desmond coś takiego powiedział. Był zbyt uprzejmy, a poza mu lubił spokój.

Pocałowała go z czułością w policzek i podała małe zawiniątko.

– Sekretny prezent – wyszeptwała. – Krówka.

Desmond uśmiechnął się.

– Nasz sekret – kiwnął głową, wsuwając prezent do kieszeni spodni.

Tak jak i synowa, uwielbiał słodkości, ale Gloria narzuciła mu ostrą dietę. Tara wiedziała, że bez żadnego racjonalnego powodu, ponieważ Desmond był zupełnie zdrowy, nie miał żadnych problemów z cholesterolem i każdego dnia odbywał sześciokilometrowy spacer.

– Mamcia lubi robić zamieszanie. – Oto, jak wyjaśnił to Finn.

Mamcia lubi wszystko kontrolować, taka była osobista wersja Tary.

Gloria czekała na nich w salonie. Zerknęła szybko na zegarek, po czym uśmiechnęła się, tak jakby nie dostrzegła faktu, że mocno się spóźnili. Miała pięćdziesiąt dziewięć lat, ale wyglądała na co najmniej dziesięć lat mniej dzięki rygorystycznej diecie, comiesięcznych płukankach u fryzjera i pieczołowitemu dbaniu o cerę. Ubrana w czarną suknię wieczorową z satyny, idealnie dopasowaną do jej drobnego ciała, pani Jefferson powinna była wyglądać wspaniale. Efekt jednak psuła twardość w jej jasnoniebieskich oczach i pełna napięcia dezaprobata, widoczna w linii żuchwy.

– Witaj, Glorio – rzekła Tara. – Cudownie cię widzieć. Macie śliczną choinkę.

Tak naprawdę była ohydna. Zaraz uderzy w nią piorun za tyle kłamstw.

– Dziękuję, Taro – odparła Gloria starannie modulowanym głosem. – Ciebie także cudownie widzieć. Finn – dodała słodko z naganą w głosie – nie ogoliłeś się. Za pół godziny wychodzimy.

Uśmiech Finna pozostał niezmienny.

– Nie miałem czasu, mamcia, zbyt byłem pochłonięty pracą – skłamał, kładąc stos zapakowanych prezentów pod choinką. Następnie podszedł do mamy i ją uściskał. Tara nawet nie próbowała; raz to zrobiła i miała wrażenie, że przytula manekin wystawowy.

– Równie chuda i sztywna – powiedziała później Stelli. – To po prostu sekutnica i kropka.

– Przez wiele lat jako żona urzędnika służby cywilnej musiała się zachowywać nienagannie – odparła wtedy uprzejmie Stella. – Jestem pewna, że tak naprawdę cię lubi, jest jedynie bardzo formalna.

– Stello, to najbardziej nieuprzejma osoba, jaką znam. Kiedy ty w końcu zmądrzejesz i zrobi się z ciebie taki stary cynik jak ja? – roześmiała się Tara. – Po każdym spodziewasz się najlepszego.

– Nieprawda – zaprotestowała Stella. – Smutno mi, kiedy patrzę, jak nie dogadujesz się z teściową. Mnie się wydaje miła, musisz dać jej szansę.

– Miała sześć miesięcy od czasu ślubu – odparła ponuro Tara. – I ani razu nie zachowała się, jak należy.

– Zaprowadzę was do sypialni – Gloria wstała łaskawie z krzesła. – Gdybyście się tak nie spóźnili, mielibyście czas na wypicie kawy. Tak czy inaczej – posłała synowej dość pogardliwe spojrzenie – w końcu się zjawiliście.

Tara nie odezwała się ani słowem. Wiedziała, że wcale nie ma przywidzeń. Gloria rzeczywiście była jędzą. Tara szybko się rozejrzała. Pokój miał piękne proporcje dzięki dużym oknom i za dnia roztaczał się z niego widok na drzewa w ogrodzie od frontu, ale wystrój Glorii był zdecydowanie lodowaty. Dominowały bladoniebieskie ściany, jeszcze zimniejszy niebieski dywanik i srebrnoszare fotele. Nawet przy maksymalnie podkręconym ogrzewaniu efekt był zimny. Tak bardzo się to różniło od niewymuszonego uroku Meadow Lodge, gdzie znaczna część mebli rodziców była piękna, ale przy tym stara i kochana. Wszystko w domu Jeffersonów było wyzywająco nowe, tak jakby Gloria co trzy lata wyrzucała całe umeblowanie na śmietnik, pragnąc dotrzymać kroku Jonesom.

Choinka była jeszcze gorsza, przybrana zdecydowanie zbyt małą ilością srebrnych ozdób, ponieważ Gloria nie znosiła ostentacji i uważała, że mniej znaczy więcej. Gdzie się podziały te stare, ukochane ozdoby, które rodzina powinna mieć od wielu lat? Tara pomyślała o choince w wykonaniu jej matki: bogactwo złota i czerwieni z podniszczonymi cherubinkami i ozdobami z drewna, które mieli w posiadaniu od trzydziestu lat i do których regularnie dobierały się domowe koty. Rose przechowywała nawet wyblakłe już papierowe ozdoby, które zrobiła Tara, kiedy miała sześć lat. Gloria wzdrygnęłaby się na widok takiej choinki.

– Mam nadzieję, że przywiozłeś ze sobą ten porządny garnitur – rzekła Gloria do Finna, kiedy prowadziła po schodach do pokoju gościnnego.

– Tak, mamciu – odparł Finn.

Za plecami Glorii Tara pokazała mężowi język, czując się jak niegrzeczna uczennica idąca za surową nauczycielką do gabinetu dyrektora.

Finn w odpowiedzi uszczypnął ją w pośladek.

– Czy to będzie bardzo formalna kolacja? – zapytała niewinnie Tara. – Ponieważ nie zabrałam niczego odpowiedniego.

Gloria odwróciła się na pięcie, zaś jej świdrujące oczy wyglądały niczym nieugotowana soczewica.

– To Liz i Pierre Bailey-Montford – oświadczyła z niedowierzaniem, tak jakby już samo nazwisko wyjaśniało konieczność wystrojenia się. – Z pewnością pamiętasz ich ze ślubu?

Tara pamiętała ze ślubu wiele rzeczy, głównie myślenie o tym, że musi bardzo mocno kochać Finna, skoro wyszła za niego, biorąc w pakiecie Glorię.

– Trochę – odparła, celowo obojętnym tonem.

– Pierre jest właścicielem firmy Meble B-M Magnum! – syknęła Gloria, porzucając pozory.  
– Ich dom ma dwieście lat. Liz wszystkie ubrania kupuje w Paryżu.

Tego właśnie nie lubiła najbardziej w teściowej: całkowicie niewłaściwych kryteriów oceniania ludzi.

– Więc ten strój nie będzie odpowiedni? – Tara wiedziała, że przeciąga strunę, ale nie mogła się powstrzymać.

Gloria zatrzymała się przy drzwiach pokoju dla gości i wpuściła do środka Finna i Tarę.

– Mogłoby się wydawać, że to oczywiste – oświadczyła jadownicę.

– Nie zajmie nam to dużo czasu. – Finn starał się zapobiec wybuchowi wojny. – Tara ma też inne ubrania.

– Taa, stringi do tańca erotycznego i boa z piór, ty stara torbo – mruknęła pod nosem Tara, stawiając walizkę na podłodze.

– Nie denerwuj jej – rzekł błagalnie Finn, kiedy drzwi się zamknęły i zostali sami.

Usiadła na kołdrze, która była niesamowicie kwaciasta, tak jakby projektant przez przypadek nałożył na materiał dwa różne wzory. Już od samego patrzenia na nią bolała głowa.

– Nie denerwuję jej – odparła. – Po prostu nie rozumiem, dlaczego twoja matka przez cały czas uprawia te swoje gierki. Skoro chciała, byśmy przywieźli ze sobą formalne stroje, mogła po prostu zadzwonić i powiedzieć o tym. Ale nie, to by było zbyt proste. – Myśląc o tym, Tara robiła się coraz bardziej zła. – A ona pozwala nam przyjechać i wtedy cała puchnie z dezaprobaty, ponieważ nie zapakowałam sukni koktajlowej. To jest jawna manipulacja i mam tego dość.

– Taro, skarbie, proszę, nie denerwuj się. – Finn usiadł obok i ją przytulił. – Czy nie możemy spędzić tu miłych świąt?

Oparła głowę na ramieniu męża, czerpiąc pociechę z bliskości jego szczupłego umięśnionego ciała. Nigdy nie miała czasu, by chodzić na siłownię, ale Finn bezwzględnie tego przestrzegał.

– Bardzo bym chciała – mruknęła. – Bardzo bym chciała, by nasze pierwsze małżeńskie Boże Narodzenie było wyjątkowe, ale nie wiem, jak mam poradzić sobie z twoją matką.

Finn delikatnie pogłaskał ją po głowie.

– Boże Narodzenie przypomina jej po prostu o Fay. To dla niej trudne.

Tara westchnęła. Fay była przetargową kartą współczucia. Młodsze dziecko Glorii, dwudziestosiedmioletnia siostra Finna wyjechała w świat po potężnej kłótni z matką i od tamtej pory nie odzywała się do niej. Choć Tara nigdy jej nie poznała, ponieważ dramatyczny wyjazd Fay nastąpił dwa lata temu, a wtedy Tara i Finn jeszcze się nie znali, wydawała się jej wolnym duchem. Mieszkała obecnie w Kalifornii, uczyła się uzdrawiania za pomocą energii duchowej i utrzymywała kontakt z Finnem i Desmondem, ale rozłączała się, gdy tylko słuchawkę brała do ręki matka. Wyglądało na to, że energia duchowa nie sięga wszędzie.

Gdyby chodziło o kogoś innego Tarze żal byłoby matki, która została odcięta od córki. Zbyt mocno kochała własną matkę, by kiedykolwiek uczynić coś takiego. Ale znając Glorię od osiemnastu miesięcy, potrafiła zrozumieć, dlaczego ktoś pojechał na drugi koniec świata, by przed nią uciec.

– Spędzimy przyjemne święta – zapewniła Finna.

– Dzięki, mała.

Wydawał się taki wdzięczny. Przynajmniej tyle mógł zrobić. Ugryzie się w język za każdym razem, kiedy Gloria będzie się zachowywać jak żoła.

Tara zdecydowała się na sztruksową sukienkę, dużo szminki i szeroki, przyprawiający o ból szczęki uśmiech. Gloria, która wyraźnie postanowiła poprawić swe zachowanie, nie odezwała się ani słowem i cała czwórka odjechała tak sówką. Finn i Desmond gawędzili radośnie, jakby w ogóle nie dostrzegali, że coś jest nie w porządku.

W restauracji Tara musiała zacząć gryźć się w język od razu, gdy poznała resztę towarzystwa. Jeśli nawet Gloria pozbyła się wszelkich hamulców w sklepie z elegancką odzieżą, to i tak nie mogła się równać z Liz Bailey-Montford, która wystrojona była tak, jakby w każdej

chwili mogło ją sfotografować z „Hello!” do rubryki zatytułowanej „Życie bogatych i pozbawionych gustu”. Klejnoty pobłyskiwały na uszach, nadgarstkach, szyi i palcach, a jej czarna obcisła sukienka stanowiła przyprawiające o zawrót głowy połączenie cekinów i perełek. Tarę oślepił blask tych świecidełek.

Pomiędzy rzekomymi przyjaciółkami biło po oczach pragnienie pokazania swojej wyższości, ponieważ Liz przyprowadziła ze sobą córkę i zięcia i nie marnując czasu, natychmiast wszystkich poinformowała, że Serena robi właśnie magisterium z historii sztuki, Charles zaś jest twardy jak stal i pracuje razem z teściem w ich firmie meblowej.

– Nie wiem, co zrobilibyśmy bez Charlesa – rzekła Liz. – Jest taki zdolny.

Charles miał pozbawioną wyrazu, mało inteligentną twarz i zdaniem Tary nie wyglądał na zdolnego nawet do wymiany żarówki. Ale z całą pewnością miał dużo szczęścia, żeniąc się z Sereną, która była spadkobierczynią królestwa mebli B-M, nie mógł być więc aż tak głupi.

Nastąpiło całe mnóstwo całusów na powitanie, okrzyków w stylu: „Och, wyglądasz wprost cudownie, Glorio! Prawda, Pierre?” i minęło dziesięć minut, nim wszyscy zasiedli do stołu, oczywiście zgodnie z wcześniej ustalonym planem. Tara nie znosiła planów rozsadzania gości. Lubiła siedzieć obok Finna, a nie jak najdalej, za to obok kogoś nieznanego.

Siedzący po jej prawej stronie Pierre sprawiał wrażenie zmęczonego, gdy tymczasem siedzący z drugiej strony Charles nie był nią zainteresowany, dopóki się nie dowiedział, że pracuje przy *National Hospital*. Przez kolejne dziesięć minut zasypywał ją głupimi pytaniami na temat tego, jakie naprawdę są gwiazdy.

– Theodora, to znaczy Sherry – rzekł z błyszczącymi oczami. – Jest olśniewająca, prawda? Czy w prawdziwym życiu też taka jest?

– Chodzi ci o to, czy ugania się za facetami? – zapytała Tara ze znudzeniem. – Mężczyźni ją uwielbiają.

Charles wycofał się pospiesznie.

– O nie, nie chodzi mi o to. Ja jedynie podziwiam jej zdolności aktorskie.

– Oczywiście.

Pojawił się kelner i Gloria i Liz zamówiły melona i rybę bez dodatków.

– Dziękuję – rzekła słodko Gloria do młodego kelnera, który uśmiechnął się promiennie w odpowiedzi. – Naprawdę trzeba uważać – rzuciła w kierunku Liz. – Melon to jedyna opcja. Chwila w ustach...

– ... całe życie w biodrach – dokończyła Liz i obie zachichotały.

Tara przyglądała się temu ze zdumieniem. Nikt nie rozpoznałby jej lodowatej teściowej w tej rozchichotanej kobiecie po przeciwnej stronie stołu. Wśród ludzi anioł, w domu diabeł.

– Ja może też zdecyduję się na melona – odezwała się w zamyśleniu Serena.

– Bzdura! – Gloria była uprzejma, lecz stanowcza. – Nie musisz stosować diety, skarbie. Masz śliczną figurę.

Chociaż nie siedziały obok siebie, Liz, Gloria i Serena rozmawiały ze sobą głośno ponad stołem. Finn i jego ojciec zaśmiewali się z jakiejś opowieści, a Pierre i Charles ożywili się na tyle, by spierać się nad winem. Tara siedziała w milczeniu i obserwowała to wszystko, myśląc, jak wspaniale mama, tata, Stella, Holly i Amelia spędzają teraz czas w Kinvarrze. Nikt nie potrafił wyczarować świątecznej atmosfery tak jak mama, i teraz dom z pewnością wypełniają zapachy świątecznych potraw, a w tle słychać piosenki ulubieńca mamy, Franka Sinatry. Holly i Stella śmieją się, nadziewając indyka, tata zaś radośnie ustawia kieliszki na tradycyjne przyjęcie wigilijne Millerów, które zawsze rozpoczynało się pomiędzy wpół do dziewiątej a dziewiątą. Wszyscy się na nim zjawiali; wszyscy bliscy znajomi rodziny i krewni, a więc niemal połowa mieszkańców Kinvarry. Mama i tata urządzali to przyjęcie, odkąd tylko Tara sięgała pamięcią, i stanowiło ono coś w rodzaju oficjalnego sygnału do rozpoczęcia świętowania Bożego Narodzenia. Pojawiały się całe rodziny, ludzie byli zachwyceni możliwością odprężenia się i zabawienia, drinki krążyły z niezwykłą szybkością i tak dobrze się wszyscy bawili, że tym, którzy początkowo przepraszaali, że mogą wpaść tylko na chwilę, trzeba było pomóc wsiąść do taksówki o wpół do dwunastej, nim cała rodzina udawała się na pasterkę.

Byłoby naprawdę niesamowicie fajnie, bez żadnej pretensjonalności. Tara gorąco zapragnęła być tam i poczuła, jak ściska ją w gardle. Tak łatwo zapomnieć, ile znaczy rodzina, a pamięć się odświeża dopiero wtedy, gdy nie można z tą rodziną przebywać.

Otrząsnęła się z myśli o domu, by usłyszeć, jak Serena, Gloria i Liz rozmawiają o ubraniach.

– Bardzo podoba mi się twoja suknia – mówiła właśnie ciepło Gloria do Sereny. – Mała czarna i ładny złoty naszyjnik to gwarantowany strzał w dziesiątkę.

Tara rzuciła okien na Serenę, która pomimo małej czarnej wyglądała na przyćmioną przez swą ekstrawagancką matkę, ale rzeczywiście miała na szyi ciężki złoty naszyjnik. Tara nie należała do fanek biżuterii, co akurat było wygodne, gdyż Finn z całą pewnością nie miał pieniędzy, które mógł wydawać na błyskotki. Z dwóch pensji udawało im się spłacać kredyt za mieszkanie i opłacać rachunki: pisanie scenariuszy telewizyjnych nie było wcale tak intratne, jak wszyscy uważali. Dlatego właśnie Tara pragnęła pisać dla kogoś takiego, jak Mike Hammond. Uwielbiała pracować przy *National Hospital*, ale gdyby tylko udało jej się wkręcić do pracy nad scenariuszem filmu albo jednej z tych wysokobudżetowych adaptacji telewizyjnych, w które zaangażowany był Mike Hammond, cóż, wtedy znalazłaby się na prostej drodze do sławy i majątku.

– ... cóż – mówiła właśnie jej teściowa – ci ludzie z mediów nie przywiązują takiej wagi do ubioru jak my. – Zniżyła głos. – Noszą się naprawdę swobodnie, co czasami może być niestosowne.

Tara doskonale wiedziała, do kogo pije Gloria. Jędza, jędza do kwadratu.

Popatrzyła przez stół na Finna, który zdawał się być zupełnie nieświadomy tego wszystkiego.

– Czy Sherry ma chłopaka? – zapytał Charles, wyraźnie niezdolny do oderwania od niej myśli.

– Nie, chodzą plotki, że jest lesbijką – burknęła Tara, ale to kłamstwo przyniosło odwrotny skutek, ponieważ Charles ślinił się jeszcze bardziej; bez wątpienia na myśl o leżeniu na łóżku pomiędzy śliczną Sherry a inną olśniewającą kobietą.

Jak nic to jeden z tych facetów o zaściankowych poglądach, którzy postrzegali kobiety o orientacji homoseksualnej jako swego rodzaju perwersyjne wyzwanie. Będzie musiała mu powiedzieć, że tylko żartowała. Odwróciła się do Pierre'a, który był szary na twarzy i próbował nie zasnąć.

– Czekasz pan z niecierpliwością na Boże Narodzenie? – zapytała pogodnie.

Pierre utkwiał w niej lodowate spojrzenie.

– Nie – odparł i skupił uwagę z powrotem na kieliszku z winem.

Tara nakazała sobie stanowczo traktować dzisiejszy wieczór jako czas zbierania informacji. Pisarzowi do tworzenia niezbędna jest obserwacja otoczenia. Ale pomimo jej starań, wobec rozdzielenia z Finnem i konwersacyjnej próżni z Charlesem, wieczór niemiłosiernie jej się dłużył.

Pierre rozruszał się na tyle, by zamawiać kolejne butelki wina, pozostał jednak monosylabiczny.

– Biedny Pierre jest wykończony – przyznała Liz. – W firmie było tyle pracy przed świętami. A co u ciebie, Taro? Opowiedz nam wszystko o wspaniałym życiu znanych i bogatych. Spotykasz wiele gwiazd?

– Sherry, ta dziewczyna, która gra Theodore, jest lesbijką – wtrącił Charles wstrząśniętym tonem.

Tara westchnęła teatralnie.

– Charles, ty kawalarzu, przecież wiesz, że żartowałam! Ona kocha mężczyzn.

To zamknęło Charlesowi usta. Tara odwróciła się w stronę Liz.

– Znam ich wszystkich – westchnęła. – Wszystkie gwiazdy. Jesteśmy niczym wielka, szczęśliwa rodzina.

Ups, kolejne kłamstwo. Wielkie gwiazdy telewizyjne nie miałyby czasu dla podrzędnych scenarzystów jej pokroju.

– Naprawdę? – Liz nachyliła swój duży biust nad stołem, pragnąc wszystkiego się dowiedzieć. Tara widziała, jak młodemu kelnerowi oczy wychodzą z orbit na widok dekoltu, który teraz stał się jeszcze większy. – A Daniel Anson, ten z *Wywiadów Ansona*? – Liz wymieniła nazwisko jednego z największych w kraju gospodarzy talk-show.

– Znasz go?

Tara kiwnęła głową. Cóż, raz stała za nim w telewizyjnej stołówce; to niemal tak, jakby go знаła.

– Jaki on jest?

Tara pomyślała o zawartości tacy Ansona: hamburger, frytki, napój dietetyczny. Kiedy szukał drobnych, rzucił na tacę paczkę papierosów i zapalniczkę.

– Bardzo normalny – odparła.

– Opowiedz nam o doktorze McCambridge z *National Hospital*. – Serena po raz pierwszy tego wieczoru sprawiła wrażenie ożywionej.

– Jest przystojny – odrzekła Tara zgodnie z prawdą. – Ma to coś, co naprawdę pomaga w pracy przed kamerą...

– Zwierzęcy magnetyzm – mruknęła Serena.

Finn, który wiedział od Tary, że praca z tym aktorem nie należy do najłatwiejszych, zdusił chichot. Tara uśmiechnęła się do niego nad stołem. Jakoś znieśie ten wieczór, mając przy sobie męża.

– Witam ponownie – powiedziała do niego bezgłośnie.

Finn podniósł w jej stronę kieliszek. Tara pomyślała, że rankiem będzie cierpiał z powodu kolejnego kaca.

Było już po jedenastej, kiedy taksówka odwiozła Jeffersonów do Czterech Wiatrów.

Tara, wykończona wieczorem silenia się na uprzejmość w trudnych warunkach, nie pragnęła niczego bardziej niż wślizgnąć się do łóżka i wtulić w Finna. Ale on i jego ojciec uznali, że mocne trunki to doskonały pomysł.

– Do północy została mniej niż godzina, zostaniemy i uczcijmy toastem Boże Narodzenie – zaproponował Desmond.

– Świetna myśl. – Finn padł na wielki szary fotel i wyciągnął ręce do Tary, by usiadła mu na kolanach. Świadoma, że teściowa uzna to za kolejne naruszenie zasad, przysiadła tylko na poręczy fotela i objęła ramieniem Finna.

Gloria gdzieś zniknęła.

– Na co masz ochotę, Taro? – zapytał Desmond, pochylając się nad barkiem.

– Eee... – nie wiedziała. Generalnie piła wino i nie była amatorką mocniejszych trunków, nie licząc ginu z tonikiem raz na jakiś czas. – Baileys? – zaryzykowała. – Na cześć Baileyów-Montfordów? Może lepiej nie. – Uśmiechnęła się do siebie, Baileys był kremowy i delikatny, gdy tymczasem B-M-owie trudni do przelknięcia.

Usłyszała, jak ktoś wstrząśnięty wciąga powietrze, i podniosła głowę, by ujrzeć wpatrującą się w nią ponuro Glorię, która tymczasem zdążyła wrócić.

– Powiedziałam to na głos? – zaśmiała się Tara. Musiała wypić więcej wina, niż sądziła. – Przepraszam, Glorio.

– To mili ludzie – odezwał się Desmond, wieczny rozjemca. – Ale niełatwo jest znaleźć się w grupie ludzi, którzy dobrze się znają. Jestem pewny, że ty i Finn wolelibyście zostać w domu.

Tak czy inaczej podał Tarze duży kryształowy kieliszek z likierem, a ona wzięła go, mruczając podziękowanie, spokorniała po tej delikatnej reprimendzie Desmonda.

Gloria poprosiła lodowatym tonem o creme de menthe.

– Odrobinę, Desmondzie – rzekła, posyłając jadowite spojrzenie Tarze i jej napełnionemu po brzegi kieliszкови.

– Ja sam sobie coś wybiorę, tato – oświadczył Finn. – Muszę zobaczyć, co macie.

Desmond zasiadł w drugim fotelu ze szklaneczką brandy, Tara zaś patrzyła, jak jej mąż przegląda zawartość barku, po czym nalewa sobie wielką szklankę cointreau.

– Rano będziesz umierał – wyszeptła, kiedy usiadł przy niej.

– Muszę jakoś odciąć się od tych sprzeczek – odszepnął, trącając nosem jej ucho. – Jedyne sposoby to stan całkowitego upojenia alkoholowego.

Wszyscy siedzieli i w milczeniu sęczyli swoje drinki.

– Miło jest – odezwała się uprzejmie Tara, próbując rozładować atmosferę.

– Szkoda, że nie bawiłaś się dobrze podczas kolacji. – Głos Glorii był lodowaty.

Tara wzruszyła ramionami. Skoro Gloria chciała się tak zachowywać, to jej sprawa.

– Mamciu i tato, mówiłem wam, że w marcu wybieramy się na narty? – zapytał Finn.

– Nie mówiłeś. Dobrze wam, synu. – W głosie Desmonda pobrzmiwała zazdrość. – Uwielbiam narty.

– Wcześniej tak trochę planowaliśmy, by jechać w czasie świąt – rzekł Finn. – Ale oczywiście, nie chcieliśmy was zawieść – dodał pospiesznie.

Tara nie odezwała się ani słowem. Nie znosiła takich wymuszonych rodzinnych rozmów. W jej domu wszyscy pletli trzy po trzy o wszystkim i o niczym. Nie tak jak tutaj. Odnosiła wrażenie, że Finn i jego ojciec boją się powiedzieć coś niewłaściwego, czym nieumyślnie mogliby zdenerwować Glorię.

Zerknęła na zegarek. Jeszcze dłużące się nieznośnie czterdzieści minut i oficjalnie nastanie Boże Narodzenie. Wszyscy będą mogli iść spać.

– Mam nadzieję, że spędzenie świąt z ojcem i ze mną zamiast na nartach nie jest zbyt wielkim poświęceniem – oświadczyła płaczliwym tonem Gloria. – Uważam, że Boże Narodzenie to czas dla rodziny. – Jej chuda twarz była napięta pod idealną warstwą podkładu.

– Wiemy o tym – odparł swobodnie Finn. Nigdy nie okazywał matce nawet cienia irytacji. Tara zastanawiała się, w czym tkwi sekret takiego zachowania.

Gloria pociągnęła nosem, jakby zaraz miała się rozpląkać. Tarze nie wydawało się możliwe, by z małych, obrysowanych eyelinerem oczu teściowej dało się wycisnąć łzy.

– Wiem, że to samolubne z mojej strony, kochanie, ale lubię w tym czasie mieć przy sobie rodzinę.

Posiała jadowite spojrzenie Tarze, która cała zeszywniała. Było jasne, że Gloria nie ma na myśli jej. Synowa odpowiedziała spojrzeniem pełnym gniewu. Następnie w jej głowie rozległ się głos małego demona.

Rose Miller rozpoznałaby złośliwy błysk w oczach córki, ale Gloria pozostawała niczego nieświadoma.

– Ponieważ to pierwsze Boże Narodzenie po przejściu ojca na emeryturę – kontynuowała – pomyślałam sobie, że nasza trójka powinna być razem. – Kolejne cierpiętnicze westchnienie.

Tara miała już dość baileysa i uznała, że ma ochotę na szybkie wyjście.

– Dlaczego Fay nie przyjeżdża do domu na święta? – zapytała niewinnie.

Warto było zobaczyć wyraz przerażenia na twarzy Glorii. Nawet Finn wyglądał na nieco przestraszonego. Nikt nigdy nie wspominał Fay w obecności jego matki.

– Nie rozmawiamy o Fay – odpowiedziała lodowato Gloria.

Tara uśmiechnęła się na tyle współczująco, na ile była w stanie, i przechyliła głowę na bok.

– To takie smutne, Glorio. Cudownie byłoby zapomnieć o przeszłości i powitać Fay w domu. Boże Narodzenie to przecież święto rodzinne.

Twarz Glorii pociemniała.

– Patrzcie tylko, która godzina – odezwał się łagodnie Desmond, wstając z fotela. – Powinniśmy iść spać, w przeciwnym wypadku jutro będziemy wykończeni. Wesołych świąt. – Uściskał synową i syna, następnie objął ramieniem żonę.

– Chodź, moja droga, czas do łóżka.

Wyprowadził ją z pokoju, Tara zaś odwróciła się w momencie, gdy Finn dopijał cointreau.

– Jeszcze po jednym? – zapytał, kierując się w stronę barku.

– Nie – odparła Tara, nagle ogarnięta wyrzutami sumienia. – Czy to konieczne? Nie uważasz, że wystarczy jak na jeden wieczór?

– Nie ma sensu zrzucać winy za tę małą scenę na wypicie zbyt dużej ilości alkoholu – przekomarzał się Finn, nalewając sobie kolejnego drinka. – Tak czy inaczej wygląda im to, że znalazłaś idealny sposób na szybkie wysłanie mojej matki do łóżka.

– Przepraszam – rzekła Tara. – Nie chciałam zasmucić twego ojca.

Desmond wyglądał na bardzo smutnego, gdy wspomniała imię jego córki.

Finn usiadł na fotelu z drinkiem w rękę.

– Tacie nic nie będzie. Wiesz przecież, że ma kontakt z Fay. Może spokojnie wysyłać jej z domu e-maile, ponieważ mamcia w ogóle nie zbliża się do komputera. Masz jednak rację, Fay powinna przyjeżdżać do domu. Chce po prostu, by mamcia cierpiała.

Tara doskonale to rozumiała.

– Nie było powodu, by ją wspominać – dodała. – Źle się z tym czuję. Ze względu na twój ojca. – Nie żałowała, że sprawiła ból Glorii. Sama się o to prosiła.

– Zapomnij o tym. – Finn nie sprawiał wrażenia przejętego.

Popatrzyła na niego z ciekawością.

– Jak to możliwe, że podchodzisz do tego na takim luzie? Twoja matka doprowadza mnie do szaleństwa, ale ty nigdy nawet nie mrugniesz okiem.

Wzruszył ramionami.

– Można się do niej przyzwyczaić. Jest bardzo nerwowa, to wszystko, a drink pomaga sobie z nią radzić.

Tara rozmyślała chwilę o kolejnych sposobach wyprowadzenia teściowej z równowagi, po czym potrząsnęła głową, pełna wyrzutów sumienia. Gotowa się jeszcze była przekształcić w taką samą jędzę jak Gloria.

– W każdym razie to właśnie w tobie podziwiam – dodał Finn. – Walisz prosto z mostu to, co masz na myśli.

W głowie Tary pojawił się nagle obraz pozbawionej taki u ciotki Adele i wzdrygnęła się. Będzie musiała uważać na to, co mówi, w przeciwnym razie zmieni się we własną ciotkę.

\*\*\*

W tym samym czasie w Kinvarrze bardzo pijana pani Freidland protestowała przeciwko podaniu jej czegoś pozbawionego procentów.

– Poproszę wino – oświadczyła głośno, kiedy Stella próbowała wręczyć jej wysoką szklanę z lemoniadą.

Półtorej butelki wystarczy, pomyślała Stella.

– Przystajemy teraz serwować alkohol na cześć Bożego Narodzenia – rzekła poważnie. – Zawsze tak robimy na końcu przyjęcia.

– Naprawdę? – Panią Freidland zafascynował ten pomysł. Jacyż ekscentryczni ci Millerowie. Niegrzecznie jednak byłoby klócić się, a po za tym nagle poczuła się bardzo zmęczona. Może po prostu usiądzie i trochę odpocznie. Albo nawet się zdrzemnie. Rose miała na wszystkich krzesłach śliczne, wygodne poduszki.

Stella zaprowadziła panią Freidland na krzesło i rozejrzała się w poszukiwaniu pana Freidlanda, który na początku oświadczył, że on i jego żona przed dziesiątą muszą jechać na inne przyjęcie. Teraz było wpół do dwunastej. Dostrzegła go w jednym z kątów z kieliszkiem czegoś rubinowo-czerwonego, co z całą pewnością zawierało alkohol.

Taksówkarze w Kinvarrze zbijają dzisiaj majątek. Rose zawsze ich wcześniej rezerwowała i kierowcy wiedzieli, że wynagrodzi im czekanie sowitym napiwkami.

Kiedy już pani Freidland usadowiła się na miękkich poduszkach, Stella powróciła do krążeń po domu, by się upewnić, że wszyscy mają coś do picia. Znajdował się tu tłum ludzi, gawędzących, śmiejących się i z apetytem jedzących domowe kanapki Rose. Przecisnąwszy się przez gości, Stella znalazła matkę w kuchni. Parzyła właśnie kawę. Rose wyglądała równie nienagannie jak zawsze, włosy miała zebrane do góry, a przy miedzianej sukni z dekoltem w szpic jej twarz wydawała się lekko zarumieniona. Ale Stella dostrzegła w oczach matki znużenie. Rose bardzo się napracowała, by urządzić udane przyjęcie, przerywając tylko po to, by coś przegryźć albo napić się wody. Wszyscy widzieli, jak Rose Miller przechadza się po swym

uroczym domu, każdego racząc miłym słowem. Nie widzieli natomiast wzmożonej aktywności w kuchni podczas przyjęcia ani wcześniejszych gorączkowych przygotowań.

– Jesteś trochę jak łabędź, mam – powiedziała z czułością Tara. – Nad powierzchnią wody pogodna i spokojna, a pod nią przebiegająca szaleńczo nogami!

Rose spodobało się to porównanie. Szkoda, że nie ma tu dzisiaj Tary, pomyślała Stella. Bez niej to nie to samo, choć Holly pracowała za dwóch: roznosząc tace zjedzeniem i drinkami. I wyglądała cudownie świątecznie w seksownej sukience z czarnej koronki, z bożonarodzeniowym czerwonym kwiatem z jedwabiu wpiętym we włosy i ustami błyszczącymi szkarłatem w odcieniu gwiazdy betlejemskiej.

– Przesprzedaż – wyjawiała zadowolona Holly, kiedy wcześniej Stella podziwiała sukienkę i sposób, w jaki przylega do krągłości jej siostry. – Była strasznie tania, ponieważ miała rozdarcie pod pachą, ale to naprawiłam. Wiesz, że nie lubię rzeczy, które są bardzo dopasowane, bo podkreślają wszystkie fałdki i tłuszczyczek, ale Bunny powiedziała, że mi pasuje...

– Jakie fałdki i tłuszczyczek? – zapytała ostro Stella. – Uważam, że nie powinno ci się pozwolić zbliżać do kolegów taty: wszyscy będą cię obmacywać i mówić, że wyrosłaś na piękną kobietę.

Holly roześmiała się.

– Marne szanse.

Kochana Holly. Stella z całego serca pragnęła przekazać siostrze choć trochę pewności siebie.

– Mam poprosić w korporacji, by sprawdzono, gdzie się w tej chwili znajdują taksówki, które zamówiliśmy? – zapytała teraz matkę.

– To może i dobry pomysł – odparła Rose. – Sama chciałam to zrobić, ale utknęłam tutaj...

– W porządku, ja się tym zajmę.

– Zarezerwowałam dziesięć taksówek na wpół do dwunastej – powiedziała Rose. – Ale dzisiaj na pewno będą nieco spóźnione. Może razem z Holly zbierzcie ludzi, którym w żadnym wypadku nie powinni prowadzić samochodu i pokierujcie ich w stronę korytarza.

– Mama wygląda na nieco zestresowaną – rzuciła Stella do Holly, kiedy stały przy drzwiach i machały na pożegnanie Freidlandom, Wilsonom i grupie innych radosnych, chwiejących się na nogach ludzi, z których większość wpadła kilka godzin temu „dosłownie na pół godziny”.

– Wiem – odparła Holly. – Wszystko było dobrze, dopóki nie odebrała przed godziną tego telefonu. Zrobiła się dosłownie biała na twarzy. Prawdę powiedziawszy, myślałam, że Tara miała wypadek albo coś w tym rodzaju.

– Kto to był? – zapytała z ciekawością Stella. Nawet nie słyszała, że dzwonił telefon.

– Nie wiem. Nie miał jednak żadnego związku z Tarą. Powiedziała, że to nic takiego. Najpewniej pomyłka – dodała.

Stella wyglądała na zaniepokojoną.

– Mam nadzieję, że mama powiedziałyby nam, gdyby coś było nie tak. Ale wiesz, jak pełna jest determinacji, by ze wszystkim sobie radzić. Uparta jak osioł...

– Jak się mają moje uroczę dziewczęta?

Najlepszy przyjaciel ich ojca, Alastair Devon, zjawił się w korytarzu razem z Hugh i objął czule Holly i Stellę.

– Na szczęście chociaż jeden gość wychodzi od nas trzeźwy – rzekł jowialnie Hugh, otwierając drzwi.

– Ktoś musi zachować zdrowy rozsądek – odparł Alastair, całując na pożegnanie Holly i Stellę. – Ta hałastra piła, jakby jutro świat się kończył.

– Ja nie. – Żona Alastaira, Angela, która wyszła za nim przyjęcia, wydawała się urażona.

Jej mąż uśmiechnął się szeroko i ujął jej dłoń.

– Przepraszam, kochanie. Wśród tej hałastry jest dwoje rozsądnych ludzi.

– No a my? – zapytała Stella, uśmiechając się i pokazując na siebie i Holly.

Hugh popędził Alastaira do wyjścia.

– Idź już, zanim zostaniesz zlinczowany, Alastair. Wiesz przecież, że dla kobiet nic, co powiemy, nie jest właściwe.

Powoli wszyscy goście opuścili dom i rodzina została sama. Na każdej dostępnej powierzchni znajdowały się kieliszki, szklanki i zgniecione serwetki i Stella westchnęła na myśl o sprzątnięciu tego bałaganu. Przyjęcia były wspaniałe, ale ich następstwa wcale nie.

– Zacznę tutaj sprzątać – rzekła Rose, biorąc do ręki tacę. – Na pasterkę musimy wyjść dopiero za dziesięć minut.

– Nie zaczniesz – oświadczyła stanowczo Stella, zabierając matce tacę. – Odpocznij i się wyszykuj. Ja nie muszę, więc się tym zajmę.

Zostawała w domu z Amelią, która pomimo błagań, by pozwolono jej pobyc z dorosłymi, spała już jak suseł.

Choć raz Rose uległa.

– Dzięki, Stello, skarbie.

– Mamusiu, czy już czas? – zapytał od drzwi zaspany głos. Stała tam Amelia, mrużąc oczy ze zmęczenia, ubrana w fioletowe sztruksowe spodnie i haftowaną liliową bluzę. Musiały ją obudzić głosy wychodzących gości. – Jestem już dużą dziewczynką, mogę więc iść z wami?

Rose siedziała wraz z rodziną w jednej ze środkowych ławek strzelistej katedry w Kinvarrze i wpatrywała się w ołtarz. Amelia oparła się o nią z na wpół zamkniętymi oczami.

– Dorośli idą, by po raz pierwszy zobaczyć małego Jezuska w żłóbku – mówiła wcześniej z nieszczęśliwą miną. – Dlaczego ja nie mogę? Becky i Shona idą. Nie jestem już dzieckiem.

– Będiesz zbyt śpiąca – odparła Stella.

– Nie będę. – Amelia była uparta.

– Pozwólmy jej, skoro tak bardzo chce – powiedziała Rose. – Możesz siedzieć obok mnie, Amelio, i będziemy się przytulać.

Na początku siedziała obok babci z szeroko otwartymi oczami, ale teraz dopadało ją zmęczenie. Nawet myśl o zobaczeniu w żłóbku Jezusa nie pomogła i Amelia przytuliła się do miękkiego płaszcza z wielbłądziej wełny należącego do babci.

Po drugiej stronie Rose siedziała Holly, która także nie wyglądała na szczególnie rozbudzoną. Nachyliła się w stronę Hugh siedzącego na brzegu ławki. Uwielbiała swego ojca i czuła z nim większą bliskość niż z matką. Rose o tym wiedziała. W przeszłości w razie kłopotów Holly zawsze biegła do Hugh.

Kątem oka Rose widziała głowę męża, dumnie uniesioną nawet o północy. Hugh wyglądał tak, jakby w pełni się koncentrował na mszy, choć Rose z doświadczenia wiedziała, że bez względu na to, jak bardzo wydaje się skupiony, jego myśli potrafią błądzić bardzo, bardzo daleko.

Rose wiedziała, że gdyby to ona nie poświęcała czemuś uwagi, zdradziłyby ją oczy, choćby nie wiadomo jak wytrwale ćwiczyła odpowiedni wyraz twarzy. Wpatrywała się w ołtarz i rozmyślała o telefonie, który podczas wigilijnego przyjęcia eksplodował niczym granat.

To cud, że w ogóle usłyszała ten telefon przy całym czynionym przez gości hałasie i wtórze Sinatry, wyśpiewującego swe stare przeboje.

– Szukam Hugh – odezwał się głos po drugiej stronie. Kobieta.

– Cóż, proszę chwileczkę poczekać... – Rose podniosła słuchawkę telefonu stojącego na korytarzu, wzięła ją więc ze sobą kilka metrów dalej, by móc zajrzeć do salonu. Zobaczyła srebrzystą głowę Hugh górującą nad większością gości. Znajdował się w samym centrum grupy w pobliżu pianina i nie bardzo mogła mu przerwać. Miała nadzieję, że Hugh nie zaczął wspólnego śpiewania. Zawsze godziny całe trwało, nim namówiło się ludzi do śpiewania, i dwa razy tyle, by ich uciszyć. Jeśli pianino będzie grało, nikt nie wyjdzie przed świtem.

– Obawiam się, że Hugh nie może teraz podejść do telefonu – rzekła uprzejmie. – Czy mam mu coś przekazać?

Nawet wypowiadając te słowa Rose pomyślała, że to dziwne, iż ktoś dzwoni do ich domu i nie rozpoznaje jej i nie mówi: „Witaj, Rose”. O ile nie jest to oczywiście służbowy telefon, no ale kto by to robił o dziesiątej w Wigilię?

– Muszę z nim porozmawiać. – Kobieta była uparta i w jej głosie słychać było coś jeszcze, coś, co Rose nie do końca umiała rozpracować.

– Mamy właśnie przyjęcie – wyjaśniła Rose, nadal uprzejmie. – Nie mogę prosić go teraz do telefonu. Jest pani pewna, że nie chce, bym mu coś przekazała? Jeśli to pilna sprawa natury prawnej, mogę podać pani numer kogoś innego z kancelarii Miller i Lowe. – Wzięła już nawet do ręki długopis, gotowa zapisać w notesie wiadomość, choć nie potrafiła sobie wyobrazić, co może być aż tak pilnego, by właśnie teraz wymagało porady prawnej.

– Nie chcę nic przekazać – odparła przesłodzonym głosem kobieta. – To nie sprawy służbowe. Dziękuję.

Rose stała słuchając głuchego sygnału w słuchawce. Powoli ją odłożyła.

Na dół właśnie schodziła Holly, niosąc jakieś płaszcze.

– Zła wiadomość? Nic złego nie stało się z Tarą, prawda?

– Oczywiście, że nie. – Rose udało się uśmiechnąć słabo. – To po prostu pomyłka. Muszę bieć i zajrzeć do piekarnika.

Pofrunęła do kuchni, zamknęła drzwi i usiadła na ławce pod oknem, czując, jak na jej całe ciało występują kropli zimnego potu. Wiedziała już, co ją niepokoiło w głosie tej kobiety, odgadła, co to jest: drwina.

\*\*\*

W południe w dzień Bożego Narodzenia Stella i Amelia pojechały do domu Adele, by przywieźć ją na obiad. Amelia, uszczęśliwiona ogromną ilością prezentów od Świętego Mikołaja, nie wspominając o różowej maszynie do pisania od nieobecnych Tary i Finna, jedynie podstępem dała się od nich oderwać.

– Ciotka Adele ma twój prezent pod choinką i może o nim zapomnieć, jeśli nie pojedziesz ze mną, by go zabrać – oświadczyła nieszczerze Stella.

– Pewnie, mam – powiedziała Amelia, natychmiast odrywając się od maszyny do pisania, na której mozolnie po raz dziesiąty wystukiwała swoje imię. – Co ma dla mnie?

Spojrzenia Rose i Stelli skrzyżowały się.

– Na pewno coś ładnego – zapewniła Rose.

Pojechalby z nimi Hugh, ale rankiem obudził się z bolącym gardłem i siedział teraz wygodnie przed telewizorem, rozpieszczany przez Holly.

Adele była wczoraj wieczorem na specjalnym nabożeństwie połączonym ze śpiewaniem kolęd i dlatego nie wzięła udziału w przyjęciu. Rozdrażniona, że ją ominęło, zachowywała się zgryźliwie.

– Pewnie wczorajszy wieczór okazał się największą atrakcją sezonu – warknęła, gdy tylko Stella i Amelia pojawiły się w drzwiach. – Jestem pewna, że twoja matka jak zawsze przeszła samą siebie.

Stella nakazała sobie w myślach policzyć do dziesięciu. Nic, uznała, lepiej do stu.

– Przyjęcie było przemiłe, ciociu – rzekła spokojnie. – Brakowało nam ciebie.

Adele nieco złagodniała.

– Pójdę po torebkę – rzekła. – Prezenty są w salonie, Stello. Myślę, że dasz sobie z nimi radę.

Na podłodze salonu znajdował się Mount Everest z paczkami. Stella westchnęła, myśląc o ułożeniu ich wszystkich w samochodzie. Adele zawsze kupowała wielkie, nieświęteczne rzeczy w rodzaju patelni i stojaków na gazety z imitacji bambusa, które spodobały jej się w katalogach. W ciągu minionych lat Stella została obdarowana dwiema tacami do jedzenia w łóżku i przynajmniej trzema ozdobnymi ścierkami do naczyń ze sloganami o tym, że kuchnia jest duszą domu.

– Mogę otworzyć teraz swój? – wyszeptala Amelia, klękając, by odczytać imiona na karteczkach.

– Lepiej nie – odparła Stella.

W samochodzie Adele trochę odtajała, ale warstwa lodu wróciła na swoje miejsce, gdy tylko znalazła się w Meadow Lodge i zobaczyła, że stolik na korytarzu ugina się pod ciężarem wielkiego bukietu kwiatów, który Rose otrzymała wczoraj od jednego z gości. Za późno, Stella zobaczyła, jak Adele ze zmrużonymi oczami czyta bilecik wychwalający Rose i jej „słynną

Millerowską gościnność". Stella pomyślała, jakie to smutne, że ciotce nigdy nie udało się wyzbyć zazdrości o Rose. Żadna z nich nie miała sióstr; byłoby przecież tak cudownie, gdyby kochały się w taki sposób jak Stella, Tara i Holly.

– Biedny Hugh, jak się czujesz? – Adele usiadła obok brata i ujęła jego dłoń, jakby był jakimś wiktoriańskim bohaterem, mogącym w każdej chwili wyzionąć ducha.

– Jakoś sobie radzę, Adele – odparł stoicko Hugh.

Stella przygryzła wargę, układając prezenty ciotki pod choinką. Następnie zostawiła Amelię, pochłoniętą dalszym stukaniem w maszynę, i udała się do kuchni.

Zapach jedzenia był zniewalający, ale w normalnie nic skazitelnie czystej kuchni panował nieład: wszędzie poniewierały się rondle, obierki warzyw i różne utensylia kuchenne. Co najmniej połowa szafek otworzona była na oścież, a im płytkach, tam gdzie coś się wylało, leżały kawałki ręczników papierowych. Rose próbowała właśnie wepchnąć indyka wielkości małego strusia z powrotem do piekarnika.

– Pachnie niesamowicie, mamó – rzekła Stella, rozglądając się, w czym by tu pomóc. Jej matka normalnie była taka zorganizowana i dzisiejszy chaos wydawał się czymś nic zwykłym. – Tata ci pomagał? – zapytała z szerokim uśmiechem.

– Nie. – Jej matka zatrzasnęła głośno piekarnik i wyprostowała się, wzdychając przy tym. – Siedzi przed telewizorem, zgrywając umierającego łabędzia, i prosi o gorące napoje z cytryną i miodem.

W głosie Rose wyczuwało się nietypowe dla niej napięcie.

– Przyjechała Adele, więc może się nim zaopiekować – rzekła lekko Stella.

– Proszę bardzo – warknęła Rose, włączając czajnik.

Stella zabrała się za wycieranie kuchennej podłogi.

– Tęsknisz za Tarą? – zapytała ze współczuciem. Kiedy matka nie udzieliła jej natychmiastowej odpowiedzi, Stella uczyniła to za nią. – Dziwnie jest bez niej, ale pewnie będziemy musieli się przyzwyczaić do tego, że ma męża i jest inaczej.

Rose wrzuciła do dwóch kubków torebki z herbatą. Tęskniła za Tarą jak diabli i nie podobało jej się to, że ta nieprzyjemna Gloria, która nie doceniała synowej, cieszy się teraz jej towarzystwem. Ale brak Tary był tymczasowy, to coś, z czym Rose mogła żyć, ponieważ wiedziała, że za kilka dni jej córka wpadnie do Kinvarry niczym huragan, a wszyscy będą się śmiać i natychmiast zapomną o jej nieobecności w trakcie świąt. Bardziej kłuło ją w sercu na wspomnienie tego enigmatycznego telefonu. Klucie głęboko zakorzenione niczym ból zęba, nieprzemijające. Rose doskonale wiedziała, co oznaczał ten telefon.

– Oczywiście, że tęsknię za Tarą. – Rose podała jeden kubek Stelli. – Ale to przecież naturalne, że spędza czas z rodzicami Finna. Prawdę powiedziawszy, to nie spałam zbyt dobrze, tyle tylko mi dolega.

– Mamó, dlaczego nic o tym nie powiedziałaś? – zapytała z irytacją Stella. – Holly i ja mogłyśmy przecież ugotować obiad, a ty byś sobie w tym czasie odpoczęła.

– Wesołych świąt, Rose – rzekła Adele, wkraczając dostojnym krokiem do kuchni, niosąc pozostałości po różnych lekarstwach na ból gardła Hugh. Pociągnęła nosem, marszcząc go z powątpiewaniem. – Indyk? W domu zawsze mieliśmy gęś...

– Tak, to indyk, Adele – odparła Rose, używając spokojnego, wyważonego tonu, który jak się przekonała, najlepiej się sprawdzał w wypadku jej szwagierki. Reagowanie na któryś z przytyków Adele bywało zgubne w skutkach. – Wesołych świąt – dodała. – Ale nalegam, byś niczym się nie zajmowała. Powinnaś odpocząć i dobrze się bawić. Jesteś naszym honorowym gościem.

Pochlebstwo i stoicki spokój stanowiły klucz do radzenia sobie z drażliwymi członkami rodziny. Rose sporo musiała znieść, nim się tego nauczyła.

– Rzeczywiście jestem zmęczona – Adele połknęła haczyk. – Wczorajsze nabożeństwo z kolędami było wyczerpujące dla całego chóru.

Stella, która uważała, że jej ciotka śpiewa niczym duszony kot, i mogła sobie tylko wyobrazić śpiew chóru z towarzyszeniem Adele, stłumiła uśmiech.

– Mogę cię czymś poczęstować, ciociu? – zapytała.

– Być może herbatą, dla mnie i biednego Hugh. Jest wykończony.

Ta ostatnia uwaga skierowana była do Rose i miała przypomnieć o tym, że Hugh wymaga specjalnego traktowania, pozostającego daleko poza możliwościami żony. Ale Rose jedynie kiwnęła głową i wróciła do gotowania. Chętnie opowiedziałyby Adele o jej ukochanym braciszku pewnego dnia. Miałyby wtedy za swoje.

Tuż przed obiadem otworzono resztę prezentów.

Holly bardzo spodobał się serwis kawowy, składający się z maleńkich filiżanek i spodeczków, w którego poszukiwaniu Rose przeszukała wiele sklepów z antykami.

– Są piękne! – wykrzyknęła, podnosząc do góry ręcznie malowaną, porcelanową filiżankę, tak delikatną, że wydawała się niemal przezroczysta.

Adele podarowała Holly książkę zatytułowaną *Zasady* i ustrojstwo do powieszenia na kaloryferach i suszenia ubrań.

– Powiedziałam w księgarni, że szukam prezentu dla niezamężnej bratanicy i dowiedziałam się, że ta książka załatwi sprawę. Uczy ona nowoczesne dziewczęta, w jaki sposób zdobyć mężczyznę – rzekła z satysfakcją Adele, podczas gdy Holly z oszołomieniem kartkowała książkę.

– Holly nie potrzebuje, by ktoś ją uczył, jak zdobyć mężczyznę – oświadczyła z żarem Stella.

– Tobie także by nie zaszkodziło, gdybyś do niej zajrzała, moja damo – odparowała Adele.

Rose zagryzła wargę, by powstrzymać ostre słowa. Jak Adele mogła?

– Daj spokój, Dello – odezwał się uspokajającym tonem Hugh. – Nowoczesne kobiety nie chcą mężczyzn. Mają wszystko dopracowane i już nas nie potrzebują. Zgadza się, dziewczęta? – Otoczył ramionami zaszokowane córki i przycisnął je do siebie. – Nie bierz tego do siebie – szepnął do Holly. – Ona chce jak najlepiej.

Najmłodsza Millerówna uśmiechnęła się dzielnie.

– Dzięki, ciociu Adele – rzekła.

Stella posłała siostrze całusa, ciotce zaś ostre spojrzenie.

– Holly, pomożesz mi na chwilę w kuchni? – Wstały i wyszły pospiesznie z pokoju. – Papierosa? – zapytała Stella.

– Muszę bardzo kiepsko wyglądać, jeśli mi mówisz, że potrzebuję papierosa – odparła załośnie Holly.

– Tak, no cóż, nie znam nikogo, kto byłby tak dobry w popelnianiu gaf jak Adele. Usiądźmy sobie w oranżerii. Ty możesz palić, a ja otworzę wino.

Podczas gdy Holly siedziała w niewielkim, sąsiadującym z kuchnią ogrodzie zimowym, Stella otworzyła butelkę chłodzącego się w lodówce wina.

– Zawsze się dziwnie czuję, paląc w domu – Holly zapaliła papierosa. – Przyzwyczyłam się do wychylania przez okno swojego pokoju i wydmuchiwanie dymu na dwór.

– Wolałabym, żebyś to rzuciła – powiedziała ostrożnie Stella.

– Jak dałabym sobie radę z ciocią Adele podczas świąt bez nikotyny? – zaśmiała się Holly.

– Poczekaj tylko, aż powiem Tarze, co dostałaś od Adele. Skona ze śmiechu.

– A może wcale nie – odparła Holly. – Najpewniej dostała w prezencie od Glorii kolejne żelazko albo garnek.

– Teściowie, fuj – wzdrygnęła się Stella. – Taki już jest problem z małżeństwem: człowiekowi wrzucają na głowę całą grupę nowych ludzi.

– Nie mój problem – stwierdziła jej siostra.

– Ani mój – rzekła w zamyśleniu Stella.

\*\*\*

Tego wieczoru w Czterech Wiatrach Tara zaciągnęła Finna do łóżka w połowie nocnego filmu. Chrapał co najmniej przez ostatnie dwadzieścia minut *Nietykalnych*, choć kiedy go obudziła upierał się, że oglądał film i że jeszcze nie obejrzel najlepszych scen.

– Spałeś – syknęła.

– Fssale nie – wymamrotał. – Och, no dobra.

Boże Narodzenie u Jeffersonów stanowiło klasę mistrzowską taktyk zimnej wojny. Tara i Finn pojawili się rano dopiero o jedenastej, co było pierwszym błędem – Tary naturalnie. Finn cierpiał z powodu kaca, a jego żona z powodu tego, że w ogóle musi przebywać w Czterech Wiatrach. Kiedy zeszli na dół, gdzie naburmuszona Gloria zbierała się właśnie do kościoła bez swego syna i dziedzica, Tara wydusiła z siebie przeprosiny za to, że tak późno wstali.

Glorii nie przepełniała chrześcijańska dobroć w ten dzień narodzin Chrystusa.

– Dzień dobry, a może powinnam powiedzieć dobry wieczór – wypaliła.

– Ja też ci życzę wesołych świąt, Glorio – powiedziała słodko Tara.

Podczas wręczania prezentów okazało się, że teściowa w tym roku przeszła samą siebie, obdarowując Finna spinkami do mankietów od Tiffany'ego i piękną koszulą frakową, Tarę zaś tosterem.

Od tego momentu stanęły na równi pochyłej, do tego stopnia, że Finn dopilnował, by telewizor w pokoju przylegającym do jadalni grał głośno, tak by fonia filmu *Chitty Chitty Bang Bang* wynagradzała brak rozmów przy świątecznym stole.

Wypowiadając czasem parę słów o niczym i jednym uchem nasłuchując ulubionych melodii z filmu, Tara żałowała, że nie siedzi po prostu w sąsiednim pokoju i nie ogląda go.

Po obiedzie Gloria i Desmond naciągnęli na siebie dodatkowe swetry i płaszcze, by udać się na spacer w grudniowe, ciemne popołudnie. Finn, usadowiony w pokoju telewizyjnym razem z Tarą i świeżo otworzoną butelką czerwonego wina, pomachał im na pożegnanie, mówiąc, że za bardzo się objadł tymi pysznościami, by iść na jakikolwiek spacer.

– Obiecuj mi, że w następane święta wyjedziemy z kraju – jęknęła Tara, kładąc się na kanapie w taki sposób, że stopy miała na kolanach Finna. Leniwieje masował, co i rusz delikatnie laskocząc.

– Karaiby? – zasugerował.

– Możemy nawet koczować na zboczu góry bez namiotu, o ile tylko będziemy sami – odparła Tara, po czym pożałowała swej szczerości. – Nie chciałam tego powiedzieć – dodała. – Chodzi po prostu o to, że twoja mama i ja... – urwała.

– Wyluzuj się, skarbie – rzeki Finn, sięgając po kieliszek z winem. – Boże Narodzenie to jedyny w swoim rodzaju test wytrzymałościowy. Nie wiem, dlaczego ludzie z reality TV nie wymyślili show, gdzie wsadzają rodzinę do jednego domu na czas świąt, by się przekonać, jak długo uda im się wytrzymać, nim poleje się krew w kłótni o to, kto dostanie ostatnią zabawkę z niespodzianką. – Połaskotał ją w palce, po czym przesunął dłoń, by pieścić jej łydkę. – Nie znoszę Bożego Narodzenia.

Tara pomyślała, że nie powinno tak być. W Kinvarrze święta nie stanowiły testu wytrzymałościowego. Uwielbiała spędzać je z rodziną. Jakie to smutne, że w przypadku Finna jest inaczej.

Jedyna chwila oddechu nastąpiła wtedy, gdy Finn i Desmond wyciągnęli pudełko z trivial pursuit\* i próbowali nakłonić Tarę, by z nimi zagrała.

\* Gra planszowa z pytaniami z wiedzy ogólnej.

– A twoja matka? – mruknęła do Finna.

– Nie lubi gier planszowych – odparł.

– No to ja wchodzę – rzekła głośno Tara i umościła się wygodnie, by się przekonać, czy uda jej się wygrać.

Kiedy wygrał Desmond, nadeszła pora na kanapki Glorii i kawę, a Tara, która pomyślała, że już nigdy chyba nie spojrzy na jedzenie, z grzeczności dzielnie wcisnęła w siebie dwa trójkąciki bez skórek.

– Czyżbyś nie lubiła kanapek z przyprawioną ostro szynką? – zapytała ostro Gloria.

Czując się niczym gęś tuczona na foie gras, Tara wzięła jeszcze jedną kanapkę i marzyła, by ten dzień już się skończył. Jutro przynajmniej odbędzie się tu przyjęcie, co oznaczało, że zjawi się mnóstwo innych ludzi, dla których Gloria będzie mogła być jędzowata i może zapomni o Tarze.

– Nagram resztę *Nietykalnych* – zaproponował Desmond, gdy Finn i Tara zbierali się do snu. Gdy znaleźli się w swoim pokoju Finn zwalił się w ubraniu na łóżko i zaczął naciągać na siebie kołdrę.

– Jestem wykończony – jęknął.

– Finn, musisz się rozebrać – marudziła Tara, próbując ściągnąć mu buty.

– Nie mam siły – odparł, nie ułatwiając procesu rozbierania i leżąc na łóżku niczym wielka kłoda.

– Zimna gąbka – rzuciła ostrzegawczo Tara.

– Nie gąbka – rzekł Finn, zaczynając chichotać.

Nadal się śmiał, kiedy usiadł i pozwolił żonie zdjąć sobie koszulę.

– Kocham cię, Taro Miller, wiesz o tym? – zapytał, całując ją po pijacku.

– Ja też cię kocham – odparła. – Choć nie wiem za co.

Oparł się o nią, trącąc nosem w ramię i mrucząc.

– Finn, proszę, wstań, bym mogła zdjąć ci spodnie – rzekła Tara.

Ale on już spał. Wzdychając, Tara dokończyła rozbieranie męża i przykryła go kołdrą. Czasami naprawdę zachowywał się jak przerośnięty nastolatek. Tylko duże dziecko wypłoby w domu rodziców tyle, żeby trzeba było je kłaść do łóżka.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Vicki, koleżanka po fachu Stelli, upierała się, że cierpi na SAD\*.

\* Seasonal Affective Disorder, w skrócie SAD – depresja sezonowa, choroba afektywna sezonowa, sezonowe zaburzenia nastroju.

– Depresja sezonowa – wyjaśniła Stella. – To oznacza, że cierpię na depresję wywołaną niewystarczającą ilością światła. I popatrz – Vicki pokazała ręką na okno biurowej kuchni, gdzie przez brudną szybę widać było kwadrat mglistego styczniowego nieba. – Popatrz tylko na tę pogodę.

– To się nazywa zima – odparła Stella, wyjmując z lodówki mleko. Zobaczyła, że to tłuste, odłożyła więc i sięgnęła po odłuszczone. Dlaczego podczas świąt zjadła te wszystkie czekoladki? Spodnie w kolorze karmelowym, zazwyczaj lekko luźne, wrzynały się z wyrzutem w jej brzuch.

– Nienawidzę stycznia – jęknęła Vicki, wlewając gorącej wody do niskokalorycznego napoju czekoladowego. Była posągową rudowłosą kobietą w kabaretkach, miała metr siedemdziesiąt wzrostu i zawsze była na diecie aż do mniej więcej południa, kiedy to na myśl o ograniczaniu posiłków do chrupkiego pieczywa i niskotłuszczowych jogurtów porzucała nadzieje na wciśnięcie się w rozmiar czterdzieści.

– Witamy w klubie – odparła z westchnieniem Stella.

Vicki spojrzała na nią ze zdziwieniem. Jej przyjaciółka zazwyczaj była taka pogodna. Nic nie psuło jej humoru: ani ulewny deszcz, kiedy biegły z lunchu bez parasolki, ani klienci z piekła rodem, żądający podwójnej uwagi i spóźniający się z płaceniem honorarium, ani pan McKenna, jeden ze starszych wspólników i jednocześnie obleśny typ, który nawet u Vicki wywoływał tygodniowy brak apetytu jednym lubieżnym spojrzeniem w dekolt jej bluzki, na piersi w rozmiarze 38 DD.

– Chcesz o tym pogadać? – zapytała.

Stella pokręciła głową.

– To tylko styczniowa chandra – mruknęła, usuwając się na bok, by wpuścić kogoś do kuchni. Niewielki aneks wciśnięty obok pomieszczenia z pocztą na parterze ledwie mieścił dwie osoby, a co dopiero trzy. Wspólnicy nigdy rzec; jasna tu nie zaglądali: kiedy im przyszła ochota na kawę lub herbatę, zajmowały się tym ich asystentki. Stella, która była najstarszym prawnikiem zajmującym się prawem własności, Vicki i jeszcze jeden prawnik, Jerry Olson, mieli wspólną asystentkę i teoretycznie mogli zamawiać u niej herbatę i kawę. Ale Lori była

wystarczająco zaganiana odbieraniem ich telefonów, co dopiero mówić o parzeniu kawy. Czy też przynajmniej takiej używała wymówki.

Udały się windą na czwarte piętro, gdzie mieścił się dział nieruchomości. Nieruchomości i prawa własności nie postrzegano jako seksownych działów prawa: w tej chwili najbardziej popularne było prawo rodzinne i kancelaria Lawson, Wilde & McKenna prowadziła wiele głośnych spraw rozwodowych. Gabinety prawników zajmujących się prawem rodzinnym były ogromne.

– Dużo przestrzeni dla byłych małżonków, by mogli krzyżeć i rzucać w siebie różnymi przedmiotami, nie raniąc przy tym niewinnego obserwatora – wyjaśniał Henry Lawson, gdy ktoś czynił uwagę na temat wielkości gabinetów na drugim piętrze.

Dział prawa własności, dzięki któremu LW & M „zarabia krocie”, jak twierdziła z wściekłością Vicki, został przesunięty na mniej prestiżowe czwarte piętro, do okazale wyglądającej, ale niezmodernizowanej części budynku, gdzie rządziły nieszczelne okna, przestarzałe ogrzewanie i przedpotopowa kanalizacja.

Sala konferencyjna na czwartym piętrze stanowiła jego najprzyjemniejsze pomieszczenie i była urządzona z pewnym wyczuciem stylu: duży kominek z przecinanego różowymi żyłkami marmuru, mahoniowy stół niemal tak duży, że można było grać na nim w tenisa, i egzotyczna indonezyjska tapeta z jedwabiu, która przetrwała dekady dymu z cygar. Personel nazywał ją Pałacem Ginu, ponieważ dzięki rdzawoczerwonym ścianom wyglądała jak pomieszczenie, gdzie mogli się zbierać mieszkańcy kolonii, sączyć gin z wodą i sokiem cytrynowym i utyskiwać na tubylców.

– Dwa telefony do ciebie, Vicki – oświadczyła pogodnie Lori, kiedy opuściły windę i znalazły się na czwartym piętrze pełnym splendoru z lat trzydziestych. – Powiedziałam im, że poszłaś na pogaduszki do kuchni i wrócisz, gdy będziesz miała ochotę.

– Ha, ha – Vicki przyzwyczała się do poczucia humoru Lori. Wzięła jedną ręką karteczki z wiadomościami, trzymając w drugiej kawę, po czym otworzyła drzwi stopą obutą w szpilkę.

– Złe wieści, Stello – dodała Lori. – Właśnie dzwoniła żona Jerry'ego. Przez całą noc siedział w kiblu. Nieświeże curry z krewetkami. Ma dzisiaj dwa spotkania i nie można ich odwołać. Przykro mi.

Jako druga pod względem ważności osoba w dziale, w którym pracowało pięciu prawników, trzech urzędników sądowych, kancelista i zespół stażystów, Stella miała największy gabinet. (Wspólnik zarządzający działem miał wielki gabinet na trzecim piętrze i wartość handicapu w golfie na poziomie jednocyfrowym.) W zamian za duży gabinet na Stellę spadały gromy, gdy tylko coś szło nie tak, i to ona musiała żonglować spotkaniami, gdy ktoś zachorował. Jerry miał stażystę o imieniu Melvyn, który pracował z nim od roku, i choć mógł mieć na wszystko oko pod nieobecność przełożonego, nie mini kwalifikacji, by samemu rozwiązywać trudne sprawy.

– O której godzinie jest pierwsze spotkanie?

– O wpół do jedenastej. Drugie jest po południu. Przy niosę ci akta spraw.

– Dzięki – odparła z westchnieniem Stella.

Tylko tego jej brakowało. O ósmej trzydzieści już miała zaległości. I było jej smutno, choć okłamała Vicki, że to styczniowa chandra. To była chandra wywołana tęsknotą za Amelią. Glenn przyjechał do kraju ze Środkowego Wschodu i Amelia przebywała w domu jego matki w Cork aż do niedzieli wieczorem, jeszcze pięć długich dni daleko stąd. Nie żałowała Glennowi tygodnia z córką ani nawet nie martwiła o Amelię: matka Glenna, Evelyn, była cudowną babcią i zaopiekuje się Amelią jak najlepiej. Chodziło po prostu o to, że Stella tak bardzo tęskni za swoją córeczką.

Rozległ się sygnał jej linii wewnętrznej.

– Och, Stello. – To była Lori. – Zapomniałam ci powiedzieć, że w damskiej toalecie nawaliła kanalizacja. Kiedy się spuszcza wodę, leci jak Niagara. Dzwoniłam do Martina z konserwacji, ale jest jeszcze na urlopie. Co mam zrobić?

Kiedy wybiła dziesiąta, Stella poczuła, że zbliża się migrena klasy pierwszej, nie wspominając o liście telefonów do wykonania długiej jak jej ramię. Nadal nie miała czasu, by

przejrzeć akta klienta Jerry'ego, zdążyła jedynie zerknąć na nazwisko na górze: Nick Cavaletto. Brzmiało wytwornie, ale nazwiska potrafiły być tak bardzo zwodnicze. Ona i Vicki przekomarzały się kiedyś żartobliwie o to, która dostanie klienta o nazwisku Joaquin d'Silva, gdyż obu natychmiast przyszedł do głowy ten przystojny hiszpański tancerz Joaquin Cortes, po czym okazało się, że warunkami zewnętrznymi ich Joaquin jest oddalony o wiele kontynentów od swego imiennika. Pan d'Silva był niski, nadmiernie owłosiony i zbyt przyjacielski, trochę jak pies. Vicki wyznała później, że tylko czekała, aż uniesie nogę obok mebli.

– Lori, czy mogłabyś przez pół godziny odbierać za mnie telefony? – zapytała Stella.

– Pewnie.

Pięć minut później, zerknąwszy w akta pana Cavaletto, doszła do wniosku, że odręczne pismo Jerry'ego jest nieczytelne. Notatki nagryzmołone na marginesach akt nie miały absolutnie żadnego sensu. Cała sprawa w gruncie rzeczy wyglądała na całkiem prostą, ponieważ pan Cavaletto posiadał pełnomocnictwo od swej matki w podeszłym wieku i miał zamiar sprzedać w jej imieniu dom. Problem był w stajniach, które postawiono bez pozwolenia na budowę. Stella się skrzywiła. Nie znosiła problemów z pozwoleniami na budowę. Zamknęła energicznie akta pana Cavaletto. Miała nadzieję, że się nie spóźni, dla własnego dobra.

Zjawił się przed czasem.

Wewnętrzna linia Stelli odezwała się dwadzieścia pięć po dziesiątej.

– Jest tutaj pan Cavaletto – wyszeptła Lori znacznie bardziej chropawym głosem niż zazwyczaj.

– Zaprowadź go do Pałacu Ginu – poleciła Stella. – I powiedz Melvynowi, że też może wziąć w tym udział.

– Oczywiście – odparła Lori, ponownie tym chropawym głosem.

Zazwyczaj mówiła: „Jasna sprawa” w ten radosny sposób, którego nie mogły z niej wyplenić żadne dyskusje na temat właściwego zachowania w kancelarii prawnej. O co chodziło z tą grzecznością? Lori z pewnością ma nadzieję na podwyżkę.

– Czy mam zamówić kawę? – dodała Lori swym nowym, seksownym głosem.

– Eee, tak – rzekła Stella. Jak nic chodziło o podwyżkę.

Wszystkim tu dzisiaj rozum odbierało.

Dopiero po upływie dobrych pięciu minut opuściła swój gabinet, by udać się do sali konferencyjnej.

– Kawa już tam jest – rzekła Lori.

Miała dwadzieścia kilka lat, była tryskającą energią brunetką z upodobaniem do klubowych ciuchów i z jakiegoś powodu wydawała się niezwykle podekscytowana. Nałożyła nawet świeżą warstwę różowego błyszczczyku.

– Dziękuję – odparła Stella, otwierając drzwi do Pałacu Ginu. – Przepraszam, że kazałam panu czekać, panie Cavaletto – dodała swobodnym tonem, kładąc akta na wypolerowanym mahoni. Podniosła głowę, uśmiechając się, i wyciągnęła rękę w zawodowy sposób. I wtedy dotarło do niej, dlaczego Lori zachowywała się niczym kotka na gorącym blaszanym dachu. Pan Cavaletto spełniał oczekiwania, związane ewentualnie z jego wytwornym nazwiskiem, choć nie można go było nazwać klasycznie przystojnym. Był potężnym mężczyzną z przetykanymi siwizną ciemnymi włosami, jego bystra twarz naznaczona była zbyt wieloma zmarszczkami i bruzdami, by uchodzić za przystojną. Miał ostro zarysowaną szczękę i stanowcze usta, przez co odnosiło się wrażenie, że nawyki stawiać na swoim. Ale nie chodziło o to. Był kimś więcej niż sumą części swego ciała. Emanowała z niego osobowość, charyzma, jakkolwiek by to nazwać. Tara może i potrafiłaby go opisać, oddać to, co czyniło go tak atrakcyjnym. Stella nie umiała ubrać tego w słowa.

Gdy weszła, wyglądał właśnie przez okno, teraz zaś przeszedł szybko przez salę i uściśnił jej dłoń.

– Nick Cavaletto. Dziękuję, że tak bezzwłocznie się pani ze mną spotkała.

– Nie ma sprawy – odparła, po czym dodała: – Jestem Stella Miller.

Zielonobrunatne oczy koloru lśniących śródziemnomorskich oliwek skrzyżowały się z jej oczami. W przeciwieństwie do innych mężczyzn, nie przemknął wzrokiem po jej ciele, szybko ją oceniając. Co Vicki lekceważąco nazywała klasycznie męskim spojrzeniem w stylu „chciałbym czy bym nie chciał?”. Jego spojrzenie pozostało utkwione w jej źrenicach, dopóki Stella, czując, że to intensywne patrzyenie sobie w oczy trwa zbyt długo, nie usiadła gwałtownie.

– Proszę spocząć – powiedziała.

Usiadł więc, na szczęście nie tuż obok, ale na krześle u szczytu stołu, dobry metr od niej.

– Eee... przejrzałam pańskie akta i eee... – Otworzyła je, ale nie mogła znaleźć pisma przewodniego. Dopiero co je czytała, gdzie się, u diabła, podziało? Poczula się strasznie niezdarna i kiedy przerzucała gorączkowo kartki, zdawało jej się, że temperatura jej ciała podnosi się gwałtownie. To pewnie przez to ogrzewanie. Chyba że ktoś rozprowadzał tutaj halucynogeny. Tylko coś takiego mogłoby wytłumaczyć poziom szaleństwa w tym budynku.

– Przykro mi, że została pani rzucona na głęboką wodę – odezwał się pan Cavaletto. – Pani recepcjonistka powiedziała, że Jerry otrzymał niespodziewane wezwanie...

Stella podniosła wzrok, by się przekonać, czy Lori podzieliła się informacją na temat curry z krewetkami, ale z ulgą zobaczyła, że na pobrużdżonej twarzy pana Cavaletto nie widać ani śladu rozbawienia.

– Tak, sprawa niecierpiąca zwłoki – mruknęła, próbując wziąć się w garść. Cóż, tulenie się do muszli klozetowej można było w przypadku Jerry'ego nazwać sprawą niecierpiącą zwłoki. Zajrzała z powrotem do dokumentów, wyczuwając, że on nadal się na nią patrzy. Pragnęła, by przestał. – No dobrze. – Odkasznęła i wreszcie znalazła pismo przewodnie.

– Nalać pani kawy? – zapytał.

Popatrzyła na niego.

– Po prostu wydaje się pani nieco zmęczona i czuję się za to odpowiedzialny. Jestem pewny, że świetnie by się pani obeszła bez dodatkowego klienta, który zwał się dzisiaj pani na głowę.

Wyglądał tak poważnie, tak autentycznie przepraszająco, że Stella uznała, że wcale nie próbuje wytrącić jej z równowagi. Po prostu starał się być miły. Westchnęła w duchu. Była dzisiaj nerwowa i wyzywanie się na nim nie byłoby fair.

Oparła się na krześle. A więc tyle, jeśli chodzi o poddawanie się detoksykacji.

– Chętnie się napiję. Ale ja naleję – dodała, wstając. Był w końcu jej klientem.

Gestem nakazał jej z powrotem usiąść.

– To nie wydaje się właściwe – zauważyła.

– Zapomnijmy o konwenansach, dobrze?

– Czemu nie.

Nalał kawy, podczas gdy Stella przyglądała mu się z zainteresowaniem.

Był wysoki i podobało jej się to, jak również sposób, w jaki jego włosy zaczesane były do tyłu, tak jakby częściej w tym celu używał niecierplivej dłoni niż grzebienia. Był dobrze ubrany, z lekką swobodą, lecz kosztownie. W jego oczach widoczna była także inteligencja.

Leniwie zastanawiała się, czy jest żonaty. Następnie, zaszokowana tym, że w jej głowie w ogóle pojawiła się taka myśl, wyprostowała się na krześle.

– Z mlekiem i cukrem?

– Tylko mleko, dziękuję – odparła. Zaryzykuje oklepany komentarz, że i bez cukru jest wystarczająco słodka?

Zdał test, nie rzekłszy na ten temat ani słowa.

– Nie ma nic gorszego niż taki dzień, kiedy spadają na ciebie gromy z powodu czyjejś nieobecności – stwierdził. – Ludzie z pracy wyobrażają sobie, że kierownicze stanowisko oznacza jedynie wyższe zarobki, ale to coś o wiele więcej.

– Niech pan nic nie mówi na ten temat – rzekła Stella. – Staram się uporać z listą klientów Jerry'ego, własną, no i jeszcze z katastrofą w damskiej toalecie, ponieważ nie ma akurat ludzi z konserwacji.

– Może mógłbym pomóc w tej ostatniej kwestii? – zapytał.

– Jest pan hydraulikiem?

Uśmiechnął się szeroko.

– Nie, prawdę mówiąc, pracuję w przemyśle maszynowym, ale potrafię sobie poradzić z kolankiem.

Stella się roześmiała.

– To jest pan lepszy ode mnie. Ja jakoś poradzę sobie z czynnościami z użyciem farby, młotka albo gipsu, ale prozę mnie nie pytać o hydraulikę czy elektryczność. A tak na poważnie – rzekła, czując, że wraca do rzeczywistości – nie mogę pana prosić o zerknięcie na damską toaletę.

Wstał i ruszył w kierunku drzwi.

– Proszę mi pokazać. Może zdołam określić, w czym tkwi problem.

Stella udała się za nim, zaskoczona i jednocześnie rozbawiona.

Kiedy Nick wyszedł z Pałacu Ginu, Lori natychmiast uniosła głowę znad klawiatury.

– Witam ponownie – odezwała się chrapliwym głosem, trzepocząc świeżo pomalowanymi rzęsami.

– Pan Cavaletto musi odwiedzić damską toaletę – oświadczyła poważnie Stella.

– Słucham? – zapytała Lori swym normalnym głosem.

– Słyszałem, że macie z nią jakiś problem – rzekł Nick.

– I pan chce to naprawić? – zapytała Lori, znowu zawzięcie trzepocząc rzęsami.

Stella uśmiechnęła się szeroko. Wyglądało na to, że Lori należy do kobiet o nogach miękących jak wata na myśl o mężczyznach, którzy wiedzą, jak obchodzić się z narzędziami. Co prawda nigdy nie wysilała się tak dla firmowego konserwatora, no ale bądź co bądź nie wyglądał on jak pan Cavaletto.

– To cudownie – rzekła Lori, prowadząc go w strony toalety, wyjaśniając problem w tak poważny sposób, jakby była lekarzem, opisującym innemu specjalście jakąś okropną chorobę.

Stella udała się za nimi, czując się w tej małej procesji niczym piąte koło u wozu.

Pomyślała, że Nick nie wygląda na mężczyznę, który dużo zajmuje się hydrauliką. Chyba że hydraulicy ubierali się w doskonałej jakości tweedowe marynarki w stylu odpowiednim do mediolańskiego palazzo.

Sięgnął do kieszeni i wyjął okulary bez oprawek, które nadały mu profesorski wygląd.

Lori obejrzała się na Stellę i udawała, że omdlewa.

Stella nakazała jej spojrzeniem, by przestała.

Nick przykucnął, by przyjrzeć się tryskającej wodą toalecie. Zarówno Stella, jak i Lori podziwiała jego szerokie ramiona i sposób, w jaki w zamyśleniu gładził podbródek.

– Pęknięcie spłuczki – orzekł wreszcie.

– Jest pan taki mądry, same nigdy byśmy do tego nie doszły – westchnęła Lori.

Stella odczuwała już irytację. To, że żadna z kobiet pracujących na czwartym piętrze nie terminowała u hydraulika, nie oznacza od razu, że są bezmyślnymi kobietkami, niezdolnymi do wymiany żarówki. I dlaczego Lori traktowała tego biednego Nicka Cavaletto ze wszystkimi szykanami? Przecież był klientem Stelli. Cóż, tak naprawdę to Jerry'ego, ale teraz to ona go obsługuje. To uwodzicielskie trzepotanie rzęsami skończy się urazem oczu.

– Macie może klucz francuski? Zamknę zawór, co powinno załatwić sprawę do czasu, aż wasi konserwatorzy to obejrzą – rzekł Nick, wyraźnie nieświadomy tego, jak jego obecność wpływa na Lori.

– Narzędzia znajdują się w pomieszczeniu konserwatorów w piwnicy – odezwała się Lori, po czym popatrzyła na Stellę, jakby chciała powiedzieć, że ona z całą pewnością nie odejdzie od pana Cavaletto, by szukać klucza francuskiego, skoro znacznie fajniej jest zostać tutaj. – Ja muszę odbierać telefony, nie mogę iść – oświadczyła.

Z jakiegoś powodu, którego nie potrafiła do końca rozgryźć, Stella odkryła, że nie ma ochoty zostawiać Lori z Nickiem, zanim by wróciła, pewnie zdążyliby się zaręczyć.

– Może iść któryś ze stażystów – odparła Stella. Miała ochotę zamordować Lori za to, że jest tak beztrosko niezdyscyplinowana, ale nie mogła powiedzieć niczego w obecności Nicka.

– Świetny pomysł. Lepiej ty im powiedz; ja nie jestem zwierchniczką stażystów – dodała słodko Lori.

– W porządku. – Stella z wściekłością odmaszerowała, by kogoś znaleźć.

Wysłała jednego ze stażystów na poszukiwania klucza i po powrocie zobaczyła, że Lori siedzi z fałszywą skromnością na brzegu biurka, ignorując dzwoniący uporczywie telefon.

Jeśli Nick uważał to za dziwne, nie skomentował tego ani słowem.

– Pójdę umyć ręce – powiedział. – Do męskiej toalety, nie chcę nikogo wystraszyć.

– Mm, co za facet – odezwała się Lori, kiedy się oddalił. – W każdej chwili dałabym mu się przyjrzyć mojej kanalizacji.

– Nie śliń się, Lori – skarciła ją poirytowana Stella. – Zniszczysz wykładzinę. I nie jest on w końcu aż tak olśniewający.

– Halo! Ziemia do Stelli! – rzekła z niedowierzaniem Lori. – Naprawdę musisz sobie przebadać wzrok.

– Jest dla ciebie za stary – dodała z rozdrażnieniem Stella. – Masz dwadzieścia pięć lat.

– W modzie są starsi faceci – odparła Lori marzycielskim głosem. – Do tej pory nie umawiałam się z nikim, kto miałby więcej niż trzydzieści pięć lat, ale w tym przypadku chętnie zrobiłabym wyjątek.

– On ma co najmniej czterdzieści pięć lat – warknęła Stella. – O wiele za stary dla ciebie.

Oddaliła się do Pałacu Ginu.

– Ta pani recepcjonistka to ciekawa osóbką – stwierdził Nick, kiedy się ponownie pojawił.

– Pewnie chce pan jej numer telefonu – powiedziała kwaśno Stella.

Jego spojrzenie zaskoczyło ją.

– Prawdę powiedziawszy, to wolałbym pani numer. Chciałbym zaprosić panią jutro na kolację.

Stella usiadła szybko na twardym krześle, uderzając się boleśnie w kość ogonową.

– A! – krzyknęła.

– Przepraszam, nie chciałem pani przestraszyć. Czy było to kompletnie nie na miejscu?

– Eee, cóż... – wyjąkała Stella.

Gdyby tylko Nick na nią nie patrzył, Stelli może i udałoby się udzielić standardowej odpowiedzi dla próbujących ją poderwać mężczyzn: „Nie, dziękuję”.

Lecz zanim Rozsądna Stella zdołała cokolwiek powiedzieć, właśnie w tej chwili, kiedy postanowiła grzecznie mu odmówić, mimo wszystko, on nagle zmienił reguły gry. Wpatrywał się w nią z nadzieją. A kiedy inteligentne, ciepłe spojrzenie Nicka Cavaletto krzyżowało się z jej wzrokiem, nie miała innego wyjścia. Rozsądna Stella złamała się i kontrolę przejęła dawno ukryta Romantyczna Stella, prąca przed siebie niczym zakupoholiczka w dniu wyprzedaży.

– Bardzo chętnie. – Czy ona naprawdę to powiedziała?

Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Byłem pewny, że mi pani odmówi.

By ukryć, jak bardzo wstrząśnięta czuje się całą tą sytuacją, Stella spróbowała uciec się do żartu.

– Tak właśnie miałam zrobić, ale pan wyglądał tak bezradnie, że nie miałam serca powiedzieć nie.

Jego pobrużdżona twarzy wydawała się jeszcze przystojniejsza, gdy uśmiechał się szeroko.

– Bezradny? Nikt jeszcze nigdy tak na mnie nie powiedział. Ale cieszę się, bez względu na powód.

Przez pełną minutę wpatrywali się w siebie, a Stella z jakiegoś dziwnego powodu wstrzymywała oddech. Wtedy do sali wparował Melvyn, jękając przeprosiny za spóźnienie, Stella zaś natychmiast wzięła do ręki jakiś dokument, by się za czymś ukryć na wypadek, gdyby wyczuł napiętą atmosferę.

\*\*\*

Powrócili do spraw zawodowych i Stella jakoś kontynuowała rozmowę, choć przez cały czas zastanawiała się, czy nie oszalała. Był klientem. Cóż, prawdę mówiąc to nie jej klientem i gdyby

Jerry nie zachorował, to nigdy by go nie poznała. Ale był mężczyzną, o którym nic nie wiedziała, z wyjątkiem tego, że musiał rozwiązać kwestię tytułu własności dla matki. Równie dobrze mógł mieć żonę i dziesięcioro dzieci.

Stella zerknęła podejrzliwie na jego lewą dłoń. Nie dostrzegła obrączki, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło. Będzie musiała zapytać.

– Jerry'emu jest tak bardzo przykro i jestem pewny, że podczas następnego spotkania będzie już obecny – przeprosił Melvyn, kiedy Nick zbierał się do wyjścia.

– To dobrze – odparł Nick, a na jego ustach błąkał się lekki uśmiech. – Zatrucie krewetkowym curry potrafi być straszne.

Stella zdusiła parsknięcie. Będzie musiała uciąć sobie z Lori dłuższą pogawędkę. A więc to by było na tyle, jeśli chodzi o twierdzenie, że Jerry'ego wezwwała sprawa niecierpiąca zwłoki.

– Odprowadzę pana Cavaletto do wyjścia – dodała gładko.

Udała się razem z nim do windy, ignorując spojrzeniu, rzucane im przez Lori.

– Tylko jedno pytanie – rzekła Stella, zniżając głos tak, by nikt nie mógł jej podsłuchać. – Jesteś żonaty?

– Rozwiedziony, dwójka dzieci – odparł równie poważnym tonem. Uniósł lewą dłoń. – Spójrz, nie mam obrączki.

– Nosileś ją, kiedy byłeś żonaty? – zapytała Stella.

Nick odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

– Nie. A czy myślałeś o tym, by zostać adwokatem? Twoje umiejętności zadawania pytań marnują się tutaj. A jeśli chodzi o kolację, to czy może być Figaro's?

Stella uznała, że czas wrócić do niezależności. Nick jak na razie dyktował wszystkie warunki, a ona nie miała zamiaru okazać się łatwą naiwniaczką.

– Figaro's, raczej nie – odparła. Nigdy wcześniej tam nie była, ale nie o to chodziło. Z całą pewnością istniała jakaś współczesna zasada randkowania, mówiąca o tym, że tylko naiwniaczki rzucają się na pierwszą propozycję.

– Wybierz miejsce, na które masz ochotę – zaproponował. – Nie było mnie w kraju tak długo, że nie znam dobrych lokali.

Stella myślała intensywnie, odkładając na bok ten strzęp informacji o przebywaniu poza krajem. Jedyne restauracje, jakie знаła, to te odpowiednie na biznesowe lunche, babskie spotkania i posiłki z siedmiolatkami. Dużo czasu minęło, odkąd po raz ostatni przeżyła wieczór w stylu „skrzyżowane-spojrzenia-nad-świecami-przy-stoliku-dla-dwojga”. Prawdę powiedziawszy, całe lata.

Szukając gorączkowo w pamięci, przypomniała sobie o recenzji jakiejś nowej knajpy. Latający Dywan, nowa restauracja na nabrzeżu. Nie czytała tej recenzji osobiście, ale z rozmowy, którą pamiętała, wydawała się niezła, była tego pewna. „Małże, za które można zabić” czy coś w tym rodzaju.

– Latający Dywan – oświadczyła pewnie. – O ósmej.

– Mogę po ciebie przyjechać czy też wolisz, byśmy spotkali się na miejscu? – zapytał z troską Nick.

– Na miejscu – odparła. – Gdyby pojawił się jakiś problem, zadzwonię do ciebie. Twój numer widnieje w aktach.

I przypomniała sobie, że to numer stacjonarny. Gdyby był żonaty, zamiast niego dałby jej natychmiast numer swojej komórki. Ale Nick jedynie kiwnął głową.

– No to do jutra – rzekł.

Odwrócił się, by odejść.

– Och, panie Cavaletto, zapomniał pan o czymś – zawołała Stella.

– Tak?

Stella wyszeptała, tak by jej głos nie dotarł do recepcjonistki:

– Rozwiedziona, jedna córka. Tak dla twojej wiadomości.

Ponownie w intensywnie zielonych oczach pojawiło się rozbawienie.

– Do widzenia, pani Miller, to była przyjemność.

Przyjemność, pomyślała z rozmarzeniem Stella, wchodząc schodami na czwarte piętro. Miała nadzieję. Po sześciu latach samotności, cóż, właściwie to dłużej, bo ostatni rok z Glennem nie da się zakwalifikować jako życie w parze, była zupełnie nieprzygotowana na perspektywę pójścia na randkę.

Wróciła do swego gabinetu.

– Uroczy, prawda? – zapytała marzycielsko Lori. – W stylu Seana Connery'ego z niewielką domieszką Michaela Douglasa.

– Musisz przestać czytać „Movieline” – rzekła Stella, zagryzając wargę, by powstrzymać się przed idiotycznym uśmiechaniem się.

– Był jednak fantastyczny. Daj spokój, Stello, nawet ty to widzisz.

Stella poczuła, jak na myśl o uśmiechu Nicka jej ciało przeszywa dreszcz.

– Wydaje mi się, że można go nazwać atrakcyjnym – rzekła.

– Kogo? – zapytała Vicki, pojawiając się w drzwiach. – Ominęło mnie coś?

– Vicki, czy mogę przez chwilę z tobą porozmawiać? – zapytała Stella. Musiała komuś o tym powiedzieć, a gdyby powiedziała Lori, najpewniej zostałaby ugodzona piórem ze srebrnym atramentem, będącym znakiem firmowym asystentki.

Kiedy Vicki usłyszała wieści, opadła jej szczęka.

– Szczęściara z ciebie – westchnęła. – Podobno wiele historii miłosnych bierze swój początek w pracy, ale mnie się to nigdy nie zdarzyło. – Vicki przez chwilę myślała o czymś intensywnie. – Możemy przejrzeć listę klientów Jerry'ego i sprawdzić, czy dzisiaj przyjdzie jeszcze jeden przystojniak?

Nim wybiło wpół do pierwszej, Stella zdążyła przekopać się przez swoją pracę w dwa razy szybszym tempie niż normalnie. Czowała się natchniona i podekscytowana, tak jakby wypila na czczo dziesięć espresso. Została zaproszona na randkę i się zgodziła! W co się ubierze, o czym będą rozmawiać...?

Zadzwoił jej telefon i natychmiast przestawiła się na tryb służbowy.

– Halo, Stello? – rozległ się damski głos. – Z tej strony Jackie Hess.

Nawet na odległość Stella wyczuwała zdenerwowanie klientki.

Nie dając szansy dojść do słowa swej prawnicze, Jackie opowiadała pośpiesznie o trapiących ją problemach.

– Jeśli do jutra nie podpiszemy umowy, stracę ten nowy dom, a nie może tak się stać. Po prostu nie może. To dla mnie nowy początek i uwielbiam ten dom... – Jej głos osiągnął niemal histeryczną wysokość.

Stella usłyszała już dość. Uspokajanie innych należało do jednej z wielu jej zdolności i była to niezwykle przydatna umiejętność w świecie prawniczym, choć podczas studiów nikt nie wspomniał na ten temat ani słowem. Żaden wykładowca nie miał do czynienia z prawdziwymi, wzburzonymi klientkami, które rozstawały się z mężami i miały nadzieję na kupno nowych (mniejszych) domów, by zacząć wszystko od nowa.

– Jackie – powiedziała uspokajająco Stella – rozwiążemy to, obiecuję. Proszę, zostaw to mnie.

Zgodnie z przewidywaniami Jackie milczała. Kiedy Stella Miller mówiła, że się wszystkim zajmie, należało jej wierzyć.

W jej niskim, wyważonym głosie było coś, co uspokajało nawet najbardziej poruszonych klientów, coś w jej pogodnej, uśmiechniętej twarzy z serdecznymi ciemnymi oczami, dzięki czemu niepokój wydawał się niemądry. Niejedna osoba poważnie się zastanawiała nad zapisaniem się na zajęcia jogi, na wieść, że spokojna Stella należy do jej miłośniczek.

– Jesteś pewna, że wszystko się uda załatwić...? – zapytała Jackie, tym razem znacznie ciszej.

– Tak, jestem pewna.

Kiedy już Jackie się rozłączyła Stella zdecydowała stanowczo, że przestanie myśleć o Nicku Cavaletto. To śmieszne, by dorosła kobieta tak się ekscytowała kolacją z mężczyzną. To snucie marzeń i wyglądanie przez okno musiało się skończyć. Przez następne pół godziny pracowała

bez chwili przerwy, wykonując telefony i próbując rozwiązać problemy Jackie. Jej klientka rozstała się z mężem, z którym była dwa lata, i za każdym razem, gdy Stella z nią rozmawiała, sprawiała wrażenie bardziej zaszokowanej niż podczas poprzedniej rozmowy, mrużąc o wspólnym rachunku w spółdzielczej kasie pożyczkowej i o tym, co zrobić z obrazem olejnym przedstawiającym Wenecję. Czy należał do Jackie, skoro dał to im w prezencie ślubnym jej bogaty wuj, czy też była to wspólna własność? Osobiście Stella uważała, że zrozpaczona Jackie powinna poszukać pomocy u terapeuty, który pomógłby jej wydostać się z tej ciemnej otchłani, jaką okazał się nagły koniec małżeństwa. Powiedziała Stelli, że nie znosi tego obrazu. A jednak pełna była determinacji, by go zatrzymać, tak jakby ocalenie czegoś, co nie było wspólną własnością, mogło ocalić jej poranioną duszę.

Z upływem lat, kiedy Stella zadawała się wciąż z klientami pokroju Jackie, rozumiała, że nigdy nie kochała Glenna wystarczająco mocno, by odczuwać tak silne emocje w związku z ich rozstaniem. Zakochani od czasów szkoły, wzięli ślub w absurdalnie młodym wieku, a potem oddalili się od siebie. Nadrzędnym uczuciem towarzyszącym ich rozstaniu była obojętność w stosunku do partnera i troska rodzicielska w stosunku do Amelii. Zastanawiała się, jak to by było kochać i nienawidzić z taką pasją, że rozstanie byłoby w stanie zniszczyć.

– Lunch? – zapytała Vicki, wkładając przez szklane drzwi głowę i wystawiając język, co stanowiło zwyczajowy sygnał, że dopadł ją głód.

– Lunch. Tak, zapomniałam – odparła z roztargnieniem Stella.

– Jak można zapomnieć o lunchu? – lamentowała Vicki, zatrząskując drzwi i siadając na skraju biurka. Następnie, zerkając na pogodną twarz Stelli, uśmiechnęła się szeroko. – Widzę, że nadal żyjesz miłością?

– To tylko kolacja – zaprotestowała Stella. – Żałuję, że w ogóle ci powiedziałam. Zamorduję cię, jeśli komuś o tym wspomnisz.

– A więc to tajemnica? – zapytała ze śmiertelną powagą Vicki. – Właśnie wysłałam e-mail z tą wiadomością do moich stu najbliższych przyjaciółek, wszystkich współników LW&M i Izby Adwokackiej. Sypianie z klientem nie jest nieetyczne, prawda? Ciężko mi spamiętać te wszystkie kwestie związane z etyką...

– Mamy zamiar zjeść razem kolację, a nie zerwać z siebie nawzajem ubrania podczas deseru.

– Szkoda – westchnęła Vicki. – Wiesz co, gdybym była na twoim miejscu to wołałabym ten deser. Już tyle czasu minęło, odkąd uprawiałam seks, że nie pamiętam, jak to jest, za wyjątkiem tego, że często był rozczarowujący, czego się nie tła powiedzieć o podwójnej porcji czekoladowej rolady z bitą śmietaną.

– Idziemy na spokojną kolację – upierała się Stella. – To wszystko. Atak w ogóle to ja dłużej nie uprawiałam seksu niż ty. Od rozvodu z Glennem jestem ikoną wstrzemięźliwości.

To nie do końca zgadzało się z prawdą, ale pragnęła zapomnieć o koszmarnym romansie, który przeżyła z dawnym znajomym swoim i Glenną, kiedy Amelia była mała. Przekonała się, że nawet ktoś znany od wieków może się okazać zwyczajnym podrywaczem. Po kilku tygodniach rzucił ją niczym gorący ziemniak. Przypalona i upokorzona, Stella nigdy nie powiedziała o tym przyjaciółce i teraz też nie miała takiego zamiaru.

Vicki bardzo była cięta, jeśli chodzi o temat swego ostatniego kochanka, prawnika poznanego na balu charytatywnym.

– Jeśli mówisz o mojej przygodzie z tym koszmarnym człowiekiem z kancelarii Simpson & Ryan, to zapomnij. W łóżku był beznadziejny. Gdyby miało się mu płacić za godzinę, zmarnowałabym pieniądze za pięćdziesiąt osiem minut.

Stella jęknęła.

– Jesteś okropna, Vicki. Gdyby ten biedny człowiek cię usłyszał, byłby przerażony.

– Biedny człowiek, dobre sobie! Uważał się za ostatniego z gorącokrwistych kochanków – oświadczyła z oburzeniem Vicki. – W tym właśnie problem. Święcie wierzył, że powinnam być mu wdzięczna, możesz w to uwierzyć? Gnida. Mężczyźni jego pokroju uważają, że wszystkie kobiety po trzydziestym piątym roku życia powinny drzeć z wdzięczności, jeśli facet raczy choćby na nie spojrzeć, nie mówiąc już o zabranii ich do łóżka. Sądzą, że jesteśmy

zdesperowane, by otrzymać choć okrucuch uczucia, które nie byłoby zasilane na baterie. – Vicki coraz bardziej się rozkręcała w temacie kobiet powyżej trzydziestego piątego roku życia. – Znajdujemy się na przenośniku taśmowym, prowadzącym do samotnych kolacji przed telewizorem i grubych majtek, które nigdy nic są zdejmowane...

– Vicki, mieszkasz z siostrą – wtrąciła Stella – i doskonale wiesz, że niesamowicie podobasz się Craigowi z księgowości, tyle że nie raczysz zwrócić na niego uwagi.

Przybita Vicki westchnęła.

– Wiem, ale on jest sześć lat ode mnie młodszy. To ostatnia oznaka absolutnej desperacji. Wyobraź sobie, co mówiliby ludzie, gdybym zaczęła się umawiać z młodszym? Łatwiej jest siedzieć po prostu w domu i snuć fantazje na temat Russela Crowe'a.

– Lunch – rzekła stanowczo Stella. – Musisz przestać myśleć o mężczyznach.

\*\*\*

Następnego dnia wszystko zmówiło się przeciwko Stelli. Jerry nadal był chory, więc znowu musiała się zająć jego klientami, przez co spędziła w pracy przerwę na lunch, którą wcześniej planowała wykorzystać na wizytę u fryzjera. Złożył jej także wizytę czający się demon napięcia przedmiesiączkowego, wydymając jej brzuch pomimo poświętecznego detoksu.

– Czy hormony wiedzą, kiedy ma się wydarzyć coś ważnego, i celowo włączają się do gry? – wściekała się Stella, uświadomiwszy sobie, że nici z planów założenia dżersejowej sukienki w kolorze burgunda, ponieważ jako przylegająca do brzucha nadawała się wyłącznie na szczupłe dni.

– Tak – westchnęła Vicki. – To tak jak opryszczka, która niezawodnie pojawia się przed gorącą randką.

– Myślisz tylko o seksie – zganiała ją Stella.

– Nie bądź taka pruderyjna i porządnicka – przekomarzała się przyjaciółka. – Nie umówiłaś się z tym facetem ze względu na jego walory intelektualne, prawda? Założę się, że masz także zamiar włożyć swoją najlepszą bieliznę.

Stella musiała się roześmiać.

– To prawda, ale tylko dlatego, że dobrze się w niej czuję, a nie dlatego, że istnieje choćby znikoma szansa, by ktoś ją zobaczył.

Kiedy tego wieczoru jechała do domu, przypomniała sobie o tym, co mówiła Vicki. Nie bała się samego pojęcia seksu, gdy tymczasem Stellę on przerażał. Minęło już pięć lat, odkąd obejmowały ją męskie ramiona; pięć lat, odkąd była z kimś w łóżku. Jeśli z seksem było jak z jazdą na rowerze, Stella uznała, że z całą pewnością cofnęła się do etapu korzystania z dodatkowych kółek.

Umawianie się z mężczyzną mogło ostatecznie prowadzić do seksu, ale Stella nie czuła pewności, że jest na coś takiego gotowa. Celibat, z wyboru czy też nie, był łatwiejszy, prawda?

W domu umyła włosy, dręczona niepewnością. Gdyby tylko mogła zadzwonić do Nicka i odwołać kolację. Powiedzieć mu, że będzie myć włosy do końca życia.

Nie, postanowiła wreszcie. To byłoby zachowanie godne tchórza. Pójdzie i powie mu, że to błąd i że jest jej przykro. I zapłaci za kolację. Jeśli nie to stanowiło sprawowanie kontroli, w takim razie nie wiedziała, co nim było.

\*\*\*

Restauracja była pusta. Tak pusta, że Stella przez chwilę zastanawiała się, czy nie pomyliła godziny. Lokal był ascetycznie urządzone w czerni i bieli, czarnych stolików nie przykrywały obrusy i nie było w niej żadnych innych gości.

W jej kierunku z kiepsko skrywaną radością pospieszyła kelnerka.

– Dobry wieczór, cudownie panią widzieć, czy mogę wziąć od pani płaszcz? – zapytała radośnie.

– Tak. – Stella podała płaszcz. – Miller, stolik dla dwóch osób.

Dlaczego w ogóle zawracała sobie głowę rezerwacją?

– Pani gość jeszcze się nie zjawił... – zaczęła kelnerka.

– Już się zjawił – przerwał jej Nick, zamykając za sobą drzwi.

Jego spojrzenie z uznaniem przesunęło się po Stelli, ubranej w wierną koszulę w kolorze żurawinowej czerwieni i długą czarną spódnicę z zamszu, wiekową, ale na szczęście znowu modną.

– Miło cię widzieć – rzekł, po czym nachylił się, by pocałować ją w policzek. Stella poczuła, jak coś w jej środku dzwoni z podekscytowaniem.

– Nawzajem – odparła i w ramach testu nadstawiła drugi policzek. No i znowu. Dzyń!

– Pięknie wyglądasz – stwierdził, pieszcząc spojrzeniem jej twarz.

Dzyń, dzyń, dzyń!

– Zaprowadzić państwa do stolika? – zapytała kelnerka.

Nick pozbył się płaszcza, dając Stelli szansę na to, by go sobie obejrzała. Porzucił swobodę na rzecz stalowoszarego garnituru i jasnoróżowej koszuli, w której dobrze mogli wyglądać tylko wyjątkowo mężczyźni. Tacy jak on.

– Gotowa? – Odwrócił się i Stella pospiesznie oderwała od niego spojrzenie, nie chcąc, by przyłapał ją na wpatrywaniu się w niego. Ale trzeba przyznać, że naprawdę fantastycznie mu było w garniturze. Nick nie wyglądał, jakby potrzebował detoksu, ale z drugiej strony nigdy nic nie wiadomo, kiedy się widzi kogoś w ubraniu...

Stella zaszokowała samą siebie. Jak mogła myśleć o nagim Nicku? Vicki miała rację: zaczynała wariować. Powiedziała sobie w duchu parę słów do słuchu, gdy prowadzeni byli do stolika dla czterech osób, który znajdował się w głębi restauracji. Kelnerka podała im karty dań i zostawiła samych w tym surowym przestronnym wnętrzu.

– To dziwne, że tylko my tutaj jesteśmy – wyszeptała Stella, nachylając się nad stołem.

Nick skinął poważnie głową, ale w jego oczach widać było błysk rozbawienia.

– No co? – zapytała Stella.

W kącikach jego ust pojawił się uśmiech.

– Powiedz mi – nakazała.

– Jeśli potrzebować będą państwo pomocy przy wyborze, proszę mnie zawołać – odezwała się kelnerka, pojawiając się obok stolika. Po czym ponownie się oddaliła.

– Często tutaj przychodzisz? – zapytał beznamiętnie Nick.

– Ani razu jeszcze tutaj nie byłam – odparła Stella. – A czemu pytasz?

– Chciałem wiedzieć, czy to twoja ulubiona restauracja, to wszystko.

Stella poczuła konsternację.

– Co to ma wspólnego z brakiem klientów?

Pojawiła się grupa sześciu osób i kelnerka pofrunęła do drzwi, by ich powitać. Pomimo szumu powodowanego obecnością innych osób Nick nadal mówił szeptem.

– Wspomniałem koledze, że się tutaj wybieramy i powiedział mi, że niedawno widział w gazecie recenzję tego lokalu.

Kiwnęła głową.

– Wiedziałaś, że gdzieś o nim czytałam. Małże, dla których można umrzeć... ach. – Wszystko zrozumiała. – To nie była pochlebna recenzja, prawda? Prawdę mówiąc – poszukała potwierdzenia w jego twarzy – to była bardzo zła recenzja, zgadza się?

– Zła to za mało powiedziane – odparł Nick. – Już bardziej pasuje słowo potworna. Wychodzi na to, że recenzent zjadł małże, co skończyło się odwołaniem wyjazdu na wakacje, tak mocno się pochorował. Obawiam się, że ta recenzja była w tonie „małże, od których można umrzeć”.

Stelli cała ta sytuacja nagle wydała się niesamowicie zabawna. Starając się udowodnić, że jest niezależną, nowoczesną kobietą, niechcący zaproponowała restaurację, wokół której wybuchł skandal z zatruciem pokarmowym w roli głównej.

Wzbierał w niej śmiech i zagryzła wargę, by nie wypuścić go na zewnątrz. Nic to jednak nie dało. Wybuchnęła śmiechem dokładnie w tej samej chwili co Nick. Oboje śmiali się tak głośno, że nowo przybyli przypatrywali im się z ciekawością, zastanawiając się, co może być aż tak zabawne.

– Dla nich to nie jest śmieszne, ale to naprawdę przezabawne – wyła, nachylając się nad stolikiem i chwytając się za żołądek. – Wiedziałam, że słyszałam coś na temat tego lokalu, ale nie mogłam sobie przypomnieć co, a nie mogłam natychmiast przystać na Figaro's, ponieważ nie chciałam, byś sobie pomyślał...

Pojawiła się zaniepokojona kelnerka.

– Czy... wszystko w porządku? – zapytała.

– Wspaniale – zaskrzeczała Stella. – Śmiejemy się z dowcipu.

Nick wziął się w garść.

– Prosimy jeszcze o chwilę.

Kelnerka się oddaliła.

– Nie chciałaś, żebym pomyślał, że jesteś łatwa – dokończył.

Stella uśmiechnęła się szeroko.

– Świetnie to ująłeś.

– Możemy stąd wyjść, jeśli chcesz – dodał Nick. – Choć wolałbym zostać, skoro już tu jesteśmy. Mogłoby nam być trudno znaleźć gdzieś indziej stolik, a nasza kelnerka byłaby taka niepocieszona.

To ją przekonało. Stella uśmiechnęła się do niego z podziwem. Każdy tak życzliwy mężczyzna wart był porządnej randki. Zawsze może na końcu powiedzieć, że nie może się nim więcej spotkać.

– Nie wiem, czy spodobałoby mi się, gdybyś chciał – wyjść przyznała. – Te małże mogły być przecież przypadkiem odosobnionym i nasze wyjście wyglądałoby bardzo niegrzecznie, skoro ta miła kelnerka tak bardzo się ucieszyła na nasz widok.

– Zgadzam się. A poza tym w menu mają makarony, więc mniejsza szansa na zatrucie.

Stella ponownie wybuchnęła śmiechem.

– Mogę przyjąć zamówienie? – zapytała kelnerka, po raz kolejny nie wiadomo jak materializując się obok ich stolika. Czy ona ma na nogach wrotki? – zastanawiała się Stella.

– Tak – uśmiechnął się Nick.

Szybko złożyli zamówienie – żadnych ryb – i zdecydowali się na butelkę czerwonego wina.

– Zupełnie wyszłam z wprawy, jeśli chodzi o to całe randkowanie – wyznała Stella, kiedy zostali sami po tym, jak kelnerka podała wino. – Jestem pewna, że nawet wypowiedzenie tego na głos stoi w sprzeczności z zasadami nowoczesnego randkowania, ale nic na to nie poradzę. Moje umawianie się na randki przypada na okres mody na spodnie dzwony. Zdążyłam zapomnieć wszystkie zasady.

– Nie wiedziałem, że w ogóle istnieją – odparł Nick. – Widzisz, ile wiem na temat kobiet. Myślałem, że muszę zapełnić twój taneczny karnecik, a po pięćdziesięciu spotkaniach wolno nam się umówić bez towarzystwa przyzwoitki, o ile tylko przez cały czas jedna moja stopa będzie pozostawać na ziemi.

Stella zachichotała.

– Przyspieszmy trochę. A poza tym i tak zostawiłam karnet w domu. Myślę, że musimy opowiedzieć sobie nawzajem swoje historie. Tak właśnie się dzieje w tych artykułach w gazetach, kiedy wysyła się ludzi na randki w ciemno.

– Obawiam się, że tego nie czytam – rzekł przeproszającym tonem Nick.

– Żaden mężczyzna tego nie czyta. Ale teoretycznie jest to proste: każde z nas ma pięć minut na opowiedzenie drugiej osobie historii swego życia.

– Pięć minut – powtórzył. – Nie wiem, czy będę potrzebował aż tyle czasu.

– Akurat – rzekła Stella z udawanym cynizmem. – Dobrze, w takim razie skróćmy to, powiedzmy... dwadzieścia słów lub mniej. Streszczajmy się.

– Dwadzieścia słów – rzekł w zamyśleniu. – Niech ci będzie. Ty pierwsza czy ja?

– Ty – odparła pośpiesznie.

– Dobrze. Ty liczysz słowa i kiedy dojdę do dwudziestu, mówisz stop.

– Przekroczysz dwadzieścia i wychodzę – odparła poważnie Stella.

– Czterdzieści cztery lata, Irlandczyk, dwie córki, czternaście i dziewiętnaście, żonaty dwadzieścia dwa lata, praca za granicą, zarządzanie firmą w sektorze przemysłu maszynowego, od roku rozwiedziony, propozycja pracy w kraju. To więcej niż dwadzieścia słów, prawda? – Zamilkł, a na jego twarzy malowało się lekkie znużenie.

Trudny rozwód? – zastanawiała się Stella, kierowana intuicją. Czy też chodziło o coś innego?

– Przepraszam – rzekła. – Musiało być ci ciężko, nie chciałam tego z ciebie wyciągać.

– Nie, masz prawo wiedzieć, z kim jesz kolację. Życie ujęte w zaledwie dwadzieścia słów wydaje się beznadziejne.

Stella bawiła się nóżką kieliszka. Pragnęła zapytać, dlaczego jego małżeństwo się rozpadło, ale nie miała pewności, czy powinna się zapuszczać na tak osobiste terytorium. Postanowiła, że opowie mu swoją historię.

– Wiek: tajemnica.

Roześmiał się.

– Wiek kobiety, tak samo jak jej waga i rozmiar odzieży, to informacje ściśle tajne – oświadczyła z poważną miną Stella. – Jeśli ci zdradzę którąś z nich, będę musiała cię zabić. Jedna córka, cudowna Amelia, która ma siedem lat i jest po prostu słodka.

– Używasz zbyt wielu słów – wtrącił Nick.

– Nick. – Przygwoździła go surowym spojrzeniem. – Jestem prawnikiem.

Ponownie się roześmiał.

– Jedna córka, Amelia, siedem lat. Prawniki, specjalizacja: prawo własności, rozwiedziona, eee... dwie fantastyczne młodsze siostry, świetni rodzice, joga, flakony perfum, kiepska w wybieraniu restauracji... – Urwała.

– W porządku – stwierdził Nick. – Rozwiń tę część o flakonach perfum.

– Uwielbiam małe, kryształowe flakony na perfumy, te ze srebrnymi zatyczkami z toaletek sprzed stu lat. Jeśli chodzi o tego typu drobiazgi, to mam tendencje do zbieractwa. I sztuczna biżuteria z lat czterdziestych i pięćdziesiątych.

– No a fantastyczne siostry?

Twarz Stelli zawsze łągodniała, kiedy myślała o Holly i Tarze.

– Holly jest najmłodsza i pracuje w dziale dziecięcym w Lee's. Jest zabawna, bystra, ale martwię się o nią. – Nie wiedziała, dlaczego to mówi, ale czuła, że może powiedzieć Nickowi wszystko. – Tara – kontynuowała – jest współscenarzystką *National Hospital*. Ona także jest błyskotliwa. Właśnie wygrali nagrodę dla programów telewizyjnych i radiowych.

– Obie prezentują się świetnie. Blisko się trzymacie jako rodzina?

– Bardzo. Jesteśmy mocno zżyci. Mama, tata, ja, Holly, Tara, a teraz Amelia. Klan Millerów. Tak naprawdę to wszystko dzięki mamie – dodała. – To niesamowita osoba, bardzo ciepła i silna. Nie ma czasu na rodzinne sprzeczki albo ciągnące się długo kłótnie. Nauczyła nas, jak ważna jest rodzina.

Nick milczał.

– No a twoja rodzina?

– Mam młodszego brata, Howarda, i starszą siostrę, Pauli, no i oczywiście matkę. Paula mieszka w tej samej wsi co matka, niedaleko Wicklow, i od wielu lat opiekuje się nią. Chcą sprzedać swoje domy i przeprowadzić się do jednego, parterowego, co ułatwiłoby mojej matce poruszanie się. Paula jest artystką, maluje, i nie znosi załatwiania kwestii prawnych, więc mój brat i jego żona, Clarisse, zawsze się tym zajmowali. Clarisse uważa, że skoro wróciłem do kraju, to mogę przejąć pałeczkę. – Lekko cierpki uśmiech Nicka wyjawiał więcej niż jego słowa.

– Clarisse czuje się wykorzystywana i chce, byś wziął na siebie część obowiązków? – zapytała Stella.

– Ależ masz intuicję – odparł Nick, wyraźnie pod wrażeniem.

Podczas posiłku rozmawiali o ich pracy, miejscach, w których pracowali i o rodzinach. Stella uznała, że Clarisse wydaje się nieco podobna do ciotki Adele. Zanim nadeszła pora deseru,

zdążyli sobie opowiedzieć o każdym krewnym z wyjątkiem dzieci – i swoich byłych; rażące pominięcie.

– Opowiedz mi o Amelii – rzekł nagląco Nick.

Stella wyjęła z portfela zdjęcie. Zostało zrobione latem w Kinvarrze, kiedy rodzice urządzili grilla dla przyjaciół i rodziny. Ojciec Stelli zawiesił na jaworze niską huśtawkę i na zdjęciu Amelia siedziała właśnie na niej, ubrana w różowo-białe szorty i T-shirt, śmiejąca się do aparatu, z włosami związanymi w dwa wesołe kucyki.

– Śliczna, tak jak jej matka – stwierdził Nick po przyjrzeniu się zdjęciu. – No a co z jej ojcem? Dzielicie się opieką?

– Niezupełnie – odparła Stella. – On pracuje w branży naftowej i bez przerwy przebywa za granicą. Amelia spędza z nim czas, kiedy przyjedzie do kraju. Jest teraz u niego. – Stella nie wspomniała o tym, jak bardzo się starała nie mieć mu tego za złe. – Rozstałam się z mężem, kiedy Amelia była malutka. Nie chodziło o żadne osoby trzecie, po prosili popełniliśmy paskudny błąd. Chciałabym powiedzieć, że biorąc ślub, byliśmy zbyt młodzi, ale miałam dwadzieścia osiem lat, powinnam być więc mądrzejsza – dodała z żalem. – No a ty?

Cisza zdawała się trwać wiecznie i Stella zrobiłaby wszystko, by cofnąć swe słowa, ale Nick wreszcie się odezwał.

– Dlaczego małżeństwa się rozpadają? – zapytał. – My także popełniliśmy błąd, tyle że potrzebowaliśmy dwudziestu dwóch lat, żeby się o tym przekonać. Kilka lat temu zostałem na cztery miesiące oddelegowany do oddziału firmy w Sztokholmie, a Wendy i córkom byłoby trudno jechać razem ze mną z powodu szkoły. Uzgodniliśmy więc, że pojedę sam i będę przyjeżdżał tak często, jak się da, i robiłem to, co kilka weekendów. Cztery miesiące przekształciły się w pół roku i kiedy wróciłem na dobre, przekonaliśmy się, że nie możemy już razem mieszkać. To brzmi strasznie – rzekł, patrząc na Stellę – ale taka jest prawda. Przez jakiś czas chodziliśmy nawet na terapię. Nic nie pomogła. Ale uświadomiliśmy sobie, że jedynym łączącym nas spoiwem są dziewczynki. Problem w tym, że Wendy chciała tak żyć dalej. Ja wiedziałem, że to się nie uda.

– To musiało być trudne – powiedziała łagodnie Stella. – Nie przeboleałeś jeszcze rozwodu, prawda? – dodała, wiedząc, że zapuszcza się za daleko, ale nie była w stanie się powstrzymać.

Uniósł brwi.

– Uwierz mi, przeboleałem. Nie przeboleałem jedynie koszmaru i bólu, jaki mu towarzyszył. To było najstraszliwsze doświadczenie w moim życiu i siedzi we mnie każdego dnia.

– Opowiesz mi o swoich córkach?

Twarz Nicka rozpromieniła się.

– Jenna ma czternaście lat, a Sara dziewiętnaście. Starsza studiuje sztukę, młodsza chodzi do szkoły, ale wygląda tak dorośle, jakby była studentką. Kiedy jest w gronie koleżanek, wszystkie wyglądają na jakieś dwadzieścia lat.

Wyjął portfel, z niego zaś zdjęcie dwóch dziewczyn. Wyglądało to na fotkę z wakacji. Sara miała jasne włosy, ciepłe, inteligentne oczy ojca, była tyczkowata i uśmiechała się do aparatu. Jenna także się uśmiechała, ale wyglądała tak, jakby pozowała, tak jakby lubiła aparat. A on z całą pewnością lubił ją. Była niezwykle ładna, miała twarz w kształcie serca, migdałowe oczy i dołeczki w policzkach. Nawet błysk aparatu na zębach nie był w stanie przyćmić jej nastoletniej urody.

– Jak często widzisz się z nimi?

– Nieustannie, nie wyobrażam sobie, by mogło być inaczej. Ale to było powodem pewnych problemów. Wendy pochodzi z Dublina i nigdy nie chciała mieszkać w Londynie, lecz jakiś czas temu to właśnie tam miałem pracę. Po rozwodzie wróciła tutaj z dziewczynkami. Tak bardzo za nimi tęskniłem, że kiedy zaproponowano mi pracę tutaj Irlandii, od razu na to przystałem.

Stella milczała. Jak bardzo musiało to rozwścieczyć jego żonę. Nie porzucił Londynu dla niej, ale potrafił się poświęcić dla córek.

– Było ciężko – dodał Nick, potwierdzając jej przypuszczenia. – Trudno nazwać jakkolwiek rozwód przyjaznym, ale nasz taki właśnie był. Żadne z nas nie miało nikogo na boku, ale po

dwudziestu latach i tak trudno się rozstać. Najtrudniej było powiedzieć o tym naszym córkom. – Kiedy mówił, jego twarz stała się ponura.

– Jeśli nie chcesz, nie musimy o tym rozmawiać – wtrąciła pospiesznie Stella.

Wzruszył ramionami.

– Nie musimy, ale dobrze jest się lepiej poznać, no wiesz, mając na uwadze przyszłe spotkania.

Tym razem to Stella wyglądała na skrepowaną.

Popatrzył na nią.

– Schrzanilem wszystko, prawda? – zapytał. – Opowiadanie potencjalnej dziewczynie o koszarze rozwodu to nie najlepszy sposób na zrobienie na niej wrażenia. Mówiłem ci, że nie znam się na nowoczesnym randkowaniu – stwierdził.

– Zapomnij o tym. – Stella pragnęła jakoś to wszystko załagodzić. No i co z tego, że nie nadawał się na randki, ponieważ dźwigał więcej bagażu niż jumbo jet. Był miłym mężczyzną. – Porozmawiajmy o czymś innym. Może o filmach, ważnych kwestiach współczesnego świata...

– Takich jak polityka i religia? – przerwał jej z rozbawieniem.

– Cofam to – rzekła Stella, krzywiąc się. – Zapomnij o ważnych kwestiach współczesnego świata. Mam dość rozmów o polityce i religii, a poza tym nie da się o nich dyskutować bez kłótni. Nie, przejdźmy do poważnych tematów, na przykład, którego Jamesa Bonda lubisz najbardziej.

Nick posłał jej uśmiech pełen wdzięczności, po czym nachylił się i dolał jej wina.

Opuścili restaurację jako ostatni goście, po krótkiej przepychance na temat tego, kto uiszcza rachunek.

– Pozwól mi zapłacić – upierała się Stella.

– Ale to ja cię zaprosiłem.

– Nie, naprawdę, pozwól mi.

Kelnerka stała cierpliwie z boku i czekała, aż skończą się spierać.

– Mogliby państwo dać stąd szybko nogę, żeby nikt nie płacił – zasugerowała.

Nick i Stella popatrzyli na nią ze zdziwieniem.

– Albo podzielić rachunek na pół – dodała.

Tak właśnie zrobili i wkrótce znaleźli się na ulicy, gdzie niebo nie mogło się zdecydować, czy zesłać śnieg czy deszcz ze śniegiem. Kiedy szli, zaczęło padać coś białego i Stella zadrżała w zimnym wietrze.

– Schowajmy się na chwilę – zaproponował Nick. Ukryli się w drzwiach jakiegoś sklepu i stali, przyglądając się, jak śnieg opada na mokrą ulicę, po czym znika.

– Przynajmniej topnieje – powiedziała Stella, nadal się trzęsąc.

Nick bez słowa zdjął płaszcz i narzucił go im obojgu na ramiona, tak że Stellę grzała teraz dodatkowa warstwa. Musiała przysunąć się do niego, by oboje zmieścili się pod płaszczem, i poczuła się dziwnie miło, stojąc tak blisko drugiej osoby. Nie, nie po prostu jakiejś osoby. Nicka. Stanie blisko tego mężczyzny wydawało się miłe i jakoś tak właściwe.

– Nie wydaje mi się, by miało przestać padać – odezwał się Nick.

– Nie – przyznała Stella, a w jej żołądku z podekscytowaniem podskakiwał makaron i wino. Nie mogła uwierzyć, że stoi w drzwiach z tym mężczyzną; mężczyzną, którego uważa za niewiarygodnie atrakcyjnego.

– Zamarzniesz.

– Ciepło ciała to coś wspaniałego – uśmiechnął się do niej.

Stella odpowiedziała uśmiechem, na przekór aurze czując w środku ciepło. Płaszcz osunął się i Nick podciągnął go z powrotem, na chwilę otaczając ramieniem Stellę. Wpatrywała się w niego. Ramię się nie poruszyło, a Stella stwierdziła, że coraz bardziej się nachyla w stronę Nicka. Jego usta znajdowały się zaledwie kilka centymetrów od jej ust, zastanawiała się, czy powinna dać mu jakiś sygnał, że może ją pocałować. Czy tak to się teraz robi? Może powinna była jednak przeczytać tę wzgardzoną książkę od ciotki Adele. Nie czekając na zachętę, Nick dotknął ustami jej warg. Następnie otoczył ją ramionami i oparli się o drzwi, niczym usychające

z miłości nastolatki kradnące zakazany pocałunek. Ciało mocno przylgnęły do siebie, gdy pocałunkiem zaczęła rządzić dzika, przemożna namiętność. Stella smakowała słodycz jego ust, tuliła się mocno do jego ciała, nie obchodziło jej to, że ktoś może ją zobaczyć. Pragnęła jedynie Nicka; Nicka, który całuje jej twarz i szyję, mruczy czule słówka i powoli się z nią kocha...

To on pierwszy się odsunął. Jego oliwkowe oczy lśniły, oddech był przyspieszony.

– Nie przetańczyliśmy jeszcze pięćdziesięciu tańców, a nie ma z nami przyzwoitki – powiedział.

– Ale trzymasz jedną stopę na ziemi, prawda?

– Tak jest!

Tym razem to Stella go pocałowała i czyniła to tak długo, aż obojgu nie było już zimno, a wokół drzwi śnieg wirował lak, jakby szalała solidna śnieżycyca.

Dopiero kiedy ulicą przejechał powoli radiowóz, omiatając niebieskim światłem drzwi, przestali i wyszli na ulicę, śmiejąc się jak dzieci i trzymając nad głowami płaszcz Nicka.

– Nie chciałam przeczytać w gazetach, że szanowana prawniczka i szanowany biznesmen zostali aresztowani za obsceniczne zachowanie – zachichotała Stella.

– To był tylko pocałunek – rzekł Nick.

Ich spojrzenia skrzyżowały się i oboje uśmiechnęli się szeroko. Ale co to był za pocałunek!

Pomógł jej wsiąść do pierwszej napotkanej taksówki, po czym ujął jej dłoń i delikatnie ją pocałował. Stella uśmiechnęła się do niego czule. W przypadku kogoś innego taki gest mógłby wydać się cikliwy, ale nie w wydaniu Nicka.

– Zadzwoń jutro.

Zatrzasnął drzwi i taksówka odjechała w ciemną noc.

Przez krótką chwilę Stella myślała o mężczyznach i telefonowaniu. Wszyscy, począwszy od Vicki, a skończywszy na Tarze, twierdzili, że mężczyźni obiecywali zadzwonić, ale rzadko tak czynili.

To gra, upierała się ze smutkiem Vicki. Zadzwoń czy nie zadzwonić.

Ale siedząc na tylnym siedzeniu taksówki, czując, jak ogrzewanie w aucie powoli dociera do jej ciała, Stella pozwoliła sobie na radosny uśmiech. Nick nie był taki. Zadzwoń! Wiedziała, że tak będzie.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

– Rose, widziałaś moją kurtkę przeciwdeszczową? – zawołał Hugh.

Rose, klęcząca na górze przed szafką z bielizną, pochłonięta szukaniem jakiejś rzeczy, przewróciła oczami. Zostawiła kurtkę Hugh na krześle w kuchni, tym najbliżej drzwi. Przeczyć mógłby ją tylko w takim wypadku, gdyby chodził po domu z zamkniętymi oczami.

– Jest w kuchni! – odkrzyknęła, powstrzymując ochotę, by dodać „ty głupcze”.

– Ale gdzie w kuchni? Nie widzę jej!

Rose wstała z trudem z kolan. Od zimna i wilgoci kości jeszcze bardziej ją bolały. Jeśli styczeń można było nazwać zimnym i mokrym, luty okazał się jeszcze gorszy, z silnymi północnymi wiatrami, które napawały Rose zadowoleniem, że porządny system centralnego ogrzewania utrzymywał Meadow Lodge w cieple. Inną sprawą było stawianie zimnu czoła poza domem i pani Miller postanowiła, że dziś rano nie wyjdzie na dwór bez podkoszulka z długim rękawem. Wiedziała, że musi gdzieś być, i właśnie go szukała, kiedy przerwał jej Hugh.

Znajdowała się w połowie schodów, kiedy mąż znalazł kurtkę.

– Już mam! – zawołał. – Nie zostawiłem jej tutaj – dodał z oburzeniem.

Rose udało się zdusić w sobie ciętą odpowiedź. Weszła do kuchni, w której stał Hugh, gotowy na sobotni poranny spacer z najlepszym przyjacielem, Alaistairem. Kuchnia, dopiero co posprzątana przez Rose, znowu była cała zabałaganiona, gdyż jej mąż wytrząsał obok kosza śmieci z kieszeni, oczyścił buty z najgorszego błota i zaparzył sobie herbatę. Pozostałości po tych trzech zajęciach obróciły w niwecz całą jej pracę.

Hugh dostrzegł, że Rose z rozdrażnieniem przygląda się bałaganowi.

– Och, eee... przepraszam za to, ale muszę pędzić, skarbie – rzekł, składając na jej policzku pospieszny pocałunek – Za dziesięć minut mam się spotkać z Alaistairem. Posprzątam po powrocie.

Wyszedł, Rose zaś pomyślała ze złością, że gdyby otrzymywała pensa za każdym razem, gdy Hugh obiecywał posprzątać, opływałyby już w nieprzebrane bogactwa. Ponownie posprzątała, wróciła na górę, by dokończyć przeszukiwanie szafki, po czym przygotowała się do wyjazdu z Adele. Za kilka tygodni przypadały urodziny Hugh. Jego siostra, która wiele lat temu przestała prowadzić samochód po kolizji ze słupkiem przy bramie, zapytała Rose, czy nie zawiozłaby jej na zakupy w poszukiwaniu prezentu dla brata. Dla Rose oznaczało to katusze, ale zgodziła się. Miłość bliźniego zaczynała się przecież na własnym podwórku.

Adele mieszkała w starym domu rodziny Millerów trzynastcie kilometrów dalej, na drugim końcu Kinvarry. Jadąc tam, Rose zawsze dziękowała swej szczęśliwej gwiazdzie, że ona i Hugh kupili po ślubie własny dom. Wołała sobie nie wyobrażać, jak wyglądałoby jej życie, gdyby musiała mieszkać z Adele, bez tej trzynastokilometrowej strefy buforowej.

Kiedyś Rose Riordain stary dom Millerów wydawał się taki imponujący, z wysadzonym żywoplotem podjazdem i mnóstwem wysokich pokoi w stylu wiktoriańskim. Miał komórkę przy kuchni, na litość boską. Ale teraz, w porównaniu z niektórymi wielkimi nowoczesnymi posiadłościami wybudowanymi w miasteczku, dom był brzydki. Hugh pomagał Adele finansowo w jego utrzymaniu, co dawało Rose swego rodzaju ponurą satysfakcję. Ona, ta biedna dziewczyna z Wexford, na którą Adele patrzyła z góry, miała swój wkład w utrzymaniu wspaniałej rezydencji Millerów.

Adele wystroiła się w kożuch, tweedową garsonkę i małą czapkę uszanke, która śmierdziała tak, jakby ostatnie pięćdziesiąt lat przeleżała w pudle na szafie. Bezlitosne spojrzenie Adele prześlizgnęło się po jasnobrązowym skórzanym płaszczu Rose, spodniach z szerokimi nogawkami, od Karen Millen, i mokasynach. Nie odezwała się ani słowem, ale jej mina mówiła sama za siebie. Adele uważała, że kobiety w średnim wieku powinny znać swoje miejsce, a to się dotyczyło także noszenia właściwego stroju. Rose ze swymi nowoczesnymi, młodzieńczymi ubraniami przeczyła temu wizerunkowi.

– Adele – Rose objęła szwagierkę. – Jesteś gotowa?

– Spodziewałam się ciebie wcześniej – odparła znacząco Adele. Było po dziesiątej. Adele nie spała już od wielu godzin. – Wiesz, jaki w soboty jest ruch na drogach.

– Będzie dobrze – uspokoiła ją Rose. Bądź miła, nakazała sobie w duchu. Adele nie czuła się ostatnio zbyt pewnie i obawiała się pieszej wędrówki po mieście, kiedy pełno w nim było sobotnich klientów, którzy dzierżyli parasole i pchali niebezpieczne dla kostek wózki dziecięce.

Po drodze Adele wyrecytowała listę nieszczęść, które dotknęły ją ostatnimi czasy, po czym zapytała, co każdy zamierza kupić jej ukochanemu Hugh. Adele osobiście miała w planach jakiś ładny krawat i chusteczkę do kieszonki marynarki, które mógłby założyć na urodzinowy obiad.

– Dziewczęta przyjeżdżają na obiad, prawda? – zapytała, mając w duchu nadzieję, że nie i że będzie miała go całego dla siebie. No cóż, dla siebie i dla bratowej.

– Oczywiście, że tak – odparła Rose, jedynie w części koncentrując się na słowach szwagierki.

– To dobrze. Amelia także? Nie jestem pewna, czy pochwalam obecność dzieci w restauracjach – kontynuowała Adele, nie czekając na odpowiedź Rose. – Ale ona jest dobrze wychowana. Wiesz, prawdopodobnie lepiej by dla niej było, gdyby Stella pozostała żoną Glenna. – Adele nie mogła pogodzić się z tym, że ktoś z rodziny Millerów jest rozwiedziony. Za jej czasów ludzie zostawali ze sobą aż do samego końca. – Młodzi ludzie nie mają takiej wytrzymałości jak nasze pokolenie.

Rose zacisnęła dłonie na kierownicy. Co Adele mogła wiedzieć o byciu z kimś na dobre i na złe?

Była rozdarta pomiędzy współczuciem dla szwagierki, której życie było przecież samotne, a gniewem na to, że jej brak taktu nie zna granic. Czy Adele zawsze była taka irytująca, czy też

Rose po prostu gorzej ją znosiła? Wtedy w jej głowie pojawiła się inna myśl: czy to przez miłość do Hugh radziła sobie z Adele od tylu lat?

O wpół do jedenastej wreszcie zaparkowały samochód, gotowe na maraton po sklepach. Adele szła dostojnym krokiem główną ulicą w tempie, które przyzwyczajoną do szybkiego chodzenia Rose napełniało zniecierpliwieniem. Najpierw Adele musiała wejść na pocztę, by zamienić kilka słów ze starą panią Robinson. To trochę potrwało, ponieważ musiały czekać w bardzo długiej kolejce do pani Robinson, która wypłacała zasiłki dla bezrobotnych i dodatki na dzieci z szybkością ospałego parecznika.

Następnie oglądały ubrania na wystawie sklepu Madame Irene i Adele miała okazję ponarzekać na ceny.

– Szokujące – oświadczyła, kręcąc głową tak mocno, że aż podskakiwały jej loczki. – Pamiętam czasy, kiedy można było kupić cały strój łącznie z kapeluszem za piętnaście szylingów. Och, i wtedy to były porządne kapelusze, a nie te pierzaste ustrojstwa, które są teraz ostatnim krzykiem mody, te trzy pióra zatknięte na grzebieniu. Teraz wszystko jest inne, u szkoda.

Adele nigdy nie pamiętała o złych aspektach tamtych starych dobrych czasów, zanim zmieniające się normy społeczne i postępy w medycynie uczyniły świat lepszym. Rose uznała, że jej szwagierka zakochana jest w przeszłości.

Ona z kolei lubiła ten nowy porządek. Brakowało jej co prawda ubrań, które nosiła, kiedy była młoda, choć cierpko przyznawała, że najpewniej po prostu pragnęła mieć figurę ląką jak kiedyś. Ale współczesny świat miał tyle pozytywnych aspektów, na przykład taki, że ludzie mogli zajmować się tym, czym chcieli. Niewzruszone struktury społeczne należały do przeszłości.

W sklepie z męską odzieżą McArthur's Adele dwadzieścia minut spędziła na przeglądaniu krawatów, po czym zdecydowała się na koszulę.

– Rozmiar kołnierzyka Hugh to szesnaście – mruknęła taktownie Rose, kiedy Adele podjęła w końcu decyzję i niosła swe trofeum w niewłaściwym rozmiarze do kasy.

– Zawsze nosił szesnaście i pół – odparła triumfująco Adele, zadowolona ze swej wiedzy.

– Wiem, ale teraz nosi szesnaście. Z wiekiem wszyscy się zmniejszamy – dodała, starając się obrócić to w żart. Zamieniła koszulę na właściwy rozmiar, po czym oddaliła się, by od niechcenia przyjrzeć się skarpetkom.

Następny przystanek to przedpołudniowa herbata w Hotelu Central. Kiedyś główny budynek w Kinvarrze, Hotel Central wyglądał tak, jakby istniał od czasów, gdy Adam biegał po świecie w krótkich spodenkach. Dostojny, porośnięty bluszczem i chlubiący się największą salą balową w promieniu wielu kilometrów, długo był miejscem najdroższych przyjęć weselnych w miasteczku i wytwornych kolacji. Choć nikomu by się do tego nie przyznała, Rose nie znosiła Hotelu Central.

Nigdy nie zapomni swej pierwszej w nim bytności, gdy poznała rodzinę Hugh. Rzeczywiście był to pamiętny wieczór. Miała wtedy tak mało pewności siebie i teraz ten hotel przypominał jej czasy, o których wołałaby zapomnieć. Była wtedy taka młoda, taka nieobyta.

Adele jeszcze bardziej zwolniła kroku, gdy majestatycznie wchodziła po marmurowych stopniach prowadzących do foyer, które jakimś sposobem wyglądało dokładnie tak samo, jak przed czterdziestu laty, pomimo przeprowadzonego tymczasem remontu. Rose zastanawiała się, czy istnieje jakaś fabryka zajmująca się produkcją obrazów w złożonych ramach, przedstawiających fioletowe góry oraz elegancko wyblakłych pluszowych zasłon z roku 1950, by je sprzedawać hotelom takim jak Central. Rozsiadły się w dwóch rustykalnych fotelach i Rose uprzejmie przywołała młodego kelnera.

– Herbata z ciepłymi babeczkami i prawdziwym dżemem truskawkowym – zamówiła władczym tonem Adele.

– Dwa razy, dziękujemy bardzo – dodała Rose, uśmiechając się do kelnera, by choć trochę wynagrodzić mu brak uprzejmości szwagierki.

Adele pomachała ręką do jakiejś znajomej, po czym rozparła się zadowolona w fotelu. Na stoliku przed nią leżały dwa egzemplarze dzisiejszej miejscowej gazety, ale nie wzięła ich do ręki. Za jej młodości damy nie czytywały gazet w miejscu publicznym. To stanowiło sygnał, że nie interesuje jej nic wokoło, a młode damy, jak mówiła jej matka, cały czas muszą wyglądać na zainteresowane. Pojawił się kelner z herbatą w srebrnym dzbanku, porcelanowymi filiżankami i srebrną dwupoziomową paterą z babeczkami. Adele nalała łaskawie herbatę. W jej świetle wszystko było jak należy.

– Bardzo tu przyjemnie – rzekła Rose, naprawdę się starając. W jej wydaniu zakupy sprowadzały się do pospiesznego maratonu po mieście, dźwigania toreb z artykułami spożywczymi i w miarę możliwości, szybkiej latte w kafejce Melanie's.

Piła powoli herbatę i starała się nie myśleć o tym wszystkim, czym mogłaby się teraz zajmować. W oddali stuknęła filiżanki, przypominając Rose o innej okazji.

Uświadomiła sobie, że w saloniku Hotelu Central unosi się pewien zapach. Dziwnie znajomy zapach, który stanowił połączenie perfum konwaliowych i środka do polerowania mebli. Jeśli Rose zamknęła oczy, potrafiła sobie wyobrazić, że znowu przeżywa tamten wieczór przed czterdziestu laty...

\*\*\*

Gdy ona i Hugh jechali do Kinvarry, Rose czuła, jak jej żołądek kurczy się ze zdenerwowania. Hugh nie mógł się doczekać przedstawienia rodzicom swej ukochanej i nie rozumiał, dlaczego Rose jest przerażona tym, że jego rodzice ją przejrzą i odkryją w niej nieodpowiednią partię dla ich jedyne go syna. Uwielbiał swoją piękną, bystrą i namiętą dziewczynę i nie obchodziło go jej pochodzenie. Ale przecież mogło być inaczej w przypadku najbardziej szanowanego prawnika w Kinvarrze i jego żony.

– Tata będzie się zastanawiał, co taka dziewczyna robi u mojego boku – rzekł.

Rose roześmiała się.

– Moja matka czeka z niecierpliwością na to, by cię poznać – kontynuował Hugh. – Gorączkuje się, jaką włożyć suknię.

Rose była zaskoczona i trochę zadowolona. Wcześniej nie sądziła, że damy pokroju pani Miller gorączkują się z jakiegoś powodu, ale to dobry znak, że nie tylko ona się denerwuje. Może nie będzie aż tak źle.

Kiedy dotarli do domu Hugh, oboje zamilkli. Rose nienawidziła się za to, że tak się denerwuje. Była równie dobra jak ci ludzie, dumna ze swej rodziny i pochodzenia, dlaczego więc tak bardzo się denerwowała?

Rodzice Hugh sprawiali wrażenie uradowanych jej widokiem, zapraszając ją z entuzjazmem do domu. I jeśli nawet Rose zauważyła, że dostojny salon jest cztery razy większy od przytulnej kuchni w jej domu w Castletown, nie dał nic po sobie poznać. Hugh był wiernym odbiciem swego ojcu Edwarda; obaj mieli takie same jasne włosy i byli czarujący. Jego matka, Iris, okazała się puszystą, życzliwą kobietą z siwymi włosami, ubraną we wzorzystą suknię z jedwabiu, a w jej uszach lśniły prawdziwe perły. Zachowywała się bardzo ciepło w stosunku do młodej i zdenerwowanej dziewczyny swego syna. Pragnęła dowiedzieć się wszystkiego o Rose i zachwycała się, że mieszka i pracuje w Dublinie.

– Twój rodzice na pewno martwią się tym, że mieszkasz daleko od domu – mówiła pani Miller. – Tak samo było z nami, kiedy Hugh wyjechał na studia. Młodzi ludzie mogą wpakować się w niezłe tarapaty, ale on nigdy taki nie był.

– Iris, zapominasz o tym incydencie ze składaną parasolką i autobusem numer siedem... – wtrącił z szerokim uśmiechem Edward Miller. – Tylko się przekomarzam, Hugh. Nigdy mi nie wybaczysz, Rose, że się z nim drażniłem w twojej obecności.

Wszyscy się roześmiali i Rose pozwoliła sobie na odprężenie. Będzie dobrze. Millerowie mogą mieć inne słownictwo i służącą, która za nich sprząta, ale w gruncie rzeczy są tacy sami, z takimi samymi zmartwieniami i umiejętnością żartowania z głupstw, tak jak wszystkie rodziny.

Reszta wieczoru wydawała się nierealna. Pojechali na kolację do Hotelu Central i Rose podeszła do tego beztrąsko, jakby przez całe dzieciństwo jadała rodzinne kolacje w takich

właśnie miejscach. Czuła się już nieco swobodniej w restauracjach, ale rozumiała różnicę pomiędzy posiłkiem w jadłodajni na ulicy O'Connell, z nożami ze stali nierdzewnej i papierowymi serwetkami, a tym wspaniałym hotelem ze srebrnymi platerami i lnianymi serwetkami tak pięknymi, że aż żal było ich użyć.

Jedynie Adele posyłała jej ponad stołem spojrzenia pełne zazdrości, przyglądając się ożywionej twarzy Rose i ciemnym oczom, w których błyszczał spryt i inteligencja. Wielu ludzi patrzyło tamtego wieczoru na Rose, podziwiając wysoką, szczupłą dziewczynę w srebrzystoszarej sukience, patrząc z uznaniem na jej gęste i błyszczące ciemne włosy, zastanawiając się, kim jest ta wielkooka piękność. Rose miała już okazję poznać dziewczęta pokroju Adele, zazdroszczące jej urody. Uważała, że nie da się z nimi wygrać. Siostra Hugh była wysoka, raczej chuda niż szczupła i nie miała w sobie ani odrobiny tego blasku, którym emanował jej brat. Z pociągłą twarzą i miną pełną wyniosłości i dezaprobaty w niczym nie przypominała pozostałych Millerów. Oni stanowili uosobienie czaru, gdy tymczasem ona była lodowato przekonana o wysokiej pozycji swej rodziny. Rose, świadoma tego, że Adele mają bez przerwy na oku, wzięła do ręki sztucę i uśmiechnęła się lekko, pełna determinacji, by ta dziewczyna nie zrujnowała jej wieczoru.

Kiedy była już sama w pokoju dla gości po wieczorze pełnym triumfu, Rose usiadła na parapecie w starej piźarni, podciągając kolana pod brodę i myśląc o tym, jak bardzo kocha Hugh.

Należała do niego i nic, nawet przepaść dzieląca ich pozycję społeczną, nie mogło ich rozdzielić. Ona jest inteligentna i pełna energii – nauczy się, jak żyć w tym nowym świecie, świecie tak bardzo różnym od dotychczasowego, wypełnionego ciężką pracą. Jediną różnicą były pieniądze. Pieniądze i izolacja, jaką zapewniały.

Wbrew obawom jakoś udało jej się wpasować. Ludzie, których poznała, uważali ją za swoją. Tylko Adele odnosiła się do niej z niechęcią. Cóż, jakoś sobie z nią poradzi. Mając przy boku ukochanego Hugh, Rose była w stanie poradzić sobie ze wszystkim...

\*\*\*

– Czy wszystko w porządku, proszę pań? – zapytał kelner.

Rose podniosła na niego wzrok, nagle wyrwana ze wspomnień o sobie dziewiętnastoletniej.

– Tak – odparła. – Wszystko w porządku.

– Przydałoby nam się więcej herbaty – zauważyła Adeli. Spojrzała na szwagierkę, szukając potwierdzenia.

Biedna stara Adele, pomyślała Rose ze współczuciem. Dorastała w przekonaniu, że czekają wspaniałe, usłane różami życie, a jednak ta bajka jakoś się nie ziściła. Nie ustawiła się kolejka zalotników, starających się o rękę zadowolonej z siebie panny Miller. Jedyne Colin się nią interesował, a Adele odrzuciła go w swej nieposkromionej pysze. Tera była samotna i rozczarowana, ponieważ obietnica wspaniałego życia się nie spełniła.

Te wszystkie lata temu Rose wyobrażała sobie, że jedyną łyżką dziegciu w beczce miodu będzie jej pełna dezaprobaty szwagierka. Gdyby tylko wiedziała wtedy, że Adele jest niegroźna i nieszczęśliwa, a to Hugh może przemienić się w ten dziegieć.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Kenny trzymał w ręce podręcznik jogi. Siedział na sofie Holly niczym sułtan, powoli czytając i wydając poddanym rozkazy z istic królewską szorstkością. Było zimne, niedzielne lutowe popołudnie i mieszkańcy Windmill Terrace odczuwali znudzenie i próbowali jakoś uprzyjemnić sobie czas. Holly zaproponowała wypróbowanie prezentu gwiazdkowego od Stelli. Ponieważ jej siostra dzięki jodze zawsze była taka spokojna, Holly ją poprosiła o polecenie jakiejś książki dla nowicjuszy. Stella odparła, że dla początkujących najlepszym wyjściem byłby udział w zajęciach, niemniej jednak podarowała jej podręcznik. Po wielu próbach przyjęcia pozycji opisywanych w książce Holly doszła do wniosku, że tylko bardzo cierpliwy nauczyciel mógłby poradzić sobie z nią i Joan.

– A teraz, kiedy macie przed sobą prawą nogę, zróbcie wdech i unieście lewe ramię nad głowę. Sięgnijcie w górę i... – Kenny szybko przekręcił kartkę – och, tak, nie opuszczajcie głowy. Macie stanowić jedną płynną linię. A teraz zegnijcie się do przodu.

Holly i Joan, bose i ubrane w spodnie od dresu i luźne koszulki, bardzo się starały zgiąć.

– I się przekręćcie – dodał Kenny, jakby po namyśle.

– Przekręćcie? – zapiszczała Joan, kiedy dotarła do punktu, z którego nie ma odwrotu. – To nie może być zdrowe.

– Zegnijcie się jeszcze bardziej – polecił Kenny. – Wasza lewa dłoń powinna dotrzeć do podłogi.

– Sądziłam, że ma się znajdować nad głową? – Joan się już złościła, próbując zmienić ręce.

– Możemy oddychać? – wydyszała Holly.

– Obie jesteście kretynki – odparł z irytacją Kenny. – Na samym początku powiedziałem wam, jak należy oddychać, To najważniejszy aspekt jogi.

– Pokaż mi tę książkę. – Joan podniosła się z podłogi i wyszarpnęła książkę z rąk Kenny'ego.

– Popatrz – powiedziała z oburzeniem. – Tu jest napisane, że początkujący mogą użyć drewnianego klocka do oparcia ręki, jeśli nie mogą dotrzeć do podłogi.

– Ponieważ jedynym drewnianym klockiem tutaj jest twoja głowa – odparował Kenny – nie widziałem powodu, by o tym wspominać.

– Mogę się już ruszyć? – Holly nadal dotykała podłogi i stawało się to coraz bardziej bolesne. Czuła straszne napięcie w mięśniach nóg i istniała możliwość, że zaraz się przewróci.

– Tak – odparli zgodnie Kenny i Joan, walcząc o książkę.

– Ale jak? – zaskowityła Holly na chwilę przed upadkiem. Drewniana podłoga, nawet przykryta dywanikami, nie bardzo się nadawała do tego, by zapewnić miękkie lądowanie. Holly pocierała nadgarstek, rozbolewały od niecodziennego wysiłku, po czym przyjrzała się uważnie prawemu kolanu, na którym z pewnością pojawi się siniak. – A więc to by było na tyle, jeśli chodzi o *Jogę: przewodnik po świecie wewnętrznego spokoju*.

– To przez Stellę. To ona dała cię tę książkę – oświadczyła oskarżycielsko Joan.

– Chyba myślała, że tylko popatrzę na zdjęcia, a nie że naprawdę będę próbować – gderwała Holly. – Pokaż mi tę pozycję.

– Nie ma sensu – odparła Joan. – Ćwiczyliśmy jogę przez dziesięć minut i okazała się bolesna. Jak może się to przyczynić do osiągnięcia stanu wewnętrznego spokoju? A Kenny nie zrobił nic prócz wydawania nam poleceń.

– Ja już osiągnąłem stan wewnętrznego spokoju – odparł zadowolony z siebie Kenny i skrzyżował nogi w pozycji zbliżonej do kwiatu lotosu, by im to pokazać. – Niepotrzebna mi joga.

– Jak cię ugryzę, to będziesz miał guzik z wewnętrznego spokoju – warknęła Joan. – Jesteś po prostu zadowolony, ponieważ wczoraj wieczorem nagabywał cię ten facet. Tak naprawdę nie był jednak zainteresowany i wolał mnie!

– Byliśmy w barze dla gejów – zripostował Kenny. – Dlaczego miałby interesować się tobą?

– Może był bi – warknęła Joan.

– A może tri – odparł z przekąsem Kenny.

Holly zdusiła śmiech. Kiedy jej sąsiedzi się kłócili, przypominali komediowy duet. Nie było w tym złośliwości: sprzecznianie się stanowiło dla nich formę rozmowy i byłoby zaskoczeni, gdyby jakaś osoba z boku pomyślała, że tymi ciętymi uwagami chcą sobie dokuczyć.

Wciąż zrzędliva Joan wstała z sofy i udała się do aneksu kuchennego Holly, gdzie zaczęła otwierać szafki w poszukiwaniu czekolady.

Było zbyt zimno, by choćby rozważyć myśl o spacerze, a zbyt wcześnie, by pójść do pubu. Holly wstała dziś późno i włożyła powyciągane szare spodnie od dresu, wyblakły granatowy polar i wczorajsze skarpetki, po czym powlokła się do sklepu po gazety. Kiedy już wróciła do domu, rozsiadła się na sofie razem z herbatą, tostami i tymi wszystkimi fajnymi niedzielными dodatkami. Nie wzięła prysznic, nie umyła włosów ani nawet nie użyła balsamu do ust. To był właśnie tego typu dzień.

Znudzeni i sprzeczący się niczym para starych kocurów, Kenny i Joan pojawili się u niej tuż po drugiej wraz z własnymi gazetami, rodzinnym opakowaniem sera, chipsami o smaku cebulowym i kłótnią o to, czyja kolej na zmywanie naczyń.

Kenny, który w kwestii zmywania był równie skrupulatny jak w kwestii prania, upierał się, że ma dość myciu garnków za Joan. Ona z kolei uważała, że garnki potrzeba ją jedynie pobieżnego opłukania pod kranem i twierdziła, że przecież je myje i że to kwestia formalna, co czyni je umyтыми właściwie.

– Gdybyśmy mieli psa, nie musielibyśmy w ogóle szorować garów, bo on zlizywałby z nich resztki jedzenia – oświadczyła, wiedząc, że wrażliwy Kenny zblednie na samą myśl o czymś takim.

– A gdybyśmy włożyli jedzenie pod prysznic, to wylizałby też brodzik? – zapytał ostro. – Ponieważ ty nigdy go nie myjesz.

– Zmieniasz się we własną matkę – stwierdziła z rozdrażnieniem Joan.

– Wcale nie, prawda, Holly?

– Nie patrzcie na mnie – odparła. – Nie jestem waszym arbitrem.

– Wydaje mi się, że nie przeszkadzałoby mi, gdybym zmienił się w moją mamę – rzekł w zamyśleniu Kenny. – Jest naprawdę niesamowita. – Matka Kenny'ego była stylową wdową, która pracowała na pół etatu w galerii sztuki i prowadziła bujne życie towarzyskie.

– Nie znam nikogo waszego pokroju – jęknęła Joan. – Ty i twoja matka uprawiacie to obłąkane towarzystwo wzajemnej adoracji. To właśnie jest z tobą nie tak: twoja matka przez całe życie powtarza ci, jaki jesteś wspaniały.

Kenny uśmiechnął się do niej z wyższością.

– No bo jestem – odparł słodko.

– Ty to masz szczęście – powiedziała miękko Holly.

\*\*\*

Kiedy wszystkie gazety i chipsy zostały przetrawione, nuda i sprzeczki przybrały na sile. Nieszczególną przyjemność sprawiało im oglądanie powtórek seriali, gdyż wszystkie widzieli już w minionym tygodniu.

– Nie znoszę niedzielnych popołudni – oświadczyła Joan, kiedy się przekonała, że nigdzie nie ma ani kawałka czekolady. – Już prawie po weekendzie i został jedynie kiepski niedzielny wieczór i poranne wstawanie.

– Moglibyśmy iść na spacer – zaproponowała Holly.

– I zamarznąć? – zapytał z oburzeniem Kenny. – Zwariowałaś? Gdyby Bóg chciał, byśmy spacerowali na zimnie, obdarzyłby nas futrem.

– Nigdy nie użyłabym futra w żadnej z moich kolekcji – powiedziała w zamyśleniu Joan. – To okrucieństwo wobec zwierząt.

– W zeszłym miesiącu zrobiłaś skórzany top – zauważył Kenny.

– To była stara koronka z perełkami i jednym, małym kawałkiem skóry – odwarknęła Joan.

Holly zamknęła oczy i modliła się w duchu o to, by wydarzyło się coś, co by ich uspokoiło. I jak na zawołanie za drzwiami rozległ się niesamowity łomot, tak jakby hipopotam spadł ze schodów.

Cała trójka zerwała się na równe nogi i pobiegła sprawdzić, co się dzieje.

Kenny otworzył szarpnięciem drzwi mieszkania Holly i zobaczył, że przed nimi leżą trzy duże walizki i pęknięta skrzynia. Musiały spaść z piętra wyżej. Walizkom udało się wyjść z tego upadku bez szwanku, ale zawartość skrzyni leżała rozrzucona na korytarzu. Nie było ani śladu właściciela tych rzeczy. Kenny wychylił się przez poręcz i popatrzył w dół. Tam też nikogo nie było.

– To pewnie ktoś nowy wprowadza się na górę – uznał.

– Mam nadzieję, że jest miłszy od tej szalonej kobiety, która mieszkała tam wcześniej – rzekła Joan, przyglądając się porzucanym rzeczom, jakby się chciała przekonać, czy po zawartości skrzyni da się zidentyfikować właściciela. – Zawsze narzekała na moją muzykę.

Ponieważ Joan przepadała za muzyką klubową, puszczaną tak głośno, że aż szumiało w uszach, Holly podzielała w tej kwestii zdanie byłej lokatorki.

– Dużo czarnych ciuchów – stwierdziła Holly, mierząc spojrzeniem wystające ze skrzyni rzeczy – co oznacza, że właścicielką jest zdecydowanie kobieta.

Kenny i Joan wydali zgodny jęk.

– Już takie nasze szczęście – westchnął Kenny. – Dlaczego nie może się tu wprowadzić jakiś olśniewający mężczyzna?

Joan wyciągnęła z pękniętej skrzyni sweter.

– Nie rób tego – syknęła Holly. – Nie można szperać w cudzych rzeczach!

– To mogło przecież wypaść. Wow, z całą pewnością facet! – oznajmiła Joan, podnosząc do góry wielki, męski sweter.

– Duży facet – stwierdził radośnie Kenny.

– Duży, ale na tyle niezdarzy, by spuścić swoje rzeczy ze schodów – odezwał się jakiś głos.

Holly i Joan podskoczyły z minami winowajców.

Po schodach schodził mężczyzna przed trzydziestką. Miał jasne krótko obcięte włosy, przyjazną, otwartą twarz pokrytą piegami, duże smutne oczy i niezwykle szerokie ramiona. Usta miał rozciągnięte w szerokim uśmiechu, ale w jego spojrzeniu było coś nieśmiałego. Holly pomyślała, że wygląda jak jeden z tych potężnych facetów, których normalnie można spotkać na boisku do rugby, takiego, co w każdej chwili może pognać biegiem i wpaść na innego potężnego zawodnika. Potrafiła go sobie wyobrazić jako szkolną gwiazdę sportu, bohatera dla młodszych chłopców.

– Witaj – powiedziała gorliwie Joan. – Wprowadzasz się?

Ona i Kenny stali na baczność: Joan zagryzała wargi, by je nieco podbarwić, a Kenny przyjął swą modelową pozę, przechylając się lekko na bok, by zaprezentować ładnie umięśnione ciało. Holly świadoma była tego, że wygląda jak dobrze odżywiony włóczęga w swym workowatym i starym stroju portowym i z nieumytymi włosami, nie robiła więc niczego, by się jakoś zaprezentować.

– Tak, Tom Barry – odparł olbrzym, wyciągając wielką dłoń.

Z bliska wydawał się jeszcze potężniejszy. Był to facet, który mógłby się okazać przydatny, gdyby zaistniała potrzeba wyważenia drzwi. Ale Holly uznała, że wygląda zbyt grzecznie i łagodnie, by wyważać cokolwiek.

– Joan Atwood.

– Kenny Erskine.

Joan i Kenny przedstawili się entuzjastycznie.

– Miło was poznać – rzekł Tom.

– To jest Holly Miller – dodał Kenny, uświadamiając sobie, że Holly chowa się za nimi i jest jak zwykle nieśmiała.

Ale ona była po prostu śmiertelnie zakłopotana z powodu nieumytych włosów. Musiała dzisiaj wyglądać po prostu koszmarnie.

– Cześć – odezwała się, machając lekko ręką zza pozostałej dwójki.

– Holly mieszka tutaj – wyjaśnił Kenny – a Joan i ja naprzeciwno.

– Ale my wcale nie jesteśmy parą – dodała pospiesznie Joan.

– Broń Boże – rzekł Kenny z jeszcze większym pośpiechem. – Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

– Przyjaciółmi – kiwnęła głową Joan.

Tom nie odezwał się ani słowem, uśmiechnął się tylko do nich wszystkich. Holly zauważyła, że jego oczy są barwy wyblakłego dzinsu z małymi żółtawymi plamkami na tęczówce.

– Czy to akcent z okolic Cork? – zapytał Kenny tonem, który Holly rozpoznała jako kokieterijny.

Tom kiwnął głową.

Mężczyzna małowówny, pomyślała Holly.

– Pochodzę z Clonakilty, ale od wielu lat mieszkam w Cork.

– Ooch, naprawdę. – Kenny i Joan wyglądali na tak zainteresowanych, jakby Tom powiedział, że właśnie przyleciał statkiem kosmicznym z innej galaktyki, a nie z innej części kraju.

– I przyjechałeś poszukać pracy? – zapytała Joan.

– Właśnie przeprowadziłem się z Cork – odparł Tom, – Mam tutaj nową pracę.

– A jaką?

Holly jęknęła w duchu. Za chwilę zapytają go o wewnętrzną długość nogawki.

– Jestem architektem.

Millerówna dostrzegła, że Joan prostuje się z satysfakcją. Jej przyjaciółka niedawno sporządziła dla zabawy listę zawodów dla potencjalnych chłopaków. Architekci plasowali się w pierwszej dziesiątce. Kreatywni, lecz mężczyźni, jak twierdziła Joan. Szczyt listy zajmowali obecnie strażacy.

– Co projektujesz? – zapytał Kenny.

– Hej, przestańcie go maglować – zganiała ich Holly.

– Przepraszamy – rzekła Joan. – Jesteśmy po prostu ciekawi. Musimy cię zaprosić na powitalnego drinka. Robimy to w przypadku wszystkich mieszkańców, no nie?

– Jak najbardziej – przytaknął Kenny. – Prawdę mówiąc, właśnie się zbieraliśmy do pubu. Możesz iść z nami?

– Obawiam się, że nie. – Tom wyglądał, jakby było mu z tego powodu autentycznie przykro.

– Ale następnym razem z przyjemnością wybiorę się na piwko.

– To świetnie – rzekł Kenny.

– No to na razie – dodała Joan.

Ponieważ zapowiadało się na to, że mogą stać i gapić się na Toma bez końca, Holly pożegnała się wesoło i wciągnęła oboje do swego mieszkania.

– Cóż za słodki olbrzym – zanucił Kenny. – Uwielbiam tych wielkich facetów w stylu macho.

– Ja też – westchnęła Joan. – Na kogo z nas patrzył? Myślisz, że jest gejem?

– Może i jest, nie wiem – odparł Kenny. – Nie ma czegoś takiego, jak znaczący uścisk dłoni i nie zawsze da się od razu rozpoznać, cokolwiek mówią o gejowskim radarze. Może być wielkim gejem w stylu macho. Tak naprawdę to musimy zajrzeć do jego płyt. Jeden album Barbry Streisand i będę mieć pewność.

Holly nie brała udziału w tej rozmowie, ponieważ stała teraz w łazience i przyglądała się z przerażeniem bladej świecącej się twarzy i tłustym ciemnym włosom. Wyobrażała sobie, co musiał sobie o niej pomyśleć ten facet. Nie wzięła nawet prysznicza. To, że niedziela była dniem leniwym, nie znaczyło wcale, że trzeba wyglądać jak fleja.

– Wyglądam koszmarnie – powiedziała ze wstrętem, wróciwszy do pokoju. – Od tej pory nie wychodzę z mieszkania, dopóki nie zrobię pełnego makijażu i nie włożę przyzwoitych ciuchów. Mam zamiar zacząć nowe życie jako osoba bardzo zadbana.

– Tak naprawdę to nie wyszłaś z mieszkania – przypomniała jej Joan.

– W takim razie nawet w mieszkaniu – odparła ponuro Holly. – Mam zamiar być bardzo zadbana i koniec!

– Jak sobie chcesz – odpowiedzieli chórem Joan i Kenny i wrócili do rozmowy na temat nowego sąsiada.

Holly zamknęła drzwi od łazienki i puściła wodę pod prysznicem, by się nagrzała. Kiedy zdjęła z siebie powyciągane ubrania, zajęła się szukaniem w myślach swego ideału kobiety. Stella i jej matka zawsze wyglądały nienagannie, co było trudne, kiedy Holly jeździła coraz rzadziej na weekend do Kinvarry. Dla niej, przyzwyczajonej do chodzenia w domu w najstarszych ciuchach do chwili, gdy trzeba wyjść, odwiedzanie rodziców oznaczało dodatkowy wysiłek. Co nie znaczy, że Rose powiedziała na ten temat choć słowo, ale Holly była przekonana, że wyczuwa u matki odrobinę dezaprobaty, kiedy pojawia się w znoszonych spodniach od dresu i bezkształtnym T-shircie.

Tara, która na co dzień chodziła w dżinsach i T-shirtach, powiedziała, że Holly tylko to sobie wyobraża.

– Mama nie dba o to, w co jesteś ubrana, Holls – upierała się Tara. – Jest szczęśliwa, że cię widzi. Odkąd zaczęła pracować w Lee's, prawie w ogóle nie masz czasu, by przyjeżdżać do Kinvarry. Możesz się zjawić nawet nago i z kilkoma tatuażami na plecach, a rodzice i tak będą uradowani.

Holly nie miała takiej pewności. Tara i Stella były inne i Rose była z nich taka dumna. Bardzo się starała, by matka była dumna także z niej. Miała jedynie nadzieję, że pewnego dnia się uda i Rose jej to powie. Może stanie się to w urodzinowy weekend ojca?

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Stella zmusiła się, by stanąć obok wielkiego okna i podziwiać widok na dzielnicę portową Dublina z mieszkania Nicka, na szóstym piętrze apartamentowca. To arcydzieło architektury z przydymionego szkła wyglądało jak nowoczesny hotel i miało całodobowego konsjerżera oraz ochronę. Widok był spektakularny, pomieszczenia zaś przestronne. Tak naprawdę jednak Stella pragnęła przechadzać się po mieszkaniu i przyglądać się rzeczom Nicka: jego meblom, książkom, zdjęciom. Była to jej pierwsza wizyta u niego i pragnęła więcej się o nim dowiedzieć. Potrzebowała czasu, by określić, jakim dokładnie jest człowiekiem – i co to oznacza, jeśli mężczyzna na czwartej randce proponuje, że ugotuje kolację.

Vicki powiedziała, że to oznacza, iż Nick oszalał na punkcie Stelli i robi, co się da, by wyrzucić na niej wrażenie.

– Mężczyzna proponuje, że ugotuje dla ciebie kolację w swoim mieszkaniu, a ty próbujesz to analizować? – zapytała Vicki. – Zwariowałaś? Masz bzika na jego punkcie, więc przestań się martwić i chwytaj go obiema rękami.

Stella mimo to była niespokojna.

– Nie mogę tak bardzo się spieszyć – wyznała. – A jeśli się mylę, jeśli on nie jest uroczym, życzliwym mężczyzną, za jakiego go uważam, tylko jakimś doświadczonego uwodzicielem, który szykuje doskonałą kolację, raczy mnie winem, a potem oczekuje, że zaciągnie mnie do łóżka?

– Wtedy po prostu odmawiasz – zauważyła trzeźwo Vicki.

– Nie może cię przecież wciągnąć do sypialni.

– Nie powiedziałam, że myślę, że mnie do niej wciągnie – odparła Stella. – Ja tylko...

Nie potrafiła do końca wytłumaczyć, że tak bardzo chciała mieć rację w swej ocenie Nicka. Ale że bała się tego, iż się myli. Był zabawny, miły, przystojny, dzięki niemu wspaniale się czuła i wyraźnie szalał na jej punkcie. Po pierwszej randce przysłał jej bukiet białych kwiatów, tak wielki, że musiała prosić Vicki o pomoc w zanieśieniu go do samochodu. Na drugiej randce udali się do teatru, a potem do pizzerii, gdzie siedzieli, trzymając się pod stolikiem za ręce, i milczeli przez dłuższe chwile, patrząc sobie z rozmarzeniem w oczy. Na trzeciej randce poszli do kina, ponownie trzymali się za ręce i dzielili wiaderko popcornu. Stella nie bardzo pamiętała, o czym był film.

Nick dzwonił do niej codziennie, przepaszając, ponieważ nie chciał przeszkadzać jej w pracy. Dodawał jednak, że pragnął usłyszeć jej głos. Nie potrafiła przestać o nim myśleć i autentycznie widziała dla nich przyszłość. Czy taki ideał mógł być prawdziwy?

– Bajeczny widok – rzekła, odwracając się w stronę kuchni, gdzie Nick przygotowywał jej szprycer z białego wina.

– Jest świetny, prawda? – zapytał, wyraźnie czymś zaabsorbowany. Zachowywał się tak, odkąd przyjechała, wymykając się do kuchni zaraz, jak tylko otworzył drzwi i złożył na policzku Stelli szybkiego całusa. Takie podenerwowanie nie było w jego stylu i przez to jeszcze bardziej ścisnęło ją w żołądku.

Okrążyła sofę w kolorze czekoladowego brązu i podeszła leniwie do półek zawalonych książkami i dokumentami poustawianymi jak popadnie. Książki były różne: od politycznych

biografii do thrillerów. Wcisnięto tam także czasopisma o tematyce żeglarskiej. Na gzymsie kominka leżały tylko brązowe koperty po rachunkach i jakieś drobne monety. W rogu jeden na drugim stały kartony, co stanowiło dowód, że Nick leszcze się tutaj do końca nie rozlokował, choć zajmował to mieszkanie od kilku miesięcy.

– Wiem, że trochę mam tu bałagan – rzekł przepraszająco, podając jej kieliszek. – Nie miałem zbyt wiele czasu, by coś z tym zrobić, a nie jestem dobry, jeśli chodzi o urządzenie mieszkania.

– Jest naprawdę uroczo – odparła Stella.

Podobało jej się to, że mieszkanie urządzone jest w kolorze kremowym i ciemnobrązowym, choć jak na jej gust w tym miejscu brakowało uczucia i życia. Rozglądając się, dostrzegła na niskim stoliku w kącie kolekcję oprawionych w ramki zdjęć. Wpatrywała się w nie intensywnie, ale znajdowały się zbyt daleko, by mogła zobaczyć je wyraźnie. W jadalnej części pomieszczenia imponujący stół ze szkła i metalu nakryty był dla dwóch osób, a na jego środku stał wąski flakon z olbrzymią kalia. Wyglądało to pięknie, jak na stronach magazynu poświęconego dekoracji wnętrz.

– Spocznij, proszę – rzekł Nick.

Usiedli na przeciwległych brzegach sofy i Stellę na nowo ogarnął niepokój. Intuicja mówiła jej, że coś jest niezupełnie w porządku.

– Mam nadzieję, że lubisz kaczkę – odezwał się Nick.

Kaczka. Stella poczuła się zaskoczona. Wcześniej nie przyszło jej do głowy, że Nick jest jakimś wybitnym kucharzem i była przekonana, że na kolację przygotowuje jakąś potrawę z makaronem. Albo stek. Mężczyźni lubią przyrządzać steki.

– To się wydaje dość ryzykowne – odparła uprzejmie.

– Eee, tak – rzekł, bawiąc się krawatem.

Dotarło do niej, że Nick jest zdenerwowany. O co chodzi? Coś zgrzytało w dzisiejszym wieczorze. Albo była to kolacja w stylu „przykro mi, ale to koniec”, albo coś planował. No ale dlaczego miałby ją tu zaprosić, by się z nią rozstać, skoro mógłby to zrobić przez telefon?

– Zajrzę tylko do piekarnika. – Zerwał się z sofy.

To z całą pewnością pożegnalna kolacja, uznała Stella. No cóż, niestety przez cały czas miała rację. Wszystko rzeczywiście było zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Dlatego właśnie Nick miał na sobie koszulę i krawat; oficjalny wygląd pomagał, kiedy dochodziło do trudnej rozmowy. A co tam, nie miała zamiaru być dłużej idealnym gościem. Wstała, by przyjrzeć się jego zdjęciom. Na wszystkich widniały jego dwie córki, niektóre fotki pochodziły z czasów ich dzieciństwa. Jenna była uroczym maluchem z kręconymi jasnymi włoskami wokół puciołatej twarzy, na której widniał ujmująco psotny uśmiech, obok niej zaś leżał przewrócony słoik po kremie czekoladowym, Jenna zaś była cała nim wysmarowana, nawet kolana miała brudne.

Nie było żadnych zdjęć matki dziewczynek. Usunięta z życia Nicka tak samo, jak Stella zostanie usunięta. Poczula, jak wzbiera w niej żal. Głupia była, wyobrażając sobie, że czeka ich wspólna przyszłość. Świeżo rozwiedzeni mężczyźni pragnęli wolności, a nie odpowiedzialności i przykuwania się do rozwiedzionych matek, gdy tylko wyschnie atrament na czeku dla prawnika. Stanowiła dla niego przygodę, dzięki której doszedł do siebie po rozwodzie, nic więcej, a teraz próbował się jej pozbyć.

Może planował wrócić do byłej żony. Może ta śpiewka o tym, jak to on i Wendy oddalili się od siebie, nie była do końca prawdziwa. Nawet Vicki, namawiająca ją do zaangażowania się, zachowywała sceptycyzm w tej kwestii.

– Powiedział, że to był przyjacielski rozwód? – zapytała. – W to akurat trudno mi uwierzyć. To sprzeczność sama w sobie; nie istnieje coś takiego jak przyjacielski rozwód. Zapytaj Alison z prawa rodzinnego, jeśli mi nie wierzysz. Kiedy poznasz go lepiej, dowiedz się, czy rzeczywiście był taki przyjacielski.

Może to Wendy chciała rozwodu, a teraz on miał nadzieję, że znowu będą razem, pomyślała z nieszczęśliwą miną Stella.

– Eee... Stello, mogłabyś na to zerknąć? – Jej myśli przerwał Nick. Wydawał się bardzo niespokojny.

Stella weszła do nieskazitelnie czystej kuchni, myśląc, że Nick musiał nieźle tyrać, by przygotować kaczkę, a potem tak dokładnie posprzątać. Ale w ogóle nie czuć było zapachu jedzenia, co było dość dziwne.

– Co się stało?

Nick pokazał na podwójny piekarnik, połyskujący srebrem i szarością, który Stella chętnie widziałaby w swojej kuchni, ale nie stać jej było na taki model.

– Siedzi w środku od godziny i jeszcze nie jest gorąca. – Nick przecesał palcami włosy. – Naprawdę mi przykro, Stello, chciałem, żeby było idealnie.

Pochyliła się i otworzyła jedną część piekarnika. Na zewnątrz wydostało się ciepławe powietrze. Dotknęła dwóch owiniętych folią aluminiową zawiniątek. Lekko ciepłe. Zawiniątka wyglądały bardzo profesjonalnie, niemal zbyt profesjonalnie. Sprawdziła ustawienia i zobaczyła, że świeci się przycisk timera.

– Ustawiałeś czas? – zapytała.

Nick spojrzał na nią nierozumiejącym wzrokiem.

– Nie – wzruszył ramionami. – Jedyne włączyłem, tak jak mi kazali... Do diabła. – Zerwał z szyi krawat i rozpiął górny guzik koszuli. – Chciałem zrobić na tobie wrażenie, tak byś nie myślała, że jestem jednym z tych bezużytecznych mężczyzn, którzy nie potrafią ugotować nawet jajka. Chciałem, byś myślała, że jestem nowoczesnym mężczyzną. Zamówiłem całą kolację w firmie cateringowej. Przywieźli to prawie gotowe i miałem jedynie odgrzać. Tyle, że piecyk...

– ...miał włączony timer i coś musiałeś zrobić, bo najwyraźniej przełączył się na sterowanie ręczne – zakończyła Stella, uśmiechając się do niego promiennie. – Chciałeś zrobić na mnie wrażenie – powiedziała, wyłączając piecyk. Wstała i zarzuciła Nickowi ręce na szyję, przytulając się do niego – Wiedziałam, że coś jest nie tak – dodała. – Byłeś taki po denerwowany, że sądziłam, iż masz zamiar mi powiedzieć, że wszystko skończone.

– I kiedy nie czuć było zapachu jedzenia – kontynuował Nick – dotarło do mnie, że to się nie nagrzewa... Co powiedziałaś? – Popatrzył na nią ze zdumieniem. – Sądziłaś, że mam zamiar powiedzieć ci, że to koniec? Och, Stello – jęknął, dotykając ustami jej warg.

Gdy całowali się namiętnie, Stellę ogarnęła ulga, a w ślad za nią pojawiło się pożądanie.

– Jak mógłbym powiedzieć, że to koniec, jeśli nie potrafię skoncentrować się na niczym oprócz ciebie – wymruczał Nick, przesuwając usta od jej ust do kości policzkowych, przytulając ją jednocześnie mocno.

Stella odrzuciła do tyłu głowę, gdy usta Nicka opuściły się na dół, by muskać jej szyję.

– Vicki powiedziała, że powinnam przestać wszystko analizować i po prostu dobrze się bawić.

– Przypomnij mi, bym przesłał jej kwiaty – zażartował Nick. – Skąd ci w ogóle przyszło do głowy, że chciałbym cię rzucić?

– Cóż, to wszystko dzieje się tak szybko. – Stella popatrzyła zdecydowanie w oczy Nicka. – To mnie przeraża, Nick, i przerażałoby także większość mężczyzn.

– Wiem, że to się dzieje szybko, ale żadne z nas nie powinno się tego bać. – Wsunął pasmo jedwabistych ciemnych włosów za jej ucho. – Nigdy bym cię nie skrzywdził, Stello. Ja po prostu pragnę być z tobą, pragnę rozmawiać z tobą w każdej chwili dnia, chcę, byś była ze mną przez cały czas. Nie mogę uwierzyć, jak silne jest to, co czuję po upływie tak krótkiego czasu, ale nie możemy pozwolić, by to nas powstrzymało. Dlaczego musimy być ostrożni? Dlaczego nie możemy po prostu cieszyć się tym, co do siebie czujemy?

– Muszę być ostrożna, Nick – przyznała szczerze Stella. – Ponieważ muszę myśleć o Amelii. Nie chcę, by została skrzywdzona, a następny krok jest taki, że staniesz się częścią także i jej życia, muszę więc wiedzieć, że naprawdę tego chcesz i że nie jestem jakąś przelotną przygodą, pomagającą ci odzyskać równowagę po rozwodzie. Przepraszam – dodała, widząc, że w jego ciemnozielonych oczach pojawił się ból. – Ale Amelia jest dla mnie wszystkim i muszę ją

chronić. I prawdę powiedziawszy, ty także masz córki, o których musisz myśleć. Mamy razem tyle bagażu, że możemy założyć wspólną firmę sprzedającą walizki.

W kącikach jego ust pojawił się uśmiech.

– Wiem, co masz na myśli, Stello, ale wydaje mi się, że mnie jest łatwiej, bo Jenna i Sara są starsze od Amelii.

– Tak – odparła powoli, choć co do tego nie była tak do końca przekonana.

– Wyświadczyć mi tylko jedną przysługę – rzekł Nick. Ujął jej dłonie w swoje. – Nie powstrzymuj się, proszę, nie staraj się nie angażować. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie czułem, Stello, to jest coś wyjątkowego. I nie, to nie jest jakaś kwestia, którą wyczytałem w poradniku uwodzenia kobiet.

Tym razem to Stella się uśmiechnęła.

– Mówię poważnie – rzekł. – Zakochuję się w tobie, co w tym złego?

– Nic.

Przez chwilę wpatrywali się w siebie, karmiąc sobą oczy.

– Ja chyba... – Stella uczyniła pauzę. – Ja chyba też zakochuję się w tobie.

Tym razem to ona przysunęła się bliżej niego i przyciągnęła do siebie jego głowę. Nagle podniosła się temperatura i Stella tuliła się mocno do Nicka, jej ciało napierało na jego twardość, ich usta się złączyły. Wiedziała, że pragnie, by trafili do jego sypialni, gdzie ich namiętność mogłaby eksplodować i całe tłumione pożądanie znalazłoby wreszcie ujście. Jej palce pospiesznie rozpięły koszulę, badając jego tors, delikatnie przesuając koniuszkami palców po skórze. Słyszała, jak oddech Nicka przyspiesza, kiedy ukrył twarz w jej szyi, a jego usta lizwały i muskały, gdy tymczasem głowa przesuwała się w dół ku łagodnym zaokrągleniom jej piersi. Stella wygięła się w łuk, wypychając ciało bliżej jego ust, pragnąc, by sięgnął pod jej sweter i dotknął nabrzmiąłych boleśnie piersi.

To Nick oderwał się pierwszy.

– Wydawało mi się, że mieliśmy się z tym nie spieszyć – rzeki drżącym głosem. – A jeśli w tej chwili tego nie przerwiemy, nie będę w stanie się zatrzymać.

Stella uśmiechnęła się impertynencko i zapięła mu koszulę.

– Masz rację. Gorąco tu. Myślisz, że gdybyśmy wyjęli z piekarnika kaczkę, to by się od razu nagrzała?

Nick roześmiał się i złożył na jej czole niewinny pocałunek.

– Mogę naprędce przygotować całkiem dobrą chińszczyznę, wiesz? – rzekł. Otworzył szufladę i wyjął z niej zalaminowane menu restauracji na wynos.

– Oszust. – Stella zdjęła buty na wysokim obcasie i otworzyła lodówkę. Znajdował się w niej ser, sałata, woda i kilka kartonów soku pomarańczowego. – Nie możemy zmarnować tej kaczki. Skoro jest już upieczona, to może zjemy ją na zimno z sałatą?

– Doskonały pomysł.

– A na przyszłość, jeśli będzie nam ze sobą naprawdę dobrze, będziesz musiał przyjąć do wiadomości, że nie potrzebuję codziennie cordon bleu na kolację. Lubię oglądać telewizję zjedzeniem na wynos na kolanach i nogami na ławie.

– Mnie to pasuje – odparł radośnie Nick.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W weekend, w który przypadają sześćdziesiąte trzecie urodziny Hugh, córki państwa Miller przybyły na uroczysty rodzinny obiad. Stella i Amelia przyjechały z Dublina już w piątek wieczorem. Tara, Finn i Holly mieli się zjawić w sobotę, choć Holly nie zostawała na noc w Meadow Lodge. Zamierzała się zatrzymać w domu Donny, ponieważ przyjaciółka już od miesięcy błagała ją o to, ale miała pojawić się oczywiście na niedzielnym obiedzie.

W sobotę rano Hugh i Amelia udali się na ekspedycję badawczą, której cel stanowiły szczenięta, urodzone przez należącą do Alastaira Devona sukę rasy collie. Dzięki temu

zadowolone Rose i Stella miały trochę czasu tylko dla siebie i postanowiły wykorzystać go na poranne zakupy.

W soboty w kafejce Melanie panował spory ruch, który nasilał się w porze lunchu, gdy robiący zakupy nie potrafili się oprzeć pokusie skosztowania domowych, organicznych kiszów lub pizzy, przywracających energię nawet tym najbardziej wykończonym. Melanie jakiś czas temu przebiegle pozbyła się twardych krzesel, tak bardzo lubianych przez pierwszych właścicieli kafejki, i zastąpiła je wygodnymi i miękkimi, dzięki grubym poduszkom z kraciastej bawełny, które komponowały się z obrusami w niebieską kratkę. Kawa u Melanie słynęła w Kinvarrze z tego, że stawiała na nogi po ciężkim poranku. Dlatego więc o wpół do dwunastej kafejka była za zwyczaj wypełniona kobietami, dumnie dźwigającymi torby, stanowiącymi dowód na udany ranek, i kilkoma znużonymi mężczyznami, mającymi nadzieję, że wkrótce udadzą się do domu, bo zaczęliby krzyżeć, gdyby musieli czaić się z zakłopotaniem przed kolejną przymierzalnią.

Rose i Stella wcześniej zjawily się w kafejce i udało im się zająć jeden z najlepszych stolików na galerii z widokiem na tętniącą życiem główną ulicę.

Przed każdą z nich leżał kawałek soczystego kisz – z wędzonym łososiem i fetą dla Rose, a z pomidorami i bazylią dla Stelli. Pomimo apetycznego zapachu unoszącego się znad ceramicznych talerzy żadna z nich nie jadła zbyt wiele.

– To tylko kilka randek – mówiła właśnie Stella, na próżno starając się nabrać na widelec trochę sałaty. – Nic więcej. Nick to miły człowiek i naprawdę go lubię, ale to wszystko.

Rose omiotła swą najstarszą córkę matczynym, wszystkowiedzącym spojrzeniem i nie rzekła ani słowa. Od przyjazdu Stelli i Amelii na weekend do Kinvarry Rose dostrzegała w swej córce jakąś zmianę. Jej twarz lśniła wewnętrznym blaskiem, a jej oczy błyszczały. Inaczej była także ubrana, porzuciwszy normalny weekendowy strój, składający się z czarnych spodni i koszuli na rzecz dzinsów i pomarańczowej bluzy, dzięki czemu wydawała się młodsza. I każdy mógł dostrzec, że kiedy Stella myśli, iż nikt na nią nie patrzy, uśmiecha się bez wyraźnego powodu.

– Rozumiem – powiedziała poważnie Rose i jakoś udało jej się nie dopuścić do tego, by w jej głosie słyhać było radość. – On jest rozwiedziony, ty jesteś rozwiedziona, no i spójrzmy prawdzie w oczy: przy drugim małżeństwie istnieje większe prawdopodobieństwo rozwodu.

Stella z bólem wpatrywała się w swój lunch.

– Wiem oczywiście o tym wszystkim... – zaczęła. – To śmieszne, nie powinniśmy w ogóle się spotykać...

Podniosła głowę znad talerza i ujrzała w oczach matki iskierki.

– Stello, jestem twoją matką – rzekła Rose, nieco niepotrzebnie. – Czy naprawdę uważasz, że nie dostrzegam, iż jesteś zakochana po uszy?

Rumieniąc się, Stella przestała udawać, że próbuje coś jeść. Zdumiewało ją, jak bardzo w ciągu ostatnich dwóch tygodni zmalął jej apetyt.

– Jak może to być miłość, skoro dopiero co się poznaliśmy? Nie wierzę w miłość od pierwszego wejrzenia.

– W takim razie miłość od drugiego wejrzenia?

To było pytanie, które wciąż prześladowało Stellę. Sama najbardziej czuła się zaskoczona tempem, w jakim się zakochała w Nicku. Po sześciu randkach przyłapała się na tym, że siedzi w swoim gabinecie i śni na jawie, że on mieszka razem z nią i Amelią: wygodnie i szczęśliwie na Delgany Avenue, jedząc wspólnie rodzinne posiłki, chodząc w weekendy na długie spacerzy, w trójkę siedzą przytuleni do siebie na sofie w sobotnie wieczory, oglądają telewizję i jedzą popcorn. Innymi słowy prawdziwe rodzinne życie. Ale czy ona spadła z księżycą?

Z tego powodu nie przedstawiła go jeszcze Amelii, choć bardzo tego pragnęła. Pomimo danej Nickowi obietnicy, że nie będzie się bała intensywności ich związku, nadal się niepokoiła.

Rose, która z uwagą obserwowała tę grę emocji na uroczej twarzy Stelli, także dała sobie spokój zjedzeniem.

– Musisz zrezygnować z tej ostrożności, Stello – rzekła. – Zaryzykuj, by być szczęśliwą. Kto nie ryzykuje, ten nic nie ma. Z wyjątkiem samotności.

– No a Amelia? – zaprotestowała Stella. – Muszę myśleć o niej. Nie mogę pozwolić na to, by stała jej się krzywda, a tak by się to skończyło, gdybym się pomyliła co do Nicka.

– No a co z tobą? – Rose wyciągnęła rękę nad stołem i ujęła mocno dłoń córki. – Wiesz, że kocham Amelię całym sercem, ale ciebie także kocham. Nie chcę patrzeć, jak nie dajesz szansy szczęściu z tego tylko powodu, że istnieje prawdopodobieństwo, iż może się nie udać. Jaki może być najgorszy scenariusz? Nick wkracza w wasze życie, a po sześciu miesiącach ponownie z niego znika. Tak się w życiu dzieje. Amelii już się to przytrafiło – dodała łagodnie.

– Wiem. I to mnie dobija. – Na twarzy Stelli malował się smutek. – Zabrałam już Amelii jednego ojca, nie mogę wprowadzać w jej życie kolejnej osoby, która pewnego dnia odejdzie.

– Dzieci są twardsze, niż ci się wydaje – oświadczyła zdecydowanie Rose. – Ty i Glenn bardzo dobrze poradziście sobie z rozstaniem i nigdy nie było między wami zatargów, jeśli chodzi o Amelię.

– Bo Glenn jest totalnie niefrasobliwy. Nie da się z nim kłócić, gdyż to po nim po prostu splywa – odparła Stella.

To była prawda: ogólne nastawienie Glenna do życia pomogło w ustaleniu zasad opieki. „Nieszczęścia chodzą po ludziach” – to była jego mantra. Za czasów małżeńskich Stellę doprowadzało to do szaleństwa, ale okazało się przydatne podczas rozstania, kiedy jego filozofia niezwykle uprościła problem opieki nad córką. Z perspektywy „nieszczęść” nie było sensu kłócić się o cokolwiek. Amelia zamieszka z matką, Glenn zaś popłynie z prądem.

– Czasami wydaje mi się, że zawiodłam córkę – upierała się Stella. – Ty z naszego powodu nie zostawiłabyś taty, bez względu na wszystko. Wiem – dodała pospiesznie – że to szaleństwo w ogóle o tym rozmawiać, ponieważ się uwielbiacie, ale nigdy byś się nie rozwiodła, choćby nie wiem co. Zostalibyście razem dla mnie i Tary, i Holly. Ja nie potrafiłam zrobić tego dla Amelii, więc ją zawiodłam.

Nie dawało się rozszyfrować wyrazu twarzy jej matki i przez chwilę Stella sądziła, że ją obraziła.

– Mamo, ja użyłam ciebie i taty tylko jako przykładu, oczywiście, że nie miałam na myśli... – zaczęła.

Rose przerwała te przeprosiny.

– Nie bądź niemądra, skarbie – rzekła lekko. – Tylko się zamyśliłam, to wszystko. W żadnym wypadku nie zawiodłaś swojej córki. Zrobiłaś to, co należało, i Amelia jest cudowną, kochającą, radosną dziewczynką. Jestem pewna, że posiadanie ojca, który najczęściej jest nieobecny, nie pozostaje na nią bez wpływu, nie można temu zaprzeczyć, ale czy byłoby lepiej, gdybyście ty i Glenn pozostawali małżeństwem, nie znosząc się nawzajem?

– Pewnie masz rację. – W jej głowie pojawił się obraz Nicka, opowiadającego jej o tym, jak bardzo bolesny okazał się jego rozwód. Nadal upierał się, że jego rozstanie z Wendy było przyjacielskie, ale przyznał, że to on zaproponował rozwód i trzeba było czasu i wielu kłótni, by na niego przystała. Jego powrót do Irlandii, na który nie zgodził się w czasie trwania ich małżeństwa, rozwścieczył ją. – Przynajmniej ja i Glenn jakoś się dogadujemy i nigdy ze sobą nie walczyliśmy, nawet jako małżeństwo. – Nick powiedział, że kłótnie pomiędzy nim a Wendy można było nazwać pirotechnicznymi, zwłaszcza w ostatnim roku ich związku. Prawdę mówiąc, Stella nie potrafiła sobie wyobrazić Nicka kłócącego się z kimś zawzięcie. Taki miał spokojny stosunek do wszystkiego.

– No więc – zaczęła Rose – kiedy masz zamiar przedstawić Nickowi Amelię?

Stella roześmiała się.

– Rozumiem już, dlaczego tata nazywa cię dopustem bożym pań z komitetów. Od razu przechodzisz do sedna sprawy.

– To jedyny sposób – odparła z dumą Rose. – Czekaj chwilkę, na pewno już nie będziemy tego jeść. Zamówić nam kawę?

– Bardzo chętnie.

Rose wstała z gracją z krzesła i udała się do baru po kawę, a szczupła figura i elegancka postawa ujmowały jej połowę lat. I nie tylko jej sylwetka była młoda: umysł miała otwarty na nowe pomysły niczym dwudziestokilkulatka.

Przyglądając się jej, Stella po raz kolejny pomyślała o tym, jaką niezwykłą kobietą jest jej matka. Rose obdarzona była niesamowitą zdolnością zaglądania prosto do ludzkich serc i odgadywania strapiień. Nigdy nie osądzała ani ni prawila morałów, a jej rady były zawsze życzliwe, szczere i sensowne.

Rose wróciła z dwiema kawami.

– No dobrze. Wymień mi plusy i minusy przedstawienia Nickowi Amelii.

Stella wsypała do kawy łyżeczkę cukru i zamieszała.

– Cóż, łatwo można sobie wyobrazić plusy. Minusy są takie, że mogą się nie dogadać, Amelia może nie znosić jego i samej obecności mężczyzny w moim życiu. Nigdy nie musiała się mną dzielić.

Rose zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– To prawda, ale nie dowiesz się tego, dopóki nie spróbujesz. Nie ma sensu przewidywać reakcji siedmiolatki. Co jeszcze?

– Niezbyt dużo czasu minęło od jego rozwodu – dodała Stella. – Przebolał go, ale jest... – zawahała się, starając się znaleźć właściwe słowo – poraniony. Rozstanie było bardzo trudne, choć oboje uznali, że tak właśnie trzeba zrobić. I cierpiał, że musi zostawić córki, myślę, że to właśnie było dla niego najtrudniejsze.

– Czy potrafiłabyś kochać mężczyznę, któremu nie przeszkadzałoby to, że krzywdzi własne dzieci? – zapytała rozsądnie Rose.

– Nie, masz rację. On je uwielbia. Wrócił do Irlandii, ponieważ nie potrafił znieść myśli, że jest daleko od nich, co jak dobrze rozumiem, nie sprawiło radości jego byłej żonie. – Stella nie była w stanie zrozumieć, dlaczego Wendy tak się denerwowała z powodu decyzji Nicka o powrocie do kraju. W ten sposób znajdował się bliżej ich córek, a przecież dobro dziewczynek było kwestią nadrzędną.

– Jestem pewna, że tak właśnie było – odparła Rose. – Kochanie, mam dla ciebie jedną radę: bądź bardzo ostrożna, jeśli chodzi o demonizowanie tej kobiety. To trochę tak, jakbyś przyznała rację przyjaciółce, że ma okropnego męża, w chwili gdy są skłócenia. Kiedy się nieuchronnie pogodzą, ona będzie miała do ciebie żal. Nie zapominaj, że ona i Nick byli małżeństwem przez dwadzieścia lat i można mieć nadzieję, że w końcu nauczą się, jak być przyjaciółmi. Nie chciałybyś chyba być dla niej nieprzyjemna, a później tego żałować.

– Masz rację mamo – rzekła automatycznie Stella.

Prawda była taka, że ją samą zdumiewało, jak bardzo nie lubi Wendy Cavaletto. W zupełnie nietypowy dla siebie sposób z wyraźną przyjemnością słuchała ojej wybuchach. To oczywiście, że łatwiej być następczynią jędzy niż anioła.

Wyglądała przez okno, Rose zaś sączyła kawę i rozglądała się po galerii, by Stella mogła zostać sama ze swymi myślami. W jednym kącie siedziała pani Freidland z córką i obie miały zaciśnięte usta, jakby powstrzymywały się przed kłótnią tylko dlatego, że znajdowały się w miejscu publicznym.

Przy innym stoliku siedziała wraz z mężem i dwójką nastoletnich dzieci jedna z kobiet pracujących w recepcji u stomatologa, do którego chodziła Rose. Rozpoznawszy ją, kobieta uśmiechnęła się, ona zaś odpowiedziała tym samym. Przypomniała sobie, jak słyszała, że jedna z nastolatek nie tak dawno temu wylądowała w szpitalu z powodu anoreksji. Obie dziewczynki były szczupłe; ciężko odgadnąć, która z nich była chora. Cała rodzina wydawała się radosna, jakby nie miała absolutnie żadnych zmartwień. Rose pomyślała, że odważny uśmiech to zadziwiająco dobry kamuflaż.

– Wiem, że panikuję – odezwała się Stella. – Po prostu martwię się, to wszystko. Mówiliśmy o tym, że Amelia może nie polubić Nicka. A jeśli córki Nicka nie polubią mnie?

– Ciebie każdy lubi – zapewniła ją natychmiast Rose. – Stello, nie przychodzi mi do głowy ani jedna osoba, która by cię nie lubiła. To może potrwać, zgoda, ale przekonasz je do siebie. Jeśli ty i Nick macie być razem, przewycięzycie to wszystko.

– Naprawdę tak myślisz? – zapytała nagle Stella takim tonem, jakiego używała, gdy była mała i potrzebowała otuchy.

– Naprawdę.

Stella się uśmiechnęła. Jej matka miała rację. W jakiś sposób, i naprawdę nie wiedziała jak, zachowywała pewien dystans pomiędzy sobą a Nickiem, tak na wszelki wypadek. Ten dystans stanowił dla niej zabezpieczenie, lecz teraz nadeszła pora na rezygnację z takiej polityki. Życie w sposób niebezpieczny. Podejmowanie ryzyka. Nick ją zapytał, czy chciałaby wyjechać na weekend. Gdziekolwiek by miała ochotę.

– Myślałem o jakimś mieście w Europie, chciałabyś? – zapytał, a jego spojrzenie mówiło jej, iż wie, że to duży krok.

Odparła, że się nad tym zastanowi. Rozsądna Stella wiedziała, że weekendowy wyjazd stanowiłby ogromny krok w stronę kolejnego miejsca przeznaczenia: sypialni. Przyciąganie między nimi było niesamowite i jak na razie Stella musiała używać całej dostępnej samokontroli, by nie pożegnać się ze swymi zahamowaniami i nie wylądować z Nickiem w łóżku.

Nagle ogarnęło ją pragnienie, by zadzwonić do niego i powiedzieć mu, że tak, wyjazd na weekend to świetny pomysł i może wybraliby się do Paryża? Była tam tylko raz, wiele lat temu. A może odwiedziłby ją w następny weekend i poznał Amelię? Mogłyby się skończyć podchody. Nick stanie się częścią życia ich obu. Kiedy już podjęła tę decyzję, ogarnęło ją podekscytowanie i poczucie, że dokonała trafnego wyboru.

– Dzięki, mamó. – Obdarzyła matkę słodkim uśmiechem. – Masz rację.

W tym momencie Rose dopadły wątpliwości. Jej radar, kiedyś niezawodny w przypadku problemów innych ludzi, nie działał już tak świetnie. A jeśli udzieliła Stelli niewłaściwej rady? A jeśli Nick rzeczywiście jeszcze dochodził do siebie po rozwodzie i łagodna, kochająca Stella była mu potrzebna do odzyskania pewności siebie? Co wtedy zrobiłaby jej córka, oddawszy mu swe serce i wpuściwszy go do życia swego i Amelii? A jeśli dzieci się nie polubią? A jeśli...

– Spodoba ci się, mamó – rzekła Stella. – Jest naprawdę wyjątkowy. Zabawny, bystry, serdeczny i w ogóle.

Rose stłumiła w sobie obawy.

– Czy to ten mężczyzna, który przed kilkoma minutami był jedynie przyjacielem, mężczyzna, z którym umówiłaś się kilka razy na przyjacielskie spotkania?

– Dokładnie ten sam – uśmiechnęła się szeroko Stella.

– Kiedy go poznamy?

– Niedługo.

– Mogłabyś go przywieźć na nasze przyjęcie rocznicowe w kwietniu – zaproponowała szelmowsko Rose – i sprawdzić, czy zaakceptuje go ciotka Adele.

Stella roześmiała się.

– I zrazić go do siebie? Chętnie go przywiozę, dziękuję bardzo, ale przed poznaniem Adele musi otrzymać odpowiednie instrukcje. No ale powiedz mi, masz zamiar zorganizować przyjęcie? To Tara, Holly i ja powinnyśmy je urządzić w waszą rocznicę i zrobić wam niespodziankę. Już dawno o tym rozmawiałyśmy.

– Wasz ojciec nie znosi niespodzianek. Bardzo chce mieć duże przyjęcie i uznał, że powinniśmy sami je zorganizować, więc nie miejcie wyrzutów sumienia. Mówi, że cierpliwe czekanie, aż zrobi to ktoś inny, jest staroświeckie, a to jest określenie, którego najbardziej nie cierpi w odniesieniu do siebie. Poza tym wy trzy i ja zdecydowałybyście się na małe przyjęcie w gronie rodzinnym, gdy tymczasem wasz ojciec pragnie wielkiej szalonej imprezy, na którą zaprosi wszystkich znanych sobie ludzi.

– Pomogę w przygotowaniu jedzenia – zaoferowała się Stella.

Jej matka uśmiechnęła się szeroko.

– Nie martw się o jedzenie, Daddy Warbucks\* zdecydował się na firmę cateringową i duży namiot w ogrodzie.

\* Niezwykle zamożny bohater filmu *Annie* z 1982 r.

– Ho, ho. Ależ będzie wytwornie.

– Tak. Wasz ojciec uważa jednak, że im więcej się wyda pieniędzy, tym mniej trzeba się napracować. Prawdę powiedziawszy, jest dokładnie na odwrót. Nigdy nie zapomnę tej słynnej gali *Wesprzyjmy Dzieci*, której byłam współorganizatorką. Kosztowała majątek, a zebranie wszystkiego do kupy doprowadziło mnie niemal do obłądu.

– Tym razem będzie fajnie – rzekła Stella. – Uroczy sposób na świętowanie tego, że jesteście małżeństwem już czterdzieści lat. – W oczach wzbierały jej łzy na myśl o ukochanych rodzicach. Była z nich taka dumna.

– Boże, która godzina? – Rose popatrzyła na zegarek. – Musimy lecieć. Niedługo przyjadą Tara i Finn i powinniśmy wrócić do domu, by sprawdzić, co porabiają Hugh i Amelia.

\*\*\*

Tego wieczoru Tara siedziała na łóżku w dawnym pokoju Stelli, zatopiona w książce Amelii. Sama Amelia tkwiła na taborecie przed lustrem, gdy tymczasem Stella szczotkowała jej włosy. Tara miała znaleźć bajkę, by głośno ją przeczytać, ale wciąż rozpraszały ją inne bajki, na które natrafiała, szukając tej, której chciała Amelia, czyli jednej z wersji *Księżniczki na ziarnku grochu*. Nie tylko Tarę coś rozpraszało – Stella zadzwoniła wcześniej do Nicka, by mu oznajmić doniosłą wiadomość, że bardzo by chciała z nim wyjechać, a jego reakcja okazała się niezupełnie taka, jakiej się spodziewała. Rozmyślała o tym, szczotkując włosy córki.

– Ała! – pisnęła Amelia, gdy jej matka napotkała na kolejny supeł i mocno szarpnęła.

– Przepraszam, skarbie – rzekła Stella. – Wiem, że jestem okropną, starą mamą, która robi ci krzywdę.

– Mama jest dla ciebie niedobra? – zapytała Tara.

Amelia zachichotała i pokręciła głową.

– Jest? Wiedziałam. Okrutna, okropna mama. Zostaniesz u mnie i wujka Finna, kiedy za kilka tygodni mamusia wyjedzie?

– Tak – odparła z entuzjazmem. – Możemy iść do McDonald's i na film, tak jak zeszłym razem? – Amelii strasznie się podobała ostatnia wizyta u cioci, gdy Stella musiała wyjechać na konferencję.

– Oczywiście. Ale nie możemy wybrać przerażającego filmu – ostrzegła Tara. – Wujek Finn się ich boi.

Amelia zmarszczyła nos i zachichotała na te słowa.

– Będziesz musiała być bardzo grzeczna – rzekła Stella.

– Ja zawsze jestem grzeczna – oświadczyła nie bez oburzenia Amelia.

– Święta Amelia – przekomarzała się Tara.

– Gotowe. – Stella przygładziła włosy córki i ucałowała ją w czoło.

– Chodź tu i znajdź mi tę bajkę – poprosiła Tara siostrzenicę.

Wkrótce leżały wygodnie oparte o poduszki i Tara czytała na głos. Naśladowała różne głosy, czym niesamowicie intrygowała Amelię, Stella zaś czule myślała o tym, że jej siostra ma świetne podejście do dzieci. No i mała przepadała także za wujkiem Finnem, który bawił się z nią bez końca, a ona krzyczała jednocześnie ze strachu i podekscytowania, gdy podrzucał ją do góry i wprawnie łapał.

Kiedy bajka się skończyła, Amelia poszła na dół, by powiedzieć dobranoc babci i dziadkowi, a dwie siostry zostały same.

– Cieszę się, że lecisz do Paryża – powiedziała Tara, wstając z łóżka i przeglądając się w lustrze. Zmierzwiała sobie lekko włosy, przez co sterczały jeszcze bardziej niż zwykle. – Potrzebujesz w życiu odrobiny romantyzmu. Gdybyśmy tylko mogły pomóc jeszcze Holly.

– Holly mi powiedziała, że Joan i Kenny postanowili znaleźć jej faceta – rzekła Stella. – Biedaczka nie może odwieść ich od tego.

Tara zachichotała.

– Biedaczka ma rację. Nie wyobrażam sobie nic gorszego niż swaty w wykonaniu tej szalonej pary. Nie wiem, jak to możliwe, że dotąd sama nie poznała nikogo porządnego. Jest śliczna i zabawna, choć marnuje się w tej pracy bez perspektyw.

Tara była jedyną osobą, która nie uważała pracy w Lee's za świetną i zawsze namawiała młodszą siostrę, by porzuciła branżę handlową i zajęła się czymś innym.

– Ona inaczej się zachowuje przy nas, a inaczej wśród obcych ludzi – wyjaśniła Stella. – Jest naprawdę nieśmiała, Taro, ty po prostu tego nie widzisz, ponieważ tak dobrze ją znasz.

– Pewnie tak. – Tara zamyśliła się. – Finn ma paru niezłych kolegów, mogłabym ją z nimi umówić.

– Mam nadzieję, że nie masz na myśli tego Derry'ego.

– A skąd. Derry jest dla Holly nieco za dziki. Poza tym już długo ma tę samą dziewczynę, która w przyszłym tygodniu jedzie z nami do Austrii. Jest nas razem dziesięć osób, ale większości nie znam...

– Zapowiada się świetnie – westchnęła Stella. – Zawsze chciałam jechać na narty.

– Finn mówi, że to fajna zabawa i że szybko się nauczę. – W głosie Tary słychać było powątpiewanie.

– Dasz sobie radę.

– Pewnie masz rację – odparła. – Przekonam się we wtorek. Po pracy Finn zabiera mnie na sztuczny stok.

Stella popatrzyła czule na siostrę. Tara miała w sobie tyle pewności siebie. Nic nie było w stanie jej speszzyć.

– Kiedy Holly zjawi się jutro na obiedzie, zaproszę ją na któryś wieczór do nas i umówię z jednym z jego kolegów – oświadczyła zdecydowanie Tara.

– Najpierw ją zapytaj – poradziła Stella.

– Obiecuję. No dobrze, to kiedy się wybieracie do Paryża? Będę musiała zaznaczyć to sobie w terminarzu.

– Najprawdopodobniej w następny weekend po waszym powrocie, ale potwierdzę jeszcze, kiedy później porozmawiam z Nickiem.

– Założę się, że był zadowolony, gdy zadzwoniłaś do niego i się zgodziłaś – przekomarzała się Tara.

– Tak, ale...

To było dziwne. Ton głosu Nicka powiedział jej, że jest uszczęśliwiony, ale jego słowa brzmiały jakoś tak formalnie. Kiedy do niego zadzwoniła, powiedział, że właśnie jedzie samochodem z córką Jenną.

– To wspaniała wiadomość, czy mogę oddzwonić później? – zapytał wtedy. – Jestem z Jenną i jedziemy po Sarę, by wyskoczyć razem coś zjeść. Zadzwonię wieczorem, dobrze?

Stella, która się spodziewała otwartej radości, odparła, że oczywiście.

– Ale co? – zapytała Tara.

– Nie mógł rozmawiać, był w towarzystwie córki.

– No i? Nie rozumiem. – Tara dobrze rozumiała, ale nie podobało jej się to, co właśnie usłyszała.

– Nie poznałam jego córek. Rozwód okazał się trudny dla dzieci – odparła Stella. – Nick nie chce mieszać i przedstawiać im mnie, dopóki nie przyzwyczają się do myśli, że ich ojciec spotyka się z kimś.

– SOS. Ostrzeżenie przed tatusiami z wyrzutami sumienia! Skoro jesteś jego dziewczyną, musisz poznać jego dzieci, a one muszą się dowiedzieć o tobie. Postaw się, Stello, to ważne. Albo jest rozwiedziony, albo nie. Czy nadal usycha z tęsknoty za swoją byłą?

– Nie, z całą pewnością nie. Ona sprawia wrażenie paskudnej jędry – zaczęła Stella, po czym przypomniała sobie, co wcześniej Rose powiedziała o krytykowaniu byłej żony Nicka. – Ale jest pewnie po prostu wytracona z równowagi ich rozwodem.

– Stello – Tara starała się uważnie dobierać słowa – proszę, nie bądź taka grzeczna i cierpliwa wobec każdego, kogo napotkasz na swej drodze. Jeśli myślisz poważnie o tym facecie,

on musi myśleć poważnie o tobie, a to oznacza poznanie jego dzieci. Okej? – Miała nadzieję, że nie powiedziała za wiele, ponieważ Stella była wrażliwa na punkcie mówienia jej tego, co powinna robić.

– Wiem – odparła Stella – ale on jeszcze nie poznał Amelii, więc oboje chronimy swoje dzieci.

– W porządku, o ile tylko chroniąc swoje dzieci, nie krzywdzi ciebie. Chcę poznać tego faceta i się przekonać, czy jest wystarczająco dobry dla ciebie.

Stella jęknęła.

– Poznasz, poznasz. I jest wystarczająco dobry dla mnie. Jest wspaniały.

Tara przyglądała się siostrze.

– Ze względu na niego mam nadzieję, że tak właśnie jest.

\*\*\*

W niedzielę, kiedy Holly usłyszała o weekendowym wyjeździe Stelli i Nicka, natychmiast dała się ponieść nastrojowi.

– W sklepie mamy zupełnie nową serię balsamów do ciała – oświadczyła z entuzjazmem. – Nazywają się Angel Cake, a najlepiej sprzedaje się waniliowy i kiedy się go wmasuje, skóra robi się niesamowicie miękka, i gwarantują, że zapach wytrzyma do dziesięciu godzin. Kupię ci taki.

– Ale musi go wmasowywać jakiś przystojny mężczyzna – dodała ze śmiechem Tara – w przeciwnym razie z gwarancji nici.

Było południe i trzy siostry jechały samochodem Stelli do restauracji. Amelia uparła się jechać razem z dziadkami i Finnem.

– Próbuje przekonać tatę do pomysłu szczeniaka – rzekła Stella, kiedy jechały główną ulicą Kinvarry, szukając miejsca do zaparkowania.

– Biedny tata – uśmiechnęła się szeroko Tara. – Powiedział, że może i sprawi sobie psa, kiedy przejdzie na emeryturę, ale jeszcze nie teraz.

– Amelia potrafi być bardzo przekonująca – stwierdziła Stella. – Hazel kupiła Shonie i Becky chomika i Amelia ciągle wpatruje się we mnie wielkimi, smutnymi oczami i pyta, czy my też moglibyśmy kupić i że on jest przecież mały, nie je dużo i ona sprzątałaby mu klatkę. Zrobiła tę minę wykorzystywanego dziecka w zeszłą sobotę, kiedy po balecie spotkałyśmy jedną ze szkolnych mam i oświadczyła, że oszczędza całe kieszonkowe na chomika, ponieważ ja nie chcę go jej kupić. Naprawdę, czekałam, aż przyjdzie jakiś kurator i mi ją zabierze.

Siostry się roześmiały.

– To mi przypomina mnie – rzekła Tara. – Ja też byłam taka jako dziecko. Kiedyś powiedziałam Angeli Devon, że nigdy nie dostajemy w domu smakołyków i że mama nie dokłada nam do śniadania do szkoły czekolady ani niczego dobrego. A wiecie przecież, jak mama zawsze się starała, byśmy miały wszystko, czego chcemy. Nadal źle się czuję z tym, że tak powiedziałam.

– Byłaś tylko dzieckiem – pocieszyła ją Stella. – Oooh, parking! – dodała, wciskając nagle hamulec i wjeżdżając na wolne miejsce.

Trzy kobiety udały się wolnym krokiem do restauracji.

– Masz kartkę? – zapytała Stella.

– Tak.

Holly wynalazła fantastyczną kartkę ze zdjęciem mężczyzny łowiącego ryby, a na odwrocie wypisane były szczegóły wędki, na którą złożyły się wszystkie siostry.

– Mam nadzieję, że się ucieszy – rzekła Stella.

– Na pewno – stwierdziła Tara. – Chciałabym, żeby równie łatwo było kupić coś na ich rubinowe gody. Co my u licha mamy im w prezencie?

– Coś wymyślimy – odparła pewnie Stella. – Zostało jeszcze kilka tygodni. – Objęła siostry. – Chodźmy – rzekła – i niech nikt nie wspomina ani słowem o chomikach, zrozumiano?

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

W sobotę rano Finn jechał brukowaną drogą dojazdową do Czterech Wiatrów, a Tara czuła, jak ściskają w żołądku. Czekala ją co najmniej godzina z Glorią: godzina kąśliwych komentarzy na temat *National Hospital* i sarkastycznych uwag o tym, jak szczęśliwe są jej znajome, ponieważ mają wnuki. Najświeższe wieści dotyczyły córki Liz B-M, Sereny, która zaszła w ciążę i Glorię wyraźnie irytowało to, że w grze o udowodnienie swojej wyższości zeszła na dalszy plan.

– Czekają nas fantastyczny urlop – powiedział pokrępiąco Finn.

Tara uśmiechnęła się do niego szeroko.

– Pewnie, że tak – odparła.

Pokonywanie zdradliwych tras, gdy po raz pierwszy zakładało się na nogi narty, nawet się nie umywało z krótkim pożegnaniem z teściową. Tara nie rozumiała, dlaczego ona i Finn w ogóle jadą do Czterech Wiatrów: wyjeżdżali tylko na dziesięć dni. Przecież chyba nawet u Glorii przez tak krótki czas nie zrodzi się straszliwa tęsknota za synem?

\*\*\*

– Musimy jechać do twojej mamy? – zapytała Tara wcześniej tego dnia, wreszcie kończąc pakowanie dwóch walizek i jednej dużej miękkiej torby do samolotu. – Stroje narciarskie zabierają tak dużo miejsca – dodała, ciężko dysząc, kiedy nieśli bagaż do srebrnego volkswagena Finna.

– Musimy – odparł przepaszająco. – Przykro mi, ale przez telefon zdawała się bliska łez, że mnie nie zobaczy. Ale nie będziemy tam długo, a potem od razu wskakujemy do samolotu! Poczekaj, aż narciarstwo naprawdę cię wciągnie i będziemy mieli własne deski – dodał, ciesząc się marzeniem o umiejętnościach narciarskich godnych niemal profesjonalisty i niekończących się wakacjach.

Tara nie była przekonana po wtorkowych upadkach na stoku.

– To się nigdy nie zdarzy – rzekła ponuro. – Jeśli nadal będę tak jeździć.

– Bzdura, prawdziwy śnieg jest znacznie fajniejszy niż sztuczny stok. – Finn podciągnął w górę futrzaną czapkę Tary i pocałował ją w czoło. – Spodoba ci się.

– Nie spodoba, jeśli coś sobie złamię.

Tara zastanawiała się, czy wyjazd do Austrii z grupą fanatyków narciarstwa to rzeczywiście dobry pomysł. Finn wiele razy był na nartach razem z Derrym i niesamowicie mu się podobało. Koordynacja ruchów nigdy nie należała do mocnych stron Tary. Step aerobik ją przerastał, a na gimnastyce w szkole była beznadziejna. Miała wizję dziesięciu zadowolonych ludzi, chichoczących nad grzaniem winem, gdy tymczasem ona siedzi nieszczęśliwa w kącie, unieruchomiona, a któraś z jej kończyn swędzi jak diabli, skryta w niezgrabnym gipsie.

– Spodoba ci się – przekonywał ją Finn.

– Na pewno – odparła Tara, postanawiając, że nie będzie taką marudą. A tak w ogóle to jakie miało znaczenie, że na stoku jest do bani? Będzie tam razem z Finnem i już.

\*\*\*

Kiedy przyjechali, dzięki jakiemuś precudownemu zrządzeniu losu, Gloria akurat rozmawiała przez telefon. Tara miała nadzieję, że będzie to bardzo długa rozmowa.

– Herbata czy kawa? – zapytał Desmond.

– Nic, dziękujemy – odparł Finn. – Nie mamy zbyt dużo czasu, tato.

Tara wzięła ze stołu czasopismo poświęcone ogrodnictwu i przerzucała kartki, gdy tymczasem Desmond przekomarzał się z Finnem na temat jego pierwszej wyprawy na narty.

– Taro, szkoda, że go nie widziałas po powrocie. Był cały posiniaczony, a jego kostka dochodziła do siebie przez kilka następnych miesięcy. – Desmond potrząsnął głową. – Powiedział, że już nigdy nie przypnie nart. Gdyby następnego roku Derry go nie wyciągnął, tak by się to pewnie skończyło.

– Nigdy mi nie mówiłeś, że poobijałeś się na nartach – zaśmiała się. – Powiedziałeś, że okazałeś się urodzonym narciarzem. Ty kłamczuchu!

– Urodzony narciarz? – przekomarzał się Desmond.

– Urodzony do przewracania się. Według tego, co mówił Derry, czterolatkiwie lepiej łapali równowagę niż twój mąż.

– Ale to był mój pierwszy raz – protestował wesoło Finn.

– A to jest mój pierwszy raz – zauważyła Tara. – Powiedziałaś mi, że poradzę sobie bez problemu. Wiem, że skończy się to tak, iż przez cały czas będę się przewracać.

– Tak, ale masz ładną, miękką pupę do lądowania – uśmiechnął się szeroko Finn.

– Dziękuję ci bardzo. – Tara udawała oburzenie. – To właśnie muszę bez przerwy znosić, Desmondzie. Nieustanne zniewagi.

Finn posłał jej całusa.

– Ona to lubi, naprawdę, tato.

Rozmawiali i śmiali się przez pół godziny i Tara pomyślała, że kiedy nie ma Glorii, Cztery Wiatry zdają się zupełnie innym miejscem.

Wreszcie Gloria pojawiła się i wyglądała na bardzo dotkniętą zakłóceniem jej planów.

– To była Liz, nie mogłam się jej pozbyć. Chyba jeszcze nie wyjeżdżacie, prawda, kochanie?

– Nie mamy dużo czasu, mamciu. – Finn wyglądał nu skruszonego. – Samolot nie czeka na nikogo. Musimy się zbierać za niecałe pół godziny.

– Chodź ze mną do kuchni, zrobię kawę – poprosiła Gloria. – Muszę z tobą porozmawiać.

Mnie również miło cię widzieć, Glorio, pomyślała z irytacją Tara, kiedy jej teściowa oddaliła się wraz z Finnem, zdając się w ogóle nie dostrzegać synowej. Wrócili po jakichś dziesięciu minutach i nawet słynny swobodny uśmiech Finna wyglądał na wymuszony.

– Wszystko w porządku? – zapytała Tara, wstrzymując oddech.

– Później ci powiem – odparł.

Tara spoglądała ciągle na zegarek podczas rozmowy o przyszłym wnuku Liz B-M i gdzie przyjdzie on na świat („W prywatnej klinice rzecz jasna!"). Następnie pojawiły się zwyczajowe pytania na temat pracy Finna. Tara żywiła przekonanie, że to ją obwiniano o to, że nie awansował w firmie wyżej niż na stanowisko młodszego kierownika sprzedaży. Prawdę powiedziawszy, Finn był najzupełniej zadowolony ze swej pracy, zwłaszcza od czasu, gdy jego bezpośrednim przełożonym został jego najstarszy przyjaciel i główny hulaka, Derry.

– Podejmowanie kierownictwa jest bardzo ważne – oświadczyła Gloria tonem mantry. – Ja to robiłam dla twojego ojca i popatrz tylko, dokąd go to zaprowadziło – dodała z dumą.

Tara uśmiechnęła się słodko, słysząc ten przytyk. Jeśli Gloria sądziła, że ona rzuci swoją pracę, by się poświęcić karierze Finna, to grubo się myli. Czy ona wie, że kobiety mają już prawa wyborcze?

Wskazówki zegara pokazały, że czas się zbierać. Tara posłała mężowi znaczące spojrzenie, on zaś kiwnął głową.

– Musimy jechać – rzekł przepraszająco.

Tara uściskała teścia na pożegnanie.

– Zostawię wolne miejsce na moim gipsie, byś mógł złożyć podpis – zażartowała.

– Zostańcie na jeszcze jedną kawę – Gloria poprosiła syna. – Samoloty nigdy nie odlatają punktualnie, jestem pewna, że nie musicie jeszcze jechać.

– Mamy lot o trzeciej – powiedziała chłodno Tara. – Musimy jechać, Glorio. Przykro mi.

Wystarczy, że przez jej upór musieli jechać taki kawał po to, by ją odwiedzić przed udaniem się na lotnisko. Tara nie miała zamiaru pozwolić teściowej, by wszystkim rządziła.

Finn uściskał matkę, która wyglądała, jakby miała zaraz się rozplakać.

– Pa – rzekła pogodnie Tara. Wsunęła rękę pod ramię męża. – Przyślemy wam kartkę.

– Bawcie się dobrze – życzył Desmond.

Gloria nie odezwała się ani słowem, jedynie wpatrywała się w nich ze zbolaną miną, gdy wsiadali do samochodu, a następnie szybko odjechali.

– Twoja matka jest bardzo zaborcza w stosunku do ciebie – ośmieliła się stwierdzić Tara, kiedy już znaleźli się na autostradzie.

– Wiem – odparł Finn. – Zawsze taka była. Fay doprowadzało to do szaleństwa, dlatego właśnie przez cały czas się kłóciły.

– Była zaborcza także w stosunku do niej? – Tara potrafiła zrozumieć, że ktoś mógł chcieć wyemigrować, jeśli jego matka była oplatającą swoimi mackami manipulatką pokroju Glorii.

– Nie. – W głosie Finna pobrzmiwała melancholia. – W ogóle nie zachowywała się tak wobec Fay, jedynie wobec mnie. To właśnie łamało serce mojej siostrze. Nie chciała już być dzieckiem drugiej kategorii.

Dla poprawienia nastroju Tara pogłaskała czule Finna po ramieniu.

– Ileż ja fascynujących rzeczy dowiaduję się na twój temat – rzekła.

– W takim razie bardzo dobrze, że wzięliśmy ślub już po sześciu miesiącach związku – odparł. – Mogłabyś nie zechcieć za mnie wyjść, gdybyś знаła wszystkie rodzinne sekrety Jeffersonów.

– Wyszłabym za ciebie bez względu na wszystko. – Ucisnęła dłoń, która spoczywała na dźwigni skrzyni biegów.

– Jesteś słodka – rzekł czule.

– Taa, zgadza się. – W głosie Tary słyhać było ironię. – Słodka. Wszyscy w pracy tak mówią. „A oto urocza i słodka Tara Miller”, tak właśnie mówią.

Finn roześmiał się.

– A tak przy okazji to kolejna krecha, jaką masz u mamy – dodał. – Mojej matce nie podoba się to, że po ślubie nic przyjął nazwiska Jefferson.

Tara przewróciła oczami.

– Jeżeli tylko tym się przejmujesz twoja matka, to naprawdę wielkie mi rzeczy. No więc co się stało?

– To, co zwykle. Fay. Mam ją poprosić, żeby zadzwoniła do matki. Mówi, że ja mogę to załatwić i że moja siostra nie będzie chciała z nią rozmawiać.

– To wykręt. Dlaczego po prostu sama nie zadzwoni? – Tara była autentycznie skonsternowana. Gloria to taka dziwna kobieta. W jednej chwili potrafiła być ostra niczym strzykawka do zastrzyków podskórnych, a w drugiej zachowywała się jak bezradne dziecko, któremu inni muszą pomagać w rozwiązywaniu rodzinnych konfliktów.

– Mówiłem ci – powtórzył Finn. – Moja rodzina jest dziwna. Jesteś przyzwyczajona do bezpośrednich ludzi, Taro, a my tacy nie jesteśmy. Jeśli chodzi o mamcię, to mamy do czynienia z podtekstami i chwiejnymi, niewypowiedzianymi opiniami.

Tara się wzdygnęła. Strasznie by było, gdyby pochodziła z takiej właśnie rodziny. U Millerów obowiązywała zasada „co w sercu, to na języku” i żadna rodzinna kłótnia nie mogłaby trwać ponad dwa lata.

– Mamcia ma nadzieję, że przekonam Fay i powiem jej, że mamcia chce, by wróciła do domu i aby kłótnia poszła w niepamięć. Wtedy ona porozmawia z mamcią i będzie po wszystkim. Koniec pieśni, wszyscy są szczęśliwi. Aż do następnego razu.

– Rozumiem – rzekła Tara. Wiedziała, że zraniłaby Finna, gdyby powiedziała to, co naprawdę myśli: że jego matka to manipulanka jakich mało. Gloria chciała, by inni odwalali za nią brudną robotę, przypochlebia się biednemu Finnowi płaczem z powodu Fay, zmuszając go, by zadzwonił do siostry i próbował zażegnać konflikt. Tara cieszyła się, że Finn jest wystarczająco silny, by nie dać się złapać w sieć matczynych intryg. Wyglądało na to, że nauczył się wyłączać i nie angażować. Tara pogłaskała go po policzku. – Zapomnijmy o tym wszystkim i dobrze się bawmy podczas wyjazdu.

Imprezowy nastrój udzielił się wszystkim już na lotnisku. Do Austrii wybierało się pięć par: trzech dawnych kolegów ze szkoły Finna, Derry, Jake i Ken z partnerkami oraz kolega z pracy Jake'a wraz z żoną. Tara zdążyła już poznać wszystkich oprócz kolegi Jake'a. Mężczyźni dobrze się znali i lody zostały przełamane, kiedy Derry zebrał przy stanowisku odprawy wszystkie paszporty i śmiał się, infantylnie zdaniem Tary, patrząc na tradycyjne zdjęcia paszportowe w stylu fotografii Interpolu.

– Derry, przestań się wygłupiać – rzekła Kayla, jego dziewczyna.

Dzięki Bogu, że jest ktoś, kto ma Derry'ego na oku, pomyślała Tara, uśmiechając się szeroko do Kayli. Z doświadczenia wiedziała, że najlepszy przyjaciel jej męża potrzebuje ciągłego nadzoru, w przeciwnym wypadku staje się nie do zniesienia.

Kiedy wszyscy już byli po odprawie, Tara sądziła, że udadzą się na małe zakupy w sklepach wolnocłowych. Ale prawie wszyscy głosowali, by iść od razu do baru. Jedynie Kayla miała ochotę zrezygnować z drinka przed podróżą na rzecz zakupów.

– Och, niech sobie idą – rzekła. – Nie da się robić zakupów, gdy po piętach depcze ci facet.

Ona i Tara w przyjaznym milczeniu przemierzyły dział z kosmetykami, zaopatrując się w krem nawilżający, emulsję do opalania i kilka fantastycznych, połyskujących błyszczków, które po prostu musiały mieć. Tara kupiła nawet okulary narciarskie, w stylu dziewczyny Bonda.

Kiedy ona i Kayla wreszcie dotarły do baru, ich towarzysze podróży właśnie raczyli się szampanem.

– Powariowaliście wszyscy? – zapytała ostro Tara, licząc butelki. – Nie wpuszczą was do samolotu, jeśli będziecie pijani.

– Chodź tutaj, sekutnico – roześmiał się Finn, przyciągając ją niezdarnie na swoje kolana. – Nikomu to nie będzie przeszkadzać. Jesteśmy miłymi, grzecznymi pijakami.

Gdy przyglądali jej się ci wszyscy zadowoleni, lekko wstawieni ludzie, Tara czuła, że nie może nic powiedzieć. Ale irytowało ją zachowanie Finna. To były ich wakacje, a nie jakiś chuligański wieczór kawalerski. Zeszła z jego kolan i usiadła na innym krześle, ostentacyjnie przeglądając zakupy.

Finn przesiadł się na miejsce obok niej.

– My tylko dobrze się bawimy, skarbie – rzekł, całując ją. – Wyluzuj, Taro. Tobie także to się przyda. Zbyt ciężko ostatnio pracujesz.

– Pewnie tak – odparła.

Derry wcisnął w jej dłoń kieliszek szampana, nieco przy okazji rozlewając.

– Wypijmy za narty! – zarządził głośno.

\*\*\*

Tara nigdy wcześniej nie była w ośrodku narciarskim i nie wiedziała, czego się spodziewać. Ale Kitzbuhel spełniało wszystkie oczekiwania. Cale średniowieczne miasteczko zasypane było śniegiem i wyglądało absolutnie prześlicznie, niczym ilustracja z książki z bajkami.

– Och, Finn, tu jest precudnie – westchnęła Tara, łapiąc go za rękę, gdy bus Snow Tourz wjeżdżał powoli stromą uliczką.

– Wiedziałem, że w głębi duszy jesteś romantyczką – odparł, ściskając jej dłoń. – Będziemy się musieli wybrać na przejażdżkę saniami.

– O tak! – Nachyliła się i pocałowała go czule. – Bardzo bym chciała. – Może uda im się mimo wszystko przeżyć drugi miesiąc miodowy.

– Czy możecie oderwać się od siebie chociaż na pięć minut? – zawołał ktoś z tyłu.

Tara i Finn wybuchnęli śmiechem. Pomimo zmęczenia po drinkach i locie, buzowało w nich podekscytowanie. Z dala od napięć związanych z pracą i rodziną to będą ich najlepsze wakacje.

Domek położony był na skraju miasteczka. Duży drewniany budynek wyglądał na wystarczająco obszerny, by pomieścić dziesięcioro ludzi.

– Mam nadzieję, że w środku jest równie ładnie jak na zewnątrz – wyszeptała Tara do Finna.

– Mam nadzieję, że dostaniemy fajny pokój z wielkim podwójnym łóżkiem – odszepnął – do którego będę cię mógł zaciągnąć.

Za przedstawicielką Snow Tourz podążyło dziesięciu zmęczonych turystów, ciągnąc za sobą tyle bagażu, ile byli w stanie. Domek miał duży korytarz z różnego rodzaju wieszakami, stojakami i suszarkami na stroje narciarskie.

– Żebyście nie musieli upychać ich gdzieś indziej – wyjaśniła przedstawicielka. – Fajne, nie?

Następnie zaprowadziła ich do dużego, ciepłego pomieszczenia, gdzie znajdował się supernowoczesny piec, kilka wielkich wygodnych sof i krzeseł oraz duży drewniany stół. Stół nakryty był do kolacji, z kuchni zaś roznosił się zapach czegoś pysznego.

– Telewizja, tak! – zawołał Derry, rzucając się na sofę, by się przekonać, czy jest wygodna.  
– I mamy satelitę!

Do jadalni przylegała niewielka, pełna pary kuchni gdzie mocno zaczerwieniona młoda kobieta uwijała się gorączkowo przy wielkiej płycie grzejnej i mnóstwie garnków.

– Poznajcie Midge, waszą gospodynię – rzekła przedstawicielka.

– Hejka – odezwała się Midge, radosna Nowozelandka z jasnymi włosami związanymi w warkoczyki w stylu Heidi.

– Mam mały poślizg z kolacją. Jagnięcina może być?

– Tak – odpowiedzieli wszyscy chórem.

Przedstawicielka wręczyła każdej parze klucze, wyjaśniając, że w celu uniknięcia nieporozumień łatwiej było rozdzielić pokoje zawczasu. Pokój Finna i Tary był przestronny, miał maleńką łazienkę, dużą szafę i miękkie, królewskich rozmiarów łoże przykryte kołdrą w niebieskie paski. Ściany zdobiły malownicze zdjęcia miejscowych krajobrazów. Całość prezentowała się ładnie i bezpretensjonalnie.

– Wygląda na wygodne – rzekł Finn, stawiając ze znużeniem bagaż i kładąc się na łóżku.

– Nie masz ochoty na kolację? – zapytała Tara.

Podskoczył na łóżku.

– Taa, kolacja, drinki i kto wie, może małe zajęcia po nartach tutaj w tym łóżku.

Tara uśmiechnęła się szeroko.

– Już mi się podobają takie wakacje.

\*\*\*

– Jestem obolała – jęknęła Tara kilka dni później. – Cała.

– Moje biedactwo – rzekł Finn, ściągając ze zmęczeniem spodnie narciarskie. – Myślę, że pomoże ci kilka ożywczych sznapsów.

– Uch, nie. – Tara nie mogła znieść myśli o kolejnych drinkach. Wczoraj wieczorem znowu wypili o wiele za dużo i tylko cudem rano zwlekli się z łóżek. Odbijające się od śniegu promienie słoneczne tylko pogarszały jej koszmarny ból głowy i dopiero w porze lunchu była w stanie spojrzeć najedzenie. – Jak ty i Derry to robicie? – zapytała. – Wypiliście znacznie więcej ode mnie.

– Lata praktyki, mała – odparł Finn. – No a poza tym przyjechaliśmy tutaj na wakacje. Ostre picie to część zabawy.

– Mów za siebie. Mam zamiar wziąć przed kolacją długi gorący prysznic, a potem iść wcześniej spać.

– Daj spokój – prosił Finn. – Nie możesz być psującym zabawę smutasem. Zostały nam tylko trzy dni. Musimy zrobić rundkę po knajpach.

– Nie dzisiaj. – Tara pozostała niewzruszona. – Nie możemy choć raz zostać w domu? Moglibyśmy iść wcześniej do łóżka – dodała miękko. – Wychodziliśmy prawie każdego wieczoru, Finn, to znaczy ty wychodziłeś co wieczór, a ja prawie i kosztuje nas to majątek, nie wspominając o krzywdzie, jaką to wyrządza naszym wątrobow.

– Po powrocie zarezerwuj mi miejsce u Betty Ford – zażartował, posyłając jej całusa. – Musimy się nacieszyć resztą naszych wakacji, proszę, skarbie – dodał błagalnym głosem. – Bardzo ładnie proszę. Obiecuję, że jutro pojedziemy na przejażdżkę saniami.

– Mówiłeś tak wczoraj.

– Wiem, ale dzisiejszy dzień tak szybko minął. Obiecuję, że jutro ty i ja pojedziemy saniami z tą piosenką Ronettes w tle, a dzwonki będą robić dzyń, dzyń, czy też co tam one robią, dobrze? Ale dziś wieczorem będę balangowiczem! W domu możemy chodzić do łóżka tak wcześniej, jak tylko chcemy – próbował się przypocholebić.

Nie było sensu protestować. Ona i Finn nie spędzili razem ani jednego spokojnego, romantycznego wieczoru. Codziennie odbywała się popijawa, a jeśli nikt inny nie miał na nią ochoty, Finn i Derry wychodzili sami. Teraz uparli się na kolejną wędrowkę po knajpach, choć nikt inny z grupy nie potrafił wykrzesać z siebie energii na następną zarwaną noc. Jeżdżenie na nartach było takie wyczerpujące. Kayla zdawała się nie mieć nic przeciwko temu, że Derry

wybywał bez niej, ale Tara się z tego powodu wściekała. Zatkanie jej ust obietnicą czasu spędzonego jutro sam na sam nie wystarczało, ale ciężko się kłócić, kiedy ściany są cienkie i pozostali słyszeliby każde słowo.

Siedziała ponuro naprzeciwko Finna przy wielkim stole i jadła gulasz, który Midge podała z ryżem. Podczas posiłku dużo było śmiechu i przekomarzania, a po stole krążył miejscowy sikacz. Cena wynajmu nie obejmowała wina i każdego dnia w celu uzupełnienia zapasów robiono wycieczki do supermarketu.

Tara pila do kolacji sok żurawinowy. Finn i Derry siedzieli obok siebie, dzieląc szybko kończącą się butelkę wina, po czym od razu przechodzili do kolejnej. Patrząc, jak Finn mruga, starając się poprawić jej nastrój, Tara doszła do wniosku, że jej mąż porzucił plan wieczornego wyjścia. Wyglądało na to, że on i Derry urządzali sobie imprezę w domu. Może jednak uda się spędzić miły wieczór, pomyślała zadowolona. Może pójdą wcześniej do łóżka. Rano najczęściej byli zbyt zmęczeni, by choćby myśleć o kochaniu się, a wieczorami chodzili spać tak późno, że seks był ostatnią rzeczą, na którą mieli ochotę. Ale dzisiaj będzie inaczej. Tara posłała mężowi całusa, a Finnowi wyraźnie ulżyło, że uzyskał przebaczenie.

– Tak się cieszę, że zostajesz w domu – powiedziała cicho ponad stołem, kiedy Midge przyniosła wielką miskę z owocami z kompotu z bitą śmietaną.

– Nie zostaję. – Finn uśmiechnął się do niej chłodno.

Tarę ogarnęła wściekłość i nie obchodziło ją, kto może ją usłyszeć.

– Chyba nie wychodzisz teraz? Czy nie możesz spędzić choć jednego wieczoru w domu?

Wszyscy podnieśli znad stołu nerwowe spojrzenia, wyczuwając rysującą się na horyzoncie regularną kłótnię.

– Jesteśmy na wakacjach, Taro – rzucił sarkastycznie Derry. – Podczas wakacji ludzie wychodzą się bawić, wiesz? O to właśnie chodzi.

– Tak – dodał Finn. – To prawie ostatni dzień.

– Proszę cię, abyś dzisiaj nie wychodził.

Tara nie miała pewności, dlaczego to jest takie ważne, ale było i już. Chciała, by Finn dokonał wyboru pomiędzy nią a swym imprezowym przyjacielem. Nigdy nie chciała przekształcić się w jedną z tych kobiet, które zabraniają partnerom spotkań z kumplami, ale tego już było zbyt wiele. Jej cały pobyt tutaj zmienił się w koszmarną parodię kawalerskich wakacji. W ogóle mogła tutaj nie przyjeżdżać, bo Finnowi i tak nie zależało na jej obecności. Jego idealne wakacje to najwyraźniej takie, które można spędzić w towarzystwie Derry'ego.

– Wyluzuj, Tara, okej? – powiedział lekceważącym tonem Derry.

Finn bawił się widelcem i nie odezwał się ani słowem.

A więc w taki sposób chciał to rozegrać. Tara rzuciła serwetkę na stół i odsunęła krzesło, wpatrując się gniewnie w męża.

– Powinieneś być jechać na wakacje z Derrym – syknęła. – Więcej czasu spędzasz z nim niż ze mną.

Tak mocno trzasnęła drzwiami ich pokoju, że aż zadrżały wiszące na ścianach fotografie. Była wściekła, ale sądziła, że nie będzie długo czekać. Finn przyjdzie i przeprosi. Nie należał do osób długo się dąsających i nie znosił kłótni. To ten cholerny Derry stanowił źródło problemów. Tara przysięgła sobie, że kiedy wróci do domu, nie będzie wolno przestąpić mu progu ich mieszkania, dopóki nie przeprosi, nieważne czy jest szefem Finna czy nie.

Dziesięć minut zamieniło się w dwadzieścia. Tara siedziała na pasiastej kołdrze i próbowała skoncentrować się na gazecie. Finn się nie pojawił. W końcu rzuciła gazetę i wróciła do salonu. Pozostali siedzieli wokół ławy i grali w grę planszową z pytaniami z wiedzy ogólnej. Nie było wśród nich ani Derry'ego, ani Finna.

– Wyszli – rzekła sucho Kayla. – Nie czekałabym na twoim miejscu. Och, Finn kazał ci przekazać, że jutro z samego rana zarezerwuje wam przejażdżkę saniami. Powiedział, że to będzie romantyczne, że hej!

Tara zbyt była dumna, by rozkleić się przy nich wszystkich, ale czuła, jak zbiera jej się na płacz. Zdrada Finna była dla niej niczym cios w splot słoneczny. Poprosiła go, by nie wychodził, powiedziała mu, że chce z nim spędzić trochę czasu. A on wyszedł. Przy ludziach.

– Napij się – zaproponowała Kayla, podając jej butelkę wina.

Tara pokręciła głową, czując, jak wzbiera w niej upokorzenie i smutek.

– Idę do łóżka.

Była trzecia, gdy wrócił Finn i padł na łóżko obok niej, cuchnący alkoholem i bardzo zmarznięty.

– Strasznie zimno – wymamrotał, próbując się przytulić do jej ciepłego ciała. Stopy miał tak lodowate, jakby je właśnie wyjął z lodówki i Tara odsunęła swoje, gdy tylko ich dotknęła. Łóżko było zbyt małe, by spać osobno, ale jakoś jej się udało leżeć tak, by go nie dotykać.

– Spij już, Finn – rzuciła ostro.

Nie minęło kilka minut, a chrapał głośno. Tara, skulona na skraju materaca, potrzebowała więcej czasu, by zasnąć. Pomimo zmęczenia po całym dniu na stoku, leżała rozbudzona i pogrążona w myślach.

\*\*\*

Zanim zdążył zadzwonić budzik, Tarę obudził zapach śniadania. Czuła zmęczenie po kiepskiej nocy i zastanawiała się, dlaczego łóżko wydaje się takie niewygodne, kiedy nie można zasnąć, i takie kuszące następnego ranka. Finn zakopał się tak, że nie było widać jego głowy, a jedynie wielki kształt pod kołdrą. Tara wstała, nie budząc go. Nie była gotowa na nieuchronne przeprosiny. Prawdę powiedziawszy, nie była pewna, czy w ogóle chce z nim dzisiaj rozmawiać. Stała pod prysznicem, a woda spływała po jej twarzy i włosach. Puściła najzimniejszą wodę, jaką mogła wytrzymać, w nadziei że to jej pomoże dojść do siebie. Wiedziała, że Finn nie będzie w stanie wstać. Zawsze tak było po wieczornym wyjściu. Następnie przeprosi, przedstawi jakiś powód, dla którego aż tyle wypił („Derry kupił jeszcze jedną butelkę i nie mogliśmy jej zostawić”, „Kelnerka ciągle dolewała mi do kieliszka”) i będzie jęczał, że już nigdy nie weźmie do ust alkoholu. Taa, akurat.

Owinąwszy się ręcznikiem, otworzyła drzwi od łazienki i wpatrywała się gniewnie w kształt pod kołdrą. Pozostali szykowali się hałaśliwie do śniadania i jej mąż jęknął, gdy hałas go obudził. Spod kołdry wystawała jedynie jedna stopa. Finn miał bardzo szczupłe łydki i może dlatego właśnie były tak podatne na skręcenia. Tara popatrzyła na kostkę, którą pokrywały rudozłote włoski. Jego stopa miała dziwnie długie palce. W żartach nazywała go leniwcem. W tej stopie było coś bezbronnego. Tara westchnęła. Nie potrafiła gniewać się na Finna zbyt długo. Ale Derry... to była zupełnie inna historia. To wszystko wina Derry'ego. To on bez przerwy wyciągał gdzieś Finna. Jak śmiał zachęcać jej męża, by zachowywał się jak przerośnięty, nieokrzesany uczeń?

– Dzień dobry, jestem w tarapatach? – zapytał chrypliwie Finn, którego wyraźnie męczył duży kac. – A tak przy okazji, dowiedziałem się, gdzie się zamawia przejażdżki saniami. Możemy jechać, kiedy tylko zechcesz.

Tara odsunęła jego stopę i usiadła na łóżku.

– To będzie bardzo długa przejażdżka saniami – odezwała się tonem niewróżącym nic dobrego. – I mam nadzieję, że sanie natrafią na każdy wybój w miasteczku, tak byś mocno żałował zeszłego wieczoru.

– Obiecuję. – Dłoń Finna wymknęła się spod kołdry i odnalazła jej dłoń.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

W połowie marca Rose uznała, że planowanie wspaniałego przyjęcia z okazji rubinowych godów to prawdziwa udreka. Mówić o wielkiej imprezie z namiotem w ogrodzie dla tłumów ludzi to jedno. Zorganizować ją to zupełnie inna sprawa. Rose czuła się jak przedszkolanka, wyprowadzająca grupę trzylatków na spacer: brakowało jej po prostu rąk.

Hugh nie pomagał jej w niczym, ciągle natomiast powtarzał, jak bardzo nie może doczekać się przyjęcia, które miało się odbyć pod koniec kwietnia.

Potem Rose przekonała się, jak kosztowne jest wynajęcie namiotu.

– Nie do wiary, że to aż tyle kosztuje. – Czuła się głupio, ponieważ wcześniej wydawało jej się, że wielki namiot to tania opcja. – Możemy sobie na to pozwolić? – zapytała męża, kiedy mu przedstawiła orientacyjny koszt całego przyjęcia, wywołujący u niej bladość. Pomimo wielce ambitnych planów Hugh, Millerowie nigdy nie byli szczególnie bogaci.

– Oczywiście, że możemy – odparł wylewnie. – Musimy świętować z fasonem, Rose. Koszt nie gra roli.

Obdarzyła go długim, przenikliwym spojrzeniem, które nie miało nic wspólnego z pieniędzmi.

– Nie musimy wyprawiać wielkiego przyjęcia, Hugh – powiedziała. – Nie ma takiej potrzeby.

– Ależ jest – upierał się. – Dziewczęta będą uszczęśliwione, uwielbiają przecież przyjęcia. No i jesteśmy małżeństwem od czterdziestu lat, a to nie lada osiągnięcie. Ludzie będą oczekiwać, że wyprawimy niezły jubel.

Zamówiono więc namiot, wybrano zaproszenia, lista gości zaś dochodziła do stu pięćdziesięciu i ciągle się rozrastała. Rose wiedziała, że niedługo będzie musiała wybrać się na zakupy, by znaleźć jakąś bardzo elegancką suknię, ponieważ na własnych rubinowych godach nie wypadało pojawić się w czymś, w czym było się już widzianym. Normalnie Rose bardzo lubiła zakupy. Uderzające do głowy poczucie siły, które dawał nowy strój, było lepsze niż wszelkie pigułki przepisane przez lekarza. Tym razem nie potrafiła jednak wykrzesać z siebie ani odrobiny entuzjazmu. W ogóle nie miała ochoty na wielkie przyjęcie.

Częściowo dlatego, że przyjęcie wigilijne tak bardzo ją wyczerpało. W tej chwili jej pomysłem na idealne przyjęcie rocznicowe było przygotowanie wielkiej porcji zapiekanki pasterskiej, włożenie do piekarnika kilku tart z jabłkami, zaproszenie rodziny i tyle. Ale także z powodu, którego Rose nie ośmieliła się głębiej analizować, nie miała ochoty na wielką, publiczną imprezę, podczas której pojawiliby się ich wszyscy znajomi z dużymi prezentami i gratulacjami, mówiąc jej i Hugh, jak bardzo są wspaniali. Po tym wigilijnym telefonie nie wiedziała, czy poradzi sobie z czymś takim. Takie duże przyjęcie to niemal kuszenie losu.

– Będzie wspaniale – nie dawał za wygraną Hugh. – Naprawdę nie mogę się już doczekać.

– Jestem pewna, że tak właśnie będzie – odparła.

Zajmowała się więc przygotowaniami oraz sprawami bieżącymi i jakoś to wszystko szło. Zamówiła malarza, by odświeżył główne pomieszczenia na parterze. Była gospodynią wieczoru miejscowego klubu książki i tak się fortunnie złożyło, że Hugh przebywał w tym czasie służbowo w Dublinie.

Wieczór okazał się niezwykle udany i nawet Minnie Wilson, która z każdym kolejnym tygodniem zdawała się coraz cichsza, przyjemnie spędziła czas.

Następną książką na liście klubu była powieść Anity Shreve i dwa tygodnie później, usłyszawszy, że Minnie dochodzi do siebie po grypie i jest uwięziona w domu, Rose kupiła dwa egzemplarze, żeby rano podrzucić jej jeden z nich. Postanowiła, że nie będzie dzwonić, po prostu wpadnie na chwilę bez zapowiedzi. Nie było to zbyt taktowne, ale Rose martwiła się o Minnie i pomyślała, że gdyby tylko udało jej się dotrzeć do sedna problemu, zdołałaby pomóc.

Minnie otworzyła drzwi i zdumiała się na widok Rose Miller z książką i koszykiem babeczek. Rose równie zdumiała się jej wyglądem. Koleżanka była nieubrana. Włosy, normalnie starannie ułożone i obcięte na krótkiego pazia, teraz miała potargane i nieumyte. Ale to nie połączenie szlafroka i poplątanych włosów tak zaszokowało Rose, lecz jej przybite, pełne smutku oczy.

– Minnie, przepraszam, że tak wpadam bez uprzedzenia – powiedziała. – Słyszałam, że jesteś po grypie, i chciałam jedynie podrzucić tę książkę.

– Wejdz – odparła Minnie, a jej głos był równie przygnębiony jak spojrzenie.

– Ja tylko na chwilę. – Rose zamknęła za sobą drzwi.

– Później jeszcze raz wybieram się do miasta. Zrobić ci może jakieś zakupy?

– Nie, dziękuję.

– Nie wyglądasz dobrze, byłaś u lekarza?

– Nie, naprawdę nic mi nie jest – odparła Minnie. Opadła ze znużeniem na fotel.

Rose usiadła naprzeciwko niej, a w jej głowie odezwał się dzwonek alarmowy. Minnie nie zaproponowała nawet, że zaparzy herbatę, co było absolutnie nie w jej stylu. Normalnie robiłaby mnóstwo zamieszania, żeby okazać jak najwięcej gościnności. Ale ta przygaszona, znękana kobieta nie miała sercu lub energii, by się ubrać, nie mówiąc o zrobieniu herbaty.

– Czy mogłabym ci w jakiś sposób pomóc? – zapytała łagodnie Rose.

– Nie, to bardzo miłe z twojej strony, ale nie – odparła Minnie. – Jestem po prostu zmęczona. Nie mogę zasnąć, a kiedy wreszcie mi się to uda, budzę się wcześniej, to wszystko. Biedny Terence nie może się przy mnie wyspać, a obecnie tak ciężko pracuje.

– Rozumiem – rzekła Rose. I rzeczywiście tak było. Bez względu na powód, Minnie najwyraźniej cierpiała na depresję. To nie była grypa, ale coś więcej. – Może zawiozłabym cię do lekarza? – zasugerowała.

Minnie pokręciła głową.

– Nie rób sobie kłopotu. Niedługo poczuję się lepiej, zawsze tak jest.

Rose zastanawiała się, jak by tu w delikatny sposób powiedzieć, że Minnie nie musi czekać aż poczuje się lepiej.

– To nieco staroświecki sposób – rzekła lekkim tonem. – Ludzie w dzisiejszych czasach są mądrzejsi, Minnie. Czasami ciało nas zawodzi i wtedy czujemy się gorzej, są więc leki, które mogą temu zaradzić.

– Nie jestem przekonana do leków – Minnie wydawała się stanowcza.

Rose zaparzyła herbatę dla nich obu, lecz gospodyni ledwo tknęła swoją.

– Jutro znowu wpadnę, dobrze? – zapytała Rose, kiedy umyła kubki i odstawiła wszystko na miejsce.

– Jeśli chcesz – odparła apatycznie.

Jadąc do domu, Rose nie myślała o Minnie. Wspominała natomiast okres, kiedy depresja otoczyła ją niczym ciemna chmura. To było krótko po przyjściu na świat Holly. Rose nigdy nie zapomni szybkości i intensywności, z jaką uderzyła depresja poporodowa. W jednej chwili była szczęśliwą młodą matką, czekającą na narodziny trzeciego dziecka. W następnej leżała w szpitalnym łóżku, z płaczącą Holly u boku, i czuła się przytłoczona bezsensu życia. Miała nadzieję, że to się zmieni, kiedy wyjdzie ze szpitala, tak się jednak nie stało. Olbrzymiego wysiłku wymagało od niej wykrzesanie z siebie energii potrzebnej do przewinięcia nowo narodzonej córeczki. Potem, kiedy jakoś udawało jej się to zrobić, kładła się, by odpocząć, zanim Holly zacznie krzyczeć i znowu trzeba będzie ją przewinąć. Mała zaś płakała bez końca, godzina po godzinie, jakby wiedziała, że jej matka ledwie jest w stanie na nią spojrzeć. Starsze dziewczynki były w szkole, Hugh pracował jak najwięcej, i nawet lekarz wydawał się nieświadomy tego, co się dzieje. Poza tym wtedy nie mówiło się o takich sprawach jak depresja poporodowa. Rose robiła to co zawsze i jakoś się z nią uporała. Teraz wzdrygała się, gdy wracała myślami do tamtych ponurych dni.

W domu włączyła automatyczną sekretarkę i wysłuchiwała litanii wiadomości, prawie wszystkich związanych z przyjęciem rocznicowym.

W firmie cateringowej popełnili błąd w obliczaniu kosztu korkowego: miało być o pięć procent droższe, niż mówili wcześniej.

Rozgorączkowana kobieta z kwaciarni błagała panią Miller o telefon, by rozwiać wątpliwości co do tego, w którą dokładnie sobotę odbywa się przyjęcie. Nic pilnego, chodzi tylko o to, czy to trzecia sobota marca („Mam nadzieję, że nie” – powiedziała z nerwowym śmiechem) czy trzecia sobota kwietnia?

Adele, u której mieli się zjawić budowlańcy, by zająć się gruntowną renowacją dachu, na ten czas miała się przenieść do Rose i Hugh. Postanowiła, że spędzi w Meadow Lodge tydzień zamiast tylko trzech dni.

– Przyda mi się odmiana – rzekła ciężko, dodając, że zjawi się w czwartek około dziesiątej trzydzięci. – Nie przejmuj się mną, sama się sobą zajmę. Nie chcę żadnego zamieszania.

Rose zamknęła oczy i potarła skronie, by uśmierzyć tępy ból. Adele i chęć nierobienia zamieszania to zestawienie wewnętrznie sprzeczne. Jej bratowa nie była w stanie zaparzyć filiżanki kawy tak, żeby nie robić przy tym zamieszania. Tygodniowy pobyt oznaczał organizację godną wizyty królewskiej. Adele prowadziła swój dom niczym wyjątkowo spartański hotel, w którym obowiązywały określone godziny posiłków i zwyczaj codziennej zmiany pościeli. Siedem dni obecności Adele nadweręży zarówno bielizniarkę, jak i suszarkę do bielizny. Nie wspominając już o tym, w jaki sposób nadszarpnie to nerwy Rose.

Hugh zadzwonił, by powiedzieć, że ma spotkanie, które może się przeciągnąć i żeby nie zostawiać dla niego obiadu.

– Skoczę przed spotkaniem do pubu po jakąś grillowaną kanapkę – rzekł takim tonem, jakby wyświadczał jej wielką przysługę.

Rose zastanawiała się, czy Hugh choć raz zaświtała w głowie myśl, że przygotowywanie obiadu nie rozpoczyna się o osiemnastej. Cóż, i tak będzie musiała przyrządzić rozmrożonego wcześniej kurczaka. Mogą zjeść go jutro wieczorem na zimno.

Ostatnia wiadomość była bezgłówna. Rose nie wysilała się, by nasłuchiwać jakichś odgłosów w tle. Napisała na kartce, by później zadzwonić do kwaciarni i firmy cateringowej, następnie wykasowała wiadomości.

Nazajutrz Rose podjęła decyzję. Zadzwoniła do przychodni, po czym szybko pojechała do miasta. Ignorowała jego piękno, klucząc w porannym ruchu.

Dzisiaj na placu św. Marcina odbywał się targ i szczególnie trudno było zaparkować, jako że wszyscy pozostawiali swoje auta byle jak i pod różnymi kątami, by zaopatrzyć się w tanie produkty rolne. Rose pamiętała czasy, kiedy na targu sprzedawano żywy inwentarz, obecnie jednak rolnicy handlowali warzywami, jajkami, owocami i miodem, a miejscowi rzemieślnicy rozstawiali stragany z wyrobami garncarskimi i różnymi bibelotami. Rose nawet lubiła te stragany z różnościami i często tu zaglądała w poszukiwaniu starych flakonów po perfumach do rosnącej kolekcji Stelli. Dzisiaj jednak miała do wypełnienia misję w żaden sposób niezwiązaną z targiem. Postanowiła porozmawiać z lekarzem i dowiedzieć się, co zrobić z Minnie Wilson. Nie chciała się wtrącać i nigdy nie wściubiła nosa w życie innych, zbyt mocno martwiła się jednak o przyjaciółkę, by tak to zostawić.

Zostawiła auto na dużym parkingu koło supermarketu, po czym udała się żwawym krokiem w stronę jednej z bocznych ulic, gdzie honorowe miejsce zajmował wielki budynek z czerwonej cegły. Rose pchnęła zielone drzwi i weszła do środka, tak jak czyniła to już wiele razy.

– Dzień dobry, Helen – powiedziała do recepcjonistki, dziewczyny, która chodziła do szkoły razem z Holly. – Jestem umówiona na wizytę do doktora Reshmy.

– Niestety doktor Reshma musiał nagle wyjechać do Dublina – odparła Helen, po czym dodała szeptem: – Znowu ojciec jego żony. Ten biedny człowiek jeszcze kurczowo trzyma się życia.

Rose uśmiechnęła się, słysząc dowód na plotkarską naturę Kinvarry, choć mieszkańcy dzielnie się upierali, że można tutaj wieść anonimowe życie i że ludzie nie interesują się sprawami innych.

– Doktor Collins wyjechał do Galway, więc pacjentów doktora Reshmy przyjmuje ta nowa lekarka – dodała Helen. – Doktor Zeigler. Jest bardzo miła.

Rose zawahała się. Gdyby nie zdecydowała się na wizytę u tej miłej, nowej lekarki, sugerowałoby to, że należy do miejscowej grupy staroświeckich osób, które nie dałyby sobie choćby naciąć czyraka, gdyby nie uczynił tego doktor Reshma lub doktor Collins. Ale prawdę powiedziawszy, umówiła się na tę wizytę po to, by się poradzić, a nie z powodu kłopotów zdrowotnych. Miała nadzieję, że mądry doktor Reshma powie jej, co zrobić. Rozejrzała się po poczekalni i stwierdziła, że jest pusta. Zazwyczaj czekało tutaj co najmniej sześć osób. Najwyraźniej nikt nie chciał mieć do czynienia z biedną doktor Zeigler.

– Oczywiście, że pójde do nowej lekarki – powiedziała Rose.

Helen pozwoliła sobie na westchnienie ulgi.

– Zaprowadzę panią – uśmiechnęła się promiennie, wdzięczna za to, że przynajmniej jedna pacjentka nie przyniesie wstydu Kinvarrze, chorując tylko w godzinach pracy doktora Reshmy.

Doktor Zeigler nie mogła być starsza od Holly. Ma najwyżej dwadzieścia siedem lat, pomyślała Rose, kiedy już usiadła na krześle obok lekarskiego biurka. Była piegowata, miała mysiego koloru włosy i gdyby Rose kazano zgadywać, kim jest, odpowiedziałyby, że studentką.

– W czym mogę pomóc, pani Miller? – zapytała lekarka.

– Nie przyszłam tutaj po jakieś konkretne leczenie – zaczęła Rose.

Brwi lekarki uniosły się minimalnie.

– Przyszłam po radę. Wie pani, wydaje mi się, że moja znajoma cierpi na depresję i chciałam zapytać, co zrobić.

Wyraz twarzy lekarki lekko się zmienił i nachyliła się na krześle w taki sposób, że odległość między nimi zmniejszyła się o połowę.

– Ta znajoma – odezwała się życzliwie – już wcześniej cierpiała na depresję?

Rose uśmiechnęła się.

– To nie ja. Naprawdę.

– Jest pani pewna?

– Tak. Nigdy nie miałam depresji. – Rose nie uważała tego za kłamstwo. Nigdy nikomu nie powiedziała o tym, jak się czuła, kiedy Holly była malutka, i nie miała zamiaru uczynić tego teraz.

– Ma pani szczęście. – Twarz młodej lekarki pozbawiona była wyrazu.

– To moja znajoma i martwię się o nią – rzekła Rose. Nie podając nazwiska Minnie, opisała jej ogólny stan i apatię.

– Czy to nie wygląda pani na depresję? – zapytała.

– Całkiem możliwe – odparła doktor Zeigler. – Ale niewiele mogę dla niej zrobić, jeśli nie wybierze się do mnie osobiście.

– Pewnie tak. – Rose żałowała teraz, że nie poczekała na doktora Reshmę, który wykazywał się większym zrozumieniem i na pewno wymyśliłby jakiś plan spotkania się z Minnie i namówienia jej do złożenia wizyty w przychodni. Ta lekarka wyraźnie uważała, że Rose jest po prostu pełną najlepszych intencji wścibską kobietą. Być może sądziła nawet, że jej intencje wcale nie są takie dobre. – Zmarnowałam już wystarczająco dużo pani czasu – rzekła, wstając. – Przepraszam. Spróbuję przekonać moją znajomą, by się tutaj zjawiła.

– Tak właśnie proszę zrobić – odparła doktor Zeigler i powróciła do swoich dokumentów.

Rose udała się powoli w kierunku targu, czując się bezużyteczna. Było jej także nieco głupio. Oczywiście, że Minnie musiała sama wybrać się do lekarza. Co ona sobie myślała? Jak zwykle próbowała rozwiązać problemy świata, gdy tymczasem nie potrafiła zająć się własnymi. Postanowiła przekonać Minnie do wizyty u lekarza. Nie wiedziała jak, ale przyrzekła sobie, że to zrobi. Kiedy się zatrzymała na światłach przed przejściem dla pieszych, uświadomiła sobie, że stoi właśnie przed kancelarią Hugh. Było w pół do pierwszej, na tyle wcześnie, by złapać męża, zanim uda się jak zwykle na lunch do The Angel's Rest. Nagle Rose ogarnęła ochota, by się z nim zobaczyć i opowiedzieć mu o dzisiejszym poranku. Hugh wiedziałby, co powiedzieć. Podniósłby ją na duchu powiedział, że jest mądra i stwierdził, że młodzi lekarze nie rozumieją potrzeb społeczności w takim stopniu, jak to nut w zwyczaju stary doktor Reshma.

– Pani Miller! – zdumiała się asystentka Hugh, kiedy Rose pojawiła się w drzwiach jej gabinetu.

– Witaj, Suzanno, pomyślałam, że zrobię panu Millerowi niespodziankę i zabiorę go na lunch.

Oczy Suzanny rozszerzyły się.

– Zdążył już wyjść – odparła nerwowo. – Przykro mi, że minęli się państwo. Przekażę, że pani wpadła.

– Mogłabym go dogonić – rzekła Rose. – Wyszedł z klientem?

– Nie, eee, tak. Cóż, tak.

Przez krótką chwilę Rose zastanawiała się, czy asystentka jest zawsze taka rozedrgana. Hugh nie znosił nerwowych ludzi.

– Mniejsza z tym – stwierdziła. – Proszę przekazać mężowi, że zobaczymy się wieczorem.

Tym razem postanowiła rozejrzeć się szybko po targu za czymś dla Stelli. Czasem zdarzało jej się znaleźć prawdziwe cacka, jak ten kwadratowy flakon ze srebrną zatyczką, który tak bardzo spodobał się Stelli.

Była prawie druga, kiedy ruszyła w drogę powrotną do samochodu, dźwigając tuzin wiejskich jaj z targu i kotlety jagnięce ze sklepu mięsnego. Długo chodziła po targu i udała się na kawę i kanapkę z napotkaną tam sąsiadką. Dręczona wyrzutami sumienia, że wałęsa się po mieście, podczas gdy dom trzeba posprzątać przed wizytą Adele, Rose udała się na parking na skróty wąską, boczną uliczką. Na jej rogu mieściła się najnowsza miejscowa restauracja, kameralna francuska brasserie z wielkimi oknami, które wychodziły z jednej strony na tę uliczkę, a z drugiej na główną ulicę. Nie byli w niej jeszcze i Rose, przechodząc, zajrzała przez wielkie panoramiczne okno, by sprawdzić, czy podoba jej się wystrój. Od zawsze lubiła w restauracjach dolne oświetlenie, zwłaszcza obecnie, jak lubiła żartować z dziewczętami. Światło świec było dla starszych twarzy bardziej korzystne niż jakakolwiek ilość liftingów.

W tej restauracji było odpowiednio ciemnowo. Rose pomyślała, że miejsce to wygląda na przyjemne. Po kilku krokach znalazła się na ulicy sąsiadującej z parkingiem przed centrum handlowym. Zatrzymała się, by spojrzeć w prawo i w lewo przed przejściem przez ulicę, po czym gwałtownie wciągnęła powietrze, gdy dostrzegła wychodzące z restauracji dwie osoby. Jedną z nich był Hugh w szarym garniturze, w którym tego ranka opuścił dom. Uśmiechał się właśnie w poufały sposób do swojej towarzyszki. Rose jej nie знаła. Kobieta była drobnej budowy, miała rude włosy i jakieś dziesięć lat mniej niż ona. I wpatrywała się w męża Rose wzrokiem, który sugerował, że ich rozmowa podczas lunchu dotyczyła czegoś więcej niż kwestii prawnych. Nie dało się pomylić tego spojrzenia. Ani tego, w jaki sposób patrzył na tę kobietę Hugh. Ostrożnie cmoknął ją w policzek; był to gest celowo nonszalancki, by ewentualni obserwatorzy myśleli, że są wyłącznie przyjaciółmi. Ale Rose nie była jakimś tam przypadkowym obserwatorem. Znała Hugh od ponad czterdziestu lat i znała wszelkie niuanse jego zachowania. Wcześniej patrzył w ten sposób tylko na jedną osobę: na nią.

Przytomność umysłu kazała jej skryć się w najbliższym sklepie, nie dbając o to, że trudno ją zaliczyć do docelowej grupy klientów sklepu z ubraniami Guyz. Trzęsły jej się ręce, gdy udawała, że ogląda wiszące w pobliżu okna koszule. Zerkała na zewnątrz, by się przekonać, w którym kierunku udadzą się jej mąż i ta kobieta. Hugh najwyraźniej poszedł wąską uliczką z powrotem do kancelarii, ale Rose miała bardzo dobry widok na to, jak kobieta przechodzi obok Guyz, a jej każdy pełen radości krok mówił, że właśnie zjadła kosztowny lunch w towarzystwie mężczyzny, którego uważała za fascynującego. Rose przyglądała jej się, dopóki kobieta nie oddaliła się, po czym ruszyła w odrętwieniu do drzwi. W głębi duszy spodziewała się czegoś takiego od Wigilii. To była jedynie kwestia czasu.

W jakiś sposób udało jej się dotrzeć do samochodu i wsiąść do środka. Była w szoku i nie dostrzegła kierowcy, który zobaczył ją, jak wsiada do samochodu i czekał teraz na jej miejsce parkingowe. W końcu dał za wygraną i pojechał dalej. Rose siedziała i patrzyła tępo przez szybę.

Wiedziała o romansach. Były trzy, w każdym razie dotychczas. Trudno byłoby nie wiedzieć w takim miejscu, jak Kinvarra. Zawsze znalazła się osoba, która wspomniała, że widziała jej małżonka jedzącego kolację z kimś, kogo nie znała i... cóż, dodawała ze skrzepowaniem, że uznała, iż Rose powinna o tym wiedzieć. Pani Miller uśmiechała się wtedy i mówiła, że wie o tym; że Hugh był na kolacji z dawną przyjaciółką rodziny i że sama chętnie wzięłaby w niej udział, gdyby nie to, że dopadło ją przeziębienie. Jej opanowanie potrafiło zmylić nawet najbardziej zaniepokojonego informatora.

Skoro Rose wiedziała o tym tete-a-tete w restauracji oddalonej osiemdziesiąt kilometrów od Kinvarry, wszystko musiało być w porządku. A zresztą kto chciałby zdradzać tę uroczą Rose Miller?

Ale ona wiedziała za każdym razem, nawet bez informacji z zewnątrz. Nie należała do kobiet żyjących w swym własnym, przytulnym świecie, tych, które lamentują, że to wszystko jest dla nich tak wielkim szokiem. Zastanawiała się, jak, u licha, mogły nie wiedzieć? Rose wiedziała intuicyjnie i ta wiedza była jej mechanizmem obronnym. I zbroją. Wiedziała, że Hugh nigdy by nie zostawił dziewczynek, ponieważ był im niezwykle oddany. Do niej należało chronienie dzieci, i tak właśnie czyniła, nic nie mówiąc na ten temat.

Głośne dzwonenie postawiło ją na baczność. Jej komórka. Rose zupełnie zapomniała o tym, że mają ze sobą. Wciąż nie oswoiła się z obecnością tego nowoczesnego udogodnienia. Sięgnęła do torebki, wyjęła telefon i popatrzyła na wyświetlające się na ciemnozielonym ekraniku imię. „Stella”.

– Cześć, mamó – przywitała się radośnie jej najstarsza córka. – Mam pomysł, możesz rozmawiać?

– Tak – odparła automatycznie Rose.

– Mamy doskonały pomysł na prezent dla ciebie i taty z okazji waszej rocznicy. Weekend w Paryżu! Kiedy Nick i ja wrócimy, opowiemy wam o wspaniałych miejscach, gdzie warto pójść, ale to będzie idealny prezent od Holly, Tary i ode mnie. Co o tym myślisz?

Rose roześmiała się smutno.

– Kochanie, to bardzo miłe z waszej strony, ale raczej nie.

– Mamó, bardzo byśmy chciały zrobić to dla was obojga; proszę, pomyślcie o tym.

Rose zamknęła oczy i szukała w swych zagubionych myślach jakiejś wymówki.

– Tata jest obecnie tak bardzo zajęty, że to nie byłoby możliwe – rzekła. – Raczej nie damy rady. Stello, czy mogę oddzwonić później? – dodała nieprzekonująco.

– Oczywiście, mamó. Zadzwoń do mnie wieczorem na domowy. Pa.

Rose wyłączyła telefon i przekręciła kluczyk w stacyjce. Gdyby była w domu, byłaby w stanie pomyśleć o tym na spokojnie. Nie mogła przecież załamać się na parkingu.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Minął miesiąc od urodzinowego obiadu ojca w Kinvarrze i starania Kenny'ego i Joan, by znaleźć faceta dla Holly natrafiły na problem: Joan uważała, że rozwiązaniem są randki błyskawiczne, Kenny zaś był przeciwny temu pomysłowi.

– Nie da się poznać idealnego partnera podczas jakiegoś tam rozreklamowanego wieczoru – upierał się. – Równie dobrze możemy wysłać ją na mecz piłki nożnej i kazać jej wybrać pierwszą osobę, która do niej mrugnie.

– Wołałabym pójść na mecz – powiedziała z nieszczęśliwą miną Holly.

Ale Joan w ogóle nie chciała o tym słyszeć i w taki oto sposób znalazły się w klubie Purple Mosquito o ósmej w deszczowy, czwartkowy wieczór razem z trzydziestoma ośmioma innymi ludźmi, z których każdy zapłacił dwadzieścia euro za udział w Wieczorze Randek Błyskawicznych w Purple Mosquito (w cenie jeden koktajl).

– Przestań się trząść – mruknęła pod nosem Joan.

– Jak mam przestać? – zapytała Holly. – Jestem przerażona. Nie wiem, co ja tutaj robię. Nie lubię normalnych randek, a co dopiero błyskawicznych.

Goście siedzieli przy małych stolikach rozstawionych wokół maleńkiej klubowej sceny i każdy otrzymał wcześniej kartkę z numerem, długopis i arkusz papieru formatu A4.

Liczbą Holly była szóstka. Zastanawiała się, wiem co to oznacza. Musiała iść na randkę z sześcioma mężczyznami, jednym po drugim? Musiała iść na randkę z sześcioma mężczyznami jednocześnie? Została nagrana przy wejściu do klubu i otrzymała sześć punktów na dziesięć albo, co gorsza, sześć na sto? Kto to wiedział?

– Oddychaj głęboko – syknęła Joan. Ona miała numer osiemnaście.

Holly zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech. Przy odrobinie szczęścia kiedy otworzy oczy, przekona się, że to wszystko było snem i że siedzi sobie wygodnie w domu na sofie, w tle gra

telewizor i nie ma w pobliżu żadnej przerażającej kobiety, tupiącej obcasami wysokich do ud różowych kozaczków z zamszu...

– Pobudka!

Holly wyprostowała się i otworzyła oczy. Ta przerażająca kobieta w różowych kozaczkach nadal tu była i patrzyła, cóż, wręcz gapiała się na Holly, która dzięki operatywności Joan siedziała z przodu. Gdyby to zależało od niej, ukryłaby się na samym końcu.

– Mam nadzieję, że cię nie zanudzamy – zaszczebiotała kobieta, o ile można szczebiotać z toną podkładu przyklejonego do twarzy. Panna Mindy, gospodyni wieczoru i jednocześnie managerka klubu, traktowała makijaż jako zbroję. Był w stanie oprzeć się pociskowi z pistoletu.

Holly pokręciła bez słowa głową, a panna Mindy oddaliła się, kołysząc biodrami, by kontynuować przedstawienie zasad.

– To najbrzydsza drag queen, jaką kiedykolwiek widziałam – wyszeptwała Joan.

– To nie jest drag queen – syknął z odrazą inny głos. – To kobieta. Popatrz na te nogi. Karygodne!

Pomimo zdenerwowania Holly zachichotała i zarobiła kolejne surowe spojrzenie ze strony panny Mindy.

Purple Mosquito był nowatorskim klubem bardzo lubianym przez światek mody, aktorów, drag queen i elitarną grupę mężczyzn, skorych do rozmowy na temat trudności zdobycia cielistych rajstop w rozmiarze XL. Holly w ogóle nie była zachwycona tym pomysłem, ale by zwiększyć poczucie nierzeczywistości, randki błyskawiczne odbywały się na początku wieczoru, gdy tymczasem wybory Miss Drag De Luxe – konkurs piękności dla drag queen – stanowiły późniejszą atrakcję. Co za tym idzie, kręciło się ich tu sporo na różnych etapach nakładania makijażu. Holly jeszcze nigdy nie widziała tylu pięknych długich nóg. Było także mnóstwo winylowych ciuchów i obfitość opadających, błyszczących włosów niczym z reklamy L'Oreal.

– Daliśmy każdemu z was numer, a to dlatego, by wam powiedzieć, do którego stolika udajecie się na samym początku – oświadczyła panna Mindy tłumowi ludzi, którzy przyglądali jej się z zapartym tchem. – Rozlegnie się pierwszy gong i rozmawiacie, a potem, kiedy usłyszycie drugi gong, kobieta wstaje i udaje się do następnego stolika, mężczyzna natomiast zostaje na miejscu. Jasne?

Tłum skinął głowami. Nie licząc grupki hałaśliwych młodych mężczyzn przy jednym ze stolików, zastawionym butelkami piwa, wszyscy byli zbyt zdenerwowani, by się odzywać.

– Dziewczyna z numerem jeden przechodzi do stolika numer dwa i tak dalej. Na kartce robicie notatki.

Holly zerknęła z niepokojem na swoją kartkę.

– A na rozluźnienie klub serwuje każdemu uczestnikowi darmowy koktajl z listy.

Rozległo się kilka nerwowych oklasków, ale Holly wiedziała, że trzeba by czegoś więcej niż jednego darmowego koktajlu, by uczynić ją gotową na ten obłąkany pomysł. Przydatne mogłoby się okazać znieczulenie ogólne.

Jaka szkoda, że Joan zauważyła na tablicy ogłoszeń w college'u ulotkę reklamującą Purple Mosquito.

– Popatrz – oświadczyła, machając nią triumfująco przed twarzą Holly. – Brzmi fantastycznie, Holls. Posłuchaj tego: ..Nie możesz znaleźć księcia z bajki, a jesteś zbyt leniwa, by zagadywać kolejną żabę? Spróbuj randek błyskawicznych w Purple Mosquito, prowadzonych przez pannę Mindy, za jedyne dwadzieścia euro. Dwadzieścia par, pięć minut na każdą osobę i gwarantowana dobra zabawa. Zarezerwuj wcześniej, by uniknąć rozczarowania. Wieczór homo we wtorki, wieczór hetero w czwartki".

– Nie możemy tego zrobić – powiedziała przerażona Holly. Nawet pięć minut rozmowy z kimś to było dla niej za długo. Co miałyby powiedzieć całej gromadzie mężczyzn? – Ty idź, Joan. Ja się nie piszę.

– Już zadzwoniłam i zrobiłam rezerwację, obie idziemy.

Może i coś takiego było dobre dla Joan, która była przyzwyczajona do modnych klubów i obcych ludzi, ale Holly wiedziała, że jeśli chodzi o spędzenie wieczoru na rozmowie z obcymi, to nie ma w tym nikogo gorszego od niej.

– Nie idę – oświadczyła ostatecznie wczesnym wieczorem w czwartek. – Wiem, że zrobiłaś rezerwację, ale za bardzo się denerwuję.

Joan wyglądała na oburzoną.

– Zawsze mi powtarzasz, bym się stawiała innym – zaprotestowała Holly.

– Ale nie mnie – odparła zdumiona Joan. – Idziesz, koniec, kropka.

Mosquito był modnie miejski, miał minimalistyczny wystrój i wyjątkowo niewygodne siedzenia bez oparcie w kształcie sześciąt, które wyglądały bardzo modnie, ale prawdę mówiąc, były zabójcze dla dolnej części pleców. Ogólny efekt jest jednak ultrastyłowy, pomyślała Holly, rozglądając się po klubie. Gdyby nie znalazła się tutaj z powodu tych nieszczęsnych randek błyskawicznych, może i dobrze by się bawiła.

Stojąca na scenie panna Mindy uderzyła w gong i Holly podskoczyła.

– Tylko sprawdzam! Proszę wszystkich na miejsca.

– Powodzenia! – rzuciła radośnie Joan, po czym udała się rażnym krokiem do stolika numer osiemnaście. Holly pospiesznie podniosła z ziemi torbę na ramię i brzęk tłuczonego szkła powiedział jej, że jakoś udało jej się stracić coś ze stolika.

– W porządku, była pusta – powiedziała dziewczyna przy sąsiednim stoliku, podnosząc z podłogi to, co zostało z butelki po piwie.

– Przepraszam – wymamrotała Holly. Jej policzki płonęły.

Niespiesznie zbliżyła się kelnerka, by ocenić szkody.

– Przepraszam – powtórzyła Holly.

Odwróciła się, uderzając przy tym w stół, przy którym siedziała razem z Joan, ale w porę chwyciła popielniczkę, nim ta spadła na podłogę.

– Przepraszam – rzuciła do nikogo w szczególności.

Stół numer sześć. Gdzie on jest? Z nadal płonącymi policzkami Holly rozglądała się w panującym w klubie półmroku. Nie mogła dostrzec stolika numer sześć. Wszyscy siedzieli już w parach z wyjątkiem... W porę dojrzała mężczyznę, który siedział sam. To musiał być numer sześć. Ruszyła szybko w jego kierunku, prześlizgnęła się między siedzeniami i opadła ciężko na puste krzesło.

Przed nią stał jaskrawoniebieski drink z parasolką i wielkim kawałkiem ananasa. Unikając patrzenia w oczy siedzącemu naprzeciwko mężczyźnie, Holly uniosła głowę wystarczająco wysoko, by dostrzec, że on także ma niebieski koktajl.

– Ten jest mój? – zapytała.

– Tak – odparł.

Na scenie panna Mindy uderzyła entuzjastycznie w gong.

– Pierwsze pięć minut rozpoczęte! – zapiszczała.

Rozległ się gwar gorączkowych rozmów. Brzmiało to tak, jakby chmara szarańczy bzycała nad polem uprawnym. Holly i jej towarzysz rozglądali się z oszołomieniem, po czym spojrzeli na siebie z minami, które wyrażały wyrzuty sumienia.

Był błądy i piegowaty i mrugał oczami w tempie, które oznaczało, że albo coś mu wpadło do obu oczu naraz, albo był bardzo, ale to bardzo zdenerwowany.

Przełknął duży łyk swego koktajlu, opuścił wzrok na kartkę papieru i zaczął rolować jeden z rogów w obsesyjny sposób, który Holly rozpoznała jako klasyczny symptom nieśmiałości. Ścisnęła ją w żołądku z niepokoju. Ten facet był najwyraźniej jeszcze bardziej nieśmiały niż ona i dlatego też to na niej spoczywał obowiązek podtrzymywania rozmowy, ponieważ tak właśnie nakazywała uprzejmość. No ale co ona miała powiedzieć? Pociągnęła łyk swego drinka. Smakiem przypominało to mieszane przez Joan pozostałości z butelek, kiedy nie mieli pieniędzy na porządne wino.

– Ciebie także zaciągnęli tu przyjaciele? – zapytała nagle.

– Tak. – Wyraz wdzięczności na jego twarzy sprawił, że Holly poczuła zadowolenie, że wydusiła z siebie jakąś odpowiedź.

– Mnie też. To był pomysł mojej przyjaciółki. Jest tam.

Oboje popatrzyli na Joan, która siedziała przy stoliku z przystojnym blondynem, ubranym w skórzaną kurtkę. Jedną ręką żywo gestykulowała, drugiej zaś używała do bawienia się pasmem czarnych włosów, natomiast jej towarzysz wpatrywał się w nią jak urzeczony. Holly, która miała już okazję widzieć Joan w akcji, wiedziała, że następnym krokiem będzie położenie jednej dłoni na ramieniu faceta, spojrzenie mu głęboko w oczy i powiedzenie czegoś w rodzaju: „Jesteś niesamowity, wiesz?”. Nie zawsze odnosiło to skutek, ale Joan tak właśnie robiła. Zobaczyła to na jakimś filmie i głęboko wierzyła, że w końcu przyniesie spodziewany efekt.

Holly odwróciła się z powrotem do swego towarzysza. Lepiej wydusi z niego jakieś informacje, zanim rozlegnie się gong. Nie chciała, by panna Mindy spuściła jej lanie za nieprzestrzeganie reguł. Gospodyni wyglądała tak, jakby była w stanie postawić się swoim bramkarzom, gdyby zaszła taka potrzeba.

– Jak masz na imię? – zapytała.

– Ron.

– A ja Holly. Ja też nie chciałam tutaj przyjść, ale możemy udawać, prawda? – zaproponowała lekko. Przewodzenie rozmowie stanowiło dla niej nowe doświadczenie.

Ron kiwnął głową.

Holly zapisała sobie jego imię.

– Czym się zajmujesz, Ron? – zapytała swobodnym tonem, który też stanowił dla niej nowość. Czekając na odpowiedź, upiła kolejny łyk.

– Studiuję – odrzekł ze wzrokiem utkwionym w swój arkusz papieru.

Czekała, aż powie, co studiuje, ale na próżno. Przez krótką chwilę zastanawiała się, czy z nią aż tak trudno się rozmawia. Czy inni ludzie gwałtownie szukali tematów, które mogłyby się okazać właściwe? Prowadzenie rozmowy z osobą tak nieznośnie nieśmiałą jak Ron było nie lada sztuką.

Holly przyrzekła, że to się zmieni. Podniesiona na duchu tą decyzją, spróbowała jeszcze raz.

– Ja pracuję w Domu Towarowym Lee's – powiedziała.

Ron nadal wpatrywał się w kartkę papieru.

– W dziale dziecięcym.

Żadnej odpowiedzi.

– Co studiujesz? – zapytała z desperacją.

Rozległ się gong. Ron nadal nie odezwał się ani słowem. Czas minął.

– Miło cię było poznać – rzekła Holly i wstała. Zabrała ze sobą drinka, niosąc go bardzo ostrożnie do stolika numer siedem. Był jej potrzebny.

– Cześć – przywitał się jej nowy towarzysz.

Wcale nie wyglądał źle, miał ciemne włosy, ciemne oczy, ładną koszulę z odpiętymi górnymi guzikami, co odsłaniało odrobinę włosków na torsie, i był wyraźnie wyluzowany. Miał może dwa albo trzy lata mniej niż ona. Fajny. Siedząca przy stoliku numer dziewiętnaście Joan uniosła w górę kciuki.

Holly usiadła i postawiła na stoliku szklankę. Ten facet to jeden z tej grupy hałaśliwych studentów. Najpewniej przyszli się po prostu zabawić, a nie na poważnie szukać sobie dziewczyny. Teraz, kiedy pełna była determinacji, by się odzywać, równie dobrze mogła się odprężyć i dobrze bawić.

– Cześć, jestem Holly. To całkiem zabawne, prawda? – zapytała pogodnie, zaskoczona własną śmiałością.

– Jestem Carl i owszem, to świetna zabawa – odparł facet, odsłaniając zęby w drapieżnym uśmiechu. – A więc szukasz mężczyzny, Holly?

– Słucham?

– Mężczyzny, zapytałem, czy szukasz mężczyzny czy też jesteś tutaj, by się trochę zabawić? Holly uświadomiła sobie, że jest pijany.

– Tak naprawdę to zabawić – odparła. – Moja przyjaciółka i ja przyszedliśmy tutaj, by się pośmiać.

– Mogłabyś się pośmiać i jednocześnie zabawić – rzekł znaczącym tonem Carl. Sięgnął pod stolik i uścisnął sugestywnie nogę Holly.

Odsunęła się zszokowana i jakoś udało jej się nie wylać przy tym drinka.

– Mieliliśmy rozmawiać – oświadczyła bez tchu.

Wyglądał tak, jakby miał tego dość.

– Dlaczego wszystkie dziewczyny chcą rozmawiać? – burknął. – To nudne. Mówią, mówią, mówią. Robią to na okrągło.

– Co więc studiujesz? – zapytała Holly, pragnąc przerwać jego narzekania.

– Przyszedłeś tutaj z całą grupą i wszyscy wyglądacie na studentów – odparła. – Niech sama zgadnę, studiujesz neurochirurgię.

– Bardzo śmieszne – wymamrotał Carl.

Holly uśmiechnęła się do niego promiennie. Udało jej się. Była rozmowna i nawet żartowała! No więc udało jej się to, ponieważ jej rozmówcy byli bardzo nieśmiali i bardzo pijani, ale zawsze to jakiś początek.

– Boże – rzekł Carl, wpatrując się z zafascynowaniem w jej klatkę piersiową. – Masz świetne cycki.

Oczy Holly rozszerzyły się. Przez ułamek sekundy myślała, by chlusnąć mu resztą koktajlu w twarz. Ale takie zachowanie było zarezerwowane dla odważnych kobiet. Tara uczyniłaby to najpewniej bez chwili namysłu. Joan może walnęłaby go pięścią. Kiedyś trenowała trochę kick boxing.

Ale jaki to miało sens? Carl był zalany.

– Jeśli nie chcesz, bym zawołała tu pannę Mindy i zaznajomiła ją z tym, co przed chwilą powiedziałaś, zamknij się i bądź uprzejmy! – oświadczyła spokojnie.

Tym razem to jego oczy się rozszerzyły. Panna Mindy przerażała wszystkich.

– Bardzo przepraszam – wybełkotał.

Przy następnym stoliku odysei randkowej mężczyzna zniknął, zostawiając jedynie swój arkusz papieru.

– Poszedł do toalety – odezwała się panna Mindy, robiąc na nią nalot niczym gigantyczny flaming. – Jak ci idzie, słonko?

Holly popatrzyła na swoją listę. Napisała: „Ron, b. cichy. Carl, b. pijany”. Nie miała numerów telefonów ani żadnych umówionych spotkań, aczkolwiek jej biust otrzymał komplement. Nie wiedziała, czy panna Mindy uznałaby to za wynik negatywny czy pozytywny.

– Dobrze – odparła Holly. – Dobrze mi idzie, choć nie tego się spodziewałam.

Panna Mindy podniosła oczy do nieba.

– Całe moje życie można by ująć tymi słowami, słonko.

Do dziesiątej Holly poznała dziewiętnastu mężczyzn (jeden z uczestników poszedł do domu) i wiedziała na sto procent, że nie spotkała miłości swego życia.

Najlepszy był krępy facet tuż po trzydziestce, który pracował w laboratorium i przez całe pięć minut opowiadał dowcipy, co było zabawne, ale Holly uznała to za inny gatunek obsesyjnie nieśmiałego zachowania.

– Jak poznać, że rozmawiasz z ekstrawertycznym laborantem?

– Nie wiem.

– Podczas rozmowy z tobą patrzy na twoje buty.

– Jesteś przekomiczny – rzekła ciepło Holly. – Założę się, że wszyscy twoi przyjaciele uwielbiają się z tobą spotykać, bo ciągle ich rozśmieszasz.

Wyglądał na zasmuconego.

– W tym właśnie problem, Holly. Mam mnóstwo przyjaciół, ale nic więcej, nikogo wyjątkowego.

– Jak ci poszło? – zapytała ją Joan, kiedy było już po wszystkim.

– Było inaczej – odparła dyplomatycznie Holly. Bądź co bądź, Joan uważała, że to świetny sposób na to, by nieśmiała kobieta poznała mężczyzn.

– Ale poznałaś kogoś?

– Nie. Usłyszałam jednak, że mam świetne cycki.

– Od kogo? – Joan wyglądała na zaszokowaną.

– Od Carla. – Holly pokazała na niego palcem. – Kusiło mnie, by oblać go drinkiem.

– A, to ten zalany student – rzekła lekceważąco Joan.

– Dobrze, że tego nie zrobiłaś. Zmarnowałabyś tylko drinka – dodała tonem mądrali. – Wiesz co, ja może zostanę i napiję się czegoś z jednym z facetów, których tu poznałam.

Holly uśmiechnęła się szeroko do przyjaciółki.

– Niech no zgadnę, to ten facet w skórze. Był niezły.

– Becks. To nie jest jego prawdziwe imię, ale jest świetnym piłkarzem – powiedziała Joan z wyrazem rozmarzenia na twarzy.

– Śmiało, dziewczyno!

– Nie gniewasz się, że sama będziesz wracać do domu?

– Nie martw się o mnie, jestem już dużą dziewczynką. Dosłownie – odparła z zalem Holly. – Żaden rabuś o zdrowych zmysłach nie będzie próbował ukraść mi torebki.

\*\*\*

Kiedy Holly pół godziny później dochodziła do domu, ich nowy sąsiad Tom, wynosił właśnie worek ze śmieciami, gdyż nazajutrz rano miała przyjechać ekipa śmieciarzy. Pomimo późnej pory, widać było, że dopiero co wrócił z pracy, gdyż miał na sobie koszulę i poluzowany krawat. W służbowym ubraniu wyglądał inaczej; do tej pory Holly widywała go w dzinsach i bluzach. W koszuli i krawacie wyglądał na starszego i poważniejszego.

– Cześć – odezwała się Holly.

– Cześć – odparł, ucieszywszy się na jej widok. – Jak się masz?

Holly zastanawiała się przez chwilę.

– Świetnie. Powinnaś czuć się koszmarnie, ponieważ miałam okropny wieczór, ale tak nie jest. – Bądź co bądź, dokonał się w niej przełom. Zmusiła się do tego, by stawić czoło własnej nieśmiałości, i udało się.

– To dobrze – rzekł Tom.

Weszli razem do domu, a potem po schodach na górę.

– Napijesz się kawy? – zapytał nieoczekiwanie Tom.

– Z przyjemnością.

– Możesz mi opowiedzieć o swoim okropnym wieczorze – dodał.

Holly uśmiechnęła się do niego. To było naprawdę zabawne, ponieważ nie znała go dobrze, ale czuła się przy nim swobodnie. W jego obecności nie była nieśmiała ani oniemiała. Był po prostu Tomem, przyjacielskim olbrzymem, który mieszkał na górce. Nie znał wielu ludzi i potrzebował nowych przyjaciół. Kenny zabrał go na drinka i wrócił z wiadomością, że Tom nie jest gejem, ale mimo to jest porządnym gościem, który ma dziewczynę w Cork.

– Wszyscy najlepsi są hetero – stwierdził żałośnie.

Od tamtej pory Kenny, Joan i Holly zapraszali Toma na niektóre ze wspólnych wyjść i Holly się przekonała, że zaskakująco łatwo rozmawia jej się z ich wyluzowanym nowym sąsiadem. Nie musiała się przy nim wysilać, by błyszczeć.

Otworzył drzwi i cofnął się, by przepuścić Holly. Jego mieszkanie przypominało to, które wynajmowali Joan i Kenny: było większe od jej lokalu, miało dwa pokoje i niewielki balkon.

– Miło tu – powiedziała, rozglądając się.

Tom miał porządne meble, łącznie z krzesłami i miękką sofą z brązowej skóry, wyglądającą na zakupioną w Habitacie. Było tu bardzo schludnie i nieskazitelnie czysto, ale jakoś tak mało przytulnie. Holly aż korciło, by wlać w to miejsce nieco więcej życia.

– Dużo pracy musiałoś włożyć w to mieszkanie? – zapytała.

– Tylko trochę odmalowałem. Gospodarz mocno się zaniepokoił, kiedy mu powiedziałem, że chcę zmienić kilka rzeczy. Myślał, że oczekuję, iż to on za nie zapłaci.

Holly uśmiechnęła się.

– Podoba mu się pomysł inwestycji, która tak naprawdę nie wiąże się z ponoszeniem żadnych kosztów. Poręcze to śmiertelne pułapki, ale nie ma zamiaru ich wymienić. W każdym razie czynsz jest niezły.

Tom udał się do aneksu kuchennego, by zaparzyć kawę.

– Mam własne mieszkanie w Cork i wynająłem je na sześć miesięcy, potem podejmę decyzję o kupnie czegoś w Dublinie.

Holly przechadzała się radośnie po mieszkaniu, podziwiając kilka fotografii w drewnianych ramkach. Na największej widać było ładną blondynkę z pasem aksamitu udrapowanym pomysłowo wokół kremowych ramion. Filtry i idealny makijaż błękitnych oczu powiedziały Holly, że to jedno z tych ujęć studyjnych, kiedy kobiety dają sobie zrobić olśniewający makijaż, by mieć fantastyczne zdjęcia dla mężów albo chłopaków.

– To moja dziewczyna, Caroline – rzekł Tom, wchodząc do pokoju z dwoma kubkami i dzbankiem z kawą. – Mieszka w Cork. Chce się przekonać, jak sobie tutaj poradzę, i jeśli wszystko wypali, ona także się przeprowadzi do Dublina. Caroline jest doradcą do spraw zarządzania i twierdzi, że nie miałyby żadnego problemu ze znalezieniem tutaj pracy.

– Wygląda uroczo – rzekła Holly. – Kiedy następnym razem cię odwiedzi, musisz ją nam przedstawić. Razem gdzieś sobie wyjdziemy, a ona się ucieszy, że masz tutaj znajomych.

Tom obdarzył ją tym swoim słodkim, wyważonym uśmiechem.

– Świetnie. Nie znam tutaj wielu ludzi. Caroline jest zupełnie inna. Bardzo niezależna i gdyby była na moim miejscu, zdążyłaby już poznać wszystkich ludzi w okolicy i nigdy nie byłoby jej w domu.

– Przeciwnieństwa się przyciągają – stwierdziła Holly.

– To prawda.

Pili kawę w przyjacielskiej ciszy. To milczenie nie przyprawiało Holly o niepokój. Z jakiegoś powodu nie musiała się martwić tym, że musi coś mówić do Toma, i to poprawiało jej nastrój.

– Opowiedz mi o swoim okropnym wieczorze.

Śmiał się, kiedy mu powiedziała o pijanym Carlu (komentarz na temat biustu pozostawiła dla siebie) i pannie Mindy, która była bardziej wystrojona niż drag queen.

– Chętnie bym została i zobaczyła wybory Miss Drag De Luxe, ale miały się rozpocząć naprawdę późno.

– Byli tam jacyś faceci, z którymi masz zamiar się jeszcze spotkać? – Tom opuścił spojrzenie na swój kubek.

– Nie – odparła beztrudno Holly. – Joan i Kenny mają plan wyswatania mnie z jakimś facetem i to była pierwsza część tego planu. Cóż, część Joan. Kenny powiedział, że to będzie katastrofa. On knuje, by wysłać mnie na jakąś randkę w ciemno.

– Myślisz, że randki w ciemno odnoszą właściwy skutek?

– Nie w moim przypadku. No ale moje doświadczenie ogranicza się do jednej randki w ciemno przed balemb debutanckim, kiedy brat mojej przyjaciółki Donny umówił mnie ze swoim kolegą ze studiów.

Oczami wyobraźni Holly ujrzała siebie w kremowej sukience, wyglądającej niczym beza wyposażona w kończyny, ponieważ działo się to w czasach jej pulchności, a obok partnera na ten wieczór, niskiego, żylastego chłopaka o imieniu Liam, który był chudy jak wykałaczka. Razem tworzyli doprawdy osobliwą parę. Wcześniej umówiona była z Richiem, który jednak rzucił ją tuż przed balemb, łamiąc jej serce.

Z jakiegoś jednak powodu nie miała ochoty opowiadać o tym Tomowi.

– Nie zakończyła się sukcesem – stwierdziła jedynie.

– Caroline bardzo by się spodobało miejsce w rodzaju Purple Mosquito – rzekł Tom, zrećnie zmieniając temat.

– Uwielbia nocne życie i kluby. Ja to taki trochę nudziarz i lubię siedzieć w domu – dodał przepraszająco.

– Postanowione. Joan, Kenny i ja zabierzemy was gdzieś, kiedy odwiedzi cię Caroline – oświadczyła stanowczo Holly.

– Zrobimy sobie rundkę po klubach. Cóż, przynajmniej po kilku.

Dokończyła kawę i wstała.

– Idę do łóżka, Tom – rzekła. – Dzięki za kawę.

– Nie, to ja dziękuję tobie – odparł. Otworzył przed nią drzwi. – Potrzebowałem towarzystwa.

– Zawsze do usług – rzekła pogodnie, zbiegając ze schodów na swoje piętro. – Zawsze do usług.

Miły był. Holly westchnęła, zamykając drzwi swojego mieszkania. Przyzwoity facet, który wyraźnie kochał swoją dziewczynę. Szczęściara z tej Caroline.

\*\*\*

– Mówiłem wam, że to nie wypali – oświadczył Kenny, kiedy on, Holly i Joan wyszli razem z Windmill Terrace na niedzielny brunch do ulubionej kafejki na końcu ulicy. – Nie można oczekiwać, że przez pięć minut nawiąże się więź między ludźmi.

– Ja poznałam fajnego faceta – zaprotestowała Joan.

– Nie szukamy fajnego faceta dla ciebie – rzucił z irytacją Kenny. – Staramy się trzymać cię z dala od mężczyzn. Powinnaś pracować nad swoją podsumowującą kolekcją, a nie szlajać się niczym jakaś ladacznica.

Przy drzwiach czekali w trójkę na Toma. Był wyjątkowo ciepły dzień i w powietrzu wyczuwało się obietnicę lata. Holly włożyła na nos okulary przeciwsłoneczne, ciesząc się, że pod dzinsową kurtką ma kusy T-shirt. Może zjedzą brunch przy jednym ze stolików na zewnątrz.

– Cóż, jaki ty masz w takim razie plan, mądralo? – zapytała Joan, nawet nie reagując na to, że została nazwana ladacznicą.

– Przepraszam za spóźnienie – rzekł Tom, zatraskując za sobą drzwi. – Zaspąłem.

– Cześć – uśmiechnęła się do niego Holly.

Włosy Toma sterczały na wszystkie strony i widać było, że ubierał się w ogromnym pośpiechu, ponieważ bluzę włożył na lewą stronę.

Udali się powoli w stronę kafejki. Kenny i Joan sprzeczali się na temat tego, co jest lepsze: randki w ciemno czy błyskawiczne.

– Nadal próbują cię wyswatać, co? – zapytał Tom. On i Holly szli parę kroków za swymi sąsiadami.

– Tak, przeanalizowali już kandydatury wszystkich swoich przyjaciół i znajomych i na razie nikt im nie przyszedł do głowy. Klaun Coco to chyba jedyna osoba, której nie brali pod uwagę.

Tom roześmiał się.

– Powinni dać ci spokój. Nie można zmusić do miłości.

– Święte słowa – mruknęła. – Ale oni się uparli i już.

– Jesteś przecież oszałamiająca i nie potrzebujesz, by ktoś ci pomagał.

Holly zarumieniła się aż po korzonki włosów i nie odezwała się ani słowem. Żałowała, że nie umie przyjmować komplementów. Tom był po prostu uprzejmy. I mile było to, że za zabawne uważał próby Kenny'ego i Joan, by umówić z kimś Holly. Nie traktował jej jak beznadziejny przypadek, który nie potrafi sam znaleźć sobie faceta. To dodawało jej pewności siebie.

Przed kafejką dostrzegli jeden wolny stolik. Joan i Kenny natychmiast go zajęli, przywdziewając ciemne okulary i znudzone miny.

– Pójdę zamówić – zaoferowała się Holly. – Co chcecie?

Kiedy wróciła, Kenny właśnie próbował się dowiedzieć, w jaki sposób Tom poznał Caroline.

– Cóż, znaliśmy się od lat, ponieważ mieliśmy paru wspólnych znajomych – wyjaśnił Tom. – Zwróciłem na nią uwagę, ale ona zdawała się nie dostrzegać mnie aż do czasu, gdy cała nasza grupa pojechała do Kilkenny na festiwal komedii. Wtedy między nami zaiskrzyło. Zostaliśmy tam na jeszcze jedną noc i... – Uśmiechnął się szeroko. – Chcesz, żebym ci narysował wykres?

- Tak – odparł poważnie Kenny.
- Znasz jakąś parę, która poznała się na randce w ciemno? – wtrąciła Joan.
- Nie – przyznał Tom.
- Moja kuzynka poznała faceta na randce w ciemno i chodzili ze sobą sześć lat – oświadczył Kenny.
- To znaczy teraz już nie chodzą? – chciała wiedzieć Joan.
- Nie, ale nie w tym sęk – upierał się Kenny. – Nigdy by się nie poznali, gdyby ktoś ich nie umówił.
- Proszę, żadnych więcej historii o randkach w ciemno – jęknęła Holly, kiedy pojawiła się kawa.
- No dobrze, rozejm – rzekł Kenny. – Mam dwa podwójne bilety na otwarcie nowego klubu w przyszłym tygodniu. Idziemy. Wybrałbyś się z nami, Tom?
- Jasne.
- I może porozmawiamy o tym, czy masz jakichś miłych kolegów, którzy zrobiliby wszystko, by się umówić z tak olśniewającą dziewczyną jak Holly – kontynuował Kenny.
- Kenny! – jęknęła Holly.
- Nie poznajesz po prostu właściwych mężczyzn, Hollis – zaprotestował Kenny. – Musisz poszerzyć krąg swoich męskich znajomych, a wtedy poznasz Pana Właściwego.
- Jasne, Pana Super Właściwego, takiego jak ty – wtrąciła bezczelnie Joan.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Hazel jeszcze nigdy nie widziała Stelli tak bardzo podekscytowanej. Na weekendowy wyjazd do Paryża z Nickiem, planowany pod koniec marca, po pierwsze sporządziła długaśną listę strojów na każdą ewentualność, począwszy od wizyt w muzeach, a skończywszy na włóczeniu się po lewym brzegu rzeki. Po drugie wybrała się na manicure, co stanowiło niewiarygodny postęp w przypadku kobiety, która nigdy nie miała albo czasu, albo pieniędzy na wizyty w salonach piękności.

Wreszcie Stella sporządziła plan bezpieczeństwa dla Amelii, wypunktowując, jakie działania powinna podjąć Hazel, gdyby pojawił się jakiś problem podczas odebrania Amelii ze szkoły i dostarczenia jej do rąk ciotki Tary. Plan liczył dwie strony i był to pean ku czci matczynych wyrzutów sumienia.

– Masz włosienicę na tej liście wyjazdowych ubrań? – zapytała szelmowsko Hazel.

Stella, pochłonięta swym Planem Opieki Nad Amelią i skubiącą świeżo wymanikiowany paznokieć, nie usłyszała jej.

– Myślę, że to wszystko – oświadczyła z powagą. – Zobacz, proszę, czy niczego nie pominęłam.

Był to wieczór poprzedzający wyjazd Stelli i Nicka do Paryża. Znajdowały się w kuchni Hazel razem z dzbankiem herbaty, gdy tymczasem Amelia, Becky i Shona siedziały w ogrodzie zimowym za kuchnią i udawały, że odrabiają pracę domową. Miały czytać, ale Hazel widziała, że tak na prawdę szepczą do siebie i chichoczą, co jakiś czas rzucając matkom ukradkowe spojrzenia, by sprawdzić, czy narobiły sobie kłopotów. Kolorowymi metalizującymi długopisami gryzmoły do siebie krótkie liściki. Metalizujące długopisy były tegorocznym hitem i Hazel miała po dziurki w nosie spierania tuszu z ubrań.

– Nie masz nic przeciwko temu, by Tara zadzwoniła do ciebie, jeśli będzie miała z czymś problem? – zapytała Stella.

– Tara nie będzie miała z niczym problemu – przerwała jej Hazel. – Doskonale potrafi zająć się Amelią. Prawdę powiedziawszy, mam wielką ochotę podrzucić jej Shonę i Becky i pozwolić, by zaopiekowała się także nimi. Już od tygodnia jęczą, że tata i mama nigdzie nie wyjeżdżają i nie pozwalają im dobrze się bawić.

Stella kiwnęła z roztargnieniem głową i ponownie przejechała palcem po liście. Zapisała na niej numer telefonu i faksu francuskiego hotelu, a także na wszelki wypadek numer komórki

Nicka. Znajdował się tam także numer lekarza Amelii i godziny otwarcia przychodni. Alergie! Lepiej napisze, że Amelia nie jest na nic uczulona, ale że przechodziła kiedyś ospę wietrzną.

Hazel przyglądała jej się i kręciła głową. Jeśli tak miało to dalej wyglądać, Stella będzie zbyt pochłonięta wyrzutami sumienia, by cieszyć się weekendem. Pora na stanowczość.

– Stell, urodzenie dziecka nie oznacza, że człowiek podpisuje zobowiązanie, że już nigdy nie będzie się dobrze bawić. Macierzyństwo i weekendowe wyjazdy nie wykluczają się wzajemnie. Jedziesz do Paryża na trzy dni, nie porzucasz Amelii przy autostradzie z kartką na szyi: „Czy ktoś mógłby zaopiekować się tą siedmiolatką?”.

– Wiem, ale...

– Żadnego ale! – oświadczyła głośno Hazel. – Paryż wiosną z miłym mężczyzną, musisz się tym cieszyć.

Stella pozwoliła sobie na uśmiech.

– Poza tym Amelia nie może się doczekać weekendu z Tarą i Finnem. Trajkocze o tym przez cały tydzień.

– Naprawdę?

– Tak, naprawdę będzie przeszczęśliwa. Dobrze jej zrobi weekend z dala od ciebie. Dzieciom czasami przydaje się odpoczynek od rodziców. – Hazel posiała szybkie spojrzenie na siedzącą w oranżerii trójkę, która już nawet nie udawała, że odrabia pracę domową. – I rodzice także potrzebują odpoczynku.

– Mówisz jak moja matka – stwierdziła Stella. – Zadzwoiła do mnie wczoraj, by mi przypomnieć o zapakowaniu jakiejś ładnej nocnej koszuli. „Tylko nie bierz tych za dużych T-shirtów”. – Kiedy własna matka nawiązuje tak beztrzesko do twego życia seksualnego, staje się jasne, że jesteś dorosła – dodała żałośnie.

– Twoja matka ma rację. – Hazel wzięła od Stelli jej notes. – Gdzie ta lista z ubraniami? Mam nadzieję, że umieściłaś tam także seksowną bieliznę.

Stella uśmiechnęła się szeroko, ale nic nie odpowiedziała. Jej matka i Hazel zdawały się sądzić, że perspektywa dzielenia łóżka z Nickiem Cavaletto napawają zdenerwowaniem. Nie miała pojęcia, w jaki sposób doszły do takiego wniosku, ale był on błędny. Kiedy już Stella podjęła decyzję, że coś zrobi, angażowała się w to całą duszą. Nie zamierzała rzucać się na Nicka niczym spragniona seksu maniaczka od razu po przestąpieniu progu hotelowego pokoju, ale także ani myślała grać trudnej do zdobycia. Całowanie się z Nickiem obudziło w niej dawno zapomnianą namiętność. Tydzień temu w mieszkaniu Stelli, kiedy jego palce przesuwaly się uwodzicielsko po jedwabnym materiale jej koszuli, by zatrzymać się na krągłościach piersi, Stella nie miała ochoty się powstrzymywać. Ale Nick odsunął się od niej delikatnie.

– Powinniśmy zrobić to w należyty sposób – oświadczył, dysząc ciężko. – A nie szarpiąc się na sofie niczym para dzieciaków.

Stella przyznała mu rację. Kiedy wyszedł, przejrzała szuflady z bielizną i uznała zawartość za nieodpowiednią. Wycieczka do Paryża wymagała wcześniejszej wycieczki do sklepów w poszukiwaniu majteczek i z całą pewnością nie takich praktycznych i zwyczajnych.

Wiedziała, że gdyby Hazel i Rose zobaczyły jej nowo zakupioną bieliznę, byłyby doprawdy zaskoczone.

Amelia była taka podekscytowana perspektywą weekendu z ciocią Tarą i wujkiem Finnem, że Stella ze wstydem musiała przyznać, że odczuwa lekką zazdrość. Podczas pakowania torby jej córka nie wydawała się ani trochę zasmucona.

– Mam nadzieję, że nie będziesz zbyt mocno tęsknić za mamusią – powiedziała niespokojnie Stella.

– Nie będę – odparła radośnie jej córka. – Nick powiedział, że ty, ja i on możemy niedługo jechać gdzieś razem. Nie do Disneylandu. Ale gdzieś, gdzie będzie basen i zjeżdżalnie, i w ogóle. – Amelia wcisnęła piórniki do i tak już wypchanego plecaka.

Stella musiała się roześmiać. Jej matka miała absolutną rację: dzieci były odporne. Stella zadreżczała się kwestią przedstawienia Amelii Nickowi, i kiedy wreszcie to zrobiła, oni od razu się ze sobą zaprzyjaźnili.

Tydzień po urodzinowym obiedzie Hugh w Kinvarrze Stella delikatnie powiedziała Amelii, że mamusia ma nowego przyjaciela i chciałyby, aby ona go poznała.

– To mój wyjątkowy przyjaciel, ma na imię Nick i mam nadzieję, że go polubisz – rzekła Stella. – Ja go strasznie lubię, ale dlatego, że jesteś moją wyjątkową dziewczynką, pragnę, byś także go lubiła...

– Dobrze – odparła pogodnie Amelia.

– W środę przyjdzie do nas na kolację.

Na drobnej twarzy Amelii pojawiło się zamyślenie, zmarszczyła pytająco nos.

Zaczyna się, pomyślała nerwowo Stella, czekając na jakieś cierpkie pytanie w stylu, jak może w jej życiu być jeszcze ktoś szczególnie, skoro ma Amelię? Dzieci były takie wrażliwe, to mógł być naprawdę duży błąd. Może powinna była powiedzieć jej o Nicku w jakiś bardziej delikatny sposób?

– Mogę w takim razie iść później spać? – zapytała Amelia.

Jej matka roześmiała się głośno, a następnie porwała ją w ramiona.

– Oczywiście, że tak, ale tylko ten jeden raz.

\*\*\*

W dniu, w którym Nick miał przyjść na kolację, Stella i Hazel rozmawiały o tym, jak Amelia radzi sobie z wprowadzeniem do jej życia tej nowej postaci.

Stella niepokoiła się, że Amelii w ogóle nie podobał się pomysł mężczyzny w życiu jej matki, tyle że tego nie mówi.

– Odpręż się, Stello – rzekła Hazel. – Tak, wiem, że masz dość ludzi, którzy mówią ci, byś się odprężyła, ale naprawdę przestań się martwić. Zapytałam dzisiaj Amelię o to, co będzie wieczorem, i powiedziała, że przychodzi przyjaciel mamusi, że będzie ciasto, a ona pójdzie później spać. Atak przy okazji to ukuła plan włożenia stroju baletowego i istnieje możliwość, iż zostaniecie uraczeni jej wersją Tańca Wróżki Cukrowej.

Stella wypuściła powietrze.

– Wiem, że najpewniej za bardzo się przejmuję, ale to jest takie ważne. Chcę, by Amelia uwielbiała Nicka i vice versa.

– Na uwielbienie może trzeba będzie nieco poczekać – ostrzegła Hazel. – Miej więc po prostu nadzieję, że dziś wieczorem wszystko pójdzie jak z płatka. A tak w ogóle to kiedy poznam tego wspaniałego mężczyznę?

– Jeśli dzisiaj wszystko pójdzie dobrze, myślę o tym, by za tydzień mniej więcej urządzić niedzielny obiad i zaprosić mamę, tatę, Tarę, Finna i Holly, by poznali Nicka. Czy ty i Ivan przyszlizbyście z dziewczynkami?

– A spróbuj nam zabronić. Nakazę Ivanowi, by przypadkiem nie zachowywał się jak przyjaciel z ciężką ręką, ostrzegający Nicka, by włos nie spadł ci z głowy itd., itd.

Obie kobiety uśmiechnęły się przyjacielsko.

– Biedny Nick – rzekła Stella. – Czeka na niego kolejka ludzi, którzy chcą mu powiedzieć, że nie może mnie skrzywdzić.

– Wcale nie – odparła uspokajająco Hazel. – To ty go wybrałaś, a przecież dobrze znasz się na ludziach.

Kiedy wybiła siódma, sałatka z kurczakiem chłodziła się w lodówce, stół czekał gotowy, a Amelia siedziała w swoim pokoju i się upiększała. Zabiegi upiększające Stelli były szybkie i składała się na nie wymiana stroju służbowego na czarne džinsy i puszysty sweter z angory. Nie chciała nadmiernie dramatyzować tego wieczoru, dlatego właśnie ubrała się swobodnie i przygotowała prostą kolację. Ze względu na Amelię na deser było jej ulubione ciasto toffi i trzy wglębienia z jednej strony stanowiły dowód na to, że małe paluszki zdążyły się już dobrać do polewy.

Rozległ się dzwonek przy drzwiach.

– Nie jestem gotowa, mamó! – zawołała Amelia.

– Nie spiesz się, kochanie – odparła z rozbawieniem Stella.

Nick przyjechał z kwiatami, winem i małą srebrną reklamówką. Mając zajęte ręce, nachylił się i pożądlawie pocałował Stellę w usta.

– Cudownie wyglądasz – rzekł.

– Ty też nie najgorzej – odparła z uśmiechem. – Co masz w tej torbie?

– Prezent dla Amelii. – Nick wyglądał na zatrwożonego. – Mam nadzieję, że nie uważasz, że to przekupstwo i deprawacja...

– Oczywiście, że uważam – odparła Stella. – I uwielbiam cię za to.

Amelia wyskoczyła ze swojego pokoju, a w jej ciemnych oczach malowało się zainteresowanie. Miała na sobie białą, baletową tutu, plastikową tiarę, którą dostała od Holly na Gwiazdkę, i krzywo pomalowane usta różową szminką matki. Do baletowej sukienki włożyła czerwono-czarne rajstopy w groszki, które już były nieco za małe, a w ręku dzierżyła wysłużoną różdżkę od ukochanego fioletowego kostiumu wróżki.

– Dzień dobry – zmierzyła gościa wzrokiem.

– Jestem Nick – odparł, nachylając się, by w formalny sposób uścisnąć jej dłoń. – Podoba mi się twój strój.

Amelia uśmiechnęła się promiennie.

– Mamusia nie chce, bym go nosiła przez cały czas – wyznała. – Ale przecież wrzuca się go do pralki i w ogóle, nie rozumiem więc dlaczego.

Nick pokiwał głową, jakby w tej kwestii był po stronie Amelii.

– Dorośli mają czasem dziwne pomysły. Popatrz, przyniosłem ci prezent – rzekł, podając jej srebrną reklamówkę.

Stella poczuła słabość w nogach i musiała usiąść na sofie. Przyglądała się, jak Amelia wyciąga ręce po torbę, po czym spogląda szybko na matkę, czekając na instrukcje.

Stella wypowiedziała bezgłośnie słowo „tak”.

– Co to jest? – zapytała Amelia.

Nick uśmiechnął się szeroko.

– Wyjątkowa niespodzianka dla wyjątkowej dziewczynki.

Amelia upuściła natychmiast różdżkę i usiadła na podłodze. Nick usiadł naprzeciwko niej i wyprostował długie nogi.

– Nie mogę klękać, jestem za stary – rzekł.

– Mamusia ćwicz jogę, by mogła być młoda – powiedziała Amelia, skupiona na wyciąganiu prezentu z głębi torby. – Mogłaby cię nauczyć. – Wyjęła owinięty w papier pakunek.

Wprawnie pozbyła się papieru i zobaczyła małe drewniane pudełko, szerokie mniej więcej na dwadzieścia centymetrów. Była to pomalowana na brzoskwinowy róż miniaturowa komoda z maleńkim złotym kluczykiem i delikatnymi złotymi uchwytemi przy każdej z szuflad.

– Ooch – westchnęła z zachwytem Amelia.

– To na sekrety – wyjaśnił Nick. – Możesz chować wyjątkowe rzeczy i nikt nie będzie mógł tego otworzyć. Kluczyk ma nawet wstążeczkę.

– To tak jak pudełko z sekretnym skarbem, który ma Barbie – oświadczyła Amelia. Otworzyła ostrożnie szufladki. W środku wyłożone były satyną i czekały gotowe na jej skarby.

– Podziękuj – poleciła Stella.

– Dziękuję – rzekła Amelia, wyraźnie urzeczona prezentem. – Jest śliczne, dziękuję.

– Co włożysz do środka? – zapytał Nick.

– Sekrety! – zawołała Amelia, klaszcząc z zachwytem w dłonie. – Pokażę ci mój pokój i miejsce, gdzie je postawię. Chodź. – Wstała z podłogi i zaprowadziła go do siebie.

Potem Amelia traktowała Nicka jak najlepszego przyjaciela. Chciała siedzieć obok niego przy stole i uraczyła go komentarzami o menu.

– Ciasto toffi, moje ulubione. Mamusia próbowała je zrobić, ale nie potrafi, więc musi je kupować.

Po kolacji zaś upierała się, by na sofie siedzieć pomiędzy nim a Stellą.

– Świetnie sobie z nią radzisz – rzekła Stella, kiedy wreszcie udało jej się namówić Amelię do posprzątania zabawek przed pójściem spać.

– Sam mam dwie córki – odparł Nick. – Po dwóch małych dziewczynkach człowiek już wie, co i jak. To urocze dziecko, co jest twoją zasługą.  
– Cudowna, prawda? – rzekła z dumą Stella.

\*\*\*

Stella, pachnąca waniliowym balsamem do ciała i ubrana w spokojną szmizjerkę w kolorze khaki, pod którą miała swoją niezwykle kosztowną nową bieliznę, skończyła rozwieszać ubrania Amelii w pokoju dla gości u Tary. Było piątkowe popołudnie i za kilka minut miał zjawić się Nick, by zabrać ją na lotnisko, a potem do Paryża.

Tara, która w pracy była tylko pół dnia, aby móc się zająć siostrzenicą, w kuchni pokazywała Amelii wszystkie pyszności, które kupiła z myślą o weekendzie.

Stella słyszała, jak jej siostra wymienia różne rzeczy, które normalnie Amelia dostawała tylko czasami, takie jak jajka z niespodzianką i płatki czekoladowe.

– Nic dziwnego, że tak lubi tutaj przychodzić – zażartowała głośno.

– To wcale nie kwestia jedzenia, ale dobrej zabawy – odparowała Tara, wchodząc do pokoju. – Sama mogłam rozwiesić jej ubrania.

– Nie miej mi tego za złe – odparła Stella. – To mój czyn zatroskanej matki w stylu nikt-tego-nie-zrobi-tak-jak-ja.

– Ciociu, mogę włączyć telewizor? – zawołała Amelia.

– Tak – odparła Tara. – Wiesz jak, prawda?

– Czy wie jak? Najpewniej umiałaby zaprogramować twoje video – stwierdziła Stella. – Kiedy raz nie mieliśmy prądu i radio w kuchni kompletnie się rozregulowało, Amelia w pięć minut ustawiła na nowo stacje.

– Bystra dziewczynka – rzekła z aprobatą Tara. – I nie martw się o nią. Nic jej się u nas nie stanie, a w razie nagłego wypadku mam twoje wszystkie numery i zawsze mogę zadzwonić do mamy. Jutro po pracy przyjeżdża Holly i idziemy razem do kina.

– Ale zadzwonisz do mnie, gdyby coś się wydarzyło... – zaczęła Stella.

– Oczywiście, że tak. Po prostu dobrze się baw. A jeśli dacie się ponieść namiętności i będziecie chcieli spędzić w Paryżu cały tydzień, wystarczy, że zadzwonisz. – Tara żartowała, ale kiedy zerknęła na siostrę, zobaczyła, jak na jej twarzy wykwita rumieniec. – Stella – przekomarzała się – o co chodzi? Czego mi nie mówisz?

– Niczego.

– Akurat. Chodzi o to, że Nick jest fantastycznym kochankiem?

– Tara! – syknęła Stella. – Amelia może cię usłyszeć. I nie. Tak. Nie wiem – dodała z irytacją. – Nie chciałam niczego przyspieszać.

– To w takim razie wasz pierwszy raz? – zapytała łagodnie Tara.

– Tak. Czy jutro rano powinnam wysłać e-mail ze wszystkimi drastycznymi szczegółami czy zwykły sms wystarczy?

– E-mail – odparowała Tara. – Więcej możesz w nim napisać. Tylko żartuję.

Rozległ się dźwięk domofonu i Tara pobiegła do domofonu.

– Wchodź, Nick – rzekła, po czym dodała ciszej: – Mam nadzieję, że w łóżku jesteś świetny.

– Tara! – krzyknęła Stella, wybiegając na korytarz.

Tara uśmiechała się szelmowsko.

– Odłożyłam słuchawkę, zanim wygłosiłam tę uwagę.

– Zołza – wyszeptwała Stella. – Musisz uważać na to, co mówisz, kiedy w pobliżu jest Amelia, wiesz? Chyba nie chcesz jej zdeprawować.

Tara ścisnęła ramię siostry.

– Nie martw się. Finn i ja mieliśmy być w ten weekend gospodarzami imprezy połączonej z wymianą żon, ale ją odwołaliśmy!

– Jesteś niepoprawna! – odparła ze śmiechem Stella.

– Z czego się śmiejecie? – zapytał Nick, zjawiając się w drzwiach.

– Nie pytaj – odrzekła Stella. Pocałowała go mocno w usta.

– Ślicznie pachniesz – rzekł Nick, wdychając kremowy zapach waniliowego balsamu do ciała.

Ponad ramieniem Nicka Stella widziała, jak Tara gryzie się w język, by się powstrzymać przed powiedzeniem czegoś niegrzecznego.

– Cześć, Nick – pomachała do niego.

Podczas niedzielnego obiadu u Stelli tych dwoje przypadło sobie do gustu. Prawdę powiedziawszy, polubili go wszyscy Millerowie. Drzwi do ich serc otworzyło mu szczere uczucie do Stelli. Nikt, kto widział ich razem, nie wątpił w intensywność ich wzajemnych uczuć. Nawet Rose, która się martwiła o swoją kochaną Stellę i nastawiła się na powolne wyrabianie sobie o nim zdania, od samego początku polubiła Nicka.

– Cześć, Nick. – Amelia oderwała się od oglądania telewizji, a on porwał ją w ramiona.

– Jak się ma moja księżniczka? – zapytał.

– Dobrze – odparła. – Ciocia Tara kupiła mi jajka z niespodzianką i mogę je wszystkie zjeść.

– Jakie kury znoszą jajka z niespodzianką? – zapytał, stawiając ją na ziemi.

– Nie kury, głuptasie – zachichotała Amelia. – One są ze sklepu.

Stella wzięła płaszcz i torebkę.

– No dobrze – rzekła. – Jesteśmy gotowi. – Z jakiegoś powodu zbierało jej się na płacz. Nie zносиła rozstawać się z Amelią. Tak rzadko to robiła. Przyklękła przy córeczce.

– Pa, mamusiu. – Amelia zbliżyła swoją ufną twarzyczkę do twarzy matki i pocałowała ją. – Baw się dobrze.

– Będę za tobą tęsknić. – Stella skryła twarz we włosach Amelii.

– Ja za tobą też. Ale podoba mi się u cioci Tary i wujka Finna, i jeszcze przyjdzie ciocia Holly.

– Wiem, kochanie. Będę często dzwonić i jeśli będziesz mnie potrzebować, poproś ciocię Tarę, by do mnie zadzwoniła, dobrze?

– Aha.

– Chodźmy – rzeki Nick.

Kiedy już wszyscy się pożegnali, Tara otworzyła drzwi i Stella wyszła z oczami pełnymi łez. Nick trzymał ją mocno za rękę. Ostatnie, co usłyszała, zanim zamknęły się drzwi, to słowa Amelii:

– Ciociu Taro, czy możemy zjeść teraz trochę czekolady?

\*\*\*

To tak, jakbym znowu miała piętnaście lat, pomyślała Stella, kiedy usiedli razem w samolocie. W tym wieku randki napełniały młodą Stellę dzikim podekscytowaniem. Dzisiaj, ponad dwadzieścia dwa lata później, gotowało się w niej takie samo podekscytowanie. Było jasne, że Nick także je czuje. Jego dłoń wciąż dotykała jej dłoni.

– Nigdy nie byłam w Paryżu z mężczyzną – wyznała Stella.

– Rozumiem, że z golden retrieverem?

– Nie, głuptasie. Pojechałam tam na wycieczkę, kiedy byłam w ostatniej klasie w szkole i było przezabawnie. Nauczyciele przejęci byli strasznie tym, by nic nam się nie stało w Gay Paree\* i prawie musieliśmy chodzić do toalety trójkami. Wszyscy pragnęliśmy uciec i włóczyć się samemu, ale nigdy nam się to nie udało. Najważniejszym wydarzeniem wycieczki było to, że kiedy piliśmy rano w hotelu kawę, młodzi mężczyźni próbowali poderwać mnie i moją koleżankę. – Stella uśmiechnęła się na to wspomnienie. Kiedy to się stało, uznałyśmy, że jesteśmy dorosłe. Nagle byłyśmy doświadczonymi, światowymi kobietami. Widzisz, to było prawdziwe życie. To, że podrywali nas mężczyźni.

\* Tytuł nadany Paryżowi w „niegrzecznych” latach osiemdziesiątych.

Kinvarra wydawała się tak daleko. Nauczyciele byli oczywiście przerażeni.

Nick uśmiechnął się i uściskał mocno jej dłoń.

– Co byś wtedy zrobiła, gdyby udało ci się uciec?

Zastanawiała się przez chwilę.

– Coś bardzo niewinnego, naprawdę. Może poszłabym do kina. I miałam w głowie niezwykle romantyczną wizję siebie w apaszcze w stylu Audrey Hepburn, przechadzającej się po Paryżu i ogólnie podziwianej. Pragnęłam zamówić kawę i siedzieć przy stoliku na zewnątrz, sprawiać wrażenie małomówniej i powściągliwej. Rzeczywistość okazała się inna – dodała. – Musiałyśmy chodzić ubrane w nasze szkolne bluzy, które wręcz krzyczały, że jestem uczennicą, no i w tamtych czasach miałam hopla na punkcie ogromnej biżuterii z mosiądzu. Moje ulubione kolczyki były wielkości anten satelitarnych, nieszczególnie w stylu Hepburn. Włosy zaś miałam bardzo długie i bardzo gęste, więc z potarganymi włosami, wielkimi kolczykami i szkolną bluzą w kolorze burgunda nie można mnie było nazwać uosobieniem paryskiego szyku.

– Założę się, że wyglądałaś ślicznie – rzeki Nick. – Moglibyśmy powrócić do tego przeżycia i ty udawałabyś, że jesteś pilną uczennicą, której udało się zgubić nauczycieli.

Ten pomysł sprawiał wrażenie fantastycznego.

– Czy mogę siedzieć w kafejce w okularach przeciwsłonecznych? – zapytała błagalnie.

– Pod warunkiem, że włosy skryjesz pod chustką i będziesz udawać, że grasz w filmie – odparł Nick.

– Umowa stoi – rzekła z entuzjazmem Stella.

Zaczęli snuć plany zwiedzania i było oczywiste, że Nick wiele razy miał okazję być w stolicy Francji. Ale celowo nie pytała, ile razy i z kim. W odpowiedzi z pewnością pojawiłoby się imię Wendy, a Stella obawiała się, że czar mógłby przez to prysnąć.

Pomyślała, że problem w wiązaniu się z kimś w ich wielu i polega na tym, że nie ma takiej rzeczy, którą by się robiło po raz pierwszy. Nie mogła być pierwszą dziewczyną, z którą twój partner jedzie do Paryża, ani pierwszą, z którą spacerował po zalanej deszczem plaży. Wiedziała, że to dziecinne, ale miała poczucie straty, że nie jest pierwszą osobą, która robi takie rzeczy z Nickiem.

Postanowiła jednak, że nie będzie o tym myśleć. Byli te raz razem. Stella pragnęła, by przeszłość pozostała przeszłością. Chyba nie jest to aż tak trudne?

Elegancki mały hotel przypominał jej wystrój mieszkania Holly.

– Niechlujna elegancja – szepnęła do Nicka, kiedy stali w holu obok wielkiej komody, która była raczej prawdziwie, a nie celowo postarzona.

– Nigdy tutaj nie byłem, ale słyszałem, że to miejsce niezwykle i bardzo eleganckie – rzekł Nick. – Pomyślałem sobie, że powinniśmy zatrzymać się gdzieś, gdzie jeszcze nie było żadne z nas.

Obdarzyła go pełnym wdzięczności uśmiechem. A więc rozumiał, jak trudne może być życie z duchami minionych związków. To jest nowe, nasze, pomyślała z radością Stella. Żadne kochanki z przeszłości nie pojawią się w środku nocy, by ją prześladować.

Ich pokój był równie ładny jak hol: muślin w kolorze morskim i kopie obrazów Fragonarda na ścianach, rachityczne białe meble i fiołki w ręcznie malowanych doniczkach. W pokoju dominowało jednak wielkie łóżko, wystarczające do tego, by urządzić w nim orgię, wraz z wymyślnym baldachimem i taką ilością muślinu, że można by nim owinąć słonia.

– Śliczny pokój – rzekła Stella, okrążając łóżko z całą jego wymową, by zajrzeć do łazienki.

– Świetny widok – zgodził się Nick, także omijając łóżko, by wyjrzeć przez żaluzjowe okno na iglice Paryża.

Recepcjonistka, która przyprowadziła ich do pokoju, wyglądała na zaniepokojoną.

– Nie podoba się państwu łóżko? – zapytała z konsternacją. Wszystkim podobało się łóżko w tym pokoju. To było pierwsza rzecz, o której wspominali. Co nie tak było z tą parą?

Spojrzenia Nicka i Stelli skrzyżowały się ponad przepastnym łóżkiem.

– Bardzo nam się podoba – oświadczyła z mocą Stella, powstrzymując śmiech. – To najlepsza część pokoju.

Usatysfakcjonowana recepcjonistka wyszła.

– Najlepsza część? – zapytał Nick, uśmiechając się szeroko.

Spojrzenie Stelli było spokojne.

– Możliwe – rzekła.

– Tylko możliwe? – Nick przeszedł przez pokój i stanął przy niej. Zdjął płaszcz przeciwdeszczowy i rzucił go na krzesło.

– Nie mogę mieć pewności, dopóki go nie przetestuję – stwierdziła Stella, rozpinając płaszcz. Rzuciła go na płaszcz Nicka.

– Masz na myśli przeprowadzenie badań?

Kiwnęła głową.

Pukanie do drzwi oznaczało, że zjawił się portier z ich bagażami.

– Cieszę się, że jeszcze byliśmy ubrani, kiedy się zjawił – rzekła Stella, kiedy mężczyzna poszedł sobie, zostawiając na stojaku ich torby.

– Jestem przekonany, że widział już takie rzeczy, od których włosy stanęłyby nam dęba – stwierdził radośnie Nick. – Jesteśmy przecież w Paryżu. Para stojąca grzecznie obok łóżka, ubrana czy też nie, musi wydawać mu się niesamowicie nudna.

– Nudna? – zapytała Stella. – Chcesz powiedzieć, że jesteśmy nudni? Musimy temu natychmiast zaradzić. Dzwon na dół i zamów szampana, truskawki i lustro nad łóżko.

Nick uśmiechnął się do niej i delikatnie przyciągnął do siebie.

– Nie potrzebujemy szampana. – Rozpiął jeden guzik przy jej szmizjerce. – Ani truskawek. – Rozpiął kolejne dwa guziki. – Ani lustra na suficie. – Rozchylił jej sukienkę i otoczył dłońmi talię.

Stella bardzo była zadowolona, że kupiła nową, seksowną bieliznę, bo chyba nie czułaby się równie zmysłowo, gdyby miała na sobie standardowe bawełniane figi i prosty, usztywniany stanik. Dzięki tym koronkowym, jedwabnym fatalaszkom czuła się niczym inna kobieta, zmysłowa i piękna. Tak, bielizna rzeczywiście pomaga.

\*\*\*

Wkrótce w ogóle nie myślała już o bieliznie, ponieważ na pierwszy plan wysunęła się powstrzymywana od wielu tygodni namiętność. Ciało Nicka znajdowało się blisko niej, był równie podniecony, jak ona, za plecami mieli wielkie, kuszące łóżko i byli bądź co bądź w Paryżu.

– Długo na to czekałam – wymruczała Stella, kiedy usta Nicka muskały jej szyję, a jego dłonie obejmowały otulone koronką piersi.

– Ja to powinienem powiedzieć – rzekł.

– Jestem za równouprawieniem – odparła Stella, wyginając plecy w łuk, gdy Nick rozpiął jej stanik i wziął do ust jedną brodawkę.

Stella, która wcześniej sądziła, że zapomniała, jak się uprawia seks, przekonała się, że to absolutna nieprawda. Czymś najzupełniej naturalnym było pieszczonienie Nicka i rozbieranie go, czymś naturalnym dla niego ściągnięcie jej jedwabnych majteczek, tak by mogła usiąść na nim, czując, jak jego dłonie pieszczą jej ciało, a usta przyciskają się do jej warg. A potem nie była w stanie logicznie myśleć, gdyż cała płonęła z pożądania i pragnęła poczuć go w sobie. I tak się stało, Nick tulił ją w swoich silnych ramionach, ich ciała złączone w dzikim, namiętym tańcu, który doprowadził ją do niezwykłego orgazmu, podczas którego krzyczała z rozkoszy i zdumienia. Kiedy osiągnęła spełnienie, nie powstrzymał go nawet dziwny hałas dochodzący zza okna. Ciało Nicka zeszywniało, z jego ust wydobył się cichy jęk. Przyłgnęła mocno do niego, pragnąc, by jego orgazm był równie cudowny. Leżeli na łóżku, ciężko oddychając, nadal ze sobą spleceni, zbyt wycieńczeni, by się odsunąć.

– Chyba wystraszyliśmy gołębice – odezwał się Nick, ocierając znad górnej wargi Stelli kropelki potu.

– To właśnie był ten odgłos? – Poczowała, jak wzbiera w niej śmiech. – Nie do wiary, że przepłoszyliśmy ptaki.

Nick przekręcił ją tak, że teraz leżała na jego piersi i wpatrywała się w niego.

– Prawdę powiedziawszy, to ty je spłoszyłaś – oświadczył z powagą w głosie.

– Wcale nie ja – zachichotała.

– Ależ tak – rzekł, ponownie ją całując. – Wiesz, pewnie wyrzucą nas z hotelu.

Stella oparła głowę na jego torsie, upajając się bliskością jego ciała. Uprawiała już wcześniej seks. Wiedziała, jak to jest, ale to, ten totalny odjazd z kimś, kogo kochała, to było coś innego. To było cudownie właściwe. Ciało Nicka idealnie do niej pasowało.

Kiedy tak leżeli, a jej twarz muskała jego potężne ramię, Stella poczuła miłość tak intensywną, że aż ją to zaskoczyło. Gotowa była zabić dla tego człowieka. Kochała go, zależało jej na nim, pragnęła się o niego troszczyć i żeby on troszczył się o nią.

Pieścił jej plecy, leniwie masując, przesuwając ręce od łopatek aż do podstawy kręgosłupa. Następnie palce przesunęły się jeszcze niżej i objęły jej pośladki delikatnie w sposób, który nagle okazał się niezwykle erotyczny. Stella, która jeszcze kilka minut temu była wykończona, przekonała się, że jej ciało mocno reaguje na ten dotyk.

– Skoro i tak niedługo nas stąd wyrzucą, spróbujemy jeszcze raz? – wyszeptała, poruszając się lekko, by się przekonać, czy Nick także się podnieca.

– O tak – wymruczał. – Jak najbardziej.

Za drugim razem gołębie już tak nie hałasowały.

Stella, zasypiając obok Nicka, uznała, że musiały się przyzwyczać.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Od ciepłego stania za kamerzystą Tarę chwycił kurcz w nodze. Było jej także piekielnie gorąco, ponieważ silne oświetlenie studyjne zapewniało planowi numer siedem temperaturę łącznie tropikalną, nawet w ten wyjątkowo chłodny dzień pod koniec marca. Charakteryzatoryzy używali ogromne ilości pudru, by zmatowić błyszczące twarze.

Kręcąc nogą w kostce, aby rozmasować kurcz, Tara przyglądała się uważnie planowi, ale myślami błądziła gdzie indziej. Przeżywała wyż zawodowy, odkąd zadzwonił do niej Mike Hammond i oznajmił, że jego znajomy, posiadający niewielką firmę producencką, zabiera się za niskobudżetowy film irlandzki i potrzebuje kogoś solidnego i niedrogiego do pomocy przy pisaniu przezeń scenariuszu.

– Wyglądanie scenariusza – rzekł Mike. – Szukamy kogoś właśnie do czegoś takiego.

Nie było to może hollywoodzkie dzieło klasy A, o którym marzyła Tara, ale i tak się ucieszyła. Praca z tym scenariuszem to coś, czym mogła się zająć w wolnym czasie, i gdyby się udało, Hammond na pewno znalazłby dla niej coś bardziej konkretnego. To był pewnego rodzaju test. Mike posiadał niewielkie udziały w firmie producenckiej przyjaciela i gdyby wykonała wystarczająco dobrą robotę, na pewno by mu zaimponowała. Drugą kwestią, która odciągała jej myśli od pracy, był Finn. Poza zeszłym weekendem, kiedy opiekowali się Amelią, co drugi wieczór spędzał poza domem i w gorszych chwilach Tara zastanawiała się, czy w jego życiu nie pojawił się ktoś inny. To mogło stanowić jedyne wyjaśnienie zarówno wieczorów spędzanych do późna razem z kolegami, jak i niekończących się spotkań z klientami, a jednak kiedy Finn wsuwał się pod kołdrę obok niej, przytulał i mówił, że ją kocha, Tara wiedziała, że jej mąż nie kłamie. No więc co się działo?

Wzdychając, skierowała uwagę z powrotem na plan, gdzie Sherry DaVinci, z biustem wywindowanym pod samą szyję w sukience z dekoltem w szpic, całkowicie nienadającej się na strój recepcjonistki w gabinecie lekarskim, stała właśnie twarzą w twarz z doktorem McCambridge o zapadniętych policzkach. Doktor był jej przełożonym, a także seryjnym kobieciarzem.

Theodora, bohaterka grana przez Sherry, była jedyną osobą w kraju, która nie zdawała sobie sprawy z faktu, że przystojny dr McCambridge jest zaręczony i dlatego porzuci ją, nim popędzi przed ołtarz z dziewczyną i bogatą córką głównego chirurga. Ich szalone weekendy w wiejskim hoteliku nic dla niego nie znaczyły. Choć trzeba przyznać, że cuda dla tego hoteliku działy fakt, że rozgrywała się tam akcja najbardziej popularnego serialu w kraju.

– Ty świni! – wyszczała Theodora. Biust jej falował, drobinki tuszu do rzęs fruwały dokoła, gdy posługiwała się tanimi efektami, poznanymi podczas czterech miesięcy kursu gry aktorskiej. – Ty skończona świni!

Tara chciała, by nazwała go sukinsynem, ale *National Hospital* emitowano przed dwudziestą pierwszą i przekleństwa nie wchodziły w grę. Jak sobie lubili żartować scenarzyści, mogli się zjawić kosmici i przeprowadzać quasi-seksualne eksperymenty na całej obsadzie przez dziesięć odcinków i nikt by nawet okiem nie mrugnął. Wystarczyło jednak, by jeden z bohaterów użył jakiegoś niecenzuralnego słowa i *National Hospital* znalazłby się w epicentrum dyskusji o deprawowaniu młodzieży.

– Theodoro, nie krzycz, ktoś cię jeszcze usłyszy – rzucił cierpko dr McCambridge.

Tara obserwowała to z aprobatą. W przeciwieństwie do biednej Sherry, Jack potrafił grać.

Zachowywał się dokładnie jak czaruś, który próbuje ograniczyć szkody, niebezpieczny czaruś, który potrafi być bardzo nieprzyjemny. Miliony kobiet dwa razy w tygodniu włączały o ósmej telewizory, by się przekonać, jak bardzo niebezpieczny może się stać dr Jack, i oglądać go rozebranego do pasa w umywalni chirurgów, gdzie rozgrywała się spora część akcji. Krytycy telewizyjni płci męskiej narzekali, że liczba operacji byłaby wyższa, gdyby główny obiekt kobiecych westchnień nie tracił tyle czasu na rozbieranie się. Krytycy telewizyjni pici żeńskiej wyrażali opinię, że dr Jack zdecydowanie za mało się pokazuje bez koszuli. Jego fanów nie zniechęciło nawet ujawnienie faktu, że depiluje woskiem klatkę piersiową.

Na planie temperatura emocji rosła.

– Ale Jack – zawodziła Theodora. – Jak mogłeś mi to zrobić?

– Dorośnij – odwarknął. – Wiedziałaś, o co w tym chodzi. Nie oszukuj samej siebie, że tak nie było. Zabawiliśmy się trochę i tyle. – Omiótł spojrzeniem ciemnych oczu jej pełne kształty. – Ja się dobrze bawiłem – rzekł perfidnie. – A ty nie?

W tym momencie oczy Theodory miały napełnić się łzami. Tara, która od czasu wręczania nagród nie potrafiła nie lubić Sherry, uznała, że ta recepcjonistka-wamp powinna nagle ujawnić swą bardziej bezbronną stronę.

– Być może problem z Sherry tkwi w tym, że ciężko jej się gra taką zołzę – oświadczyła Tara na zebraniu dotyczącym dalszych losów bohaterów. Wzruszyli ramionami. Większość scenarzystów żywiła przekonanie, że problemem Sherry jest sama gra i kropka, ale pozwolili Tarze na wdrożenie jej pomysłu. Z tego też powodu było dla niej tak ważne, by Sherry potrafiła wzbudzić w widzach współczucie.

Na wyświetlaczu kamery powieki Sherry zatrzepotały.

Tara zacisnęła oczy, tak jakby chciała wywołać Izy u siebie w imię solidarności z bohaterką. Ale Sherry nie uroniła ani jednej. Zmrużyła oczy, nie była jednak w stanie niczego wytworzyć. Tara westchnęła.

– To nie miała być zabawa, to miała być miłość – powiedziała wreszcie.

Tara krzywiła się przy każdym słowie. To było takie oficjalne. Sherry po prostu nie potrafiła grać. Nic dziwnego, że wszyscy inni aktorzy serialu, z których wielu to charyzmatyczne gwiazdy sceny, grające już we wszystkim od Pintera po Barda, irytowali się, widząc w obsadzie kogoś tak pozbawionego talentu.

Dr Jack przysunął się bliżej Theodory/Sherry i ujął w jedną dłoń jej małą, spiczastą brodę.

– Nie bawię się w miłość – warknął.

Przyglądając się tej scenie, Tara poczuła, jak w jej splocie słonecznym w odpowiedzi także rodzi się pomruk. To właśnie dr Jack potrafił czynić z kobietą, nawet jeśli ta kobieta wiedziała, jaka będzie jego następna kwestia, gdyż sama ją napisała. Poza planem dr Jack należał do osób, których Tara unikała. Przed kamerą był uroczy i miał seksualną charyzmę wystarczającą do obdzielenia tuzina mężczyzn.

– Nie mówisz poważnie – powiedziała beznamiętnie Theodora.

– Ależ tak. – I dr Jack, doświadczona gwiazda seriali po dziesięciu latach w zawodzie i dwóch próbach technicznych tego ranka, odwrócił się na pięcie i wyszedł, pozostawiając Theodorę, która opadła na biurko i udawała, że szlocha.

– Cięcie! – zawołał reżyser.

Wszyscy na planie numer siedem wydali westchnienie ulgi. Ostatnia scena na dzisiaj znalazła się wreszcie w puszczy i wszyscy mogli się spakować i jechać do domu, aczkolwiek i tak godzinę później niż zazwyczaj.

Dr Jack, vel Stephen Valli, odmaszerował, mrużąc coś pod nosem o pracy z amatorami i o tym, że nigdy nie powinien być rezygnować z teatru.

Wszyscy go zignorowali.

Tara zerknęła na zegarek. Dziesięć po szóstej, czas wracać do domu, do Finna. Może udałoby im się szczerze porozmawiać i wyjaśnić kilka spraw. Wiedziała, że jej mąż musi podejmować klientów, ale jego praca zdawała się przejmować kontrolę nad ich życiem. Kiedy brali ślub, Tara nie sądziła, że aż tyle wieczorów Finn będzie spędzał poza domem.

– Branżę komputerową dotknęła lekka recesja – powiedział, kiedy Tarę wytrącił z równowagi ostatni taki wieczór. – To moja praca, Taro. Nie narzekam na godziny twojej ani na to, że często siedzisz do późna przyklejona do laptopa, prawda?

Nigdy nie narzekał, musiała mu to przyznać. Jeśli musiała długo pracować, Finn ochoczo dzwonił do Derry'ego i wychodził z nim „na małe piwo do pobliskiego pubu”. Ale potem nie było go przez kilka godzin i kiedy wreszcie wyłączała laptopa, i tak znowu była sama.

Finn wyraźnie nie rozumiał tego, że teraz, po ślubie, wszystko się zmieniło; nie jest już włóczącym się po mieście singlem. To ona musiała pomóc mu to zrozumieć. Postanowiła, że dzisiaj wieczorem zamówi chińszczyznę, jego ulubione jedzenie, i będą musieli porozmawiać.

Tara uśmiechnęła się do siebie, czując ulgę, że podjęła taką decyzję i zadowolenie, że skończył się dzień zdjęciowy. Jutro rano trzeba będzie nakręcić jeszcze tylko jedną scenę i odcinek można uznać za skończony. W scenie tej wezmą udział inni aktorzy i choć napisała ją Tara, jej obecność na planie zdjęciowym nie będzie wymagana, ponieważ jutro nic pojawiała się Theodora i nie trzeba będzie niczego zmieniać na świeżo w scenariuszu z powodu pomylenia kwestii.

Zazwyczaj scenarzyści nie spędzali zbyt wiele czasu na planie zdjęciowym: siedzieli w swoim gabinecie i pisali scenariusz albo omawiali kwestie w rodzaju wskaźników oglądalności i tego, jak tu się pozbyć Theodory. Jak na razie rozważano samobójstwo (mało prawdopodobne, gdyż Sherry nie byłaby w stanie udawać skrajnej rozpaczki) i wyjazd do siostry do Bostonu (to był taki prywatny dowcip, gdyż do tej pory sześcioro ludzi w dziesięcioletniej historii serialu udało się z wizytą do siostry w Ameryce). Dr Jack/Stephen wsunął wczoraj do nich głowę i zasugerował, że zastrzeli Theodorę.

– Bardzo bym chciał – oświadczył ponuro. – To byłoby zabójstwo w afekcie.

– Musiałbyś pójść do więzienia, a jesteś nam potrzebny – odparł jeden z redaktorów.

– Mógłbym wrzucić ciało do kanału i nikt by się o tym nie dowiedział – zaproponował Stephen.

Wszyscy obecni w pomieszczeniu wybuchnęli śmiechem. Mieli już ciało w kanale w bożonarodzeniowym odcinku sprzed trzech lat. Dwa ciała w kanale byłyby lekką przesadą.

Tara uśmiechała się na tę myśl. Opuściła plan zdjęciowy i udała się wolnym krokiem do pomieszczenia kontrolnego, by zamienić parę słów z Aaronem, reżyserem. Ale przed nią dotarła tam Sherry i udało jej się go zaczepić w chwili, gdy właśnie wychodził.

– No i jak ci się podobało? – Z falującą piersią w stylu Theodory, Sherry stała przed Aaronem i czarująco trzepotała rękami.

Aaron, potężny mężczyzna z szorstkim sposobem bycia i z łagodnym sercem, przyglądał się tej ładnej dziewczynie, która zapewniła serialowi mnóstwo rozgłosu. Tara miała okazję znać reżyserów, których bezlitosny sarkazm zdierał farbę ze ścian, cieszyła się więc, że może pracować z takim, który zanim coś powie, pomyśli o uczuciach innych ludzi. Stojąc za Sherry, uśmiechnęła się do Aarona i miała nadzieję, że tak jak to ma w zwyczaju, nie powie nic okropnego. Sherry była bądź co bądź słodka.

– Zbyt dużo gniewu w twojej żarliwości, kochanie – odezwał się wreszcie Aaron.

Sherry musiała się nad tym chwilę zastanowić.

– To dobrze czy źle?

Kiedy Sherry już sobie poszła, Aaron i Tara weszli z powrotem do pomieszczenia producenckiego *National Hospital*.

– Słyszałem, że twoje nazwisko wymienia się w związku z telewizyjną adaptacją książki Patona Smitha – oświadczył Aaron.

Zaskoczył tym Tarę.

– Od kogo to słyszałeś? – zapytała. Mike Hammond zadzwonił do niej przed zaledwie dwoma dniami. Powiedział jej, że ten film trzymany jest w największej tajemnicy.

– Mam swoje źródła – odparł Aaron. – Nie słucham wszystkiego, ale kiedy moja najlepsza scenarzystka i główna edytorka serialu zabiera się za coś większego i lepszego, mam oczy i uszy szeroko otwarte.

Tara postanowiła być szczerą. Była mu to winna.

– Powiedziałabym ci, gdyby poprosili mnie o coś wielkiego, Aaronie. Mike do mnie zadzwonił. Poznaliśmy się podczas wieczoru wręczania nagród i powiedział, że jest zainteresowany tym, by za jakiś czas ze mną porozmawiać. Teraz zaproponować żebym się zajęła wygładzaniem tego scenariusza. Twierdzi, że trzeba jedynie drobnych poprawek. To film niskobudżetowy i może nawet nigdy nie powstać, ponieważ nie załatwiono jeszcze do końca kwestii finansowych. Napisanie prawdziwego scenariusza filmowego to jedynie mrzonka – dodała nieprzekonująco.

– Nie dla ciebie, Taro – oświadczył poważnie Aaron. – Jesteś dobra, lepsza niż dobra. Nie muszę ci tego mówić. I nie zapominaj, że zawsze wiedziałem, iż jesteś ambitna. – Udali się do niewielkiego aneksu kuchennego i Aaron zatrzymał się przed automatem z kawą. – Wiedziałem, że nie zostaniesz z nami na zawsze, że będziesz chciała zająć się czymś innym. Wy, młode wilki, nie siedzicie zbyt długo w jednym miejscu.

Tara poklepała czule ramię Aarona. Był takim dobrym mentorem, zawsze chętnym do wysłuchania jej pomysłów, nawet kiedy dopiero zaczynała pracować jako scenarzystka i była najmłodsza w ekipie *National Hospital*. To on jej powiedział, że naprawdę potrafi pisać, to on twierdził, że znacznie łatwiej wyciągnąć z najbardziej nawet drewnianego aktora elementy gry aktorskiej, kiedy to Tara Miller pisze dla niego kwestie.

– Do nikąd się na razie nie spieszę, obiecuję. Powiedziałabym ci, gdyby tak było, nie szukaj więc nikogo na moje miejsce. Zgoda? – dodała Tara.

– Zgoda. Popatrz na to – rzekł z obrzydzeniem, nalewając do kubka strumień bladego mętnego płynu. – Co się dzieje z tym automatem? Czy nie możemy mieć tutaj prawdziwej kawy?

Tara pożegnała się z nim. Zerkając na zegarek, zastanawiała się, w jak dużych będzie musiała stać korkach.

– Hej, Tara, idziesz do pubu?

To była grupa scenarzystów, wybierających się na zwyczajową wyprawę do knajpy, wypadającą w każdy ostatni wtorek miesiąca. Nie znaczy to wcale, że tylko tego dnia chodzili do pubu, ale to był akurat dzień wypłaty, jedyna pewna data w ich terminarzach. Inne wypady były bardziej spontaniczne.

– Już od wieków nie wychodziłaś z nami – narzekała Lisa, zadeklarowana balangowiczka.

– Śmierdzi od nas czy co? – zapytał Ralph, najstarszy scenarzysta w ekipie, który był równie zapalonym imprezowiczem jak Lisa i miał cięty język.

– Przykro mi, Ralph – odparła Tara z udawaną troską – ale uznaliśmy, że grzeczniej będzie pozwolić ci pić w pojedynkę, niż rozstawiać po firmie dezodoranty. Zapach potu to koszmarna sprawa.

– Bardzo śmieszne – rzekł Ralph. – No więc idziesz się z nami napić czy nie?

– Okej, spotkamy się w pubie; zajmijcie mi miejsce – odparła Tara, żalując, że na nich wpadła, gdyż naprawdę nie miała ochoty tam iść. Jej weekendy z Finnem obracały się wokół pubów. Tyle że już od kilku tygodni nie wyszła nigdzie razem z całą ekipą i kiepska wymówka tym razem nie przejdzie.

– I możesz nam wszystkim opowiedzieć o tym gorącym, nowym scenariuszu, nad którym pracujesz – rzekła z fałszywą skromnością Lisa. – Zainteresowany jest Spielberg czy Coppola?

Tara na te słowa roześmiała się w głos.

– Czy w tym cholernym miejscu niczego się nie da utrzymać w tajemnicy?

– Nie – odparł Tommy, który był strasznym plotkarzem i do skandali miał nos niczym Lassie. – Wiemy, kto sypia z doktorem Jackiem, gdy prawdziwa pani Jack wyjeżdża do kliniki w Londynie, by usunąć chirurgicznie worki pod oczami. Wiemy też, która nimfетка z działu promocji miewa schadzki po godzinach ze swoją szefową.

– Tommy, jesteś pewny, że wysłałeś swoje CV do właściwej firmy? – zapytała Tara. – To *National Hospital*, a nie „National Enquirer”\*.

\* Tygodnik brukowy wywodzący się z USA.

Pozostała trójka roześmiała się, Ralph natomiast zapowiedział straszliwe reperkusje, jeśli Tara za dziesięć minut nie pojawi się w pubie. Po czym się oddalili.

Nadal uśmiechając się, Tara wróciła do swojego oddzielnego ścianką działową boks w gabinecie scenarzystów i zadzwoniła do domu, rozłączając się, kiedy odezwała się automatyczna sekretarka. Oczywiście, że Finn jeszcze nie wrócił. Następnie wystukała numer jego komórki. Poczta głosowa.

– Cześć, wybieram się na szybkiego drinka z Aaronem i całą ekipą. Niedługo wrócę. Pa.

Kiedy się rozłączyła, cofnęła się myślami do czasów sprzed poznania Finna; kiedy wychodzenie z ludźmi z pracy stanowiło punkt centralny jej życia towarzyskiego. Przeżyli wtedy sporo szalonych nocy, podczas których każdego, kto zmywał się do domu przed pierwszą, uznawano za psującego zabawę smutasa. Wyglądało na to, że teraz uważali, iż miłość i małżeństwo przekształciły Tarę właśnie w kogoś takiego. Ona, dziewczyna, która nauczyła ich grać w tequilę; która kosiła wszystkich na parkiecie swym przezabawnym tańcem river dance. Po dziewięciu miesiącach małżeństwa nadal nie wróciła do gry w tequilę. Powodem, jak wszyscy myśleli, był Finn. Ralph regularnie przekomarzał się z nią na temat podobieństwa Finna do Brada Pitta i nigdy nie przegapił okazji, by wypytywać o, jak to nazywał, „miłość stulecia”.

Tara, przyzwyczajona do ciągłego nabijania się i świadoma, że Ralph więcej szczeka, niż gryzie, często w ogóle nie udzielała odpowiedzi. Miała wystarczająco dużo intuicji, by wiedzieć, że kąśliwe uwagi Ralpha brały swój początek z zazdrości: jemu ona i Finn musieli się wydawać młdąco słodką parą.

Ale... cóż... nie było idealnie, niezupełnie idealnie.

Pełna determinacji, by nie poddać się introspekcjom, nie zaglądając do lusterka, pomalowała usta szkarłatną szminką, stanowiącą jej znak firmowy. Tara знаła kontury swych warg na tyle dobrze, że lusterko nie było jej potrzebne. Jaskrawa szminka była jej podstawową maską: odpowiednia ilość Ruby Woo i wyglądała na pełną życia i szczęśliwą. Zostawiła teczkę w samochodzie i przeszła przez parking na drugą stronę ulicy do Browns, ulubionego miejsca ekipy *National Hospital*. W pubie ludzie z telewizji podzielili się na dwa odrębne obozy. W pobliżu drzwi znajdowała się grupa aktorów, wyglądających zupełnie inaczej niż odgrywane przez nich postacie. Choć Tara pracowała w telewizji od wielu lat, nadal zaskakiwało ją to, jak aktorzy potrafią się zmieniać. Kobieta, która grała pielęgniarkę Mo, w prawdziwym życiu była praktycznie nie do rozpoznania. Mo nosiła zapięte pod samą szyję fartuchy i wyglądała niezwykle surowo, gdy tymczasem po skończeniu zdjęć aktorka paradowała w powiewających spódnicach, z falującymi włosami i wydętymi różowymi ustami.

Aktorzy kiwnęli głowami w stronę Tary, a ona odpowiedziała uśmiechem, po czym udała się w stronę grupy scenarzystów, którzy rozlokowali się w najciemniejszej części pubu.

– Optujemy za ciałem w kanale! – zawołał Tommy.

Tara uśmiechnęła się żałośnie.

– O ile tylko ja nie będę musiała tego pisać.

– Drinka? – zapytała Lisa.

– Wodę mineralną – odparła sztywno Tara.

– Napij się prawdziwego drinka i jedź do domu taksówką – namawiał Tommy. – Chodź w tango.

Tara pokręciła głową i zamówiła wodę.

– No dobra, to teraz puść farbę – rzekła Lisa, przysuwając krzesło bliżej Tary, by mogły spokojnie porozmawiać. – O co chodzi z tym scenariuszem filmowym?

– Po pierwsze to ma być tajemnica – odparła z uśmiechem Tara – więc nie rozpowiadaj naokoło. Krótko mówiąc, zostałam poproszona o zerknięcie na scenariusz i wygładzenie go, to wszystko. A ja chcę wiedzieć, od kogo się tego dowiedziałaś.

Lisa uśmiechnęła się szeroko.

– Długo trzeba by opowiadać.

\*\*\*

W mieszkaniu panowała cisza, kiedy Tara wróciła o dziewiątej, obciążona teczką i torbą z zakupami, które zrobiła w supermarkecie na rogu.

– Finn! – zawołała, stawiając teczkę obok stolika na rachitycznych nóżkach. Jej głos odbił się echem w ciszy wyłożonego drewnem korytarza. Tarze podobały się drewniane podłogi, ale z całą pewnością potęgowały hałas.

Nie zwracała sobie głowy dzwonieniem po raz drugi do męża. Nadal musiał być na jakimś spotkaniu. A więc to by było na tyle, jeśli chodzi o spokojną rozmowę nad chińszczyzną na wynos. Była zbyt głodna, by czekać na Finna, wstawiła więc makaron i udała się do sypialni, by rzucić służbowe ciuchy.

Nie minęły dwie minuty, a z powrotem znajdowała się w kuchni. Była boso i miała na sobie luźny czarny sweter oraz džinsy.

Polała makaron sosem z supermarketu, nałożyła na talerz połowę porcji i udała się wraz z nim do salonu.

Kończyły się właśnie nocne wiadomości, kiedy usłyszała przy drzwiach Finna. Nigdy nie miał problemu z kluczem, bez względu na to, o której godzinie wracał do domu. Tara nie mogła tego zrozumieć. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie ćwiczy pod jej nieobecność: oczy zamknięte i wsuwanie klucza do zamka, raz za razem, by mieć pewność, że robi to perfekcyjnie.

– Hejka, skarbie! – zawołał. – Jak się ma moje słonko?

Niewprawnemu uchu głos Finna mógł się wydawać radosny i być może nieco zmęczony. Normalny głos w stylu „miałem ciężki dzień w biurze”.

Ale Tara wiedziała, co dokładnie oznacza ten ton głosu jej męża: był pijany. No wiecie co, pomyślała gniewnie. Ta praca go dobija. Wkrótce jego wątroba będzie przypominać suszoną śliwkę. To się musi skończyć.

– Witaj.

Finn wyglądał nienagannie, krawat miał równie idealnie zawiązany jak rano. Tarę zastanawiało także i to. Kiedy ona zbyt dużo wypija, kończyło się to tak, że wyglądała niechlujnie, a włosy miała w takim stanie, jakby przeczołgała się przez krzaki.

– Przepraszam za spóźnienie. Praca. Jadłaś już? – Finn nachylił się, by musnąć ustami jej policzek i Tara poczuła znajomy, słodkawy zapach alkoholu. – Ja zjadłem z chłopakami skrzydelka kurczaka i frytki – kontynuował.

– Finn, dlaczego mi nie powiedziałeś, że nie będzie cię dziś wieczorem?

Zrobił tę swoją uroczą minę winowajcy.

– Przepraszam, mała, nie mogłem się z tego wykręcić, a kiedy odsłuchałem twoją wiadomość, wiedziałem, że wrócisz późno i że nic się nie stanie.

– Stało się – zaprotestowała. – Wróciłam do domu wcześniej i musiałam spędzić kolejny cholerny wieczór sama. Ożeniłeś się z tą swoją pieprzoną pracą.

– Och, kochanie. – Opadł na miejsce obok niej i oparł głowę na jej ramieniu, niemal jak dziecko. – Nie bądź zła – błagał. – Wiesz, jak ciężko jest teraz w firmie. Nie wyrobiliśmy normy w tym kwartale; mamy poważne kłopoty. Wiesz, że nie chciałem iść, ale musiałem wesprzeć Derry'ego. To on jako szef płaci za winy wszystkich. Po prostu nie mogłem mu odmówić.

Tara westchnęła.

- Masz szczęście, że jestem takim mięczakiem – rzekła. – Założę się, że żony innych facetów nie odpuszczają im tak łatwo.
- Nie, ale ty jesteś cudowną, wyrozumiałą osobą – odparł Finn, przysuwając się jeszcze bliżej. Pocałował delikatnie jej szyję.
- Odejdź, ty wielka, narąbana świnió – oświadczyła Tara, ale on i tak wiedział, że żartuje.
- Chyba napiję się mleka, pomoże mi na żołądek – rzeki bezceremonialnie.
- Okej. Mnie też przynieś. A potem do łóżka, jasne?
- Tak, moja pani – odparł żartobliwie.

\*\*\*

W kuchni Finn zabrał się do swych rutynowych działań. Hałaśliwie otworzył lodówkę i wyjął karton mleka. Nalewając pół szklanki, nasłuchiwał uważnie, na wypadek gdyby Tara zdecydowała się przyjść do kuchni. Drewniana podłoga bardzo mu ułatwiała sprawę. Kiedy miał pewność, że Tara nadal ogląda telewizję, otworzył po cichu szafkę i sięgnął ostrożnie do środka. Za na wpół opróżnioną butelką dżinu, różnymi dodatkami do drinków i dwiema otwartymi brandy (Finn uważał, że wszyscy dają się nabrać na zamknięty alkohol) znajdowała się butelka dietetycznego toniku. A przynajmniej tak mówiła nalepka. To była wódka, której Finn dolewał co kilka dni ze specjalnie kupionej butelki. Butelkę po wódce chował następnie do teczki, by móc ją wyrzucić poza domem. W chwili gdy jego palce dotknęły butelki z tonikiem, poczuł nagłą, przyprowadzającą o zawrót głowy ulgę. Wyjął szybko naczynie i napełnił modną, chromowaną miarkę, którą ktoś kupił im wraz z shakerem do robienia koktajli. Przechylił miarkę i wypił do dna, nawet się nie krzywiąc, gdy nierozcieńczony płyn dotarł do jego gardła. Postanowił, że wychyli jeszcze jeden, na drogę. Tak też uczynił. Może należy sobie kolejny do mleka. Tak na wszelki wypadek. Nie chciał pójść do łóżka i nagle poczuć ochoty na kolejnego drinka, na którego nie mógłby się już wymknąć. Finn nie lubił kłaść się spać, porządnie się wcześniej nie napiwszy. W nocy naprawdę pragnął znaleźć się w zupełnie innym miejscu, gdzieś, gdzie nie było uczuć. Pragnął czuć jedynie odrętwienie. Tylko wtedy, kiedy w jego głowie szumiał alkohol, tak naprawdę lubił samego siebie.

Oczywiście nikt nigdy nie podejrzewał, że w jego wnętrzu kryje się taka ogromna samotność. Zbyt dobrze ją skrywał. Prawdziwy Finn był beznadziejny, nieudolny i odstręczający. Gdyby Tara wiedziała, jaką osobą jest naprawdę, nie mogłaby go kochać.

\*\*\*

Nazajutrz rano leżał w łóżku, pragnąc, by mgła w jego głowie się rozplynęła. Miał nadzieję, że kiedy usiądzie, mdłości nie będą zbyt dokuczliwe. W niektóre poranki bywało tak, że nie był w stanie długo wstać z łóżka, gdyż wystarczył jeden niewłaściwy ruch i musiał biec do ubicacji, gdzie rzygał jak kot. Tego ranka leżał cicho, nasłuchując odgłosów wydawanych przez Tarę w przylegającej do sypialni łazienki z prysznicem. Wystarczyło, że uważnie słuchał, a potrafił powiedzieć, w którym momencie swjej porannej rutyny obecnie się znajduje. Kiedy już wyszła spod prysznica, miał jeszcze jakieś dziesięć minut, nim otworzy drzwi łazienki, umalowana i nadal w szlafroku, by przejechać suszarką po krótkich włosach, a następnie się ubrać. Te dziesięć cennych minut oznaczało, że on może pobiec do drugiej łazienki i wymiotować w razie konieczności, a Tara się nie zorientuje. Mógł także zażyć pierwszą tego dnia tabletkę przeciwbólową, a dwie kolejne rozpuścić w szklance z sokiem pomarańczowym, by uśmierzyć morderczego kaca.

Finn znał ludzi, którzy lubili sobie wypić i którym później nie dokuczał kac, on jednak do nich nie należał.

Dzisiaj wykonał test, siadając ostrożnie na łóżku. Nie tak źle. Tym razem nie będzie rzygania. Hej, było prawie tak, jakby w ogóle nie miał kaca. Pogratulował sobie w duchu. Widocznie wczorajszego wieczoru okazał się bardzo powściągliwy.

Udał się do kuchni, wrzucił tabletki przeciwbólowe do szklanki i nastawił kawę, co było jego jedynym wkładem w przygotowanie śniadania. Kiedy wrócił do sypialni, Tara właśnie suszyła przed lustrem włosy, nie trzeba więc było prowadzić rozmowy. Świetnie.

Finn wślizgnął się pod prysznic i zrobił, co w swojej mocy, by zmyć z siebie zapach wczorajszego imprezowania. Jeden z chłopaków w pracy upierał się, że da się wyczuć alkohol od osoby, która ostro piła dzień wcześniej, ale Finn był przekonany, że wcale tak nie jest. Odpowiednia ilość Eternity for Men i pachniał powalająco, był tego pewny.

Tara kończyła gazetę, jak również tost i kawę, kiedy Finn wyłonił się wreszcie z łazienki, ogolony, pachnący i ubrany w bardzo elegancki szary garnitur. Pomimo niejasnego przeczucia, że coś jest mocno nie tak, Tara uśmiechnęła się z uznaniem na widok przystojnego męża. Tak właśnie na nią działał. Kochała jego wyrazistą twarz z chłopcim uśmiechem, uwielbiała przeczesać palcami jego jasne włosy, które obcinał na krótko, by nie opadały mu na czoło. Podobało jej się to, jak jego oczy wydają się intensywnie niebieskie, gdy jest choć trochę opalony. Wciąż miał na twarzy pozostałości opalenizny z nart i dobrze z nią wyglądał.

Tara pomyślała o wszystkich tych rzeczach, które pragnęła mu powiedzieć wczorajszego wieczoru i uznała, że teraz nie jest na to czas ani miejsce.

– Cześć, leniuchu – rzuciła. – Mam zamiar kupić ci najgłośniejszy budzik, jaki uda mi się znaleźć; jesteś beznadziejny, jeśli chodzi o poranne wstawanie.

– Na szczęście z ciebie jest taki pracuś – zażartował w odpowiedzi Finn.

Ogarnęła go ulga. Rankiem zawsze się zastanawiał, jak bardzo pijany pojawił się ubiegłego wieczoru. Nie chciał, by Tara wiedziała, nie chciał jej ranić. Mogłaby nie zrozumieć, że on po prostu raz na jakiś czas lubi się napić. Może nie wszyscy tak mieli, ale on akurat tak. To niczego nie oznaczało. Wypatrywał więc uważnie jakichkolwiek oznak, że Tarę martwi jego picie. Dzisiaj wszystko było dobrze. Uff. Mieli iść wieczorem na imprezę i postanowił, że powstrzyma się od alkoholu. Nie wypije ani kieliszka. To robi na niej wrażenie.

Tara zamknęła z trzaskiem drzwi zmywarki do naczyń.

Finn skrzywił się. Te tabletki nie działały tak dobrze jak kiedyś.

Nachyliła się i pocałowała go na pożegnanie.

– Uważaj na kobiety – rzekła, tak jak czyniła to każdego dnia.

– W zestawieniu z tobą kobiety mi niestraszne – odparł radośnie.

Po jej wyjściu Finn się odprężył. Dopił kawę i nalał sobie jeszcze jedną. Dzięki temu będzie mógł stawić czoło nowemu dniu.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Królewna Śnieżka. Ta to dopiero miała macochę z piekłą rodem, pomyślała tego samego ranka Stella, włączając komputer. Była za dziesięć ósma i w biurze panowała miłosierna cisza. To właśnie lubiła Stella – ten czas, kiedy mogła pracować bez ciągłego przerywania na odbieranie telefonu.

Nie, uznała Stella, klikając na komputerowy kalendarz i nadal myśląc o macochach. Do jej własnego życia bardziej pasowała macocha Kopciuszka. Przynajmniej nie próbowała zamordować pasierbicy, tak jak nikczemna macocha Królewny Śnieżki. Choć przybrana matka Kopciuszka z całą pewnością zasłużyła na to, by oskarżono ją o maltretowanie nieletnich. „Wysoki Sądzie, oskarżona rozmyślnie inaczej traktowała swe dwie córki, Złe Siostry, i córkę jej męża, biednego Kopciuszka. On nie był w stanie w żaden sposób jej pomóc, ponieważ zaślepiła go seksualna moc drugiej żony!”

Stella uśmiechnęła się cierpko na myśl o Nicku, zaślepionym jej seksualną mocą. Szalał na jej punkcie, wiedziała o tym. Ale czy był zaślepiony? Niekoniecznie.

Taki właśnie pokutował w bajkach mit, dotyczący postaci macochy. Stella pomyślała o dwóch prawdziwych macochach, które знаła osobiście. Jedna matkowała trójce małych dzieci i przede wszystkim zastanawiała się, co zrobić, by mały domek rozciągnął się i pomieścił napływ dodatkowych dzieci co drugi weekend. Druga była żoną rozwiedzionego ojca dorosłych dzieci i wyszła za niego wiele lat po jego rozstaniu z ich matką. Ta macocha miała także własne dorosłe dzieci i z boku to wszystko wydawało się zadziwiająco cywilizowane i przyjazne. Z zewnątrz nie widać było żadnych problemów, ale Stella musiała przyznać, że nigdy o to nie pytała. Być może

pod powierzchnią kipiał kocioł nienawiści pomiędzy przyrodnim rodzeństwem, pochłoniętym ciągłą walką między sobą a swymi przybranymi rodzicami.

A teraz nadeszła kolej na nią: Stella Miller, niegodziwa przyszła macocha.

Z biurkiem zavalonym dokumentacją prawną i z pierwszą tego dnia latte z odtłuszczonym mlekiem, Stella nie czuła, by pasowała do kategorii Macochy Kopciuszka/Nikczemnej Macochy Królowny Śnieżki. Po pierwsze nie miała talii osy, którą we wszystkich klasycznych bajkach miały czarne kobiece charaktery. I jej włosy nie były w kolorze smolistej czerni ani starannie ufryzowane, lecz podatne na puszenie się. Stella pozostawała niewolnicą wszystkiego, co w drogerii miało napis „wygładzający”.

Ale mogły czekać ją problemy. Sączyła z roztargnieniem kawę. Spotykali się z Nickiem od trzech miesięcy, a ona jeszcze nie poznała jego dzieci. Według poradnika Sztuka tworzenia drugiej rodziny to był fatalny w skutkach błąd. Prawdę powiedziawszy, to jeden z wielu takich błędów, ponieważ wyglądało na to, że wszystko robili nie tak. Gdyby istniała nagroda dla Najbardziej Nieudolnej Współczesnej Pary, wygaliby w przedbiegach, ponieważ zakochali się w sobie ślepo i nie myśleli w ogóle o konsekwencjach.

Nick upierał się, że Jenna i Sara będą zachwycone Stellą.

– Nie są już małymi dziećmi – oświadczył stanowczo. – Wiedzą, jak się sprawy przedstawiają.

Te sprawy, myślała Stella, brzmiały rozsądnie dla niej i Nicka, ale co będzie, jeśli nie okażą się równie sensowne dla dziesięcioletki na pierwszym roku studiów i czternastolatki, która zdaje się być oczkiem w głowie tatusia?

Wiedziała, że jej przyjaciółkom ciężko pojąć, jak ona i Nick mogli się w sobie tak szybko zakochać. Ich związek nie przeszedł stopniowego osiągania miłości: pojawiła się intensywna, natychmiastowa więź i po drugim spotkaniu opcja rozstanie przestała w zasadzie istnieć. Ale jak to wyjaśnić innym ludziom, zwłaszcza nastoletnim córkom?

Stella nie była znawczynią nastolatek. Jej córka miała dopiero siedem wiosen, a zdawało się, że upłynęły całe wieki od czasu, gdy sama była nastolatką. Współczesne nastolatki z całą pewnością są znacznie bardziej dojrzałe i obyte. Poradzą sobie z tym, że ich tatuś ma nową dziewczynę, prawda?

Niestety, poradnik nie stanowił dla niej w tej kwestii pociechy.

Pierwszą zasadą nowych rodzin było delikatne wprowadzanie dzieci w nową sytuację, zanim zostaną podjęte wszelkie znamienne decyzje. To było konieczne. Nie, KONIECZNE. Wielkimi literami. Poradnik nie mówił, co by się stało, gdyby podjęto się takie decyzje bez wcześniejszego powiadomienia o nich dzieci, ale sugerował, że może wtedy wyniknąć jakieś nieszczęście. Nick i Stella nie mieli w planach żadnych superpoważnych decyzji. Jeszcze nie teraz. Podejrzewała jednak, że przez jakiś czas nie wszystko może iść jak po maśle. Z tego, co mówił Nick, a ściślej mówiąc z tego, co Stella wyczytała między wierszami, wynikało, że jego była żona, Wendy, w kwestii rozvodu znajduje się na etapie wyparcia. Dzwoniła do Nicka z każdym najmniejszym problemem, począwszy od przebitej opony, a skończywszy na kłopotach ze skrzynką bezpiecznikową, i oczekiwała, że on rzuci wszystko i przybiegnie do niej z pomocą. Jak przyjęłaby wiadomość, że jej były jest w nowym, poważnym związku? Z całą pewnością dotknęłoby ją to. Czy poczucie krzywdy sprawiłoby, że nagle zmieniłaby zdanie co do przyjaznego rozstania i zaczęła używać córek jako amunicji? Nick w ogóle czegoś takiego nie przewidywał, ale Stella owszem.

Przestała na chwilę przeglądać swój terminarz. Powinni zwolnić, dla dobra Jenny i Sary? A jeśli dziewczynki Nicka nie będą w stanie znieść nowej kobiety w jego życiu, kobiety, która nie umiała sobie wyobrazić życia bez niego i która oddawała się już marzeniom o dniu, kiedy razem zamieszkają?

– Cześć, Stel, czy wczoraj w ogóle udałaś się do domu? – zapytała Vicki, pojawiając się w drzwiach z teczką w dłoni. – Czy może masz tutaj łóżko?

– Wysłałam o szóstej, ty obiboku – odparła żartobliwie Stella.

– Dla ciebie to praktycznie połowa dnia. Pamiętam, że kiedyś w poniedziałki zostawałaś w biurze aż do wpół do ósmej – westchnęła Vicki. – Ale teraz, kiedy w domu czeka na ciebie uroczy Nick...

– Zostawałam w poniedziałki do wpół do ósmej tylko dlatego, że właśnie wtedy Amelia miała lekcje pływania – odparowała Stella. – A uroczy Nick nie mieszka ze mną. – Ale ma własny klucz, pomyślała radośnie.

– Na razie – rzekła Vicki, trzepocząc dramatycznie rękami w stylu gwiazdy kina niemego. – Równie dobrze mógłby się już wprowadzić, i tak non stop siedzi u ciebie.

– Wcale nie – zaprotestowała Stella.

Vicki uśmiechnęła się szeroko.

– Zostawmy ten temat. – Uśmiechnęła się znacząco.

– Idziemy razem na lunch?

Stella pracowała intensywnie przez cały rano, przerywając jedynie po to, by po odbywającym się w południe spotkaniu zaparzyć kolejną kawę. Zabrała kubek do swego gabinetu i uznała, że pięciominutowa przerwa będzie jak najbardziej na miejscu.

Vicki zawałona była górą papierzysek.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale czy nadal masz ten katalog z prezentami? – zapytała Stella. – Muszę znaleźć prezent rocznicowy dla mamy i taty. Przyjęcie jest za dwa tygodnie, a wciąż niczego nie mamy. Tara i Holly zamordują mnie, ponieważ to ja jestem za to odpowiedzialna.

– Poczekaj chwilę – odparła Vicki, sięgając do szuflady, gdzie trzymała stertę czasopism, zapasowe rajstopy i tampony na wszelki wypadek.

Podala Stelli gruby katalog z luksusowymi prezentami.

Ta wróciła do swego gabinetu, przekartkowała szybko katalog, rzucając okiem na niekończące się strony z kosmicznie drogimi sztuczkami i mnóstwem cukierkowatych figurek. Patrząc na wyjątkowo szkaradny zegar podróży, stanowiący koszarne połączenie Ludwika XIV i Liberace, zastanawiała się, kto coś takiego kupuje. Znała odpowiedź: ludzie desperacko szukający prezentów z okazji czterdziestej rocznicy ślubu. Kiedy obchodząca rocznicę para niczego nie potrzebowała, jedyne wyjście oznaczało zakup czegoś z katalogu.

Prezentom tego typu towarzyszyły niewypowiedziane słowa: „Tak, wiemy, że to jest paskudne, ale kosztowało majątek i o to właśnie chodzi, no nie?”

Tyle że ten prezent miał być dla jej rodziców i Stella nie chciała kupować bezdusznego kompletu sztuczków ani brzydkiego zegara. Pragnęła znaleźć coś wyjątkowego, idealny prezent, który odzwierciedlałby jej miłość do nich – i ich miłość wobec siebie. W dzisiejszych czasach niewiele par przeżywało razem czterdzieści lat. Jej małżeństwu się nie udało.

Ale czterdzieści lat z Nickiem, pomyślała z rozmarzeniem, byłoby cudowne. Zmusiła się do powrotu do bieżącej pracy. Dotrwanie do rubinowych godów stanowiło nie lada osiągnięcie i dlatego właśnie prezent dla Hugh i Rose Millerów musiał być idealny. Stella przewróciła kartkę i natrafiła na część, gdzie fuzja Liberace i Ludwika XIV zaowocowała posągami greckich bogiń z mnóstwem pozłacanych zdobień na zwiewnych szatach i stanowczo za bardzo obnażonymi biustami. Wzdychając, Stella wrzuciła katalog do szuflady biurka i pożałowała, że jej matka nie zgodziła się na wyjazd.

Stella i Tara sądziły, że to najlepszy pomysł, jaki kiedykolwiek przyszedł im do głowy, że ich wspólnym prezentem rocznicowym będzie tydzień w Paryżu.

– Nie, nawet nie chcę o tym słyszeć, Stello, choć jesteście cudownymi córkami i jestem z was dumna, że o czymś takim pomyślałyście – stwierdziła Rose.

Kochana mama, uśmiechnęła się Stella. Zawsze myślała o innych. Rose Miller była tego typu mamą, która udawała, że nie jest głodna, kiedy na obiedzie zjawiało się zbyt wiele osób, i której nawet nie przyszło do głowy, by kupić sobie nowe rajstopy, jeśli mogła wydać te pieniądze na którąś z trzech córek bądź męża. Córki ją uwielbiały. Musiał przecież istnieć jakiś idealny rocznicowy prezent.

Vicki wsunęła głowę przez drzwi.

– Lunch?

– Jedna minuta – odparła Stella i zaczęła porządkować biurko. Była gotowa do wyjścia, kiedy zadzwonił telefon i poczucie obowiązku kazało jej go odebrać.

– Miałem nadzieję, że cię złapię – rzekł Nick. – Za dużo ci każą pracować. Nigdy punktualnie nie wychodzisz na lunch.

– Garnek, kocioł i przyganianie – odparowała Stella. – Ułóż te słowa tak, by powstało proste zdanie.

– Zrozumiałem – odparł żałośnie. – Później pójde po jakąś kanapkę. Dzwonię na chwilę, by ci przekazać trzy wiadomości. Pierwsza to taka, że dziś wieczorem jak najbardziej przygotowuję kolację.

Stella uśmiechnęła się.

– Dwie lekcje i już jesteś ekspertem – przekomarzała się. Nick ledwie wiedział, jak włączyć piekarnik, dopóki Stella nie uraczyła go szybkim kursem gotowania. Dwadzieścia lat małżeństwa z doskonałą kucharką oznaczało, że praktycznie nie potrafił zaparzyć filiżanki kawy bez zaglądnienia do książki z przepisami.

– Szybko się uczę – odparł. – Co powiesz na pieczonego kurczaka?

Tym razem nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Pieczony kurczak to jedyne, co potrafił przyrządzić. Planowała, że pewnego dnia nauczy go jeszcze kilku potraw.

– Jak najbardziej mi odpowiada. A dwie pozostałe wiadomości?

– Rozmawiałem z Wendy o zabranii Jenny i Sary na weekend. W piątek są urodziny Jenny i urządza imprezę, ale chciałem też gdzieś ją zabrać. I – zawahał się – powiedziałem Wendy, że chcę, by dziewczynki poznały ciebie, i że jutro wieczorem odbędę z nimi poważną rozmowę na ten temat.

– Jak to przyjęła? – zapytała z niepokojem Stella.

– Nie tak źle, sprawiała wrażenie spokojnej. Nie mówiła wiele, ale to chyba dobrze, no nie?

– No cóż, chyba tak – odparła powoli Stella.

– No i ostatnia wiadomość. Dzwonił mój brat, on i Clarisse chcą, byśmy w przyszłym tygodniu zjedli z nimi kolację.

Stella się skrzywiła. Zjadliwa bratowa Nicka była z całą pewnością jedną z chmur na ich błękitnym niebie. Howard był kochany. Ale Clarisse to zupełnie inna sprawa.

Spotkała się z nią tylko raz i nie było szczególnie miło. Dwie pary wpadły na siebie w hotelowym holu i Clarisse obrzuciła Stellę takim spojrzeniem, jakim człowiek od dezynsekcji patrzy na karalucha. Stella nie była przyzwyczajona do tego, by tak właśnie na nią patrzono, z takim... z takim wstrętem, co uświadomiła sobie zaszokowana. Potem zakłopotany Nick wyjaśnił, że ona i Wendy bardzo się przyjaźniły.

– Aha – rzekła, nagle rozumiejąc już, dlaczego na twarzy Clarisse pojawił się lodowaty chłód, kiedy Nick w sposób naturalny przedstawił Stellę, obejmując ją opiekuńczo ramieniem. Podczas tych kilku minut, które ich czwórka spędziła razem, bratowa Nicka nie odezwała się do niej ani jednym słowem. Stella już się nie mogła doczekać całej kolacji w towarzystwie Clarisse.

– Nie będzie tak źle, Stello. – Nick wiedział dokładnie, co ona teraz myśli. – Clarisse pokocha cię, kiedy już się lepiej poznacie.

Stella podniosła oczy do nieba. Mężczyźni byli naprawdę tacy naiwni. Nick nie należał do szczególnie domyślnych w kwestii relacji międzyludzkich. Potrzebna była do tego inteligencja emocjonalna, a Nick, choć był błyskotliwym biznesmenem, nie posiadał jej. Naprawdę wierzył w to, że jego bratowa przekreśli się na plecy niczym skłonny do zabawy kociak, gdy tylko lepiej pozna Stellę. Jego różowe okulary oznaczały, że uważał, iż nie minie kilka miesięcy, a będą najlepszymi przyjaciółkami. Stella wiedziała, że prędzej piekło zamarznie, nim Clarisse powita dziewczynę Nicka inaczej niż z zaciśniętymi ustami.

– Nie umówiłem się z nimi konkretnie na tę kolację – rzekł Nick. – Powiedziałem, że musimy sprawdzić w swoich terminarzach, ale Howard uważa, że im pasuje przyszły czwartek.

– Świetnie – odparła Stella, krzywiąc się. Gotowa się była założyć o cokolwiek, że Clarisse zaaranżowała to spotkanie po to, żeby albo poddać Stellę uważnym oględzinom, albo ją odstraszyć.

– W takim razie zjawię się ze składnikami na dzisiejszą kolację o wpół do siódmej, dobrze?

– Oczywiście. Kocham cię – odparła.

– Ja ciebie też.

Gdy skończyli rozmowę, powróciło uczucie niepokoju, które dręczyło Stellę od samego rana. Nie miało to nic wspólnego z kolejnym wieczorem z pieczonym kurczakiem, z Nickiem otwierającym co dziesięć minut drzwiczki piekarnika, by „sprawdzić, czy jest już gotowy”. Chodziło o jego ślepą niewinność w odniesieniu do szwagierki. Skoro był taki pewny, że polubi Stellę, gdy tymczasem ona wiedziała, że jest to wysoce nieprawdopodobne, mógł się mylić także w innych ważnych kwestiach. Na przykład w jaki sposób Jenna i Sara zareagują na nową partnerkę ojca, a także jaka będzie reakcja ich matki.

Luigi's był cały zapchany i przynajmniej połowę stolików zajmowali prawnicy z kancelarii Lawson, Wilde & McKenna. Stella uśmiechnęła się do kilku z nich i opadła na miejsce obok Vicki, która pochłonięta była czytaniem „Hello!” i jedzeniem crostini z pachnącymi czosnkiem pomidorami.

– Co słyhać? – zapytała Vicki, zamykając gazetę, choć była właśnie w połowie niezwykle pikantnego artykułu na temat książęcej rodziny z Monako. – Chyba się nie poprzytykałaś z miłością swego życia?

– Nie – odparła Stella z mimowolnym rozmarzeniem. – Jest nadal fantastyczny. Jedna drobnostka psująca przyjemność to jego bratowa. W przyszły czwartek jemy z nią kolację. – Nie wspomniała o tym, że martwi się kwestią dzieci. Nielojalnością wobec Nicka wydawało się rozmawianie o tych najbardziej prywatnych sprawach z kimkolwiek, nawet z serdeczną przyjaciółką.

– Bratowa? Ta, która wygląda jak Gary Oldman ucharakteryzowany na Drakulę?

Stella wybuchnęła śmiechem.

– Jesteś podła, Vicki, wiesz o tym?

– To ty mi powiedziałaś, że ona ma taką jakąś rozciągniętą twarz, jak po nieudanej operacji plastycznej – zaprotestowała Vicki.

– Ale ani słowem nie wspomniałam o Drakuli – stwierdziła Stella, bardzo zakłopotana opisem Clarisse. Jędzowate zachowanie nie było w jej stylu, ale czuła się taka wytrącona z równowagi reakcją tamtej kobiety, i opisanie Clarisse w tak niepochlebnie w pewien sposób pozwoliło ująć jej gniewowi.

– Nie, ale opisałaś ją tak dobrze, że ja poszłam o krok dalej. Powiedziałaś, że ma pełne dezaprobaty zaciśnięte usta i rozciągniętą na policzkach skórę. Drakula, pomyślałam. To mi przypomina Drakulę.

Stella skrzywiła się.

– Przestań – rzekła błagalnie. – W ogóle nie powinnam była mówić czegoś takiego. Zmieniam się w paskudną krowę, a właśnie takich ludzi nie znoszę.

– Mogę przyjąć zamówienie? – zapytała kelnerka.

– Myślę, że mnóstwo czosnku – mruknęła pod nosem Vicki.

Stella zapytała przyjaciółkę o zdanie w kwestii prezentu rocznicowego, wyjaśniając, że tydzień w Paryżu to sprawa nieaktualna.

– Mama mówi, że tata nie ma czasu, ale tak naprawdę w ogóle go o to nie zapytała. Tak sobie myślę, że może powinnam zadzwonić do niego do pracy i zapytać, co sądzi na ten temat. Może się okazać, że strasznie chciałby pojechać z mamą do Paryża. Wyobrażam ich sobie, jak spacerują pod rękę po starej dzielnicy. No dobrze, jeśli nie będą mogli jechać, to trudno. Muszę zadzwonić do Holly i Tary i umówić się na wycieczkę po sklepach, byśmy razem coś kupiły.

– Wyobraź sobie zakochanie po czterdziestu latach – westchnęła Vicki. – To wspaniałe.

– Wiem – odparła Stella. – Ale trzeba znaleźć właściwą osobę. To się rzadko zdarza. Moi rodzice mają znajomych, których znam od dziecka, i jestem zdumiona tym, że w ogóle są jeszcze

małżeństwem. Kiedy ta para zjawia się w domu rodziców na kolacji, odnoszę wrażenie, że prowadzą zimną wojnę: nieustanne lodowate spojrzenia i pogardliwe uwagi. To straszne. Dlaczego w ogóle są ze sobą?

– Uważasz, że to straszne dlatego, że twoi rodzice stanowią takie udane małżeństwo – zauważyła spokojnie Vicki.

– Miałaś szczęście, kochaniutka. Zimna wojna to norma. Moi rodzice kłócili się tak bardzo, że tylko cudem się nie pozabijali. Kiedyś myślałam, że szczęśliwe rodziny to jedynie disnejowska propaganda, a otwarta wojna to standardowe zachowanie w związku dwojga ludzi. Pewnie dlatego jestem taka beznadziejna, jeśli chodzi o facetów – dodała.

– Co to znaczy „beznadziejna”? – zbesztła ją Stella.

– W zeszłym tygodniu wparowałaś do kancelarii cała w skowronkach po tej randce z Craigiem.

– No w sumie tak – odparła z błyskiem w oku. – Jest fajny, jak na młodszego faceta. Ale nie chcę się za bardzo angażować.

– Uśmiechnęła się szeroko. – Ależ my jesteśmy. Rok temu o tej porze uważaliśmy, że wszyscy faceci to świny. – Słowom tym towarzyszyło energiczne gestykulowanie widelcem. – Jakaś wróżka miłości poważnie zmieniła nasze nastawienie.

Stella roześmiała się. Kelnerka postawiła przed nimi dwa talerze. Oczy Vicki rozbłysły na widok jej pizzy na cienkim cieście z dodatkowym serem.

– Komu potrzebna wróżka miłości, skoro wróżka mozzarelli ma się tak dobrze? – zapytała, wgrzyzając się w ciasto.

Po lunchu udały się powoli do kancelarii, upajając się ładną pogodą.

– Mam nadzieję, że w weekend też tak będzie – rzekła Vicki. – Jadę do Wexford z dziewczynami, a znasz mnie, jeśli zaplanuję jakiś weekendowy wyjazd, z całą pewnością zaatakuję tropikalna burza. A ty jakie masz plany?

– Wysprzątanie wolnego pokoju – odparła Stella. – Jest tam tak dużo gratów i zaczęłam myśleć, że gdyby Nick rzeczywiście się do mnie wprowadził... – Zignorowała szeroki uśmiech Vicki. – No dobra: jeśli Nick się wprowadzi i odwiedzą nas jego dzieci, będzie potrzebny dodatkowy pokój. Nie jest jakiś duży. Jego była żona kupiła ogromny, wolno stojący dom na jednej trzeciej akra.

Dotarły do obrotowych drzwi ze szkła i stali prowadzących do kancelarii Lawson, Wilde & McKenna. Vicki spojrzała na przyjaciółkę. Znały się od ośmiu lat, w tym samym czasie zaczęły pracować w kancelarii. Stella była dla niej dobrą przyjaciółką w okresie, gdy jej przykuta do wózka inwalidzkiego matka powoli umierała, w tych latach, kiedy Vicki poza kancelarią i opieką nad niepełnosprawną matką nie miała żadnego życia. Stała twardo przy Stelli, kiedy ta rozstała się z Glennem, kiedy Amelia była mała i kwestie finansowe i opieki nad dzieckiem przypominały piekło. Przetrwały razem ciężkie lata i teraz Vicki cieszyła się bezgranicznie, że przyjaciółka znalazła miłość. Ona także się o nią martwiła.

– Stella – powiedziała teraz. – Kontakty z dziećmi mogą nie być usłane różami, wiesz?

Posłała Vicki słoneczny, ciepły uśmiech. Rozświetlał jej twarz, sprawiał, że ciemne oczy migotały i przekształcał ją z kobiety atrakcyjnej w oszłamiającą.

– Daj spokój. Skoro potrafię sobie poradzić z polityką makiaweliczną w tej kancelarii, z całą pewnością dam sobie radę z dziećmi Nicka.

Vicki kiwnęła głową i przeszła przez obrotowe drzwi. Postanowiła zignorować złe przecucia. Jej brat miał przyrodnie dzieci i lata całe trwało, nim w końcu stali się prawdziwą rodziną. Lata. No ale pewnie zupełnie inaczej dzieje się w przypadku, gdy przybrany rodzic jest kobietą, a do tego jeszcze matką. Stella da sobie radę, na pewno tak właśnie będzie.

\*\*\*

Wiele kilometrów dalej, w wielkiej kuchni z sosnowymi meblami i połyskującym, profesjonalnych rozmiarów piekarnikiem, Wendy Cavaletto siedziała przy stole i płakała. Jej łzy były wynikiem smutku i wściekłości. Przeżyła taki szok, kiedy się dowiedziała, że Nick kogoś ma. Kiedy się rozwodzili, mówił, że nie ma nikogo innego, i Wendy wiedziała, że wszystko

rozbija się tylko i wyłącznie o nich. Teraz jednak miał tę inną kobietę, a było za wcześnie, tak wcześnie, że ją to zaszokowało. Od ich rozvodu nie minął nawet rok. To była prawdziwa zniewaga z jego strony, że znalazł sobie kogoś tak szybko. Świnia, sukinsyn! Jak on śmiał! Wciąż szlochając, obeszła wyspę z granitowym blatem, podeszła do stojaka z garnkami i zaczęła nimi trzaskać. Oto ona planowała posiłki dla jego dzieci, przejmując się każdym aspektem ich życia, gdy tymczasem on oprowadzał się z inną kobietą. Chodził sobie pewnie do restauracji i świetnie się bawił, a ona musiała sobie radzić z dwiema koszmarnymi nastolatkami, z których jedna bez przerwy się dąsała, druga zaś nie wiedziała, jak podnieść z podłogi własne brudne skarpetki. Wściekłość wzbierała w gardle Wendy niczym żółć. Miała ochotę uderzyć Nicka, miała ochotę go zabić. Skoro nie miała pod ręką byłego męża, chwyciła najbliższą broń i cisnęła nią brutalnie o podłogę. Największy garnek z miedzianym dnem narobił piekielnego hałasu, kiedy uderzył w terakotę. Wendy żałowała, że to nie głowa Nicka. Skrzywdził ją i ona miała ochotę skrzywdzić jego. Jak mógł tak szybko znaleźć sobie inną kobietę do kochania? A gdzie okres żałoby po ich małżeństwie?

To było nawet gorsze niż kiedy powiedział jej, że przeprowadza się z powrotem do Irlandii. Wendy pamiętała, jak przez lata całe błagała go, by wrócił do kraju razem z nią. Ale nie, kariera Nicka była najważniejsza i upierał się, by mieszkali w Wielkiej Brytanii. A potem od razu, jak tylko przestali być małżeństwem, wrócił do Irlandii. Nie dla niej, o nie. Dla ich córek. Wendy płakała wtedy z wściekłości. Czuli się, jakby na zawsze utraciła władzę nad Nickiem. Ona znajdowała się na samym końcu kolejki, a dziewczynki na jej początku, razem z tą nową kobietą.

Nie ułatwi mu tego. Nie ma mowy. Z jej punktu widzenia, on może sobie zgnić w piekle. To ona jest matką jego dzieci! Z całą pewnością zasługiwała na szacunek, a takie szybkie oprowadzanie się Nicka z nową dziewczyną nie dowodziło szacunku.

– Rozmawiałaś z ojcem? – warknęła do Jenny, kiedy młodsza córka weszła leniwym krokiem do kuchni, nadal ubrana w piżamę.

– Dzwonił do mnie – odparła Jenna. – Powiedział, że jutro wieczorem chce o czymś ze mną porozmawiać.

Jej głos brzmiał posępnie. Matka była wyraźnie wkurzona, co nie oznaczało nic nowego od czasu rozvodu. Jenna nie znosiła tego, że tata i mama mieszkają oddzielnie, nawet jeśli czuli się obco w szkole w Londynie, gdy jeszcze byli małżeństwem. Ale nie miała nic przeciwko czuciu się obco, o ile tylko to oznaczałoby, że jej rodzice znowu są razem.

– Kiedyś narzekałaś, że ciągle się kłóć – oświadczyła jej przyjaciółka Maya, kiedy Jenna powiedziała jej o tym. – Z moimi było tak samo. Teraz nie ma kłótni i dostaje się dwa razy tyle prezentów!

Maya miała rację co do kłótni.

Jenna pamiętała je i to, jak gniew i napięcie zdawały się wisieć w powietrzu przez wiele dni. Słyszała, jak wrzeszczeli na siebie, by nie mieszać w to dzieci, ale czy oni naprawdę sądzili, że dzieci są głuche? Kiedy tata odszedł, mama powiedziała: „Krzyżyk na drogę, powinien był to zrobić wiele lat temu”. Ale nie wydawała się szczęśliwa. Przeprowadzili się z powrotem do Irlandii, na co Jenna zupełnie nie miała ochoty, ponieważ to oznaczało rozstanie się ze wszystkimi przyjaciółmi. A potem tata też się przeprowadził, co było świetne, choć z jakiegoś powodu mamę jeszcze bardziej to rozżłościło. Wciąż powtarzała, że nareszcie zobaczyła, co on o niej sądzi, i że jest dla niego mniej ważna od dzieci.

Sara nie miała nic przeciwko temu: bardzo lubiła chodzić do Trinity College z powodu jakiegoś chłopaka, z którym się spotykała. Jenna zaś utknęła w domu z mamą. Czasami mama była zadowolona i przytulała ją, mówiąc, że to najlepsze posunięcie w ich życiu i że uda im się. Innymi razy siedziała i przez cały wieczór oglądała telewizję, gotowa wsiąść na córkę, gdy tylko ta powiedziała coś niewłaściwego.

Dziewczynka chciała wiedzieć, kiedy zgodnie ze słowami Mai sytuacja ulegnie wreszcie poprawie. Teraz skończyły się kłótnie, ale atmosfera tylko się pogorszyła. Przypominało to przebywanie w parku przed burzą: było przerażające i naładowane elektrycznością. Tata nigdy nie krzyczał ani nie wrzeszczał, nie tak jak mama. On starał się wszystko łagodzić. Najgorsze ze

wszystkiego było to, że strasznie za nim tęskniła. Powiedział, że rozwód nie oznacza, iż je opuszcza, ale Jenna czuła się tak, jakby go utraciła. Był jej tatą, ale nie było go już przy niej.

– Powiem ci nowinę, dotyczącą waszego ojca – powiedziała łzawo Wendy, stawiając garnek z powrotem na stojaku.

Jenna dostrzegła na twarzy matki ślady łez.

– Wasz ojciec ma nową dziewczynę, jest poważnie zaangażowany i chce, byście ją poznały. Nie powiedział wam o tym? Uważa pewnie, że niczego nie musi nam mówić. Nie jesteśmy już ważne. Cóż, wiem, że ja nie jestem ważna, ale powinien był powiedzieć o tym wam.

Jenna poczuła w piersi kłujący ból. Tata nie powiedział im o żadnej dziewczynie. Jak mógł jej o tym nie powiedzieć? Była jego najukochańszą córeczką, jego kumplem. Sarę także kochał, ale ona, Jenna, to jego wyjątkowa dziewczynka, ponieważ Sara stała się już prawie dorosła i nigdy nie było jej w domu. A teraz w jego życiu pojawił się ktoś inny, ktoś, kogo z pewnością kochał bardziej od niej.

Jej matka mówiła dalej, głosem zduszonym z gniewu.

– Mam nadzieję, że zdaje on sobie sprawę, jak ja się przez to czuję. Nie marnował czasu, szybko znalazł kogoś, kto mnie zastąpi. Ona też ma dziecko, jakaś samotna matka jak nie szukająca głupca do płacenia rachunków.

Jenna nie słuchała już tyrady matki, gdyż ból w jej piersi przybrał na sile. Tata z inną dziewczyną, może zabierał ją do kina. Może już nie będzie mu zależało na Jennie, skoro ma kogoś innego. Powiedział, że w tym roku pojedą na wakacje do Francji do Eurodisneylandu, Jenna od zawsze pragnęła tam jechać, nieważne, że to było dla dzieci, ona przepadała za takimi rzeczami. Z czasów dzieciństwa miała śnieżną kulę z ukrytym w środku disnejowskim zamkiem. Kupił ją tata i uwielbiała ją.

– Nie spotkam się z nim – oświadczyła z wściekłością, odsuwając krzesło od stołu. – Nie chcę mieć z nim już więcej do czynienia.

Pobiegła do swego pokoju, rzuciła się na łóżko i rozplakała się. Jak mógł jej to zrobić? Bardzo mocno ją kochał, tak powiedział w dniu, kiedy odszedł. Że to się nigdy nie zmieni, że nic nie sprawi, że przestanie ją kochać. Ale się mylił, to się zmieniło. Okłamał ją. Nienawidziła go.

\*\*\*

Kiedy tego wieczoru Stella szła wolnym krokiem Delgany Terrace razem z trajkoczącą radośnie Amelią, do jej nosa dotarł zapach pieczonego jedzenia. Wcześniej w rekordowym czasie przyjechała z kancelarii do domu i postanowiła iść do Hazel pieszo, by delektować się wieczornym powietrzem. Było ciepło jak na początek kwietnia, na tyle ciepło, by można siedzieć na dworze. Zastanawiała się leniwie, czy powinna kupić grill. Nie, czy oni powinni go kupić. Ona i Nick. Dziwnie było myśleć znowu o sobie jako elemencie pary. Już tyle czasu minęło, odkąd myślała w imieniu kogoś więcej niż siebie i Amelii. Nick może się okazać dobry w grillowaniu. Mężczyźni lubią takie zajęcia. Stella kiedyś często chodziła do sąsiadów na grilla i piła wino razem z kobietami, podczas gdy dzieci się bawiły, a kilku mężów manewrowało dużymi metalowymi ustrojstwami i robiło wielkie halo z upieczenia kilku steków. To była jedna z niewielu okazji, kiedy Stellę ogarniała tęsknota za obecnością mężczyzny w jej życiu. Grille zawsze tak na nią wpływały. Nie znaczy to, że tęskniła za spalonym jedzeniem, ale cała idea rodziny wokół grilla zawsze przypominała jej życie rodzinne, z matką, ojcem i dziećmi, nie tak jak jej własne życie z Amelią.

Grille z czasów dzieciństwa wspominała jako wspaniałe. Jej matka była królową przyjęć. Podejmowanie gości stanowiło istotną część życia w Kinvarrze.

Stella pomyślała, że miała dużo szczęścia, dorastając w takiej kochającej się rodzinie. Ona, Tara i Holly nie doceniały tego wtedy ani nie zastanawiały się nad tym, że inne rodziny nie są tak szczęśliwe.

– Mamo, czy mogłabym dostać na urodziny nowy rower? – zaczęła Amelia. Do urodzin zostały jeszcze ponad trzy miesiące, ale tego typu rozmowę odbywały przynajmniej dwa razy w tygodniu.

– No a co z domkiem dla lalek? – zapytała z uśmiechem Stella.

– Chciałabym domek dla lalek, ale bardziej chciałabym rower, a przecież domek mogę dostać od Mikołaja, prawda?

Stella uśmiechnęła się szeroko.

– Widzę, że już wszystko sobie zaplanowałaś!

Dotarli do ich segmentu z czerwonej cegły, który z zewnątrz wyglądał na mały, ale rozciągał się w drugą stronę, tworząc wygodny i funkcjonalnie urządzonej dom. W ciągu siedmiu lat Stella przebudowała go tak, że teraz chlubił się dużym salonem z przylegającą do niego małą kuchnią. Ta z kolei prowadziła do niewielkiego, starannie utrzymanego ogrodu zimowego, urządzonego przez Stellę, a ogród z tyłu domu, otoczony niskim białym murkiem, pełen był pnących róż i roślin w malowanych donicach. Początkowo w domu były jedynie dwie sypialnie i małych rozmiarów łazienka na parterze, ale poprzedni właściciel w pomysłowy sposób wygospodarował na poddaszu trzeci pokój dla gości. I ten właśnie Stella chciała uporządkować dla córek Nicka.

Od razu po wejściu do domu Stella pozbyła się butów na wysokim obcasie. Podniosła je z podłogi i udała się do sypialni, by wyszukać się dla Nicka, gdy tymczasem Amelia pomknęła jak strzała do swojego pokoju, zostawić tam szkolne rzeczy. Stella nauczyła Amelię, by nie zostawiała porozrzucanych rzeczy, częściowo dlatego, że sama była z natury porządnicka, a częściowo dlatego, że taki mały dom bardzo łatwo zabałaganic. Odniosło to pożądaný skutek: Stella często miała okazję widzieć, jak jej córka cmoka z niezadowolaniem, kiedy Becky i Shona rozrzucały swoje rzeczy u Hazel.

– Ależ tu bałagan – oświadczyła pewnego dnia z irytacją, z rękami na biodrach, doskonale naśladowując matkę.

Hazel i Stella musiały skryć się w kuchni i zasłonić usta dłońmi, by nie śmiać się w głos.

– Ciekawe, gdzie ona to usłyszała – powiedziała szelmowsko Hazel.

– Trzeba uważać na to, co się mówi – odparła Stella. – To tylko dowodzi, że nie można zapomnieć, iż dzieci zawsze i wszystko słyszą.

Stella odwiesiła do szafy żakiet, ale została w różowej spódnicy i białej bawełnianej koszuli. W łazience przejechała szczotką po włosach i spojrzała w lustro, krzywiąc się na widok smug tuszu pod oczami. Zmoczyła palec i wytarła je, wiedząc, że coś takiego nie wpływa korzystnie na jej zmarszczki. A ostatnio widziała ich w lustrze zdecydowanie więcej. Delikatnie naciągnęła skórę wokół oczu, próbując sobie wyobrazić, jak by wyglądała po liftingu. Czy warto się było poddawać operacjom plastycznym? Stella nie miała co do tego pewności, ale żałowała, że Nick jej nie poznał, kiedy jej twarz była gładka i bez zmarszczek. Zanim skończyła trzydzieści pięć lat, cerę miała idealną bez najmniejszego wysiłku ze swej strony. Przyjaciółki mówiły jej, że ma szczęście, iż nie dręczą jej pryszcze przed miesiączką, przesuszona skóra albo pory wielkości talerzy. Ale nagle, niemal gdy tylko zdążył wyschnąć atrament na kartkach z okazji trzydziestych piątych urodzin, wszystko na jej twarzy zaczęło opadać w dół z prędkością lawiny. Teraz jej ciemne oczy obwiedzione były wachlarzem maleńkich zmarszczek i musiała obrysowywać usta konturówką, by mieć pewność, że szminka pozostanie na miejscu i nie będzie się rozmazywać.

Wcale jednak nie było z nią jeszcze tak źle. Z wiekiem kości policzkowe zaczęły się rysować ostrzej, nadając jej twarzy wyrazisty wygląd, jakiego nie miała jako dwudziestolatka z okrągłą buzią. Czterdziestka miała swoje plusey. Stella spryskała się perfumami, po czym poszła zadzwonić do Holly i Tary, by omówić problem prezentu rocznicowego. Żadnej z nich nie było jeszcze w domu, zostawiła więc wiadomości i zdążyła odłożyć słuchawkę, kiedy w drzwiach usłyszała klucz Nicka.

– Dzień dobry! – zawołał z korytarza.

Stella wybiegła z pokoju niczym uczennica. Wszedł do jadalni, zmęczony, ciemne obwódki pod oczami bardziej były widoczne niż w dniu, w którym poznał rodzinę Stelli, kiedy Tara oświadczyła, że „ma w sobie to ciepłe coś”. Tara lubiła natychmiast opisywać poznanych przez siebie ludzi. Stella wiedziała, że to dlatego, iż pracuje jako scenarzystka. Jej siostra nie potrafiła minąć obcej osoby w budce telefonicznej, by nie sporządzić w myślach jej krótkiego opisu.

– Jest ciepły, ale seksowny – dodała z uznaniem. – Ty szczęściaró, jestem zazdrosna jak diabli.

Stella uśmiechnęła się wtedy z dumą, wiedząc, że jej siostra, jako żona przystojnego Finna, jedynie żartuje sobie z tą zazdrością.

– Cześć, Stello, cześć, Amelio – rzekł Nick, stawiając na podłodze teczkę i kilka reklamówek z zakupami.

Uśmiechając się, Stella ruszyła w jego stronę, ale Amelia była szybsza. Ubrana w krzykliwie fioletowy kostium wróżki, który na zeszłe Boże Narodzenie dostała od cioci Holly, dotarła do Nicka tanecznym krokiem i wykonała obrót.

– Dobrze było, dobrze? – zapytała.

– Idealnie – odparł Nick. – Więc jesteś wróżkową baleriną?

– Nie, łabędzią księżniczką – poprawiła go Amelia.

– Mieliśmy dzisiaj balet i pani powiedziała, że jestem bardzo dobra.

– Żeby to był porządny balet, ktoś cię musi podnosić – stwierdził Nick. Ujął ją w pasie i uniósł, tak że teraz jej stopy ledwo dotykały podłogi, w imitacji pas de chat. – Stello, powinnaś włączyć muzykę taneczną – zganił ją Nick, a jego oczy błyszcząły, gdy napotkał jej spojrzenie.

– Tak jest – odparła, salutując. Nic nie sprawiało jej większej radości niż przyglądanie się, jak dobrze dogadują się Nick i Amelia.

– Ja to zrobię – zawołała ochoczo Amelia, aż się pałać do tego, by ich taniec uczynić bardziej realistycznym.

Nick postawił ją na ziemi, ona zaś pobiegła do wieży, by poszukać płyty z balerinami na okładce. Nick uśmiechnął się do Stelli i uczynił kilka kroków, by ją przytulić. Idealnie do siebie pasowali, byli świetnie dobrani wzrostem, tak że jej głowa mogła opierać się na jego ramieniu. Przy wzroście metr siedemdziesiąt Stella była wysoką kobietą, Nick zaś miał dziesięć centymetrów więcej, wystarczająco, by mogła w jego towarzystwie nosić wysokie obcasy.

– Nie poczułbyś się zagrożony, gdybym włożyła buty na koturnach i była wyższa od ciebie? – przekomarzała się raz z nim.

– Jestem za stary na to, by czuć się zagrożony – odparł zgodnie z prawdą.

To właśnie było takie fajne w Nicku. Wiedziała, że niektórzy mężczyźni boją się bystrych kobiet, ale on do nich nie należał. Był z niej dumny. Uwielbiał jej inteligencję na równi z dobrocią i życzliwością.

– Jak się masz? – wymruczał teraz, zadowolony, że może ją do siebie tulić i czuć, jak opadają z nich stresy mijającego dnia.

– Teraz lepiej – odmruczała, wdychając znajomy zapach jego ciała, wody kolońskiej i marynarki. Uwielbiała ten zapach, który pozostawał na poduszkach, kiedy go nie było: połączenie wanilii z wody i woni jego ciała.

– Pamiętałeś, by kupić kurczaka hodowanego w naturalnych warunkach?

– Ty stara romantyczko – odparł. – Miałem kupić takiego z podrobami czy bez?

– Przestań mi tu świntuszyć – zachichotała. Pocałowała go w policzek i chciała się odsunąć, by zająć się kurczakiem, ale Nick nie miał zamiaru jej puścić.

– Podroby cię podniecają? – zapytał z błyskiem w oku. – Gdybym wcześniej o tym wiedział, nie zawracałbym sobie głowy czekoladkami ani kwiatami.

Jego uśmiechające się usta dotknęły jej warg i pocałowali się tak, jak się całują nowi kochankowie, najpierw delikatnie, po czym coraz mocniej, zamykając oczy i wzdychając. Wreszcie oderwali się od siebie.

– Umieram z głodu – przyznał. – Da się szybko upiec kurczaka?

– Nie. Ale mogę go podzielić, pokroić pierś i zrobimy sobie szybką chińszczyznę.

Zjedli kolację w ogrodzie zimowym, a potem Stella wyszykowała córkę do łóżka.

Kiedy Amelia ubrana już była w bawełnianą piżamę w kwiatki, Stella zobaczyła, że spodnie sięgają jej co najmniej pięć centymetrów nad kostki.

– Robisz się taka duża – westchnęła.

– Wiem – odparła z dumą Amelia. – Hazel mówi, że będę wysoką dziewczynką, a nie niską wróżką tak jak Becky.

Stella uśmiechnęła się na myśl o Becky w roli jakiegokolwiek wróżki.

– Mamusiu, ona nie jest na balecie tak dobra jak ja.

– Nie opowiadaj takich rzeczy, Amelio – odparła z roztargnieniem Stella. – To bardzo niemile. Becky jest twoją przyjaciółką.

Podniosła rozrzucone ubrania córki, by zabrać je do kosza z brudną bielizną, myśląc, że ledwie wczoraj Amelia była niemowlęciem ubranym w pajacyki.

Dolna warga Amelii zadrżała, co stanowiło pewny sygnał, że jest zmęczona.

– Wiem, że nie chciałaś być niemila – powiedziała Stella, wycofując się. – Jestem pewna, że Becky będzie także dobra, jeśli jej pomożesz. No dobrze, to na jaką bajkę masz dzisiaj ochotę?

Kiedy Stella wyłączyła w pokoju Amelii światło, usiadła razem z Nickiem na niskiej, rudobrunatnej sofie i rozmawiali o planowanych wspólnie wakacjach i tym, jak było dzisiaj w pracy. Stella krążyła ostrożnie wokół tematu, który nie dawał jej spokoju przez cały dzień.

– Myślałam o dziewczynkach. Twoich dziewczynkach – powiedziała wreszcie. – Może trochę potrwać, nim przyzwyczają się do myśli, że w twoim życiu jest ktoś nowy.

– Dzieci się przystosowują – odparł swobodnie Nick. Wyglądał na tak zadowolonego, że Stella niemal nie miała serca tego psuć. Ale musiała. Te dziewczynki będą jej pasierbicami, bez względu na obecność obrączki na jej palcu. Nastąpi połączenie dwóch rodzin i o tym musiała z Nickiem porozmawiać.

– To może się okazać nie takie proste – podjęła ostrożnie. Popatrzyła na Nicka. Jego twarz nadal była radosna.

– Może im być ciężko pogodzić się z... no wiesz... tym, że ja i ty jesteśmy razem tak szybko po rozwodzie. To, że wasze małżeństwo jest w sensie prawnym zakończone, nie oznacza od razu, że jest takie w oczach waszych dzieci. Przeczytałam książkę o rozwodach i drugich rodzinach i wiem, że dzieci mogą potrzebować dużo czasu, by uporać się z traumą rozstania. – Stella się zawahała. – Ich matce także może być niełatwo się z tym pogodzić, a to będzie miało wpływ na to, co dziewczynki będą myśleć o nas – dodała. – Po prostu ludzie nie dochodzą do siebie po rozwodzie tak szybko...

Usta Nicka zacisnęły się w surową linię.

– W takim razie Wendy będzie się musiała nauczyć z tym żyć, prawda? – Z jego twarzy zniknęło zadowolenie, a jego miejsce zajęło napięcie.

Stella zagryzła wargę. Nie szło to zgodnie z planem.

– Jenna i Sara mieszkają z matką. Będą myślały o tym, jaki to będzie miało wpływ także i na nią. Nie możemy ich zmusić, żeby mnie poznały albo żeby zaakceptowały tę nową sytuację...

– Amelia jest bardzo zadowolona, jest znacznie młodsza i jakoś z tym sobie radzi – oświadczył Nick.

– Tak, ale ona nie dochodzi do siebie po rozstaniu rodziców – zauważyła Stella. – Amelia nie pamięta czasów, kiedy Glenn i ja byliśmy razem. Jest przyzwyczajona do widywania mamy i taty oddzielnie. To dla niej normalne, więc ty nie wchodzisz na jego miejsce. Tak – dodała szybko – wiem, że ja nie wchodzę na miejsce matki dziewczynek, ale one mogą postrzegać to w taki właśnie sposób. Dopiero co się rozwiedliście i to wszystko wydarzyło się tak szybko, Nick, pamiętaj o tym. Sam mówiłeś, że obie dziewczynki nie pragną niczego bardziej niż tego, byście znowu się zeszli. Ja będę stanowić dla nich przeszkodę i mogą mnie znienawidzić. – Proszę bardzo. Powiedziała to na głos: to, co napawało ją największym strachem.

– One nie są dziećmi, Stello – rzekł szybko Nick. – Nie znasz ich jeszcze. Sara to najmądrzejsza dziewczyna na świecie. Jest autentycznie bystra, zawsze była, nawet jako mała dziewczynka. A Jenna jest równie bystra, wszyscy nauczyciele tak mówią. Są inteligentne. Zrozumieją. – Przynął się bliżej i czule pogładził ją po ramieniu. – To się uda, zobaczysz.

Stella pomyślała o swojej książce o drugich rodzinach. W wypadku konfliktów rodzinnych, inteligencja nie miała nic do rzeczy. Bez względu na to, jak bystre są dzieci, tworzenie drugiej rodziny wywołuje tarcia.

Według niej najlepiej z taką sytuacją radziły sobie małe dzieci. Nie miały w zwyczaju wpadać w taką histerię, kiedy stawały twarzą w twarz z nowymi mamusiami i tatusiami. Starsze dzieci opowiadały się po jednej ze stron i bały się. Nick zdawał się tego zupełnie nie rozumieć. No ale w końcu to były jego córki. On je znał, wiedział, o czym mówi.

Nick wyszedł o dziesiątej.

– Szkoda, że musisz iść – wyrzuciła z siebie Stella, gdy przytulali się na pożegnanie przy drzwiach. Wiedziała, że szaleństwem jest mówić coś takiego, skoro jakiś czas temu powiedziała Nickowi, że Amelia mogłaby się poczuć skołowana, gdyby tego nie zrobił. Nigdy więc nie został na całą noc – kochali się, cicho, a potem on wychodził.

– Pewnego dnia nigdzie nie pójde – wymruczał z twarzą zanurzoną w jej włosach.

– Wiem. – Stella przytuliła się mocniej, pragnąc nacieszyć się nim przed pożegnaniem.

Nieustannie zdumiewało ją to, jak bardzo pragnie budzić się przy nim każdego dnia, kłaść się razem do łóżka każdego wieczoru, robić przyziemne rzeczy, takie jak nastawianie budzika i jęczenie, kiedy ten rano zadzwoni; Stella tęskniła za taką normalnością, ponieważ będzie ją dzielić z Nickiem.

– Zadzwonię do ciebie rano, dobrze? – Odszedł już kawałek od drzwi, po czym cofnął się po jeszcze jednego buziaka. – Kocham cię.

– Ja ciebie też – odparła.

Patrzyła, dopóki jego samochód nie zniknął na końcu ulicy. To zabawne, jak życie wydawało jej się kompletne tylko z Amelią, dopóki nie poznała Nicka. Teraz bez niego było wybrakowane. To było cudowne uczucie, a jednocześnie przerażające. Cudowne, ponieważ go kochała, i przerażające, ponieważ nie sprawowała już nad wszystkim kontroli. Samowystarczalna komórka, składająca się z niej i Amelii, okazała się niedopełniona. Stella potrzebowała Nicka. Po Glennie nauczyła się nie potrzebować nikogo. Niezależność była bezpieczniejsza. A teraz znowu była od kogoś uzależniona. Nie pozwalała sobie myśleć, co by było, gdyby coś poszło nie tak.

Zamknęła drzwi i zajrzała do Amelii, po czym przygotowała się do pójścia spać. Wreszcie wślizgnęła się pod białą kołdrę i opadła na poduszki. Bosko. Jej sypialnia była najbardziej kobiecym pomieszczeniem w domu. Znajdowała się w niej toaleta w kształcie nerki, przykryta falbaniastym obrusikiem, i sypialniany fotel obity wyblakłą tkaniną w kwiaty, z dziewczęcymi, haftowanymi poduszkami. Ludzie, którzy znali jedynie rzeczową, kompetentną Stellę Miller, zdumieliby się na widok jej kobiecego alkierza z kryształowymi flakonami perfum ze sklepów ze starzyzną i wieszakami obitymi satyną w brzoskwińowym różu i delikatnym fiolecie.

Na stoliku nocnym dominowały oprawione w ramki zdjęcia przedstawiające Amelię i resztę rodziny, na których wszyscy śmiali się do aparatu. Najbardziej lubiła to, na którym widniały trzy pokolenia kobiet z rodziny Miller: jej matka, siostry, ona i Amelia, siedząca z psotną miną na kolanach babci. Kochana mama. Stella przyglądała się czule uroczej twarzy matki. Rose Miller trzymała się z dala od salonów piękności i tylko parę razy w roku chodziła przycinać włosy. A jednak jej ciepła twarz promieniała urodą, zarówno zewnętrzną, jak i tą pochodzącą od wewnątrz. Miłość, uznała Stella. Ten blask zapewnia prawdziwą miłość.

– Dobranoc, mamó – powiedziała, wyłączając światło.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Tydzień później Tara wkroczyła do działu dziecięcego Lee's, wyglądając tak, jakby dopiero co zeszła z wybiegu w czerwonej skórzanej kurtce motocyklowej, obcisłych czarnych spodniach i butach na koturnach, z przewieszoną przez ramię torbą od Prady. Holly, która czekała na nią niecierpliwie całe popołudnie, pomachała na powitanie.

– To moja siostra – powiedziała do Bunny, pochłoniętej składaniem gigantycznej sterty identycznych białych T-shirtów.

– Tara Lucretia Borgia – dopełniła z radością Bunny, ochoczo zostawiając składanie T-shirtów na później. – Jak miło cię wreszcie poznać! Tyle o tobie słyszałam.

Tara uśmiechnęła się szeroko.

– Jesteś pewna, że nie chcesz wysłuchać mojej wersji? – zapytała.

Holly roześmiała się.

– Mówię o tobie jedynie miłe rzeczy – upierała się. – Nigdy nie wspomniałam o tych okropnych, które robiłaś mi, gdy byłam mała!

– Opowiedziała mi wszystko – oświadczyła ponurym tonem Bunny.

Gardłowy śmiech Tary słysząc było na całym piętrze dziecięcym. Dołączyła do niej Bunny, zastanawiając się, jak dwie tak różne kobiety mogą być siostrami. Odnosiło się wrażenie, że zadziorna, silna Tara została obdarzona pewnością siebie wystarczającą dla dwóch osób, gdy tymczasem Holly nie posiadała jej w ogóle.

– Ja także o tobie słyszałam – rzekła Tara do Bunny. – Należysz do tej dzikiej paczki, z którą ona chodzi imprezować?

Bunny się nie zawahała.

– Jasne – odparła. – Szalone imprezowiczki to my.

Usłyszała, jak stojąca obok Holly oddycha z ulgą.

– No dobrze, gotowa do wyjścia? – zapytała Tara, zerkając na zegarek. – Jest czwarta, Stella powiedziała, że dotrze na czwartą piętnaście, co daje nam dwie godziny, zanim zamkną sklepy. Jeśli do tego czasu nie znajdziemy prezentu, ja się poddam.

Holly zabrała z szafki pod kasą torebkę i wymknęła się, by powiedzieć do widzenia pannie Jackson, u której załatwiła sobie wcześniejsze wyjście.

Bunny została, by rozmawiać z Tarą.

– Szukacie prezentu na rocznicę ślubu, tak? Nie znoszę kupować na taką okazję. Dla mojej matki nie da się niczego znaleźć.

– My mamy szczęście – rzekła Tara, a jej wyraziste rysy twarzy złagodniały. – Mama jest taka kochana, autentycznie nie dba o to, co od nas dostanie. Bez względu na wszystko i tak będzie zadowolona. Ale chcemy znaleźć coś naprawdę wyjątkowego, zasługuje na to. Oni na to zasługują – poprawiła się Tara.

Bunny patrzyła na nią z uwagą. Jedno spotkanie i dwie dziwne rewelacje. Pierwsza to taka, że Tara błędnie była przekonana, iż Holly jest balangowiczką, której nigdy nie ma w domu. Druga natomiast to fakt, że Tara uwielbia ich matkę, gdy tymczasem Holly nigdy o niej nie mówiła. Na okrągło opowiadała o Tarze, Stelli i Amelii. Bunny mogłaby napisać pracę magisterską na temat kariery zawodowej Tary i Holly co i rusz wyszukiwała w Lee's jakieś drobiazgi dla siostrzenicy, mówiąc, że Stelli spodobałby się bardzo ten T-shirt z aplikacjami albo że mała tak uroczo wygląda w kolorze niebieskim. Ale na temat mamy i taty ani słowa. Ciekawe.

– Do zobaczenia jutro, Bunny – Holly właśnie wróciła. Wsunęła starszej siostrze rękę pod ramię i razem ruszyły w stronę wind.

– Kiedy wrócę, te wszystkie T-shirty mają być poskładane – rzuciła na odchodne Tara.

– Tak jest – zażartowała Bunny. Odwróciła się do niechlujnej sterty. – Tak jest – powtórzyła ze znużeniem. – Łatwo powiedzieć.

Tara nalegała, by zajrzeć jeszcze do działu z porcelaną.

– Stella nastawiła się na coś wielkiego i ozdobnego – powiedziała, gdy szły między porozstawianymi serwisami obiadowymi, obdarzając pogardliwymi spojrzeniami wymyślne, kwieciste wzory. – Nadal uważam, że najlepszym pomysłem jest weekendowy wyjazd, ale skoro musimy oglądać brzydkie wazon, to proszę bardzo.

Holly podeszła do stojaka ze srebrnymi sztuczkami, ponieważ bała się, że przez przypadek rzuci na ziemię te horrendalnie drogie talerze. Nigdy nie zapomni, jak w supermarkecie wpadła na stół z miskami, włączonymi do oferty specjalnej. Całkiem sporo się zbiło.

– A może coś takiego? – zapytała, biorąc do ręki łyżkę z eleganckiego starodawnego kompletu sztuczków.

– Zbyt tradycyjne – orzekła Tara. – Może dla kogoś innego, ale nie dla mamy i taty. To musi być coś wyjątkowego. Wiesz, co mam na myśli?

– Wyjątkowego – dumiała Holly, przyglądając się zestawowi pojemniczków do soli i pieprzu o dziwacznych kształtach.

– Dowód trwałego uczucia od ich córek – dodała Tara takim tonem, jakby czytała napis na kliwej kartce. – Wiesz, o co mi chodzi.

– Taa.

– Ta solniczka i pieprzniczka są paskudne.

Wyszły z Lee's i udały się do sklepu z kosztownymi upominkami, gdzie sprzedawano kryształowy Waterford i gdzie umówiły się ze Stellą. Tara wolała nowoczesne wzornictwo, gdy tymczasem Holly niesamowicie podobały się delikatne, staromodne kielichy, które jej zdaniem ślicznie by wyglądały za szklanymi drzwiczkami jej komódki. Ale uważała, by nie brać niczego do ręki.

Tara uznała, że ich rodzice mają mnóstwo kryształów i w tym właśnie tkwi problem.

– Co my kupimy? – jęknęła.

– Nie takie proste, no nie? – zapytała Stella, pojawiając się w sklepie.

Wyglądała znacznie bardziej efektowniej niż zwykle w zielonkawoniebieskim płaszczu przeciwdeszczowym i z okalającymi jej twarz ciemnymi błyszczącymi włosami. Odkąd Stella poznała Nicka, jej garderoba uległa znaczącemu ożywieniu, gdyż porzuciła surowe garsonki na rzecz bardziej twarzowych i kolorowych ubrań.

– Nigdy nie mówiłam, że kupowanie prezentu z okazji rocznicy ślubu będzie proste – odparowała Tara, ściskając siostrę na powitanie. – Powiedziałam jedynie, że odmawiam dokładania się do jakiegoś kosztownego pozłacanego zegara, który wygląda, jakby pochodził z domu publicznego.

– Twój problem polega na wybujałej wyobraźni – roześmiała się Stella. – Nikt inny nie uważał, by ten zegar wyglądał, jakby pochodził z domu publicznego. – Uściskała najmłodszą siostrę. – Ślicznie wyglądasz, Hollis – I to była prawda: jej siostra miała w oczach błysk, którego Stella nie widziała od dłuższego czasu. Taki jakiś radosny błysk. – Co ponosi odpowiedzialność za ten błysk w twoich oczach?

– Nic – uśmiechnęła się Holly, myśląc o Tomie. Fajnie było mieć nowego przyjaciela, kogoś, przy kim czuła, że może być w pełni sobą. Odkąd wprowadził się Tom, stał się ważną częścią życia Holly, Joan i Kenny'ego. D'Artagnan i trzej muszkietierowie. Wiedziała, że nigdy nie będzie kimś więcej, ponieważ on zakochany był w Caroline, ale mimo to dobrze go mieć za przyjaciela. – Jeśli w moich oczach widać błysk, to jest nim wyczerpanie – zażartowała. – A poza tym i tak nie mogę konkurować z żadną z was, jeśli chodzi o prezencję. Nadal mam na sobie nudne robocze ciuchy. To wy jesteście całe wystrojone. To nowy płaszcz, prawda?

Stella się zarumieniła.

– Nick mi kupił.

– Ładny – stwierdziła Tara. – Ma braci? Przydałoby mi się w szafie kilka nowych rzeczy.

– Owszem, ma jednego brata, ale ośmielę się zauważyć, że Finn mógłby mieć coś przeciwko, gdybyś spotykała się z innym mężczyzną w celu powiększenia swojej garderoby – roześmiała się Stella.

– Nie sądzę – mruknęła Tara. – Nie jestem pewna, czy w ogóle by to zauważył.

Holly i Stella wymieniły zaskoczone spojrzenia. Tara nigdy nie uskarżała się na Finna, nigdy.

– No a to? – zapytała Tara, patrząc na kryształowy zegar.

– Stłukłabym go za pierwszym podejściem – stwierdziła Holly. – Czy nie mogłybyśmy pójść do takiego jednego sklepu z antykami? Mają tam śliczny zegar, który strasznie mi się podoba. Jest dla mnie zbyt drogi – dodała – ale mają tam naprawdę piękne rzeczy. Może coś upatrzymy, coś jedyne w swoim rodzaju i wyjątkowego.

– Prowadź – rzekła Tara.

I tak właśnie znalazły idealny prezent. Całej trójce spodobał się złotawy obraz olejny z dziewiętnastego wieku, który przedstawiał pokryte bujną zielenią wzgórze z ładną wioską przycupniętą w dolinie.

– Przyjście tutaj to był doskonały pomysł, Holls – powiedziała Tara, kiedy zapłaciły za obraz i udzieliły instrukcji dotyczących dostawy. Tara miała go przywieźć do Kinvarry w dniu przyjęcia, Stella zaś została obarczona zadaniem kupna odpowiedniej kartki.

– Uwielbiam ten sklep. – Holly przesunęła dłonią po zielonkawym ruszcie. – Mogłabym całe moje mieszkanko umeblować tymi rzeczami.

– Zajmij się najpierw wystrojem mojego, dobrze? – poprosiła Tara. – Jeśli szybko z nim czegoś nie zrobimy, wyprowadzę się. No dobrze, gotowe do wyjścia? Mój samochód jest w warsztacie, Stello, pojedę więc z wami.

Cała trójka udawała się do Stelli na kolację, więc pospiesznie wpadłszy do sklepu spożywczego i zakupiwszy chleb, zajęły na Delgany Terrace.

Holly zaproponowała, że pójdzie do domu Hazel, by odebrać swą ukochaną Amelię, gdy tymczasem Stella i Tara zajmą się jedzeniem.

– Nick też przyjdzie? – zapytała Tara, przyglądając się, jak jej siostra nakrywa do stołu dla pięciu osób.

Stella spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Nie, to talerz dla Finna. On także jest zaproszony, mówiłam ci przecież, prawda? Prawie w ogóle nie zapraszam cię na kolację, nie wspominając o biednym Finnie.

Tara zajęła się wyjmowaniem z szafki kieliszków do wina.

– Miałam ci powiedzieć, że najprawdopodobniej uda mu się dotrzeć dopiero znacznie później. Ale na pewno po mnie przyjedzie.

– Szkoda – powiedziała Stella, starając się, by jej głos brzmiał obojętnie, po czym zabrała jedno nakrycie i rozstawiła pozostałe w symetryczny sposób. Zastanawiała się, czy nie powinna spytać, czy wszystko w porządku. Bardzo dziwne było to, w jaki sposób wcześniej Tara mówiła o Finnie. Kiedy w tak piorunującym tempie się zaręczyli, Stella próbowała delikatnie dać siostrze do zrozumienia, że nie ma powodu, by tak się spieszyć do ślubu, że skoro naprawdę się kochają, to mogą poświęcić nieco czasu, by lepiej się poznać. Tara zareagowała gniewem i oświadczyła, że Finn jest idealny, że go kocha i skoro jest tego pewna, to po co marnować czas? Od tamtej pory nigdy nie powiedziała o nim niczego negatywnego. Ani razu.

– To spotkanie służbowe, wiesz? – dodała szybko Tara, zanim Stella zdołała cokolwiek powiedzieć. – Próbuje teraz zdobyć duży kontrakt i Finn pracuje dniami i nocami.

– Cześć! – zawołała Amelia, wbiegając z dzisiejszą pracą z plastyki, za nią zaś weszła Holly, niosąc jej plecak. – Mamo, umieram z głodu! – oświadczyła, sadowiąc się natychmiast przy stole.

– Cześć – odparła Tara, całując siostrzenicę w czoło. – Czy Hazel w ogóle cię nie karmi?

– Daje tylko herbatniki – rzekła z lekceważeniem Amelia. – Aha, i zupę.

– Organiczną, domową zupę z pełnoziarnistym chlebem, także własnej roboty – wtrąciła Stella. – To naprawdę biedne dziecko. Umyłaś ręce, ty moje biedne dziecko?

Amelia kiwnęła głową, ale spojrzenie miała utkwione w naczyniu z warzywną lasagne, które Stella niosła właśnie do stołu.

Trzy siostry roześmiały się.

– Ma to po mnie – stwierdziła Tara. – Ja też jako dziecko miałam zawsze wilczy apetyt.

– Pamiętam – rzekła Stella. – Jeśli zostawiłam na dwie minuty tabliczkę czekolady, natychmiast ją pożerałaś.

Miała nadzieję, że zdoła porozmawiać z Holly sam na sam, by móc się z nią podzielić obawami dotyczącymi Tary. Tak się jednak nie stało.

Pomimo to kolacja była udana. Po zjedzeniu wielkiej porcji lasagne Amelia radośnie trajkotała. Dorośli wypili butelkę chablis, opróżnili swoje talerze oraz dużą miskę sałatki greckiej.

Amelia, która odpowiedzialna była za deser, wyjęła z zamrażalnika karton z lodami, a Holly pomogła w ich rozdzieleniu.

– Czy mamusia wpadała w tarapaty? – chciała dzisiaj wiedzieć. Amelię fascynowała postać jej matki jako dziecka i kiedy miała okazję spotkać się z ciociami, zawsze domagała się opowieści o małej Stelli.

Zazwyczaj Tara bardzo lubiła wymyślać historie o psotach Stelli, ale dzisiejszego wieczoru jakoś nie miała do tego serca.

– Twoja mamusia nigdy nie wpadała w tarapaty – rzekła. – Ja za to tak, no ale taka już jestem. Nic się nie zmieniałam. – Roześmiała się z lekką ironią, a w głowach jej siostr rozbrzmiał dzwonek alarmowy.

Zaczekały, aż Amelia poszła do łóżka, po czym przystąpiły do badania sytuacji.

– Czy kiedy przyjedzie Finn, moglibyście podrzucić mnie do domu? – zapytała Holly.

– Pewnie – odparła Tara. Siedziała na sofie i zmieniała pilotem kanały w telewizorze. W drugiej ręce trzymała kieliszek z winem.

Holly siadła obok niej, a Stella zajęła fotel.

– Czy między tobą a Finnem wszystko w porządku? – zapytała delikatnie Stella.

– Wszystko w porządku – odparła szorstko Tara.

Stella i Holly popatrzyły na nią.

– Jesteś pewna? – zapytała Holly.

– Wszystko w porządku, okej? – Głos Tary był przenikliwy.

– Finn jest po prostu zajęty – dodała nieco ciszej. – Przecież w każdym małżeństwie zdarzają się na początku problemy.

Holly i Stella ponownie wymieniły się spojrzeniami. Stellę ogarnęły niedobre przeczucia. Czy między Tarą a Finnem było coś nie tak?

– Przestańcie tak robić! – oświadczyła gniewnie Tara.

– Kiedy wy dwie co pięć minut wymieniacie spojrzenia w stylu „a nie mówiłam?“, czuję się tak, jakbym przebywała w towarzystwie ciotki Adele.

– Wcale tego nie robimy – odparła ze spokojem Stella. – Nie denerwuj się, Taro. Co się stało?

– Nic.

Tara odstawiła z hałasem kieliszek na wielki kufer, którego jej starsza siostra używała jako stolika, po czym poszła gniewnie do łazienki. Holly wstała, by udać się za nią, ale Stella złapała ją delikatnie za rękę.

– Nie, daj jej spokój. Powie nam, kiedy będzie gotowa.

– Jak myślisz, o co chodzi? – zapytała Holly, z powrotem siadając. – Sądziłam, że ona i Finn są tacy szczęśliwi.

Stella wzruszyła bezradnie ramionami.

– Mogli się po prostu pokłócić, to wszystko. W każdym razie mam taką nadzieję. Wiesz, jak Tara nie znosi kłótni, jest zbyt porywcza i każda sprzeczka jest dla niej niczym druga wojna światowa. Wszystko ucichnie. – Przynajmniej miała nadzieję, że tak właśnie się stanie.

Holly nie była taka pewna.

\*\*\*

Kiedy Tara wróciła z łazienki, Holly właśnie zdawała Stelli niesamowicie zabawną relację z wieczoru błyskawicznych randek. Tarze wyraźnie ulżyło, że zeszły z jej tematu, i wyglądała na zawstydzoną wcześniejszym wybuchem. Usiadła.

– Przepraszam – mruknęła.

– Za co? – zapytały zgodnie Stella i Holly.

Wszystkie trzy się roześmiały.

– No więc – Holly kontynuowała swoją opowieść – powiedział, że mam świetne cycki.

– Kto tak powiedział? – chciała wiedzieć Tara.

– Ten księżę wśród mężczyzn, którego poznałam na błyskawicznych randkach w Purple Mosquito. Mieliliśmy pięć minut na rozmowę i tę jej część zapamiętałam najbardziej.

– Wylałabym na niego drinka! – oświadczyła Tara, oburzona faktem, że ktoś mógłby obrażać jej siostrę. – Kto to taki? Jeszcze nie jest za późno, by go czymś oblać.

Holly zachichotała.

– Właśnie tak myślałam, że ty byś coś takiego zrobiła. Siedziałam, patrząc na niego, i myślałam, że ty wylałabyś mu drinka na głowę, a Joan uraczyłaby go ciosem pięścią. Ja mu powiedziałam, że napuszczę na niego pannę Mindy.

– Pannę Mindy?

Zanim Holly skończyła opowiadać całą historię, dając jasno do zrozumienia, że panna Mindy to nie była czcza pogróżka, minęła dziesiąta.

– Jestem wykończona – rzekła. – Chyba się zaraz będę zbierać.

– Zbierać, by spotkać się z którymś z chłopaków z błyskawicznych randek? – zapytała łobuzersko Stella.

– Mówiłam wam, że z nikim się nie spotykam – odparła poważnie Holly. Nie dodała, że na horyzoncie majaczy tylko jeden mężczyzna, który budzi jej zainteresowanie, i że jest zajęty. – Na nieszczęście Joan i Kenny postanowili mnie z kimś wyswatać, nie mam jednak ochoty na randki w ciemno. Zwłaszcza z kolegami Finna – rzuciła znacząco w stronę Tary.

Uśmiechnęła się blade.

– Tak, no cóż, kumple Finna to niezupełnie wzorowe okazy. Obiecuję, że nie umówię cię z żadnym z nich.

– Muszą go przetrzymywać do późna, biedaka – Stella zaczęła zbierać kieliszki. – Zadzwoń może do niego i jeśli nie będzie mógł po was przyjechać, to zadzwonię po taksówkę.

– Jasne.

Tara wyjęła z torby komórkę i zadzwoniła do Finna. Od razu włączyła się poczta głosowa. Wyłączyła gniewnie telefon, po czym uświadomiła sobie, że Holly siedzi na sofie i czeka na to, co on powie. Ogarnął ją wstyd. Finn obiecał, że zjawi się u Stelli na kolacji. Potem, kiedy wynikła sprawa tego spotkania służbowego, obiecał, że dotrze przed wpół do dziesiątej, by ją odebrać. Teraz był już prawie kwadrans po dziesiątej, a jego ani widu, ani słychu.

Tara odwróciła się, tak jak to często robiła, kiedy była wśród ludzi i pragnęła namiastki prywatności podczas rozmowy przez telefon.

– Cześć, skarbie – rzekła do milczącego telefonu. – Taa, taa. Cóż, w takim razie trudno. Powiem Stelli, że przepraszasz. Pa.

Odwróciła się z powrotem do siostry. Na ślicznej twarzy Holly malowało się zrozumienie, zaś Tarę ogarnęły straszne wyrzuty sumienia z powodu tego, że ją oszukuje.

– Nie martw się, mała – pocieszała ją Holly. – Zamówimy taksówkę. Biedny Finn, musi być wykończony pracą do tak późna.

– Tak – powiedziała Tara głucho. – Zupełnie wykończony.

Holly pomachała taksówce, odjeżdżającej z Tarą w ciemną noc, po czym udała się na górę do swego mieszkania, gdzie na drzwiach przymocowano taśmą klejącą kartkę z następującą wiadomością:

„Popijamy sobie – przyjdź!!! Zbieraj się na naszą improwizowaną imprezę!” – napisał Kenny swym pochyłym pismem.

Holly się uśmiechnęła. Niepotrzebna jej była przyklejona do drzwi wiadomość, by wiedzieć, że u Kenny'ego i Joan odbywa się mini-impreza. Puszczani głośno Ricky Martin lub Madonna oznaczali, że to Kenny podejmuje gości, ponieważ uwielbiał Madonnę i uważał, że wczesne, hiszpańskojęzyczne albumy Ricky'ego Martina stanowią szczyt imprezowego wyrafinowania, a na dodatek są uroczo nastrojowe. Dzisiaj na drugim piętrze rozbrzmiewał chropawy, latynoski śpiew Ricky'ego.

Holly rzuciła na sofę płaszcz i torebkę i przejrzała się szybko w wiszącym na korytarzu lustrze. Po jej makijażu nie było już prawie śladu, włosy zaś miała potargane. Podczas tysiąca innych wieczorów udawała się do sąsiadów, przejechawszy jedynie grzebieniem po włosach, ale choć raz, i tak naprawdę nie wiedząc dlaczego, postanowiła się postarać. Ściągnęła białą koszulę i prosty stanik i zamieniła je na stanik z koronki i zmysłową koszulę z czarnego szyfonu. Natychmiastowa przemiana. W łazience szczotkowała włosy, dopóki nie zaczęły lśnić i sposobem Gabrielli pośpiesznie dokonała poprawek w makijażu: odrobina eyelinera i tuszu do

rzęs, by ożywić zmęczone spojrzenie, następnie błyszczący róż na usta. Trzy minuty i była gotowa.

Inni pewnie będą się z niej śmiać. Kiedy Tom zaczął dołączać do niej, Joan i Kenny'ego podczas wieczornych wycieczek do miejscowego pubu, Kenny zawstydził Holly, oświadczając, że próbuje poprawić swój normalny, domowy image, aby zrobić na nim wrażenie.

– Kenny! – jęknęła wtedy.

– Wszystko w porządku, skarbie, Tom jest jednym z nas – odparł pocieszającym tonem Kenny. – Koszmarne trio przekształciło się w pedziowaty kwartet.

– Mów za siebie – wtrąciła żartobliwie Joan.

Holly starała się jak mogła, by wyjaśnić, że wcale nie próbuje na nikim zrobić wrażenia, a jedynie uznała, iż pora nieco bardziej się starać, nawet jeśli siedzi w domu.

– Starannie ubieram się do pracy, więc w domu także powinnam – tłumaczyła. – Mam dość przeobrażania się po pracy w kloszarda.

– Bardzo dobrze – pochwalił Kenny. – Gdybyśmy tylko przekonali Joan do odpicowania się podczas weekendów, wyglądalibyśmy razem całkiem przyzwoicie.

Drzwi do mieszkania Kenny'ego i Joan nie były zamknięte na klucz i Holly pchnęła je, oznajmiając głośno, że nie ma potrzeby mówić jej, że jest impreza.

– Słoneczko, witamy. Mieliśmy zamiar zadzwonić do ciebie i powiedzieć, byś wróciła wcześniej! – rzeki wesoło Kenny, jednym ramieniem obejmując Holly, a w drugiej ręce trzymając pełną butelkę wina. Był radośnie wstawiony.

Raul, nowy chłopak Kenny'ego, siedział na podłodze razem z Joan, która robiła niesamowity bałagan za pomocą butelek z likierami, widelca, miski rozgniecionych bananów i cytryny, dziesięcioletniej, sądząc z wyglądu.

– Joan i Raul przygotowują koktajle – oświadczył Kenny, obdarzając swojego chłopaka spojrzeniem pełnym uwielbienia.

– Banana surprise! – oznajmiła Joan.

– Nie znoszę bananów – wyznał żałośnie Raul, próbując przeciąć cytrynę tępym nożem.

Holly się roześmiała. Raul tak bardzo się różnił od wcześniejszych chłopaków Kennyego: nie miał brzucha jak kaloryfer, jego włosy były w kolorze brudnego blondu zamiast atramentowej czerni, którą lubił Kenny, no i nie miał wyraźnie zaznaczonych kości policzkowych. Kenny uwielbiał kości policzkowe. Współlokator Raula, Anto, siedział w kucki przed telewizorem i gorączkowo grał w PlayStation 2, mrużąc przy tym i stękając.

Rozwalony na sofie, ubrany jak zwykle w dżinsy i szary T-shirt, który opinał jego ciało rugbisty, i kojąco normalny pośród tego całego chaosu, znajdował się Tom. W przeciwieństwie do pozostałych, był zupełnie trzeźwy i przyjemnie zadowolony na jej widok.

– Jest piwo, jeśli masz ochotę – rzekł, robiąc dla niej miejsce na dwuosobowej sofie. – Albo cola.

– Cola – odparła Holly, dając krok nad niechlujnym barem Joan i Raula, by usiąść obok niego. Sofa była zbyt mała dla Toma i kogoś jeszcze, ale Holly nie przeszkadzało, że siedzi ściśnięta obok niego.

Tom otworzył puszkę coli i podał ją Holly, która mimowolnie oblała się rumieńcem.

– Dzięki.

– Cholera! – wrzasnął Anto, bo gra nie szła po jego myśli.

– Koktajl bananowy! – oznajmiła triumfująco Joan, podnosząc do góry szklany dzbanek z ciemnożółtą breją.

– Ja tego nie piję – zastrzegł Kenny, nalewając sobie kolejny kieliszek wina. Wykonywał radosny taniec solo, z zamkniętymi oczami poruszając się po pokoju niczym Ricky Martin. Jedynie pijacki szósty zmysł chronił go przed obijaniem się o meble.

– Mam to gdzieś, że nie chcesz tego pić – czknęła Joan, rozlewając nie bez trudu breję do dwóch szklanek. Bardziej przypominało to ciało stałe niż płyn.

– Gotowy, Raul? – zapytała, podając mu jedną szklankę. – Raz, dwa, trzy!

Wypili koktajle do dna i od razu po tym Raul zaczął wydawać z siebie odgłosy przypominające wymiotowanie.

– Mówiłem ci, że nie znoszę bananów! – jęczał.

Holly i Tom przyglądali im się z rozbawieniem.

– Kenny dostał dziś zlecenia jako stylistka – wyjął Tom. – Dlatego właśnie świętujemy.

– Aha – odparła Holly. – Rzeczywiście uznałam za nieco dziwne to, że urządziła popijawę w środku tygodnia. Widzę, że jutro rano będę musiała tu przyjść i wyciągnąć ich wszystkich z łóżek.

– Opiekujesz się nimi, prawda? – zapytał Tom.

– Wzajemnie się sobą opiekujemy – odparła Holly. – Są dla mnie niczym druga rodzina, prawdę mówiąc to jak brat i siostra.

– Masz jednak dwie siostry, no nie?

– Tak. Spotkałam się z nimi dziś wieczorem. Są niesamowite. To znaczy Kenny i Joan wcale ich nie zastępują, oni są po prostu... ekstra – dokończyła. – I moje siostry są starsze ode mnie, więc je podziwiam i chcę, by mnie chwaliły, ale jeśli chodzi o tę parę – pokazała na Kenny'ego i Joan – oni widzą mnie taką, jaką jestem. Nie mam ciśnienia, by być chwaloną. Czy to ma jakiś sens?

– Jak najbardziej. – Tom wyglądał na zamyślonego. – Podobno rola, jaką odgrywa się w rodzinie, ma ogromny wpływ na osobowość – stwierdził. – Caroline jest o tym święcie przekonana. Jest środkowym dzieckiem – mówi, że dlatego właśnie jest twarda i ambitna.

– Wow, ona jest twarda i ambitna?

Uśmiechnęła się z lekkim żalem.

– Bardzo. Myślę, że bez względu na to, którym dzieckiem byłaby Caroline, i tak odniosłaby sukces.

– No a ty? Jesteś najmłodszym dzieckiem czy środkowym? – zapytała Holly.

– Najstarszym z czwórki. Obawiam się, że bardzo rozsądnym, zorganizowanym i nudnym.

– Wcale taki nie jesteś – zaprotestowała Holly, klepiąc go z czułością po szerokim ramieniu.

– Można na tobie polegać, co w tym złego?

– Nie jest to zbyt ekscytujące – uśmiechnął się Tom.

– Ekscytacja jest przereklamowana – upierała się Holly. – Moja najstarsza siostra, Stella, jest solidna i rozsądna, i jest wspiana. To taka osoba, do której bym się zwróciła w sytuacji kryzysowej. Prawdę mówiąc – uśmiechnęła się szeroko – to w tej teorii Caroline rzeczywiście coś jest, ponieważ Tara, która jest środkowym dzieckiem, jest ambitna i twarda na swój własny sposób.

– A ty, jako najmłodsza, powinnaś być niesamowicie rozpieszczona przez rodziców?

Tym razem to Holly uśmiechnęła się smutno.

– Niezupełnie – rzekła. – Moi rodzice to bardzo zajęci ludzie, matka dużo się udziela charytatywnie i ma stanowcze poglądy na temat rozpieszczania dzieci. Poza tym wydaje mi się, że rodzice mieli nadzieję na chłopca, a zamiast tego otrzymali mnie.

– Chyba nie mówisz poważnie, co? – Na życzliwej twarzy Toma malował się niepokój.

– Nie, nie w jakiś zły sposób – rzekła szybko Holly. – Ale wiem, że moja mama chciała chłopca. Miała już nawet wybrane imię. Emlyn Hector. Moja mama lubi niezwykle imiona.

– Holly umilkła, natychmiast żałując, że o tym powiedziała. Nawet Kenny i Joan nie wiedzieli tego. Ukryła to tak głęboko w sobie, że nikt nie wiedział. Ale Tom działał na nią w taki właśnie sposób. Łatwo było z nim rozmawiać, łatwo się zwierzać. – Przepraszam... – zaczęła.

– Przestań. – Tom ujął mocno jej dłoń, mówiąc tym samym, że rozumie, i że nie musi mówić niczego więcej.

– Moi rodzice są świetni, naprawdę... – Holly ponownie spróbowała, ale Tom uciszył ją, kładąc palec na jej ustach.

– Nie przepraszaj. Rodziny także popełniają błędy. Twój rodzice mogą być święci, a mimo to czasami coś schrzanią, ty zaś nie jesteś złym człowiekiem tylko dlatego, że to zauważasz.

Bezwarunkowa miłość nie oznacza, że człowiek zamyka oczy, kiedy rodzina robi coś niewłaściwego.

Holly głos uwiązał w gardle. To było niczym uchylenie drzwi, których od lat bała się otworzyć. Wezbrały w niej tłumione emocje odnośnie do małego Emlyna Hectora. Nigdy nie krytykowała swojej rodziny, nigdy nie powiedziała ani słowa przeciwko matce. To było niczym zakazana myśl, karana wykluczeniem z rodziny Millerów. A teraz usłyszała, że to w porządku mieć takie okropne, nielojalne myśli.

– Wiem – wyszeptała, tak cicho, że Tom musiał się nachylić, by ją usłyszeć. – Nigdy nikomu o tym nie mówiłam.

– Nie czuj się źle z tego tylko powodu, że mi powiedziałaś – odszepnął, omiatając ciepłym oddechem jej twarz.

– Proszę, nie wspominaj o tym – błagała Holly.

W odpowiedzi Tom dotknął ustami jej skroni i złożył na nich najczulszy pocałunek z możliwych. Holly nigdy by nie pomyślała, że tak potężny mężczyzna potrafi być tak delikatny.

– Zawsze możesz ze mną porozmawiać – wymruczał.

Holly oparła się o niego, czując słabość z powodu emocji towarzyszących temu, co wcześniej powiedziała. Tom objął ją silnym ramieniem i tak bardzo uspokajające było opieranie się o niego z zamkniętymi oczami, odczuwanie dziwnego spokoju z powodu wypowiedzenia na głos tych zakazanych słów.

– Holly! – ryknęła z irytacją Joan. – Powiedz Kenny'emu, by zmienił płytę. Nie chce tego zrobić, a mam dość tego cholernego Ricky'ego Martina!

\*\*\*

Kiedy Tara otworzyła drzwi wejściowe, zobaczyła, że w mieszkaniu jest ciemno.

– Cześć, kochanie, wróciłam – powiedziała z goryczą.

Udała się do kuchni i otworzyła szarpnięciem szafkę z alkoholami. Pierwszą zobaczyła brandy. Nie znosiła brandy. Następnie gin. Nie, uznała. Wino doskonale się nada. Nigdy nie trzymali w lodówce schłodzonego białego wina, tak jak ludzie w artykułach w gazetach. Tara miała okazję czytać wiele tych artykułów o gwiazdach w stylu „co się znajduje w twojej lodówce”, gdzie ludzie zawsze mieli mnóstwo rukoli, przepiórczych jaj i moët, ale co było dziwne, nigdy spleśniałego, starego serka philadelphia ani sałaty, która praktycznie wymieniła się DNA z lodówką dzięki zbyt długiemu przebywaniu w pojemniku na warzywa. Ona i Finn nie należeli do ludzi typu „zapasowa butelka białego wina w lodówce”. Mieli szczęście, jeśli kwalifikowali się na ludzi typu „karton nieprzeterminowanego mleka”. Finn był beznadziejny, jeśli chodzi o pamiętanie o podstawowych artykułach spożywczych, o czym Tara mogła się przekonać na własnej skórze. Nienawidziła czarnej kawy. Na tyłach szafki znalazła butelkę białego wina, otworzyła ją, napełniła kieliszek i wrzuciła do niego kostkę lodu. Świętokradztwo dla miłośników wina, pomyślało ponuro, wypijając jednym haustem pół kieliszka. Ponownie go napełniła, następnie zabrała kieliszek i butelkę do salonu, włączyła telewizor i czekała.

Kiedy Finn dotarł do domu, butelka była prawie pusta.

– Cześć, kochanie – rzekł ze wzrokiem jedynie lekko szklistym, wsuwając głowę przez drzwi do salonu. – Przepraszam za spóźnienie. Co porabiałaś?

– Byłam u Stelli – odparła spokojnie Tara, odwracając się z powrotem do telewizora. Nie chciała na niego patrzeć. Oglądała telewizję tak, jakby od tego zależało jej życie, plecy zaś miała wyprostowane i pełne napięcia. Nie zwracała uwagi na program w telewizji, gdyż głowę miała przepelnioną słowami pełnymi wściekłości, które pragnęła wykrzyczeć mu prosto w twarz. Wiedziała, że błędem jest klócić się, kiedy oboje wcześniej pili, ale rozsądek już dawno temu opuścił to mieszkanie.

Tara odwróciła się do Finna.

– Gdzie u diabła byłaś? – syknęła. – Miałeś odebrać mnie od Stelli.

– O cholera. – Stał w drzwiach, jakby bał się wejść. – Naprawdę cię przepraszam, kochanie, po prostu zapomniałem. To wina Billa, ponieważ...

– Przestań zrzucać winę na innych! – Nawet Tarę zaskoczył jej pełen wściekłości ryk. Przez chwilę panowała cisza. Potem ponownie odzyskała głos. – Zawiodłeś mnie przy moich siostrach, upokorzyłeś mnie! Musiałam kłamać i udawać, że pracujesz do późna, by nie wyglądać jak jakaś idiotka, której mąż nie może nawet do niej zadzwonić!

Finn pozostał w drzwiach, krzywiąc się przy każdym słowie.

– Naprawdę cię przepraszam – powtórzył niczym mantrę. – Bardzo przepraszam.

– Przepraszam nie wystarczy! – wykrzyknęła Tara. – Co drugi wieczór zostajesz do późna w pracy i przez połowę czasu jesteś wkurzony. – Wpatrywała się w niego, czekając, aż powie coś na temat tego, że to praca i że nie ma na to wpływu. Ale on nie odezwał się ani słowem, patrzył jedynie na nią dziwnym, niemal przerażonym spojrzeniem. – Mam tego dość, słyszysz, dość! Lepiej weź się w garść, Finn, inaczej odejdę. – Wstała. – A dzisiaj możesz spać w drugim pokoju!

Nie sądziła, że zdoła zasnąć, ale połączenie zmęczenia i zbyt dużej ilości alkoholu pomogły jej zapaść w głęboki sen, z którego obudziła się, rozgrzana i spocona, o piątej nad ranem. Leżała wyczerpana w dwuosobowym łóżku, ćmiła ją w głowie i czekała na nadejście ranka.

A czekając, rozmyślała. A gdy myślała, coś w jej głowie wskoczyło na swoje miejsce. Przypominało to uczucie, które ją ogarniało, kiedy pisała w pracy jakąś scenę i umykało jej jedno słowo, czając się gdzieś w podświadomości, nie ujawniając się jednak. Zawsze to było najprostsze słowo. Coś ze szkolnego dyktanda. Dzisiejszym słowem był alkohol. Gorzałka. Picie. Trunek.

Gdy świt powoli rozjaśniał pokój, wślizgując się do środka pod gładkimi niebieskimi zasłonkami, do myśli Tary wdarła się rzeczywistość. To nie było tak, że Finn lubił bez końca imprezować; on lubił bez końca pić. Alkohol przepływał przez ich życie niczym woda z kranu. Był wszechobecny. Finn nie wyobrażał sobie wieczoru spędzonego w domu bez czegoś mocniejszego do picia. Jedzenie na mieście wymagało wielu aperitifów, wina i czegoś z likierów. Nigdy nie spotykali się ze znajomymi na kawie: ulubionymi miejscami spotkań były puby. W czasie kryzysu, gdy nie było kryzysu, nieważne. Jedno było stałe i niezmienne: Finn pił.

Tara spojrzała na zegarek. Za dziesięć szósta. Zbyt wcześnie, by obudzić Finna? Nie.

Tara nigdy nie była mistrzynią cierpliwego czekania. Musiała zrobić to natychmiast. Odrzuciła kołdrę i wstała, nie wkładając nawet szlafroka na rozciągnięty T-shirt. Wpadła jak burza do drugiego pokoju, gdzie na łóżku wyciągał się chrapiący Finn. Jego ubrania leżały starannie złożone na rowerku treningowym, który miał w swoim poprzednim mieszkaniu. Po całym pokoju porozstawiane były kartony z różnościami,

niektóre otworzone i z wylewającą się zawartością po jednym z szaleńczych poszukiwań Tary czegoś ważnego.

– Obudź się! – zawołała.

Finn usiadł w stanie szoku, a włosy sterczały mu jak u punka.

– So ssie stało? – zapytał bełkotliwie.

– Wiem – odparła. – Wiem, co jest nie tak.

Pomimo zaspania, oczy Finna zrobiły się nagle czujne.

– Przepraszam za wczorajszy wieczór – rzekł. – Wiem, że masz dość tego, że pracuję do późna...

Nie zdążył powiedzieć niczego więcej. Tara nachyliła się nad nim i na jej twarzy malowały się wściekłość i groźba.

– To nie ma nic wspólnego z pracowaniem do późna. To ma związek z twoim pićciem.

Finn opadł na poduszkę.

– O co ci chodzi? – zapytał beznamiętnie.

– Pijesz każdego dnia, Finn. Każdego dnia i każdego wieczoru.

– To praca – odparł. – Nie mógłbym utrzymywać kontaktów towarzyskich i dobrze wykonywać swojej pracy, gdybym tego nie robił.

– Chcesz powiedzieć, że nie potrafisz nigdzie wyjść i nie pić przy tym? – Twarz Tary była groźna. – Znam wielu ludzi, którzy to potrafią. Ja potrafię. Mnie to wcale nie przeszkadza.

– Wielka mi rzecz – rzeki z goryczą Finn.

– Musisz przestać. To nas niszczy. Wieczorami nigdy cię nie ma w domu, a kiedy się zjawiasz, jesteś nawalony. Trzeźwego widzę cię jedynie rano, a wtedy dokucza ci kac. – Prawda tych słów uderzyła ją z całą swoją mocą. Śniadanie rzeczywiście było jedyną porą, kiedy miała gwarancję, że w jego oddechu nie będzie charakterystycznego zapachu alkoholu. Wściekłość zniknęła z jej twarzy, ustępując miejsca bólowi. – Dlaczego, Finn?

Ta nagła zmiana ataku zdawała się mieć na jej męża większy wpływ niż jej wcześniejszy gniew. Ukrył twarz w dłoniach i przyglądając mu się, Tara opadła na łóżko, czując, że nie ma już w niej wściekłości.

– Dlaczego? Od czego próbujesz uciec? Ode mnie? – Wyglądała na tak bardzo zagubioną i opuszczoną, tak strasznie załamaną.

Finn objął ją i przycisnął do siebie tak mocno, że aż ją zabołało.

– Nie od ciebie, Taro. Nigdy od ciebie. Kocham cię, szaleję na twoim punkcie – oświadczył ochryplym głosem. – Zapominam po prostu powiedzieć sobie stop, kiedy gdzieś wychodzę, to wszystko. Znasz mnie, zawsze dusza towarzystwa. Potrzebowałem po prostu kopa w tyłek, by mi przypomniał, że życie to niejedna wielka impreza.

– Jesteś pewny, że chodzi tylko o to? – Przytulając się do niego i czując przez cienki materiał jego wyblakłego T-shirta jak mocno bije mu serce, Tara pragnęła zapewnienia, że wszystko jest w porządku.

– Oczywiście, że jestem pewny. Słuchaj, nie będę pił przez miesiąc, czy to cię przekona? W moich ustach nie pojawi się ani kropelka alkoholu. Nie potrzebuję tego, potrzebuję tylko ciebie.

– Dobrze, cieszę się, że to słyszę – na wpół zaśmiała się, na wpół zaszlochała.

– Och, Taro. – Finn ukrył twarz na jej ramieniu, całując to delikatne miejsce, gdzie kończyła się szyja, a zaczynał obojczyk. – Naprawdę cię kocham, tak bardzo, nawet nie wiesz, jak bardzo. – Wsunął palce pod jej T-shirt, a jego dotyk zwodził jej ciało.

Zawsze cała się od tego dotyku rozplýwała. Zręczne palce gładziły ją delikatnie, rozsyłając po całym ciele iskry pożądania. Wystarczyło, że patrzyła na jego twarz, zaspną i pełną pożądania, a ogarniało ją pragnienie kochania się z nim.

Nikt nigdy nie patrzył tak wcześniej na Tarę: nikt nigdy nie kochał się z nią tak, jak czynił to Finn. Kiedy się poznali, jego technika zwała ją z nóg. Ten mężczyzna, który wyglądał jak gwiazdor filmowy, potrafił sprawić, że jęczała z rozkoszy. Dłonie Finna dotarły do krągłości jej pośladków, przyciągając bliżej siebie, pieszcząc delikatnie, po czym wsuwając się pod miękką bawełnę jej majteczek.

– Ja ciebie też kocham – odparła, płacząc. A potem ściągnęli sobie nawzajem T-shirty i wkrótce owinięci byli wokół siebie na łóżku, całując się dziko, namiętnie, tak jakby siła ich miłości była czymś fizycznym i potrafiła uchronić ich przed każdą krzywdą.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

To był najgorszy tydzień na przeżywanie poważnej niedyspozycji własnych włosów. W sobotę Stella miała spotkać się po raz pierwszy z córkami Nicka, a jej nowa fryzura wyglądała jak z piekła rodem. Nie dało jej się opisać inaczej. Czując się absurdalnie naga, wyciągnęła rękę, by dotknąć uszu, bezbronna wobec świata, kiedy jej ciemne włosy do ramion zostały skrócone do zatrważającej długości. Na jej głowie nie znajdowało się ani jedno pasmo, które byłoby dłuższe niż dwanaście centymetrów.

Kołysząca się, błyszcząca burza włosów została obcięta na wysokości uszu na wzór fryzury, dzięki której Christy Turlington wyglądała chłopięco i szykownie. W przypadku Stelli efekt był jednak odwrotny. Zaszokowana twarz w lustrze w salonie fryzjerskim wyglądała, jakby należała do obcej osoby: Olive Oyl, która ma gorszy dzień. W dodatku wina leżała tylko i wyłącznie po jej stronie. Fryzura była urocza. Po prostu nie pasowała do jej twarzy.

Cristalle z salonu naprzeciwko kancelarii od sześciu lat obcinała jej włosy dwa razy w miesiącu. Solidna i nieco nawet tradycyjna Cristalle na pewno nigdy nie zostałaby zaproszona do

czesania modelek podczas awangardowego pokazu mody w Nowym Jorku, ale Stelli odpowiadała. Aż do dzisiaj, kiedy zdecydowała się na zmianę fryzury z okazji poznania córek Nicka. Pragnęła także wyglądać efektownie inaczej na przyjęciu rocznicowym w Kinvarrze w przyszłym tygodniu. Zaklepała sobie wizytę w innym salonie, czując się szalona i odważna, wyobrażając sobie siebie w jednej z tych fryzur typu „wash-and-go”, które nie wymagają starannego suszenia ani nawet szczotkowania.

Siedząc w nowoczesnym salonie pełnym modnych ludzi, z naręczem błyszczących magazynów na kolanach i z cappuccino, wypowiedziała te fatalne w skutkach słowa:

– Nie jestem pewna, czego chcę, czegoś zupełnie innego. Proszę cię tak, jak pani chce! – Idiotka!

Stella zastanawiała się jak to możliwe, że prawo nie obejmuje fryzjerstwa i nie zakazuje wypowiedzania takich słów do fryzjerki, której się nie zna. Powinno to być zawarte w podpunkcie czwartym Fryzjerskiego Kodeksu Karnego. Fryzjerka musiałaby się upewnić, że klientka zasięgnęła właściwej, profesjonalnej porady przez wyrażeniem zgody na „coś innego”. Wymagana byłaby obecność dwóch niezależnych świadków, z których jednym musiałaby być najlepsza przyjaciółka pokroju Vicky, upoważniona do oświadczenia: „Krótkie włosy przy twoim podbródku? Nie sądzę”.

– Naprawdę ładnie – powiedziała stylistka, pokazując Stelli tył głowy za pomocą drugiego lusterka.

Z tyłu było równie źle. Co gorsza, okazało się, że jej naturalna linia włosów na karku biegnie obrzydliwie nisko.

– Och, jest śliczna – zagryzała przechodzącą kolorystka.

– Wspaniałe, fantastyczne cięcie – oświadczyła inna fryzjerka.

Stella wiedziała, że jest załatwiona. Jeśli każdy członek personelu ustawia się w kolejce, by ci powiedzieć, jak śliczna jest twoja nowa fryzura, znaczy to, że jesteś sobowtórem Nicole Kidman albo wyglądasz jak za czasów, kiedy matka obcinała ci włosy, posiłkując się garnkiem. Nic nie mogła powiedzieć. To była tylko i wyłącznie jej wina. Biegła znajomość prawa na nic się nie przydaje, jeśli dajesz stylistce carte blanche. Nie powinna się była tak zagłębić w czytanie gazet. Gdyby tylko podniosła spojrzenie znad wskazówek, jak za pomocą dodatków zupełnie odmienić swoją garderobę, dotarłoby do niej, że krótkie włosy naprawdę do niej nie pasują. I jak to możliwe, że wcześniej nie dostrzegła swego dużego podbródka? Takie surowe cięcie odpowiednie było tylko i wyłącznie dla drobnych twarzy w kształcie serca.

Powodowana wyrzutami sumienia zostawiła zbyt duży napiwek, po czym udała się powoli do kancelarii, co kilka minut dotykając z zażenowaniem obciętych włosów, tak jakby gładzenie ich mogło sprawić, że szybciej odrosną.

Gdyby po drodze do pracy znajdował się sklep z perukami, z całą pewnością kupiłaby jakąś. Ale zamiast niego były całe połączone szyb okiennych, w których Stella oglądała swe przerażające odbicie.

Recepcjonistka w kancelarii Lawson, Wilde & McKenna była zbyt dobrze wyszkolona na szczerą reakcję.

– Pani włosy są... urocze – rzekła, szybko mrugając oczami. Niechybna oznaka kłamstwa.

Stella oddaliła się chyłkiem do windy, modląc się o to, by nie spotkać nikogo znajomego, zanim przyjrzy się sobie jeszcze raz w łazienkowym lustrze.

Vicki była tak beznadziejna, jeśli chodzi o kłamanie, że wiele lat temu dała sobie z tym spokój. Podniosła głowę znad biurka Lori i zobaczyła, jak Stella próbuje się przemknąć ukradkiem do swego gabinetu.

– Jezu, twoje włosy! Co się stało?

Stella zagryzła wargę.

– Powiedziałam, że chcę czegoś innego – mruknęła.

– Innego? – zapytała Lori. – Czy ona użyła kosiarki do trawy? – Asystentka nadal dąsała się z powodu tego, że Stella przywłaszczyła sobie najfantastyczniejszego faceta, jakiego poznała na przestrzeni ostatnich kilku lat.

– Przestańcie – błagała Stella. – To koszmar, wiem. I co ja mam teraz zrobić? Za tydzień jest to przyjęcie rocznicowe, a w niedzielę mam poznać córki Nicka. To się stało w absolutnie najgorszym możliwym momencie. Wyglądam jak totalna idiotka.

– Dużo makijażu i wosku do włosów – oświadczyła stanowczo Vicki. – Tego właśnie nam trzeba. Musimy tak to zrobić, by wyglądało na celowy zabieg.

– Krótkie włosy są modne – dodała Lori, próbując odkupić swój wcześniejszy żart o kosiarce.

– Tak, ale w przypadku ludzi pokroju mojej siostry, Tary. Ona może nosić krótkie włosy. Jest modna, młodsza ode mnie i nie ma podbródka jak rugbysta – lamentowała Stella.

\*\*\*

Kiedy po raz piąty w ciągu dwudziestu minut Stella wyjrzała przez okno, ponieważ usłyszała trzaśnięcie drzwi samochodu, uznała, że przypomina to czekanie na prezydenta. Zaparzy sobie herbatę rumiankową i zapomni, że to pierwsza wizyta Jenny i Sary. Zalewała właśnie herbatę wrzątkiem, kiedy usłyszała, że drzwi wejściowe się otwierają. Pełna determinacji, by zachować spokój, choć serce waliło jej jak młotem, dodała miód, zamieszała ostrożnie łyżeczką i ponownie przyglądała ręką włosy.

– Dzień dobry – odezwał się Nick. Ma głos pełen napięcia, pomyślała Stella. I trochę dziwny. Normalnie mówił „dzień dobry, Stello”.

Trzymając w ręku kubek z herbatą, częściowo w geście obronnym, udała się do salonu, by poznać córki Nicka. Nick stał z zakłopotaniem w pokoju w towarzystwie tylko jednej dziewczyny. Stella uznała, że to musi być Jenna, no ale ona dopiero co obchodziła piętnaste urodziny, a ta niewiarygodnie dorosła dziewczyna wyglądała tak, jakby miała co najmniej dziewiętnaście lat. Zdjęcie, które kilka miesięcy temu Nick pokazał Stelli, nie oddawało jej prawdziwego wyglądu.

Szczupła niczym modelka i bardzo ładna, miała długie jasne włosy, szare oczy pełne lekceważenia i pomalowane błyszczącym ustami, które zaciśnięte były w pełną niechęci linię. Miała na sobie dzinsy biodrówki, T-shirt, który odsłaniał jej opalony płaski brzuch i ostry makijaż. Stella wpatrywała się w nią intensywnie.

– Jenno, to jest Stella – rzekł Nick, nadal wyraźnie skrępowany. – Sara dotrze później. Wypadło jej coś związanego ze studiami.

– Witaj, Jenno. – Stella uczyniła krok w przód, nie mając pewności, czy z tą dorosłą panną powinny sobie ucisnąć dłonie, czy też pocałować się w policzki.

Jenna wzięła sprawy w swoje ręce. Odchyliła się tak, jakby nie mogła znieść myśli, że Stella może jej dotknąć, a w jej spojrzeniu w miejsce lekceważenia pojawiła się bezczelność.

– No cóż – odezwał się Nick sztucznie jowialnym tonem, celowo ignorując nieuprzejmość Jenny. – Miło, prawda?

– Piję właśnie herbatę rumiankową – rzekła Stella. – Też masz ochotę, a może chciałabyś się napić soku?

– Nie.

Stella zwróciła uwagę na nieobecność słowa „dziękuję”, ale nie skomentowała tego. Patrzyła natomiast, jak Jenna lustruje pokój. Kąciki jej błyszczących ust uniosły się lekko, gdy uśmiechała się z wyższością na widok wszystkiego, co widzi. Wyraźnie nie zrobiły na niej wrażenia grafiki muzealne, które Stella sama oprawiła tanim kosztem w ramki i popatrzyła z góry na wielką starą sofę z grubą, ozdobioną tłoczonymi wzorami narzutą, zakrywającą mnóstwo dawnych grzechów. Jej wyniosła mina mówiła, że żadne z tych wygodnych, przytulnych mebli nie mogą się równać ze wspaniałym wystrojem wewnątrz jej własnego domu.

Stella poczuła, że jej od dawna planowany powitalny uśmiech blednie. Pokochanie nowej rodziny, rodziny Nicka, nagle wydało się znacznie trudniejszym zadaniem, niż wcześniej sądziła.

– Stella przygotowała dla nas wszystkich lunch – rzekł Nick, obejmując ramieniem Jennę.

– Nie jestem głodna. – Jenna patrzyła bezczelnie na Stellę, jakby wyzywała ją do ostrej odpowiedzi.

– Nic nie szkodzi – odparła spokojnie Stella, myśląc o czekającej na kuchennym stole uczcie. – Możemy zjeść później.

– Później też nie będę chciała jeść. – To samo wyzywające spojrzenie.

Stella podniosła w górę kubek z herbatą i wypła łyk, bardziej po to, by się uspokoić, niż z jakiegokolwiek innego powodu.

– Hej, Stella ma tę płytę Macy Gray, którą lubisz. Lubisz przecież Macy, prawda? – zapytał Nick. Przejrzał pospiesznie kolekcję płyt Stelli, znalazł tę właśnie i włożył ją do odtwarzacza. Stella patrzyła, jak Jenna przygląda się ojcu. Była wyraźnie zaszokowana jego znajomością tutejszych przedmiotów. Wiedział, jakie Stella miała płyty; czuł się w jej domu wystarczająco swobodnie, by włączyć muzykę bez pytania o pozwolenie. Ta wiedza najwyraźniej zachwiała poglądem Jenny na to, jak blisko są ze sobą Nick i Stella.

Muzyka zaczęła grać. Nick stanął pomiędzy swoją dziewczyną a swoją córką i uśmiechał się promiennie, tak jakby sama dobra wola mogła usunąć przeszkody.

Stella uznała, że musi wziąć sprawy w swoje ręce. Nie obawiaj się poruszać drażliwych kwestii, radzono w Sztuce tworzenia drugiej rodziny.

– Mam córkę – rzekła. – Siedmiolatkę. Ma na imię Amelia. Bardzo bym chciała, żebyście ją poznały, ale pomyślałam, że łatwiej będzie, jeśli wy i ja spotkamy się najpierw bez niej, ponieważ rozumiem, że to może być dla was trudne.

Drobna twarz Jenny z wyzywającej stała się szydercza.

– Trudne dla mnie? – zapytała. – Nie wiesz, co jest dla mnie trudne. Nie wiesz o mnie niczego. Wcale nie mam ochoty tutaj być. Nie chcę słuchać o twojej głupiej córce...

Dla Stelli to było już zbyt wiele. Amelia była nienaruszalna.

– Jak śmiesz być taka niegrzeczna wobec mnie? To mój dom i nie będę tolerować takiego zachowania.

– Wcale nie chcę być w twoim domu! – zapiszczała Jenna, natychmiast uderzając w płacz.

– Skarbie, nie denerwuj się tak. – Nick przytulił córkę i trzymał ją płaczącą w ramionach niczym małe dziecko.

Drżąc z gniewu i bezsilności, Stella stała i patrzyła.

– Ćśś, kochanie – mówił uspokajająco Nick.

Nagle Jenna oderwała się od niego i pobiegła do drzwi.

– Przepraszam – rzekł Nick, po czym ruszył za nią.

Stella opadła na sofę, czując słabość w kolanach, i słuchała wypełniającego pomieszczenie chrapliwego głosu Macy Gray.

Po pięciu minutach Nick wrócił. Sam.

– Kochanie – szepnął.

Och, a więc teraz ona była kochaniem. Wpatrywała się w niego.

– Jenna się zdenerwowała. Zabiorę ją stąd na trochę, niech się oswoi z sytuacją. Może coś jej kupię.

– Coś jej kupisz? – syknęła w odpowiedzi Stella. – W nagrodę za jej brzydkie zachowanie? Nie takich rad udziela się na zajęciach z rodzicielstwa. – Wiedziała, że w jej głosie słychać sarkazm, ale miała to gdzieś.

– Daj spokój, Stello, to jest trudne dla tego biednego dziecka. Sporo dzisiaj przeszła. To nie jest dla niej łatwe.

„No a co ze mną?” – pragnęła zapytać, ale nie mogła, ponieważ Nick zdążył już pognać z powrotem do córki. Stella przyglądała się przez okno, jak wsiada do samochodu, mówi coś, na co Jenna reaguje uśmiechem, po czym odjeżdża.

Stella nie wiedziała, wobec którego z nich czuje większy gniew. Wobec Nicka: za to, że pozwolił swej źle wychowanej córce zachowywać się tak niegrzecznie. Wobec Jenny: za jej nieuzasadnioną niegrzeczność. Cieszyła się, że postanowiła podrzucić Amelię do Hazel na wypadek, gdyby spotkanie miało nie przebiec zgodnie z planem. Gdyby mała narażona była na tak otwartą nienawiść, Stella na pewno wyrzuciłaby Jennę ze swego domu.

\*\*\*

– Jak idzie? – zapytała z niecierpliwością Hazel pół godziny później, gdy zjawiała się Stella, by odebrać Amelię.

– Wybierz sobie słowo – odparła ponuro Stella. – Okropnie, strasznie, katastrofalnie, niegrzecznie.

– Aż tak źle? – skrzywiła się Hazel. – Za wcześniej na kieliszek wina?

– O nie. Wcale nie jest za wcześniej. Nie rozumiem tego – rzekła, siadając na brzegu krzesła, zbyt spięta, by oprzeć się i odprężyć – dlaczego nie lubi mnie nikt z cholernej rodziny Nicka. Jego szwagierka, ta koszmarna Clarisse, odwołała kolację, rzekomo z powodu choroby, ale ja wiem, że po prostu nie miała ochoty gościć mnie w swoim domu. Teraz Jenna zachowuje się niewiarygodnie niegrzecznie. – Czując się infantylnie, zamrugwała oczami, by powstrzymać łzy.

Hazel zmieniła zdanie i zamiast małych kieliszków do wina wyjęła te duże.

– Gdzie dziewczynki? – zapytała Stella, która ze zdumieniem uświadomiła sobie, że nabuzowana gniewem nie poszukała najpierw Amelii i bliźniaczek.

– Ivan zabrał je na basen – odparła Hazel. – W każdej chwili mogą wrócić. – Nałala Stelli kieliszek białego wina.

– Herbatniki?

– Pod warunkiem że masz takie z podwójną ilością czekolady.

Dwa kieliszki wina, cztery herbatniki i godzinę praktycznych rad Hazel później Stella i Amelia wracały do domu, trzymając się za ręce.

– Czy Jenna i Sara widziały mój pokój? – zapytała z podekscytowaniem Amelia. – Sama chcę im go pokazać. – Plotła trzy po trzy o Jennie i Sarze, gdy tymczasem Stella poczuła, jak znowu cała się spina. W niewinnych oczach jej córki te dwie dziewczyny miały być dla niej niczym starsze siostry.

– Mamo, nie ściskaj mi tak mocno ręki – poskarżyła się Amelia.

– Przepraszam, skarbie – odparła Stella, rozluźniając uścisk.

Zaczęła modlić się w duchu. Proszę, niech Jenna i Sara będą miłe dla małej Amelii. To nie była jej wina.

W domu na automatycznej sekretarce czekała wiadomość od Nicka. Wróci przed szóstą razem z Jenną i możliwe, że Sara dotrze sama wcześniej.

Stella pomyślała o radzie Hazel: „Przebrnij przez to z uśmiechem na twarzy i o nic się nie obrażaj”.

– Tylko robot potrafiłby się uśmiechać przy numerach tej dziewczyny – odparła żałośnie Stella.

– To musi być dla niej trudne, Stel – rzekła Hazel. – I trudne także dla Nicka. Ona jest jego małą dziewczynką i stara się jej nie skrzywdzić, to wszystko.

– Nie skrzywdziłam jej – zaprotestowała Stella. – Jej rodzice rozstali się, zanim w ogóle poznałam Nicka, ale ona ma ochotę odegrać się na mnie.

– Tak, ale dzieci potrafią być nieracjonalnie. Wiesz o tym.

– Dzieci? Jenna Cavaletto to nie dziecko: to rozpuszczony bachor.

– Stel, uspokój się. Chcesz, żeby to się udało, prawda? Naucz się więc jakoś sobie z tym radzić. Pomyśl tylko, jak nadstawiasz drugi policzek, kiedy ktoś zajedzie ci drogę albo coś w tym rodzaju. To cię nie rusza.

– To coś innego – próbowała wytłumaczyć Stella. – Ktoś, kto zajedzie ci drogę albo uderza wózkami w twój w supermarkecie, nie zna cię. To nie jest nic osobistego. W tym przypadku jest inaczej. Gdybyś widziała, jak ta dziewczyna patrzyła na wszystko w moim domu z góry... – Stella czuła, jak krew się w niej gotuje na samo wspomnienie.

– To dziecko, a ty jesteś dorosła. Poćwicz trochę jogę, to ci pomoże.

Kiedy Amelia oglądała telewizję, bawiąc się jednocześnie Barbie, Stella zdjęła sukienkę, którą włożyła na spotkanie z córkami Nicka i zamieniła ją na stary T-shirt i luźne legginsy. Rozłożyła w sypialni matę i przybrała automatycznie pierwszą pozycję. Normalnie wystarczyło, by zaczęła, a z jej ciała odpływało napięcie, ale dzisiaj nie mogła odnaleźć w sobie spokoju. Zamiast pomóc jej w oderwaniu się od problemów, cisza tylko je potęgowała i bez względu na

to, jak mocno próbowała się skoncentrować, przed jej oczami pojawiała się bezczelna twarz Jenny.

W końcu Stella się poddała. Joga przeprowadziła ją przez rozstanie z Glennem i przez te lata, kiedy zawsze jakieś troski finansowe utrudniały jej zaśnięcie. Często twierdziła, że nie ma rzeczy, której ćwiczenia nie pomogłaby naprawić. Nie dzisiaj.

Nadal ubrana w strój do jogi udała się do salonu, gdzie usiadła obok Amelii. I wtedy po raz drugi tego dnia usłyszała w zamku klucz Nicka. Tym razem Stella nie czuła podekscytowania. Zbierało jej się na mdłości.

– Dzień dobry! – zawołała radośnie Amelia, podskakując radośnie, gdy pojawił się Nick w towarzystwie Jenny i Sary.

– Witaj, Amelio – rzekł Nick, wstając.

Siedząc, Stella obserwowała miny dziewcząt. Sara, wysoka, nieco niechlujna dziewczyna z ciemnymi włosami i niezwykłymi oczami Nicka uśmiechnęła się ze skrzepowaniem i powiedziała „dzień dobry”.

Jenna zacisnęła zęby, gdy przyglądała się, jak jej ojciec przytula Amelię, ale także powiedziała „dzień dobry”.

To postęć, pomyślała z ulgą Stella.

– Witaj, Saro – powiedziała, wstając i wyciągając rękę.

Sara zarumieniła się i odparła:

– Miło cię poznać.

– Może zaczniemy jeszcze raz, Jenno? – zapytała Stella, odwracając się do młodszej dziewczyny. Uśmiechała się, ale jej głos miał stanowcze brzmienie. Ta akurat gałązka oliwna była twarda jak stal.

Jenna przez chwilę milczała, po czym rzekła cicho:

– Okej.

– Cudownie – zagrzmiął serdecznie Nick.

Wszystkie trzy spojrzały na niego.

– Nie przygotowałam niczego z myślą o kolacji, ponieważ nie wiedziałam, o której godzinie przyjedziecie do domu – rzekła ze spokojem Stella. Zobaczyła, jak Jenna krzywi się, słysząc słowo „dom”. To był błąd. Musiała się bardziej postarać. Młodsza córka jej chłopaka była w końcu dzieckiem, aczkolwiek nad wiek rozwiniętym. – Wcześniej przygotowałam sałatkę – kontynuowała – więc możemy ją teraz zjeść.

– Świetnie – stwierdził Nick.

– Amelio, pomożesz mi? – Nie chciała, by jej córka została na łasce i niełasce Jenny.

Podczas kolacji Jenna odzywała się monosylabami, ale przynajmniej była grzeczna. Nick mówił wystarczająco za czworo, gdy tymczasem Stella całkiem dobrze dogadywała się z Sarą, która była po prostu lekko nieśmiała, ale nie sprawiała wrażenia, by miała problem z tym, że jej ojciec ma nową dziewczynę.

Opowiedziała Stelli o swoich studiach i była rozbawiona, kiedy Nick przekomarzał się z nią na temat jej chłopaka.

– Czy to poważne? Powiniennem już zacząć oszczędzać na wielkie weselisko? – zażartował.

– Tato, zejdź na ziemię – zaśmiała się. – Na twoim miejscu jeszcze nie odejmowałabym sobie od ust, zaciskałabym pas.

Nick roześmiał się głośno i nawet Stella pozwoliła sobie na uśmiech, ale ciężko było odgrywać wesołą przez cały czas, gdy świadoma była obserwującej ją Jenny, gotowej, by się na nią rzucić.

Amelia pomogła mamie pozbierać talerze. Ani Jenna, ani Sara nie ruszyły się od stołu. Stella myślała ponuro, co za kobieta wychowała swoje córki na dziewczyny pozbawione dobrych manier. Kiedy ona była nastolatką, Rose by ją zamordowała, gdyby siedziała przy stole w czymś domu i nie ruszyła palcem, by pomóc.

Amelia nie mogła się doczekać, by pokazać im tartę brzoskwiniową z polewą, nad którą tak się męczyła Stella.

– Mamusia to upiekła – rzekła Amelia do Nicka, ostrożnie niosąc tartę na stół.

– Mamusia jest bardzo dobra, że zrobiła coś tak pysznego – odparł z czułością Nick.

Stella wstrzymała oddech, czekając na tę przerażającą chwilę, kiedy Jenna warknie na Nicka za to, że użył słowa „mamusia”. Nic się jednak nie stało.

Wreszcie Stella zaczęła się odprężyć. Najwyraźniej Nick odbył z Jenną długą rozmowę. Zachowywała się poprawnie.

– To jest pyszne – stwierdziła Sara z pełnymi ustami.

Stella uśmiechnęła się, wdzięczna za pochwałę.

Jenna odmówiła jedzenia tarty, ale Stella nie wzięła tego do siebie. Dziewczyna najwyraźniej bardzo uważała na to, co je.

– Tato, muszę już iść – powiedziała Sara, kiedy dokończyła kawę. – Jestem umówiona z paroma ludźmi w mieście.

– Wszyscy powinniśmy się zbierać – zgodził się natychmiast Nick.

– Mogę skorzystać z ubikacji? – zapytała grzecznie Sara.

– Zaprowadzę cię – oświadczyła Amelia.

– A ja włączę tylko na chwilę CNN, by sprawdzić skrót wiadomości – rzekł Nick, także wstając od stołu.

Stella i Jenna zostały same w ogłuszającej ciszy. Stella pomyślała, że cieszy się opinią osoby spokojnej i potrafiącej sprawować kontrolę w każdej sytuacji, a jednak nie mogła wydobyć z siebie głosu w obecności tej aroganckiej nastolatki. Dla dobra Nicka pragnęła się postarać i nawiązać rozmowę, ale nagle dopadł ją całodniowy stres. Była zbyt zmęczona. Łatwiej by było uśmiechnąć się, posprzątać i pomachać im wszystkim na pożegnanie po tej pierwszej, trudnej wizycie.

Jenna miała inny pomysł. Kiedy Stella wstała z krzesła i zaczęła zbierać talerze, odezwała się.

– Nie wiem, co ty sobie wyobrażasz, ale to się nie uda – syknęła. – Wszystko psujesz. Chcę, żebyś wiedziała, że moja matka cię nienawidzi. Ona kocha tatę jak należy. Ale ty wszystko psujesz, ty dziwko.

Stella uczyniła krok w tył, jakby ktoś ją uderzył. Jad w głosie Jenny zaszokował ją na równi z jej słowami. Jak to możliwe, że ta dziewczyna aż tak bardzo jej nie znosi? Nie uczyniła nic złego, tylko pokochała Nicka. Przygotowała się na to, by pokochać także jego dzieci, bez względu na to, jak bardzo mogłoby się to okazać trudne. I choć podejrzewała, że te zniewagi Jenna usłyszała od swojej matki, ta złośliwość wstrząsnęła Stellą do głębi.

– Tata jest gotowy – oznajmiła Sara.

– Super – odrzekła pogodnie Jenna, zeskakując z krzesła. – Na razie.

Stella była w stanie jedynie wypowiedzieć bezgłośnie słowa pożegnania.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Tydzień przed przyjęciem z okazji rubinowych godów rodziców Tara była w nastroju wybitnie nieimprezowym. Nie skupiała się na pracy, siedząc w swoim boksie i na próżno szukając inteligentnego sposobu rozpisania pewnej sceny. Podczas wcześniejszego zebrania wydawało się to takie proste. Bezwzględna dyrektorka *National Hospital*, antypatyczna postać o nieprawdopodobnym nazwisku January Vincent, właśnie się dowiedziała, że jej matka umiera na raka. W kulminacyjnej scenie ze swym adwersarzem, niezwykle troskliwym doktorem Burkę, musiała rozszczelnić swój pancerz i wyjawić, że związek jej i matki należał do burzliwych, i że nie widziały się od czterech lat. Nie trzeba dodawać, że to January ponosiła odpowiedzialność za kłótnię, która doprowadziła do ich rozłamu.

Scena ta miała trzy cele: wyjaśnić, dlaczego January stała się taką suką, sprawić, by widzowie nie mogli się doczekać sceny, w której będzie musiała spotkać się z matką, i naturalnie pokazać, że zdaje sobie sprawę z własnych błędów.

Widzowie lubili, gdy wredni bohaterowie otrzymywali to, na co zasłużyli. A January była zdecydowanie antypatyczna, w przeciwieństwie do grającej ją kobiety, łagodnej Alison.

W normalnych okolicznościach Tara bardzo lubiła pisać kwestie dla Alison, fantastycznej aktorki, ale dzisiaj wena ją opuściła. Prawdę powiedziawszy, nie tylko opuściła, ale i pomachała ręką na pożegnanie.

Zagmatwana fabuła *National Hospital* zaczęła znikać z jej myśli i jedynym odgrywanym w głowie zdolnej scenarzystki filmem było jej własne życie, z Finnem w roli głównej. Od ponad tygodnia nic nie pił i Tara czuła, że powinna być tym uszczęśliwiona. Jednak coś przemykającego w najgłębszych zakamarkach umysłu mówiło jej, że ta konkretna scena jest jeszcze daleka od zakończenia. I to właśnie ją przerażało.

Nic nie wyglądało normalnie w gospodarstwie domowym Miller/Jefferson. Finn był pozornie pogodny i wesoły, jakby w ogóle nie brakowało mu alkoholu. Tymczasem Tara próbowała zachowywać się beztrzesko, przez cały czas spodziewając się momentu, kiedy Finn pojawi się w domu z charakterystycznym alkoholowym oddechem. To było niczym beczynne czekanie, aż ogromna fala rozbije się o brzeg.

Wciąż myślała o niedalekim przyjęciu w Kinvarrze i o tym, jaki wpływ obecny tam alkohol będzie miał na Finna. Czy zdoła się oprzeć, czy też spektakularnie porzuci swą wątłą abstynencję?

– Hejka – odezwał się zrzędlawy głos, gdy Isadora, cała ubrana w odzież khaki niczym jakaś oszalamiająca komandoska, opadła na krzesło. Widać było, że ma podły nastrój. No to jesteśmy dwie, pomyślała Tara.

– Co ci jest? – zapytała.

– Odwrócony borsuk – odparła Isadora, pokazując na swoje włosy.

Tarze nieobce były niebanalne zwroty Isadory, ale ten akurat pachniał nowością.

– Wyjaśnisz może?

– Borsuki są czarne w białe paski; moje włosy są z kolei jasne z szerokimi, ciemnymi pasami pośrodku, tam gdzie muszę pomalować odrosty. – Isadora poszukała w żakiecie papierosów. – Nie mam czasu umówić się do fryzjera i wyglądam koszmarnie. Wiem – jęknęła, zapalając papierosa – palenie to sprawa szatana i moje tętnice są najpewniej

zapchane jak droga dojazdowa do płatnego mostu w godzinach szczytu. Już to wszystko słyszałam, ale mam to gdzieś. Potrzebuję mojego wsparcia emocjonalnego, zwłaszcza kiedy mam tak duże odrosty.

– Czyja coś powiedziałam? – zapytała z irytacją Tara.

– Nie – przyznała Isadora. – Ale miałaś tę swoją minę.

– Umościła się wygodnie na krześle i zaciągnęła się głęboko.

– Jak tam twój wspaniały scenariusz dla Mike'a Hammonda, którego nie jesteśmy godni?

Kolejna drażliwa kwestia. Od czasu spotkania się z Mike'em i wyrażenia zgody na wypolerowanie scenariusza dla filmu jego znajomego, Tara nie napisała ani słowa. Nawet najkrótszego. Jej zdolność pisania gdzieś się rozplynęła, koniec, kropka i kiedy zobaczyła scenariusz wymagający raczej piaskowania niż polerowania, poczuła się jak zupełna nowicjuszka. W tym przypadku liczył się czas i Tara się bała, że będzie musiała zadzwonić do Mike'a i mu powiedzieć, że nie jest w stanie tego zrobić.

Dała sobie spokój ze sceną pomiędzy January a doktorem Burkę.

– Nie pytaj – powiedziała, klikając na komputerze w „zapisz”. Uczyniwszy to, odsunęła krzesło, położyła nogi na biurku i wyciągnęła rękę w stronę paczki papierosów Isadory. – Mogę też?

Isadora była tak zaskoczona, że zapomniała o swej normalnej nonszalancji.

– Papierosa?

– Nie, lobotomię – odparła z rozdrażnieniem Tara. – Jasne, że papierosa.

– Od lat mi powtarzasz, że nie powinnam palić. – Isadora wyglądała na oburzoną.

– Nie tylko tobie potrzebne jest wsparcie emocjonalne.

Tara pożałowała tych słów od razu, gdy je wypowiedziała. Nie chciała rozmawiać o tym, dlaczego ma kiepski nastrój, a wspomnienie o potrzebie wsparcia emocjonalnego było w przypadku Isadory tym, czym czerwona płachta dla byka. Dzisiaj jednakże Isadora nie kąsała. Podała jej papierosa i pstryknęła zapalniczką. Tara zaciągnęła się niewprawnie i zastanawiała się, jak by to było być uzależnionym od papierosów. Albo czegokolwiek.

Na studiach zdarzało jej się zapalić papierosa w większym gronie, ale nigdy nie było tak, że marzyła o fajce od chwili, gdy rankiem otworzyła oczy, co właśnie czynili ludzie tacy jak Isadora czy Holly. Tara od wielu lat próbowała przekonać młodszą siostrę do rzucenia palenia, lecz ona, łatwa do pokonania w większości sporów, w tym przypadku była nieugięta.

– Nie pasuje ci – mruknęła Isadora, pokazując na papierosa Tary. – Wyglądasz, jakby to był twój pierwszy raz za szkolną szopą na rowery.

Tara poczuła się lekko urażona.

– Chcesz mi powiedzieć, że jestem starą nudziarą?

– Nie, po prostu palenie do ciebie nie pasuje.

Tara zaciągnęła się jeszcze kilka razy, aż zebrało jej się na mdłości. Wrzuciła na wpuł wypalonego papierosa do styropianowego kubka z zimną kawą. Choć bardzo się starała, nie umiała wyobrazić sobie, jak to jest być uzależnionym od tych małych białych patyczków. Wiedziała, że są groźne dla zdrowia, ale nie wydawały się tak groźne jak alkohol. Czy palenie niszczyło związki małżeńskie w taki sam sposób, w jaki picie Finna powoli niszczyło ich?

– Próbowalas kiedykolwiek rzucić? – zapytała nagle, pragnąc zrozumieć, na czym to polega.

Isadora skrzywiła się.

– Przez dziesięć lat miałam tylko jedno postanowienie noworoczne: przestać palić. Do czasu noworocznej kolacji byłam oszalała ze złości. Każdy, kto mieszkał ze mną w tamtym czasie, praktycznie wciskał mi fajkę w dłoń i kazał się zamknąć i zapalić. No i co dziewczyna ma zrobić w takiej sytuacji?

– Kiedy ludzie rzucają papierosy, czy są już na zawsze palaczami, którym jedynie udaje się trzymać od nich z daleka, czy też stają się byłymi palaczami?

Isadora uśmiechnęła się szeroko.

– Musiałabyś o to zapytać kogoś, komu udało się wytrwać bez fajek dłużej niż osiemnaście godzin i cztery minuty.

– No tak. Ale gdybyś naprawdę tego chciała – nie dawała za wygraną Tara – to czy byłabyś w stanie? – Nie myślała o papierosach, lecz o Finnie. Pragnęła zrozumieć. – Czy w końcu zawsze dopadnie cię głód? Czy sądzisz, że gdyby ludzie naprawdę chcieli przestać robić coś, od czego są uzależnieni, to udałoby im się? Czy też siedzi to w nich głębiej?

Isadora przyglądała się przyjaciółce przez obłok dymu.

– Dlaczego pytasz? Och, nic nie mów, wymyślasz jakiś wątek z uzależnieniem. To mają być fajki, picie czy narkotyki i kogo wytypowałeś do otrzymania kielicha mszalnego z trucizną?

Tara roześmiała się i wzięła do ręki notes.

– Zbyt dobrze mnie znasz – odparła. Gorączkowo myślała, którą postać nagle obdarzyć uzależnieniem. Nie chciała, by nawet Isadora знаła jej prawdziwe myśli. Nie była gotowa na to, by grzebać w świeżej ranie. – Oglądałam program dokumentalny o odwyku – improwizowała, grając na zwłokę. – I tak się bawię teraz tym pomysłem. Nie wiem, która postać się do tego najlepiej nadaje, ale musimy jakoś podgrzać atmosferę. – Isadora zmrużyła oczy. – To tylko taki luźny pomysł – dodała nieprzekonująco Tara, przeklinając się za to, że powiedziała coś tak głupiego. Obie niezachwianie wierzyły w to, że najlepsze wątki to te nakręcane przez bohaterów, a nie problemy. Mieć problem, ale nie wiedzieć, do kogo go przypiąć, to zupełnie nie w jej stylu. – Prawdę mówiąc, muszę być zmęczona – rzuciła lekkim tonem – ponieważ to w gruncie rzeczy główniany pomysł.

– Uzależnienie nie jest głównianym pomysłem – odparowała Isadora, wrzucając papierosa do zimnej kawy. – To jeden z niewielu problemów, do których można co jakiś czas wracać, a już dawno nie mieliśmy wątku poważnego uzależnienia, właściwie to od czasów Billie i jej lekomanii. – Zapaliła następnego papierosa i oparła się w zamyśleniu o krzesło. – Którego

doktorka powinniśmy uczynić niewolnikiem butelki? – uśmiechnęła się szeroko. – Podobno człowiek nie jest alkoholikiem, dopóki nie pije więcej od swojego lekarza.

Tara popatrzyła na nią lodowatym wzrokiem.

– Możemy wykorzystać tę kwestię – dumiała Isadora. – Ale sam wątek trzeba wprowadzać stopniowo. W tym przypadku nie możemy się spieszyć. Nikt nie zaczyna nagle pić jak szewc.

W jakiś sposób Tarze udało się wyglądać na zainteresowaną, nie zdradzając, jak mocno wali jej serce.

Isadora wzięła z biurka koleżanki długopis i notes, i zaczęła coś zapisywać.

– W alkoholizm wpada się powoli, musimy oddać to tempo.

– Co potrzebuje tempa? – Tommy, starszy edytor scenariusza, odsunął krzesło i usiadł.

– Tara ma pomysł na wątek z uzależnieniem – oświadczyła z entuzjazmem Isadora.

Tara wiedziała już, jak czuje się śnieżna kula, która stacza się po zboczu.

– To był tylko taki luźny pomysł – powiedziała. Zebranie dotyczące nowych wątków odbyło się wczoraj i nie wspomniała na nim nic na ten temat. Niektórzy redaktorzy czuli się natychmiast zagrożeni, gdy jakikolwiek nowy pomysł pojawiał się bez wcześniejszego omówienia na zebraniu. – Oglądałam po prostu program dokumentalny o uzależnieniach...

– Na którym kanale to było? – Tommy wyglądał na zainteresowanego. – Może moglibyśmy zdobyć kopię.

– Chyba na satelicie, nie pamiętam, jeśli mam być szczerą, ale jakoś tak w zeszłym tygodniu – skłamała pospiesznie Tara. – To nie był jakiś szczególnie dobry program, ale w głowie utkwił mi ten pomysł.

Kiedy już Tommy i Isadora omówili go dokładnie, w głowie Tary nie było nic oprócz uzależnienia.

– Doskonały pomysł – pochwalił ją Tommy. – Potrzebowaliśmy czegoś wstrząsającego dla doktora Carlisle'a, i to jest właśnie to. Ty powinnaś zająć się pisaniem, skoro to twój pomysł.

– Powolne tempo, to absolutnie niezbędne – powtórzyła Isadora.

– Taa, przedstawić to poczucie nadchodzącego nieszczęścia i tylko widownia wie, co się szykuje.

Isadora kiwnęła głową.

– A Carole, jego żona, niczego nie dostrzega z powodu problemów, jakie ma w związku z tą sprawą o molestowanie seksualne.

– Świetnie – rzuciła słabo Tara.

Po wyjściu Isadory i Tommyego wcisnęła klawisz na komputerze, by zniknął wygaszacz ekranu. Kiedy wygaszacz działał dłużej niż dziesięć minut, na ekranie pojawiała się automatycznie gra w słowa. Tara uwielbiała ją i musiała się ograniczać do pięciu minut dziennie. Teraz wyszła z niej za pomocą jednego uderzenia w klawisz i wpatrywała się ślepo w monitor. Jak bardzo można być tępą? Finn jest alkoholikiem, a ona kompletną idiotką, że dopiero teraz to dostrzegła. Nikt z towarzysko pijącej osoby nie stawał się alkoholikiem w ciągu kilku krótkich miesięcy. Były sygnały, sygnały ostrzegawcze, i Tara musiała je widzieć. Ona i Finn byli razem od prawie osiemnastu miesięcy, małżeństwem zaś niemal od roku. Czy on zawsze tak dużo pił, a ją zbyt zaślepiła miłość, by to dostrzec? Albo, co gorsza, czy to się zaczęło dopiero wtedy, gdy wzięli ślub, ponieważ to ich małżeństwo jest powodem jego picia?

Wszyscy uznają, że jest idiotką, skoro dopiero teraz to zauważyła. I powiedzą jej, by się z tego wyplątała. Mama, tata, Stella i Holly – wszyscy przepadali za Finnem, ale żadne z nich nie chciałoby, aby do końca życia uwiązana była przy alkoholiku.

Do jej boksu głowę wsunął Aaron.

– Taro, jest tutaj Scott Irving. Przedstawiamy mu wszystkich w sali konferencyjnej. Chcesz przyjść?

– Tak – odparła szybko Tara.

Scott Irving był najnowszym cudownym dzieckiem Aarona, gorącym, młodym pisarzem, podwędzonym konkurencyjnej stacji telewizyjnej. W normalnych okolicznościach Tara mogłaby

poczuć ukłucie zazdrości, że jej mentor wprowadza do ekipy następnego młodego pisarza. Jednak dzisiaj była zbyt zaabsorbowana innymi sprawami, by się tym przejmować.

Udała się za Aaronem do sali konferencyjnej. Było coś uspokajającego i w tym mężczyźnie, i w swojskości biura. Z pewnością nic wstrząsającego nie mogło wydarzyć się na tym zwyczajnym świecie. Może Finn wcale nie jest alkoholikiem. Gdyby był, nie mógłby wykonywać swojej pracy. Jego współpracownicy by to dostrzegli, dzwoniliby, że wypił kilka butelek wódki albo czegoś innego.

Powiedziała sobie stanowczo, że ludzie nie stają się alkoholikami ot tak. Za bardzo się tym wszystkim przejmowała.

W sali konferencyjnej kierownik produkcji, którego scenarzyści w tajemnicy nazywali Godzillą, ponieważ był strasznie gruboskórny, otwierał właśnie szampana, by uczcić trzy sprawy: fantastyczne wskaźniki oglądalności, pojawienie się w epizodycznej roli błędnej irlandzkiej gwiazdy filmowej i skaperowanie Scotta Irvinga od TV222. Sala była pełna ludzi i rozbrzmiewały w niej zwyczajowe śmiechy i złośliwe uwagi na temat Godzilli, który nie był tak kochany, jak by sobie tego życzył. Żartowanie sobie z niego należało do biurowych sportów, on zaś nadal nie odkrył, kto zmienił dzwonek w jego komórce na głos udającej orgazm gwiazdy porno. Ralph uplasował się wysoko na tablicy wyników za ten akurat kawał, choć Tommy podobno planował coś złośliwego, co miało związek z fotelem Godzilli i klejem superglue.

Tara wślizgnęła się do środka, oparła się o ścianę obok Isadory i wreszcie się odprężyła.

– Wydaje się całkiem niezły, no nie? – zapytała Isadora, pokazując na wysokiego, szczupłego mężczyznę, który stał w przedniej części sali razem z Godzillą i Aaronem. – Podoba mi się ten byronowski czar.

Tara podniosła wzrok i przekonała się, że ten nowy scenarzysta rzeczywiście jest na tyle przystojny, że spokojnie może znaleźć się po drugiej stronie kamery. Miał jasną cerę, dzięki której mógł być bohaterem Anne Rice, a atramentowo-czarne włosy i ciemny zarost nadawały mu wygląd udręczonego artysty.

– Jesteś niepoprawna – wyszeptała Tara do Isadory. – A co się stało ze wspaniałym Michaeliem?

– Rzuciłam go – odparła ze spojrzeniem utkwionym w Scotcie. – Trzy tygodnie to wystarczająco dużo czasu.

Tara roześmiała się w głos. Sytuacja w normie.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Do wielkiej imprezy rodziców zostały trzy dni, kiedy Holly urządziła własną, elitarną kolację urodzinową dla Toma. To był jej pomysł, choć Kenny poszedł krok dalej i zaproponował przyjęcie-niespodziankę, i to dokładnie w dzień trzydziestych pierwszych urodzin Toma, to znaczy w czwartek, a nie dzień później.

– Może już coś zaplanował z przyjaciółmi – powiedziała z wahaniem Holly, kiedy Joan i Kenny zaczęli się zastanawiać, jak podstępnie wyciągnąć Toma do pubu, a potem wrócić z nim do domu na kolację-niespodziankę.

– My jesteśmy jego przyjaciółmi! – oświadczyła Joan takim tonem, jakby to było najzupełniej oczywiste. – Przecież cały wolny czas spędza z nami.

To była prawda. Tom towarzyszył ich trójce w weekendowych wycieczkach do pubu, a także w wypadach do Purple Mosquito, który to klub od czasu triumfalnego wieczoru błyskawicznych randek stanowił ulubione miejsce Joan.

– Tylko sobie wyobraźcie, tylu facetów, a tak mało czasu – westchnęła. – Zamieniam się w magnes na facetów.

– Już chyba bardziej w magnes na lodówkę – stwierdził Kenny. Jego przygoda z Raulem dobiegła końca i był teraz w gderliwym nastroju.

Holly uważała, że fajnie jest chodzić gdzieś razem z Tomem. W jego obecności nigdy nie dokuczała jej nieśmiałość, a kiedy Kenny i Joan odfruwali niczym motyle, by porozmawiać z

całym mnóstwem znajomych, Tom dotrzymywał towarzystwa Holly. Fajnie było móc z kimś porozmawiać zamiast siedzieć w pojedynkę i udawać, że dobrze się bawi.

Tom z kolei próbował zarazić ich trójkę chodzeniem po górach (z nieszczęśliwie dobrym skutkiem w przypadku zarówno Joan, jak i Kenny'ego) i wybrali się wszyscy na rejs łodzią należącą do jego kolegi z pracy (dużo większy sukces, choć okazało się, że cenna, stara kurtka Kenny'ego od Gautiera jest bezużyteczna, jeśli chodzi o utrzymywanie ciepła na pełnym morzu. W pożyczonej od Toma wiatrówce Kenny przez resztę wycieczki wyglądał jak dziecko w ubraniu dorosłego i jęczał słabym głosem: „Nie wierzę, że mam na sobie coś z domu towarowego”).

Teraz Holly posmakowała po raz ostatni sosu. Subtelne aromaty imbiru, trawy cytrynowej i kurczaka doskonale się ze sobą komponowały. Uśmiechnęła się do siebie z dziecięcą radością.

Mieszkanie było udekorowane świeczkami i balonami. Joan zajęła się ich nadmuchiwaniem, co, jak stwierdziła, było jej ćwiczeniem oddechowym na ten tydzień. Holly włożyła swoje najlepsze, wyszczuplające dzinsy i śmiało wycięty top ze staroświeckiej koronki w kolorze starego złota. Zapowiadał się naprawdę fantastyczny wieczór.

Joan miała ochotę na wielką imprezę z dyskotekowym oświetleniem i porządnym didżejem. Ale że nikt nie posiadał stosownych funduszy, osiągnęli kompromis: kameralna kolacja dla Toma, Holly, Kenny'ego i Joan, a następnie imprezowanie w Mosquito razem z tłumem ludzi.

To miała być absolutna niespodzianka: Kenny i Joan mieli za zadanie spotkać się z Tomem po pracy i wyciągnąć go do pubu. A punktualnie o ósmej musieli przyprowadzić go do domu.

Kolacja miała się odbyć w mieszkaniu Holly, ponieważ to ona gotowała. Bardzo się postarała pięknie nakryć stół najładniejszymi talerzami, a po całym mieszkaniu porozstawiała marokańskie szklanki na herbatę, w których umieściła świece.

Joan przygotowała wielką kartkę urodzinową, Kenny zaś dostarczył prezent: miękki jak futerko sweter z kaszmiru, z zimowej kolekcji w jego sklepie i dlatego też, po sezonie i ze zniżką pracowniczą, kosztujący jedną czwartą ceny wyjściowej.

– Jest piękny – stwierdziła z nabożeństwem Holly. Wyobraziła go sobie na Tomie; elegancki, grafitowy materiał, pasujący, podkreślający jego wysportowaną sylwetkę. Przydałoby mu się kilka nowych ciuchów. Wyglądało na to, że w ogóle nie wydaje na nie pieniędzy i wystarczają mu znoszone bluzy, wytarte dzinsy i czasami, na ważne spotkania, garnitur.

Kenny próbował zająć się stylizacją Toma, ale on ze śmiechem zaprotestował:

– Na budowie nie ma miejsca na buty od Gucciego, Kenny. Jestem architektem, a nie modelem z żurnala.

Holly wyłączyła telewizor i puściła jakąś muzykę. Do ósmej zostało pięć minut i ona była gotowa. Cóż, może jeszcze tylko trochę więcej błyszczyku na usta i ostatnie przejechanie szczotką po włosach. Twarz miała uroczo zarumienioną. Mimowolnie uśmiechnęła się z podekscytowaniem. Też miała prezent dla Toma, taki osobny, o którym nie powiedziała pozostałym. To była książka o Lee Corbusierze, architekcie. Nigdy o nim nie słyszała, dopóki nie zainteresowała się tym tematem. Sprzedawca w księgarni zapewnił, że Tomowi spodoba się ta książka.

– Szczęściarz z niego – dodał mężczyzna, uśmiechając się szeroko do Holly, gdy wbijał na kasę potwornie wysoką sumę.

Holly zarumieniła się i potknęła się z zakłopotaniem o stojak z książkami Jak odnaleźć duchowy spokój.

– To tylko przyjaciel – mruknęła, a jej twarz nabrała interesującej, purpurowej barwy.

– Jasna sprawa – rzeki sprzedawca. – Mam nadzieję, że w kilkoro się na nią zrzucacie. To naprawdę piekielnie dobry prezent.

– T... tak, kupujemy go w kilka osób – wyjąkała Holly.

Książka została zawinięta w papier, przewiązana niebieską wstążką i leżała teraz pod łóżkiem Holly, czekając na właściwy moment. Chciała dać ją Tomowi, gdy nikt nie będzie widział.

Dzwonek rozbrzmiał donośnie. Holly wrzuciła błyszczący do stojącej na zlewie kosmetyczki i pospieszyła do drzwi.

– Wszystkiego najlepszego! – zawołała radośnie.

Tom wyglądał na zdumionego.

– Niespodzianka! – zanucili wesoło Kenny i Joan, wpychając go do korytarza.

Millerówna objęła Toma i pocałowała nieśmiało w policzek. Miał w końcu urodziny.

– Holly... zupełnie się nie spodziewałem – wydusił Tom. – Nie miałem pojęcia...

– To naprawdę cudowny pomysł! – Zza Joan wyłoniła się drobna blondynka, ubrana w maleńką, dzinsową kurtkę, w rozmiarze zdecydowanie dziecięcym. Holly poczuła, jak zamiera jej serce. – Jestem Caroline, dziewczyna Toma i słyszałam mnóstwo o tobie. Cudownie cię poznać.

Otoczyła ramionami Toma i przyłgnęła doń mocno, niczym mały leśny elf, tulący się do drzewa. W porównaniu z nią Holly poczuła się jak szympanśca. Nagle jej najbardziej wyszczuplające dzinsy zdawały się w ogóle nie wyszczuplać, a w koronkowym topie z dużym dekoltem czuła się jak wypacykowana zdzira w porównaniu z tym małym duszkiem o promiennej cerze.

– Umieram z głodu – oświadczyła Joan, przenosząc imprezę do pokoju. – Bierzmy się za jedzenie. Wystarczy dla Caroline, prawda, Holly?

– Nie jem dużo – wtrąciła słodkim głosem Caroline. Holly zauważyła, że ona ma nawet dołeczki w policzkach. Dołeczki, twarz w kształcie serca i słodkie usta niczym pączek róży. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam, ale przyjechałam z Cork, by zrobić Tomowi urodzinową niespodziankę. To cudownie, że tak się o niego troszczycie!

Obdarzyła ich wszystkich promiennym uśmiechem i usadowiła się na dwuosobowej sofie, klepiąc w poduszkę, by usiadł obok niej Tom. Uczynił to posłusznie. Holly przyglądała się nowo przybyłej. Caroline nie wyglądała, jakby sądziła, że rzeczywiście ktoś może sobie pomyśleć, iż przeszkadza. Wyglądała tak, jakby uważała, iż może znajdować się wszędzie tam, gdzie tylko ma ochotę się znaleźć.

– Holly, to naprawdę wspaniale – mówił właśnie Tom.

Posłała mu automatyczny uśmiech, wypracowany podczas tych wszystkich przyjęć wigilijnych u Millerów.

– Jesteś taka dobra, że ugotowałaś kolację – dodał.

– To twoje urodziny – odparła szybko. – Nie mogliśmy pozwolić, byś świętował je w pojedynkę.

Kenny otworzył wino i gazowany sok jabłkowy, za którym aktualnie przepadała Holly, Joan zrobiła głośniejszą muzykę i impreza toczyła się dalej, gdy tymczasem gospodyni wycofała się do aneksu kuchennego i zajęła się niepotrzebnym mieszaniem.

– Jeszcze kilka minut – skłamała. Wszystko było gotowe. To ona potrzebowała paru chwil, by wziąć się w garść. Ze swojego miejsca przyglądała się Tomowi i Caroline. Wyglądali na takich szczęśliwych: on, potężny, czuły opiekun i ona, filigranowe, urocze oczko w jego głowie.

Caroline opowiadała właśnie zebranych o drodze do Dublina i tym, jak złapała gumę w okolicach Fermoy.

– ...ale ten uroczy facet w porsche zatrzymał się i pomógł mi zmienić koło! – Ucisnęła ramię Toma. – Wiesz, że w takich sprawach jestem beznadziejna. Pokaż mi firmę w tarapatkach, a wyciągnę ją z nich w mgnieniu oka. Poproś mnie o wymianę żarówki, a skończy się kompletną klapą!

Wszyscy się śmiali, a najgłośniejszy Tom.

Patrząc na nich, Holly poczuła ukłucie bólu tak wielkiego, że przez chwilę zastanawiała się, czy może przypadkiem fiszbina w jej tanim czarnym staniku przebiła się przez tkaninę i wdiera się w jej ciało. Jednak choć dyskretnie sprawdziła, i tak wiedziała, że to nie fiszbina jest problemem. Ból był umiejscowiony znacznie głębiej.

Głupia była, myśląc, że Tom może ją lubić. Miał dziewczynę, na litość boską. Filigranową, małą księżniczkę, czego więc miałby chcieć od niej? Nie miała samochodu z kołami do

zmieniania, ale nawet gdyby miała, nikt nigdy nie zatrzymałby się przy niej z piskiem opon, by pomóc w wymianie. Mijałoby mnie, pomyślała żałośnie Holly, zakładając, że taka jałówka zdoła podnieść samochód bez pomocy lewarka.

– No dobrze, kolacja gotowa – oznajmiła jowialnie. – Siadajcie wszyscy, a ja zajmę się nakładaniem.

Caroline wcisnęła się między Toma a Joan, wydawała pełne zachwyty okrzyki na widok porcelany nie do kompletu i zwędziła kawałek pomidora oraz chleba fenkułowego z talerza Toma, choć wcześniej sama odmówiła ich jedzenia.

– Normalnie nie jadam zbyt dużo pszenicy – wyjaśniła, gdy Holly postawiła przed nią talerze i sztućce.

Od dzisiaj żadnej pszenicy, postanowiła Holly. Wyglądało na to, że w tym właśnie tkwi sekret.

– No a ty, Joan? – zapytała Caroline. – Jesteś bardzo szczupła. Jesz pszenicę?

Joan, smarująca właśnie masłem kawałek chleba, uśmiechnęła się szeroko.

– Ona je wszystko – odpowiedział za nią Kenny. – Muszę przybijać meble do podłogi, na wypadek gdyby zachciało jej się odgryźć kawałek ławy.

W pokoju rozbrzmiał perlisty śmiech Caroline.

– To taaakie zabawne – rzekła, chwytając ramię Toma i ściskając je.

– Nie rozumiem, dlaczego sobie czegoś odmawiasz, przecież nie musisz – stwierdziła Joan z pełnymi ustami.

Caroline podniosła oczy do nieba.

– Jestem taka drobna – westchnęła. – Jeśli przybędzie mi choć pół kilo ponad czterdzieści osiem, naprawdę to widać.

Usta Holly otworzyły się. Czterdzieści osiem kilo. Tyle ważyła pewnie jej lewa noga.

– Kiedy mam chude myśli, jem raz dziennie zupę z kapusty – oświadczyła Caroline.

Chude myśli. Holly zastanawiała się, jak to się robi. Zupie z kapusty raczej nie podola, ale może jakoś da radę chudym myślom.

Postawiła półmisek na stole i zaczęła nakładać kurczaka z imbirem i trawą cytrynową, nad którym tak się napracowała.

– Wygląda i pachnie oszałamiająco – stwierdził Kenny, wciągając głęboko powietrze.

– Tak, dziękuję – rzekł Tom, nachylając się nad stołem, by dotknąć dłoni Holly.

– Za Toma – odezwała się nagle Caroline, podnosząc kieliszek z winem. – Wszystkiego najlepszego, kochanie.

Wszyscy unieśli kieliszki. Caroline wstała i pocałowała Toma prosto w usta.

Holly, która wcześniej planowała przez cały wieczór pozostać przy soku jabłkowym, ponieważ nie chciała dostać głupawki w obecności Toma, pociągnęła spory łyk wina, a następnie sięgnęła po chleb. Wyrzeczenie się pszenicy będzie musiało zaczekać, gdyż nad jej chudymi myślami górę wzięły te pełne zazdrości.

Kenny podał jej masło i napotkał jej spojrzenie. W jego oczach malowało się współczucie, gdy posłał jej całusa.

Holly uśmiechnęła się z wdzięcznością. Może i utraciła Toma, ale nadal miała swoją małą rodzinę.

Caroline była duszą imprezy. Śmiała się z każdego słowa, wypowiedzanego przez Joan lub Kenny'ego, ściskała ramię Toma tak często, że Holly była pewna, iż będzie miał siniaki, i skubała kolację w taki sposób, jakby królik nieśmiało skubał liść sałaty.

Choć wcześniej Holly umierała z głodu, teraz stwierdziła, że w ogóle nie ma apetytu, i tylko przesuwała jedzenie po talerzu.

Wyczerpawszy temat diet, Caroline opowiadała o tym, jak uwielbia doradztwo do spraw zarządzania i wyzwanie, jakiemu musi sprostać, skoro co kilka miesięcy bierze się za nową firmę.

– Ludzie nie doceniają takich kobiet jak ja – oświadczyła z powagą. – Sądzą, że skoro jestem drobną blondynką, to mogę być jakimś popychadłem. – Szelmowski uśmiech pojawił się w kącikach jej ładnych ust. – To błąd, którego nie popełniają po raz drugi.

Joan była tym zafascynowana.

– W co się ubierasz? – zapytała. – Męskie garnitury w prążki, krawaty i getry, by pokazać, że jesteś ostrą laską, ale że znasz się na modzie?

– Nie ma mowy! – odparła Caroline. – Nigdy nie chodzę do pracy w spodniach. I zawsze wkładam buty na obcasie. To, że jestem kobietą pracującą w męskim świecie, nie oznacza wcale, że muszę przekreślać własną kobiecość.

Joan miała skonsternowaną minę.

– Osobiście nie przepadam za spódnicami. Prawdę mówiąc, to nie mam ani jednej – powiedziała. – Nie jestem spódnicowa.

Caroline wzruszyła ramionami.

– Każdy z nas jest inny. Ty masz własny wizerunek: na luzie i supermodny. Bardzo podoba mi się ten T-shirt.

Joan popatrzyła z dumą na swoje najnowsze dzieło, mnóstwo marszczeń, które wyglądały modnie dzięki graffiti i jej wyjątkowym umiejętnościom, oraz rząd perełek naszytych w hołdzie Chanel. Z przodu był wściekle zielony, z tyłu zaś ciemnofioletowy.

– Jest bardzo w moim stylu – oświadczyła Joan. – Robię ich dziesięć do designerskiego butikiku na Castle Market i jeśli się sprzedadzą, butik kupi ich więcej.

– No widzisz – powiedziała Caroline – masz własny, wyjątkowy styl. Tak jak i ja. – Zerknęła na Holly, która czekała, by usłyszeć, jaki wyjątkowy styl ma ona. Caroline skubnęła kawałek kurczaka. – Fantastyczny – pochwaliła. – Widać, że uwielbiasz gotować.

Holly upiła kolejny wielki łyk wina.

Przed jedenastą zaczęli się zbierać do Mosquito. Caroline zapiszczała z radością, mówiąc, że bardzo dużo o nim słyszała. Pobiegła nawet do mieszkania Toma, by się przebrać. Pięć minut później pojawiła się w króciutkiej, niebieskiej halkowej sukience w kwiatki i w dzinsowej kurtce. Fakt, że w sukience wyglądała jeszcze lepiej, nie wytrącił Holly z równowagi nawet w połowie tak bardzo jak świadomość, że oczywiście Caroline zostanie u Toma, będzie spała obok niego, chichotała z nim przy śniadaniu. Holly przykleiła do twarzy szeroki uśmiech i ruszyła na czele ich małej grupki do klubu. W ogóle nie poprawiła makijażu: jaki miało sens malowanie ust na róż w odcieniu kwiatu czereśni skoro pękło jej serce?

W drzwiach stała panna Mindy. Dzisiaj, w wieczór czerwony, ubrała się w największą, najbardziej czerwoną minisukienkę z lureksu, jaką Holly widziała w życiu. Na nogach miała sandaalki na koturnie, które miały wielkość holowników.

– Cześć, koleżanko – rzekła do Holly. Reszta ekipy weszła już do środka. – Co słychać?

– Dobrze – odparła Holly.

– Wyglądasz na zmęczoną. Za dużo pracy, co?

– Nie. Jest mi po prostu smutno.

– Kłopoty z facetami – odgadła trafnie panna Mindy.

Holly nie bawiła się w kłamanie. Panna Mindy była taką osobą, która natychmiast wychwytywała kłamstwo.

– Tak. Szukałam sobie faceta, a tego, który mi się podobał, miałam przez cały czas przed nosem.

– Ten wielki koleś z potężnymi dłońmi?

– Właśnie ten.

– Byłby świetnym bramkarzem – westchnęła panna Mindy, cierpiąca na braki w personelu.

– Jest bardzo delikatny – zaprotestowała Holly.

Warstwa podkładu na twarzy panny Mindy pękła, gdy kobieta się uśmiechnęła.

– Wszyscy najlepsi tacy są – odparła. – Tacy właśnie faceci podobają się i mnie: na zewnątrz olbrzym, w środku baranek. Czy ta mała blondynka w dzinsowej kurtce jest z nim?

Holly pokiwała ze smutkiem głową.

– Dlaczego ci wszyscy faceci zawsze się uganiają za małymi, wymuskаныmi laluniami? – Panna Mindy posłała lekceważące spojrzenie Caroline, która siedziała na taborecie barowym, z fałszywą skromnością skrzyżowała nogi i wyglądała niczym dziewczyna z reklamy papierosów z lat czterdziestych. Potrzebowała jeszcze jedynie kokardek przy butach.

– Kiedy byłam w twoim wieku, pragnęłam być jedną z tych drobnych dziewcząt – dodała panna Mindy. – Ale miałam ponad metr osiemdziesiąt i prawy sierpowy lepszy niż wszyscy znani mi faceci. Mężczyźni nie lubią, gdy się nad nimi góruje. Wolą mieć uruchomiony instynkt opiekuńczy. My, duże dziewczyny, nie mamy żadnej szansy. Cóż, ja nie mam. Ty tak, koleżanko. Jesteś cudo. – Poklepała z czułością policzek Holly. – Miejmy nadzieję, że ten wielki pacan zobaczy, co traci, i rzuci tę blondyneczkę.

Holly uściskała właścicielkę lokalu i weszła tam w nieco lepszym nastroju. Dobra, może nie podnosiło jej na duchu to, że panna Mindy zaliczała siebie i ją do klubu samotnych serc dla dużych dziewczyn, ale przynajmniej była miła i zdawała się rozumieć, na czym polega nieodwzajemniona miłość. Holly uznała, że ludzie nigdy nie przestaną jej zadziwiać. Pod tą całą warstwą makijażu panna Mindy także była trochę barankiem.

Impreza toczyła się swoim torem, i co jakiś czas pojawiali się i odchodzili nowi ludzie. Holly, która uznała, że alkohol nic nie pomoże, piła jedną wodę mineralną za drugą i trzymała się tak daleko od Toma i Caroline, na ile mogła, żeby nie sprawić przy tym wrażenia niegrzecznej. Nie było to trudne. Ich grupa siedziała w rogu wokół dużego, okrągłego stolika, Tom i Caroline po jednej stronie, Holly po drugiej.

Caroline z lubością chłonęła atmosferę zabawy. Jak na tak drobną osóbkę potrafiła wytrąbić całkiem sporo wódki, wlewając w siebie Cosmopolitany tak, jakby świat miał się zaraz skończyć. Wkrótce przyczepiona była do Toma niczym ładna, pijana szmaciana lalka.

Podczas ostatniej wyprawy do ubikacji związała włosy w kok, na który Joan patrzyła teraz z pogardą.

– Kogo mi ona przypomina? – zapytała. Ona także wypila mnóstwo Cosmopolitanów, ale nie miało to na nią większego wpływu. – Pebbles, tak jest. Wygląda jak Pebbles z Flinstonów.

Holly zakryła usta dłonią, by się głośno nie roześmiać.

– Ćśś, Tom usłyszysz.

Miała wyrzuty sumienia, że śmieje się z dziewczyny Toma, ale poczuła się dzięki temu trochę lepiej.

– Zapytała mnie, dlaczego nie mam własnego mieszkania i dlaczego ty, ja i Kenny trzymamy się ciągle razem. – Głos Joan był ponury. – Spytała, czy wydaje nam się, że próbujemy odgrywać Przyjaciół. Ma szczęście, że nie kopnęłam jej w ten cały kok.

Siedząca po przeciwnej stronie stolika Caroline zasnęła.

– Chyba zabiorę ją do domu. – Tom próbował przekrzyczeć muzykę.

Holly, która nie musiała przytulać go na pożegnanie dzięki temu, że siedziała ciasno pomiędzy znajomymi Kenny'ego, pomachała mu przyjacielsko.

– Pa – rzuciła pogodnie. – Mam nadzieję, że jesteś zadowolony z urodzin.

– Tak. – Tom wstał i wyglądało tak, jakby się zastanawiał, w jaki sposób przedostać się przez grupę ludzi do Holly.

Poczuła ulgę, kiedy zmienił zdanie i pomógł Caroline wstać.

Kiedy już poszli, Holly nie kryła dłużej, że w ogóle nie ma ochoty na imprezę.

– Chcesz jechać do domu? – zapytał Kenny, opadając na siedzenie obok niej.

– Tak, ale możemy chwilę poczekać?

– Dajmy Tomowi szansę na złapanie taksówki – rzekł Kenny, kiwając głową.

Joan miała ochotę zostać, więc Kenny i Holly wyszli z klubu sami.

W taksówce Holly wyglądała w milczeniu przez okno.

– Niezupełnie taki wieczór zaplanowaliśmy – odezwał się Kenny.

– Nie.

– Co myślisz o Caroline?

– Widać, że ty ją polubiłeś – odparła Holly, zła na siebie, że ten fakt tak ją boli.

– Prawdę powiedziawszy, skarbie, to nie – stwierdził Kenny, czym ją zaskoczył. – Próbowałem ją polubić ze względu na Toma, ale nie przepadam za takimi twardzielkami.

– Ona nie jest twardzielką, ona jest kobieca – zaprotestowała Holly, która pragnęła być filigranowa, mieć jasne włosy i móc się wcisnąć w sukienkę o rozmiarze trzydzieści cztery.

Kenny się wzdrygnął.

– Nie daj się oszukać, Holly. Pod całą tą otoczką „taka mała i słodziutka” jest twarda jak stare chodaki. Dla kobiet jej pokroju kobiecość nie jest jedynie bronią: to pocisk samosterujący dalekiego zasięgu i jeśli nakieruje go na ciebie, uważaj. Nie takiej dziewczyny spodziewałem się po Tomie – dumiał. – Zauważyłem, że się denerwowała z twojego powodu – dodał.

– Z mojego powodu? – Holly roześmiała się. – Nie sądzę.

– Mówię poważnie. Wciąż na ciebie zerkała, Holls. Wiesz przecież, że mam bystre oko.

W domu rozebrała się i starannie złożyła wyszczuplające dzinsy. Kiedy je trzymała w rękach, wyglądały na takie duże. Całe ciało Caroline zmieściłoby się pewnie w jednej nogawce. Holly odłożyła je na dno szafy do innych ubrań, których już nigdy nie miała zamiaru nosić. Głupia była, sądząc, że ładnie w nich wygląda, i głupia, sądząc, że ma jakąś szansę u Toma.

Co miała do zaoferowania w porównaniu z Caroline? Tom był profesjonalistą i pragnął mieć dziewczynę, która pasowała do jego osiągnięć: olśniewającą i odnoszącą sukcesy zawodowe. Taką, którą inni faceci także podziwiali. Holly wyjęła z szafy ulubione granatowe spodnie od dresu i rozsiadła się przed telewizorem. Była zbyt zraniona, by położyć się spać.

Przeskakiwała po kanałach, aż natrafiła na jakiś czarnobiałny film. Otworzyła tabliczkę czekolady. Przynajmniej czekolada nigdy cię nie zawiedzie. Znowu była sama, a w sobotę musiała przebrnąć przez przyjęcie z okazji rubinowych godów.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Rankiem w ostatnią sobotę kwietnia na niebie nie widniała ani jedna chmurka. Biały namiot błyszczał w porannym słońcu, a zapach dzwonek z ogrodu Rose mieszał się z wonią świeżo skoszonej trawy. Kiedy Adele obudziła się o szóstej, w Meadow Lodge panowała cisza, pomimo większej liczby lokatorów niż zazwyczaj. Stella i Amelia przyjechały z Dublina w piątek wieczorem, akurat na szybką i – zdaniem Adele – bardzo swobodną kolację. Zapiekanka z kielbaskami to musi być jakiś nowoczesny wynalazek. Adele przebywała w Meadow Lodge od czwartku, by pomóc w przygotowaniach do przyjęcia, aczkolwiek nie wyglądało na to, aby trzeba było jakichś wielkich przygotowań. Rose zapewniła ją beztrąsko, że całą pracę wykonują pracownicy firmy cateringowej, florystki i ludzie od namiotu, i że ona i Adele muszą się jedynie zatroszczyć o swoje fryzury. Hugh wziął w piątek urlop, by zająć się kilkoma ostatnimi zadaniami wokół domu, takimi jak koszenie trawy, i siostra z przyjemnością spędziła z nim trochę czasu. Po południu wymknął się na spotkanie ze starym kumplem, Alaistairem, więc Adele wzięła na siebie nadzorowanie rozstawiania namiotu. Nie znalazła żadnego uchybienia ani w środku, ani na zewnątrz. Co nie znaczy, by nie próbowała. Kiedy pracownicy zabrali się za rozstawianie tej gigantycznej konstrukcji, ona przyglądała się uważnie, pełna determinacji, by wychwycić osoby robiące to niedbale i upomnieć je. Jednak niczego nie zrobiono niedbale. Cała ekipa uwijała się bardzo szybko i sprawnie i wszyscy byli weseli, machając i uśmiechając się do niej za każdym razem, gdy dostojnie się ku nim zbliżała.

Najgorsi byli dwaj mężczyźni zajmujący się podłogą.

– Pewnie przetańczy pani tutaj całą noc, co nie, proszę pani? – zapytał bezczelnie jeden z nich.

Adele obdarzyła go spojrzeniem pełnym surowości.

– Proszę sobie nie pozwalać na impertyncję, młody człowieku – warknęła i odmaszerowała mocno urażona.

Adele znalazła Rose przy stole w kuchni, ale bratowa podeszła do tej sprawy jak zwykle niefrasobliwie. Ubrana była w dzinsy, na litość boską. Adele uważała, że dzinsy są dla młodych.

– Nie ma sensu kręcić się i obserwować każdego ich ruchu – powiedziała Rose, podnosząc głowę znad listy odpowiedzi pozytywnych, której używała do sporządzenia luźnego planu rozsądzenia gości. – Kompletnie się nie znam na rozstawianiu namiotów. Kiedy już skończą, a stoły i krzesła znajdą się w środku, pójdę i wszystko obejrzę.

– No cóż, skoro tak właśnie uważasz – odparła Adele, urażona. – Mogę się zająć planem usadzania gości. Jestem dobra w takich rzeczach.

Rose wyglądała na skrępowaną.

– Prawdę powiedziawszy, Adele, to prościej będzie, jeśli ja to zrobię, ponieważ przychodzi wielu ludzi, których nie znasz, i nie wiedziałabyś, obok kogo można ich posadzić.

Adele miała ochotę wyjść gniewnie z kuchni, nie zrobiła tak jednak. Naala sobie natomiast herbaty z dzbanka (niegrzecznie ze strony Rose, że zaparzyła, a nie zawołała jej) i usiadła ciężko obok bratowej. Będzie po prostu miała oko na plan usadzenia, na wypadek gdyby Rose coś sknocila.

Teraz był sobotni poranek i Adele bolała głowa. Ubrała się i zeszła na dół, gdzie Rose i Amelia jadły właśnie śniadanie.

– Dzień dobry, ciociu – powiedziała poważnie Amelia.

Adele posiadała jej podejrzliwe spojrzenie. Wczoraj wieczorem odbyła się długa rozmowa «a temat dobrych manier i starsza pani próbowała wpoić dziewczynie, by mówiła „Dzień dobry” i „Dobry wieczór” zamiast „Cześć”. Jednak w oczach Amelii nie było widać figlarnego błysku. Tej małej po prostu trzeba było powiedzieć, jak się poprawnie wyrażać. Adele uważała, że dzieci lubią, gdy krótko się je trzyma.

– Dobrze spałaś? – zapytała Rose, pospiesznie ścierając ze stołu okruchy od tostów.

– Znośnie – zaczęła Adele. Zamierzała opowiedzieć o tym, że obudziła się o piątej i że łóżko najlepsze lata ma już za sobą, ponieważ nie była w stanie wygodnie się ułożyć.

– Świetnie – odparła z werwą Rose, ucinając w ten sposób temat. – No to Amelio, co teraz robimy? Na końcu dróżki na łące pasą się owce. Chciałabyś je zobaczyć?

– Owce, tak!

Adele wzięła sobie filiżankę i spodek do porannej kawy i słuchała, jak mała Amelia trąkocze o tym, że kiedy dorośnie, będzie miała całe mnóstwo zwierząt.

– I nie tylko złote rybki – dodała stanowczo. – Złote rybki na końcu unoszą się na wodzie i trzeba je splukać w toalecie. Becky swoją splukała, ale Shona swoją zakopała w ziemi. Moje jeszcze żyją, ale mamusia mówi, że jeśli umrą, to możemy urządzić im pogrzeb. Myślałam, że Goldie umarła w zeszłym miesiącu, ale wyzdrowiała, tyle że teraz ma inny kolor – dodała, patrząc na Rose. – Czy to możliwe?

Przebywając z babcią, Amelia była pełnym życia małym chochlikiem, z ciemnymi oczami błyszczącymi psotnie. Dzieci i zwierzęta kochały Rose; instynktownie coś je do niej ciągnęło.

W towarzystwie Adele Amelia była jak nie ta sama. W miejsce chochlika pojawiała się grzeczna dziewczynka z doskonałymi manierami.

– Do zobaczenia później, Adele – powiedziała bratowa, udając się z Amelią na wycieczkę do świata owiec.

Wyjść w dniu, kiedy w twoim domu odbywało się wielkie przyjęcie? Adele była zgorszona. Tyle rzeczy trzeba było nadzorować, a Rose wychodziła sobie z wnuczką jak gdyby nigdy nic, jakby za kilka godzin w jej domu nie miało się zjawić jakieś dwieście osób.

Rose mogła oczywiście przekazać część obowiązków Adele. Ale nie, Wielka Pani Rose nigdy by tak nie zrobiła. Nie rozumiała pojęcia rodziny i tego, jak bardzo bratowa pragnie być zaangażowana. Adele pozwoliła, by wzbierało w niej znajome poczucie krzywdy, aż jeszcze bardziej rozboleła ją głowa. Koniec tego: powie Hugh wszystko o tym nonszalanckim zachowaniu jego żony.

\*\*\*

Tara przeciągnęła się z lubością w łóżku, czując się wypoczęta po doskonale przespanej nocy. Była pewna, że jej dobry humor ma związek z tym, że od czasu ich kłótni Finn nie pił.

Wczoraj spędził pierwszy od wieków piątkowy wieczór bez kropli alkoholu. Tarze ani trochę to nie przeszkadzało. Równie dobrze mogła do obiadu pić wodę mineralną. Finn twierdził to samo.

– Tak jest zdrowo – mówił, nadstawiając szklankę po dolewkę wody.

Objedli się później czekoladą. Jej mąż miał ogromny apetyt na słodczyce i ciągle przynosił do domu wielkie tabliczki mlecznej czekolady.

Finn pojawił się w drzwiach z tacą, na której znajdowała się kawa, sok pomarańczowy i tost.

– Śniadanie do łóżka, jasnie pani.

– Fantastycznie – Tara uśmiechnęła się do niego. Normalnie trzeba było kija, by wygnać go rano z łóżka. Dzisiaj wstał wcześniej od niej.

Postawił tacę na jej kolanach i usiadł ostrożnie na łóżku, biorąc kawałek posmarowanego masłem tosta, po czym wgrzył się w niego z apetytem.

– Najedz się – rzekł z pełnymi ustami. – Minie pewnie wiele godzin, nim dostaniemy jeść u twoich rodziców.

– Jedzenie zapowiada się świetnie – oświadczyła Tara. – Mama przeczytała mi menu i są tam różne rodzaje ryb, jagnięcina i wołowina na zimno dla mięsożerców oraz jakiś niesamowity deser z truskawek. – Gryzła z namysłem tost. – Finn, proszę, czy mógłbyś dzisiaj nie pić? Dla mnie? – Miała nadzieję, że jej prośba odniesie skutek. Akurat dzisiaj nie zniósłaby, gdyby strasznie się upił i zrobił głupca z siebie i z niej.

– Nie musisz nawet o to prosić – odparł Finn, a w jego głosie słyhać było urazę. – Chyba nie sądzisz, że wytrąbię butelkę wódki przy twoich rodzicach? – Tara zagryzła usta, by nic nie powiedzieć. – Piję towarzysko i czasami zapominam powiedzieć sobie „dość”, to wszystko – kontynuował Finn. – Nie musisz traktować mnie jak dziecko.

– Okej, okej – powiedziała, byle tylko zachować pokój.

– Nie piłem od prawie dwóch tygodni. – Jego spojrzenie pełne było gniewu.

– Zapomnij o tym, co powiedziałam – wycofała się pospiesznie Tara. – Przepraszam.

– Mam nadzieję. – Finn wstał z łóżka tak szybko, że taca zachybotowała się i kawa chlupnęła na koldrę. Tara zaklęła i chwyciła chusteczkę, by wytrzeć co się da. Miała nadzieję, że to nie jest zły omen.

\*\*\*

Holly z niedowierzaniem przeglądała listę gości.

– Pomyślałam, że lepiej będzie, jeśli cię ostrzegę – mówiła przeproszająco Stella.

Siedziały w niewielkim patio na tyłach domu w Kinvarrze i wystawiały twarze do ciepłego porannego słońca. Holly paliła jednego papierosa za drugim.

– Richie Murdoch – powiedziała, gdy znalazła osobę, o której była mowa. – Jak, u diabła, mogła zaprosić Richiego Murdocha?

– Jego matka skręciła nogę w kostce i on ją przywozi.

Na słodkiej twarzy Holly malował się gniew i poczucie dawnej krzywdy.

– Ten facet to prawdziwa kanalia. Czy ona nie wie, że zaprosiłam go na mój bal debiutancki i zgodził się, a w ostatniej chwili zmienił zdanie i poszedł z inną dziewczyną?

Holly ogarnęła wściekłość na samo wspomnienie, a jeszcze większa z powodu tego, że jej matka najwyraźniej zupełnie nie zwróciła na to uwagi. Nigdy nie zapomniała upokorzenia, jakiego doznała, gdy tuż przed ważną szkolną uroczystością została porzucona przez chłopaka. Gdyby Donna nie umówiła jej na randkę w ciemno, w ogóle nie byłaby w stanie pójść. Co prawda o tej akurat randce nie dało się powiedzieć, że okazała się oszałamiającym sukcesem, ale oszczędziła jej przynajmniej wstydu, jaki towarzyszyłby pojawieniu się w pojedynkę.

– Nigdy jej nie powiedziałaś – wyjaśniła łagodnie Stella.

– Mama nie ma pojęcia. Powiedziałaś jej jedynie, że ty i Richie rozstaliście się. Nie mogłam pojąć, dlaczego tak zrobiłaś.

Holly rzuciła niedopałek na ziemię i rozgniotła go butem. Po raz pierwszy w życiu miała ochotę być otwarcie zła na matkę.

– Mama by tego nie zrozumiała – odparła, wyjmując z paczki nowego papierosa i natychmiast go zapalając.

– Nie możesz tak mówić – stwierdziła Stella. – Mama jest świetna, zawsze się nami interesuje i zawsze się we wszystko angażowała. Gdyby o tym wiedziała, odwiedziłaby Richiego w jego domu i powiedziała mu parę słów do słuchu.

– Powiedziałam tacie – przypomniała sobie Holly.

– Tata oświadczył, że to dupek i czy chcę, by mu połamał obie nogi.

Obie roześmiały się na myśl o tym, że ich łagodny, praworządny ojciec mógł w ogóle powiedzieć coś takiego.

– Córeczka tatusia – przekomarzała się łagodnie Stella, starając się rozchmurzyć siostrę.

– Po prostu nie rozumiem, jak mama mogła zaprosić Richiego i nawet mi o tym nie wspomnieć – oświadczyła Holly. – Musiała się przecież zastanawiać, dlaczego tak szybko z sobą zerwaliśmy. Ty wtedy nie mieszkałaś już nawet w domu, ale wiedziałaś, że coś jest nie w porządku – dodała żarliwie. – Mama nie miała pojęcia. To właśnie nazywasz zainteresowaniem?

– Cześć, dziewczynki, wróciłyśmy – dobiegł z korytarza głos Rose. – Gdzie się podziewacie?

Holly wstała i wcisnęła listę gości w dłoń siostry.

– Jestem zbyt wkurzona, by z nią rozmawiać – oznajmiła i oddaliła się w stronę krzewów.

Stella patrzyła za siostrą, czując się ich rozmową dziwnie skonsternowana i podenerwowana. Zawsze czerpała wsparcie z siły rodzinnych więzów. Gdy się dowiedziała, że jej wizji rodziny Millerów nie dzielają wszystkie osoby zainteresowane, poczuła się wytrącona z równowagi.

Holly wypaliła jeszcze dwa papierosy, chodząc gniewnie po ogrodzie i wracając myślami do tych okropnych czasów, gdy była nastolatką.

Szalała wtedy na punkcie Richiego Murdocha. Znała go odkąd miała czternaście lat, ale nigdy sobie nawet nie wyobrażała, że luzacki Richie, jeden z najpopularniejszych chłopaków w Kinvarrze, posiadający motocykl Kawasaki, którego zazdrościli mu wszyscy koledzy, mógłby się nią zainteresować. Boleśnie nieśmiała i jeszcze bardziej boleśnie świadoma swej puszystej sylwetki, Holly prawie w ogóle nie odzywała się do swego idola i cieszyła się, że może przyglądać mu się z oddali. A potem w klubie tanecznym drużyny rugby poprosił ją do tańca. Nikt nie był tym bardziej zdumiony niż sama Holly. Tak wyglądał początek trzymiesięcznego związku, cudownego dla niej okresu, kiedy wreszcie czuła, że znalazła swoje miejsce. Była w siódmym niebie ze swym pierwszym chłopakiem aż do tygodnia poprzedzającego bal debiutancki, kiedy Richie zadzwonił do niej i oświadczył, że to koniec.

Powiedzieć, że miała złamane serce, to za mało. Jego czyn był czymś więcej niż prostym zakończeniem ich związku, był straszliwym odrzuceniem.

Teraz, mając już nieco doświadczenia w sprawach damsko-męskich, Holly potrafiła spojrzeć wstecz i zrozumieć, że trudno ich nazwać Romeem i Julią. Ich konwersacje były zawsze bardzo ograniczone. Richie chciał rozmawiać jedynie o swoim motocyklu, gdy tymczasem Holly słuchała go z uwielbieniem.

Jako dorośli wytrwaliby z sobą pięć minut. Jednak nie o to chodziło. Chodziło o to, że porzucił ją w sposób okrutny i bezduszny, a jej matka nawet tego nie zauważyła.

Zgasiła papierosa i nie podniosła niedopałka, by później jakoś się go pozbyć. Miała to gdzieś. Nie będzie już grzeczną, cichą córeczką. Chciała być zła na swoją matkę i chciała, by Rose to dostrzegła. Teraz, kiedy gniew wreszcie znalazł ujście, zdawał się żyć własnym życiem.

\*\*\*

– Podoba ci się? – Hugh przyglądał się niespokojnie twarzy Rose. Ona zaś wpatrywała się w czerwoną skórzaną szkatułkę, skrywającą zabytkową bransoletę z breloczkiem w postaci delikatnej kłódki w kształcie serca. – To różowe złoto – rzekł Hugh. – Pomyślałem, że ci się spodoba.

Rose oderwała spojrzenie od prezentu. To był taki przemyślany podarunek, dokładnie taki, jakie uwielbiała.

– Jest śliczna – odparła.

Trzymając w ręce szkatułkę, objęła męża i mocno się do niego przytuliła. Wcześniej postanowili, że nie będą sobie kupować prezentów, ponieważ przyjęcie tyle kosztowało, a jednak Hugh złamał obietnicę i kupił jej tę śliczną bransoletę. Rose żałowała, że nie ma nic dla niego.

– Och, Rosie, Rosie – rzekł Hugh z twarzą ukrytą w chmurze jej ciemnych włosów. – Czterdzieści lat. Kto by pomyślał, no nie?

– Nie twoja matka, to pewne – odparła żartobliwie Rose, ocierając chusteczką łzy. Do przyjęcia zostały jedynie dwie godziny i nie chciała mieć czerwonych oczu. Jednak emocje wzięły górę. Czuła się tak, jakby znowu był dzień ich ślubu, tyle że tym razem towarzyszyły im trzy córki. I Amelia. Te czterdzieści lat stworzyło tak wiele.

– Nie płacz, kochana. – Hugh wyjął z jej ręki chusteczkę i ostrożnie ocierał jej oczy. – Nie chcesz przecież rozmazać tego starannego makijażu. Adele pomyśli sobie, że się kłóciliśmy, i palnie ci przemowę.

Rose uśmiechnęła się przez łzy.

– Nie daj Boże! – powiedziała. Jeszcze tylko Adele potrzeba jej było do szczęścia. – Nie jestem smutna, Hugh – dodała. – To po prostu dzień pełen emocji.

– Dla mnie też. Nigdy nie myślałam, że wytrzymasz ze mną czterdzieści lat. Uważałam, że będę miał szczęście, jeśli będziemy razem czterdzieści dni! Założysz ją?

Wyjęła bransoletę ze szkatułki i usiadła na skraju łóżka. W pokoju pachniało kwiatami. Florystki przywiozły ich tyle, że Rose zabrała trochę na górę, by przystroić sypialnię: mnóstwo frezji w wazonie na parapecie roztaczało wszędzie swój wspaniały zapach.

– Pozwól.

Hugh usiadł obok i wziął od niej bransoletę. Otworzył zapięcie i wsunął ją na szczupły nadgarstek Rose, po czym ją zapiął. Następnie obrócił maleńką kłódceczkę, tak by Rose mogła przeczytać, co zostało wygrawerowane na odwrocie: „R & H 40 lat”.

– Wiem, że to ckliwe... – zaczął z szerokim uśmiechem.

– Wcale nie – powiedziała miękko Rose. Uniosła rękę wyżej, by uważniej przyjrzeć się bransolecie. – Śliczna. To najmiłszy prezent, jaki od ciebie dostałam.

– Lepszy niż dziewczynki?

– Z nimi ja też miałam coś wspólnego – zaśmiała się. – To nie ty miałeś kryzysową cesarkę z Holly!

– To prawda. – W staroświecki sposób pocałował ją w rękę, następnie wstał. Świetnie się prezentował w nowym, szarym garniturze, srebrnoszarej koszuli i żółtym jedwabnym krawacie. W oczach Rose nie różnił się wiele wyglądem od silnego, jasnowłosego mężczyzny, który czterdzieści lat temu poprowadził ją do ołtarza. Jedynie zmarszczki przecinające jego twarz i przerzedzające się włosy świadczyły o tym, że nie jest już taki młody. – Jadę do klubu golfowego, by napić się z Alaistairem drinka. Będę z powrotem za godzinę.

– Oby tak było – ostrzegła go z błyskiem w oku. – W przeciwnym razie osobiście pojedę do klubu i wyciągnę cię stamtąd!

Po jego wyjściu zdjęła dzinsy i białą bluzkę, które nosiła cały ranek, i wślizgnęła się w szlafrok. Było południe, więc do pojawienia się gości zostały dwie godziny. Miała w planach relaksacyjną kąpiel i rozkosznie powolne wyszykowanie się. Stella nadzorowała pracę firmy cateringowej, Amelia i Holly poszły na spacer, Tara zadzwoniła z wiadomością, że ona i Finn zjawią się około wpół do drugiej. Adele leżała z bólem głowy. Nikt nie potrzebował pomocy Rose. Mogła zamknąć drzwi łazienki i na kilka hedonistycznych chwil zapomnieć o wszystkich oprócz siebie. Kiedy wanna była prawie pełna, a na powierzchni wody unosiła się warstwa piany, Rose zakręciła krany i zanurzyła się w kąpeli. Włosy miała schowane w czepku, zrolowany ręcznik posłużył jej za poduszkę. Opierając się wygodnie, zamknęła oczy i pozwoliła sobie na cofnięcie się pamięcią czterdzieści lat wstecz. Jej matka w cytrynowej garsonce, na którą wykosztowała się w Londynie i która kosztowała więcej niż wszystkie inne ubrania z szafy Anny Riordain razem wzięte.

– Nie zawiodę mojej córki w dniu jej ślubu – oświadczyła Anna z dumą, kiedy pokazała Rose tę garsonkę i mały kapelusz z kwiatkami z jedwabiu. – Wyjściowy garnitur twego ojca jest

miejscami nieco wyświechtany, więc jeśli uważasz, że się nie nadaje, to mi powiedz. Kupimy mu inny, jakoś damy radę.

W oczach Rose ponownie pojawiły się łzy, gdy pomyślała o zacieklej dumie swej matki. Gotowi byli się zrujnować, byle tylko córka poszła do ołtarza z podniesioną głową. Rose, która wiedziała, że matka Hugh będzie wystrojona w suknię zamówioną w Londynie, nigdy nie kochała swej matki tak bardzo, jak tamtego dnia.

Zadzwoił telefon. Rose usiadła gwałtownie w wannie i miała nadzieję, że ktoś inny go odbierze. Nadal dzwonił.

– Na litość boską! – Wygramoliła się z cudownie gorącej kąpieli i owinęła się ręcznikiem. W sypialni podeszła do telefonu i podniosła ze złością słuchawkę. – Halo!

Po drugiej stronie panowała cisza, słychać było jedynie cichy odgłos czyjegoś oddechu.

– Prawo zakazuje dręczenia drogą telefoniczną – oświadczyła gniewnie Rose, wiedząc, że woda kapie z niej na dywan.

– Ja nie jestem udręką, ty nią jesteś! – zapiszczał kobiecy głos.

– O czym pani mówi? – zapytała zdumiona Rose.

– Zapytaj swojego męża, Pana Rubinowe Gody – odparła kobieta głosem pełnym udręki, po czym rozłączyła się.

Nadal owinięta bardzo już wilgotnym ręcznikiem, Rose zbiegła na dół, gdzie na korytarzu stał telefon wyposażony w najnowszą technologię. Identyfikacja rozmówcy to opcja z przyszłością, tak wyjaśnił młody inżynier z firmy telekomunikacyjnej, kiedy instalował nowy telefon i pokazał jej, jak sprawdzić, kto do ciebie dzwoni i jak zobaczyć numery ludzi, którzy wcześniej dzwoniли. Broszura wyjaśniająca całą technologię nadal leżała na stoliku w korytarzu, choć Rose wiedziała, że niedługo i tak dołączy do wszystkich innych nieużywanych broszur, trzymanyh „na wszelki wypadek” w szufladzie z drobiazgami w kuchni. Rose przekartkowała broszurkę, znalazła stronę o wywoływaniu numeru dzwoniącego, wzięła do ręki nowoczesną przenośną słuchawkę i wcisnęła dwa guziki. Na drugim końcu linii rozbrzmiał sygnał. Rose udała się powoli na górę, jakimś sposobem wiedząc, że nie chciałaby, aby ktoś usłyszał tę rozmowę.

– Tak? – odezwał się zapłakany głos.

Rose zatrzasnęła drzwi sypialni i zamknęła je na klucz.

– Z tej strony Rose Miller – zaczęła otwarcie. – Dzwoniła pani do mnie. Chciałam wiedzieć dlaczego.

Kobieta pociągnęła nosem.

– Nie wie pani? – zapytała.

Rose usiadła na łóżku, na którym nadal leżała skórzana szkatułka od Hugh.

– Nie – odparła. – Będzie musiała mi pani powiedzieć.

– Przepraszam, nie powinnam była dzwonić. To mnie po prostu przerosło.

– Proszę mi powiedzieć – rzekła Rose, choć i tak wiedziała, o co chodzi.

– Jestem pewna, że pani jest miłą kobietą... Niczego nie chciałam przez to osiągnąć.

– Chodzi o Hugh?

– Wiem, że powiedział, iż nigdy od pani nie odejdzie, ale nie mogłam dzisiaj dać sobie rady... To takie trudne – kobieta zanosła się płaczem. – Musi to pani zrozumieć.

Rose chciała wiedzieć więcej, ale nie była w stanie. Jeszcze nie.

– Proszę mi wybaczyć... – jęknęła kobieta.

Normalnie Rose była ekspertką w wypowiedaniu właściwych słów i pomaganiu ludziom w uśmierzeniu bólu. Jednak pocieszenie kochanki swego męża ją przerastało. Rozłączyła się i upuściła słuchawkę na łóżko obok szkatułki.

Siedziała tam długo, myśląc, po czym zaczęła się mechanicznie ubierać. Adele jej zazdrościła, ta nieznamoma kobieta jej zazdrościła. Co takiego zrobiła, że ci wszyscy ludzie jej zazdrościli?

Było pięć po drugiej i Adele gotowa była na przyjęcie. Hugh wyszedł, by powitać kilku gości, którzy wcześniej się zjawili, ale nigdzie nie było widać Rose. No naprawdę, gdzie się podziewała ta kobieta?

Słyszac jakiś hałas na schodach, Adele podniosła głowę. Słyszała śmiech i przekomarzenie się, i wiedziała, że to jej trzy bratanice. Zawsze się tak zachowywały, gdy były razem. Jak Rose udało się wychować trzy dziewczyny, które tak dobrze radziły sobie w życiu? Miała po prostu szczęście.

– Ciociu Adele, co tutaj robisz? – zapytała ciepło Stella. Jej oczy błyszczały.

Siostry pojawiły się na korytarzu, wystrojone na przyjęcie. Najstarsza córka Hugh wyglądała bardzo wytwornie we wzorzystej ciemnoróżowej sukience, Tara rzucała się w oczy w eleganckim czerwonym stroju, zaś Holly miała na sobie sukienkę ciemnobrązową, która sięgała do kostek i nie można jej było nazwać niczym nadzwyczajnym. Stella objęła ramieniem ciotkę. Ona najbardziej przypominała Rose. Miała taką samą życzliwą twarz jak matka, takie same błyszczące, ciemne oczy i burzę ciemnych włosów. Jednak z jakiegoś powodu dała sobie obciąć włosy na krótko i wyglądała strasznie, naprawdę strasznie. Adele już-już miała to powiedzieć, ale się powstrzymała.

– Powinniśmy być na zewnątrz, ciociu – powiedziała Tara. – W każdej chwili mogą się pojawić goście i tata chce, byśmy ich powitały.

Adele nigdy nie umiała się zdecydować, kogo przypomina Tara, ale z całą pewnością nie podobała jej się chłopięca fryzura bratanicy i te okropne prostokątne okulary w czarnych oprawkach.

Postanowienie Adele wzięło w łeb.

– Dlaczego nie sprawisz sobie ładnych okularów w złotych oprawkach? – usłyszała własne słowa. – Są znacznie bardziej twarzowe, Tara.

Jej bratanica uśmiechnęła się sztywno.

– Finn mi je wybrał, ciociu Adele – odparła.

Twarz starszej pani złagodniała. Finn był takim świetnym chłopcem.

– Nie wkładasz niczego bardziej jaskrawego? – zapytała Adele, kierując swój jastrzębi wzrok na Holly. – Ugotujesz się w tej ciemnej sukni. Jest dziś ciepło.

– To sukienka z Ghost, jest bardzo cienka – wtrąciła Stella, nim Holly zdążyła się odezwać. – Uważam, że jest śliczna, siostrzyczko.

– Ja też – dodała Tara.

W czwórkę przeszły przez drzwi prowadzące na patio, a stamtąd kilka metrów dalej w stronę namiotu, po czym Adele wysunęła rękę spod ramienia Stelli i w swej liliowej garsonce ruszyła naprzód niczym okręt flagowy. Trzy siostry wymieniły zrezygnowane spojrzenia.

– Ile lat więzienia dają za ciotkobójstwo? – zapytała Tara, odprowadzając wzrokiem starszą panią.

– Jesteś okropna – Stella wybuchnęła śmiechem. – Tacie pękłoby serce, gdyby coś się stało jego siostrze. Wiesz przecież, jak ją kocha.

– Ja też bym ją kochała, gdyby nie mówiła takich okropnych rzeczy – zaprotestowała Tara. – Okulary w złotych oprawkach, dobre sobie. Prawdę powiedziawszy, to Finn wcale ich nie wybrał, tylko wiedziałam, że to ją uciszy. Ona jest całkowicie pewna, że mój mąż nie uczyni niczego niewłaściwego.

– Przynajmniej masz męża, który nie uczyni niczego niewłaściwego – zauważyła ponuro Holly. – Ja zdążyłam rano usłyszeć od niej, że miałabym znacznie większą szansę na znalezienie sobie chłopaka, gdybym nosiła bardziej konserwatywne ciuchy. A teraz obsmarowuje moją sukienkę. – Nie potrafiła ukryć, jak bardzo zabolaty ją te uwagi.

– Głupia krowa – rzuciła gniewnie Tara. – Tak czy inaczej mama najpewniej zamorduje ją, nim dzień się skończy.

Stella spojrzała na nią ze zdziwieniem. Ich matka praktycznie nigdy nie traciła panowania nad sobą, zwłaszcza w kontaktach z ciotką Adele, co stanowiło dowód niezwykłej powściągliwości.

– Podśluchałam, jak mówi mamie, że tata wygląda na bardzo zmęczonego i że mama powinna przestać mu pozwalać zapracowywać się na śmierć – wyjaśniła Tara. – Mama odparła: „To nie twoja sprawa, Adele”, w dodatku bardzo ostrym tonem. Nigdy wcześniej nie słyszałam, by mówiła w taki sposób do ciotki. Trzeba jednak przyznać, że to ją uciszyło.

– Czyż nie kochamy rodzinnych przyjęć? – mruknęła cierpko Holly. – Zabawa dla całej rodziny: wielka kłótnia.

– Rozchmurz się. – Stella przytuliła czule najmłodszą siostrę. – Wszystko pójdzie doskonale. – Nie zauważyła zrezygnowanej miny Holly. Odwróciła się radośnie do Tary. – Szkoda, że Finn dotrze dopiero później. Muszę powiedzieć, że ta firma naprawdę wypruwa flaki z tego biednego człowieka. Wiem, że nie znosi wyścigów konnych i wyobrażam sobie, co czuje, jeśli musi wziąć w nich udział dla klientów, kiedy ma do roboty coś innego.

Tara uśmiechnęła się, ale nie odezwała się ani słowem. Nie bardzo mogła powiedzieć, że nie ma żadnego dnia firmowego, ale że ona i Finn się pokłócili, i że on upierał się, że przyjedzie tutaj sam, bo nie chciał „utknąć” w Kinvarrze na cały następny dzień. To niesamowite, ale Stella nie zauważyła, że Tara jest podenerwowana. Starsza siostra była zazwyczaj bardzo przenikliwa, ale odkąd poznała Nicka, zdawała się mieszkać na innej planecie. Planecie Miłości. Nieważny tlen: azotu było tam tak dużo, że Stella nie dostrzegała teraz niczego z wyjątkiem Amelii i swego ukochanego. Oczywiście, Tara cieszyła się bezgranicznie, że jej siostra wreszcie znalazła miłość. Absolutnie. Ale gdy Stella jadła, spała i oddychała Nickiem Cavaletto, jej siostrzany radar niezbyt dobrze działał. Od tamtego wieczoru, kiedy Finn nie przyjechał po Tarę, miała ochotę zwierzyć się Stelli, ale na drodze stanęła jej duma, no a poza tym nie wiedziała, jak poruszyć ten temat.

Siostry weszły do namiotu. Ich ojciec brylował wśród kilku wcześniej przybyłych gości. Towarzyszyła mu ciotka Adele, natomiast nigdzie nie było widać ich matki. Na jednym końcu namiotu stały stoły z jedzeniem, przykryte lnianymi obrusami i udekorowane mnóstwem kwiatów. Czekwały naszykowane talerze, sztućce, szklanki i serwetki, jak również wielkie palniki ze stali nierdzewnej do dań na gorąco. Na jednej ze ścian powiewał olbrzymi transparent z napisem: Gratulacje dla Rose i Hugh z okazji Rubinowych Godów.

– Ślicznie, prawda? – westchnęła Stella, myśląc, jak zawsze ostatnimi czasy, o Nicku. Taką była szczęściarą, że go znalazła. To się po prostu musiało stać. Dwoje ludzi po nieudanych małżeństwach, gotowych rozpocząć razem cudowne, nowe życie. Musiała jedynie nauczyć się radzić sobie z Jenną. Ważnym czynnikiem był w tym przypadku czas. Jenna po prostu musiała powoli przyzwyczać się do tego, iż jej ojciec i Stella są parą. Wtedy wszystko wskoczy na swoje miejsce. Pomodliła się w duchu, by tak właśnie się stało. Wtedy wszystko byłoby idealnie.

Holly kręciła się przy wejściu do namiotu, starając się wyczuć, gdzie najlepiej stanąć, na wypadek gdyby pojawili się Richie Murdoch i jego matka. Obok Tary – to chyba dobry pomysł. Siostra dałaby jej siłę i odwagę, by przywitała się krótko z tą kanalią, a potem go ignorowała. Holly wiedziała, że gdyby stała sama, złamałaby się i uśmiechała do niego tchórzliwie, udając, że zapomniała, jak bardzo ją kiedyś upokorzył.

– Tara. – Chwyciła siostrę za ramię. – Słyszałaś, że przychodzi Richie Murdoch?

Na twarzy Tary malowało się zdumienie.

– Kto zaprosił tego padalca?

– Mama – odparła Holly.

Jej siostra przez chwilę milczała, następnie objęła ją ramieniem.

– Nie przejmuj się, razem się z nim rozprawimy, tak?

– Tak – odparła z wdzięcznością Holly.

Tara żałowała, że jej własnych problemów z facetami nie da się rozwiązać w tak prosty sposób. Holly przeczesywała horyzont w poszukiwaniu swego koszmarnego byłego, ale Tara robiła to samo w poszukiwaniu samochodu męża. Finn tak bardzo się wcześniej rozgniewał. Kto wie, co teraz robi. Może się nawet nie pojawi. Albo może przyjechać wstawiony, prowadząc w takim stanie samochód. Tara nie miała pewności, co byłoby gorsze.

Kiedy wybiła trzecia, droga przed domem pełna była samochodów, kelnerzy pocili się w kwietniowym słońcu od biegania z butelkami wina i szampana, goście doskonale się bawili, zaś trzy siostry Miller zachowywały najwyższą czujność. Coś było nie tak i choć raz nie chodziło tu o ich mężczyzn.

Nick przyjechał dwadzieścia po drugiej z butelką Cristalle dla świętującej pary i bukietem białych róż dla samej Rose, która nadal siedziała zamknięta w sypialni. Obdarzając Stellę namiętym pocałunkiem, powiedział, że nie potrzebuje opieki. Może się sam sobą zająć. Rozumie, że ona musi krążyć wśród gości.

Richie Murdoch nie pojawił się, ku obezwładniającej uldze Holly. Jego matkę przywiózł ktoś obcy, mężczyzna w okropnym garniturze, i Millerówna omijała ich oboje szerokim łukiem, nie mając ochoty rozmawiać z żadnym członkiem klanu Murdochów. Tara wzrok miała przyklejony do bramy wjazdowej, na wypadek gdyby Finn rzeczywiście pojawił się wstawiony i próbował zaparkować tam gdzie zawsze, czyli przed samym domem, na którym to miejscu znajdowały się teraz stoliki i ładne parasole. Jednak nigdzie go nie było widać. Jego komórka była wyłączona i Tara już sobie wyobrażała, jak zamroczony alkoholem zabija siebie i jakiegoś niewinnego biedaka w drugim aucie. Ona na pewno go zamorduje, jeśli przyjedzie samochodem pijany.

Jednak prawdziwym problemem była Rose. Kiedy nie pojawiła się do wpół do trzeciej, Stella pobiegła na górę, by sprawdzić, co się dzieje.

– Mamo! – zawołała, pukając delikatnie do drzwi sypialni rodziców. – Mogę wejść? Wszystko w porządku?

– Mam koszmarną migrenę – odparła Rose. – Poleżę jeszcze przez kilka minut z zasuniętymi zasłonami.

– Och, biedactwo – powiedziała ze współczuciem Stella. – Przynieść ci coś? – Mówiąc to, przekreśliła gałkę w drzwiach i ze zdumieniem stwierdziła, że są zamknięte. To odkrycie sprawiło, że na chwilę zaniemówiła.

– Nie, nic nie potrzebuję.

– Jesteś pewna, mamo? – Jej matka nie miała w zwyczaju zamykać drzwi na klucz. W Kinvarrze wszyscy wchodzili i wychodzili z pokoi, i żadna z dziewcząt nigdy nie zamykała drzwi do łazienki, którą dzieliły we trzy: po prostu wołały „Zajęte!”, kiedy słyszały zbliżające się kroki.

– Tak – odparła lekko Rose. – Chwilę sobie poleżę.

Stella zeszła na dół i uśmiechała się serdecznie do wszystkich gości, tak jakby na widok jej promiennej twarzy mieli zapomnieć, iż gospodyni jeszcze się nie pojawiła.

– Gdzie mama? – To Tara, ściskająca w jednej dłoni szklanekę z sokiem, a drugą osłaniającą oczy przed słońcem, by zobaczyć, czy w oddali nie jedzie Finn.

– Zamknięta w pokoju z bólem głowy – odparła zwięźle Stella.

Siostry wymieniły spojrzenia pełne niepokoju.

– Lepiej powiedzmy tacie – zdecydowała Tara.

– Nie. – Stella nie wiedziała dlaczego, ale nie chciała, by wiedział o tym ojciec. – Nie psujmy mu zabawy, powiemy Holly. Mama prawdopodobnie musi po prostu odpocząć. Pewnie ją dopadł stres związany z przygotowaniem tego wszystkiego.

Na górze w sypialni, którą dzieliła z mężem, Rose leżała na łóżku w otoczeniu pozostałości z domowych segregatorów Hugh. Na łóżku leżały także jego terminarze z ostatnich dziesięciu lat – Hugh miał hopla na punkcie ich przechowywania. Przynajmniej godzinę spędziła na ich wertowaniu i doszła do wniosku, że prawniczy umysł jej męża wymyślił swego rodzaju kod dla swych działań. Jednak wcielenie się w Hugh nie wymagało jakiegoś specjalnego kodu i Rose szybko go rozgryzła. W dniu, w którym zauważyła go, jak wychodzi z restauracji z tą rudowłosą przyjaciółką, był rzekomo na „rozpoznaniu sprawy Moriarty'ego”. W ciągu wielu lat pojawiało się całkiem sporo takich rozpoznań sprawy Moriarty'ego, co albo znaczyło, że kancelaria Miller & Lowe czerpała olbrzymie zyski z tej nierozwiązanej sprawy, o której prawdę mówiąc, ona nigdy nie słyszała, albo że Moriarty tak naprawdę nie istnieje, co wydawało się znacznie bardziej

prawdopodobne. Jego rachunki za komórkę – wraz z bilingiem – także okazały się pomocne. Niektórych numerów nie знаła, więc zadzwoniła pod nie. Pod jednym zgłosiła się poczta głosowa jego asystentki. Gdy zadzwoniła pod drugi, włączyła się automatyczna sekretarka w domu Alastaira Devona. Rose rozłączyła się szybko, czując się jak idiotka. Powinna była rozpoznać ten numer. Może zachowywała się niemądrze. Jednak kiedy przyjrzała się uważnie trzeciemu, okazało się, że to ten sam numer, który wcześniej pojawił się na wyświetlaczu jej telefonu.

Nie widziała Hugh, odkąd podarował jej bransoletę.

Kiedy wrócił do domu z klubu golfowego, gdzie spotkał się z Alastairem, i próbował wejść do sypialni, bez żadnych zastrzeżeń przełknął historyjkę o migrenie.

– Dobrze, moja droga, ja i tak już jestem gotowy. Rzucę na wszystko okiem po raz ostatni – rzekł zza drzwi, sprawiając wrażenie zbyt z siebie zadowolonego.

Gdyby mnie choć odrobinę znał, pomyślała Rose z narastającą wściekłością, wiedziałby, że nigdy w życiu nie miałam migreny.

Wyjęła z szafy nową suknię i przyjrzała jej się obiektywnie.

Lacey, nestorka designerskiego butik w Kinvarrze, pokazała tylko dwa stroje, kiedy Rose zaszła tam w poszukiwaniu sukni na przyjęcie.

– Te powiewające paskudztwa koszmarnie by na pani wyglądały – oświadczyła z lekceważeniem, pokazując ręką na cały wieszak eterycznych, zwiewnych sukni w stylu „matka panny młodej”. – Mam dwie rzeczy, które będą do pani pasować.

Dlatego właśnie Lacey to taka dobra sprzedawczyni, pomyślała Rose. U niej nie było przymierzania ton nieodpowiednich ubrań po to, by przy dwudziestym stroju klientka popadła w skrajną rozpacz i kupiła to, w czym wygląda najmniej koszmarnie. Lacey oszczędzała im tego. Z całego butik wybrała dwa stroje i w obu Rose wyglądała perfekcyjnie. Zdecydowała się na prostą jedwabną suknię w kolorze bursztynu z krótkim zakietem do kompletu. Był to zestaw ponadczasowy. Francuski szyk z odrobiną hollywoodzkiego blasku.

– Fantastycznie. – Tyle tylko powiedziała Lacey, kiedy Rose stała w butik, elegancka i niemal królewska. Łagodny bursztynowy kolor pasował do jej cery; teraz, gdy była starsza, nie mogła już wybierać jaskrawych kolorów, które nosiła w czasach młodości.

Rose ubrała się i przejrzała w lustrze w łazience. Jeśli nie liczyć bladeści, wyglądała w każdym calu na szczęśliwą żonę najlepszego prawnika w mieście. Zdradzaną żonę. Nie była w stanie dłużej na siebie patrzeć i wróciła do sypialni.

Wiedziała, że nie powinna była pchać się do świętowania tego dnia, wiedziała, że to szukanie kłopotów. Jakichś dwustu gości przybywało, by świętować czterdziestą rocznicę ślubu Millerów, podczas gdy zarówno Rose, jak i Hugh wiedzieli, że ich małżeństwo nie jest bajkowe.

Wtedy dotarło coś do niej z taką siłą, że niemal fizycznie zabolą, niczym uderzenie w splot słoneczny. Rose musiała aż usiąść na łóżku, gdyż zaparło jej dech w piersi. Nie tylko ona i Hugh wiedzieli. Bóg jeden wie, ilu innych ludzi także o tym wiedziało. Z całą pewnością wiedziały kobiety, z którymi sypiał w ciągu tych wszystkich lat. Wcześniej sądziła, że trzy, ale mogło ich być przecież więcej. I na pewno niektórzy z jego przyjaciół wiedzieli. Zawsze był tak blisko z Alastairem Devonem. Nie ma takiej możliwości, by on nie wiedział. Byli najlepszymi przyjaciółmi od trzydziestu lat – on i Angela utrzymywali bliskie kontakty z Rose i Hugh przez cały ten czas i chociaż kobiety połączyła wieloletnia przyjaźń, najsilniejsza więź łączyła mężczyzn. Co Alastair zrobiłby dla Hugh: zapewniłby mu alibi; powiedziałby, że jest głupi, iż ryzykuje wszystko? Zachęcałby go do porzucenia Rose?

Powoli wzbierał w niej gniew. Przez całe lata nosiła ten sekret w sobie. Nie powiedziała nikomu. Ani matce, cudownej Annie, która umarła przekonana, że jej ukochana Rose jest najszcześniejszą kobietą na całym chrześcijańskim świecie. Ani córkom, którym nie chciała sprawiać bólu. Nigdy nie chciała pomniejszać ojca w ich oczach. To byłoby wyrazem prawdziwego zgorzknienia i służyłoby wyłącznie jej własnej przyjemności. Wprowadzała więc w błąd pełnych najlepszych intencji znajomych, którzy sądzili, że coś widzieli, i milczała, mając nadzieję, że dzięki temu rodzina Millerów pozostanie nienaruszona. Jednak za jaką cenę?

\*\*\*

Nawet Hugh już się martwił. W namiocie z każdą chwilą robiło się coraz ciasniej i ludzie chcieli zobaczyć Rose. Ile razy mógł mówić: „Och, sprawdza coś właśnie z ludźmi z cateringu, zaraz się tutaj zjawi”?

Stelli, Tarze i Holly zeszytywniały szczęki od uśmiechów zapewniających, że wszystko jest w porządku. Jedynie ciotka Adele wydawała się nieświadoma jakiegokolwiek napięcia: rozsiała się w pobliżu kilku podobnie do niej myślących znajomych i wspominała dawne czasy; jakie to teraz młodzi ludzie noszą straszne fryzury i jaka to szkoda, że rękawiczki wyszły z mody. Nie było nikogo w wieku Amelii, ale ta szybko się zakolegowała z pucołowatym maluchem i bawiła się w dorosłą, oprowadzając go z powagą, pomagając pokonywać schodki i powstrzymując przed jedzeniem róż.

– Niegrzeczny chłopczyk, rozchorujesz się od nich – mówiła surowo za każdym razem, gdy jedna z jego pulchnych rączek sięgała po płatki. – Dam ci za to trochę soku pomarańczowego.

– Mama mówi, że jest gotowa i za pięć minut zejdzie – doniosła Tara po ostatniej wizycie na gorze. – Ale i tak nie wpuściła mnie do sypialni.

– Martwię się o nią – rzekła Stella. – To zupełnie do niej niepodobne.

Zespół jazzowy, przy którym tak bardzo upierał się Hugh, zaczął grać jakąś melodię. Był zamówiony do wpół do siódmej. Goście postukiwali już nogami o drewnianą podłogę namiotu.

Z kuchni wyłoniła się Holly.

– Ludzie z firmy cateringowej proszą, byśmy zdecydowały co z gorącymi daniami. Są gotowe i jeśli wszystko ostygnie, a potem jeszcze raz będzie odgrzewane, strogonow zamieni się w starą podeszwę.

Siostry popatrzyły na siebie. Stella ruszyła w kierunku piętra, ale zatrzymała się, kiedy usłyszała, że drzwi do sypialni rodziców się otwierają.

– Idzie – syknęła, pospiesznie się cofając.

W tym właśnie momencie podszedł do nich Finn, najzupełniej trzeźwy i pięknie ubrany w szary, lniany garnitur i rozpiętą pod szyją koszulę, równie błękitną, jak jego oczy. Pocałował Tarę celowo w usta, tak by się upewniła, że nie pił.

– Widzisz – wyszeptał. – Nie spożyłem ani kropli. Zadowolona?

– Witaj, Finn – rzekła Rose, schodząc z gracją po schodach. Za bardzo błyszcząły jej oczy i zbyt była elegancka jak na kobietę, która ostatnie dwie godziny spędziła zamknięta w pokoju z migreną. Policzki miała zdrowo zaróżowione, usta umalowane różową szminką i nie odstawał jej ani jeden ciemny włos. Pocałowała w policzek każdą z córek, po czym udała się w kierunku kuchni. – Sprawdzę tylko co zjedzeniem, i zaraz wracam. – Odwróciła się i uśmiechnęła szelmowsko.

– Obiecuję, że tym razem tak będzie.

Siostry zaczęły się odprężyć. Stella wzięła do ręki kieliszek z winem i poszukała Nicka.

– Kryzys zażegnany – wymruczała. – Mama czuje się już lepiej.

– Wygląda naprawdę świetnie – odparł Nick, patrząc, jak Rose wychodzi z domu i kieruje się w stronę namiotu. Przepadał za nią i uważał, że jest zabawna, mądra i silna. Z wielką serdecznością powitała go w swojej rodzinie.

– Tak, rzeczywiście wygląda doskonale – stwierdziła Stella. – Boję się tylko, że przemęczyła się, kiedy przygotowywała to przyjęcie. Ma tyle energii, że łatwo zapomina, iż nie jest już taka młoda.

– Widać, że dobrze się teraz bawi – zauważył Nick, gdy Rose stała w otoczeniu życzliwych przyjaciół.

Gdyby ktoś przyglądał jej się uważnie, dostrzegłby, że celowo trzyma się z dala od męża. Czyniła to w sposób subtelny. Widziała srebrzystą głowę Hugh górującą nad większością gości, więc odsuwała się od niego, witając się, ściskając, całując i dziękując gościom, ale zawsze pozostawała świadoma tego, gdzie znajduje się jej mąż, i w jakiś sposób udawało jej się być wtedy gdzieś indziej.

Wszyscy byli zachwyceni tym, że mogą tu być. To szczęśliwy dzień, tak mówili Rose, dowód na to, że prawdziwa miłość rzeczywiście trwa wiecznie i czyni małżeństwo silnym – tak oświadczyła jedna z sąsiadek, która miała słabość do romantycznych powieści i zdążyła już wlać w siebie dwa kieliszki szampana. Kiedy pojawili się przed nią uśmiechnięci radośnie Alastair Devon i jego żona Angela, Rose poczuła, jak jej przyklejony uśmiech drętwieje.

Pocałowała Angelę i popatrzyła na Alastaira kamiennym wzrokiem.

Alastair zamrugnął nerwowo oczami. Rose z jakiegoś powodu wydawała się zła na niego. Szukał gorączkowo w pamięci, co zrobił nie tak, ale było już za późno, Rose rozmawiała teraz z Angelą, jego zaś ignorowała.

Jeśli nawet ktoś uznał za dziwne to, że świętująca para nie stoi razem, nie napomknął na ten temat ani słowem. Kiedy podano wreszcie jedzenie i przy bufecie ustawiła się kolejka, która następnie rozpraszała się wokół stolików, Rose wymknęła się z powrotem do domu. Stół w jadalni zawalony był prezentami. Wyraźnie prosiła, by nie przynoszono prezentów, ale goście nie posłuchali. Pragnęli uczynić coś miłego dla Millerów, by uczcić ten wyjątkowy dzień.

– Co się z tobą działo?

Rose odwróciła się i stanęła twarzą w twarz ze szwagierką.

– Hugh się martwił – kontynuowała Adele, przesuając palcem po stole, by sprawdzić, czy nie ma na nim kurzu. – Naprawdę, Rose, tak się nie robi. Schodzili się goście, a ciebie nie było, by ich witać...

– Adele – przerwała jej Rose – proszę, nie kłóć się dzisiaj ze mną.

– Ja się nie kłócę – fuknęła Adele. – Ja tylko mówię...

– Nie mów niczego, dla mojego dobra.

– Właśnie dla twojego dobra to robię – zaprotestowała Adele.

– Wcale nie. – Naprawdę starała się, by jej głos był spokojny, ale trudno było ukryć jego drżenie. – Robisz to dla Hugh, ponieważ chcesz, żeby dla niego wszystko było idealne, prawda? Ja też chciałam, by wszystko było dla niego idealne, ale wychodzi na to, że nie było wystarczająco idealne. On potrzebował kogoś innego.

Zobaczyła, jak oczy Adele rozszerzają się.

– Wiele innych – dodała Rose.

Adele ścisnęła z przerażeniem połą żakietu. Po raz pierwszy od lat z jej ust nie popłynęły automatycznie jakieś słowa. Dla zachowania równowagi przytrzymała się oparcia krzesła.

– Jak możesz mówić takie straszne rzeczy?

– Ponieważ to prawda.

– Nie wierzę – oświadczyła z żarem Adele. – Nie, on cię ubóstwia, zawsze tak było. – Choć raz w głosie Adele nie słyhać było zazdrości. Po prostu stwierdzała fakt. Hugh kochał swoją żonę. Nigdy by jej nie zdradził. A jednak Rose wyglądała na taką... taką pewną.

– Idę natychmiast do Hugh. To wszystko musi być głupim nieporozumieniem, to pewnie jakaś kobieta, która się w nim zadurzyła. Tak samo było z moim biednym ojcem, kobiety nigdy nie mogły mu się oprzeć. Moja matka ignorowała je, te głupie kobiety. Jestem pewna, że Hugh robił, co mógł, żeby się ich pozbyć, ale ty coś opacznie rozumiałaś.

– Nie mów nic, Adele – poprosiła łagodnie Rose. – Zaczekajmy. Teraz mamy gości.

– Oczywiście. Nie mogłabym tego zrobić. – Przypomniawszy sobie o obowiązkach towarzyskich, szwagierka zamilkła, ale i tak wyglądała na wstrząśniętą.

– Może usiądź sobie, a ja przyniosę ci kieliszek porto. – Adele rzadko piła, ale porto akurat bardzo lubiła.

– Dziękuję, Rose.

Adele oddychała głęboko, siedząc na krześle w jadalni, Rose zaś pospieszyła do barku w drugim pokoju, ogarnięta wyrzutami sumienia. Nie mogła tego zrobić. Zbyt wielu osobom sprawiłoby to ból: dziewczynkom, Adele. To nie było fair wobec nich. Hugh zawsze był taki. Ona czuła się po prostu zraniona, ponieważ sądziła, że te wszystkie kobiety to przeszłość, że wreszcie to przezwyciężył i jest szczęśliwy z nią. Nalała kieliszek porto dla Adele i chwilę

zastanawiała się, czy sobie także nalać, ale nie, ona musiała być absolutnie trzeźwa. Pod wpływem alkoholu tym łatwiej dałaby się ponieść emocjom.

\*\*\*

Holly przeszła się na spacer po ogrodzie, by wypalić ostatniego papierosa przed obiadem. Wracając do namiotu, kiedy zatrzymał ją facet, który przywiózł na przyjęcie panią Murdoch. Uśmiechał się do niej szeroko w stylu „nie pamiętasz mnie?”. Holly odpowiedziała uśmiechem, zastanawiając się gorączkowo, kto to może być.

– Cześć, wyglądasz obłądnie, poważnie mówię – rzekł, mrugając do niej lubieżnie.

Głos wszystko wyjaśnił. Holly otworzyła usta ze zdumienia. A więc to był Richie Murdoch? A gdzie ten diabelnie magnetyzujący urok, błyszczące oczy i całe mnóstwo seksapilu? Czy ona tylko wyobrażała sobie to wszystko? Ponieważ Richie z jej wspomnień w niczym nie był podobny do tego faceta z zadowoloną, chciwą twarzą i krótko ostrzyżonymi włosami, które odsłaniały byczy kark.

– Zaniemówiłaś, co? – zapytał, nadal niesamowicie z siebie zadowolony. – Zawsze byłaś cicha, ale o rany, niech no ci się teraz przyjrę, mała.

Gdy spojrzenie Richiego przesunęło się bez cienia wstydu po całym jej ciele, Holly zdusiła w sobie ochotę roześmiania się w głos z ulgi. Ledwo była w stanie uwierzyć, że kiedyś jej się podobał, pał lichem motocykl. No i jeszcze ten garnitur. Garnitury w grube prążki zawsze balansowały na granicy mody i mogły się prezentować albo bardzo szykownie, albo, tak jak w przypadku Richiego, bardzo tandetnie. Wielki pierścień na małym palcu dopełniał całości.

– Co u ciebie, Richie? – zapytała.

– Super, po prostu super. Biznes idzie świetnie – chełpił się, czyniąc obiema rękami gest, by to udowodnić. Pierścień zamigotał w słońcu. – Zajmuję się importem, eksportem – wyjaśnił. – Dobrze mi idzie. Bardzo dobrze.

– Nie masz już tego swojego motocykla? – zapytała, ponieważ nie bardzo wiedziała, co innego mogłaby powiedzieć.

– No coś ty?! – Był wstrząśnięty. – Kupiłem najnowszego jaguara. No więc – przysunął się bliżej Holly – będziesz tu przez jakiś czas? Może byśmy gdzieś razem wyszli, pokażę ci, jakie jaguar ma przyspieszenie, co?

– Nie, dzięki – odparła poważnie. – Szybkość to zabójca. Muszę lecieć, Richie. Pa.

Udała się szybkim krokiem do namiotu. Czy on naprawdę zmienił się zupełnie nie do poznania? A może zawsze był okropny, do niej zaś, pochłoniętej pierwszym uczuciem, nigdy to nie docierało?

Rose stała przy głównym wejściu i przyglądała się bawiącym się gościom. Większość ludzi siedziała przy stołach i jadła. Zespół jazzowy umiłał czas składanką przebojów Cole'a Portera. Rose go uwielbiała, zarówno z powodu samej muzyki, jak i związanych z nią wspomnień. Hugh stał i czekał na nią z rozłożonymi ramionami i szerokim uśmiechem na twarzy. Widziała swoją rodzinę, siedzącą przy stole, z wolnymi miejscami dla niej, Hugh i Adele. On te trzymał w dłoni mikrofon.

– Witam moją kochaną żonę – rzekł i rozległy się oklaski.

Zespół przestał grać, gotowy do ponownego występu, gdy tylko Hugh skończy błyskotliwą mowę, zanotowaną na odwrocie koperty.

– To bardzo szczególny dzień dla mnie i dla Rose – zaczął. – Rocznicą naszego ślubu, jednego z najważniejszych dni w moim życiu.

Hugh uśmiechnął się do Rose i objął ją ramieniem, przyciągając bliżej.

Zebrani goście westchnęli z radością. Czyż to nie jest urocze?

Siedzący przy jednym ze stołów Alastair Devon nadal był trochę niespokojny. Widział, że Rose nie jest sobą. Znał ją od prawie trzydziestu lat i choć jej twarz wyglądała pogodnie, w oczach migotał błysk szaleństwa. Alastair wiedział, że kobiety już tak mają. Menopauza. Co za głupia nazwa. To nie była żadna pauza, to cholerny kataklizm. No ale Rose z pewnością już to przeszła, prawda? Co więc jej teraz dolega?

Tara i jej mąż siedzieli tak daleko od siebie, jak tylko mogą osoby siedzące po sąsiedzku. Finn nadal nie pił i ledwie tknął kurczaka po tajsku, którego nałożył sobie na talerz. Tara zdecydowała się na owoce morza i sałatkę, ale też nie była w stanie jeść. Przyglądając się rodzicom, bębniła palcami po obrusie.

Stella i Nick siedzieli obok Tary. Amelia stała pomiędzy nimi, opierając się o matkę, która obejmowała ją jednym ramieniem w pasie. Nick trzymał drugą dłoń Stelli, głaszcząc kciukiem jej palce, gdy słuchali, jak Hugh zwraca się do gości.

Holly siedziała w tym miejscu przy stole, które znajdowało się najbliżej skraju namiotu. Paliła ukradkiem, trzymając papierosa na dole, obok poły namiotu i co parę chwil odwracała się od gości, by mocno się zaciągnąć. Po tylu latach spotkała się znowu z Richiem Murdochem. I nie poczuła do niego niczego oprócz antypatii.

– Jak wszyscy wiecie, nie byłoby mnie tutaj bez mojej żony – kontynuował Hugh. – Jest moją opoką, centrum naszej rodziny. I to dzięki Rose są z nami dzisiaj nasze trzy uroczce córki i wnuczka.

Amelia uśmiechnęła się szeroko, uszczęśliwiona tym, że została wymieniona.

Holly rzuciła papierosa i szybko go przydeptała. Może będą musiały wstać i stanąć obok rodziców przed tymi wszystkimi ludźmi. Pomimo triumfu z Richiem, i tak cała się trzęsła z nerwów na samą myśl o czymś takim.

– Pragnę złożyć hołd Stelli, Tarze, Holly i małej Amelii – kontynuował Hugh.

Oklaski.

– Ale – Hugh uciszył wszystkich, mówiąc jeszcze głośniejszym głosem do mikrofonu – ale perłą w koronie jest Rose.

Alastair musiał mu pomóc w napisaniu tej mowy, pomyślała Rose, nadal się uśmiechając. Hugh nigdy by sam nie wymyślił tych bzdur z „perłą”.

– Jestem pewny, że zgodzicie się ze mną. – Kolejne brawa. – Chcę... Rose usłyszała już dość.

Uśmiechając się, przechyliła się i delikatnie zabrała mikrofon z rąk Hugh.

– To także i mój dzień, kochanie – powiedziała z błyszczącymi oczami.

Hugh w dworski sposób pocałował ją w rękę. Goście ponownie radośnie zaczęli klaskać.

Rose przyglądała się publiczności, która uśmiechała się do niej promiennie z twarzami pełnymi życzliwości. Nieznośna jej była myśl, że ich zrani, ale musiała to zrobić.

Najpierw sprawa najważniejsza. Podeszła do Amelii.

– Kochanie, czy poszłabyś do domu i porozmawiała przez kilka minut z cicią Adele?

Amelia kiwnęła głową i pobiegła. Stella popatrzyła na matkę pytająco, ale Rose uśmiechnęła się jedynie łagodnie i czekała, aż wnuczka zniknie w domu.

– Czterdzieści lat temu, podczas naszego wesela, nie miałam okazji wygłosić mowy – zaczęła. – W tamtych czasach panny młode tego nie robiły, choć zgromadzonym tu młodszym kobietom może się to wydawać dziwne. – Dostrzegła, że wiele pań uśmiecha się szeroko.

Rose odsunęła się od Hugh i przeszła się wzdłuż namiotu, wyglądając swobodnie, niczym utalentowana gospodyni talk show, która potrafi oczarować publiczność – tak to podsumowała zachwycona Tara.

– W tamtych czasach – ciągnęła lekko Rose – małżeństwo postrzegano jako przeznaczenie kobiet. Nawet jeśli dziewczyna miała dużo szczęścia i poszła na studia, to tylko po to, by zapewnić sobie zajęcie, dopóki nie znajdzie męża. Taki był los kobiet. – Roześmiała się. – Boże, daj nam więcej rozsądku.

Alastair nie był jedyną obecną tutaj osobą zaniepokojoną torem, którym szła ta przemowa. Hugh także ogarnął lekki niepokój. Rose była absolutnie nieswoja.

– Kiedy wychodziłam za Hugh – ciągnęła jego żona, w ten sam gawędziarski sposób – nie oczekiwałam bajki. Pochodziłam z niewielkiej społeczności rolniczej i małżeństwo często było tam aktem połączenia się dwojga ludzi w celu wspólnego stawienia czoła światu, zarobienia na życie pracą na roli i przy odrobinie szczęścia wychowania także kilkorga dzieci. – Odwróciła się i popatrzyła czule na swoje latorośle. – Moje córki są miłością mojego życia – powiedziała. –

Osiągnięciem, z którego jestem najbardziej dumna, o ile wolno mi powiedzieć, że dorosłe osoby, które znalazły własne miejsce w życiu, są moim osiągnięciem. Ale to ja je sprowadziłam na ten świat, nawet jeśli przy narodzinach Holly uśpiono mnie. – Posłała najmłodszej córce uśmiech pełen tak wyjątkowej słodczy, że ta jęknęła cicho niczym małe zwierzątko. – Tym właśnie stało się dla mnie małżeństwo – kontynuowała Rose. – Moje córki. One były moim życiem. I to wszystko dzięki Hugh.

Goście ponownie się uśmiechnęli, myśląc, że jest to powrót na nieco bardziej znajome terytorium.

– Tak – Rose zamilkła na chwilę i posłała kolejny uśmiech, tym razem chłodny, swemu mężowi, który zbladł. – Powiedziałam wam, że nie spodziewałam się bajki, ale nie spodziewałam się też i tego. – Gdyby nie odwróciła się od Hugh, zobaczyłaby, że jeszcze bardziej zbladł. – Dlatego właśnie czymś niewłaściwym wydaje mi się zaproszenie was tutaj, moi mili, i świętowanie rubinowych godów, gdy w gruncie rzeczy nie ma czego świętować.

Wszyscy obecni wstrzymali w szoku oddech.

– Hugh był mi niewierny przez cały okres trwania naszego małżeństwa. Zostałam z nim, no cóż, z powodu dziewczynek – uśmiechnęła się do grupki znajomych z komitetów dobroczynnych, które siedziały zaszokowane po jej lewej stronie. – Tak właśnie czynią kobiety z naszego pokolenia. Zostajemy. Robimy na drutach swetry. Zbieramy pieniądze na ofiary klęski głodu i chore dzieci. Gotujemy gulasz z tańszych kawałków mięsa. Odkurzamy. Ale dość tego.

Dłoń Stelli wypadła bezwładnie z ręki Nicka. Nie mogła w to uwierzyć. Finn przerwał zimną wojnę i uściśnął ze współczuciem kolano Tary, ale ona wydawała się zupełnie tego nie świadoma i jedynie wpatrywała się z otwartą buzią w matkę.

Holly, z oczami błyszczącymi od łez, przysunęła sobie pusty kieliszek, który miał służyć jako popielniczka i otwarcie zapaliła.

W namiocie zapadła absolutna cisza.

– Rose – odezwał się chrapliwym głosem Hugh. – Proszę, przestań.

– Dlaczego? – zapytała wyraźnie, głosem nadal wzmocnionym mikrofonem. – Bardzo chciałeś tego przyjęcia, choć ci mówiłam, że popełniamy błąd. Pragnąłeś afiszować się z naszym małżeństwem, gdy tymczasem ja wiedziałam, że to hipokryzja. I popatrz, nie zaprzeczyłeś temu przy naszych przyjaciółach.

Alastair zerwał się z krzesła, by coś zrobić i Rose posłała mu spojrzenie zdolne powalić lwa. Opadł więc ponownie na krzesło.

– Odchodzę od ciebie, Hugh – oświadczyła.

– O mój Boże – wyszeptała Stella, nachylając się do Nicka i szukając otuchy.

– Musimy coś zrobić – powiedziała Tara, która znieruchomiała ze zdumienia.

Rose uczyniła zachęcający gest w stronę zespołu, który był równie osłupiały, jak wszyscy goście. Nie dostrzegła Minnie Wilson, która w stanie totalnego szoku wpatrywała się w swą idolkę.

– Przyjęcie trwa nadal i może przyda się odrobina muzyki – zachęciła Rose.

Rozległo się kilka fałszywych dźwięków i nagle namiot wypełniły pierwsze takty *The Girl from Ipanema*. Nie słychać było żadnego innego dźwięku.

Rose podała mikrofon Hugh i ruszyła w stronę domu. Stella i Tara pobiegły za nią. W namiocie zrobiło się gwarno od pełnych zdumienia głosów gości, mówiących: „Nie mogę w to uwierzyć!”.

– A ty nie idziesz? – zapytał Finn.

Holly spojrzała na niego z ukosa.

– Za chwilę – odparła.

Jej wcześniejszy gniew na Rose minął. Czuli się, jakby ktoś kopnął ją w brzuch i pozbawił tchu. Czuli się niewdzięczna i podła, że w ogóle była zła na matkę. Ona także została skrzywdzona, tak jak Holly.

Finn machnął ręką na jednego z kelnerów, który właśnie pojawił się w namiocie z butelkami wina i który przegapił sensacyjne wystąpienie Rose.

Kelner napełnił kieliszek Holly białym winem.

– Dla mnie czerwone – rzekł radośnie Finn, podnosząc czysty kieliszek. – Po takim szoku wszyscy zasługujemy na małego drinka, który ukoji nerwy.

\*\*\*

– Mamo, porozmawiaj z nami.

Stella i Tara pobiegły za Rose do domu, ale Hugh dotarł tam pierwszy.

– Dziewczynki – rzekł błagalnie. – Pozwólcie mi porozmawiać z waszą matką.

– Tato. – Ciemne oczy Stelli pełne były łez. – Co się dzieje?

– Nie wiem – odpowiedział wymijająco. – Pozwólcie mi z nią porozmawiać.

Poszedł za Rose na górę do ich sypialni, pozostawiając siostry same. Stella osunęła się na najniższy schodek. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa.

– Co się mogło stać? – zapytała. – Nie rozumiem.

Tara usiadła obok niej i objęła ramieniem.

– Ja też nie.

\*\*\*

– Co się dzieje? – zapytał ostro Hugh, kiedy zatrzasnął za sobą drzwi sypialni.

– Wiesz dokładnie, co się dzieje – odparła spokojnie Rose, otwierając szufladę i wyjmując stosik starannie poskładanych ubrań. Położyła ubrania na łóżku, po czym to samo zrobiła z drugą szufladą. – Mam dość grania drugich skrzypiec wobec innych kobiet. Mam dość twojego uganiania się za spódniczkami. Mam dość, koniec, kropka. Powiedz mi tylko, ile dokładnie było kobiet podczas tych wszystkich lat, Hugh? Nie kłam, ponieważ wiem, zawsze wiedziałam.

Z twarzy Hugh odpłynęła krew.

– Naprawdę sądziłeś, że jestem aż tak głupia? – zapytała.

– Znałam cię tak dobrze, że umiałam od razu rozpoznać, że ktoś ci się podoba. Ta żona lekarza tyle lat temu, kiedy Stella była malutka, czy ona była pierwsza? Zawsze mi się tak wydawało. I inni ludzie też mi o tym mówili, wiesz? Mówili: „Widziałem Hugh z kimś na kolacji” i czekali, aż zacznę wyglądać na zaszokowaną albo zaprzeczę, ale ja zachowywałam się, jak gdyby nic się nie stało, Hugh. Nie chciałam czuć się upokorzona. – Popatrzyła na niego, choć wcześniej zamierzała zachować chłodny spokój.

– Rose – odezwał się słabym głosem Hugh – nie rób tego. Mogę to wyjaśnić.

– Za późno na wyjaśnienia – odparła, otwierając szafę i lustrując jej zawartość. – Autentycznie sądziłam, że to się skończyło, że już nie masz innych kobiet i że nie zabierasz ich na sekretne lunche albo kolacje. Ale twoja ostatnia zadzwoniła do mnie. Mówi, że wie, iż nigdy mnie nie zostawisz, ale to tak boli. Biedactwo. Wiem, jak to jest. To nadal mnie boli, Hugh.

Rose nie czuła już nawet złości. A jeśli czuła, to tylko na siebie, że wytrzymała z tym tak długo.

Zaczęła wyjmować z szafy ubrania, ostrożnie wyglądając spódnice i spodnie, tak by nie miały zagnieć po złożeniu. Zabierała najpewniej zbyt wiele rzeczy, ale tam, dokąd jechała, lepiej być przygotowanym na każdą ewentualność.

– Co ty robisz? – Dopiero teraz do Hugh dotarło, że na podłodze stoją dwie duże walizki.

– Pakuję się. Odchodzę od ciebie.

– Och, Rose, nie możesz tego zrobić. – Nagle to on opadł na łóżko w stanie szoku, a cała wola walki uszła z niego niczym powietrze z przekłutego balonu.

Popatrzyła na męża z cieniem współczucia.

– A czego się po mnie spodziewasz?

Ukrył głowę w dłoniach.

– Kocham cię, Rose. Nie zostawiaj mnie, proszę.

– Powinam to była zrobić wiele lat temu. Zostałam powodu dzieci. Mogłam znieść pewną ilość upokorzenia a nich, ale dość tego.

– Byłem dyskretny! – zawołał z bólem Hugh.

– Za mało dyskretny – odparowała. – Osobiście widziałam cię jakiś czas temu, jak wychodziłeś z „Monsieur's”. Z rudowłosą. Czy to aktualna cizia?

– Nie, od lat nie było żadnej. Kiedyś się z nią przyjaźniłem i zmarł jej mąż, i chciała ponownie się ze mną spotkać...

– Sądziła, że możecie wrócić do miejsca, w którym przerwaliście? Jakie to wygodne. Powinieneś świadczyć usługi dla wdów. Usługi dla cenionych klientów.

– Rose, przestań. – Hugh wyglądał na autentycznie udręczonego.

– Masz rację, to był cios poniżej pasa. Muszę stąd wyjechać – dodała, nie przerywając pakowania.

– Dokąd pojedziesz?

– Nie powiem ci. Nie chcę, żebyś przyjechał tam za mną i błagał, bym wróciła do domu. Musimy pobycć osobno.

Hugh wziął do ręki szkatułkę od bransolety, która nadal leżała na łóżku, choć Rose wcześniej starannie uprzątnęła obciążające go terminarze i bilingi. Użyła ich po to, by udowodnić samej sobie, że nie wpada w paranoję. Teraz nie były jej już potrzebne.

– Dlaczego teraz, podczas naszych rubinowych godów, dlaczego akurat dzisiaj? – zapytał słabym głosem, patrząc na szkatułkę, którą wcześniej tego dnia dał jej z tak wielką radością.

Rose popatrzyła mu prosto w oczy.

– Aby cię upokorzyć – odparła. – Żebyś wiedział, jak to jest.

– Nigdy nie przypuszczałem, że tak bardzo to cię zrani. – Spojrzał na nią ze smutkiem. – Musisz mi uwierzyć. Nie sądziłem, że wiesz, i myślałem, cóż, że nie zrani cię to, o czym nie wiesz.

– Ośmielam się stwierdzić, że taka jest właśnie różnica pomiędzy mężczyznami a kobietami – zauważyła Rose. – Mężczyźni wierzą w to, że zwykła przygoda nie wpłynie na związek i że ona się nigdy nie dowie. Kobiety wiedzą, że nawet najbardziej niefrasobliwy romans może zadać śmiertelny cios. To także moja wina, wiesz? – dodała. – Powinna być stać z tobą twarzą w twarz te wszystkie lata temu i powiedzieć ci, jak się czuję.

– Dlaczego tego nie zrobiłaś? – zapytał, prawie płacząc.

– Bałam się wtedy, że nie wybierzesz mnie. – Rose skończyła pakować jedną walizkę i zatrzasnęła wieko. – To koniec, Hugh. Odchodzę. Powinieneś pójść i pożegnać się z gośćmi. Ktoś musi. Och, i możliwe, że będziesz to musiał wyjaśnić Adele. Czy mógłbyś przysłać tu dziewczynki?

Hugh uczynił w milczeniu to, o co go poprosiła. Wiedział, że nie ma sensu mówić Rose niczego więcej. Podjęła już decyzję. Żelazna determinacja żony była jedną z cech, które przyciągnęły go do niej.

Rose i Holly jako jedyne w rodzinie Millerów nie miały pobladłych twarzy, kiedy Hugh otworzył drzwi i wpuścił do środka trzy siostry.

– Tato? – zapytała Tara, chwytając ramię ojca. – Co się stało? To nie jest prawda?

Hugh spojrzał jej prosto w oczy.

– Przykro mi, dziewczynki, tak bardzo mi przykro.

Tara wciągnęła gwałtownie powietrze i podbiegła do matki.

– Och, mamu – wychrypiała, przytulając ją mocno.

Stella usiadła obok nich i położyła dłoń na kolanie Rose.

Holly przysiadła na skraju łóżka i poklepała Tarę po ramieniu.

Widząc ten wyraz kobiecej solidarności, Hugh zdusił szloch i wyszedł. To wszystko przez niego. Jego ego. Jego niepokromioną pychę.

– Pewnie uważacie, że wszystko popsulałam, prawda? – zapytała Rose. – Że kompletnie mi odbiło, ale tak nie jest. Czuję się... – szukała odpowiedniego słowa – wzmocniona. Mogę tak powiedzieć? – zapytała Tarę, która była zbyt rozedrgana, by udzielić jakiejś inteligentnej odpowiedzi. – Nie chciałam ranić waszej trójki, ale tak uczyniłam i przykro mi z tego powodu. Byłam po prostu tak zagniewana i mam nadzieję, że potraficie zrozumieć, dlaczego musiałam to zrobić.

– Powiedz nam dlaczego – rzekła Stella, która w ogóle tego nie rozumiała.

Rose ostrożnie dobierała słowa. Nie chciała nadmiernie dramatyzować ani sprawiać, by dziewczęta znieawidziły Hugh.

– Wasz ojciec i ja musimy pobyć osobno – rzekła. – Cóż, ja potrzebuję czasu spędzonego z dala od waszego ojca. Nie był mi wierny, i to bolało. Aleja także ponoszę winę – dodała. – Nigdy mu nie powiedziałam, że wiem o innych kobietach. Pragnęłam wierzyć, że mężczyźni różnią się od nas i potrafią mieć nic nieznaczące przygody...

– Dlaczego nam nie powiedziałaś? – zapytała z wściekłością Tara. – Jak mogłaś pozwolić, by uchodziło mu to na sucho? Gdyby Finn nie był mi wierny, najpierw bym go zabiła, a potem odeszła!

– Jesteś młoda, kochanie – rzekła Rose, głaszcząc Tarę po zalanym łzami policzku. – To wygląda inaczej, kiedy ma się dzieci, i inaczej w przypadku kobiet z mojego pokolenia. Nigdy nie chciałam rozbijać rodziny ani powodować niesnasek. – Skrzywiła się. – Sądziłam, że to najrozsądniejsze, co mogę zrobić, ale zmieniłam zdanie. Coś się wydarzyło i byłam tak bardzo zła na waszego ojca za to, że jest tak wielkim hipokrytą. Poza tym – Rose wstydziła się do tego przyznać – pragnęłam publicznie go zranić.

– Ale dlaczego teraz? – zapytała błagalnie Stella. – Dlaczego dzisiaj?

– Ten dzień wydawał się odpowiedni. Miałam dość kłamstw, a kiedy wyszłam i usłyszałam mowę waszego ojca, po prostu się wściekłam.

– Ale nie mówiłaś poważnie, prawda? – zapytała gorączkowo Tara. – Nie odchodzisz naprawdę od taty.

– Odchodzę. – Rose była pełna determinacji i nawet błagania córek nie zmieniłyby jej decyzji. Robiła to dla siebie samej.

– Dokąd pojedziesz? – To pierwsze słowa, jakie wypowiedziała Holly.

Rose nachyliła się i dotknęła jej dłoni.

– Do ciotki Freddie. Zadzwońłam do niej i oczekuje mnie.

– Dlatego właśnie nie przyjechała dzisiaj, ponieważ wiedziałaś, że to zrobisz? – zapytała Tara.

– Absolutnie nie. Zaprosiłam ją, ale nie mogła przyjechać. Mówiła coś o jakiejś imprezie dobroczynnej z pchaniem łóżek i zbieraniem funduszy na szpital.

– Freddie i pchanie łóżek – rzekła Tara, a jej twarz pojaśniała. – Można skonać ze śmiechu. Musi jak nic mieć siedemdziesiąt pięć lat. Mam nadzieję, że znajdowała się na łóżku, a nie że była jedną z pchających.

Cała czwórka uśmiechnęła się szeroko.

– Jak znam Freddie, to pchała – stwierdziła Rose. Wstała z łóżka. – Muszę dokończyć pakowanie – oznajmiła.

– Naprawdę jedziesz? – zapytała Stella.

– Tak. – Rose była nieugięta. – Robię to dla siebie samej, dziewczynki, proszę, zrozumcie. Potrzebuję czasu dla siebie, a tylko taki pomysł przychodzi mi do głowy.

– Ale mogłabyś pojechać do mnie, Tary albo Holly – zaprotestowała Stella. – Nie musisz jechać taki kawał do ciotki Freddie.

– Macie własne życie, nie mam zamiaru zwałać się wam na głowę i krzyżować planów – odparła Rose. – Chętnie pojadę na kilka tygodni do Freddie. Odkąd wyjechałam z Castletown przed czterdziestu laty, nie zaglądałam tam zbyt często. Wasz ojciec nie przepadał zajeżdżeniem tam – dodała z goryczą. Jej mąż zawsze z niechęcią odwiedzał rodzinne miasteczko Rose. Nie miał nic przeciwko wizycie w ciągu dnia, ale nigdy nie chciał zostać na noc w małym, nieskazitelnie czystym domku rodziców Rose. Pewnie stanowił zbyt duży kontrast w porównaniu z wielkim domem rodziny Millerów.

– Możemy cię odwiedzić? – zapytała Tara.

– Oczywiście. Wolałabym, aby wasz ojciec nie wiedział, gdzie jestem, choć wyłącznie do was należy decyzja, czy mu o tym powiecie, czy nie. – Córki przyglądały się w milczeniu, jak kończy się pakować. – Mam także komórkę – dodała.

– Nie wybieram się na drugą stronę księżycy. – Patrzyły się na nią, przypominając Rose czasy, kiedy były małe i wielkimi, ciemnymi oczami śledziły jej każdy ruch. – Zapewniam was, że nie przechodzę załamania – oświadczyła stanowczo.

– Robię coś szalonego i nieprzewidywalnego po to, by zreorganizować swoje życie. Czy matkom nie wolno robić takich rzeczy, nawet w moim wieku?

– Tak, oczywiście, że tak – odparła ze znużeniem Stella.

– To po prostu taki szok. I nie wiem, co powiedzieć Amelii.

– Dlatego właśnie kazałam jej iść do domu. Nie chciałam, by to słyszała. Powiemy jej, że wybieram się na samotne wakacje.

– Ale kiedy wrócisz? – zapytała Tara.

– Nie wiem.

\*\*\*

Ludzie z firmy cateringowej jeszcze nigdy nie widzieli, by przyjęcie tak szybko się zakończyło. Nie minęło pół godziny od przemowy Rose, a namiot opustoszał. Na stołach leżały na wpół opróżnione talerze, puste kieliszki i kartki z życzeniami, które nie zdążyły trafić do adresatów. Zostało mnóstwo jedzenia i Stella, która zdaniem wszystkich powinna przejąć stery pod nieobecność matki, nie miała pojęcia, co z nim zrobić. Zamrażarka w Kinvarrze nie pomieści tego wszystkiego i cała rodzina przez miesiąc musiałaby jeść ciasto.

Kierownik ekipy cateringowej powiedział, że ma znajomego, który pracuje z grupami bezdomnych, i że wielkie kadzie z nietkniętym jedzeniem mogą stanowić wieczorną, sobotnią ucztę dla ludzi, którym ciężko się żyje. Zadowolone, że przynajmniej ktoś skorzysta na tym kompletnie nieudanym przyjęciu, Millerówny siedziały w kuchni rodziców i czekały na rozwój wydarzeń.

Ich ojciec gdzieś zniknął. Holly szukała go w ogrodzie, ale nie znalazła po nim ani śladu. Nie odbierał także telefonu.

– Mam nadzieję, że nic mu nie jest – powiedziała niespokojnie. – Może jest z wujkiem Alaistairem.

Znalazła numer Devonów i zadzwoniła, ale włączyła się automatyczna sekretarka.

Ciotka Adele usiadła przy stole obok Tary i wpatrywała się pustym wzrokiem w przestrzeń.

– Napijesz się herbaty, ciociu? – zapytała grzecznie Stella.

Wyglądało na to, że Adele szczególnie ciężko to przeżywa. O dziwo, nie straciła panowania nad sobą, tak jak to przewidywała Stella. Zamiast tego wciąż powtarzała, że musi porozmawiać z bratową.

– Rose mnie potrzebuje – mówiła słabym głosem.

Stella, która nie sądziła, by jej matka miała ochotę na odwiedziny Adele, wyjaśniła, że Rose pakuje się właśnie na kilkudniowy wyjazd i chce być sama.

Teraz postawiła przed nią filiżankę i spodek oraz talerzyk z kawałkiem ciasta z owocami.

– Musimy być silne – rzekła Stella, próbując włączyć w głos choć trochę fałszywego optymizmu.

– Cześć, dziewczyny, co się dzieje?

To Nick, który wrócił z Kinvarry, dokąd się udał z Amelią na lody. On i Stella uznali, że najlepiej będzie, jeśli Amelia zniknie z domu.

– Idę na papierosa – Holly wstała i skierowała się ku drzwiom.

Nick usiadł na jej miejscu.

– Jakies wieści? – zapytał Stellę.

Pokręciła głową. Nick ujął jej dłonie w swoje, ściskając je w sposób, który mówił, że może na niego liczyć.

Tara przyglądała im się przez chwilę, po czym wstała, by poszukać Finna.

Znalazła go siedzącego na jednym z foteli w salonie i oglądającego Sky Sports. Z boku stał jeden z małych stolików Rose, na którym dostrzegła szklaneczkę brandy. Butelka znajdowała się tuż obok.

Kiedy Tara weszła do pokoju, Finn spojrzał na nią nieufnie.

– Jak wygląda sytuacja? – zapytał ostrożnie.

Tara wpatrywała się w butelkę brandy.

– Widzę, że wszystko wróciło do normy – warknęła zjadliwym tonem.

– Po takim dniu trzeba się czegoś napić... – zaczął Finn.

– Po takim dniu? Chciałeś chyba powiedzieć po każdym dniu? Choć raz mogłeś zostawić w spokoju butelkę...

– Choć raz?! – wrzasnął Finn, zrywając się z fotela. – Przez cały tydzień nie piłem. Mam tego dość.

Stali naprzeciwko siebie niczym pitbulle gotowe do ataku. Tłumione emocje z dzisiejszego dnia wylewały się z Tary i czuła, że bez problemu mogłaby uderzyć Finna. Ona pragnęła jedynie wsparcia od swojego męża, takiego wsparcia, jakie Nick zapewniał Stelli. Finn jednak nie mógł jej go dać, ponieważ wcześniej poszukał pociechy w kieliszku. Przeczuwała, że on się nigdy nie zmieni. Nigdy nie będzie mogła polegać na nim, jeśli on będzie polegał na alkoholu.

– Dlaczego ja za ciebie wyszłam? – zapytała. – W ogóle cię nie znałam.

– To prawda – wysyczał w odpowiedzi.

Rozejrzał się za kluczykami od samochodu, ale Tara była szybsza. Zgarnęła je z ławy.

– To, że chcesz zabić siebie, nie oznacza, że wolno ci zabić kogoś innego – oświadczyła.

Finn się zarumienił.

– Nie pojechałbym daleko – powiedział. – Jedyne do hotelu tuż za Kinvarrą.

– To już jest za daleko – odparła Tara. – Widać to twoja specjalność: posuwać się za daleko.

Wypadł jak burza z domu. Tara uznała, że jej mąż nie ma dokąd pójść. Miała jego kluczyki i zostawił na sofie marynarkę. Szybko sprawdziła. Portfel znajdował się w kieszeni, a on jedynie miał trochę drobnych w spodniach. Nie narobi wielkiej szkody.

– Dziewczęta, jadę. – Rose stała w korytarzu z dwiema walizkami. Miała także mniejszą torbę i torebkę na ramię.

– Czy ktoś mógłby zanieść mi to do samochodu? – zapytała.

Nick włożył walizki do bagażnika. Trzy siostry, Adele i Amelia stały przed drzwiami i przyglądały się.

Rose przykucnęła obok wnuczki.

– Amelio, skarbie, jadę na małe wakacje, a ty przyjedziesz mnie odwiedzić, dobrze?

– No a dziadek? Dlaczego nie jedzie z tobą? – zapytała Amelia.

Rose uściskała ją. Pomyślała z goryczą, że wyjęła te słowa z jej własnych ust.

– Dziadek musi pracować, więc zostaje. Ale oboje cię kochamy. I to jest najważniejsze, prawda?

Duże, brązowe oczy Amelii były zmartwione. Rose pocałowała ją w czoło i wyprostowała się.

– Trzymaj się, Adele – ledwie musnęła ustami suchy policzek szwagierki.

– Rose, nie jedź – powiedziała ta błagalnie. – Hugh nie chciał tego wszystkiego, wiem to. Nigdy by cię nie skrzywdził. Nie możesz mu tego zrobić.

– To nie jest twoja decyzja, Adele – odparła cicho Rose. – Tym razem nie możesz go uratować.

Uściskała Nicka. Był dla niej niczym rodzina. Wiedziała, że będzie dla Stelli wielkim oparciem.

Rozejrzała się za Finnem.

– Wyszedł na spacer – wyjaśniła szybko Tara.

Rose ujęła dłonie swej środkowej córki w swoje.

– Pożegnaj się z nim ode mnie. I nie smuć się, Taro. Muszę to zrobić.

– Wiem – mruknęła Tara, choć wcale tak nie było. Cały świat zmieniał się na jej oczach i nic nie była w stanie na to poradzić. – Chciałabym, abyś mi pozwoliła jechać z tobą.

– Kochanie, muszę to zrobić sama – odparła jej matka.

Stella objęła ramionami Rose i Tarę.

– Zadzwoń do nas, kiedy dotrzesz do Freddie.

– Oczywiście.

Wreszcie Rose podeszła do Holly, która stała ze łzami w oczach.

– Przepraszam – powiedziała matka. Uściskała mocno najmłodszą córkę, następnie szybko wsiadła do samochodu, żeby nie mieć czasu na myślenie, bo pewnie nie zdołałaby ich zostawić.

Przeglądali się w milczeniu, jak odjeżdża. Amelia trzymała mamę za rękę.

Adele poczuła ból w gardle, dziwne uczucie, którego nie potrafiła do końca zidentyfikować. Odwróciła się, by odejść, i Nick zaoferował jej ramię. Weszli do środka, pozostawiając dwa pokolenia kobiet z rodziny Miller, wpatrujących się w dal.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Silnik nie pracował równo i słyszało to nawet niewprawne ucho Rose. Jechała szybko drogą prowadzącą do Castletown i silnik ryczał nawet wtedy, gdy ona nogą nie dotykała pedału gazu. Cholerny samochód. Hugh znał dobry warsztat, poprosi go, by odstawił tam auto... Na nowo uderzyła w nią świadomość, że jej mąż nie odstawi jej niczego do warsztatu, ponieważ od niego odeszła. Właśnie odeszła od Hugh. Po czterdziestu latach. Przed jej oczami pojawiła się jego zaszokowana, oszołomiona twarz i Rose musiała zwolnić, gdyż zwilgotniały jej oczy, a serce zaczęło walić w panice.

Przy drodze znajdował się zjazd na jakąś farmę i zatrzymała się tam, po czym wyłączyła silnik. Zmusiła się do głębokich oddechów, aż wreszcie to straszne drzenie ustało, a bicie serca się uspokoiło.

Hugh nie widział, jak odjeżdżała z Kinvarry; jedynie dziewczynki, Amelia, Adele i Nick pomachali jej z domu. Wszyscy starali się zachowywać, jakby to był zwykły wyjazd, z którego za kilka dni wróci wypoczęta i zadowolona.

Rose przystała na tę radosną fasadę i czuła się tak, jakby rzeczywiście wyjeżdżała na wakacje. Aż do teraz. W całym swoim poukładanym życiu nie zachowywała się w taki sposób, a kiedy wreszcie to zrobiła, dawał o sobie znać szok.

Błede słońce wisiało nisko na niebie i wieczór stawał się coraz chłodniejszy, ale Rose opuściła szybę, by wpuścić do samochodu nieco świeżego powietrza. Do jej nosa dobiegł ostry zapach czarnego bzu, wymieszany z cierpką, wyraźną wonią dzikiej cebuli, która rosła obficie w wysokiej trawie. Z oddali słyszała żalosne muczenie krów, proszących o wydojenie, a zegar na wieży w Castletown oznajmił pełną godzinę siedmioma zduszonymi, rozbrzmiewającymi echem uderzeniami. Rose jechała już od godziny i trzech kwadransów, i jej rodzinna miejscowość znajdowała się tuż za następnym wzgórzem. Powiedziała Freddie, że zjawi się przed wpół do siódmej, ale nie czuła potrzeby pośpiechu. Jej wzorowa punktualność zniknęła w pobliżu rodzinnych stron. Wdychała zapachy z młodości, wiedząc, że ciotka nie przejmuje się czasem i nie uniesie brwi bez względu na to, o której godzinie się u niej zjawi. Częściowo dlatego postanowiła jechać właśnie do niej. Młodsza siostra jej matki była dokładnie tego typu osobą, do której się ucieka, zostawiwszy męża po czterdziestu latach małżeństwa. Była niekonwencjonalna, nie miała zwyczaju nikogo osądzać i na pewno nie będzie zadawać zbyt wielu pytań.

Kiedy Rose zadzwoniła do niej wcześniej, praktycznie o nic nie pytała.

– Oczywiście, że możesz do mnie przyjechać – powiedziała radośnie. – Prawdę mówiąc, to masz szczęście, że mnie złapałaś. Za godzinę zaczyna się impreza dobroczynna z pchaniem łóżek i muszę tam być. Będziesz chciała kolację czy też jesteś przez ten swój problem zbyt smutna, by jeść?

Pomimo wszystkiego Rose wybuchnęła na te słowa śmiechem. To właśnie była cała Freddie.

Nieco podniesiona na duchu myślą o tym, że zobaczy ciotkę, Rose włączyła silnik i ruszyła dalej.

Castletown było ładnym, nadmorskim miasteczkiem z trzema kilometrami plaży i cieszyło się reputacją spokojnego miejsca na letni dom. Na głównej ulicy było cicho. Pomimo swej staroświeckiej atmosfery, miasteczko bardzo się zmieniło od czasów, gdy przed czterdziestu laty

mieszkała tu Rose. Wtedy było ładne, ale widać w nim było zaniedbanie. Grand Hotel w centrum miał popękaną fasadę, zdającą się mówić, że całe miasteczko pamięta lepsze czasy, gdy tymczasem witryny sklepowe, choć nieskazitelnie czyste, były nudne i stare. Teraz hotel posiadał wielką dobudówkę na wesela i kompleks sportowy. Od frontu całości dopełniały latarnie i winobluszcz. Małe sklepiki chełpiły się staroświeckimi szyldami, zbyt błyszczącymi i idealnymi, by naprawdę mogły być stare. Niewielki sklep spożywczy, w którym kiedyś przez jedno lato pracowała Rose, potroił swe rozmiary i przekształcił się w sklep całodobowy, zaś wielkie plakaty na szybach informowały o tym, że w środku można dostać świeży chleb i kupony totka.

Jechała dalej ulicą, która prowadziła na plażę, gdzie ona i Hugh spacerowali wiele lat temu, kiedy przyjechał poznać jej rodziców. Rose nie chciała teraz o tym pamiętać. Zaciśnęła zęby i na skrzyżowaniu w kształcie litery T skręciła w prawo, kierując się w stronę wzgórza, które leżało na skraju miasteczka. Na jego szczycie skręciła w lewo i wąską drogą pojechała w dół do otoczonego drzewami domku.

Freddie czekała na nią przy bramie.

– Witaj, Rose! – zawołała pogodnie i głośno, by słyhać ją było ponad szczekaniem trzech niesamowicie podekscytowanych psów. Jack Russell z białym pyskiem, czarny kundel z również białym pyskiem i smutnymi oczami oraz płowy collie ze schroniska, który drżał ze zdenerwowania – wszystkie otoczyły Rose.

Dwie kobiety uściślały się, następnie Freddie bez żadnego wysiłku podniosła torbę podręczną, którą Rose rzuciła na fotel dla pasażera.

– Woda się właśnie zagotowała, jeśli masz ochotę na herbatę, i miałam dopiero co dostawę ze sklepu z trunkami, jest więc także niebieski gin.

Uśmiechnęła się promiennie do siostrzenicy i Rose, choć czuła, że zaraz się rozplacze ze wzruszenia po takim przyjęciu, niepewnie odwzajemniła uśmiech.

– Cudownie, że tu jestem – powiedziała.

– Czas już był, żebyś tu przyjechała – oświadczyła Freddie.

Rose obliczyła, że jej ciotka musi być już dobrze po siedemdziesiątce, a może nawet i tuż po osiemdziesiątce. Jednak jakichkolwiek słów by użyć do opisanja Freddie Maguire, „staruszka” i „emerytka” na pewno nie przyszłyby nikomu do głowy jako pierwsze. Bardziej właściwe byłyby „pełna życia” i „ekscentryczna”.

Twarz Freddie była ogorziała od przebywania na świeżym powietrzu i pokryta siateczką głębokich zmarszczek niczym piękny, lecz bardzo stary wazon, poprzecinany wieloma delikatnymi pęknięciami. Włosy miała teraz śnieżnobiałe, gęste i zaczesane do tyłu. Rose pamiętała czarno-białe rodzinne fotografie, przedstawiające ją jako młodą, tryskającą energią kobietę, kiedy falujące, niesforne włosy miała atramentowo czarne i stała wysoka, i smukła, patrząc prosto w obiektyw aparatu. Jedynie oczy pozostały takie same: koloru morskiego, mądre i pełne ciekawości oczy młodej kobiety.

Nadal była smukła, ale szczupła talia z wiekiem stała się szersza. Dłonie także się postarzały i pod skórą widać było ścięgna, wyglądające niczym kawałki sznurka. Nie garbiła się jednak i wciąż chodziła dziarskim krokiem, o czym przekonała się Rose, kiedy Freddie ruszyła w stronę domu, wymachując jej torbą. Za nią pobiegły psy.

– Muszę przedstawić cię dziewczynkom – powiedziała Freddie, kiedy dotarły do drzwi. – Ten mały urwisowaty terier to Pig. Ta dama to Mildred. – Czarny pies popatrzył żałośnie na Rose. – A to maleństwo to Prinny, która została porzucona i potrzebuje ciągłej pociechy. – Jakby na potwierdzenie tych słów, suka popatrzyła na swoją panią niespokojnymi oczami. – Witamy w Pokrzywowej Chatce. Nazywa się tak, ponieważ pokrzywy przypominają mi mnie samą: kąśliwe, ale bardzo grzeczne w gorącej wodzie – dodała Freddie z błyskiem w oku.

Pokrzywowa Chatka podobna była do domku, w którym dorastała Rose. A przynajmniej z zewnątrz. W środku podobieństwo zniknęło. Dom rodzinny Rose był w stylu bardzo tradycyjnym, z pomalowanymi na jasno ścianami, wielkim piecem w jednym rogu i z wygodnymi, aczkolwiek prostymi meblami, które odpowiadały ludziom pracującym na roli. Domek Freddie przypominał

czasy Tudorów, z czarnymi belkami, widoczną murarką, mosiężnymi ozdobami i otwartym kominkiem, przed którym na honorowym miejscu leżały trzy psie legowiska. Ściany przesłaniały półki z książkami, zdjęciami i bibelotami, a także kopie obrazów Klimta i Tamary Łempickiej. Przeszklona szafka wypełniona była książkami. Rose zerknęła i przekonała się, że jest tam wszystko od Beauvoir po komplet dzieł Anais Nin.

– Trzymam tu te bardziej pikantne – rzuciła nonszalancko Freddie.

Pokój gościnny znajdował się z tyłu domku i z jego okna rozciągał się widok na dużą, porośniętą polnymi kwiatami łąkę. W samym pokoju też obecne były kwiaty: jedną ścianę pokrywało malowidło, przedstawiające właśnie łąkę.

– Przez jakiś czas mieszkała u mnie taka kochana dziewczyna z Hiszpanii i namalowała to zamiast płacić za czynsz – Freddie siadła na łóżku, podziwiając malowidło ścienne.

– Obawiam się, że jest tylko jedna łazienka, a prysznic trochę szwankuje, więc po prostu kąpię się w wannie. Jakoś nie mogę się zabrać za to, by go naprawić. No to przyniosę coś do picia i porozmawiamy o tym, co by tu dobrego zjeść na kolację.

Uśmiechnęła się i wyszła, a za nią jej psia świta. Rose rozejrzała się po niewielkim, przytulnym pokoju. Znajdowało się w nim wysokie, staroświeckie łóżko z prześcieradłami i białą pikowaną narzutą zamiast kołdry. Sosnowe biblioteczki pełne były książek, na ścianach wisiały kolejne obrazy, a w jednym rogu stała błyszcząca szafa w stylu art deco. Obok łóżka ustawiono kilka świeczek w różnorodnych pojemniczkach. Rose, mającej zazwyczaj bzika na punkcie natychmiastowego rozpakowywania się, tym razem nawet nie przyszło do głowy, by iść do samochodu po walizki. Nie chciała być sama przez ten czas, który potrzebny byłby na rozpakowanie. Nie chciała przebywać w towarzystwie jedynie swych zagmatwanych myśli. Rzuciła torebkę na łóżko i wyszła do drugiego pokoju.

– Piję gin z dubonnetem – odezwała się Freddie, nie odwracając się od bambusowego stołu, zastawionego każdym możliwym trunkiem. – Zawsze mówię, że skoro był wystarczająco dobry dla kochanej, starej Królowej Matki, to jest wystarczająco dobry i dla mnie.

– To ja też poproszę – powiedziała Rose, która rzadko piła coś innego niż wino w małych ilościach i raz na jakiś czas gin z tonikiem.

Freddie podała Rose szklaneczkę do koktajlu.

– To cię podniesie na nogi.

Rose przelknęła odrobinę i jej oczy zrobiły się wilgotne.

– Za mocne? – zapytała troskliwie Freddie. – Czasami zapominam. Nie każdy lubi mocne drinki.

Nałożyła łyżeczką trochę lodu do szklanki Rose, następnie usiadła ze swoim drinkiem w ręku. Psy, które obserwowały jej każdy krok, umościły się wygodnie na swoich posłaniach, położyły nosy na łapach, zadowolone, że ich dysponująca niespożytą energią pani wreszcie spoczęła. Freddie posmakowała drinka, uśmiechnęła się, po czym zapaliła długiego, ciemnego papierosa.

– Teraz palę już tylko cztery albo pięć dziennie – powiedziała. – Wiem, że to mi szkodzi. Tak samo alkohol, ale nie da się tego wyrzec. – Popatrzyła na Rose z błyskiem w oku. – No dobrze, Rose, możesz tu zostać tak długo, jak tylko zechcesz i nie muszę wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Możesz zachować to dla siebie. Nie wyobrażam sobie, byś przyjechała do Castletown po raz pierwszy od lat bez naprawdę dobrego powodu, ale jeśli życie nauczyło mnie czegoś, to tego, że wścibscy ludzie są potwornie upierdliwi. Jesteś głodna? Masz i idiotę na kolację? – Na dźwięk słowa „kolacja” wszystkie trzy psy natychmiast usiadły, a ich ogony zaczęły uderzać o podłogę. – Nie wy, moje skarby – zagruchała Freddie. – Spasicie się, jeśli zjecie dzisiaj coś jeszcze. Są naprawdę nienazarte dodała do Rose. – Piętnaście kilometrów stąd jest przyjemna hinduska restauracja i mają tam jedzenie na wynos...

– Odeszłam od Hugh, ponieważ nie był mi wierny – wyrzuciła z siebie Rose.

– Cóż, jestem pewna, że tak właśnie powinnaś była zrobić – odparła Freddie, w ogóle nie okazując zaskoczenia. – Mężczyźni są niczym szczenięta. Wystarczy postukać im w nos zrolowaną gazetą i szybko uczą się porządku.

Psy, które nie wyglądały tak, jakby Freddie choć raz machnęła w ich kierunku gazetą, przyglądały jej się z uwielbieniem.

– Myślisz, że wrócisz do niego, czy też odeszłaś na dobre?

Rose pociągnęła większy łyk swego drinka. Freddie była zaskakująco bezpośrednia. Nie zawracała sobie głowy cczą gadaniną w stylu: „Jakie to okropne, biedactwo, ale czy dobrze to przemyślałaś?”. Nie zdziwiła się też z powodu końca trwającego czterdzieści lat małżeństwa.

– Nie wiem – rzekła szczerze Rose. Przynny wyciągnęła długi, płowy nos w stronę nóg Rose, która nachyliła się, by ją pogłaskać. – To była decyzja podjęta pod wpływem chwili. Wszyscy inni są przerażeni i pragną, byśmy znowu byli razem.

– Wszyscy inni nie mają tylu lat co ja – zauważyła Freddie. – Kiedy człowiekowi stuknie osiemdziesiątka, ma prawo myśleć o sobie i być szalony, jeśli tylko ma taką zachciankę.

– To nie kwestia wieku – odparła Rose. – Wiele lat temu też taka byłaś.

– Pewnie tak – uśmiechnęła się Freddie. – Monogamia nigdy nie była moją mocną stroną. Miałam wielu kochanków. Nigdy nie chciałam ustatkować się z żadnym z nich, cóż – uczyniła pauzę, odbiegając myślami lata i kilometry stąd. – Raz chciałam, ale on był żonaty.

Rose zeszytywniała, co Freddie natychmiast dostrzegła.

– Moja droga, nie spieszyłam się do tego, by porywać go z łona jego rodziny. Wiem, że jesteś nieco przeczulona na punkcie związków pozamałżeńskich, ale to nie jest wcale tak. On nie był szczęśliwy w małżeństwie, ale wtedy nie było tak jak teraz, ludzie nie odchodzili. To się działo pięćdziesiąt lat temu i uznaliśmy, że prościej będzie się rozstać. Niektórzy ludzie nie są dobrzy w monogamii, inni zaś uważają, że odrobina pikanterii czyni życie fajniejszym.

– Ja nie – powiedziała ze smutkiem Rose.

– Ale Hugh tak.

Rose kiwnęła głową.

– Kiedy ty i Hugh wzięliście ślub, zastanawiałam się, jak to się wszystko potoczy. – Freddie dopiła drinka i wstała, by zrobić sobie kolejnego. – Twoja matka i ojciec byli razem tacy szczęśliwi, i zastanawiałam się, jak śmiertelnik zdoła temu sprostać. No i – ciotka uczyniła pauzę – pochodził z innego świata niż my. Twoja matka zawsze była z jednej strony uszczęśliwiona tym, że wyrwała się z Castletown, a z drugiej bała się, że z Millerami mierzyła zbyt wysoko.

Rose początkowo zachnęła się na sugestię, że nie była wystarczająco dobra dla rodziny Millerów. Następnie usiadła wygodniej na krześle. Freddie miała rację. Świat może i zaprzestał stosowania podziałów klasowych, ale czterdzieści lat temu były one na porządku dziennym. Córkę biednego rolnika i studiującego w college'u syna zamożnego adwokata dzieliła przepaść.

– Co słychać u dziewcząt? – zapytała Freddie, zręcznie zmieniając temat.

Zadzwoiły po hinduskie jedzenie, a psy były oburzone, li i ody Freddie odmówiła im smakowitych kąsków.

– Dla was zbyt aromatyczne i pikantne – upierała się, gdy siedziały wokół stołu z oczami błyszczącymi wyczekiwaniem.

W tle śpiewała cicho Edith Piaf. Freddie nie miała telewizora. Czytała wiadomości w gazetach i nie znosiła oglądać wojen w telewizji.

– Chyba pójdę do łóżka – Rose wstała od stołu.

– Dobry pomysł – odparła Freddie. – Jutro czeka nas poro pracy, gdyż przypada moja kolej na rozwożenie jedzenia starszym ludziom – dodała bez cienia ironii.

No a czemu nie, pomyślała Rose. Skoro ciotka się nie zestarzała, czemu nie?

– Wykorzystam cię – kontynuowała Freddie. – Sprzęgło puszcza mi w vanie i cieszę się, że będę miała pomoc. Jedzenie powinno się rozwozić w parach, aleja zawsze jestem sama. Świetnie spędzimy razem czas.

Rose, która wyobrażała sobie jutrzejszy dzień jako dalszą wędrówkę ścieżkami wspomnień, kiwnęła głową.

– Dobranoc, Freddie.

Wyszykowała się do spania w małej, pomalowanej na niebiesko łazience i użyła nieco marchewkowego kremu nawilżającego Freddie, ponieważ jakimś cudem zapomniała zabrać

swój. Na ścianie wisiała stara szafka z lustrzanymi drzwiczkami, a w jej wnętrzu skrywały się różne interesujące pamiątki, w tym kilka ładnych srebrnych papierośnic, mały emaliowany medal i bardzo stary, pusty flakon po Chanel No 5. Rose zastanawiała się, kto podarował go Freddie i dlaczego był tak cenny, że nadal go miała, choć zapach ulotnił się już dawno temu. Czy to prezent od żonatego kochanka sprzed pięćdziesięciu lat?

W sypialni przebrała się w koszulę nocną i wślizgnęła pomiędzy chłodne, bawełniane prześcieradła. Łóżko było twarde niczym blat stołu i Rose czuła się jak księżniczka na ziarnku grochu, kiedy próbowała wygodnie się ułożyć. Jednak nagle nawiedził ją sen i pomimo twardych desek pod materacem spała głęboko i bez żadnych snów.

– Herbata – oznajmiła Freddie, pojawiając się rano w pokoju razem ze świtą psów, stukających łapami o wyłożoną płytkami podłogę.

Rose usiadła na łóżku, niepewna gdzie się znajduje, dopóki Freddie nie rozsunęła zasłon i do pokoju nie wślizgnęły się promienie słoneczne, oświetlające malowidło na ścianie naprzeciwko łóżka.

– Spałaś?

– Prawdę powiedziawszy, nawet dobrze. – Rose wzięła w dłonie kubek z herbatą i oparła się o poduszki, delektując się luksusem, że ktoś przyniósł jej herbatę do łóżka. Herbata Freddie miała barwę masła orzechowego i według jej własnych słów była „tak mocna, że mogłaby po niej przebiec kaczka”. Jednak dzisiaj była cudownie słodka i znajoma. Rose pamiętała, że jej matka także lubiła mocną herbatę, prawdziwą herbatę, a nie tę z torebek. – Która godzina? – zapytała.

– Wpół do siódmej. Zazwyczaj wstaję wcześniej. W niedzielę zabieram dziewczynki na wycieczkę wokół Sally Woods, potem jem śniadanie w kafejce O'Malley's, a jeszcze później pomagam przy robieniu obiadu dla starszych ludzi.

Rose, która była wiele lat od niej młodsza, zastanawiała się, jak ciotka jest w stanie podolać temu wyczerpującemu planowi dnia. Dla niej relaksacyjna niedziela oznaczała śniadanie, mszę w katedrze, a potem leniwe przeglądanie gazet.

– Masz ochotę na spacer? – Freddie miała taką minę, jakby bardzo tego chciała.

– Tak – odparła zdecydowanie Rose. Jeśli powiedziało się A, należy powiedzieć i B.

Mały spacer wokół Sally Woods okazał się energiczną pięciokilometrową wspinaczką wąską ścieżką, a następnie bardzo stromym wzgórzem do prześlicznej polany otoczonej wierzbami, i z powrotem. Psy podskakiwały z radością, zanurzając nosy w kępkach trawy. Wbiegały do strumieni, a potem wyskakiwały na brzeg i otrząsały się. Wewnętrzny zegar Rose wciąż chodził według czasu w Kinvarrze. Teraz ona i Hugh siedzieliby w kuchni, słuchali porannych wiadomości i jedli śniadanie: tost dla niej, owsianka dla niego.

Na widok kępek dzwonek pomyślała, jak ślicznie by wyglądały na stole w kuchni, a dopiero po chwili przypomniała sobie, że nie znajduje się w Kinvarrze.

– Chodźmy, Rose – powiedziała łagodnie Freddie, widząc, jak twarz jej siostrzenicy wykrzywia związany ze wspomnieniami ból. – Ciesz się spędzaniem tutaj czasem. Nie spaliłaś jeszcze za sobą mostów, nadal możesz wrócić. Więc odpręż się.

Rose, niezdolna wydusić ani słowa, kiwnęła głową. Zrobi to, tak właśnie robi. Postara się zapomnieć o bólu ostatnich dwudziestu czterech godzin. To miał być czas leczący rany i pragnęła się nim cieszyć.

– Te dzwonki ładnie by wyglądały w łazience – rzekła, schylając się, by urwać kilka delikatnych kwiatów.

Freddie uśmiechnęła się szeroko.

– Owszem.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Tym razem Holly nie gotowała. Zamiast tego zaparzyła wielki dzbanek kawy i postawiła go przed Stellą i Tarą razem z paczką herbatników w czekoladzie, na wypadek gdyby którejs

zachciało się jeść. Stella, mająca tendencję do podjadania w chwilach zdenerwowania, poczęstowała się dwoma herbatnikami. Tara naląła sobie czarnej kawy bez cukru. Nie dałaby rady wmusić w siebie żadnego ciasteczka.

To dziwne, ale żadna z nich nie dostrzegła nowego nabytku w mieszkaniu Holly: trzydziestocentymetrowego kamiennego anioła. Tom przyniósł go jej z budynku, nad którym obecnie pracował. Anioł miał pęknięcia i nie przydałby się w biurze architektonicznym, ale Tom wiedział, że Holly by się spodobał.

– Jest śliczny. Skąd wiedziałeś, że lubię anioły? – Westchnęła z zachwytem, kiedy wniósł go do jej mieszkania. Dotknęła palcami promiennej twarzy anioła z zadartym nosem i starannie rzeźbionych loków, delektując się dotykiem gładkiego kamienia. Jedno skrzydło było mocno wyszczerbione, ale Holly to nie przeszkadzało. To była najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu dostała.

– Szczęśliwy traf – odparł Tom, uśmiechając się promiennie.

Holly dotknęła anioła na szczęście, nim usiadła na małej sofie naprzeciwko siostr. Zebranie rady siostr Miller w celu ustalenia, co zrobić w kwestii rodziców.

Był wtorkowy wieczór, trzy dni po katastrofalnych wydarzeniach podczas rubinowych godów. W ciągu tych trzech dni siostry wielokrotnie rozmawiały z matką przez telefon. Sprawiała wrażenie spokojnej i przekonanej, że podjęła właściwą decyzję. Powiedziała także, że cieszy się względnym spokojem w Castletown.

– Freddie zawsze gdzieś się spieszy i o różnych porach do domku wpadają różni ludzie, ale ponieważ nie odwiedzają oni mnie, jest to dziwnie odprężające – rzekła Rose.

Ich ojciec to była zupełnie inna sprawa.

Zupełnie się załamał. Alastair Devon codziennie dzwonił do Stelli, mówiąc, że Hugh jest zdruzgotany, błagając, by jedna z dziewcząt przyjechała do Kinvarry i zajęła się nim. Stella, rozdarta pomiędzy lojalnością względem matki a troską o ojca, i nie bardzo wiedząc, jak mogłaby wstrzymać swe życie, by wrócić do Kinvarry, wspomniała o tym Hugh. Odparł, że nawet by mu do głowy nie przyszło, by prosić ją o coś takiego.

– Sam sobie nawarzyłem tego piwa – powiedział słabym głosem, który wydawał się tak cichy w porównaniu z jego normalną tubalnością. – Muszę je teraz wypić. Jest mi tylko strasznie przykro, że wszystkich skrzywdziłem.

– Musimy coś zrobić, by nabrali rozumu – zarządziła teraz Stella, częstując się kolejnym herbatnikiem. Z ich trójki łąją najbardziej zaszokowało rozstanie rodziców. W jednej straszliwej chwili rzekomo wyjątkowo szczęśliwe małżeństwo okazało się lipą. W nocy Stella wracała myślami do wydarzeń z dzieciństwa, próbując sobie przypomnieć, czy tylko wyobrażała sobie to szczęście. Każda na pozór „idealna” chwila była podejrzana, a ślepa akceptacja tego wizerunku szczęśliwej rodziny kazała jej nawet zwątpić we własną umiejętność oceny. Jak mogła nie dostrzegać, co się dzieje?

– Nie rozumiem – Tara odstawiła na stół pustą filiżankę i ponownie napełniła ją kawą – jak to możliwe, że o niczym nie wiedziałyśmy. No przynajmniej ja i Stella.

– Powinnaś nam była powiedzieć, Holly – powiedziała Stella po raz chyba milionowy.

W sobotę wieczorem siedziały we trzy i rozmawiały przez wiele godzin. Holly naraziła Stellę i Tarę na drugi szok w ciągu jednego dnia, kiedy wyjawiała, że wiedziała o przygodach ich ojca czy też raczej o jednej z nich.

– Dowiedziałam się wiele lat temu – wyznała niemal przeproszającym tonem. Bolało ją, że musi im to mówić.

Jej siostry z trudem łąpały powietrze.

– Wiedziałaś? – zapytała zdumiona Tara.

Holly wzruszyła ramionami.

– Ale dlaczego nie pisałaś ani słowa nam lub mamie?

Niełatwo było odpowiedzieć na to pytanie. Holly miała nieco inne poczucie lojalności niż jej siostry. Zawsze uwielbiała ojca. Gdy jako szesnastolatka usłyszała, jak mruczy do słuchawki czule słówka do kobiety, która nie była jej matką, poczuła się zaszokowana, ale i tak go kochała.

Nie chciała, by rozstał się z mamą, a tak właśnie się działo, kiedy ludzie miewali romanse. Więc zachowała ten sekret dla siebie. Nigdy nie widziała żadnych innych dowodów na niewierność ojca, ale mimo to zawsze wiedziała, że nie przesłyszała się wtedy i dobrze wszystko rozumiała.

– Jak miałam wam to oznajmić? – zapytała teraz ostro, także się częstując herbatnikiem. – „Wiecie co, dziewczyny, mama i tata nie są jednak szczęśliwym małżeństwem”. Nie uwierzyłybyście mi. A kiedy byłam starsza, założyłam, że wiedziałyście o tym przez cały czas; że tylko ja pozostałam w nieświadomości. Obie jesteście bliżej z mamą. Sądziłam, że to ja jestem jedyną osobą niewtajemniczoną w sekret.

– Dlaczego ona nam nie powiedziała? – Tara się rozkleiła. – Mogłybyśmy wtedy porozmawiać z tatą i sprawić, by wszystko zrozumiał. Nadal możemy...

– Może gdyby tata się pozbierał i pojechał do cioci Freddie zobaczyć się z mamą... – dodała z nadzieją Stella.

Holly wpatrywała się w siostry z irytacją.

– My nie możemy tego naprawić, to nie do nas należy – oświadczyła żarliwie. – I pomyśleć, że wszyscy mi mówią, że to ja jestem naiwna.

– Masz rację – przyznała Tara.

Ogarniało ją wielkie znużenie na myśl, że wszystko w jej życiu się rozpada. Finn nie przeprosił jej za to, co powiedział w Kinvarrze. Nie pił od tamtego dnia, choć atmosfera była tak napięta, jakby opróżniał każdego wieczoru butelkę brandy. Nie była w stanie nic powiedzieć. Jej umiejętność radzenia sobie z życiem zniknęła razem z przekonaniem, że rodzice się ubóstwiają. Wszystko wywróciło się do góry nogami. Wiedziała, że jako osoba dorosła powinna sobie z tym poradzić, w końcu rodzice wielu ludzi się rozstawali. Jednak to nie było takie proste.

Stella zjadła do końca herbatnika i obiecała sobie, że nie weźmie kolejnego. Holly miała rację. Nie mogły naprawić małżeństwa Hugh i Rose, w taki sam sposób, w jaki Jenna nie mogła sprawić, by Wendy i Nick Cavaletto kochali się, pomyślała cierpko. Przynajmniej znalazła się krok bliżej do zrozumienia pasierbicy. Kiedy przyszło co do czego, ona i Jenna zareagowały w ten sam sposób: ślepo trzymały się wiary w to, że są w stanie wszystko naprawić.

– Skoro wszystkie zgadzamy się, że nie do nas należy nakłonienie ich do powrotu, powinnyśmy na zmianę spotykać się z mamą i tatą, tak by wiedzieli, że ich kochamy i że nie stoimy po niczyjej stronie – oświadczyła zdecydowanie Holly. – I upewnić się, że z tatą jest wszystko w porządku. Ktoś musi mu pokazać, jak się używa pralki.

Tara i Stella popatrzyły z podziwem na młodszą siostrę. Takiej Holly jeszcze nie znały. Przejmowała inicjatywę i robiła to, co należy. Żadna z nich w pierwszym odruchu nie wykazała się takim rozsądkiem.

– Wezmę sobie wolną sobotę i w piątek wieczorem pojadę do taty – oświadczyła najmłodsza siostra.

Starsze wzdrygnęły się na słowo „tata”. Zupełnie jakby Kinvarra nie była już ich rodzinnym domem, ale częścią jakiejś skomplikowanej struktury rozdzielonej rodziny. Zniknęła magia, otaczająca w ich wyobraźni Meadow Lodge.

– Pewnie masz rację – odezwała się Stella. – To wszystko, co możemy zrobić: czekać, zapewniać wsparcie i mieć nadzieję, że wróci im zdrowy rozsądek.

Kiedy Stella i Tara wyszły, Holly machnęła ręką na sprzątanie filiżanek. Zamiast tego włączyła płytę ukochanej Elli Fitzgerald i położyła się na sofie. Gdy łagodny głos piosenkarki ogrzewał jej duszę, myślała o reakcji siostr na rozstanie rodziców. Zarówno Tara, jak i Stella pragnęły coś zrobić. Holly zupełnie nie brała tego pod uwagę. Była po prostu realistką czy też złą córką, skoro nie miała zamiaru poruszyć nieba i ziemi, by do siebie wrócili?

Joan wsunęła głowę przez drzwi.

– Narada wojenna zakończona? – zapytała.

Holly uśmiechnęła się szeroko, ciesząc się, że przyjaciółka oderwie ją od tego tematu.

– Tak. Wejdz.

– O, herbatniki! – zawołała z radością Joan, rzucając się na leżącą na ławie otworzoną paczkę. W trzydzieści sekund pochłonęła dwa i wzięła trzeciego na dokładkę.

Joan ciężko pracowała nad swoją końcową kolekcją i praca przez całą noc nie była niczym nadzwyczajnym. Pochłaniała także ogromne ilości kawy i wysokoenergetycznych przekąsek, co nie wpływało korzystnie na jej cerę. Była blada i wielki pryszcz czaił się pod skórą na czole, czekając na to, by się pojawić w najmniej odpowiednim momencie.

– Zrobić ci koktajl owocowy? – zapytała życzliwie Holly.

– Chętnie – westchnęła Joan. – Cokolwiek, co mnie odciągnie od tych czekoladowych herbatników.

Gdy Holly kroїła owoce, a potem miksowała je w blenderze razem z sokiem pomarańczowym, Joan leżała z zamkniętymi oczami na sofie.

– Proszę bardzo. – Holly przysiadła na skraju sofy i podała jej koktajl. Naprawdę musi ugotować garnek rosółu, który rozgrzewałby Joan podczas jej nocnej pracy. Rosół był dobry na wszystko. – Jak kolekcja? – zapytała ostrożnie.

Joan potarła oczy, po czym pociągnęła łyk owocowego koktajlu.

– Nie najgorzej, ale czeka mnie dwutygodniowa praca, z którą muszę się uporać w tydzień.

– Jeśli potrzebujesz pomocy, to mów. Wiesz, że chętnie pomogę i wiem, że nie jestem tak dobra jak ty, ale...

– Jesteś o niebo lepsza ode mnie – przerwała jej Joan. Gdybym potrafiła naszywać aplikacje i wyszywać tak dobrze jak ty, pracowałabym znacznie szybciej. Prawdę mówiąc to mam koszulkę, do której trzeba przyszyć koraliki i byłoby świetnie, gdybyś zrobiła to dla mnie. Narysowałam wzór kredą krawiecką, to słonecznik, naprawdę proste.

– Nie ma sprawy – odparła Holly, ciesząc się, że może jakoś pomóc. – Zacznę od razu. W czwartkowe wieczory nigdy nie ma nic ciekawego w telewizji, więc chętnie czymś się zajmę.

– Hola, dziewczyno, dzisiaj nie będziesz tego robić oświadczyła enigmatycznie Joan. Dokończyła koktajl. – Wychodzimy. W Olympii jest wielki koncert. Znasz Fionę z mojego roku? Jej brat jest gitarzystą w zespole grającym jako support i idziemy ich oglądać. Wchodzisz w to?

– Myślałam, że brat Fiony gra w zespole metalowym? zapytała podejrzliwie Holly, wolać spokojny wieczór z koralikami niż słuchanie przyprawiającej o ból uszu muzyki w towarzystwie setek metalowców.

– Mam zatyczki do uszu dla nas obu – Joan uśmiechnęła się ujmująco. – Powiedz, że pójdziesz. Będzie dużo ludzi z college'u, Kenny i Tom także mają się zjawić.

– Idę – zdecydowała szybko Holly.

Pojechali w czwórkę taksówką i Kenny rozbawił wszystkich opowieścią o swojej ostatniej modowej sesji zdjęciowej, gdzie dopiero po trzech godzinach udało się wszystko ustawić, łącznie z oświetleniem, a potem, kiedy fotograf miał już zacząć pracę, wysiadł prąd. Jego pierwsze sesje okazały się tak bardzo udane, że dwaj fotografowie przekazali jego nazwisko do wydawców mody i teraz Kenny pracował jako stylistą przynajmniej dwa razy w tygodniu.

– Chyba nie będziesz zbyt zajęty, by zająć się stylizacją mojej kolekcji podczas pokazu na koniec roku, co? – zapytała Joan.

Kenny zrobił minę oburzonego fashionisty: uniesione brwi, wydęte usta, rozluźniony nadgarstek.

– Kochanie, mam roboty po same uszy, ale postaram się wcisnąć cię do swojego grafika – wyseplenił. – Poważnie – dodał, porzucając afektowaną pozę stylisty. Uśmiechnął się szeroko do współlokatorki. – Sądziś, że mógłbym przegapić twój pokaz, ty palantko? Oczywiście, że zajmę się stylizacją. Nie musisz pytać.

Przed Olympią zebrali się znajomi Joan. Po boleśnie modnych ciuchach widać było wyraźnie, że większość z nich to spece od mody. Kenny'ego, który był jednym z nich, przywitano z otwartymi ramionami i nawet Holly, która do dzinsów włożyła jeden z ozdobionych graffiti T-shirtów Joan, czuła, że choć raz pasuje do reszty.

Rozgadana grupa ruszyła ku drzwiom i Holly znalazła się z tyłu razem z Tomem.

– Co u Caroline? – zapytała.

Przekonała się, że łatwiej jest samej poruszać temat Caroline niż czekać, aż Tom sam coś o niej powie. Zawsze, gdy wypowiadał jej imię, Holly czuła w sercu ukłucie bólu, więc doszła do wniosku, że najlepszą formą obrony jest atak. W rezultacie pogodnie zapytała, co porabia Caroline, jak idzie jej w pracy, kiedy znowu przyjeżdża do Dublina, a wszystko to swobodnym, przyjacielskim tonem, który miał nie zdradzać bólu, kryjącego się za każdym pytaniem.

– Dobrze, pracuje jak szalona – odparł Tom. – Aż się pali, by kupić nowy samochód. Odbyła jazdę próbną praktycznie wszystkim, co się rusza, i wpadło jej w oko bmw coupe.

– Wow – rzekła Holly, wyobrażając sobie Caroline z powiewającymi na wietrze jasnymi włosami, śmigającą po ulicach i przyciągającą dziko zazdrosne spojrzenia innych kierowców. Holly wiedziała, że nie da się uzyskać takiego efektu w piętrowym autobusie, choć jej włosy czasami rzeczywiście powiewały, kiedy kierowca wciskał gaz do dechy.

– Co u ciebie? – zapytał Tom. – Ostatnio rzadko cię widuję. Jak twój anioł?

– Dobrze, dzięki. Anioł jest śliczny. Byłam po prostu zajęta. Złożyłam podanie o pracę w dziale wyposażenia wnętrza, to znaczy po prostu pomyślałam sobie, że fajnie byłoby coś zmienić... – dodała nieprzekonująco Holly, myśląc, jak beznadziejnie to musi brzmieć. Dziewczyna Toma to bizneswoman z własnym mieszkaniem i sportowym samochodem na oku, a ona opowiada mu o swoim maleńkim kroku wyżej z piwnicy w Lee's na trzecie piętro. O la la. – Przepraszam, nie chciałam cię zanudzać.

– Wcale nie zanudzasz, chcę o tym wszystkim słuchać – odparł łagodnie Tom.

– Holly! – zapiszczał jakiś głos.

Z tłumu wyłoniła się Joan, ciągnąc za jedno ramię jakiegoś wysokiego faceta, który się śmiał, ale nie stawiał zbyt wielkiego oporu.

– Holly – oświadczyła triumfująco Joan – to drugi brat Fiony, Vic, nie ten z zespołu. Powiedział, że bardzo chciałby cię poznać.

Holly uśmiechnęła się nerwowo.

– Bardzo mi miło – powiedziała.

Stanął swobodnie obok niej, niby przypadkiem ignorując Toma. Holly zauważyła, że nie jest tak wysoki jak Tom. Ostatnimi czasy bez przerwy przyłapywała się na tym, że porównuje wszystkich mężczyzn do sąsiada. Vic był jednak przystojny, w taki intensywny sposób. Nie wyglądał na spokrewnionego z Fioną, ponieważ ona miała mlecznobiałą cerę i piegi, i nadawała się na plakat „Odkryj Irlandię”, on zaś miał ciemne, migdałowe oczy, wyraźnie zaznaczone kości policzkowe, ziemistą cerę i kudłate, nieuczesane ciemne włosy.

– Victor Dunne – rzekł, ściskając jej dłoń. – Wszystkim bez wyjątku znany jako Vic.

– Holly Miller – odparła, rumieniąc się. – A to jest Tom Barry.

– Cześć, Tom. – Vic posłał uśmiech Tomowi, a potem z powrotem odwrócił się w stronę Holly.

Rozumiejąc aluzję, Tom udał się za Joan, pozostawiając Vica i Holly samych.

– Nie odchodź... – zaczęła Holly, ale on zdążył już zniknąć na prowadzących do holu schodkach.

– Prawdę mówiąc, widziałem cię już wcześniej, parę tygodni temu w Purple Mosquito – rzekł Vic. – Rozmawiałas z tym facetem, Tomem. Myślałem, że to twój chłopak.

– Nie, przyjaciel – odparła cicho, wciąż przeczesując spojrzeniem tłum ludzi przed sobą w poszukiwaniu Toma. Musiał dostać już bilet i wejść do środka. Czuła się zakłopotana, że tak szybko się oddalił. Dlaczego to zrobił?

– Fiona wspomniała o tym Joan, która powiedziała, że to po prostu facet mieszkający po sąsiedzku, więc pomyślałem sobie, że podejdę i porozmawiam z tobą – kontynuował Vic. Doszli właśnie do kasy. – Poproszę dwa bilety – podał kasjerce kartę kredytową.

– Nie musisz kupować mi biletu – zaprotestowała Holly, która wcześniej tak naprawdę nie zwracała uwagi na to, co robią, i teraz zdziwiła się, że mężczyzna sam kupuje jej bilet.

– Możesz postawić mi drinka w przerwie – odparł Vic, obdarzając ją szerokim uśmiechem.

– Dzięki – wyjąkała Holly. Był naprawdę przystojny. Wiesz co – dodała, przyglądając mu się z ciekawością – w ogóle nie jesteś podobny do Fiony.

– Wszyscy jesteśmy adoptowani – odparł.

– Och, przepraszam, ja nie chciałam... – Zaczerwieniła się z powodu tego faux pas i zaczęła ramieniem o stertę ulotek reklamujących serię wieczorów z komedią, które pofrunęły na ziemię. Vic i Holly schylili się w tym samym momencie, by je podnieść, a ich głowy niemal zderzyły się z sobą.

– Przepraszam – powtórzyła Holly, myśląc o tym, że powinna nagrać sobie na kasetę swój głos mówiący „przepraszam” i w ogóle nie musiałyby się odzywać.

– Nie przeszkadza mi to, że ludzie dostrzegają nasz odmienny wygląd, naprawdę – mówił lekkim tonem Vic, zwawo zbierając porzucane ulotki. – Często tak się zdarza, ponieważ zupełnie nie jesteśmy do siebie podobni. Sandy, nasz brat, ma zielone oczy i jasne włosy.

– To musi świetnie wyglądać na rodzinnych fotografiach stwierdziła z podziwem Holly.

– Nic mi nie mów – odparł lekko Vic. – Opowiem o dwudziestych pierwszych urodzinach Fiony... – I mówił dalej. Holly wkrótce się przekonała, że łatwo rozmawia jej się z Vikiem. Jako lekarz stażysta w tętniącym życiem miejskim oddziale pomocy doraźnej przyzwyczajony był do konwersowania z każdym i nawet kamień potrafił nakłonić do rozmowy. Nie znosił także ciszy i z jego ust płynął niekończący się strumień zabawnych uwag. Holly musiała jedynie słuchać i powstrzymywać się przed zbyt częstym wybuchaniem śmiechem.

Zanim nastąpiła przerwa, ani Holly, ani Vic nie zwracali większej uwagi na zespół, w którym grał jego brat.

– Powinniśmy trochę popatrzeć – zasugerowała ogarnięta wyrzutami sumienia, gdy stali na końcu Olympii, pijąc z plastikowych kubków gin z tonikiem i rozmawiając głośno, tak by móc się słyszeć ponad dudniącymi dźwiękami gitary basowej.

Ekspresyjna twarz Vica wykrzywiła się z udawanym przerażeniem.

– Jasna cholera, nie. Słucham Sandy'ego od lat. Zespół ma próby w naszym garażu, kiedy mamy i taty nie ma w domu, i większość ich piosenek mogę zaśpiewać z pamięci. Poza tym widziałem ludzi, którzy na wpół ogłuchli przez to, że stali za blisko wzmacniaczy. Lepiej pozostanmy tutaj, gdzie nasze uszy są bezpieczne.

Holly stwierdziła, że dobrze się bawi i że czas szybko ucieka. Łatwo rozmawia się z facetem, którym nie jest się zainteresowaną. Uświadomiła sobie, że w tym właśnie tkwi cały sekret. Po tylu latach nieśmiałości wreszcie dotarła do prawdy. Kiedy facet rozmawiał z nią jak z kimś normalnym, jej nieśmiałość zniknęła. Ale ci, którzy jej się podobali, sprawiali, że nie mogła wykrztusić słowa. Nawet Tom, jej kochany przyjaciel i mężczyzna, z którym mogła gawędzić bez końca, dotknięty był tym strasznym syndromem. Dopóki nie dotarło do niej, że szaleje na punkcie Toma, potrafiła rozmawiać z nim zupełnie swobodnie. Wraz z siostrzanymi uczuciami zniknęła normalna rozmowa.

Widziała Toma, górującego nad głowami większości publiczności – jego jasne włosy błyszczały w światłach odbijających się od sceny. Obejrzał się, ale najwyraźniej jej nie widział, ponieważ kiedy mu pomachała, jego spojrzenie ją ominęło i odwrócił się, nie odmachnąwszy. Serce Holly wydało zrezygnowany, głuchy odgłos. Wiedziała, że musi przeboleć Toma. On kochał Caroline. Nie było nadziei dla głupiej Holly. Równie dobrze mogła o nim zapomnieć i jakoś żyć dalej.

Vic, niedyskretnie dzielący się z nią opowieściami z zeszłej nocy na oddziale pomocy doraźnej, starał się ją rozśmieszyć.

– No więc przyszła ta kobieta z bólami brzucha i mówi, że wydaje jej się, że to bóle poporodowe i że to może być niebezpieczne, prawda? No więc spytałem, kiedy urodziła dziecko, u ona na to: „Pięć lat temu”. – Zamilkł na chwilę. – Nie zanudzam cię? – zapytał.

Holly zaśmiała się głośno na myśl, że ktoś jej zadaje to pytanie.

– Normalnie to moja kwestia – przekomarzała się.

– Twoja? – Vic wyciągnął rękę i delikatnie pociągnął za jedno pasmo jej lśniących ciemnych włosów, aż się wyprostowało. Kiedy je puścił, cofnęło się niczym sprężynka. – Nie rozumiem, jak mogłabyś kogoś nudzić, Holly. W żadnym wypadku nie jesteś nudna. W twoim całym ciele

nie ma ani krztyny nudy. Jesteś najmniej nudną osobą, jaką dane mi było spotkać w moim całym, nudnym życiu, a sporo wiem o nudzie, ponieważ sam jestem...

– Przestań – roześmiała się Holly. – Nie kupię ci już ani jednego ginu, jeśli będziesz to ciągnął.

Vic uśmiechnął się szeroko.

– To nie gin – oświadczył z oburzeniem. – To miłość.

– Powiedziałam przestań! – Holly uważała, że niesamowicie zabawny z niego facet. – Od zawsze wiedziałam, że lekarze są szaleni, ale ty przewyższasz wszystkich. Moja siostra pisze scenariusz do *National Hospital* i wszyscy lekarze robią tam wrażenie niepoczytalnych. Teraz widzę, że ci scenarzyści nie znają nawet połowy prawdy. – Zazwyczaj, gdy wspomniała o pracy Tary, jej rozmówcy byli zafascynowani i domagali się szczegółów, pragnąc się dowiedzieć, jakie naprawdę są gwiazdy i jak powstaje ta cała szalona fabuła. Jednak Vic nie był tym ani odrobinę zainteresowany.

– Lekarze stażyści muszą być niepoczytalni – zażartował. – To część naszej pracy. Najpierw przysięga Hipokratesa, a zaraz po niej przysięga Niepoczytalności. Nie, poważnie, a wracając do ciebie, Holly, jestem urzeczony twoją absolutną nienudnością. Umówisz się kiedyś ze mną? Na randkę?

– Vic – rzekła Holly. – Jesteś słodki.

– Nie chcę być słodki – zaprotestował. – Chcę być HeManem dla twojej Shee-La królowej dżungli czy jak się tam ona nazywała. No powiedz, umówisz się ze mną na randkę? Obiecuję, że nie będę niepoczytalny. Będzie fajnie, choć dopiero piątek wchodzi w grę, ponieważ przez następne cztery dni mam dyżur.

Wyglądał na tak zapalonego, tak bardzo nią zainteresowanego. Tyle czasu usychała z próżnej tęsknoty za Tomem, że wyjątkowo podniosła ją na duchu świadomość, że naprawdę podoba się jakiemuś mężczyźnie. Nawet jeśli ona nie była nim tak naprawdę zainteresowana. Vic był przystojny, ale nie w jej typie. Mimo to mogło być fajnie. Wyrzuciła Toma z zdecydowanie z myśli.

– Jako przyjaciele – oświadczyła. – Spotkamy się jako przyjaciele.

Vic wydał z siebie groźny pomruk i uderzył się w klatkę piersiową niczym Tarzan.

– Ja He-Man, ty Shee-La.

– Czy on cię irytuje? – zapytała Fiona, wychodząc z baru z tacą pełną drinków.

– Nie – odparła Holly ze śmiechem. – W żadnym razie.

Choć raz Joan nie miała w sobie energii, by udać się do jakiegoś klubu.

– Łóżko, chcę do swojego łóżka – jęknęła, gdy lekko uszczuplony tłum zgromadził się ponownie przed Olympią po koncercie, by omówić dalsze plany.

– Ja też – rzekła Holly.

– Trójkącik! – westchnął Vic, przewracając oczami. – Czy ja też zostanę wpuszczony?

Roześmiali się wszyscy z wyjątkiem Toma, który zachował kamienną twarz.

– Nie dla ciebie trójkącikowe igraszki, mój chłopcze – oświadczyła surowo Holly. – Jedź do domu i się prześpij. My chcemy przecież, byś jutro zabił kogoś z powodu niedoboru snu.

– Zrobię, co się da, psze pani – odparł Vic, salutując. – Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. Ale – dodał scenicznym szeptem – gdyby jednak zachciało się wam tego trójkącika, piętnaście minut i jestem u was, dwadzieścia maksymalnie. Przywiozę z sobą stetoskop i białe fartuch, okej?

Wszyscy ponownie wybuchnęli śmiechem, w czym swój udział miało całkiem sporo butelek piwa.

– Zadzwoń do ciebie – obiecał Vic, posyłając całusy w kierunku Holly.

Kenny zatrzymał taksówkę i wepchnął do niej Joan. Holly usiadła za nią, nadal chichocząc po tych błazeństwach Vica, a Tom dołączył jako ostatni, niemal zginając się wpół, by nie uderzyć głową w sufit.

– Vic to niezły zgrywus, no nie? – zapytała Joan, opierając się o Kenny'ego i zamykając oczy. – Fiona mówi, że jest absolutnie kapitalny i kompletnie szalony, co jest nie byle jakim komplementem z jej ust, jako że ona jest najbardziej szaloną osobą na całym naszym roku.

– Idź spać, Joan – jęknął Kenny, także zamykając oczy. Jestem wykończony i nie mogę uwierzyć, że przez cały wieczór słuchałem tych okropnych zespołów. Co jest z tymi facetami hetero i gównianą muzyką? – gderał. – Mówię poważnie, jutro muszę wstać o wpół do siódmej, by o wpół do ósmej zameldować się w studiu.

Zapanowała cisza. Krępująca cisza, pomyślała zaniepokojona Holly. Zarówno Joan, jak i Kenny drzemali, gdy tymczasem Tom siedział na siedzeniu kubelkowym i patrzył ponuro przez szybę. Siedzenie było dużo za małe na jego wielką postać i wyglądał jak olbrzym na krzeselku dla dzieci.

– Dobrze się bawiłeś? – zapytała.

– W porządku – odparł Tom, nadal wyglądając przez okno.

Holly skubnęła kawałek paznokcia. Na pewno tęskni za swoją dziewczyną.

– Pewnie żałujesz, że nie ma tutaj Caroline – dodała uprzejmie.

Tom oderwał wzrok od fascynującego widoku, jakim była wysepka, na której nikt nie stał.

– Nie znosi takiej muzyki – odparł krótko.

– Och.

Popatrzył z powrotem na wysepkę. Światła się zmieniły i samochód ruszył dalej.

– Cóż, niedługo przyjedzie z Cork, prawda? – Holly robiła, co mogła, by podtrzymać rozmowę. – A kiedy kupi już sobie ten kabriolet, będzie mogła naprawdę śmigać. Dosłownie połykać kilometry.

– Coupe – rzekł Tom.

– Przepraszam, coupe. Wiem, że jestem głupia, nawet by ci do głowy nie przyszło, że nie odróżniam kabrioletu od coupe. – Teraz to ona wyjrzała przez szybę. Nie miała pojęcia, czym się one różnią. Sądziła, że to jedno i to samo. Dach się opuszczał, prawda? Najwyraźniej myliła się co do tego, kolejny dowód na to, że Caroline jest Panią Modną i Nowoczesną, gdy tymczasem ona Panią Zacofaną, która nigdy nie posiadała samochodu i pewnie nigdy nie będzie posiadać. Cholera, miała to gdzieś. – Nie umiem prowadzić samochodu – oświadczyła brawurowo. – No i po pierwsze nie stać mnie na jego kupno.

Patrzyła się wyzywająco na Toma. Sam fakt, że spotykał się z idealną, cholerną Caroline nie oznaczał, że musiał mieć muchy w nosie w jej towarzystwie.

Tom patrzył na nią przez chwilę, po czym z powrotem skierował spojrzenie na szybę.

Holly pogrzebała w torebce i znalazła miętówki. Wsunęła jedną do ust i zaczęła gniewnie gryźć. Mężczyźni. Wrzody na tyłku, oto, czym byli.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Lista „rzeczy do zrobienia” Tary coraz bardziej się wydłużała. Na początku obejmowała tylko takie pozycje: „kupić worki na śmieci, tabletki do zmywarki, szampon przeciwłupieżowy, JEDZENIE, zadzwonić do banku i wyjaśnić problem ze zleceniem stałym, kupić urodzinowy prezent dla Isadory, zadzwonić do taty i sprawdzić, jak się czuje”. A potem przyszedł wyciąg z konta i musiała dodać do listy coś jeszcze – zadzwonił ilu banku i złożyć skargę.

Otworzyła go w drodze do pracy, kiedy stała w korku długim przynajmniej na półtora kilometra i nie zanosilo się na to, by miała ruszyć z miejsca. Pomyślała, że na wyciągu znajdzie się nowa seria kremów do twarzy. W ogóle nie powinna była wchodzić do drogerii, gdy wydawało jej się, że ma ziemistą cerę i jest stara. Wytrawne sprzedawczynie posiadały jakiś specjalny radar do wyłapywania kobiet, przeżywających dni niechęci wobec siebie. Dostrzegały natychmiast osoby smutne i nieszczęśliwe, i przekonywały je, że rozwiązaniem są śliczne słoiczki z niezwykle kosztownymi preparatami. Tara, choć wiedziała, że to będzie ciężki miesiąc, gdyż kończyło się ubezpieczenie jej samochodu, uległa czarowi ślicznych słoiczków. Teraz tego żałowała. Przebiegła wzrokiem listę zakupów. Oto i zestaw kremów w całej swojej

okazałości. Powiedziała sobie stanowczo, że zakupów nie należy uważać za dopuszczalną formę terapii. Nie mieli pieniędzy na zbytki.

Wtedy dostrzegła potężny debet, który musiał być jakąś pomyłką. Pieniądze wybrane z bankomatu. Już samo to się nie zgadzało. Tara nigdy nie używała karty kredytowej do wypłacania gotówki – łączyły się z tym kosmiczne odsetki i taniej byłoby podrzeć kilka dych niż pożyczać pieniądze w taki właśnie sposób. No wiecie co, najpierw bank pomieszał coś ze spłatą hipoteki, czego skutkiem był makabryczny list z towarzystwa budowlanego o tym, że przybijają komuś rzepki do podłogi, jeśli pieniądze nie zostaną migiem wpłacone. A teraz to.

„Zadzwoń do banku” przesunęło się na samą górę listy rzeczy do zrobienia.

W pracy czekały na nią wiadomości od Stelli, Lenny'ego z promocji w sprawie dziennikarki, która chciała spędzić dzień na planie i z banku z prośbą o telefon.

– Co słyhać? – zapytał Scott Irving, zaglądając do boksu Tary. Oparł odziane w dzinsy biodra o jej biurko i uśmiechnął się do niej znad kubka z kawą. Uśmiech Scotta należał do tych, na których widok kobiety wciągają brzuchy. Tara starała się zwalczyć pragnienie przejrzenia się w ciemnym monitorze.

– Wszystko okej – odparła. Chyba miała pomalowane usta, prawda?

– Będziesz miała później ochotę na lunch?

Tara uśmiechnęła się z autentyczną radością.

– Bardzo chętnie – odrzekła.

Scott obdarzył ją kolejnym gorącym uśmiechem, który docierał do miejsc niedostępnych dla większości uśmiechów.

– W takim razie do zobaczenia o pierwszej.

Tara siedziała przy biurku z wiadomościami w dłoni i próbowała przyswoić to, co właśnie się stało. Instynktownie zgodziła się, ale czy to nie był błąd?

– Lunch? – zapytała niewinnie Isadora, idąc z kawą w ręce do swego biurka.

– Ja, eee... cóż... – rzekła Tara, nagle zakłopotana tym, że miałyby powiedzieć Isadorze, iż idzie razem ze Scottem. To był w końcu tylko lunch, pracowali razem i musieli przedyskutować sprawy służbowe i w ogóle, ale ludzie mogli dopatrywać się w tym czegoś więcej...

– Jesteś beznadziejna w kłamaniu, Miller, wiesz o tym.

Isadora mrugnęła do niej figlarnie. – Słyszałam, że zostałam już zaproszona na lunchową randkę. Byłam krok za panem Irvingiem.

– To nie randka – zaprotestowała Tara, czerwieniejąc na twarzy. – To praca.

– Skoro chodzi o pracę, to dlaczego nigdy nie zaprosił na lunch mnie?

– Dlatego, że się upierasz, by mężczyźni zabierali cię do modnych, drogich restauracji. My, kobiety zameżne, jesteśmy znacznie tańsze.

– Więc opiekana kanapka z serem i pomidorem w pubie?

– Tak – odparła Tara. – Poza tym chodzi o pracę, mówiłam ci. Jestem kobietą szczęśliwie zameżną. Nie mogę odmawiać wychodzenia razem z ludźmi, z którymi pracuję, tylko dlatego, że są przystojni, prawda?

Isadora nie musiała odpowiadać: jej mina mówiła sama za siebie. Taa, jasne.

Tara postanowiła przed zabraniem się za pracę szybko załatwić telefony w sprawach osobistych. Stella musiała siedzieć na telefonie, ponieważ odebrała go od razu po pierwszym sygnale. Wydawała się wyjątkowo jak na siebie spięta.

– Cześć, Taro, pomyślałam sobie, że dam ci znać co u taty. Jak wiesz przez cały czas ma włączoną automatyczną sekretarkę, ale z samego rana zadzwoniłam do Angeli Devon i dowiedziałam się, że z tatą wszystko okej. Ona gotuje dziś dla niego kolację, choć tata mówi, że nie jest zbyt dobrym towarzystwem i nie wiadomo, czy się zjawi. On i Alastair wyszli wczoraj wieczorem i Alastair powiedział, że tata przy nim płakał.

– O Boże – powiedziała przerażona Tara. – To tak jakby wyobrazić sobie Supermana we łzach.

– Wiem. Wydaje mi się, że dlatego nie chce z nami rozmawiać: boi się, że się rozklei.

– To straszne. – Tara oparła czoło na dłoni. – Chciałabym, żebyśmy mogły coś zrobić.

– Nic nie możemy zrobić – odparła pośpiesznie Stella. – Tata pragnie jedynie, by mama wróciła do domu, a ona nie chce. Powiedziałam jej, że ja i Amelia odwiedzimy ją w ten weekend, ale ona mówi, że nie, że musi pobyć sama.

– To nie w stylu mamy. Normalnie wdrapałaby się na Himalaje z jedną nogą w gipsie, byle tylko móc spędzić pięć minut z Amelią.

– Mówi, że może w następny weekend.

– No a co z tatą? – zapytała Tara, gryzmoląc małe, ciemne figury na kartce papieru.

– Cóż, Holly, tak jak nam mówiła, jedzie jutro, by spędzić z nim weekend. Najpierw upierał się, by nie zwracała sobie nim głowy i nie przyjeżdżała, ale jakoś udało jej się go przekonać.

– To dobrze. Wygląda na to, że tylko Holly jakoś sobie z tym wszystkim radzi.

– Zawczasu ostrzeżony jest na czas uzbrojony – mruknęła Stella.

Następny na liście Tary był bank. Dokuczające jej przygnębienie z powodu tego, co działo się z jej rodziną, przekształciło się w złość. A więc bank uważał, że może odwołać stałe zlecenie opłacania hipoteki, tak? A jego oddział zajmujący się kartami kredytowymi uważał, że może chrzanić jej wyciąg, dodając gdzie popadnie nieistniejące transakcje, w nadziei, że ona nie zauważy? Cóż, ośmielili się uczynić coś takiego i teraz będą mieli do czynienia z wściekłą Tarą Miller. Może była bezsilna w przypadku wielu rzeczy, dziejących się w życiu, ale nie w odniesieniu do banku. Wystukała numer, ze złością uderzając w klawisze telefonu.

Dziesięć minut później odłożyła słuchawkę, czując pulsowanie w skroniach. Grzeczna, ale stanowcza zastępczyni dyrektora zdecydowanie przygasiała Tarę. Rata hipoteczna nie została zapłacona, ponieważ na wspólnym rachunku Tary i Finna brakowało na nią środków. Powodem tego było kilkukrotne podejmowanie pieniędzy z konta za pomocą karty Finna Jeffersona. Zastępczyni dyrektora rozumiała, że Tara czuje się tym wszystkim wstrząśnięta. Ich rachunek oszczędnościowy pozostał nienaruszony, ale ponieważ oboje nie należeli do ludzi potrafiących oszczędzać, nie było na nim zbyt wielu pieniędzy. Bank proponował spotkanie w celu omówienia tego, co można teraz uczynić.

Tara powiedziała, że najpierw musi wykonać jeszcze jeden telefon. Potwierdził on jej przypuszczenia: duża wypłata została dokonana w któryś weekend z bankomatu nieopodal jej mieszkania, bankomatu, z którego korzystał Finn i ona.

W notesie formatu A4 Tara zapisała nędzną kwotę pozostałą na koncie. Dodała rachunek za kartę kredytową, dodała do przybliżonych wyliczeń wydatków na prąd, telefon, ogrzewanie i jedzenie za przyszedły miesiąc. Następnie dodała wypłatę jej i Finna. Kwoty te nijak do siebie nie pasowały. Ona i Finn nigdy nie odkładali pieniędzy, żyli po prostu od wypłaty do wypłaty. Skoro pieniądze na hipotekę zostały przepuszczone, znaleźli się w tarapatkach. Gdyby przez trzy miesiące nie jedli, siedzieli w ciemnościach i nigdy nie włączali ogrzewania, wtedy istniała niewielka szansa, że udałoby im się opłacić rachunki. W przeciwnym razie tkwili po uszy w długach.

Tara jakoś przeszłaby nad tym do porządku dziennego, gdyby nie sposób, w jaki te pieniądze zostały przepuszczone. Finn nie kupił niczego za pieniądze, które wyprowadził z ich konta. Nie miał nowego, designerskiego garnituru ani nie szarpnął się na nowy samochód. Tara wiedziała, co zrobił z tymi pieniędzmi: przepił je. Nikt nie stawiał innym drinków chętniej niż hojny aż do przesady Finn. A kiedy sam był radośnie pijany, gotowy był stawiać całemu pubowi. Ich hipoteka rozplynęła się na dnie butelki.

Zadzwoiła do Scotta, by odwołać lunch: nie wyobrażała sobie, by w tej akurat chwili mogła siedzieć i toczyć z kimś przyjacielską rozmowę.

– Przepraszam cię, Scott. Mam kłopoty rodzinne i byłabym kiepskim towarzystwem.

Okazał się bardzo wyrozumiały.

– Nie ma problemu, Taro – powiedział swobodnie. – Możemy zjeść lunch innym razem. – Zawahał się. – Chcesz o tym porozmawiać?

– Nie – odparła, starając się, by zabrzmiało to niefrasobliwie. – Rodzinne kłopoty innych ludzi są nudne, no nie?

– Nie – odparł miękko Scott.

– No cóż, pa. – Tara rozłączyła się szybko. W tej akurat chwili nie miała ochoty na jałowe biurowe flirty.

Na końcu zadzwoniła na komórkę Finna, która jak zwykle przełączała się od razu na pocztę głosową. Gdy czekała, by zostawić wiadomość, zastanawiała się ponuro, jak udaje mu się załatwiać interesy, skoro nigdy nie odbiera telefonu.

– Finn, musimy porozmawiać na temat pieniędzy. Nie zapłaciliśmy raty kredytu, ponieważ na koncie brak środków. Oddzwoń, to pilne.

Chociaż zostawiła mu dwie kolejne wiadomości, nie oddzwonił. Coraz większa wściekłość Tary oznaczała, że ledwie była w stanie pracować. Punktualnie o piątej wyszła z biura i pojechała do domu, by czekać na męża. Czyniąc to, myślami wracała do ubiegłego roku. Kiedy wzięli ślub, szczerze wierzyła w to, że są tacy szczęśliwi. Życie było jedną wielką obietnicą. Nadal uwielbiała Finna, choć teraz pogrzebane to było gdzieś głęboko w jej wnętrzu.

Jak mogła nie dostrzec, jaki jest naprawdę? Cofnęła się myślami do przeszłości, zastanawiając się, czy nastąpił jakiś konkretny moment, kiedy wszystko się zmieniło.

Zanim się pobrali, Finn nie wydawał się pić więcej niż inni, ale szybciej się upijał. Pamiętała, że weekendy obracały się wokół wizyt w pubie. Nie było dnia, w którym nie otworzyliby butelki wina. Pojawiały się wszystkie znaki, tyle że ona ich nie dostrzegała. Może dlatego, że jej mąż daleki był od archetypu grubiańskiego pijaka. Wciąż był tym samym Finnem: czarującym, zabawnym, kochającym. Jedynie odrobinę się zmieniał, gdy pił. Nigdy nie był agresywny ani nie podnosił głosu. Jednak pijany Finn różnił się od swej trzeźwej wersji. Pijany Finn był tak znieczulony, że stawał się robotem, osobą, która uśmiechała się i rozmawiała, ale myślami przebywała miliony kilometrów stąd. Tara nie znosiła tego intruza.

Kiedy wybiła jedenasta, a on nadal się nie pojawił, poddała się i poszła do łóżka, by spędzić w nim niespokojną noc. Nazajutrz rano wzięła prysznic i ubrała się szybko, nim sprawdziła, czy Finn śpi rozwalony w drugim pokoju. Czuła tępy ból w szyi od wielogodzinnego rzucania się i przekręcania w gorącej pościeli. Kiedy była gotowa, zaparzyła sobie szybko kawę, po czym otworzyła drzwi do drugiego pokoju. Nie spał. Pomimo serdecznego uśmiechu oczy miał czujne.

– Wróciłem późno i pomyślałem, że położę się tutaj, by cię nie budzić – powiedział takim tonem, jakby wyświadczył jej wielką przysługę.

Tara jedynie patrzyła na niego. Jak mógł leżeć tutaj i zachowywać się w tak nonszalancki sposób?

– Dlaczego nie wróciłeś wieczorem?

– Mówiłem ci wczoraj – odparł. – Służbowe spotkanie klientami. Mamy już prawie w kieszeni ten wielki kontrakt firmą franszyzową, która ma zamiar kupić całe mnóstwo komputerów do swoich punktów w całym kraju. – Widząc, że Tara wydyma wargi dodał: – Trzeba nawiązywać korzystne kontakty, jeśli nie chce się wypaść z rynku. Wychodzenie i podlizywanie się ludziom podczas kolacji to część mojej pracy.

To była standardowa odpowiedź Finna na wszelkie uwagi dotyczące jego wieczornych wyjść. Tara myślała już wcześniej, by wyryć to zdanie na jednej ze ścian w ich mieszkaniu.

– Hej, paru chłopaków mówiło o wyjeździe do Cork na weekend. – Finn popatrzył z nadzieją na Tarę. – No wiesz, moglibyśmy jechać całą grupą i zatrzymać się w jakimś naprawdę przyjemnym miejscu. Fajne kolacje, trochę łażenia po klubach. Byłaby świetna zabawa. Spodobałoby ci się.

Napięcie w jej szyi groziło przekształceniem się w migrenę. Tara uniosła rękę, by pomasażować szyję, nim ból pokona nieuchronną drogę do miejsca za jej oczami.

– Nie możemy sobie pozwolić na weekendowy wyjazd – oświadczyła. – Jesteśmy splukani, Finn. Nie zapłaciliśmy raty kredytu.

– Nieważne – odparł wesoło. – Chłopaki będą musieli jechać do Cork bez nas.

Wstał z łóżka, przeciągnął się i ziewnął.

Tarę ogarnęła wściekłość.

– Nie rozumiesz, co właśnie powiedziałam, Finn? – wrzasnęła. – Jesteśmy splukani i nie zapłaciliśmy raty, ponieważ ty wyczyściłeś nasze konto. Wziąłeś pieniądze nawet z mojej karty kredytowej.

– Miałem zamiar powiedzieć ci o tym – rzekł z miną winowajcy. – Potrzebowałem po prostu trochę gotówki, ale nie przejmuj się hipoteką – dodał. – Lada dzień powinienem dostać premię, która pokryje wszystko. – Uśmiechał się teraz jak dziecko. – Prawdę mówiąc, moglibyśmy pojechać na ten weekend do Cork. Nie martw się o pieniądze, gdyż niedługo wpłyną i możemy się tam naprawdę dobrze bawić. Premia znajdzie się na koncie w ciągu kilku dni i to wyrówna wszystkie rachunki. Wiesz, że nigdy nie narobiłbym bałaganu w hipotece i w ogóle, Taro. Pomyliłem się jedynie w obliczeniach.

Wyciągnął ostrożnie rękę i dotknął jej ramienia. – Nie gniewaj się na mnie, skarbie, proszę cię. Kiedy wpłyną pieniądze, kupię ci jakiś świetny prezent, obiecuję.

Tara wyrwała ramię z jego uścisku. Nic do niego nie docierało.

– Nie chodzi o pieniądze, Finn – powiedziała – i prezent niczego nie rozwiąże. Chodzi o to, że wziąłeś pieniądze z naszego konta, nie mówiąc mi o tym, i gotowa jestem założyć się o wszystko, że wiem, na co ci były potrzebne. Na alkohol. Obiecałeś mi, że przestaniesz, obiecałeś mi, że skończysz z pinem, ale tego nie zrobiłeś, prawda?

– Oczywiście, że skończyłem – odparł ostrym tonem Finn. – Nie mam problemu z alkoholem, jeśli to właśnie sugerujesz. Muszę udzielać się towarzysko w ramach obowiązków służbowych. Jesteś po prostu spięta z powodu rozstania twoich rodziców.

– Nie o to chodzi, i doskonale o tym wiesz! – zawołała.

– Ależ tak – odparł ze znużeniem Finn. – Nie potrafisz pogodzić się z tym, że nie wszystko w ogrodzie Millerów jest różowe. Cóż, pogódź się z tym, Taro. Życie rodzinne to nie tylko zabawy i pikniki. Nie wszyscy mieliśmy idylliczne dzieciństwo, wiesz? Musisz żyć dalej i zapomnieć o przeszłości.

Tara miała ochotę krzyknąć, że problemem nie są jej rodzice, że to Finn i jego cholerny egoizm wytrącają ją z równowagi, ale z jej ust nie wydobyły się żadne słowa. Zamiast tego pomyślała o zdradzie ojca wobec całej rodziny, o tym, że ona, Tara, kochała go niemal bardziej niż matkę, a teraz okazało się, że nie miała racji. Nie był człowiekiem, za którego go uważała. Skrzywdził ich wszystkich. Wybrała niewłaściwego tatusia, a potem niewłaściwego męża.

Tara nie należała do osób, które płaczą. Jednak w ciągu tych pięciu dni od katastrofalnych rubinowych godów czuła, jak w jej wnętrzu zbierają się łzy. Walczyła z nimi dziko, nie zgadzając się poddać, ale teraz w końcu znalazły ujście. Finn patrzył ze zdumieniem, jak Tara cicho zaczęła płakać. Nie szlochała ani nie wyła. Stała w bezruchu, a łzy spływały szybko po jej policzkach.

– Taro, skarbie, nie płacz, proszę. – Podszedł do niej i mocno przytulił do siebie. – Przejdziemy przez to, kochamy się. Tylko to się liczy, prawda?

Miło było, gdy ktoś ją tulił i delikatnie ocierał łzy, jakby znowu była dzieckiem. I tak jak dziecko, Tara nie próbowała powstrzymać płaczu. Pozwalała po prostu, by cały smutek z niej wypłynął i miała nadzieję, że razem ze łzami odejdzie ból. Nie chciała tak bardzo cierpieć, ale nic nie była w stanie na to poradzić: ból tam po prostu siedział, głęboko w jej wnętrzu.

– Kocham cię, Taro, wiesz o tym, proszę, powiedz, że wiesz o tym. – Finn głaskał ją czule. – Wiem, że trudno się ze mną żyje, ale postaram się, naprawdę się postaram. Dasz mi jeszcze jedną szansę?

Czując otaczające ją ramiona Finna i bicie jego serca obok swego, Tara się zgodziła.

– Kocham cię – rzekła głosem stłumionym od łez. – Pragnę być z tobą, nie chcę być sama. – Nie mogła być teraz sama. Wszystko, co wcześniej planowała powiedzieć Finnowi, wyleciało jej z głowy. Pragnęła pociechy płynącej z jego objęć, ponieważ gdyby nie było go tutaj, musiałyby myśleć o tym wszystkim.

– Nie będziesz – odparł uspokajająco Finn. – Jestem przy tobie, skarbie, jestem przy tobie.

Tara otarła rękawem twarz i ponownie skryła ją na ramieniu męża. Wszystko będzie dobrze, prawda?

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Holly sączyła z wdzięcznością kawę na wynos, dołączając do kilku ostatnich maruderów stojących w kolejce do pociągu do Kinvarry. Była pewna, że spóźni się na pociąg o wpół do siódmej, ponieważ uciekły jej dwa autobusy na stację Kingsbridge i skończyło się to tak, że wsiadła do taksówki i obiecała kierowcy duży napiwek, jeśli dowiezie ją na czas.

Jakimś cudem taksówce udało się prześlizgnąć przez najgorszy korek i Holly znalazła się na stacji dziesięć minut przed odjazdem pociągu, dzięki czemu zdążyła kupić bilet, gazetę i latte. Co dziwniejsze, udało jej się dostać chyba ostatnie miejsce siedzące. Umieściła torbę podróżną na półce, nikogo przy tym nie uderzając, po czym opadła na siedzenie i odetchnęła.

Nie zdążyła nawet zabrać się za krzyżówkę, kiedy czterdzieści minut później pociąg zatrzymał się na niewielkiej stacji w Kinvarrze. Holly wysiadła i zobaczyła, że jej ojciec czeka cierpliwie za barierką, machając tak, jak to czynił tyle razy w ciągu tych wszystkich lat, kiedy odbierał ją ze stacji. Wstrząsnął nią jego wygląd: Hugh postarzał się przez miniony tydzień o ładnych kilka lat. Twarz miał pokrytą zmarszczkami i wymizerowaną, i brakowało na niej promiennego uśmiechu. Stał przygarbiony, jakby udręka psychiczna przygniatała go w sposób fizyczny.

– Cześć, tato – rzekła Holly, desperacko starając się ukryć szok, jakiego doznała na jego widok.

W odpowiedzi wziął ją w ramiona i przytulił tak mocno, że aż zabołało.

– Witaj, Holly – mruknął. – Tak miło cię widzieć, tak miło.

Pomyślała, że jej ojciec zaraz się rozplacze.

– Chodź, tato. – Ujęła jego dłoń i dziarskim krokiem skierowała się w stronę wyjścia ze stacji. – Umieram z głodu, pojedziemy coś zjeść?

– Musimy gdzieś jechać? – zapytał żalonym tonem Hugh. – Myślałem, że zostaniemy w domu. Angela przysłała Alastaira z gulaszem. Starają się mnie utuczyć.

Rzeczywiście przydałoby mu się podtuczenie, pomyślała z niepokojem Holly. Wysoki wzrost ojca pozwalał na to, by mógł bezkarnie przytyć w pasie kilka kilogramów, a i tak nie wydawał się otyły. Ale teraz na jego ciele nie było ani grama zbędnego tłuszczu.

– Potrzebny ci wielki stek i mnóstwo dużych, tłustych frytek – oświadczyła Holly. – Nie znoszę gulaszu, nawet od Angeli.

Udali się do taniej restauracji Maria's Diner, zamówili stek dla Hugh, pizzę z owocami morza, specjalność lokalu, dla Holly i dwa kieliszki czerwonego wina. Kiedy na stole pojawiło się wino, Hugh nawet go nie tknął. Wpatrywał się w przestrzeń za Holly, tak jakby w ogóle nie dostrzegał córki.

Dla zabicia czasu opowiadała mu o swoim tygodniu w pracy, że zanoszą się na to, iż przeniosą ją z działu dziecięcego chyba do działu dekoracji wnętrz i że tak naprawdę to chciałyby pracować w modzie międzynarodowej, ale że to mało prawdopodobne, gdyż nie ma żadnego doświadczenia w pracy w tego typu dziale. W normalnych okolicznościach Hugh stwierdziłby z oburzeniem, że moda międzynarodowa miałaby szczęście, gdyby zdobyła kogoś jej kalibru, że jest bez wątpienia najbystrzejszą osobą w całym Lee's i że powinna mieć świadomość tego, jak bardzo jest uzdolniona.

Dzisiaj jedynie kiwnął obojętnie głową i mówił co jakiś czas „mhhh”, tak jakby słuchał, ale myślami błądził daleko stąd. Holly mozoliła się dalej.

Opowiedziała mu o planach pokazu Joan, który miał się odbyć za dziesięć dni i zapowiadał się na olśniewającą imprezę, łącznie z prawdziwymi modelkami i kamerami telewizyjnymi. Powiedziała mu, że Stella i Tara martwią się o niego, ale nie wspomniała o tym, że zeszłego wieczoru rozmawiała z matką.

Rose nie powiedziała ani słowa na temat Hugh.

– Nie chcę rozmawiać o waszym ojcu – oświadczyła stanowczo, kiedy Holly zadzwoniła do niej. – Opowiedz mi, co słyhać u was.

Holly uczyniła więc tak, a w zamian wysłuchała informacji na temat cudownego domu Freddie, psów i tego, że Rose gotuje dla starszych ludzi. Zupełnie jakby jej matka wyjechała na jakieś fantastyczne wakacje z zaplanowaną datą powrotu, o czym nie ma potrzeby mówić. Najmłodsza córka Hugh specjalizowała się w unikaniu trudnych tematów, wysłuchała więc tego sprawozdania z wakacji i nic nie powiedziała.

Pojawiło się jedzenie i Holly wgrzyzła się w swoją pizzę. Jej ojciec nawet nie wziął do ręki widelca.

– Tato, musisz jeść – rzekła cicho. – Głodzenie się nie przyniesie niczego dobrego. Rozchorujesz się tylko.

Spojrzał na nią udręczonym wzrokiem.

– Nie dbam o to – odparł apatycznie.

– Nie odzyskasz w ten sposób mamy.

– Twoja matka nie wróci do mnie. Jestem tego pewny. W jej przypadku nie ma mowy o żadnych półśrodkach. Odeszła na dobre.

– Jak możesz być takim pesymistą? – zapytała Holly. – Może mama czeka, aż się do niej odezwiesz. Wiesz, że mieszka u ciotki Freddie?

– Stella mi powiedziała. Ale to niczego nie zmienia. Mogłaby mieszkać na końcu naszej ulicy albo na biegunie północnym, to nie ma znaczenia, ponieważ nie chce mnie widzieć. Zostawiła mi list. – Jego twarz była szara z bólu. – Napisła, że nie chce, bym sądził, że mogę za nią pojechać i wszystko naprawić, ponieważ nie ma niczego do naprawiania. Nasze małżeństwo jest skończone i oczywiście chce rozwodu. Napisła, że powinna to była zrobić wiele lat temu, że nienawidzi mnie za to, że ją upokarzałem i że jeszcze bardziej nienawidzi siebie za to, że pozwalała mi to robić. „Mam nadzieję, że cierpisz tak bardzo, jak ja cierpiałam”. Powtarzam dokładnie jej słowa. Czytałem je setki razy.

Nagle Holly nie czuła już głodu.

Rozumiała, dlaczego jej ojciec patrzy posępnie w dal. Zebrali się, zjadłszy niewiele z tego, co zamówili.

– Jedzenie smakowało? – zapytała niespokojnie kelnerka.

– Pyszne, było pyszne – odparła Holly. – Nie jesteśmy po prostu tak głodni, jak nam się wydawało.

Pojechali do domu z głośno włączonym radiem, by zagłuszyć uporczywą ciszę. Holly myślała o swojej matce. Kobieta, która napisała taki ostry, gniewny list, zupełnie tej matki nie przypominała.

Smutno było zobaczyć tę nową stronę matki, tak wielki gniew u spokojnej i milej osoby. Holly dorastała, słysząc zewsząd, że Rose to naprawdę niezwykła kobieta, i czuła się nielojalna, że chciała, by jej matka kochała ją tak bardzo, jak zdawała się kochać wszystkich innych. Kiedy się dowiedziała, że jej rodzice pragnęli, by ich trzecie dziecko było chłopcem, uznała, że w tym właśnie tkwi sedno problemu. Powtarzała sobie, że nie chodzi o to, że Rose nie kocha Holly, ale że po prostu miała nadzieję na syna.

Gdy Hugh pokonywał znajome zakręty w drodze do Meadow Lodge, Holly przepełniała chęć poruszenia zakazanego tematu, który płonął w jej sercu. Zerknęła na ojca i dostrzegła, że jego knykcie są białe od ściskania kierownicy. Niepotrzebny mu teraz jej ból. Miał wystarczająco dużo swojego.

– Wszystko dobrze, tato? – ścisnęła z czułością jego ramię.

Kiwnął głową, nie odzywając się ani słowem. Holly pomyślała, że zobaczyła w jego oczach błysk łez, ale nie była pewna.

\*\*\*

Następny dzień był cudowny: na niebie nie pojawiła się ani jedna chmurka i w powietrzu unosił się zapach lata, choć był dopiero początek maja. Holly tak długo męczyła ojca, aż w końcu namówiła go na spacer razem z Alaistairem i Angelą.

– Nie możemy siedzieć przez cały weekend w domu, spacer dobrze zrobi nam obojgu – powiedziała, biegnąc po domu i szukając drobiazgów, które będą im potrzebne, takich jak balsam do ust dla niej i czapka z daszkiem dla Hugh, w obronie przed słońcem.

Wziął od niej potulnie czapkę i założył ją na głowę.

– Spacer dobrze nam robi – powtórzył beznamiętnie.

Alastair sprawiał wrażenie wzruszająco zadowolonego z tego, że Holly z nim rozmawia.

– Stella była przez telefon bardzo chłodna – oświadczył ulotnie, kiedy we czwórkę szli ścieżką wzdłuż jeziora w dużym parku krajobrazowym Kinvarry, obserwowani przez stadko czarnych i białych kaczek, które liczyły z pewnością na to, że ktoś przyniósł dla nich trochę chleba. – Zdaje się winić bardziej mnie niż waszego ojca.

Holly poklepała Alastaira po dłoni.

– Przejdzie jej. Chce zrzucić na kogoś winę, a tata jest zbyt załamany, by mogła winić jego.

– Robisz się bardzo mądra na starość – powiedziała nagle Angela.

– Naprawdę? – Holly wyglądała na zadowoloną. – To Stella była zawsze tą mądrą.

– A ty tą, która miała niską samoocenę – odparła Angela. Dwie kobiety zwolniły kroku, puszczając mężczyzn przodem. – Twój ojciec nie widział świata bożego poza tobą. Cieszę się, że jesteś przy nim. Wiem, że to nie jest łatwe, ale jesteś mu potrzebna.

Holly musiała jej zadać jedno pytanie.

– Wiedziałaś?

Angela potrząsnęła gwałtownie głową.

– Nie, nie miałam pojęcia. Powiedziałabym Rose. Uwierz mi, mało brakowało, a zabiłabym Alastaira za to, że trzymał to przede mną w tajemnicy. Wszystkie nowoczesne poradniki małżeńskie mówią, że potrzebujemy swoich małych sekretów i własnej, prywatnej przestrzeni, ale ja jestem ze starej szkoły. Wolę myśleć, że znam wszystkie zakamarki myśli Alastaira – dodała zdecydowanie. – Cóż, teraz już za późno, ale gdybym wiedziała, zrobiłabym coś, powiedziała Hugh, by uporządkował swoje sprawy i nie ryzykował wszystkiego. – Westchnęła.

Holly wierzyła jej. Angela nie wiedziała, ale ona tak. Zebrała się na odwagę, by to wyznać, przygotowując się na chwilę, kiedy będzie musiała powiedzieć Rose.

– Wiesz, Angelo, ja wiedziałam, że tata z kimś się spotyka. Myślisz, że mama będzie na mnie zła?

– Wiedziałaś? – zapytała zdumiona Angela. – Kiedy się dowiedziałaś?

– Kiedy miałam szesnaście albo siedemnaście lat. Nie wiedziałam tego na sto procent, ale się domyślałam.

Angela wyglądała na tak zaskoczoną, że Holly pożałowała, iż w ogóle o tym wspomniała.

– Rozmawiał po prostu z kimś przez telefon i to brzmiało tak... tak intymnie. Ale to mnie jakoś specjalnie nie wytrąciło z równowagi. – O nie, dziwnie to zabrzmiało, tak jakby nie obchodziło jej to, że ojciec zdradza matkę. Holly spróbowała jakoś to naprawić. – Chodzi po prostu o to, że tak bardzo kochałam tatę i nigdy nie byłam tak blisko z mamą jak Stella i Tara. To nie jest wina mamy – dodała lojalnie.

Holly, z niepokojem starając się sprawić, by Angela zrozumiała, że to nie była wina Rose, nie zauważyła, że Angela patrzy się ze smutkiem na ukochaną z trzech przybranych siostrzenic.

Ona i Alastair nie zostali pobłogosławieni własnymi dziećmi. Och, mieli oczywiście chrześniaków, siostrzeńców i bratanków, ale własnych dzieci nie. Być może dlatego dziewczynki Millerów były dla nich niczym dzieci, zwłaszcza I ara i Holly. Stella była poważną, samodzielną dziewczynką, ośmio- lub dziewięcioletnią, kiedy Devonowie i Millerowie się poznali. Była młodszą wersją Rose z takimi samymi spokojnymi, ciemnymi oczami i opanowaniem. Zbyt uwielbiała matkę, by spędzać czas w domu Devonów razem z Hugh, kiedy wpadał zobaczyć się z Alastairem. Ale Tara, sympatyczna chłopczyca, uwielbiała chodzić na ryby razem z Hugh i Alastairem, i dorastała, czując się u cioci Angeli i wujka Alastaira jak w domu. Angela przepadała za zwariowanym poczuciem humoru Tary i zrobiłaby wszystko dla kochanej, życzliwej Stelli, ale jej serce należało do nieśmiałej, niepewnej Holly.

Gdy Angela przyglądała się jej jak dorasta, często martwiła się rysą, którą wykryła w relacji Holly i Rose, tak cienką, że nikt inny jej chyba nie dostrzegął.

– Twoja mama cię kocha, Holly, nie będzie na ciebie zła. Nie chciałaś jej zranić, mówiąc jej prawdę.

– Naprawdę tak sądzisz? – Holly wyglądała na tak mocno zaniepokojoną, że Angelę ogarnęło niezwykle uczucie irytacji na przyjaciółkę. Dobrze, więc Rose wyjechała stąd jak burza, rozeźlona romansami Hugh. Jego zachowanie było szokujące pod każdym względem i Angela powiedziała mu o tym jasno i wyraźnie. Jednak Rose nie była jedyną skrzywdzoną stroną w rodzinie Millerów. W tym zamęcie, który nastąpił w wyniku prowadzenia przez Hugh i Rose oddzielnego życia i związanego z depresją poporodową, jaką najwyraźniej przeżyła Rose po urodzeniu najmłodszej córki, to właśnie mała Holly była osobą, która najbardziej ucierpiała. Czas najwyższy, by Rose to zrozumiała, uznała Angela.

– Naprawią to wszystko, zobaczysz – objęła ramieniem Holly. – Twoja mama wróci, jestem tego pewna.

– To, że wszyscy tego pragniemy, wcale nie oznacza, że tak właśnie się stanie – zauważyła Holly. – Muszą to rozwiązać między sobą.

Przyglądała się, jak jej ojciec idzie w oddali razem z Alaistairem. Holly wiedziała, że Rose da sobie radę. Była silną osobą. Ale czy Hugh poradzi sobie bez Rose?

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Vicki przeszukiwała torebkę, aż w końcu wyjęła z niej wypchaną kosmetyczkę z przezroczystego plastiku. Spomiędzy mieszaniny tubek, kredek i pudrów wyjęła wielki pędzel i czarne pudełko.

– Bronzer – oświadczyła. – Potrzebujesz go.

– Dzięki. – Stella w lusterku od pudru zobaczyła bladą, wymizerowaną twarz. Cienka skóra pod jej oczami była fioletoworóżowa. Miała wrażenie, że starzeje się w dwa razy szybszym tempie. – Nie masz tam może sprzętu do transfuzji krwi?

Vicki uśmiechnęła się, ale jej oczy pozostały poważne.

– Wyglądasz okropnie, mała. Tak jakbyś od tygodni nie spała.

Stella nie potrzebowała, by ktoś jej o tym mówił. Sama widziała. Zrobiła, co mogła, przy użyciu pędzla, omiatając nim twarz w taki sposób, jaki widziała w programach poświęconych modzie.

– To nie ma nic wspólnego ze spaniem. Co wieczór kładę się do łóżka i śpię jak zabita. Problemy zaczynają się po przebudzeniu.

– Twoi rodzice?

Stella zatrzasnęła bronzer. Po co go używała?

– Bardziej tata niż mama. Ona świetnie sobie radzi i twierdzi, że jest zbyt zajęta, by przyjechać do Dublina i spędzić trochę czasu ze mną i Amelią, choć wydaje mi się, że robi tak, by uniknąć rozmawiania o ich rozstaniu i o tym, co będzie dalej. Tata zupełnie się załamał, a mama nie chce z nim rozmawiać.

– Trudno jest znaleźć się między młotem a kowadłem – rzekła Vicki.

– To dopiero połowa wszystkiego – dodała ponuro Stella. – Problem numer dwa to Jenna. To najniegrzeczniejsze dziecko, jakie w życiu widziałam. W któryś wieczór Nick i ja zabraliśmy ją i Amelię do kina, i była wobec mnie naprawdę wstrętą.

– Była żona Nicka sprawa problemy? – zapytała Vicki.

– Nastawiają przeciwko tobie?

Stella westchnęła.

– O to właśnie chodzi. Nick twierdzi, że tak nie jest. Mówi, że Wendy nie ma nic przeciwko nam i że zachowuje się najzupełniej rozsądnie w kwestii tego, by Jenna i Sara spędzały z nami czas. Ale wygląda to tak, jakby nie pozwalała Nickowi odejść, czy to ma jakikolwiek sens? Wydzwania do Nicka w dzień i w nocy, i opowiada o najnowszych wyczynach Jenny. Zupełnie

jakby miała wyjątkowe zdolności telepatyczne, gdyż dzwoni dokładnie wtedy, gdy gdzieś wychodzimy albo coś robimy. Zdażę postawić kolację na stole, bam, ona dzwoni. Nie chodzi o to, że on nie powinien mieć z nią kontaktu, ale po prostu... – Stella zawahała się – ona zawsze się kręci gdzieś w tle i uważam, że Nick oszukuje samego siebie, sądząc, że ze wszystkim sobie poradziła.

Stella nie potrafiła wytłumaczyć wściekłości, która ją ogarnia na widok stygnącego i tężejącego jedzenia czekającego na stole, gdy tymczasem Nick rozmawia z byłą żoną, wykonuje przeproszające gesty w stronę Stelli i zgadza się rozmawiać z Jenną. I bez względu na to, jak bardzo chwalił później posiłek, Stella była ponuro przekonana, że ten jest już niejadalny. Nick jadł wtedy z jeszcze większym apetytem niż zazwyczaj, by jej to wynagrodzić, ale ona siedziała z napiętymi ramionami i zaciśniętymi zębami. Zaczęła nie znosić sygnału telefonu Nicka. Dźwięk ten sprawiał, że ścisnęło ją w żołądku.

– Czy ona zawsze dzwoni w sprawie Jenny? – zapytała Vicki.

Zazwyczaj tak. Ja nie dzwonię do ojca Amelii z każdym problemem. Wiem, że to coś innego, ponieważ Glenn nie jest <sup>tak</sup> naprawdę częścią naszego życia, ale doprowadza mnie do szaleństwa fakt, że Wendy podobno jest kobietą inteligentną, a jednak nagle nie potrafi poradzić sobie z niczym bez rozmowy z Nickiem. On mówi, że Wendy pogodziła się z rozwodem i chce, by oboje żyli dalej swoim życiem, ale – uczyniła pauzę – mnie się tak nie wydaje. Ona chce go mieć w swoim życiu, ani myśli pozwolić mu odejść.

– Kiedy to się zaczęło?

– Kiedy Nick powiedział dziewczynkom, że chcemy razem zamieszkać.

– Może wcześniej sądziła, że jest jakaś szansa na to, że do siebie wrócą – stwierdziła Vicki. – Z jej strony jest to reakcja odruchowa. Nic nie może na to poradzić.

– Dlaczego? – zapytała ze złością Stella. – Są rozwiedzeni, oboje przystali na rozwód, to skończone. Dlaczego ona nie może się zająć własnym życiem? Kiedy Glenn i ja rozstaliśmy się, ja musiałam tak właśnie uczynić. Nie dzwoniłam do niego każdego dnia i nie pytałam, jak programuje się wideo.

– Nie jesteś typem osoby, która łatwo się załamuje, Stellu – zauważyła Vicki. – Ty akurat potrafisz sobie radzić. Po prostu to robisz. A poza tym ty i Glenn nie byliście znowu tak długo małżeństwem. Nick i Wendy byli mężem i żoną przez dwadzieścia lat i wygląda na to, że trudno jest jej pogodzić się z tym, że to skończone. Kiedy wychodziła za męża, w tym kraju nie było rozwodów i ludzie oczekiwali, że małżeństwo trwa do końca życia. Może minąć trochę czasu, nim się do tego przyzwyczai. To zmiana całego życia.

– Świetnie – oświadczyła szorstko Stella. – Ale nie rozumiem, dlaczego ja mam cierpieć z tego powodu. Rozstali się, zanim jeszcze Nick poznał mnie. Gdyby Wendy potrafiła żyć jakoś samodzielnie, wtedy Jenna być może nie byłaby dla mnie taka paskudna. Jestem przekonana, że ona wierzy w to, że gdyby nie ja, to jej rodzice ponownie by się zeszli, a to nie fair. Ja nie rozbiłam ich małżeństwa: sami to zrobili.

– Uspokój się – rzekła Vicki. Stella ją martwiła. Zazwyczaj nie traciła opanowania. – Wszystko się w końcu ułoży.

– Cieszę się, że tak myślisz. Ale to naprawdę mało prawdopodobne, zwłaszcza gdybyśmy postanowili wziąć ślub. Przeprowadzono badania i okazało się, że sześćdziesiąt procent rozwiedzionych mężczyzn żeni się ponownie. I sześćdziesiąt procent zawartych w ten sposób małżeństw rozpada się.

Vicki szybko operowała liczbami w głowie.

– No więc na stu mężczyzn dwudziestu czterech jest szczęśliwych z drugą żoną.

– To nie wszystko. – Twarz Stelli była ponura. – Pierwsze pięć do siedmiu lat drugiego małżeństwa jest tak kiepskich jak rok, który nastąpił po rozwodzie. Innymi słowy, piekło na ziemi.

– Czas najlepiej leczy rany – ośmieliła się stwierdzić Vicki. – Wiesz co, nigdy mi nie mówiłaś, że rozmawialiście o ślubie.

– Rozmawialiśmy – przyznała Stella. – Ale nie wiem, czy to dobry pomysł, skoro Jenna tak nie znosi mojego widoku. Kolejnych siedem lat czegoś takiego i będę łykać każdy dostępny lek antydepresyjny. Z Nickiem nie jest lepiej. Stara się nie pokazywać niczego po sobie, ale bardzo martwi go to, jak Jenna reaguje na mnie i jak to wpływa na nasz związek. Ale nadal uważa, że jakoś nam się uda. Jedziemy razem na weekend, w piątkę.

Vicki skrzywiła się.

– Jezu – rzekła.

– Święte słowa. – Westchnęła. – Chyba postradaliśmy zmysły, wspominając dzieciom Nicka o pomysłe zamieszkaniu razem. Wcześniej było tak, jakbyśmy żyli u stóp wulkanu, teraz jest tak, jakby ktoś wrzucił do krateru bombę nuklearną.

\*\*\*

Amelia była cała podekscytowana tym weekendem. Wiele godzin spędziła na pakowaniu swoich rzeczy do fioletowego dzinsowego plecaka. Stella powiedziała jej, by zabrała z sobą książki i zabawki, które przepakowywała co najmniej dwa razy dziennie. Teraz plecak czekał gotowy, pełny aż po brzegi, a nawet z wyrzuszeniami od nóg Barbie i Caspera, szarego futrzanego królika, którego Stella kupiła jej w Paryżu.

Stella nie zastanawiała się aż tak długo nad własną walizką. Spakowała ubrania, które pasowały do jej nastroju: ciemne.

Jechali do hotelu Moon, wielkiego wakacyjnego kompleksu na wybrzeżu. Moon był hasłem przewodnim rodzinnych wakacji i Stella pamiętała, że wielu jej znajomych udaje się tam z samochodem pełnym dzieciaków na weekendy z tenisem, pływaniem i możliwością zjedzenia romantycznej kolacji dla dwojga dzięki hotelowemu systemowi opieki nad dziećmi. Stella zawsze zazdrościła trochę tym ludziom. Rodziny. Moon był miejscem dla rodzin, gdzie tatusiowie szli z dziećmi popływać, a mamusie poddawały się zabiegom kosmetycznym w hotelowym spa.

Na ironię zakrawał fakt, że kiedy teraz wybierała się i mi z rodziną, żałowała, że tak się dzieje. Byłaby taka szczęśliwa, gdyby jechała tam tylko z Nickiem i Amelią. W ciągu dwóch tygodni, które upłynęły od druzgocącego rozstania rodziców, Stella była niesamowicie zestresowana i kilkudniowy wyjazd zdawał się być tym, czego jej trzeba. Ale nie tego typu wyjazd.

Kiedy Nick zajechał przed dom z Sarą i Jenną, Stella próbowała ignorować ściskanie w żołądku na myśl o weekendzie, podczas którego wszyscy się będą dobrze zachowywać, tylko Jenna będzie w swym normalnym, szatańskim nastroju.

Jednak Jenna wyraźnie została czymś przekupiona. Po pierwsze, zwołała miejsce z przodu i przeniosła się do tyłu, tak by Stella mogła siedzieć obok Nicka. Po drugie, była grzeczna.

– Cześć, Stella, cześć, Amelia – przywitała się, kiedy one otworzyły tylne drzwi.

– Witaj, Jenno – odparła z rezerwą Stella. – Amelia jest najmniejsza, więc może usiądzie między wami, dobrze?

Amelia precyzyjnie się ostrożnie obok Jenny i klapnęła obok Sary, która siedziała skulona na drugim końcu i miała na wpół zamknięte oczy. Jak zwykle ubrała się w dzinsy i bluzę z kapturem, a jej ciemne włosy były potargane.

– Cześć, Saro. Co słyhać?

– Jestem wykończona – odparła dziewczyna. – Dzisiaj mieliśmy egzaminy. Kułam przez całą noc.

Stella zdusiła uśmiech. Też ślęczała po nocach, kiedy była na studiach.

– Najtrudniej jest nie zasnąć o piątej nad ranem – powiedziała, siadając z przodu. – Dopada cię zmęczenie i masz ochotę wczolgać się do łóżka, ale to nie ma sensu, ponieważ potem byś się nie obudziła, a po przebudzeniu wyglądała jak zombie.

– Też zarywałaś noce? – zapytała zaskoczona Sara.

– Jak każdy, no nie? – roześmiała się Stella. – Ale jeśli zrobisz tak kilka razy, szybko się przekonasz, że lepiej jest się nauczyć długo przed egzaminami. To łatwiejsze niż spędzanie całej nocy w towarzystwie kawy.

- Ty tak mówisz! – Sara zrobiła sobie poduszkę z bluzy, wcisnęła ją w róg i zamknęła oczy.
- Obudźcie mnie, kiedy dojedziemy.  
Nick zatrzasnął bagażnik.
- Wszyscy gotowi? – zapytał, siadając na miejscu dla kierowcy. Położył rękę na dłoni Stelli i obdarzył ją ciepłym uśmiechem.
- Wszyscy gotowi – odparła, postanawiając nie przejmować się reakcją Jenny na ten czuły gest. Stella tak się przyzwyczaiła do naginania swego zachowania względem dziewczynki, że niemal z niechęcią trzymała publicznie swojego ukochanego za rękę.
- To będzie wspaniały weekend – rzekł Nick, ruszając.
- Stella skrzyżowała palce.

\*\*\*

Spędzenie sobotniego poranka na rozkosznie przyjemnych ubiegach w hotelowym spa sprawiło, że Stella poczuła się rozleniwiona i niemal tak pogodna, jak zazwyczaj.

– Zafunduj sobie wszystko – poradził Nick ubiegłego wieczoru, kiedy przeglądała broszurkę i zastanawiała się, i ty wybrać zabieg na twarz, masaż pleców czy manicure.

– Sara będzie w łóżku aż do lunchu, a ja zabiorę Amelię i Jennę na cały ranek. Może pójdziemy na basen. A ty dobrze się baw.

– Jenna nie będzie miała ochoty na zjeżdżalnie wodne i taplanie się w basenie – zauważyła Stella.

– Jeszcze się zdziwisz – odparł Nick.

Zadowolona po masażu pleców, Stella wróciła do pokoju, gdzie znalazła kartkę od Nicka z informacją, że on i dziewczynki wrócili z wyprawy do miasteczka i teraz wybierają się na basen. Wciąż ubrana w hotelowy szlafrok udała się do kompleksu sportowego. Jeden basen był dla dorosłych, którzy mieli ochotę spokojnie popływać, większy zaś wyposażono w zjeżdżalnie dla dzieci i wszystkich, którzy chcieli śmigać do wody z dużą prędkością. Po jednej stronie znajdowała się kafejka, w której rodzice mogli siedzieć i obserwować brykające potomstwo. Stella częściowo się spodziewała ujrzeć Jennę przy jednym ze stolików, przyglądającą się z lekceważeniem, jak dzieci bawią się w wodzie.

Jednak ona stała w basenie i wrzeszczała głośno, gdy Nick i Amelia wchodzili po schodkach na zjeżdżalnię.

– Głową w dół! – wołała. – Tato, tym razem musisz zjechać głową w dół!

– Nie ma mowy! – odkrzyknął.

Stella widziała, jak Amelia chichocze.

– Tchórz! – wrzasnęła Jenna. – Amelia, każ mu zjechać głową w dół!

Z jasnymi włosami przyklejonymi do pleców i twarzą mokrą i pozbawioną makijażu, po raz pierwszy, odkąd poznała ją Stella, wyglądała jak dziecko. Szczęśliwe dziecko.

Stella usiadła przy stoliku i zamówiła wodę mineralną. Siedziała długo, przyglądając się jak Nick, Jenna i Amelia śmieją się i pluskają, aż wreszcie Amelia ją zauważyła.

– Mamusiu! – podpłynęła pieskiem do brzegu. – Zjechałam ze zjeżdżalni!

– Widziałam cię, byłaś bardzo dzielna.

– Jenna zjechała na brzuchu! – oświadczyła Amelia. – Mówi, że woda wchodzi wtedy do nosa.

Twarz Jenny zmieniła się i powróciła dorosła, pełna rezerwy mina. Po raz pierwszy od wieków Stella poczuła wobec tej dziewczyny coś na kształt współczucia. Nick miał rację: Jenna nadal była dzieckiem i nie potrafiła sobie poradzić z rozstaniem rodziców. Stella pomyślała o tym, jak ona sama zareagowała na nagłe rozstanie Hugh i Rose. Myśl o tym nadal zwała ją z nóg. Skoro niełatwo było się z tym pogodzić, mając trzydzieści osiem lat, o ileż trudniejsze musiało to być dla Jenny?

Nick podciągnął się na rękach i wyszedł z basenu.

– Chodź, Jenna – rzekł, wyciągając rękę do córki. – Napijemy się czegoś.

Stella przyciągnęła jeszcze jedno krzesło dla Jenny, gdy tymczasem Nick poszedł zamówić napoje.

– Dobrze się bawisz, Jenno? – zapytała Stella, zapominając się i kładąc rękę na ramieniu dziewczyny. Strząsnęła ją z siebie z taką miną, jakby dłoń Stelli parzyła. – Przepraszam – powiedziała odruchowo Stella. I zamilkła. Za co przepraszasz? Starala się być miła. – Jenno, musimy się jakoś dogadywać. Byłoby prościej dla wszystkich, gdybyś się trochę postarała.

– Dlaczego? – zapytała ostro, a w jej oczach płonęła nienawiść. Odwróciła się i uciekła.

Amelia spojrzała na matkę wielkimi, poważnymi oczami.

– Mamusiu, dlaczego Jenna cię nie lubi?

Stella miała gotowe odpowiedzi na większość pytań Amelii, nawet na to, w jaki sposób do brzuszka teriera z naprzeciwka dostały się cztery szczenięta i skąd szczenięta wiedzą, jak pić mleko mamusi, skoro nie mają jeszcze otwartych oczu. Ale nie wiedziała, co odpowiedzieć na to akurat pytanie.

Amelia zrobiła to za nią.

– Czy to dlatego, że nie jesteś jej mamusią?

Stella przygryzła wargę.

– Nie – odparła. – Trudno to wytłumaczyć, kochanie. Postaram się to zrobić, kiedy wrócimy do domku, dobrze?

– Przepraszam – powiedziała do Nicka, kiedy wrócił do stolika. – Moja wina, próbowałam być dla niej miła.

Na twarzy Nicka pojawiła się, jak ją w duchu zwała Stella, „mina”. Pojawiała się teraz zresztą regularnie: zaciśnięcie zębów i smutne, bezradne spojrzenie.

Ujęła jego dłoń i trzymała mocno, pragnąc, by ta mina zniknęła.

– Lepiej pójdę z nią porozmawiać – zdecydował.

– Tak, oczywiście – odparła automatycznie Stella.

Przyglądała się, jak odchodzi, dostrzegając, że jego wysoka sylwetka wygląda na przytłoczoną, ponieważ miał nietypowo jak na siebie opuszczone ramiona. Następnie z przyklejonym do twarzy szerokim uśmiechem odwróciła się do Amelii.

– Co teraz będziemy robić? – zapytała pogodnie. – Ty wybierasz.

Amelia zdecydowała się na pływanie, a po nim spacer po miasteczku, którego trasa prowadziła obok sklepu z całym działem poświęconym błyszczącym długopisom, słodkim jaskraworóżowym i fioletowym zeszytom, i piórnikiem ozdobionym marabutami, cekinami i piórkami.

– Dlaczego odnoszę wrażenie, że już tutaj byłaś? – zapytała Stella, uśmiechając się, gdy Amelia udała się prosto do działu papierniczego.

– Byliśmy, ale Nick powiedział, że powinniśmy wracać do hotelu, a Jenna powiedziała, że później wrócimy same i coś kupimy. Powiedziała, że przyjdzie ze mną i że tak będzie można, ponieważ jest nastolatką. To prawie tak dobre jak bycie dorosłym.

Amelia szperała wśród różnych drobiazgów, Stella zaś przyglądała się bezmyślnie magnesom na lodówkę. Normalnie takie drobiazgi wywoływały uśmiech na jej twarzy. Jednak dzisiaj nie miała ochoty się uśmiechać. Próbowwała odpowiedzieć sobie na pytanie, jak się naprawdę czuje. I wtedy w jej głowie pojawiło się to słowo: porażka. Czowała się tak, jakby poniosła porażkę. Znalazła mężczyznę ze swych snów, który wszedł w jej życie, tak jak i ona, z pewną ilością bagażu emocjonalnego. Zamiast poradzić z tym sobie, ona jeszcze tylko pogorszyła tę sytuację. Wystawiona na nieprzejednaną nienawiść piętnastolatki, nie potrafiła zaakceptować faktu, że Jenna ma prawo do własnej opinii. Przyzwyczajona do bycia lubianą i kochaną przez wszystkich i przyzwyczajona do traktowania z szacunkiem, Stella nie miała pojęcia, jak poradzić sobie z tak otwartą wrogością. Rezultat okazał się katastrofalny. Ona była zestresowana, Nick był jeszcze bardziej zestresowany, a ich marzenia o szczęśliwej, zjednoczonej rodzinie zdawały się oddalać o miliony kilometrów.

– Chyba ten najbardziej mi się podoba – oświadczyła Amelia, trzymając w ręku srebrny długopis z różową dziewczyną hula na górze.

– Jest śliczny – odparła Stella. Kucnęła obok Amelii i pocałowała ją mocno w policzek. – Kocham cię, Amelio.

Jej nagrodą był promienny uśmiech Amelii.

– Ja ciebie też, mamusiu. – Podniosła do góry mały notesik z okładką w kotki. – Mogę też go wziąć?

Znużona wyczerpującym dniem, Amelia ochoczo rozłożyła się przed telewizorem ustawionym na kanał z bajkami w niewielkim dodatkowym pokoju w ich apartamencie rodzinnym. Kiedy się meldowali, mogli wybrać apartament rodzinny z dwoma pokojami łączącymi się z główną sypialnią. Stella cieszyła się, że się nie zgodziła. Sara i Jenna miały wspólny pokój naprzeciwko.

Nie było śladu Nicka, więc Stella uznała, że przebywa teraz z dziewczętami. Zadowolona, że Amelia jest szczęśliwa, usiadła na łóżku i zadzwoniła do matki.

W Pokrzywowej Chatce nie było automatycznej sekretarki.

– Freddie nie ma do niej przekonania – wyjaśniła wcześniej Rose. – Mówi, że jeśli ktoś chce z nią pilnie porozmawiać, będzie dzwonił aż do skutku.

Po siedemnastu sygnałach Stella rozłączyła się i zadzwoniła do matki na komórkę, nie oczekując wiele. Rose radośnie przejęła nastawienie *mañana* Freddie wobec telekomunikacji i rzadko włączała komórkę.

– Obawiam się, że nie mogę odebrać teraz telefonu, ale proszę zostawić wiadomość – rzekła Rose spokojnym, niskim głosem.

Na dźwięk głosu matki Stellę zapiekły łzy. Rozłączyła się. Jaką wiadomość mogła zostawić?

Chciałabym, żebyście ty i tata znowu byli razem, ponieważ wtedy czułabym się tak, jakby jakaś część mego życia była nadal normalna. I mogłabym ci się zwierzyć ze wszystkich swoich problemów, zamiast dusić je w sobie z tego powodu, że twoje problemy są większe od moich.

Zjadła orzechy w czekoladzie z minibaru, następnie otworzyła małą butelkę białego wina, którego chciała się napić podczas kąpieli.

– Co słyhać? – zapytała, wsuwając głowę przez drzwi, by spojrzeć na Amelię, która pozostawała przyklejona do telewizora.

– Dobrze.

– Idę wziąć kąpiel, a potem wyszukujemy się na kolację. Ale Amelia zdążyła się już poddać czarowi telewizji.

Bąbelki miała aż do samej szyi, a wino wypite prawie do końca, kiedy pojawił się Nick. Nachylił się i pocałował ją czule.

– Mam ci umyć plecy?

– Poproszę.

Opierając głowę na kolanach, Stella zamknęła oczy i pozwoliła Nickowi delikatnie wmasowywać gąbką mydło w swoje plecy.

– Jest cudownie – wymruczała. – Szkoda, że nie możesz się przyłączyć – dodała. Nawet o tym nie marzyła, mając Amelię w sąsiednim pokoju.

– Dziś wieczorem. – Nick złożył pocałunek na jej karku. – Po kolacji, kiedy wszyscy pójda do łóżek. Wtedy pozwolę ci umyć moje plecy.

– Chyba nie tylko plecy? – zapytała figlarnie Stella.

– Nie. – Przesunął gąbkę niżej, by pocierać nią rytmicznie dolną część pleców. – Nie tylko.

– Mamusiu, mogę wziąć z lodówki trochę czekolady? – dobiegł głos Amelii.

Dłoń Nicka gwałtownie wysunęła się z wody.

– Nie, kochanie, za kilka minut schodzimy na kolację. Chcesz się sama przebrać w niebieską sukienkę czy mam ci pomóc?

– Sama – odparła zrzędliwie Amelia.

Nick splukał mydło z pleców Stelli.

– Miło spędzasz weekend? – zapytał.

– Tak – odparła, patrząc na niego błyszczącymi oczami. – Nadal ciężko jest z Jenną. Czy ona kiedyś nauczy się komunikować ze mną?

– Nie wiem, Stello. – Nick opuścił klapę ubikacji i usiadł n« niej. – Robię co w mojej mocy, ale ona jest tak bardzo przeciwna pomysłowi mojego bycia z kimkolwiek innym niż jej matka.

Stella stała w wannie, a z jej ciała spływała mydlana woda. Owinęła się w duży ręcznik, który zdjęła z podgrzewanego stojaka.

– Nie możesz powiedzieć jej, że tak już jest... – urwała. Chciała spytać Nicka, dlaczego nie może wyjaśnić Jennie, że kocha Stellę i chce, by córka traktowała ją z szacunkiem. Spróbowała jeszcze raz, pełna determinacji, by go nie zranić.

– Dzieciom trzeba mówić różne rzeczy, Nick.

– Amelia ma osiem lat. Słucha ciebie, każde wypowiedziane przez ciebie słowo jest dla niej ważne – rzeki z napięciem Nick. – Pewnego dnia to się zmieni, Stello. Będzie patrzeć na ciebie inaczej, będzie robić coś dokładnie przeciwnego do twoich poleceń i rad, będzie nastolatką. Nie da się mówić dzieciom, co mają robić, kiedy są w wieku Jenny; one nie słuchają poleceń.

– Nie mówię, że musisz jej coś kazać – odparła ze znużeniem Stella. – Chciałabym tylko, żeby była dla mnie nieco miłsza. – Nawet wypowiedzianie tych słów było żałosne, niczym w przypadku dziecka na placu zabaw, marudzącego, że inne dziecko nie jest dla niego miłe.

– Stella, robię, co mogę. To się nie stanie w ciągu jednego dnia, wiesz? Na razie będziesz musiała z tym żyć.

Wyszedł do sypialni i Stella westchnęła. Kolejna magiczna chwila stracona.

Nick siedział na krześle i oglądał kanał z wiadomościami, gdy Stella w milczeniu się ubierała. Kiedy próbowała zapiąć długą spódnicę z zamszu, skrzywiła się. Nawet talia ją zdradzała. Jej rodzice przechodzili kryzys wieku średniego, pasierbica jej nienawidziła, a ona robiła się gruba. Życie było po prostu fantastyczne.

\*\*\*

– Co powiecie na to, byśmy w drodze powrotnej wstąpili do babci i cioci Pauli? – Nick przez całą niedzielę mówił w taki właśnie pogodny sposób.

Jedynie Sara i Amelia wydawały się reagować. Jenna siedziała z tyłu w mrukliwym nastroju, wyglądając posępnie przez szybę, odkąd tylko wyjechali z hotelu Moon.

Stella czytała z przodu niedzielne dodatki do gazet, ku zdumieniu Sary, która oświadczyła, że nie zna nikogo, kto by potrafił czytać w samochodzie.

– Mamie robi się niedobrze, kiedy czyta w samochodzie. W pociągach też nie może czytać – dodała głośno Jenna.

Stella zacisnęła zęby i jakoś udało jej się powstrzymać przed zapytaniem, czy mamusia w ogóle potrafi czytać. Nie podobały jej się ani trochę te szczeniackie odruchy, ale Jenna wyzwala w niej to, co najgorsze.

– Bardzo bym chciała zobaczyć się z babcią, ale przed szóstą muszę być z powrotem – stwierdziła Sara. – Umówiłam się na wieczór.

– Z miłością swego życia? – zapytał żartobliwie Nick.

– Całą grupą wybieramy się na pizzę, ponieważ aż do środy nie mamy żadnego egzaminu, a nie można się przecież non stop uczyć – odparła Sara. – Zgadza się, Stello? Zbyt wiele nauki nie jest zdrowe.

Stella pomyślała z czułością, że Sara jest słodka. Tak się starała, by atmosfera nie była napięta.

– Absolutnie masz rację, Saro – odparła. – Od samej pracy człowiek tylko głupieje.

– To właśnie przytrafiło się tobie? – mruknęła pod nosem Jenna.

Stella zeszywniała.

– Zamknij się. – Usłyszała syk Sary. – Nie bądź taką jędzą.

Stella wpatrywała się w czytana przez siebie stronę tak, jakby nigdy nie widziała czegoś bardziej fascynującego. Nie pokaże, jak mocno czuje się zraniona. Nick z pewnością nie słyszał uwagi Jenny, w przeciwnym wypadku by coś powiedział, prawda?

– W takim razie nie wydaje mi się, byśmy mieli czas na odwiedzin u babci – stwierdził. – Mielibyśmy tylko parę chwil, a znacie babcię, ona lubi długie wizyty.

– Ma kota o imieniu Lady, prawda? – zapytała Amelia.

– Byłaś w domu mojej babci? – zapytała ostro Jenna.

– Jedliśmy ciasteczka i Lady siedziała mi na kolanach ujawniła Amelia.

– Lubisz koty? – zapytała szybko Sara.

– Tak, bardzo bym chciała mieć kotka i pieska, i króliczka. Amelia pragnęła mieć w domu całą menażerię.

Jenna przez resztę podróży nie odezwała się ani słowem, nawet kiedy zatrzymali się na kawę. Była prawie piąta, kiedy dotarli do domu Wendy. Stella nie chciała być w samochodzie, kiedy Nick podrzucał dziewczęta, ale Sara się spieszyła, a jej dom znajdował się co najmniej dwadzieścia minut dalej, więc najrozsądniejsze wydało się załatwienie tego w taki właśnie sposób. Ciekawość Stelli, by zobaczyć dom byłej żony Nicka, balansowała na równi ze zdenerwowaniem, że musi tam jechać.

Wszystkie domy w Athens Valley, ładnej dzielnicy na przedmieściach, były wolno stojące. W połowie ulicy Nick skręcił w prawo w wysadzany krzewami podjazd. „Białe Więzy” – głosił drewniany znak na kamiennym słupku. W oczach Stelli Białe Więzy były wielkie, trzy razy większe niż jej szeregowiec na Delgany Avenue. Dom miał pewnie pięć sypialni i na pewno więcej niż jedną łazienkę. Zapaliła się w niej iskierka zazdrości i natychmiast poczuła złość na siebie za uleganie tak dziecinnyim uczuciom. Czymś absurdalnym było odczuwanie zazdrości o ten dom. Przecież Wendy miała go tylko dlatego, że ona i Nick się rozstali. Pomimo ślicznego domu jej małżeństwo rozpadło się i musiała użerać się z trudną nastolatką. Zasługiwała na współczucie Stelli. A jednak Stella i tak była lekko zaszokowana. Choć wiedziała, że Nickowi dobrze się powodzi, nie sądziła, że jest naprawdę bogaty. Ale przecież rozwód był kosztowny. Wendy musiała kupić ten dom za pieniądze z ugody. Stella nakazała sobie wziąć się w garść i nie zachowywać się tak dziecinnie.

Jenna wysiadła szybko z samochodu, nawet się nie żegnając.

Sara pocałowała Amelię w policzek.

– Cześć, Amelio – rzekła. – Bądź grzeczna.

Stella odwróciła się i ujrzała, jak drobna buźka jej córki promienieje z radości.

– Będę – oświadczyła wesoło.

– Cześć, Stello – rzekła Sara. – Dzięki za weekend.

– Nie, to ja dziękuję tobie. – Stella mówiła poważnie. Gdyby nie wysiłki Sary, cały weekend byłby, jeśli to możliwe, jeszcze bardziej koszmarny.

– Zaraz wracam – rzucił Nick.

Kiedy poszli, Stella przełączyła radio ze stacji rockowej, którą Nick włączył dla dziewcząt, i poszukała czegoś spokojniejszego.

– Mamusiu, muszę do łazienki – odezwała się błagalnie Amelia.

O nie, tylko tego jej było trzeba.

– Będziesz musiała zaczekać, kochanie.

– Dlaczego, mamusiu?

– Ponieważ Nick zaraz wraca i się spieszymy. – Nawet gdyby Amelia miała się zsiusiać w majtki, nie pójda do domu Wendy Cavaletto i nie poproszą o skorzystanie z toalety.

– Ale mamusiu – jęknęła Amelia.

– Patrz, Nick już idzie – rzekła jej matka z ulgą, widząc, jak Nick idzie pospiesznie w ich stronę.

– Przepraszam, że tak długo. Wendy chciała, bym zerknął na komputer Jenny.

Stella uśmiechnęła się, ale jej palce zacisnęły się na brzegu fotela.

– Miły był weekend, Amelio? – zapytał.

– Tak – odparła, obracając w palcach swój nowy długopis z dziewczyną hula.

Przynajmniej komuś się podobał, pomyślała ponuro Stella.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Kenny był mocno przejęty stylizowaniem pierwszego wielkiego pokazu Joan.

– Widzę wizerunek w stylu Indianki – oświadczył. – Gładkie, czarne włosy z połyskiem, warkocze i długie kucyki, i makijaż niczym u księżniczki Apaczów.

Holly, która miała za zadanie zapisywać twórcze uwagi Kennyego, wszystko posłusznie notowała.

– Tylko nie za wymyślnie – poprosiła Joan, która siedziała po turecku na podłodze i układała polaroidowe zdjęcia swej kolekcji, próbując zdecydować, w jakiej je pokaże kolejności. Każdy absolwent mógł zaprezentować od ośmiu do dwunastu zestawów i Joan, która pracowała naprawdę intensywnie, postanowiła pójść na maksa, co oznaczało dwanaście modelek i dwanaście różnych, lecz spójnych wizerunków. – Nie chcę odwracać uwagi od ubrań – upierała się Joan. – W tym pokazie nie chodzi o fryzury ani makijaż. Zjawi się na nim kilku najbardziej wpływowych przedstawicieli świata mody. Chcę, by dostrzegli moje ciuchy, chcę ich chwycić za jaja.

Holly zachichotała. Kenny kiwnął głową.

– Absolutnie się z tobą zgadzam. Ale makijaż i fryzury muszą być mocno zaakcentowane. – Wziął do ręki jedno ze zdjęć. – Bardzo podoba mi się twój nowy wizerunek – stwierdził. – Martwiłem się już tymi odjazdowymi T-shirtami z graffiti i perłami, ponieważ tego typu rzeczy nie utrzymują się zbyt długo.

Podał zdjęcie Holly, która była równie zdziwiona, widząc ten dowód nowego kierunku Joan. Niektóre ubrania i oczywiście miały charakterystyczne dla niej wzory graffiti, ale siedemdziesiąt procent kolekcji stanowiły stroje nienagannie skrojone i nadające się do noszenia: począwszy od zwiewnych sukienek z szyfonu, skończywszy zaś na dwóch garniturach z niezwykle interesującymi podszewkami w stylu Joan i ręcznie obciążanymi guzikami.

– Wiem – odparła Joan. – Te T-shirty i rzeczy z graffiti I do dodatkowej kolekcji. Tak właśnie zarabia się pieniądze. Joan nie na darmo studiowała awangardową modę. – Ale najważniejszy jest krój. Jeśli znana będę jedynie z graffiti, wtedy pojawi się ktoś inny z czymś lepszym i słuch po mnie zaginie. Potrzebuję czegoś ponadczasowego, a to oznacza prawdziwe projekty dla prawdziwych ludzi.

– Niesamowicie podobają mi się te nowe rzeczy – oświadczyła z entuzjazmem Holly. – Włożyłabym na siebie praktycznie wszystko z tej kolekcji.

– To dobrze, gdyż chcę, byś była modelką podczas pokazu – odparła z roztargnieniem Joan.

Holly otworzyła szeroko usta.

– Ja? Nie bądź niemądra. Macie modelki z agencji. College za nie płaci, no nie?

– Ciebie też chcę – upierała się Joan.

– Nie mogę – jęknęła Holly. – Nie mogę się wystroić i paradować przed tymi wszystkimi ludźmi. – Prędeż by umarła. Absolutnie nie było mowy, by to zrobiła, choćby nie wiadomo jak mocno błagała ją Joan.

– Proszę, Holly. Moja matka także będzie modelką. Tematem mojego pokazu są prawdziwi ludzie. Na modelkach o wzroście metr osiemdziesiąt i worek będzie dobrze wyglądał, ale ja chcę pokazać, że moje ubrania pasują na wszystkich. Proszę, powiedz, że to zrobisz.

– Tak, Holls, będziesz ośniewająca – wtrącił Kenny.

– Co włoży?

– Suknię ślubną.

– Suknię ślubną? – powtórzyła słabo Holly.

– Suknię ślubną walkirii – uzupełniła litościwie Joan, pokazując Kenny'emu i Holly właściwe zdjęcie, by mogli ją podziwiać. – Nie pokazywałam wam jej wcześniej. To niespodzianka.

– Święta racja – powiedziała Holly.

Sukienkę sfotografowano na manekinie krawieckim i wyglądała nadzwyczajnie: biały szyfon z plisowaną górą, ręcznie wyszywaną drobnymi perłkami. Perłki te tworzyły zawijasy, które Holly przypominały zdobienia z łodzi wikingów. Do kawałka materiału na ramieniu doszyty był zwiewny tren, na którym ponaszywano srebrne koraliki.

– Mam też coś na głowę: jarmułkę wyszywaną koralikami. Musiałabyś zapleść włosy w długi warkocz albo może i dwa – rzekła Joan.

– Fantastyczna – mruknął Kenny.

– Jest prześliczna, Joan – stwierdziła Holly – ale odpowiedź nadal brzmi „nie”.  
– Ej, no daj spokój.  
– Naprawdę mi przykro, Joan, nie mogę tego zrobić. – Holly wyglądała na skruszoną. – Kocham cię i zrobiłabym dla ciebie wszystko, ale nie to.  
– Musisz jedynie przejść się po wybiegu – zaprotestowała Joan. – Będziesz wyglądać niesamowicie, myślałam o tobie, gdy projektowałam tę suknię. Musi włożyć ją ktoś kto jest wysoki, ciemnowłosa i...  
– ... duży – wyrwało się Holly.  
Joan i Kenny popatrzyli na nią z irytacją.  
– Nie miałam zamiaru powiedzieć „duży” – oświadczyła Joan. – Nie jesteś duża. Jesteś normalną kobietą. Prawdę mówiąc, lepiej niż normalną. Większość normalnych kobiet gotowa by była zabić za talię taką, jak twoja. Ja w ogóle nie mam talii – dodała, przyglądając się sobie. – Żadnego wcięcia...  
– Nie mogę – powtórzyła Holly.  
– Nie musisz – rzekł Kenny, posyłając Joan groźne spojrzenie. – Nie zmuszaj jej, Joan.  
– To był tylko taki pomysł – burknęła. Popatrzyła na zdjęcie. – Mogę poprosić moją kuzynkę. Jest wysoka, ale ma krótkie włosy.  
– Załatwię perukę – zaproponował Kenny.  
Holly uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Może i jakoś udawało jej się przezwycięzać koszmarną nieśmiałość, ale maszerowanie po wybiegu to naprawdę o krok za daleko.

\*\*\*

Za kulisami pokazu mody tegorocznych absolwentów college'u w ogóle nie było tak, jak Holly wcześniej sobie wyobrażała. Oczami wyobraźni widziała piękne kobiety piszczące z radości i rozdające całusy, i przechadzające się w oszałamiających strojach. Tutaj jednak panowała atmosfera pełnej determinacji efektywności i program był tak napięty, że brakowało czasu na takie głupstwa jak całusy i przechadzanie się.

Pomieszczenie przedziały stojaki ze strojami przykrytymi foliowymi workami, a obok każdego stojaka stali przyjaciele/styliści projektantów z przygotowanymi listami kontrolnymi. Na każdym stroju wisiała kartka z imieniem modelki, pod nim zaś stały odpowiednie buty i dodatki.

Same modelki znajdowały się w części z lustrami na środku pomieszczenia. Niektóre miały na głowie duże wałki, inne siedziały na krzesłach do robienia makijażu, ich nieskazitelne twarze były nieruchome niczym piękne, puste płótna gotowe do pomalowania przez wizażystkę.

Wszędzie towarzyszyły im butelki z wodą mineralną i paczki papierosów.

Joan była bardzo spokojna dzięki dużej wódce z sokiem pomarańczowym od Fiony.

Jej matka i kuzynka, Lizzie, nie były spokojne. W obliczu multum zawodowych modelek w cielistych stringach i z żebrami wystającymi niczym u szlachetnych chartów, pani Ursula Atwood i Lizzie miały ochotę wycofać się z modelingu.

– Nie możesz – upierała się Joan, której do głowy by nie przyszło, że któraś z jej krewnych mogłaby ją opuścić w potrzebie.

– Mogę – krzyknęła jej matka. – Myślałam, że tu będą normalni ludzie, a nie same modelki i my dwie jako zabłąkane słonice. – Ursula zacisnęła mocno poły frotowego szlafroka w geście, który sugerował, że nie da go z siebie ściągnąć.

Lizzie, która miała na sobie wściekle zielone kimono Joan, kiwnęła głową.

– Ja też się wypisuję – powiedziała, odważniejsza dzięki temu, że postawiła się ciocia Ursula. Joan nie wytłumaczyła jej tego właściwie. Sądziła, że jest to jakaś wesola, rodzinna impreza, gdzie życzliwi krewni pomagają, maszerując po szkolnej auli, tak jak na charytatywnym pokazie mody, na którym Lizzie kiedyś była, gdzie nikomu nie przeszkadzało, że jedna z modelek-amatorek przewróciła się w szpilkach. Tymczasem znalazła się na profesjonalnej imprezie z prawdziwymi modelkami, prawdziwymi fryzjerami i prawdziwą publicznością – i

dwie normalne osoby pasowały tu jak pięść do nosa. Lizzie nie miała zamiaru paradować niczym Dwutonowa Tessie przed tymi wszystkimi chudymi, pięknymi ludźmi.

– Do rozpoczęcia zostało tylko pół godziny – powiedział Kenny, który niepokoił się pokazem. Joan może i była znieczulona wódką, ale on, jako profesjonalista, przed końcem imprezy nawet nie śmiał tknąć niczego poza wodą niegazowaną. I widział, że Lizzie i Ursula są śmiertelnie poważne w kwestii wycofania się z udziału w pokazie, co oznaczało, że on i Joan mają duży problem.

– Mamo – rzekła Joan – włoż suknię. Wyglądasz w niej ślicznie.

– Nie – upierała się Ursula. – Nie włożę. Idę usiąść obok twojego ojca. Nie będę robić tu z siebie widowiska. Zgodziłam się tylko dlatego, że obiecałaś, iż poznam tego uroczego Merrilla Andersona z telewizji.

Zanurkowała za stojak z ubraniami i chwilę później wyłoniła się, ubrana we własną bluzkę i plisowaną spódnicę.

– Mamo! – zawołała Joan, do której wreszcie dotarła powaga sytuacji. – Chyba nie mówisz poważnie?

– Jak najbardziej poważnie. – Z tymi słowami Ursula pomaszzerowała w stronę drzwi, które prowadziły na widownię.

– Idź za nią – Kenny syknął do Holly. – Przekonaj, by zmieniła zdanie. Namów ją.

Holly pobiegła.

– Pani Atwood! – zawołała, uchylając się przed ludźmi i stojakami z ciuchami.

Ursula przeszła przez drzwi i z szybkością sprintera znalazła się na widowni. Holly popędziła za nią i dogoniła ją dopiero, gdy usiadła obok ojca Joan.

– Holly, skarbie, nie mogę tego zrobić – oświadczyła Ursula. – Wiem, że będziesz na mnie zła, ale na pewno są modelki, które mogą mnie zastąpić. Nie mogę tego zrobić, naprawdę nie mogę.

– Ja też nie – odezwała się Lizzie, opadając na krzesło obok.

– Ale nie ma nikogo, kto by zajął wasze miejsce – błagała Holly.

– W takim razie ty to zrób! – oświadczyła płacząco Lizzie.

Nie miało sensu mówić niczego więcej. Czując, że zawiodła na całej linii, Holly udała się z powrotem w stronę drzwi za kulisy.

– Hejka, Holly – odezwał się jakiś głos.

To był Tom. Siedział z tyłu, a obok niego Caroline. Aby uczcić rangę imprezy, Tom miał na sobie kaszmirowy sweter, który kupili mu na urodziny. Caroline wyglądała tak, jakby z prędkością huraganu szalała po designerskim dziale Lee's, kupiła każdą drogą, markową rzecz, jaką udało jej się znaleźć, a teraz włożyła wszystko naraz. Jej zestaw składał się z trenczu Burberry, okularów przeciwsłonecznych Chloe, wsuniętych na czubek głowy niczym opaska, wielkiego paska Miu Miu i marynarki Moschino w krzykliwych kolorach. Wszystko to razem wyglądało nieco komicznie.

Kenny osobiście nadzorował dobór stroju Holly, który był standardowo czarny. Wełniana spódnica od Josepha, szyfonowa bluzka z Whistles i czółenka LK Bennetta. Przy niej Caroline wyglądała jak kosztownie udekorowana choinka.

– Witaj, Tom, cześć, Caroline – rzekła Holly.

– Idziesz za kulisy – westchnęła Caroline. – To musi być fascynujące. Mówiłam Joan, że bardzo bym chciała zajrzeć za kulisy, po to tylko, by zobaczyć, jak tam jest, ale ona odparła, że ze względów bezpieczeństwa mogą przebywać tam wyłącznie projektanci i ich asystenci.

Holly pokiwała poważnie głową, słysząc to gigantyczne kłamstwo. Za kulisami przemknęło co najmniej dziesięciu przyjaciół Joan i Kenny'ego, którzy życzyli powodzenia i piszczeleli z zachwytu na widok ciuchów. Joan wciąż nie wybaczyła Caroline tego żartu o trzech współlokatorach, próbujących bawić się w Przyjaciół.

Holly przysiadła na krześle przed nimi.

– Wszystko w porządku? – zapytał Tom. – Dopiero co widziałem, jak matka Joan wybiegła zza kulis. Nie będzie modelką?

– Nerwy przed pokazem – odparła Holly, nie chcąc być niełojalna wobec Joan. Źle się jednak poczuła z tym, że nie mówi Tomowi prawdy. Był jej przyjacielem, ale nie chciała, by Caroline się dowiedziała, że coś jest nie tak.

– Tom mówi, że poproszono cię o to, byś była modelką, ale ty odmówiłaś – kontynuowała Caroline. – Chyba jesteś szalona. Ja strasznie bym chciała pojawić się na wybiegu.

Holly wpatrywała się w nią. Caroline była naprawdę koszmarna. Jej słownictwo ograniczało się do jednego słowa: ja.

– Bycie w centrum uwagi nie jest w moim stylu – odparła lekko Holly.

– No to opowiedz mi teraz o tej imprezie po pokazie.

Caroline była rzeczowa. Tak naprawdę nie interesowała jej opinia Holly. – Odbywa się w Happy Bunny Bar na Clarendon Street, zgadza się?

Holly kiwnęła głową i wstała.

– Lepiej tam wróć.

– Bo widzisz – przerwała jej natarczywie Caroline. – Chcę mieć pewność, że wszyscy tam będą, gdyż chcemy dzisiaj coś oznajmić.

– Oznajmić? – zapytała Holly.

– Nie teraz, Caro – wtrącił z zażenowaniem Tom.

– Ależ teraz. Nie potrafię zachować tego dla siebie! – Caroline uśmiechnęła się promiennie do Holly i wyciągnęła lewą dłoń, na której połyskiwał maleńki szafir, pasujący do jej drobnych palców. W pierwszej chwili Holly miała ochotę krzyknąć ze zdumienia, ale zdusiła w sobie ten odruch i zamiast tego powiedziała:

– Ooch, jaki śliczny.

– Wiedziałam, że się ucieszysz – rzekła Caroline, wyraźnie z siebie zadowolona. Rozcapierzyła palce i podziwiała pierścionek.

Holly przyglądała się jej, zastanawiając się, jak ktoś tak porządny jak Tom mógł chcieć się zaręczyć z Caroline. Miłość rzeczywiście jest ślepa.

– Gratuluję wam obojgu – rzekła, cofając się. Nie mogła uścisnąć Caroline, po prostu nie mogła. To byłoby czystą hipokryzją. – Muszę lecieć.

Pomknęła za kulisy, gdzie Kenny i Joan rwali włosy z głów z powodu braku wysokich, normalnie zbudowanych kobiet, które mogłyby włożyć dwa podstawowe stroje z kolekcji Joan.

– Na Ivance ta suknia ślubna wygląda jak szmata! – krzyknęła Joan, gdy próbowała upiąć suknię walkirii na bladej i wątłej dziewczynie z mahoniowymi warkoczami i twarzą anioła. Ivanka wyglądała jak dziecko w sukni starszej siostry.

– Cały pokaz szlag trafił. – Joan była przeraźliwie smutna.

– Będzie na mnie pasować, prawda? – zapytała Holly.

Joan i Kenny podnieśli głowy niczym psy na dźwięk otwieracza do puszek.

– Zdejmuj – zarządził Kenny.

W ciągu następnych minut wokół Holly rozgrywało się pełne gracji przedstawienie baletowe. Fryzjer przyglądał jej włosy i zaplótł w warkocze, gdy tymczasem Joan dokonywała pospiesznych poprawek przy sukni ślubnej, ponieważ Lizzie nie była tak szczupła jak Holly. Wizazystka stanęła na krześle i zajęła się oczami, wykonując sobolowymi pędzelkami lekkie jak piórko ruchy, dzięki którym ciemne oczy Holly wydawały się ogromne i egzotycznie wschodnie. Gdy tylko skończyła, Joan rozpięła suknię ślubną i Kenny podał jej suknię wieczorową, którą miała włożyć Ursula. Była za duża.

– Nic się nie da zrobić – powiedziała bezradnie Joan.

– Ublągaj matkę – oświadczył Kenny.

Pojawił się gospodarz programu, przystojny piosenkarz, który niczym żaba błotna wypierał się tego, że jest gejem. Merrill Anderson miał czterdzieści lat, wyglądał na trzydzieści dzięki tak dużym ilościom botoxu, że od dziesięciu lat się nie uśmiechał, i miał wielkie powodzenie u pań, nieświadomych kpin pod jego adresem, nie schodzących z rubryk towarzyskich.

Kenny znał Merrilla ze sklepu. Nikt nie robił tyle zamieszania nad krojem marynarki albo kształtem kołnierzyka koszuli co on. Kenny zatrzepotał rękami.

– Merrill, wyglądasz bosko. Mamy tyci, tycuci problem i ty byłąs w stanie nam pomóc. Jedna z naszych modelek ma wątpliwości. Czy mógłbyś ją namówić do wyjścia na wybieg?

\*\*\*

Dziesięć minut przed rozpoczęciem pokazu pojawił się gwar niczym płonący powoli ogień. Najpierw z głośników zaczęła pulsować muzyka. Nagle za kulisami wszystko ożyło. Zapalono ostatnie marlboro, serca zaczęły szybko bić i Holly, ubrana w suknię ślubną i bojąca się czegokolwiek dotykać, na wypadek, gdyby coś miała na sobie wylać, czuła, jak jej całe ciało trzęsie się ze zdenerwowania. Przyływ odwagi, który ją ogarnął po wiadomości, że Caroline i Tom się zaręczyli, nieco malał. Jednak nie mogła się teraz wycofać.

– Ten Merrill to uroczy mężczyzna – westchnęła Ursula, ubrana w granatowo-srebrną suknię wieczorową. Łyknęła wódki dla kurażu. – Gdybym nie była szczęśliwą mężatką, chętnie polecałabym na niego. Powiedział mi, że woli kobiety dojrzałe, wiecie?

– Pani Atwood, czy mogę się trochę od pani napić? – zapytała Holly.

Łęk przed rozlaniem czegoś został wyparty przez łęk przed wyjściem na wybieg.

– Pewnie, proszę bardzo – odparła Ursula, podając jej pełną szklankę, która stała na stoliku z przyborami do makijażu. – To szklanka Joan. Ona dość już wypila.

Holly wypila szybko całą szklankę, nie rozlewając ani kropli pomimo drżących dłoni.

Obok niej przemknęła Fiona, której włosy sterczały niczym szczotka od ciągłego przeczesywania palcami.

– Vic tu jest i powiedziałaś mu, że będziesz modelką i rzekła do Holly. – Życzy ci powodzenia!

Głośne brawa powiedziały im, że Merrill właśnie pojawił się na wybiegu.

Wszyscy za kulisami wpatrywali się w wielki monitor, na którym transmitowano imprezę. Wydział komunikacji college'u Joan miał ubaw, produkując i filmując ten pokaz. Merrill nawijał o nagrodach dla trzech najlepszych projektantów, wychwalał sponsorów pokazu i mozolnie dziękował sędziom.

– Otrzymanie tej nagrody będzie początkiem wspaniałej kariery dla jednego szczęśliwego projektanta, gwarantowanym jednorocznym kontraktem w Walton Street Design Centre. Prawdę powiedziawszy – Merrill uśmiechnął się do żeńskiej części widowni – ten wieczór może się okazać najważniejszym w życiu naszych projektantów!

– Czy on próbuje nas wszystkich jeszcze bardziej zdenerwować? – jęknęła Joan.

Holly ucisnęła dłoń przyjaciółki. Merrill odczytał nazwisko pierwszego projektanta i pokaz się rozpoczął.

Na wybieg wyszła pierwsza modelka i Holly przelknęła ślinę, wiedząc, że niedługo, bardzo niedługo i ona się tam znajdzie. Po trzydziestu minutach oklasków i ekspresowego przebierania się modelki odziane były w stroje Joan. Holly uważała, że wszystkie wyglądają niesamowicie, zapominając na chwilę o tym, co ją czeka.

Jako osoba prezentująca suknię ślubną miała wyjść ostatnia.

– Do dna – uśmiechnęła się szeroko Ursula, przepływając obok niej w wieczorowej sukni, gotowa stanąć twarzą w twarz z publicznością po tym, jak podrywał ją gospodarz pokazu i wlała w siebie mnóstwo wódki.

– A teraz kolekcja Joan Atwood – oznajmił Merrill.

Na wybiegu pojawiła się pierwsza modelka.

Zbliżała się kolej Holly. Wyszła przedostatnia modelka i Holly czekała przy wyjściu na wybieg, a na jej plecach spoczywała dłoń koordynatora pokazu.

– Idź – rozkazał koordynator, popychając ją lekko. Przerazona Holly wyszła, na początku chwiejnie, patrząc na oślep ponad morzem twarzy. Wtedy to się stało: zdała sobie sprawę ze zbiorowej życzliwości publiczności. W tłumie byli jej przyjaciele i przyjaciele Joan i Kenyego, wszyscy jej życzliwi i trzymający kciuki, by przeszła szczęśliwie przez wybieg. Pragnęli, by Holly i Joan dobrze poszło. Siła ich życzliwości była wręcz namacalna. Holly poczuła, jak tak życzliwość po niej spływa, uspokaja i dodaje pewności siebie.

Nagle poczuła się zwinna i lekka jak piórko. Kołysząc biodrami w rytm wybranej przez Joan piosenki Shakiry przeszła wolnym krokiem po wybiegu, a w kącikach jej ust igrał uśmiech. Ujęła spódnicę jedną ręką i poruszyła ją delikatnie, by mieć pewność, że wszyscy ujrzą całe piękno tej pysznej kreacji. Robiła to dla Joan, dla swej kochanej przyjaciółki.

Jej uśmiech stał się szerszy, gdy dotarła do sędziów i zatrzymała się, patrząc pewnie na publiczność. Mieli zobaczyć, że ona dzięki tej sukience czuje się cudownie. Była panną młodą, szczęśliwą w tym wyjątkowym dniu. Następnie wykonała zamaszty ruch nadgarstkiem i zakołysała biodrami, odwracając się i pozwalając, by suknia falowała za nią. Dumnym krokiem doszła do końca wybiegu, świadoma tego, że jej każdy krok musi być idealny, jeśli ma pokazać wszystkie zalety tej sukni. Na końcu posłała przez ramię jeszcze jeden triumfujący uśmiech panny młodej, a następnie zniknęła.

– Holly, byłaś niesamowita! – Joan pierwsza ją uściskała, a zaraz potem Kenny, który był wyraźnie wzruszony.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałem! – zawołał. – Jesteś urodzoną modelką! Znam cię od prawie czterech lat, a miałem wrażenie, że oglądam piękną nieznajomą. Nie miałem pojęcia, że masz to w sobie!

Śmiała się i mówiła im, że była przerażona, ale że potem było już dobrze i nagle okazało się, że nie ma czasu, ponieważ na wybiegu musiała się teraz pojawić cała kolekcja Joan. Modelki jedna po drugiej wychodziły zza kulis i gdy mijały Holly, uśmiechały się do niej i unosiły kciuki w górę, ponieważ okazała się profesjonalistką, była jedną z nich.

– Dobra robota – uśmiechnęła się Ivanka, przepływając obok Holly.

– Byłaś świetna – dodała inna.

– Jesteś następna – powiedział koordynator, ale tym razem Holly nie potrzebowała popchnięcia. Wyszła na końcu olśniewającej procesji. Pierwsza modelka dotarła do końca wybiegu i zatrzymała się, klaszcząc i czekając. Holly stała triumfująco na końcu. Po raz pierwszy w życiu Holly Miller czuła, że ona także jest zachwycająca. Wtedy zza kulis wyłoniła się Joan i chwyciła ją za rękę, prowadząc ją wzdłuż rzędu modelek. Rozległy się głośne brawa dla projektantki tej fantastycznej kolekcji. Publiczność szalała. Holly pomyślała, że Joan musi wygrać.

W tłumie dojrzała znajome twarze. Widziała klaszczącą z całych sił rodzinę Joan, widziała Vica, stojącego i wykrzykującego gratulacje, widziała z tyłu głowę Toma i on także niestrudzenie klaskał. Ogarnęła ją duma, że jest częścią tego cudownego wieczoru.

\*\*\*

Klub Happy Bunny pękał w szwach. Gdy tylko Joan weszła do środka, otoczyli ją znajomi, którzy ściskali ją i mówili, że są uszczęśliwieni jej wygraną. W jednej ręce dzierżyła trofeum ze szkła, w drugiej zaś butelkę z szybko znikającym szampanem. Vic prowadził Holly przez tłum, nie opuszczając jej ani na chwilę. Kilkoro ludzi rozpoznało Holly i ją także ściskało.

– Ta suknia była bajeczna – wdychali. – Byłaś gwiazdą pokazu, ale teraz to nie będzie nas stać na ciuchy Joan.

– Zatrzymasz tę sukienkę? – zapytał ktoś inny.

Holly roześmiała się.

– Nie – odparła.

– Tak, zatrzyma ją – oświadczył z dumą Vic. – Wychodzi za mnie i włoży wtedy tę suknię. A te wszystkie inne dziewczyny będą druhami, co jak sądzę zadowolili tego, kogo wybiorę sobie na drużbę.

Holly roześmiała się jeszcze głośniej.

Ojciec Joan, Andy, znajdował się przy barze z Ursulą, która nadal miała na sobie granatową suknię wieczorową.

– Jestem matką projektantki, mogę ją więc zatrzymać – oznajmiała wszystkim.

Ojciec Joan zamówił szampana i Ursula przerwała mu, mówiąc barmanowi, że chcą dużą butelkę.

– Tę jak jej tam butelkę – powiedziała lekko niewyraźnie, pijana własnym sukcesem i wódką z sokiem pomarańczowym, czterokrotnie silniejszą niż normalnie, którą wcześniej serwowała Fiona.

– Chyba chodzi jej o magnum – wyjaśnił Andy.

– Magnum! Właśnie tak – odparła radośnie Ursula.

– Boże, uwielbiałam *Magnum*. Ach, ten Tom Selleck.

– Nie prosz już więcej matki, by była modelką – błagał Andy swą córkę. – Wzdrygam się na samą myśl o tym, jak będą wyglądać zdjęcia.

Pojawiło się wielu fotografów z prasy, którzy chcieli robić zdjęcia zwycięskiej projektantce i jej kreacjom. Mając zazwyczaj do czynienia z pięknymi, smukłymi modelkami, poczuli się zafascynowani prawdziwym, zmysłowym urokiem pełnych kształtów Holly. Joan upierała się, by fotografowano ją tylko w towarzystwie Holly i matki. Ta szansa na zyskanie sławy uderzyła Ursuli do głowy.

Butelka magnum zniknęła niczym lufka. Vicowi udało się zdobyć dwa kieliszki dla siebie i Holly.

– Skoro jesteś już sławna, to pewnie niedługo odleczysz do Hollywood – zażartował.

– Mam już zarezerwowane bilety i w ogóle – odparła, podtrzymując żartobliwy ton.

– Czy to oznacza, że już się nie będziemy umawiać? – Vic wyglądał teraz poważnie.

Holly uznała, że najlepsze będzie podejście otwarte i bez troskie.

– Vic – rzekła pogodnie – my się nie umawiamy. Jesteśmy przyjaciółmi, pamiętasz?

Zgodnie z danym jej słowem Vic sprawiał wrażenie zadowolonego z tego, że ich wyjście do chińskiej restauracji przed kilkoma dniami przebiegło na przyjacielskiej stopie. Holly była wtedy przygotowana na to, by mu powiedzieć, że chce utrzymać to w taki sposób, na wypadek gdyby chciał posunąć się dalej, ale on nie odezwał się na ten temat ani słowem i był naprawdę świetnym towarzyszem.

– Lubię być twoim przyjacielem, Holly – rzekł teraz Vic, przybierając ton poważny. – Ale chciałbym być kimś więcej...

Holly poczuła, że czerwienieje, co było pierwszą oznaką zakłopotania. Co ona mu miała powiedzieć?

– Byłaś dzisiaj rewelacyjna. Myślałaś kiedyś o byciu modelką?

Obok nich stała wysoka, ekscentrycznie wyglądająca kobieta z włosami pomalowanymi na kolor malinowy. Wpatrywała się intensywnie w Holly.

– Cassiopeia Alexander – powiedziała nieznaną. Zadzwoń do całego mnóstwa bransoletek na jej nadgarstkach. – Dyrektorka działu mody w „Heavenly Style Plus”. Jesteśmy nowi na rynku, to magazyn dla puszystych pań. Jesteś trochę chuda jak dla nas, specjalizujemy się od rozmiaru czterdzieści cztery w górę, ale w twoim przypadku moglibyśmy uczynić wyjątek. Te krągłości są teraz w modzie, a na zdjęciach najlepiej wychodzi porządna czterdziestka do czterdziestu dwóch.

Zarówno Holly, jak i Vic mieli skonsternowane miny. To przez te malinowe włosy. Holly zastanawiała się, co za fryzjer mógł zrobić coś takiego, a Vic – czy to jest trujące.

– Nie?

– Cóż, prawdopodobnie nie – odparła Holly, jeszcze bardziej się rumieniąc. – Dzisiejszy wieczór był wyjątkiem, nie jestem zbyt dobra, jeśli chodzi o prezentowanie się przed obcymi.

– Bycie fotomodelką nie polega na prezentowaniu się przed obcymi – nie dawała za wygraną Cassiopeia. – W pomieszczeniu znajduje się maksymalnie sześć osób. Spodobałoby ci się, jesteś urodzoną modelką... Jestem pewna, że odniosłaś sukces – oświadczyła. – Proszę, oto moja wizytówka. Zadzwoń do mnie, jeśli zmienisz zdanie. – I odpłynęła.

– Ależ włosy – rzekł ze zdumieniem Vic.

– Wiem – wyszeptła Holly. – Myślisz, że ona jest prawdziwa?

Razem obejrzelili uważnie kosztownie wyglądającą kremową wizytówkę: po jednej stronie miała czarny druk, a po drugiej złoty.

– Mnie się wydaje okej – stwierdził Vic.

– Powiedzieliśmy wszystkim, że się zaręczyliśmy! – zapiszczała Caroline, podskakując za Holly. Za nią lojalnie podążył Tom. – Nie chcieli mi pozwolić skorzystać z klubowego mikrofonu, więc właśnie sama wszystkim powiedziałam!

– Powiedziałaś co? – zapytał Vic.

– Że jesteśmy zaręczeni! – Dłoń Caroline wystrzeliła w górę w odruchu Pawiowa, a Vic posłusznie podziwiał pierścioneł.

– Kiedy więc nastąpi ten wielki dzień? – zapytał.

Caroline zaczęła mu opowiadać.

– Byłaś świetna – powiedział Tom półgłosem do Holly.

– Dzięki. – Wpatrywała się w podłogę. Woląa już to niż patrzeć mu prosto w twarz.

– Jak to możliwe, że to zrobiłaś? Sądziłem, że za żadne skarby nie wyjdiesz na wybieg.

Holly przebiegła myślami po wszystkich możliwych odpowiedziach, ponieważ stwierdzenie, że zdopingował ją szok, jakiego doznała na wieść o jego zaręczynach, zabrzmiałoby doprawdy dziwnie.

– Eee... Joan mnie potrzebowała – mruknęła.

– Jesteś dobrą przyjaciółką, Holly. – Ujął jej dłoń. Holly oderwała spojrzenie od swych butów i popatrzyła na poważną, życzliwą twarz Toma. To tak, jakby próbował jej coś powiedzieć, ale co? Wtedy zrozumiała. Wiadomość Toma brzmiała z pewnością mniej więcej tak: „Przykro mi, że ci się podobam, ale ty nie podobasz się mnie. Proszę, nie bądź smutna”.

Byłoby dla niej zbyt żenujące, gdyby Tom tak myślał. Zmusiła się, by podnieść wysoko głowę. Skoro potrafiła paradować po wybiegu podczas pokazu mody, potrafi także stawić czoło tej porażce.

– Strasznie się cieszę, że się zaręczyliście – powiedziała, starając się, by jej oczy błyszczały, nie zdradzając przygnębienia. – Zaslugujesz na szczęście.

Nie czekała na odpowiedź, tylko szybko wyrwała swoją dłoń z jego i klepnęła Vica w ramię.

– Powinniśmy się zbierać, Vic. Na tę drugą imprezę... – dodała znaczącym tonem.

– Oczywiście – odparł, natychmiast pojmując aluzję. – Druga impreza. Tak, musimy lecieć.

Holly obdarzyła Caroline swym najlepszym uśmiechem modelki.

– Mam nadzieję, że spędzicie przyjemny wieczór – rzekła. – I jeszcze raz gratulacje.

Vic był wyższy od Holly i razem tworzyli olśniewającą parę, gdy przechodzili przez klub, zatrzymując się tylko po to, by pożegnać się z Joan, jej rodziną i Kennym.

– Jesteś moją najlepszą kumpelą – sapnęła podpitym głosem Joan, gdy chwyciła Holly i ją przytuliła. – I ty też – dodała, dostrzegając kątem oka Kenny'ego i przyciągając go do kółka.

Holly i Kenny zaśmiali się, gdy Joan jeszcze mocniej ich do siebie przytuliła.

– Przyjaciele na zawsze – mruknęła Joan.

– No pewnie – odparła Holly.

– Holly! Tu jesteś – odezwał się podekscytowany głos. Ich trójka się rozdzieliła i ku totalnemu zaskoczeniu Holly okazało się, że osobą, która tak bardzo ucieszyła się na jej widok, jest Pia z pracy.

– Holly – powtórzyła z podnieceniem Pia, tak jakby były dobrymi przyjaciółkami, które spotkały się po wielu latach rozłąki, a nie osobami, które mocno się nie lubią. – Cudownie cię widzieć. Byłaś wspaniała. Musisz poznać moich przyjaciół. Uwielbiam twoje kreacje – dodała w stronę Joan, która próbowała odgadnąć, kim jest ten intruz.

Holly modliła się, by tego nie pamiętała. Kiedy Joan po raz ostatni myślała o Pii, obiecała jej śmierć i rekonstrukcję twarzy. Sądząc po minie Kenny'ego, doskonale wiedział, kim jest entuzjastka.

– Cześć – powiedziała Holly, odciągając Pię na bok, nim Kenny zdążył jej zasugerować grzywkę Lindy Evangelisty. – Nie wiedziałam, że tutaj będziesz.

– Nie wiedziałam, że masz zamiar wystąpić jako modelka – odparła bez tchu Pia. – Powinnaś mi była powiedzieć. Ściągnęłabym wszystkich z pracy.

Pojawiła się szopa malinowych włosów i przemykająca obok Cassiopeia ścisnęła mocno ramię Holly.

– Nie zapomnij o mnie, obiecujesz?

– Obiecuję – odparła grzecznie.

– Znasz ją? – zapytała z podziwem Pia. Jak to możliwe, że wcześniej tego nie widziała? Holly Miller znała wszystkich, począwszy od ludzi trzęsących magazynami o modzie, a skończywszy na najnowszych, najgorętszych projektantach w kraju. I pomyśleć, że ona, Pia, popełniła błąd, ignorując Holly, gdy tymczasem mogły zostać najlepszymi przyjaciółkami. – Boże, byłaś oszałamiająca – dodała jeszcze bardziej pochlebny tonem. Przesunęła taksującym spojrzeniem po stroju Holly, dostrzegając zwiewną szyfonową bluzkę, która wyglądała ultraszykownie wraz z bardzo modną wełnianą spódnicą. Bez ciuchów roboczych i otoczona blaskiem wszystkich tych sławnych przyjaciół, Holly wyglądała świetnie. – Wyglądałaś tam niczym zawodowa modelka.

– Tak, to prawda. – Vic wkroczył, by uratować Holly, ponieważ jej spojrzenie mówiło, iż znajduje się w potrzasku.

Vic najlepiej się prezentował przy niskim oświetleniu, kiedy jego egzotyczne cechy wydawały się jeszcze bardziej egzotyczne, zaś półmrok skrywał nieuchronnie u lekarza stażysty worki pod oczami. Dzisiejszego wieczoru miał na sobie swój jedyny garnitur (z Oxfamu w stylu Steve'a McQueen'a) i wyglądał tak, jakby chwilę wcześniej wyszedł leniwie z Concorde'a. Na Pii zrobiło to wielkie wrażenie.

– Przepraszam, ale musimy iść. – Vic wziął Holly za rękę i delikatnie ją odciągnął.

Holly pomachała do Pii, która w odpowiedzi uśmiechnęła się radośnie i zawołała:

– Do zobaczenia jutro!

– Kto to był? – zapytał Vic, któremu jakoś udało się prowadzić ją przez tłum tak, że nie musieli się rozdzielać.

– Kobieta, która normalnie nie zawraca sobie głowy rozmową ze mną – wyjaśniła Holly.

– Gwiazdodymka – stwierdził Vic.

Holly zachichotała, słysząc ten jakże trafny opis Pii.

– Pożegnałaś się już ze wszystkimi?

– Chyba tak. – Holly po raz ostatni odwróciła się, w nadziei, że podbiegnie do niej Tom i oświadczy, że te zaręczyny były jednym wielkim błędem. Tak się jednak nie stało.

Kiedy Holly wychodziła z klubu za rękę z Vikiem, zobaczyła Toma, stojącego na antresoli na tyłach klubu i przyglądającego jej się. Zastanawiała się, o co mu chodzi.

– Cieszę się, że pomyślałaś to samo co i ja o wyjściu, kiedy ta wstrętna Caroline zaczęła nawijać o zaręczynach – stwierdził Vic, nadal trzymając Holly za rękę, gdy szli Clarendon Street. – Panie, uchowaj od takich kobiet. Co jest z tymi kobietami i ślubami?

– Mnie nie pytaj – odparła posępnie Holly.

Vic zaprosił ją do siebie na kieliszek czegoś mocniejszego przed snem.

– Obawiam się, że właściwie to tylko na kawę – dodał z żalem. – Jutro idę na pierwszą zmianę, więc wykorzystałem już swój przydział szampana.

– Okej – rzekła Holly, tak naprawdę nie myśląc o tym. – Kawa wystarczy.

Vic zajmował niewielkie, nowoczesne mieszkanie w centrum miasta. Widać było, że nie mieszka tam długo, ponieważ miniaturowy korytarz był nie tyle urządzony, ile zaśmiecony książkami.

Gdy Vic poszedł zaparzyć kawę, Holly siedziała na sofie, myśląc o Tomie i Caroline.

– Proszę. – Usiadł obok niej i jedną rękę oparł swobodnie na oparciu sofy, zaledwie kilka centymetrów od Holly.

Sączyła kawę, Vic zaś od niechcienia objął jej ramiona. Odstawiła kubek. Wiedziała, co on robi i nie powstrzymywała go. Ośmielony Vic przyciągnął ją bliżej i pocałował. Holly tytułem eksperymentu oddała pocałunek. Miło było się całować. Pocałunek był ciepły i czuły. Pragnęła czuć się kochana i kiedy przysunęła się bliżej, Vic posadził ją sobie na kolanach i zaczął przez ubranie pieścić jej ramiona i piersi, ustami przesuwając delikatnie po twarzy i szyi. Przyglądając się temu jakby z oddali, Holly zastanawiała się, czego ona naprawdę chce. Nie potrafiła powiedzieć, nie teraz, nie po tym wieczorze pełnym wrażeń i kilku wlanych w siebie drinkach.

Vic wprawnie przesuwał dłońmi po jej ciele. Holly zachichotała. Musiał być dobry, jeśli chodzi o ciała, bo każdego dnia widział wiele nagich.

– Co cię tak śmieszy? – zapytał, muskając nosem jej ramię.

– Nic – odparła.

Zanim zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje, była bez bluzki, a Vic bez koszuli. Jego dłonie próbowały odpiąć jej stanik i Holly desperacko zapytała się w myślach czy to, co robi, jest właściwe. Pragnęła uwolnić się od Toma, ale wiedziała, że to nie ust Vica pragnie na swoim ciele, nie jego pieszczot, lecz Toma. Zamknęła oczy i czując się jak najgorsza osoba na świecie, wyobrażała sobie, że trzymający ją w ramionach mężczyzna to Tom.

– Och, Holly – jęknął Vic. – Tak bardzo cię pragnę.

Otworzyła oczy.

– Vic, nie możemy tego zrobić, nie w taki sposób, jeszcze nie. Przepraszam.

Siadając, zdjęła z ławy swoją bluzkę i wciągnęła ją na siebie.

– To ja przepraszam. Nie miałem zamiaru cię obrazić, naprawdę, chodzi po prostu o to, że szaleję za tobą.

– Myślę, że powinnam jechać do domu – powiedziała, wstając.

– Jasne. – Vic także wstał. – Tyle że o tej porze będziesz miała cholerny problem ze znalezieniem taksówki. Możesz tu przenocować, jeśli chcesz. Prześpię się na sofie i rano podrzucę cię do domu. Wcześniej wstaję, pamiętaj.

Miało to dla niej sens.

– Okej, ale to ja będę spać na sofie. Ty masz jutro ratować ludzkie istnienia – zażartowała.

– Zdenerwowałem cię, Holly? – zapytał. – Ja nie chciałem, sądziłem, że pragniesz tego równie mocno jak ja...

– Nie bądź niemądry – odparła. – To się dzieje po prostu zbyt szybko, i tyle.

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, poczuła do siebie nienawiść, że okłamuje Vica. Ale nie mogła się przemóc, by tu i teraz powiedzieć mu prawdę.

Nazajutrz Holly obudziła się, czując się jeszcze gorzej niż przewidywała. Tom był zaręczony z Caroline; dokonał wyboru, i nie ją wybrał. Gdy zaś próbowała wyrzucić go ze swych myśli, zwodziła miłego, przyzwoitego faceta, który nie zasługiwał na to, by zostać wykorzystanym jako rozrywka. Była złym, okropnym człowiekiem i strasznie jej było wstyd za siebie.

Vic podrzucił ją do domu w drodze do pracy. Kiedy za kwadrans szósta rozdzwonił się jego budzik, Holly czuła ulgę, że te dwadzieścia minut pomiędzy budzikiem a wyjściem z domu oznacza, że nie było czasu na żadne poranne rozmowy. Byłoby to dla niej wyjątkowo trudne, bo wiedziała, iż ma Vicowi do powiedzenia tylko jedno.

– Jedynym plusem jechania do pracy o wpół do siódmej jest to, że nie ma korków – powiedział, całując ją na pożegnanie, kiedy zatrzymał samochód przed jej domem.

Holly starała się oddać pocałunek, ale czyniąc to, poczuła się jak zdrajczyni. Jeśli zeszyły wieczór coś udowodnił, to jedynie to, że uczucia, które żywiła względem Vica, nigdy nie przekształcały się w miłość. Wstyd jej było z powodu tego, jak go potraktowała.

– Pogadamy później – rzuciła pogodnie, wysiadając z samochodu. Wbiegła po schodkach do drzwi wejściowych, następnie odwróciła się i pomachała. Vic stał i czekał, aż wejdzie do środka. Zamknąwszy cicho drzwi, Holly oparła się o nie i zamknęła oczy. Dlaczego to zrobiła? Dlaczego?

Udała się na drugie piętro i już-już miała wsunąć klucz do zamka, kiedy na schodach usłyszała kroki.

Klucz był do góry nogami i pospiesznie go przekręciła, wsunęła i pchnęła...

– Cześć, Holly – powiedziała radośnie Caroline. – Ależ to musiała być impreza, skoro wracasz do domu dopiero teraz, ty niegrzeczna dziewczynko.

Holly odwróciła się. Caroline, ubrana w jasnoniebieski welurowy dres i ostentacyjnie rozciągająca mięśnie łydek, była wyraźnie gotowa do joggingu. Za nią zszedł Tom, którego Holly nigdy nie widziała biegającego. Wyglądał na skrupowanego. Jeśli Caroline tworzyła perfekcyjną całość, z jasnymi włosami związanymi w dziewczęce kucyki, Tom wyglądał

niechlujnie w rozciągniętym T-shircie i spodniach od dresu, które wyglądały, jakby na co dzień używał ich jako ściereki do naczyń.

– Cześć, Tom. – Nie zarumieni się. Miała prawo nie wracać do domu na noc, jeśli przyszła jej na to ochota. Była młoda i wolna. I tak właśnie im powie! – Taa – powiedziała, udając wyczerpanie. – To była supernoc. Impreza też była udana – dodała.

– My wcześniej wyszliśmy i obejrzelśmy *Moulin Rouge*. – Słodka minka Caroline sugerowała, że takiego typu zachowanie pary było znacznie lepsze od szlajania się po mieście singielki.

Holly pomyślała o tym, jak bardzo wolałaby siedzieć przytulona do Toma i oglądać film.

– Fajnie. – Obdarzyła ich uśmiechem, który Hermesetas\* mogliby sprzedawać na kilogramy.

\* Firma produkująca słodzik spożywczy.

Holly zamknęła za sobą drzwi i po raz drugi w ciągu kilku zaledwie chwil zapytała samą siebie, dlaczego zrobiła coś tak niesamowicie głupiego. Powinna była nic nie odpowiedzieć albo wyjaśnić, że całą noc spędzili w klubie. Nie chciała, by Tom źle o niej myślał. A tak właśnie teraz będzie. Wiedział, że zna Vica od bardzo niedawna, i będzie przekonany, że poszła z nim do łóżka. I już nigdy więcej miło o niej nie pomyśli... Na tę myśl Holly osunęła się na kolana w swym maleńkim korytarzu i wybuchnęła płaczem. Jak mógł jeden z najlepszych wieczorów w jej życiu przekształcić się w jeden z najgorszych?

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Na imprezie z okazji najwyższych w historii wskaźników oglądalności *National Hospital* Don Perignon łał się strumieniami. Godzilla, kierownik produkcji, postanowił wyjątkowo jak na siebie zaszaleć i zabrał całą ekipę – scenarzystów, ludzi od sprzętu i aktorów – na kosztowną imprezę. Bez osób towarzyszących, co zdaniem niektórych imprezowiczów było całkiem dobrym pomysłem.

Tara nie była w nastroju imprezowym. Pomimo zapewnień Finna, jego premia nadal nie wpłynęła na konto. Wydawał się tym nieporuszony, powtarzając: „To się stanie, Taro. Wyluzuj”.

Tara nie chciała wyluzować. Nadal czuła upokorzenie po spotkaniu w banku, który zgodził się podwyższyć jej debet na sześć miesięcy, by mogła poradzić sobie z kryzysem finansowym. Tara wyszła z tego spotkania, czując się jak uczennica, której właśnie udzielono nagany. W tych okolicznościach na imprezę zdecydowanie nie miała ochoty, ale Isadora namówiła ją w końcu.

– Dobrze ci zrobi, jeśli wystroisz się w najlepsze ciuchy i przestaniesz się zachowywać niczym stara zrzęda – oświadczyła dziarsko.

Tak więc Tara poszła na całość, po to tylko, by pokazać, że nadal to potrafi.

I nawet Isadorę zaskoczył widok przyjaciółki w sandałkach na wysokim obcasie i zapierającej dech w piersiach sukni-futerałe z dżerseju, na ramiączkach cienkich niczym pajęczyna, które wciąż spadały jej prowokacyjnie z ramion.

– Wow, co sobie pomyślał Finn, kiedy zobaczył, jak wychodzisz z domu w takim stroju? – zapytała Isadora.

– Nie było go – odparła cicho. Słyszając, że Tara wybiera się na imprezę, oświadczył, że w takim razie on wyjdzie sobie z Derrym i chłopakami. Tara nie chciała myśleć, co to oznacza.

– W takim razie dobrze, że Finna nie było w domu – oświadczył szowinistycznie Tommy. – Żaden facet o zdrowych zmysłach nie pozwoliłby wyjść tak fantastycznej kobiecie w takim stroju.

Nie tylko Tommy komplementował strój Tary.

– Ładna sukienka, Miller – zauważył Scott Irving, z uznaniem przesuwając szelmowskim spojrzeniem po jej ciele.

– Będę cię musiał później wyciągnąć do tańca.

– Jeśli będę tańczyć, to ta sukienka spadnie – zażartowała Tara, aby ukryć, jak wstrząśnięta jest oczywistym podziwem Scotta.

– Tańcz, tańcz! – zawołali zgodnie Scott i Tommy.

Kiedy imprezowicze dotarli do klubu, Tara czuła się wykończona emocjonalnym stresem minionych tygodni. Wypiła dwa kieliszki szampana, ale nie pomogło jej to wyluzować się. Zastanawiała się, czy wyglądałoby to bardzo niegrzecznie, gdyby zmyła się do domu, kiedy pojawił się Scott i opadł obok niej na miękką skórzaną sofę. Tara się ożywiła.

– Świetnie wyglądasz. – Scott serdecznym gestem otoczył ramieniem jej talię, lecz o dziwo w tym geście nie było ani krztyny serdeczności. Było za to coś innego: sygnał subtelny i jednoznaczny zarazem. Tara nie wiedziała, czym jest bardziej zaskoczona: tym, że Scott zachowuje się w taki właśnie sposób, czy też tym, że czuje, jak sama na to reaguje. Jej oddech przyspieszył i popatrzyła na kolegę rozszerzonymi oczami, rozchylając usta.

Scott sprawiał wrażenie równie przyjacielskiego jak zawsze, ale gdy zaczęła się toczyć rozmowa, jego ramię pozostało wokół jej talii. Świadoma tego, jak to musi wyglądać, Tara poruszyła się lekko, tak że jego ramię opadło na sofę, zaledwie kilka centymetrów od jej ciała.

Odwróciła się do Tommy'ego, który siedział po jej lewej stronie i opowiadał jakąś zawiłą historię z Oscarami w roli głównej, ale przez cały czas pozostawała świadoma obecności Scotta.

Posiadał w sobie niezwykle magnetyzm i odkąd pracował jako scenarzysta *National Hospital*, liczba kobiet, które uznawały, że codziennie muszą przechodzić obok jego boksu, zwiększyła się czterokrotnie.

Tarze, dręczonej małżeńskimi kłopotami, udało się nie dostrzec Scotta od dnia, w którym zaprosił ją na lunch. Jednak nie należał on do mężczyzn, którzy lubili pozostawać niezauważani. Celowo ją lokalizował przy wielu okazjach, siadał obok na codziennych zebraniach i wpadał na nią obok automatu z kawą tyle razy, że trudno to było nazwać przypadkiem. Uczynił wszystko oprócz zapytania jej, czy go unika. Na to pytanie trudno byłoby jej odpowiedzieć zgodnie z prawdą.

Chaotyczna opowieść Tommy'ego dobiegła do pogmatwanego końca i Tara prawie niechętnie odwróciła się z powrotem w stronę Scotta. Przyglądała mu się przez chwilę, zauważając jego niesforne ciemne włosy, blade, nieogolone policzki i rozpustną, ale niezwykle ekscytującą i wyrazistą twarz. Zaczęła przysłuchiwać się rozmowie. On, Aaron i Lisa omawiali kwestie służbowe.

Tak jakby wyczuł, że to zrobiła, poklepał jej kolano, ale twarzą pozostał zwrócony do pozostałej dwójki. Tara nachyliła się bliżej, gdy kelnerka przyniosła więcej szampana. Odmówiła kolejnego kieliszka; wypiła już wystarczająco. Kiedy Aaron zajęty był kwitowaniem odbioru wina, Scott odwrócił się z powrotem do Tary.

– Dobrze się bawisz? – zapytał, a jego czarne jak smoła oczy błędziły po jej zaróżowionej twarzy.

Kiwnęła głową.

Jego oczy zaśniły, jakby w głowie właśnie się pojawiła jakaś myśl.

– Hej, co porabiasz w weekend?

Tara wzruszyła ramionami.

– Nic nadzwyczajnego.

– Jadę na kilka dni do Londynu, chcesz się przyłączyć?

Nie żartował.

Tara ze zdumieniem stwierdziła, że bardzo pragnie jechać.

– Nie mogę – odparła odruchowo.

– Nie możesz czy nie chcesz? – wyszeptał Scott.

– Jestem szczęśliwą mężatką – odparła lekko.

– No i co?

W jego spojrzeniu tyle było jawnej seksualności, że Tara przełknęła nerwowo ślinę. Normalnie zbyłaby coś takiego śmiechem, ale Scott był teraz zbyt poważny. I nagle Tara odkryła, że nie chce.

Nachyliła głowę bliżej niego.

– Nie możemy tego zrobić, Scott.

– Czemu nie? – Jego głowa znajdowała się tuż przy jej. Nikt nie słyszał, o czym rozmawiają, choć Tara zastanawiała się czy inni słyszą ten karabin maszynowy, w jaki zamieniło się jej serce.  
– Jesteś niesamowita, Taro – mruknął. Wyciągnął rękę i pozwolił, by jego ramię ponownie otoczyło jej talię. – Taka szczupła – rzekł z podziwem.

– Ludzie zobaczą.

– No i co?

– Czy to twój zwrot wieczoru? – zapytała, patrząc na niego z ciekawością.

Tak bardzo różnił się od Finna, był niczym jego negatyw. Finn był jasny i złoty, gdy tymczasem Scott ciemny i z całą pewnością niebezpieczny. Finn to anioł, a Scott to diabeł. No cóż, z Finna nie był żaden anioł. Myśl ta przeszła zranione serce Tary. Zastanawiała się, gdzie on się teraz podziewa. W jakimś barze z Derrym, przepijając kolejną ratę kredytu? Nie powinna była pozwolić mu wyjść. Powinna była doprowadzić do konfrontacji w kwestii jego picia.

– Znowu masz tę smutną minę. – Szare oczy Scotta wwiercały się w nią. – Co się stało?

– Nic.

– To znaczy nic, o czym chciałabyś rozmawiać?

– Zgadza się.

– Nadal problemy rodzinne, co?

Czuła, jak palce Scotta przesuwają się delikatnie po jej plecach, łagodnie masując mięśnie. Jak by to było, gdyby te palce poruszały się po nagiej skórze, dotykając i masując?

– Zaraz wracam – powiedziała, wstając gwałtownie. Zderzyła się kolanami z Tommym, kiedy wychodziła trudniejszą drogą, obok niego. Jednak nie chciała przechodzić obok Scotta, żeby jej nie dotknął. Gdyby to zrobił, przestałaby nad sobą panować.

Udała się szybko w stronę damskiej toalety, tak by jej nagle wyjście nie wyglądało zbyt dziwacznie. Kiedy już nie mogli jej widzieć, zatrzymała się i oparła o barierkę balkonu, patrząc na dół na normalnych ludzi, śmiejących się i bawiących poziom niżej. Nie umiała już się bawić. Tak bardzo zżerały ją nerwy, że zwykły, delikatny flirt doprowadził ją do takiego stanu. Scott jedynie sobie żartował, na pewno...

– Zastanawiałem się, dokąd uciekaś w takim pośpiechu. – To on, jego ciało zaledwie kilka centymetrów od niej. Nawet nie widziała, jak się do niej zbliżał. Kolejny dowód na jego demoniczność.

– Śledzisz mnie? – zapytała lekko.

Kiwnął głową. Następnie nachylił się i ją pocałował. Tara przyglądała się jego twarzy, zamkniętym oczom i minie, która zmieniła się, gdy ją całował. Próbowwała sobie przypomnieć, że patrzy w taki sam sposób na twarz Finna, następnie zamknęła oczy i pozwoliła, by jej usta połączyły się z wargami Scotta, ich języki tańczyły dziko. A potem palce Tary ścisnęły głowę Scotta, tak jakby mogła go siłą przyciągnąć jeszcze bliżej. Pierwszy odsunął się Scott.

– Jedźmy do mnie – rzekł. Jego oddech był urywany.

Tara pokręciła głową.

– Proszę – namawiał.

Szare oczy przesuwają się pożądliwie po jej twarzy. Podniósł dłoń i miękkim opuszką kciuka pieścił delikatność jej dolnej wargi. Wbrew sobie Tara zamknęła oczy i nachyliła się ku niemu, a jej usta rozchyliły się, by polizać kciuk i wsunąć go do delikatnej jaskini ust, a potem ssać i kąsać.

– Proszę – powtórzył.

Czemu nie, zapytała samą siebie. A czemuż by nie? Pociąg seksualny, który odczuwała do Scotta, był niczym tkwiący w jej wnętrzu potwór, domagał się i rozkazywał. I czy ktokolwiek mógłby ją winić za poddanie się pokusie, gdyby wiedział, jak wygląda jej życie?

Tara otworzyła oczy, gdy Scott delikatnie zabrał dłoń.

– Nikt nie może się dowiedzieć – oświadczyła ostro.

Kiwnął głową.

– Ja wyjdę pierwsza – dodała.

Udała się do damskiej toalety, gdzie unikała oglądania się w lustrze. Nie chciała patrzeć sobie twardo w oczy i pytać, co wyprawia. Gdy wróciła do grupy, wzięła z sofy swój płaszcz. Scott tam siedział, ponownie rozmawiając z Aaronem, nawet nie patrząc w jej stronę.

– Wychodzę – poinformowała wszystkich. – Ból głowy.

Pomachała na pożegnanie, starając się, by jej spojrzenie nie zatrzymało się dłużej na Scotcie.

– Chcesz, żebym cię odprowadził? – zapytał Aaron.

– Dam sobie radę. – Posłała mu słaby, bolesny uśmiech. – Zostań. Złapię taksówkę.

Wielki bar pulsował podnieceniem, gdy Tara schodziła po schodach, ściskając w rękę torebkę i płaszcz, a jej myśli pędziły jak szalone. Przepchnęła się przez tłum, a w drzwiach narzuciła na siebie płaszcz. Na chodniku stała taksówka, z której wysiadały właśnie dwie kobiety. Trzecia płaciła kierowcy. Tara wyszła z klubu i wskoczyła do taksówki. Kierowca kiwnął do niej głową w lusterku, mówiąc, że będzie do jej dyspozycji, gdy tylko poprzednie klientki mu zapłacą. Oparła się i zamknęła oczy. Powie mu, by zawiózł ją do domu. Niedługo będzie w domu i zapomni o tym całym szaleństwie. Co ona sobie w ogóle myślała?

Otworzyła oczy, gdy usłyszała, że drzwi taksówki otwierają się. Scott wślizgnął się na miejsce obok niej. Oczy mu błyszczały i miał rozszerzone źrenice.

– Dokąd, kochana? – zapytał kierowca.

– Fordham Road, Killiney – rzekł Scott, patrząc Tarze prosto w oczy. – Do mnie – dodał miękko.

Nagle usta Scotta znalazły się na jej wargach, jego ramiona otaczały ciasno jej talię. Ona też mocno go obejmowała. Kierowca odjechał w ciemną noc.

\*\*\*

Jeszcze zanim Tara otworzyła oczy, wiedziała, że nie leży we własnym łóżku. Poduszki były inne, a zapach płynu do zmiękczenia tkanin silny, pralniany, a nie subtelny, taki jak lubiła. Poruszyła się powoli i poczuła, że dziwnie bołą ją mięśnie. Podciągnęła się na łóżku. Następnie otworzyła oczy. We wczesnoporannym świetle natychmiast ujrzała cały pokój. Błękitne ściany, oprawione w ramki plakaty filmowe, a jedną dużą ścianę przykrywały żaluzje, które nie sprzyjały długiemu wylegiwaniu się w łóżku. Widoki z mieszkania Scotta były niesamowite i okna od podłogi aż do sufitu wykorzystywały ten fakt. Tara przypomniała sobie, jak zeszłej nocy stała na balkonie i przyglądała się zapierającemu dech w piersiach widokowi na morze. Kiedy dotarli do mieszkania, Scott wyjął z lodówki butelkę szampana i stali w chłodnym, nocnym powietrzu, pijąc powoli i rozmawiając. To była jej ostatnia szansa, by powiedzieć, że przyjazd tutaj to błąd i że wychodzi. Nie wykorzystała jej. Scott zadrzał i wciągnął ją i szampana do środka, po czym zatrzasnął drzwi na balkon i zaprowadził ją do dużej, minimalistycznie urządzonej sypialni z olbrzymim łóżkiem, które pomieściłoby cały salon z zagraconego mieszkania Tary i Finna.

To mogłaby być sypialnia hotelowa, pomyślała teraz Tara, opierając się na łokciach i rozglądając. Jeśli nie liczyć plakatów filmowych – *Olbrzym i Kotka na gorącym, blaszanym dachu* – była bezosobowa. Mieszkanie pokazowe, prawdę powiedziawszy.

Popatrzyła na Scotta. Spał z koldrą nasuniętą do pasa, ramiona rozrzucone, szczupłe ciało rozłożone w poprzek łóżka. Zeszłej nocy kochała się z tym ciałem, a ono kochało się z nią, tuliło ją, całowało, weszło w nią, napięło się podczas orgazmu. A teraz wyglądało jak ciało kogoś obcego. Pamiętała namiętność i to, że kochali się tak, jakby się kłócili, dziko i brutalnie. Pamiętała, jak po pierwszym razie leżała w ramionach Scotta, czując na brodawkach lodowate zimno jego kieliszka z szampanem, jak śmiała się, mówiąc, że jeszcze nigdy nie uprawiała takiego seksu, że nigdy nie czuła tak wyuzdanego podniecenia.

Jak mogła powiedzieć coś takiego? To nie była prawda. Nikt nie kochał się z nią w taki sposób jak Finn. Ich seks potrafił być dziko namiętny, a zaraz potem niezwykle czuły. To właśnie w nim kochała. I zdradziła go podwójnie, śpiąc z kimś innym i mówiąc, że ten cudzołożny seks był najlepszy ze wszystkich.

Tara leżała w łóżku Scotta i czuła, jak oddech opuszcza jej ciało jednym długim, drżącym wydechem. Co ona zrobiła? Jak najciszej wyslizgnęła się z łóżka i udała się na palcach po parkiecie z amerykańskiego dębu do przyległej do sypialni łazienki.

Zeszłej nocy unikała patrzenia na siebie w lustrze, ale teraz wpatrywały się w nią jej oczy, oczy, w których błyszczał smutek. Jak Finn może spojrzeć w te oczy i nie zobaczyć prawdy? I tak ją pozna, ponieważ nie wróciła do domu na noc. Spojrzała na zegarek. Za dziesięć szósta. Nawet jeśli upił się wieczorem, Finn był w stanie dodać dwa do dwóch i wyciągnąć właściwy wniosek.

Tara oddała kawałek papieru toaletowego i zmoczyła go, by wytrzeć z oczu makijaż. Kiedy skończyła, nadal miała na rzęsach resztki tuszu, ale wyglądała lepiej. Umyła twarz mydłem Scotta i zastanawiała się nad tym, czy użyć jego szczoteczki do zębów. To zabawne, pomyślała cierpko, że zeszłej nocy dzieliła każdy centymetr jego ciała, upajała się każdym jego fragmentem, a teraz zastanawiała się, czy miałby coś przeciwko, gdyby skorzystała z jego szczoteczki.

Tak czy inaczej skorzystała. Następnie rozczesała włosy jego grzebieniem. Twarz miała bladą, ale wyglądała znośnie. A przynajmniej dopóki nie włoży swej seksownej czarnej sukienki i butów na obcasie. Równie dobrze mogła wyhaftować sobie na plecach skórzanego żakietu: „Nie wróciłam na noc do domu”.

Ubrała się w salonie i po pięciu minutach gotowa była do wyjścia. Potrzebowała jedynie trochę wody, by lepiej się poczuć po ekscesach zeszłej nocy. Wiedziała, dlaczego wypila u Scotta więcej szampana: aby znieczulić się przed tym, co miała zamiar zrobić. Cóż, teraz za to płaciła.

W lodówce Scotta nie było nic oprócz wina, piwa i soku pomarańczowego. Tara naląła sobie szklankę soku i piła go, stojąc przy zlewie.

– Wychodzisz tak szybko?

Prawie upuściła szklankę.

– Tak.

Scott stał w drzwiach sypialni, nagi i zaspany, ale twarz miał zaciętą.

– Przepraszam, Scott, muszę iść.

– Nie mam nic przeciwko temu, jedynie bardzo nie podoba mi się sposób, w jaki to czynisz – odparł spokojnie, ruszając w jej stronę.

– Nie powinnam tu być wczoraj przyjeżdżać – rzekła Tara.

– A więc to by było na tyle, jeśli chodzi o „zero żalu”, tak? – Stanął obok niej, na tyle blisko, by jej dotknąć, ale tego nie uczynił. Tarę ponownie uderzyło to, jak bardzo jest atrakcyjny, nawet zmęczony i nieogolony. Łatwo byłoby objąć go i pozwolić się zabrać z powrotem do łóżka na kolejną porcję oszałamiającego seksu i intensywnych orgazmów. Jednak nie mogła.

Zeszłego wieczoru wyłączyła przycisk, który łączył jej mózg z sumieniem. Teraz nie potrafiła. Został ponownie włączony i w jej myślach widniała twarz Finna.

– Kocham mojego męża – oświadczyła.

– Nie mów mi tylko, że byłaś pijana i nie wiedziałaś, co robisz, Taro – powiedział gniewnie.

– Kiedy wychodziliśmy z klubu, nie byłaś ani odrobinę pijana; pragnęłaś mnie równie mocno jak ja ciebie. To, co się wydarzyło, nie było pomyłką, to, w jaki sposób byliśmy razem, nie było pomyłką. Nie sposób się tak pieprzyć, jeśli się tego nie chce.

Tara nie wzdrygnęła się na dźwięk tych słów.

– Nie powiedziałam, że tego nie chciałam – odparła, patrząc mu prosto w oczy. – Ale kocham mojego męża i muszę już iść. Popełniłam błąd, nie mogę dać ci tego, czego chcesz. Nie możemy być razem.

Kiedy wypowiadała te słowa, widziała ból na jego twarzy.

– Skąd możesz wiedzieć, czego ja chcę? – zapytał ostro.

Tara wzruszyła ramionami.

– Gdybyś chciał przygody na jedną noc, byłbyś zadowolony z tego, że tak szybko się wynoszę.

– Nagle tyle o mnie wiesz. – Jego spojrzenie było ostre i bezkompromisowe. – Nie bawię się w przygody na jedną noc.

– Ja też nie – odparowała urażona.

– Wygląda na to, że właśnie to zrobiłaś – stwierdził chłodno.

– Scott, nie mogę tego robić... – zaczęła. – Jestem mężatką i kocham Finna.

– Mimo że on cię niszczy?

Tara zamknęła oczy. Jediną mglistą częścią zeszłej nocy było to, kiedy Scott zapytał ją o Finna i nie była pewna, co mu odpowiedziała. Najwyraźniej powiedziała mu wystarczająco. A nawet zbyt dużo.

– Przepraszam cię, Scott. – Odstawiła szklanekę i minęła go. Nie uczynił żadnego ruchu, by ją zatrzymać. Dopiero kiedy stała przed budynkiem, dotarło do niej, że powinna była zadzwonić po taksówkę.

Jej buty na wysokich obcasach nie należały do najwygodniejszych, ale Tara szła szybkim krokiem, ignorując ból w stopach. Nie zwracała uwagi na ból, myślała jedynie o tym, co powie Finnowi.

\*\*\*

Dopiero po co najmniej piętnastu sygnałach Isadora odebrała telefon.

– Isadora, z tej strony Tara.

– Tara, cześć – rzekła zaspana Isadora. – Która godzina? Co się stało?

– Czy Finn dzwonił do ciebie zeszłej nocy?

– Nie. Dlaczego? – Isadora wydawała się już rozbudzona. Rozbudzona i podejrzliwa.

– Nie wróciłam do domu na noc.

– Scott?

– Poirot znowu w akcji – rzuciła cierpko Tara.

– Cóż, napięcie seksualne wprost emanowało z was obojga cały wczorajszy wieczór – stwierdziła Isadora. – Tak sobie myślałam, że na coś się zanosi i wtedy ty wybiegłaś z bólem głowy, a Scott krótko po tobie.

– Subtelnie, co?

– Jak diabli. No więc jestem twoim alibi – dodała dziarsko Isadora.

– Mogłabyś? – Tara wstrzymała oddech, czekając na odpowiedź przyjaciółki.

– Oczywiście, że tak.

– Dzięki. Przepraszam, że każę ci to robić, to nie fair – rzekła Tara. Czuła, że zaraz się rozplacze. Nie tylko zdradziła Finna, ale próbując to jakoś zatuszować, powiedziała o tym komuś jeszcze. Pomyślała, jak bardzo bolesne byłoby to dla Finna, gdyby się kiedyś dowiedział: mąż dowiadujący się jako ostatni.

– Gdzie jesteś?

– Gdzieś w Killiney. Masz pod ręką jakieś telefony do taksówek?

– Jasne. I przyjedź do mnie – zasugerowała Isadora. – Alibi działa najlepiej, jeśli jest w nim choć ziarnko prawdy.

– Zgadza się – przyznała ze smutkiem Tara.

\*\*\*

Była wdzięczna, że jej przyjaciółka nie pyta o żadne obrzydliwe szczegóły. Spojrzawszy tylko na bladą twarz Tary, Isadora wpuściła ją do środka, posadziła przy stole w kuchni i nalała kubek mocnej, słodkiej herbaty.

– Chcesz wziąć prysznic i przebrać się w coś mojego? – zapytała. Włosy miała jeszcze mokre po kąpielii i ubrana była w jedwabny szlafrok w bardzo nie-Isadorowym odcieniu kobiecego różu.

Tara kiwnęła głową.

– Co ja zrobiłam, Izzy? – zapytała z nieszczęśliwą miną. Trzymała kubek w obu dłoniach i wpatrywała się w ciemnobrązowy płyn.

– Poszłaś do łóżka z kimś, kto ci się podobał. Nie biegłaś w amoku z AK47 i nie pozabijałaś wszystkich.

– Czuję się, jakbym to zrobiła.

Isadora zapaliła papierosa.

– Tara, wiem, że z jakiegoś powodu nie jesteś szczęśliwa, a ja nie wtrącałam się i nie pytałam dlaczego. Uznałam, że powiedziałaabyś mi, gdybyś tego chciała, ale wydaje mi się, że coś jest nie tak między tobą a mężem. W przeciwnym wypadku nie pojechałabyś do Scotta. Moja rada jest taka: zapomnij o tym, co wydarzyło się ze Scottem, i zobacz, czy uda ci się naprawić sprawę z Finnem.

– A jeśli on się dowie? – zapytała głucho Tara.

– Nie dowie się. Weź prysznic, pożycz jakieś ciuchy i jedź do pracy ze mną. Następnie zadzwoń do Finna i powiedz mu, że chodziłyśmy po klubach i zostałam na noc u mnie. Uwierzy ci.

– Nie jestem dobra w kłamaniu.

Isadora dołąła herbaty do obu kubków.

– Nauczę cię.

Pod prysznicem Tara myła się energicznie truskawkowym żelem, próbując zmyć z siebie wspomnienie pieszczot Scotta. Następnie stała długo z zamkniętymi oczami i pozwalala, by woda spływała jej po twarzy, przyklejając włosy do czaszki. Kiedy woda zaczęła się robić coraz chłodniejsza, Tara wyszła spod prysznica i owinęła się wielkim ręcznikiem. Była czysta, ale nadal czuła się brudna.

– Telefon! – zawołała Isadora. – To Finn – dodała, kiedy pobladła Tara otworzyła drzwi. – Bardzo dobrze, że do mnie przyjechałaś.

Ociekając wodą, Tara wzięła do ręki słuchawkę.

– Cześć – rzekła.

– Mogłaś zadzwonić – rzekł ostro Finn. – Martwiłem się.

– Przepraszam, chodziłyśmy po klubach...

– Wierzę. Skoro dałaś radę przyjechać do Isadory, to dlaczego nie mogłaś wziąć taksówki i wrócić do domu? Chyba że – dodał złośliwie – próbujesz mnie ukarać za to, że ja także wyszedłem?

– Nie, byłam pijana, to wszystko. Chciałam po prostu gdzieś się walnąć i Isadora zaproponowała, bym pojechała do niej. – Tara zaczęła się trząść i powodem nie było zimno.

– Nieważne – warknął.

– Do zobaczenia wieczorem – powiedziała Tara, ale Finn zdążył się już rozłączyć.

\*\*\*

W pracy Tara i Isadora minęły Scotta na korytarzu.

– Cześć, Scott – odezwała się Tara, patrząc na niego spokojnie.

– Cześć – odparł opryskliwie.

– Nie było tak źle, no nie? – wyszeptwała Isadora, nim się rozdzieliły, by udać się do swoich biur.

– Całkiem proste – mruknęła kłamliwie Tara. Bardzo ciężko było spojrzeć Scottowi w oczy. Jednak tak naprawdę martwiła się spotkaniem z Finnem. Jeśli nie zdradzi jej spojrzenie pełne wyrzutów sumienia, może to uczynić malinka na szyi. Chwilowo ukryła ją pod warstwą korektora Isadory. Nie mogła jednak chować jej przez cały przyszły tydzień.

\*\*\*

Finn był w domu, kiedy Tara dotarła do domu o siódmej.

– Nie wracaj wcześniej do domu – poradziła jej Isadora. – To jest jak dowód, że zrobiłaś coś złego. Bądź nieustępliwa, taka jak zawsze.

Tara zastanawiała się skąd Isadora zna te wszystkie wskazówki rodem z podręcznika: *Cudzołóstwo – jak to robić*. Ale nie odezwała się ani słowem. W obecnej sytuacji nie bardzo mogła sobie pozwolić na moralizatorski ton.

– Cześć! – zawołała, kiedy weszła do mieszkania i postawiła teczkę na podłodze. Rzuciła jak zwykle skórzaną kurtkę na zawalone różnymi rzeczami krzesło w korytarzu. Musiała

zachowywać się w miarę normalnie, ale dlaczego w takim razie jej każdy ruch wydawał się należeć do wyjątkowo niezdarnej aktorki z amatorskiego przedstawienia?

Tak jak to miała w zwyczaju, udała się do salonu, gdzie Finn oglądał właśnie wiadomości. Kiedyś najpierw by się przytulili po całym dniu niewidzenia się, ale ostatnimi czasy lodowata temperatura ich związku oznaczała, że przytulanie odeszło w zapomnienie.

Tara usiadła na ich jedynym fotelu, zmuszając się do tego, by opaść na niego leniwie, nie zaś przysiąść na skraju i czekać, aż Finn zacznie ją maglować.

– No i co? – zapytał zjadliwie. – Nie zasługuję na wyjaśnienie?

– Udzieliłam ci go – odparła Tara. Walilo jej serce. – Byłyśmy potańczyć i zostałam u Isadory na noc.

– Dlaczego nie wróciłaś do domu?

W jej głowie rozbrzmiał echem głos Isadory: „Bądź nieustępliwa, taka jak zawsze”.

– Ponieważ byłam pijana i zła, i potrzebowałam wolnego wieczoru! – zawołała.

– Świetnie! – odrzyknął. Wstał i wypadł z pokoju. Następne, co usłyszała, to trzask drzwi. Tara zamknęła z ulgą oczy. Nie wiedziała, jak długo byłaby w stanie odgrywać tę farsę normalności.

Była kiepską aktorką i po raz pierwszy w życiu zaczęła rozumieć, jak trudno jest grać kogoś innego. Dzisiaj odgrywała dawną Tarę Miller, wersję sprzed przespania się z kolegą z pracy. I jej zdanie było takie, że każdy gest i każde słowo krzyczało: oszustka!

\*\*\*

Kiedy Finn wrócił o drugiej w nocy, Tara zamknęła oczy i udawała, że śpi. Trudno było leżeć i zupełnie się nie ruszać, ale dała radę. Budzik obok łóżka pokazywał za kwadrans trzecią, kiedy oddech Finna wreszcie stał się miarowy, jak u śpiącej osoby. Dopiero wtedy Tara mogła się poruszyć i rozciągnąć bolące mięśnie. Przekręciła się na plecy i leżała, wpatrując się w sufit. Gdyby tylko mogła cofnąć zegar do mniej więcej dwudziestej trzeciej ubiegłego wieczoru... W ogóle nie pocałowałyby Scotta, w ogóle nie pozwoliłaby mu wsiąść do taksówki i nie weszłaby ochoczo do jego łóżka. Ale wszystko to uczyniła i nie dało się tego nijak cofnąć.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Fala śródziemnomorskiego powietrza, która dotarła do południowego wybrzeża na początku maja, nie odpuszczała także i w czerwcu. W Pokrzywowej Chatce oznaczało to, że trzy psy nie lubiły opuszczać chłodnego wnętrza domu i całymi dniami leżały w kuchni na kamiennej posadzce, ruszając się tylko po to, by wychłptać trochę wody z misek. Rose, która uwielbiała upały, cieszyła tak wysokie temperatury. Oliwkową cerę miała lekko opaloną od odpoczywania przed domkiem na leżaku, gdzie czytała coś z domowej biblioteki Freddie, a pszczoły bzycały leniwie na sąsiedniej rabacie. Rosnący na drugim końcu ogrodu jaśminowiec przekwitał powoli, ale nadal wokół domu unosił się jego mocny zapach.

W nocy zostawiała w sypialni otwarte okno i delectowała się uczuciem, jakie dawało jej bliskie obcowanie z naturą. W Meadow Lodge jej sypialnia znajdowała się na pierwszym piętrze i Rose nigdy nie słyszała cykania świerszczy ani warczenia lisów.

Przebywała w Castletown już od pięciu tygodni i czasami czuła się tak, jakby nigdy nie mieszkała w innym miejscu. Jej dniom z Freddie towarzyszyła odprężająca rutyna. Formalność nie stanowiła części życia ciotki. Ubierała się niekonwencjonalnie w rzeczy, które wyglądały tak, jakby wyciągnęła je z kufra z napisem „Stroje z okresu II wojny światowej”. Kiedy zjawiali się goście, musieli być przygotowani na ryzyko. Posiłkiem mogła być jedna ze słynnych marokańskich potrawek Freddie albo coś zamówionego przez telefon, jeśli nie miała czasu na gotowanie. Jedynym stałym punktem każdego tygodnia była praca Freddie na rzecz organizacji rozwożącej posiłki starszym ludziom i wieczorki pokerowe. Rose zapraszana była wszędzie tam, dokąd udawała się Freddie, ale jeśli nie chciała iść, jej ciotka absolutnie nie miała jej tego za złe.

Po raz pierwszy od czterdziestu lat Rose czuła, że może robić to, co chce, i wtedy, kiedy chce. To poczucie wolności przyprawiało ją o zawrót głowy. Nie musiała już być szanowaną

panią Millerową. Jeśli miała ochotę, mogła zjeżdżać drogą na starym rowerze Freddie ze spódnicą wetkniętą w majtki. Mogła narzucić na siebie najstarszą lnianą spódnicę i T-shirt, wsunąć stopy w stare i zakurzone sandały, i nie przejmować się wyglądem od rana do wieczora. Ludzie, których poznała dzięki organizacji dobroczynnej, byli zachwyceni, widząc pojawiające się w porze obiadu radosne twarze; nie obchodziło ich to, że Rose ma na spódnicy psią sierść i że przed wyjściem z domu nie pomalowała ust. Jeśli nie miała chęci odbierać telefonu, po prostu tego nie robiła, a gdyby o czwartej nad ranem naszała ją ochota na spacer po Castletown, śmiało mogła to zrobić.

Tego ranka miała na sobie należące do Freddie szorty w kolorze khaki i bluzkę z krótkim rękawkiem, by nie zgrzać się za bardzo podczas czyszczenia łóżka polowego. Stella i Amelia przyjeżdżały na weekend, a ponieważ w domku nie było dużo miejsca, Freddie wpadła na pomysł, by dla Amelii przygotować łóżko polowe.

– Stella może spać z tobą, a w pokoju jest tyle miejsca, że spokojnie zmieści się łóżko polowe i dzięki temu Amelia będzie mogła być z tobą i swoją mamą – oświadczyła z entuzjazmem Freddie.

Niestety, łóżko to lata świetności miało już dawno za sobą. Rose oblała je na podwórku silnym strumieniem wody, ale i tak wydawało się ponure, chwiejne i zbyt rozklekotane, by wytrzymać ciężar nawet małej Amelii.

Rose poddała się i poszła poszukać Freddie. Siedziała w ogrodzie przed domkiem pod parasolem przeciwsłonecznym, czytała gazetę i sączyła dietetyczną lemoniadę.

– Nie da rady, Freddie – rzekła Rose. – Będę musiała pojechać do miasta i poszukać jakiegoś małego, składanego łóżka.

– Kup też ciastka, dobrze? Zjadłyśmy wszystkie, a mam ochotę na małe co nieco.

Rose odwróciła się, by pójść się przebrać, kiedy dostrzegła, że pod górę podjeżdża z mozołem taksówka.

– Ciekawe kto to? – zapytała głośno.

Pokrzywowa Chatka usytuowana była przy spokojnej drodze, gdzie bardzo rzadko coś jeździło i Freddie mogła odgadnąć, co się dzieje w okolicy, obserwując przejeżdżające samochody.

Freddie odłożyła gazetę i przyjrzała się taksówce.

– Zaprosiłyśmy kogoś, a potem o tym zapomnieliśmy? zapytała z namysłem. – Chyba nie. Ja w każdym razie nie przypominam tego sobie, ale nigdy nic nie wiadomo.

Rose uśmiechnęła się, słysząc ten dowód na liberalne nastawienie ciotki wobec gości. Freddie nie należała do osób biegających z odkurzaczem przed czyjąś wizytą. To już prędeż szcztokowała uważnie gęstą, złotawą sierść Prinny, tak by „wyglądała jak najładniej przy gościach”.

Taksówka zatrzymała się przed bramą i Rose patrzyła się ze zdumieniem, jak wysiada z niej Adele Miller. Taksówkarz wyjął z bagażnika wielką walizę i ruszył z nią w stronę domku, a za nim Adele, idąc ostrożnie w czółenkach na niskim obcasie. Ubrana w jedną ze swych osławionych dzianinowych garsonek i ze sznurem żółknących pereł na szyi, szwagierka wyglądała jakoś tak nie na miejscu pośród tej odprężającej, cygańskiej atmosfery Pokrzywowej Chatki.

Słyszac gości, psy wybiegły z domu i teraz czekały głośno i skakały wokół Adele i taksówkarza.

– Adele – odezwała się słabo Rose. – Co ty tutaj robisz?

– Przyjechałam cię odwiedzić. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko – odparła Adele. – Bałam się dzwonić, na wypadek gdybyś chciała mi to wyperswadować.

Kierowca postawił walizkę i ruszył z powrotem w stronę samochodu.

– Dziękujemy panu – powiedziała Freddie, widząc, że nikt inny nie zwraca sobie głowy odezwaniem się do tego biednego człowieka. – Dawno cię nie widziałam, Adele – dodała pogodnie.

– Witaj. – Adele opadła na krzesło obok Freddie i wachlowała się dłonią. – Nie przeszkadzam?

– W żadnym razie – odparła Freddie. – Jesteś tu mile widziana, ale możliwe, że będziesz musiała spać na podłodze. Skończyły się nam łóżka.

Kiedy waliza Adele została zaciągnięta do domku, a jej samej wskazano łazienkę, Rose wstawiła wodę i zaczęła cicho przeproszać Freddie.

– Nie miałam pojęcia, że ona przyjeżdża. Naprawdę nie wiem, po co się tu zjawiała.

– Nie przejmuj się. – Freddie była pełna optymizmu. – Damy sobie radę. Będziemy po prostu musiały kupić dwa łóżka polowe. Adele może spać z tobą, a Stella na jednym z łóżek polowych...

– Nie ma mowy – syknęła Rose. – Jestem zbyt stara, by spać z ludźmi, z którymi nigdy wcześniej nie spałam. Adele może wziąć łóżko polowe, a jeśli nie spodoba jej się ten pomysł, możemy zarezerwować jej pokój w którymś z hoteli.

– Nie przy takich upałach, zapomnij. Jestem przekonana, że wszystkie okoliczne hotele i pensjonaty pękają w szwach.

Rose zamknęła na chwilę oczy.

– Nie przejmuj się – powtórzyła Freddie. – Damy sobie radę.

– Nie wiesz, jaka jest Adele – wyszeptwała Rose. – Jest bardzo wymagająca, jeśli chodzi o pościel i łóżko, na jakim śpi. Ona nie jest łatwym gościem.

Oczy Freddie zamigotały.

– Szybko wybijemy jej to z głowy.

Rose zabrała się za parzenie herbaty dla szwagierki. Myślała przy tym gorączkowo. Dlaczego Adele przyjechała i przerwała jej idyllę? Rose bardzo się starała w ogóle nie myśleć o Hugh. Jakoś udało jej się wyrzucić z pamięci to całe bolesne wspomnienie przyjęcia i za każdym razem, gdy pomyślała o tym koszmarnym telefonie i pełnym bólu głosie anonimowej kobiety, zmuszała się, by myśleć o czymś innym. A teraz /jawiła się Adele, a razem z nią cały wcześniejszy ból.

Rose postawiła herbatę i dzbanek z wodą na żeliwnym stoliku w ogrodzie i przyniosła parasol, by go osłaniał przed słońcem. Freddie przyciągnęła bliżej swój leżak, ale podziękowała za herbatę; było jej zbyt gorąco. Rose przyznała rację i sobie także naląła wody z lodem.

– Dziękuję, Rose. Bardzo chętnie napiję się herbaty.

Adele wyłoniła się z domu i usiadła przy stole. To był bardzo stary mebel ogrodowy i w Meadow Lodge nie byłby wyławiany na widok publiczny bez corocznego piaskowania i malowania. W Pokrzywowej Chatce mógł spokojnie się łuszczyć. Rose spędziła wiele terapeutycznych godzin na odrywaniu i kawałków czarnej farby i jednoczesnym wpatrywaniu się w morze ponad dachami i wieżyczkami Castletown.

Naląła Adele herbatę i zaproponowała najzwyklejsze herbatniki.

Psy, wyczuwając, że nowy gość nie przepada za mokrymi, ciekawskimi psimi nosami, siedziały w stosownej odległości cxi Adele i czatowały na okruchy.

– Jak się masz, Freddie? – zapytała grzecznie Adele.

– Świetnie – westchnęła w odpowiedzi. – Delektuję się słońcem. Wybrałaś doskonały weekend na przyjazd, Adele. Dziś wieczorem i cały jutrzejszy dzień odbywa się jarmark. Dzisiaj na błoniach towarzystwo historyczne odtwarza sceny z czasów wikingów, a jutro odbywają się zawody hippiczne i bal kostiumowy dla dzieci.

– Cudownie – odparła słabym głosem Adele. Poczęstowała się herbatnikiem i psy jak jeden mąż nachyliły się w jej stronę.

– Dziewczynki! – rzuciła ostrzegawczo Freddie.

Ponownie się odsunęły. Gospodyni wstała.

– Zabiorę je na krótki spacer i pozwolę wam porozmawiać na osobności. Chodźcie, dziewczynki! – zawołała. Psy, rzucając ostatnie, tęskne spojrzenie talerzowi z herbatnikami, pobiegły za nią.

– Daleko idzie? – zapytała Adele, przyglądając się, jak Freddie zwawo maszeruje ścieżką.

– W takim upale to pewnie tylko ze dwa kilometry – odparła Rose. – Psy nie są w stanie chodzić zbyt daleko, gdy jest tak gorąco. – Sączyła wodę i czekała na wykład. „Hugh cię potrzebuje, ludzie w Kinvarrze gadają. Nie sądzisz, że nadszedł czas, byś odzyskała zdrowy rozsądek i wróciła do domu?”

– Pewnie się zastanawiasz, dlaczego tu jestem – odezwała się Adele.

– Myśl taka rzeczywiście przemknęła mi przez głowę – odparła uprzejmie Rose.

– Chciałam ci okazać swoje poparcie.

Rose nie byłaby bardziej zdziwiona, gdyby Adele oświadczyła, że zamierza uciec z domu i wstąpić do marynarki wojennej.

– Dlaczego? – zapytała wreszcie.

– Jestem taka zła na Hugh. Wiedziałam, że kobiety go lubią, ale nigdy nie sądziłam, że posunie się dalej niż do niewinnego flirtu. Mój ojciec był taki sam; kobiety go uwielbiały i zapewniam cię, że z wzajemnością. Ale myślałam, że to tylko coś takiego, Rose. Flirtowanie. Nigdy bym nie uwierzyła, że mój brat posunie się dalej. Gdybym tylko wiedziała, mogłabym coś zrobić...

– Adele — westchnęła Rose. – Nie ponosisz odpowiedzialności za Hugh. Jest już dużym chłopcem i popełnia błędy na własny rachunek.

– Ale jakie! Nie potrafię mu wybaczyć, Rose, próbowałam, ale nie potrafię. Dlatego właśnie tu przyjechałam – dodała z żarem Adele. – By pokazać Hugh, jakiej strasznej rzeczy się dopuścił i że jestem po twojej stronie!

Rose była niewymownie wzruszona. Wiedziała, że Adele uwielbia Hugh. Dokonanie publicznego wyboru między nimi było z jej strony ogromnym poświęceniem.

Wyciągnęła rękę i dotknęła na chwilę ramienia szwagierki. Był to poruszający gest pomiędzy dwiema kobietami, które nigdy nie były wobec siebie serdeczne ani wylewne.

– Dziękuję ci – powiedziała. – To naprawdę cudowne z twojej strony. – Zawahała się, po czym zapytała: – Co u niego? – Dziwnie było pytać o Hugh, jakby to był ktoś obcy. Przez całe życie było dokładnie na odwrót: to ją Adele i wszyscy inni pytali co u Hugh.

– Jest smutny i pełen wyrzutów sumienia – odparła Adele. – On naprawdę żałuje, ale, co mu zresztą powiedziałam, teraz jest już za późno. Od razu powinien był o tym myśleć, a nie płakać mi w rękaw, kiedy mleko już się rozlało.

Rose uśmiechnęła się do siebie. Tylko Adele potrafiła zawsze wygłosić trafne kazanie. Gdyby Hugh odpadła jedna noga, Adele powiedziała by coś moralizatorskiego na temat tego, że powinien być wdzięczny, skoro została mu druga.

– Adele, muszę jechać na zakupy. Wieczorem przyjeżdżają Stella i Amelia, i muszę kupić dwa łóżka polowe.

Adele uniosła brwi.

– Łóżka polowe? – zapytała głosem Lady Bracknell.

Rose zdusiła uśmiech. Adele może i trochę odtajała, ale nie zmieniła się aż tak bardzo.

– W tym domku są dwa pokoje, Adele, dwa pokoje z dwoma łózkami, a w ten weekend będzie w nim przebywać pięcioro ludzi. Ktoś więc musi spać na łóżku polowym. – Rose wiedziała, że nie może położyć na nim Adele.

– Możesz spać ze mną. Stella i Amelia dostaną łóżka polowe. Albo możesz spać na łóżku polowym. Tak czy inaczej, nie będziesz miała ani sypialni, ani łazienki na wyłączność. I bieliźniarka Freddie nie przewiduje codziennego zmieniania pościeli.

Adele pociągnęła nosem.

– Chyba będzie musiało wystarczyć – rzekła. – Mogę koczować.

– Nie pozwól, by Freddie usłyszała, że tak mówisz – zaśmiała się Rose.

Było nadal tak gorąco, że Rose postanowiła zostać w szortach i zmieniła tylko koszulę na taką z rękawami, które chroniłyby jej ramiona przed południowym słońcem. Jedynym ustępstwem Adele na rzecz upału było wyjęcie z walizki słomkowego kapelusza.

– Normalnie byłabyś zgorzonna, widząc mnie w krótkich spodenkach – powiedziała Rose, kiedy wsiadały do samochodu.

– Szczęściara z ciebie, że masz figurę do noszenia szortów – odparła Adele. – Ja też bym tak chciała.

Kiedy wreszcie znalazły odpowiedni sklep i kupiły łóżko składane i dmuchany materac dla dzieci, obie kobiety były zmęczone i głodne.

– Chodźmy do Molloy's na lunch – zaproponowała impulsywnie Rose. – Mają tam pyszne sałatki z owocami morza.

– W normalnych okolicznościach w życiu by nie zaproponowała szwagierce pójścia do pubu, ale wyczuwała, że stosunki między nią a Adele uległy zmianie. Dawna bariera legła w gruzach i teraz obowiązywały inne zasady.

– Czemu nie? – stwierdziła Adele.

Właściciel Molloy's urządził swój pub-restaurację na wzór portowych knajpek rodzinnego Sydney i latem wielki drewniany taras pełen był ludzi mających ochotę na gigantyczne talerze z owocami morza i jednocześnie podziwianie widoku na zatokę Castletown. Rose i Adele zajęły jeden z ostatnich stolików na samym końcu tarasu i siedziały w powiewach morskiej bryzy.

– Ale gorąco – powiedziała Adele, przyglądając się z zazdrością Rose, która wysunęła gołe nogi z sandałków i oparła je na najniższej belce drewnianej barierki otaczającej taras.

– To zdejmij sweter. I rajstopy – zasugerowała Rose.

– Nie mogę – odparła Adele, która nigdy nie ośmielała się wychodzić z domu bez rajstop. – Mam pod nim tylko halkę – dodała.

– Ależ możesz, Adele. Nikt na ciebie nie patrzy.

Sześćdziesiąt pięć lat uwarunkowania walczyło w głowie Adele o przewagę. Obrzuciła spojrzeniem innych gości. Były tu całe rodziny z małymi dziećmi usadowionymi w wysokich krzeselkach, umazanymi keczupem i wymachującymi frytkami. Grupa dwudziestolatków ubranych w króciutkie T-shirty i obcięte džinsy. Po lewej stronie siedziała liczna grupa turystów z cieplejszych krajów, opalonych i wyglądających na zadowolonych z tego dwudziestostopniowego dowodu, że Irlandia jest nie tylko krajem mgły i deszczu. Byli w różnym wieku i w różnych rozmiarach, ale nikt się nie przejmował, że szorty odkrywają jego zylaki i pulchne kolana.

Adele wstała i udała się do damskiej toalety. Wróciła z rajstopami w torebce i wełnianym swetrem otulającym ramiona.

– Nie lepiej tak? – zapytała Rose.

Najpierw zajadały się słynnymi półmiskami z krabami, a następnie udały się na niespieszny spacer po plaży. Boso, z butami w rękach.

– Gdyby mieszkańcy Kinvarry mogli nas teraz zobaczyć – zaśmiała się Rose. – Dwie panie Miller przechadzające się boso po piasku.

Adele wyglądała na zaniepokojoną tymi słowami. Co innego zapomnieć o rozsądku w miejscu, gdzie nikt cię nie zna, a zupełnie co innego uczynić to i kusić los wyobrażaniem sobie, że jakiś mieszkaniec Kinvarry obserwuje takie zuchwałe zachowanie. Zdążyła już jednak zapomnieć, jak cudownie czuć ziarenka piasku między palcami. Plaża była zbyt gorąca, by nią spacerować, ale nad brzegiem wody mokry piasek był chłodny i twardy, i ślizgał się pod stopami.

– Hugh by się tu podobało – rzuciła bezmyślnie Adele.

– Mogę cię o coś prosić, Adele? Nie mów o Hugh. Proszę. Potrzebuję czasu i spokoju, daj mi to, proszę.

Rose szła dalej ze wzrokiem utkwionym w zamglonym, błękitnym horyzoncie. W oddali widziała jacht, piękny jacht regatowy pływający się w słońcu. Hugh kochał łódki, choć minęło już wiele lat, odkąd pływali po Shannon jedną z tych solidnych łodzi motorowych. Rose pamiętała, jak we dwoje wyjeżdżali na weekend i jedyne, co mieli do roboty, to wprowadzanie łodzi do niewielkich, słonecznych portów, wóczenie się po pubach i objadanie pysznym, domowym jedzeniem. Wszystko naprawdę sprowadzało się do Hugh. Myślała o nim przez cały czas, bez żadnej pomocy ze strony Adele. Nie dało się przeżyć z kimś czterdziestu lat, a potem przeciąć pępowinę i nie oglądać się wstecz. Rose całymi godzinami oglądała się wstecz. Nawet w tym

cudownym, pozbawionym obowiązków życia, które tutaj prowadziła, było wiele cichych momentów, kiedy introspekcje były nieuniknione.

Adele szła w milczeniu. Nie zwracała uwagi na ładne, opalizujące muszle, które morze wymywało na brzeg. Potrzeba by czegoś więcej niż zdjętych rajstop, by przekształcić Adele w osobę zbierającą muszelki.

Rose dostrzegła budkę z lodami.

– Co myślisz, Dello? – zapytała. – Masz ochotę na loda?

Adele uśmiechnęła się, słysząc to pieszczotliwe imię z czasów dzieciństwa.

– Czemu nie? – odparła.

\*\*\*

Przed siódmą łóżka były już naszykowane, a Freddie przygotowała prostą kolację, składającą się z sałatki, pieczywa czosnkowego i sufletu, który miał zostać upieczony po przyjeździe Stelli i Amelii. Trzy kobiety siedziały przed domkiem, pławiąc się w promieniach wieczornego słońca i czekając. W tle grała jedna z cennych winylowych płyt Freddie, przesycając wieczorne powietrze delikatnymi rytmami Hoagyego Carmichaela. Na żeliwnym stoliku stała miska z nadziewanymi oliwkami i dzbanek z przygotowanym przez Freddie koktajlem Singapore Sling. Prinny leżała przy nogach Rose i dyszała, gdy tymczasem Pig i Mildred odpoczywały przy Freddie.

– Wieczór wikingów rozpoczyna się dopiero o ósmej odezwała się gospodyni – więc powinniśmy zobaczyć choć część.

– Dziwię się, że nie jesteś w to zaangażowana – rzuciła zgryźliwie Adele.

– Och, proszono mnie, ale dwa lata temu wystawialiśmy irlandzki folklor, ja byłam Królową Maeve i ten biały byk narobił nam kłopotu. Problemem przy takich inscenizacjach są zawsze zwierzęta.

Adele wyglądała na zaskoczoną. Rose uśmiechnęła się szeroko i poczęstowała kolejną oliwką.

– Patrzenie! – zawołała nagle, zrywając się z krzesła. Psy także podskoczyły. – Jada!

Przez pierwsze dziesięć minut Amelia trajkotała jak katarynka, opowiadając babci, że ma chomika o imieniu Dimples, że była w hotelu Moon i poszła na wielką zjeżdżalnię na basenie, i że na urodziny Becky i Shony ciocia Hazel załatwiła nadmuchiwany zamek. Shona spadła i uderzyła się w głowę, ale Amelia nie.

– Tęskniłam za tobą – Stella przytuliła mocno matkę. – Nie masz pojęcia, jak bardzo za tobą tęskniłam.

– Przecież już się zdarzało, że nie widziałyśmy się przez miesiąc – odparła Rose, starając się ukryć, jak była zaskoczona i pełna wyrzutów sumienia, słysząc w głosie córki szczerze błagalny ton.

– Tak, ale to było coś innego – rzekła Stella z twarzą nadal ukrytą na ramieniu Rose. – Wiedziałam, że jesteś z tatą, teraz to coś innego, prawda? Wszystko się zmieniło.

– Kontaktowałyśmy się z sobą co kilka dni – zaprotestowała matka, przytłoczona wyrzutami sumienia. Wcześniej sądziła, że Stella zrozumie jej pragnienie ucieczki od wszystkiego i dojścia do ładu z własnymi uczuciami. A w normalnych okolicznościach, choć często rozmawiały przez telefon, nie były papużkami nierozłączkami. Rose gardziła matkami, które żądały od swych mieszkających w mieście dzieci, by co drugi weekend posłusznie przyjeżdżały do domu. Te matki nie chciały przyjąć do wiadomości, że dzieci mają własne życie w innym miejscu. Rose sądziła, że dokonała właściwego wyboru i uniknęła tych wszystkich pułapek, ale teraz wyglądało na to, że się myliła.

Adele znajdowała się w cieniu i dopiero teraz Stella ją zauważyła.

– Ciociu, witaj, co tutaj robisz? – zapytała sztywno.

– Adele przyjechała zaoferować swoje wsparcie – wtrąciła pospiesznie Rose.

Stella wyglądała na równie zaskoczoną, jak wcześniej jej matka, ale szybko się opanowała.

– To miło – powiedziała.

Amelii strasznie spodobał się domek Freddie i była zachwycona rozmieszczeniem gości na noc, zwłaszcza swoim nadmuchiwanym łóżkiem. Najbardziej ze wszystkiego podobały się jej jednak psy, które odwodziły się podobnym uczuciem i skakały radośnie wokół niej. Freddie bardzo szybko uwinęła się z omletem, tak by całe towarzystwo mogło obejrzeć część inscenizacji o wikingach.

– To historia na żywo – oświadczyła wybałuszającej oczy Amelii, która była jeszcze bardziej uradowana tym, że może iść późno spać.

Stella podczas kolacji była bardzo cicha, więc Rose nadrabiała to nadmierną gadatliwością, opowiadając o posiłkach dla starszych ludzi i tym, jak wzmocniły jej się mięśnie od tylu spacerów z psami.

Po kolacji zeszły do miasteczka na pokaz wikingów. Melin podskakiwała z przodu, zaś Freddie zwolniła kroku i szła razem z Adele, pozostawiając Rose i Stellę w środku.

– Wydajesz się tutaj taka szczęśliwa – powiedziała Stella. – Stworzyłeś tu sobie życie. – Zawahała się, zanim wydusiła swe obawy. – Nic nie mogę poradzić na to, że czuję, jakbyśmy my nie byli jego częścią.

– Nie mów tak – odparła dotknięta Rose. – To, że tutaj jestem, nie oznacza, że cię odrzucam, Stello, ja jedynie odzyskuję własne życie.

– Wiem. Przepraszam, naprawdę. – Stella przyłgnęła do dłoni Rose. – Zachowuję się egoistycznie. Masz prawo do własnego życia. Nie powinnam była tego mówić. Naprawdę chcę, byś była szczęśliwa, mamo. Chciałabym jedynie czuć, że ja i Amelia nadal jesteśmy tego częścią. Tara i Holly uważają tak samo.

To nie było tak do końca prawdą. Tara, która ostatnio sprawiała wrażenie niezwykle odległej i zatroskanej, co bardzo martwiło jej starszą siostrę, powiedziała, że strasznie przygnębiające jest to, że rodzina się chyba rozpadła.

– To tak jak śmierć w rodzinie – powiedziała Stelli przez telefon wczoraj wieczorem. – Wszystko się zmieniło, mama się zmieniła, i to jest straszne.

Holly jednak nie wydawała się równie zatroskana i bardziej przejmowała się ojcem. Nic nie wspomniała na temat tego, że czuje się wyrzucona poza nawias, ponieważ Rose wyglądała na zadowoloną z nowego, pozbawionego rodziny życia. Stella złożyła to na karb poczucia winy Holly z powodu tego, że wiedziała o romansie ojca i nie powiedziała o nim matce.

– Zawsze będziecie największą częścią mojego życia – rzekła drżącym głosem Rose. – Jestem waszą matką i jestem z was wszystkich tak bardzo dumna. Ale... – Próbowała ubrać w słowa to, co czuje. – To nie chodzi o rodzinę. Chodzi o waszego ojca i o mnie. Chodzi o to, że muszę zdecydować, co robić dalej, a łatwiej to uczynić, będąc daleko od wszystkich. Musisz to zrozumieć, Stello. Gdybym zamieszkała u ciebie, otoczona wspomnieniami o sobie i waszym ojcu, zostałabym z powrotem wciągnięta do naszego małżeństwa, tak naprawdę nie podjąwszy żadnej decyzji co do tego, czy tego chcę, czy nie. Wiem, że uważasz mój pobyt tutaj za egoistyczny, ale muszę być odrobinę egoistyczna. Czy to rozumiesz?

Dotarły właśnie do olbrzymiej łąki za niewielką kaplicą romańską. Zza żywopłotu dobiegały głosy.

– Rozumiem. Chyba po prostu wcześniej tak na to nie patrzyłam – odparła cicho Stella. – Nigdy nie byłaś egoistką; dlatego nie zostawiłaś taty, prawda?

Rose kiwnęła głową.

– Jak wiesz, egoizm nie stanowi opcji dostępnej dla matek.

Amelia czekała, aż ją dogonią. Rose i Stella ujęły jej małe dłonie i huśtały tak, jak uwielbiała, gdy była malutka.

– Mamusiu, ciocia Freddie mówi, że jutro będą tutaj konie. Czy możemy też na to przyjść? – zapytała Amelia.

Nad błyszczącą, ciemną głową córki Stella napotkała spojrzenie Rose.

– Jeśli tylko chcesz, skarbie.

\*\*\*

Sobocie towarzyszyła atmosfera wakacji. Zawody hipiczne bardzo się udały i kiedy nadszedł wieczór, wszystkie panie były w zasadzie tak zmęczone, że nie miały siły odwiedzić jednej z sąsiadek Freddie, organizującej grilla. Amelia znalazła tam do zabawy dwie dziewczynki w podobnym do siebie wieku, a dorośli delektowali się jeźdzeniem i szansą spokojnego siedzenia z papierowymi kubkami z sangrią.

– Strasznie mnie bołą nogi – jęknęła Adele, opadając na jedno z krzeseł w wielkim ogrodzie sąsiadki.

– Mnie też – przyznała Freddie, osuwając się na krzesło obok Adele.

Rose była zbyt niespokojna, by siedzieć, i krążyła po ogrodzie, aż dotarła do znajdującego się na jego końcu kącika z ziołami. Po drugiej stronie murku widać było łąkę, na której z zadowoleniem pasły się owce. Podeszła do niej Stella.

– Ślicznie tu, prawda? – zapytała Rose.

– Pięknie – zgodziła się Stella, przysiadając na murku.

Bardzo spokojnie. Tak jakby miasto znajdowało się milion kilometrów stąd i żadna z głupich rzeczy, którymi się przejmujesz, nie miała tak naprawdę znaczenia.

– Jakie mogą to być te głupie rzeczy? – zapytała Rose, siadając obok córki.

Stella westchnęła.

– Życie, wszechświat, no wiesz.

– Nie wiem. Chodzi o Nicka? – zapytała Rose. – Sądziłam, że jesteście bardzo szczęśliwi.

– Byliśmy – odparła Stella. – To wszystko tak bardzo się skomplikowało. Jenna mnie nienawidzi i wcale nie przesadzam. To nie jest antypatia, to po prostu czysta nienawiść, z czym trudno mi sobie poradzić. Zachowuje się także źle w szkole i była żona Nicka wyraźnie jego obarcza za to winą. Prawdę mówiąc, to Nicka i mnie. Już sobie wyobrażam, co ona myśli: „Gdyby Nick nigdy nie poznał tej kobiety, Jenna nie zachowywałaby się jak potwór itd. To tylko dziecko i nie radzi sobie z nowym życiem ojca”. Czuję się jak wróg publiczny numer jeden.

Rose, która wiedziała, kiedy ugryźć się w język, nie odpowiedziała ani słowem.

– Nie zwracałabym na to uwagi – kontynuowała Stella – ale Nick nie doprowadza do konfrontacji z Jenną, kiedy ta brzydko się zachowuje, co wszystko pogarsza. To tak jakby był głuchy, kiedy ona wygłasza pod nosem te okropne uwagi. Nie staje w mojej obronie. – Mówiła jak zrzęda, ale nic nie umiała na to poradzić. Pod wpływem zachowania Jenny zniknęła spokojna i racjonalna osoba dorosła, a pojawiło się wściekłe, krzyczące dziecko.

– Biedactwo – rzekła Rose. – Pamiętam, że kiedy po raz pierwszy powiedziałaś mi o Nicku, miałam przecucie, że coś takiego może się stać.

– Tak, słyszałam te wszystkie historie o macochach, ale naprawdę sądziłam, że dam sobie radę. Do głowy by mi nawet nie przyszło, że będzie aż tak źle. Sara to urocza dziewczyna, jest zabawna i przyjacielska, i naprawdę słodka wobec Amelii. Ale ta druga... to koszmarne dziecko.

– Musisz zrozumieć, że życie Jenny się zmieniło i że to ciebie postrzega jako osobę winną temu wszystkiemu.

– To irracjonalne – burknęła Stella.

– Ludzie nie zachowują się racjonalnie, zwłaszcza dzieci. A ona to przecież jeszcze dziecko – odparła Rose. – W kontaktach z nią musisz zachowywać spokój, pokazać jej, że takie niegrzeczne zachowanie nie przyniesie jej ani nagród, ani dodatkowej uwagi. Ale musisz zachowywać się jak osoba dorosła. I, co ważniejsze, nie możesz obwiniać Nicka za zachowanie jego córki.

– Mamo, nie chcę, byś była mądra i dostrzegała punkt widzenia każdej innej osoby, chcę, żebyś była po mojej stronie! – oświadczyła gorąco Stella.

– Jestem mądra właśnie dlatego, że jestem po twojej stronie. – Rose wpatrywała się w córkę. – Co to da, jeśli powiem: „Boże, Jenna to okropny bachor, a Nick nie zasługuje na ciebie”? Dokąd nas to zaprowadzi? Donikąd. Posłuchaj, ciebie i Nicka łączy dobry, silny związek. Warto o niego walczyć. Jenna nauczy się w końcu z tobą żyć, a była żona Nicka odpuści i zacznie żyć własnym życiem. Trzeba na to czasu i cierpliwości, ale warto poczekać. Kiedy ma się coś wyjątkowego, trzeba o to walczyć.

Stella milczała. Niechciała wspominać o jeszcze jednym ponurym fakcie, wiszącym nad nią i Nickiem: szoku wywołanym rozstaniem Rose i Hugh. Patrząc przez pryzmat kłopotów rodziców, związek Stelli i Nicka zdawał się niepewny. Skoro jej rodzice mogli się rozstać, to jaką szansę mają ona i Nick z ich wszystkimi skomplikowanymi problemami? Jak długo będzie to trwać, nim nieuchronnie źle się skończy? I czy warto w ogóle kochać, jeśli na końcu tylko się cierpi?

– Pewnie masz rację – powiedziała. – Ale trudno jest poddawać się urokom miłości, kiedy wciąż się czeka na kolejny wybuch. Nicka i mnie rzeczywiście łączy coś wyjątkowego, ale... tak mi ciężko z nienawiścią Jenny. Myślałam, że będę umiała sprawić, by mnie pokochała, naprawdę sądziłam, że moglibyśmy tworzyć coś w rodzaju rodziny... No ale' nie mówmy już więcej o tym. Tak naprawdę to chciałam porozmawiać o Tarze. Martwię się o nią.

– Martwisz? Dlaczego? – zapytała Rose, odsuwając rękę od liści tymianku, którymi się bawiła.

– Wydaje mi się, że z nią i Finnem dzieje się coś niedobrego. Co nie znaczy, że ona cokolwiek mówi – dodała pospiesznie Stella. – Ale kilka miesięcy temu coś mi kazało sądzić, że nie wszystko jest dobrze. A podczas wieczoru rubinowych godów pokłócili się i Finn wypadł z domu jak burza. Nie powiedziała, o co chodzi, i teraz zachowuje się, jakby wszystko było doskonale. Znasz Tarę, za nic w świecie nic nie powie. Ale po prostu czuję, że coś jest nie tak.

Rose zgniotła z roztargnieniem palcami gałązkę tymianku.

– Nic mi nie wspomniała – powiedziała. – No ale przecież i tak by tego nie uczyniła, prawda? Nie teraz. – Roześmiała się gorzko. – Tak bardzo zajęta byłam myśleniem o sobie, że zlekceważyłam was.

– Nieprawda.

– Powinnam z nią pogadać – zdecydowała Rose. – Zaprosić ją tutaj na weekend. Przez telefon może i będzie w stanie zachowywać się tak, jakby wszystko było w porządku, ale nie wtedy, kiedy się spotkamy twarzą w twarz. Co u Holly? — zapytała z wahaniem.

– Chyba dobrze. Wystąpiła jako modelka na pokazie Joan i nic nam o tym nie powiedziała, mała kokietka. Chętnie bym poszła ją zobaczyć. Strasznie się ucieszyłam, kiedy się dowiedziałam, że to zrobiła. To może jej dodać nieco pewności siebie. Jest taka śliczna i utalentowana, a uważa dokładnie na odwrót. Dobija mnie, kiedy patrzę, jak siebie nie docenia. Zgadzasz się ze mną?

Rose poczuła, jak przygniatają ją wyrzuty sumienia względem Holly. Nie była teraz w stanie odpowiedzieć. Pomyślała o ostatnim miesiącu, podczas którego Stella i Tara dzwoniły regularnie, a w ich głosie słychać było niepokój. Holly także dzwoniła, ale łącząc się z pocztą głosową komórki Rose, zostawiała wiadomość, ale nigdy nie dzwoniła ponownie. Kiedy ona oddzwaniała do mieszkania Holly, zawsze włączała się automatyczna sekretarka. Tak samo było z komórką. Rose nie mogła się oprzeć wrażeniu, że jej najmłodsza córka nie chce, by się z nią kontaktowano.

– Myślisz, że Holly też mogłaby mnie tutaj odwiedzić razem z Tarą? – zapytała teraz.

– Jestem pewna, że chętnie by to zrobiła – odparła pogodnie Stella.

\*\*\*

W niedzielne popołudnie wszyscy z wyjątkiem Freddie byli przygnębieni. Rose, nadal dręczona przekonaniem, że wyjeżdżając do ciotki, zawiodła swe córki, przytuliła Stellę tak, jakby miały się już nigdy nie zobaczyć.

– Szkoda, że nie porozmawiałaś ze mną o tacie – powiedziała cicho Stella.

– Przepraszam, po prostu nie mogę. Jeszcze nie teraz odparła Rose. – Obiecuj, że będziesz często dzwonić i zdawać relację co z Nickiem.

– Obiecuję.

– Babciu, kiedy się znowu zobaczymy? – zapytała Amelia.

– Niedługo. Nie zostanę tutaj na zawsze. Za jakiś czas ciocia Freddie mnie wyrzuci, więc wtedy przyjadę do was.

– Przywieziesz z sobą Prinny, Mildred i Pig? – chciała wiedzieć Amelia.

Nawet Adele roześmiała się, słysząc te słowa.

– Do widzenia, Rose, dbaj o siebie – rzekła, obdarzając bratową najcieplejszym uściskiem, jaki zdarzyło im się wymienić. – Jeśli masz zamiar dłużej tu zostać, może przyjechałabym jeszcze raz?

– Jeśli tutaj zostanę, to oczywiście – odparła Rose.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

W piątkowy wieczór Joan, Kenny i Holly siedzieli na małym balkonie w większym mieszkaniu i rozmawiali o liście.

Nadawcą była firma Sally Yvette Inc z Nowego Jorku i tyle razy składano go i rozkładano, że zaczynał przypominać origami. Joan przyglądała mu się co najmniej raz na dziesięć minut, tylko po to, by sobie przypomnieć, że to nie sen i że " ludzie z SYInc rzeczywiście proszą ją, by we wrześniu dołączyła do ekipy ich projektantów na Manhattanie.

– Mnie, proszą mnie – oświadczyła podniosłym tonem, po raz kolejny otwierając list i przesuwając palcem po druku, tak jakby część magii wielkiej mody Nowego Jorku mogła przeniknąć do jej ciała.

– To fantastycznie – powtórzyła po raz setny Holly. Ze wszystkich sił starała się zabarwić głos dziką radością, ale osiągała mizerne rezultaty. Uwielbiała Joan i była niesamowicie dumna z tego, że dostrzeżono jej talent. Jednak ten list oznaczał jedno: początek końca wspólnych dni koszarnej trójki. Holly wiedziała, że ona, Joan i Kenny nigdy nie przestaną być przyjaciółmi, ale że kiedy Joan wyjedzie, wszystko się zmieni na zawsze.

Siedzieli w trójkę z nogami opartymi o metalowe barierki i z twarzami wystawionymi do słońca, łapiąc jego ostatnie promienie w tym skwarowym, czerwcowym dniu. Na ulicy pod nimi tłoczyli się ludzie wybierający się gdzieś na wieczór. Mężczyzna spod numeru siedemdziesiąt jeden kosił trawę i jej zapach mieszał się z uderzającym do głowy aromatem cennych, aczkolwiek nieco skarłowaciałych ziół Kenny'ego, które stały w donicy na balkonie bez względu na pogodę. Ta donica o dziwnym kształcie miała otwory w różnych miejscach i podobno była idealna do uprawy ziół. Bazylia już dawno temu umarła śmiercią naturalną, ale pietruszka miała się świetnie, zaś lawenda („Lawenda to nie zioło, no nie?” – zapytała Joan w dniu, kiedy Kenny przyniósł ją do domu) pachniała jak szalona.

Holly jadła chipsy, trzymając między udami butelkę z sokiem owocowym i starała się wmówić w siebie, że nie ma prawa czuć smutku, skoro Joan otrzymała naprawdę niesamowitą szansę.

– Będzie nam ciebie brakować – powiedział żałośnie Kenny. To jemu było najtrudniej. Po początkowym wybuchu w stylu: „Absolutnie fantastycznie!” i „Skarbie, to naprawdę fantastycznie!”, zdał sobie sprawę z tego, że Joan wyjedzie. – Kto będzie teraz zapominał o umyciu brodzika? – zapytał, biorąc z torby Holly garść chipsów o smaku serowo-cebulowym. – Kto będzie wyciągał z lodówki moją maseczkę z awokado i ogórka, i rozsmarowywał ją na toście? Kto wrzuci mój nylonowy T-shirt od Prady do pralki, ustawiając ją na gotowanie?

Holly zachichotała.

– Nie bądźcie smutni – błagała Joan.

– Nie jesteśmy – odparła szybko Holly. – Cieszymy się razem z tobą, jesteśmy po prostu egoistycznymi prosiakami i myślimy o tym, jakie Nowy Jork ma szczęście, że ty tam będziesz, a my zostaniemy tutaj i będziemy samotni bez ciebie.

– Możecie mnie odwiedzać.

Kenny się ożywił.

– Chodzą słuchy, że w Garment District jest taki designerski outlet, gdzie można kupić rzeczy od Calvina Kleina, zanim zdążą trafić do sklepów. To może być jeden z tych miejskich mitów, ale tylko sobie wyobraźcie... – urwał i marzycielsko zatopił się w wizji swojej osoby, odzianej w wyszukane koszule i doskonale skrojone garnitury.

– Znajdziemy go, zobaczysz – obiecała gorąco Joan, jakby to była misja poszukiwania świętego Graala. – Namierzę go, jasne?

Holly przygniatało poczucie winy. Biedna Joan pragnęła jedynie, by jej dwoje najlepszych przyjaciół cieszyło się razem z nią, a oni jęczeli niczym para rozpuszczonych bachorów.

– Powinniśmy poczynić plany – oświadczyła. – Plan twojej imprezy pożegnalnej i plan naszych odwiedzin. – Oczy Joan podejrzanie błyszczały. Zauważywszy to, Holly przyspieszyła. Joan nigdy nie płakała. – Prawdę mówiąc, moglibyśmy pomóc ci w znalezieniu mieszkania w Nowym Jorku przez Internet.

– Nie! – krzyknął Kenny. – Moglibyśmy polecieć z tobą na długi weekend i pomóc. Do diabła z netem.

– Tak – odparła radośnie Joan. – Oboje przylecicie, na dłużej niż długi weekend, jasne? Moglibyście przylecieć razem!

– Czemu nie? – zawołał Kenny.

Holly pomyślała o tym, że nie ma planów na następne sto lat. Pomyślała także o Tomie i o tym, jak on i jego narzeczona tkwią po uszy w planowaniu ślubu stulecia. Caroline przyjeżdżała teraz do Dublina co weekend, kurczowo trzymając się Toma i żądając honorowego członkostwa w ich czwórce, co niesamowicie irytowało zarówno Kenny'ego, jak i Joan. Holly nigdy nie odzywała się ani słowem, kiedy Joan psioczyła na Caroline i jej fałszywą przyjaźń.

– Nie znoszę tego babska, wiesz? Jest tak cholernie plastikowa – wściekała się Joan. – Kiedy jest wobec mnie słodka, wiem, że nie robi tego bezinteresownie. Dociera do niej, że mogę jej się przydać w przyszłości. Cóż, jeśli sądzi, że zaprojektuję jej cholerną suknię ślubną, to może się wypchać.

– Nowy Jork brzmi świetnie – rzekła teraz Holly. – Ale za co my polecimy?

Cała trójka popatrzyła refleksyjnie przed siebie. Finanse zawsze stanowiły problem. Właściciel domu podwyższył czynsz i Holly brała jak najwięcej nadgodzin, by jakoś związać koniec z końcem. Kenny oszczędzał na samochód, który w pracy stylisty byłby nieoceniony. Joan otrzymała opłacony bilet, zgodnie z informacjami zawartymi w liście z SYInc.

– Ciekawe, czy wykupią mi bilet w pierwszej klasie? – dumiała.

– Pewnie tak – odparł Kenny. – Ty polecisz pierwszą klasą, a ja i Holly zerową.

– Czyli na skrzydłach? – zażartowała Holly.

– Nie, w luku bagażowym. I oznacza to także ZWK. Zabieramy Własne Kanapki – wyjaśnił.

– Jeśli dostanę bilet w pierwszej klasie, to moglibyśmy go zamienić na trzy bilety w klasie ekonomicznej – zaproponowała Joan.

– Zawsze twierdziłem, że jesteś geniuszem kreatywności – uśmiechnął się promiennie Kenny, stukając puszką sprite w butelkę wody Joan.

\*\*\*

Następnego wieczoru Holly, wykończona po wyjątkowo ciężkim dniu w Lee's, klęczała i segregowała pranie. Zarówno Kenny, jaki Joan gdzieś wyszli, sobotni program telewizyjny był tragiczny i Holly uznała, że równie dobrze może uczcić swoje ekscytujące życie singielki, spędzając wieczór w pralni samoobsługowej. W celu dodania szczypty nieskrępowanej dekadencji planowała kupić po drodze jakieś czasopismo i czekoladę. Kto powiedział, że pracujące dziewczyny nie wiodą ekscytującego życia, pomyślała cierpko, dzieląc rzeczy na ciemne, białe i te, które trzeba wyprać ręcznie. Te ostatnie dołączyły do nieustannie powiększającej się sterty w koszu. Holly obiecała sobie, że jutro się tym zajmie. Zdążyła upchnąć brudne ciuchy do dwóch toreb, kiedy rozległ się dzwonek. Właściciel domu? Joan z prośbą o pożyczanie pieniędzy? Holly szła do drzwi, rozważając w głowie ewentalności.

Na progu stał Tom. Wyglądał na skrępowanego, co nie było niczym nowym. Od tamtego pamiętnego poranka po triumfatorskim pokazie Joan zawsze się taki wydawał, gdy spotykał Holly. Wiedziała, że ona najpewniej wygląda tak samo. Ich swobodne koleżeństwo zniknęło w chwili, gdy Tom zobaczył ją wracającą do domu po nocy spędzonej z Vikiem. Teraz mówili sobie „cześć” i zachowywali pozory, uprzejmie pytali „co u ciebie?”, a nawet – co gorsza – „jak praca?”, niczym obcy ludzie, którzy od lat spotykają się w tym samym autobusie. Jako że Kenny,

Joan i Caroline mówili wystarczająco za dziesięć osób, nikt tak naprawdę nie dostrzegł tej olbrzymiej wyrwy w komunikacji pomiędzy Holly a Tomem.

Holly oparła się o framugę.

– Cześć – powiedziała, dostrzegając, że trzyma coś w dłoni.

– Cześć. – Podążył za jej spojrzeniem i podniósł coś do góry. To była mała koperta. Podał ją.

– W przyszłym tygodniu urządzamy przyjęcie zaręczynowe, a to zaproszenie dla ciebie.

– Och, dzięki. – Holly wzięła od niego kopertę. – Eee, wejdiesz?

Kiwnął głową.

Wprowadziła go do pokoju i usiadła. Przynajmniej nie zdążyła jeszcze włożyć na siebie nic rozciągniętego i wygodnego, co nadawało się na wizytę w pralni, tylko nadal była ubrana w elegancką koszulę służbową i świetnie skrojone czarne spodnie. Tom przysiadł na drugiej sofie, ale nie oparł się. Wciąż patrzył na trzymaną przez Holly kopertę. Nie była pewna, czy on chce, by ją otworzyła, w każdym razie tak właśnie uczyniła.

Tylko Caroline mogła tak napisać, pomyślała, przyglądając się formalnemu arkusikowi, zapraszającemu „Holly z osobą towarzyszącą” na przyjęcie w hotelu w centrum miasta, które miało się odbyć za dziesięć dni. Holly poczuła się szczerze zirytowana tym fragmentem „z osobą towarzyszącą”. Wyobrażała sobie, jak Caroline z lubością wypełniała to zaproszenie, biedna Holly, w jej życiu nie było nikogo ważnego, więc mogła przyprowadzić z sobą osobę towarzyszącą, narzędzie pozwalające zachować twarz niezwiązanej z nikim kobiecie.

– Jakoś tak sobie pomyślałam, że wyprawicie to przyjęcie w Cork, a nie w Dublinie – powiedziała.

– Caroline w przyszłym miesiącu przeprowadza się do Dublina. Uznała, że dobrze będzie rozpocząć życie tutaj od przyjęcia – wyjaśnił Tom.

– Och. – Holly zastanawiała się, ilu przyjaciół Toma i Caroline okaże się na tyle oddanych, by poświęcić sześć godzin na drogę tam i z powrotem, i zjawić się na przyjęciu organizowanym w środku tygodnia.

Wydawało się, że Tom czyta w jej myślach, gdyż dodał:

– Wielu ludzi z Cork nie będzie pewnie mogło przyjechać, ale Caroline mówi, że mamy tutaj wystarczająco dużo nowych przyjaciół.

Holly poczuła współczucie wobec dawnych przyjaciół Caroline, bezwzględnie odesłanych na sam koniec kolejki, gdy tymczasem ona wyruszyła na poszukiwanie nowych. Gorączkowo myślała, co by tu jeszcze powiedzieć.

– Więc to będzie duże przyjęcie?

Przez twarz Toma przemknął cień irytacji, tak przelotny, że Holly uznała, iż tylko go sobie wyobraziła.

– Znasz Caroline, lubi robić wrzawę wokół siebie. Próbuje załatwić, by na przyjęciu grał zespół brata Vica.

Holly wzdrygnęła się w duchu na dźwięk imienia Vica. Tom nie wiedział, jak zakończyła się ta sprawa: Holly nadal czuła zakłopotanie, gdy o tym myślała.

Nagle poczuła się zbyt wykończona, by poświęcać więcej czasu drewnianej rozmowie z mężczyzną, na którym jej zależało. Tom i tak należał do innej kobiety i wyraźnie nie pochwalał jej rzekomego szalonego romansu z Vikiem. Holly miała już dość dezaprobaty innych ludzi. Wstała.

– Muszę wyjść, Tom – powiedziała. – Przepraszam.

– Och, jasne. – Wstał szybko. – Ja też.

– Taa. – Holly zerknęła na zegarek. – Czas pędzi jak szalony i w ogóle.

– Tak. – Na jego twarzy na chwilę pojawił się uśmiech. – Przyjdiesz więc na przyjęcie? Z Vikiem?

W jakiś sposób Holly udało się zachować niezobowiązujący wyraz twarzy.

– Jestem pewna, że dam radę przyjść. – Tylko tyle powiedziała.

Kiedy Tom wyszedł, jej cały entuzjizm odnośnie do pralni wyparował. Ale musiała to zrobić. Włożyła dzinsową marynarkę, chwyciła portfel i torby z praniem, i wyszła.

Pralnia Soapy Susi's była praktycznie pusta, nie licząc ponurego mężczyzny w sfatygowanym garniturze. Najwyraźniej nieszczęśnik miał za sobą kiepski dzień w biurze. Holly odwróciła spojrzenie od jego posępnej twarzy. Włożyła pranie do wielkich bębnow, żałując, że nie ma tyle pieniędzy, by pozwolić sobie zawsze na pralnię chemiczną. Usadowiła się wygodnie na starym, winylowym krześle, ostrożnie rozpakowała tabliczkę czekolady i otworzyła kolorowy magazyn.

Pochłonięta była artykułem o rozstaniach gwiazdorskich par, kiedy drzwi Soapy Susi's otworzyły się z piskiem. Nie podniosła głowy. Kontakt wzrokowy w pralni samoobsługowej mógł być fatalny w skutkach. Nie mając żadnej rozrywki (nie można przecież liczyć przekrzywionego telewizora powieszzonego wysoko na ścianie i na stale ustawionego na kanał z zakupami), łatwo było uwikłać się w dwugodzinną rozmowę z jakimś świrem. Efekt Trójkąta Bermudzkiego Holly oznaczał, że jeśli w pobliżu znajdował się jakiś dziwak dowolnego typu, zawsze w jakiś sposób wyczuwał jej obecność i pędził z otwartymi ramionami w jej stronę. Do najokropniejszego spotkania doszło w zeszłym miesiącu, kiedy zjawiała się tutaj w towarzystwie Joan. Słodki, skonsternowany starszy pan w piżamie w „tureckie” wzory wcale się nie zgubił i nie zaszedł przez pomyłkę. Nie. To był ekshibicjonista, który radośnie obnażył się przed całą klientelą Soapy Susi's w tej samej chwili, gdy pełna dobrych chęci Holly pytała go, czy wie, gdzie się znajduje i czy mogłaby zadzwonić po kogoś, kto by go stąd zabrał. Joan śmiała się jak hiena.

– Myślałam, że może się zgubił i że powinniśmy zadzwonić na policję albo gdzieś – powiedziała oszołomiona Holly, kiedy Piżamowy Pan dał nogę z pralni, nim zdążył go zatrzymać któryś ze zdumionych klientów.

– Zgadza się, mogłybyśmy zadzwonić na policję – wyła Joan pomiędzy hienami odgłosami – ale pewnie by nam powiedzieli, że marnujemy ich czas na ekshibicjonistę wyposażonego raptem w kielbaskę koktajlową.

Holly dostała więc nauczkę. Oczy w dół i zero angażowania się: tak brzmiało teraz jej motto.

Przekręciła kartkę, nadal skubiąc czekoladę. Holly potrafiła jeść czekoladę przez całe dziesięć minut, delektując się każdą zakazaną kostką. „Kto jest dla ciebie odpowiedni w miłości?” – krzyczał nagłówek nad artykułem na temat horoskopów i dobierania idealnego partnera. Holly natychmiast sprawdziła, jakiego typu mężczyzn lubią Raki. Jej idealny partner byłby „silny, życzliwy i zdolny wydostać delikatnego, nieśmiałego Raka z jego skorupy. Twój idealny partner rozumie, że choć wydajesz się pełna rezerwy, pod tą kruchą powłoką tak naprawdę jesteś namiętna i dzika”.

Holly wsunęła ostatnią kostkę czekolady do ust, przebiegając wzrokiem artykuł, by się przekonać, czy Raki są kompatybilne z Bykami, znakiem Toma, kiedy nagle ktoś pojawił się nad nią. Podniosła szybko głowę, wyczulona na szaleńców. A to Tom we własnej osobie, trzymający w ręku pustą torbę sportową.

– Cieszę się, że nie tylko ja mam ekscytujące plany na sobotni wieczór – powiedział żałośnie, uśmiechając się do niej. Usiadł obok Holly, wyciągnął przed siebie długie nogi i oparł się na krześle.

Holly mimowolnie dostrzegła zabawną stronę tej sytuacji.

– Tylko poczekaj do dziewiątej, wtedy to miejsce zaczyna tętnić życiem – rzekła. – Nie masz pojęcia... Człowieku, jest bardzo ostro. Są tańce, czasami negliż i na kanale z zakupami robi się naprawdę ciekawie.

– Już mi się podoba – uśmiechnął się w odpowiedzi Tom. – Opowiedz mi o tym negliżu. Masz na myśli to, że ludzie wchodzą i rozbierają się do samej bielizny, tak jak w tej starej reklamie Levisów?

Przed oczami Holly pojawiła się nagle postać Piżamowego Pana i zaczęła się śmiać.

– Nie uwierzyłbyś, gdybym ci powiedziała.

– Spróbuj.

Śmiał się z tej historii, ale nie aż tak serdecznie jak Joan.

– Musiałś się naprawdę zdenerwować – skomentował łagodnie.

– Cóż, nie aż tak bardzo. Gdyby nie było ze mną Joan, na pewno bym się rozpląkała. Ale ona śmiała się tak bardzo, że i mnie się to wydało trochę zabawne.

– To miło ze strony Joan.

– Bo widzisz, normalnie jestem zupełnie sama, kiedy przytrafiają się te szalone rzeczy. To efekt magnesu: przyciągam do siebie dziwnych ludzi.

– Nie opowiadaj głupstw. – Tom wyglądał na zirytowanego tym, że Holly może tak o sobie myśleć.

– Nie, to prawda – odparła. – Jestem magnesem w sensie negatywnym. Niektórym kobietom towarzyszy aura, która sprawia, że mężczyźni rzucają im się do stóp. Ja mam aurę, która pijakom każe mnie gonić.

– Przestań – zaśmiał się Tom. – Żartujesz sobie. Wcale tak nie jest.

– Ależ tak – upierała się Holly. – W autobusie pijacy zawsze siadają obok mnie. Nawet w pracy jest taki pijaczek o imieniu Rasher, który śpi przed sklepem i kiedy strażnik odwraca się, Rasher wchodzi do środka i zawsze podchodzi do mnie!

– Bo wie, iż jesteś miła i że masz dobre serce – zauważył Tom. – Założę się, że nikt inny w Lee's nie zna jego imienia.

– Cóż, nie. Ochroniarze je znają, ponieważ to oni muszą go wyprowadzać ze sklepu. Ja przecież tylko odezwę się czasem do niego, gdy go mijam.

– Widzisz, jesteś życzliwa i samotni, smutni ludzie to wyczuwają.

Do akcji wkroczył niestosowny mechanizm rumienienia się Holly.

Tom to zauważył i zmienił temat.

– Co czytasz?

Zwykły, pąsowy rumieniec przybrał interesujący kolor fuksji.

– Eee... nic – mruknęła. Nie chciała, by Tom zobaczył, że studiuje uważnie artykuł na temat znalezienia idealnego zodiakalnego partnera. Mężczyźni uważali, że horoskopy są durne. Prawdę mówiąc, знаła tylko jednego ich zwolennika – był to Kenny, który miał większy kontakt ze swoją kobiecą stroną niż przeciętny mężczyzna. Jednak Tom wyjął delikatnie gazetę z jej dłoni i zaczął czytać z zaciekawieniem.

– Spod jakiego jesteś znaku? – zapytał.

– Rak. Ponieważ ciągle się cofam – dodała żartobliwie.

– Jest wiele słów, którymi można cię opisać, Holly, ale tych akurat bym nie użył. – Czytał dalej. – Ja jestem Bykiem – rzekł.

– Naprawdę? – zapytała niewinnie.

Przyglądała mu się i wyglądało na to, że czyta część dotyczącą Raków. Ale to niemożliwe, chyba że Caroline też była spod tego znaku.

– Spod jakiego znaku jest Caroline?

– Lew – odparł zwięźle.

Ekstrawertyczna, namiętna, zapadająca w pamięć, z parciem na sukces. Zdaniem Holly ludzie zauważali Lwy. A Caroline z całą pewnością posiadała wszystkie te cechy, tylko po prostu nie była zbyt miła. Holly żałowała, że Tom nie znalazł sobie miłszego Lwa, życzliwego i szczerego. Caroline była dla niego zbyt twarda. No ale co ona mogła wiedzieć? Przerwała czytanie ponad ramieniem Toma. Fajnie było siedzieć i rozmawiać, prawie tak jak kiedyś, zanim Caroline z gracją wylądowała w życiu Holly.

Tom przeczucił kilka kartek.

– Och, „Tęga głowa czy lalunia: sprawdź potęgę swego mózgu”. Musimy to zrobić, Holly – zdecydował z entuzjazmem.

Jakiegolwiek plany miałyby na wieczór, Holly nawet nie przyszłoby do głowy, że będzie siedzieć w pralni razem z Tomem i przekomarzać się w trakcie rozwiązywania quizu. Długo trwało, nim go skończyli, posprzeczawszy się nieco na temat relacji przestrzennych.

Następnie zabrali się za krzyżówkę. W przerwach oboje sprawdzali co z ich praniem. Czas płynął. Męczyli się właśnie z terminem określającym rząd, do którego należy skowronek, kiedy

Holly dostrzegła, że suszarka skończyła swoją pracę. Po raz pierwszy w życiu żałowała, że nie może spędzić w pralni więcej czasu.

Wstała i zaczęła wyjmować ubrania, składając wszystkie starannie. Chciała, by trwało to jak najdłużej. Kiedy skończyła, uśmiechnęła się do Toma.

– Chyba powinnam już iść – rzekła.

– Mogłabyś na mnie poczekać, moje pranie niedługo będzie suche – odparł.

Holly zawahała się i zerknęła na zegarek, bardziej dlatego, że nie chciała wyglądać na zbyt ochoczą niż z jakiegokolwiek innego powodu, ale Tom mylnie zinterpretował ten gest.

– Przepraszam. Robi się późno. Powinnaś już iść. Pozdrów ode mnie Vica.

Holly była przerażona. On myślał, że ona spotyka się dziś z Vikiem. Otworzyła usta, by mu powiedzieć, że ona i Vic już się nie widują, ale czy nie zabrzmiałoby to jeszcze gorzej? Tak jakby była zdziwiona i po trzech tygodniach znajomości poszła do łóżka z Vikiem po to tylko, by tydzień później go porzucić. Myśli te szybko przebiegały przez jej głowę. Co mogłaby powiedzieć?

Tom rozwiązał ten problem podając jej magazyn.

– Dzięki za dotrzymanie mi towarzystwa – rzekł. – Fajnie było. – Do jego spojrzenia powróciła rezerwa.

– Rzeczywiście – odparła głucho Holly. Wzięła od niego magazyn, przewiesiła przez ramię torby z praniem i wyszła na ciemną ulicę. Gdyby tylko Tom znał prawdę.

Szła wolnym krokiem i raz po raz odgrywała w myślach film pod tytułem *Vic: koniec*.

Czując się jak tchórz, przez dwa dni jakoś unikała telefonów od Vica. W końcu przyjechał po nią do pracy.

– Fajny – powiedziała Bunny do Holly, gdy Vic przechadzał się między stojakami z odzieżą dziecięcą. Wcześniej nie miała okazji go poznać, gdyż w czasie pokazu Joan wyjechała na wakacje.

– Fajny – zgodziła się Holly – ale mnie się po prostu nie podoba.

– On o tym wie?

Holly westchnęła ciężko.

– Nie, muszę mu to dzisiaj powiedzieć.

Siedzieli w kafejce, czekając na swoje koktajle, truskawkową niespodziankę (Holly) i pszeniczny strzał (Vic).

W ciągu dwudziestu siedmiu lat swego życia Holly nigdy nikogo nie porzuciła. To ona zawsze była porzucana i po prostu nie wiedziała, jak to rozegrać od drugiej strony. Osoba porzucana zagryzała wargę, okazywała zafascynowanie swymi skórkami przy paznokciach i jakoś wstrzymywała łzy, kiedy kiwała głową i mówiła: „Tak, masz rację. Nie pasujemy do siebie, potrzebujemy więcej przestrzeni, oczywiście, że nadal możemy się przyjaźnić”.

Uważała, że to okropne, ale bycie po drugiej stronie okazało się gorsze. W ciągu ostatnich dwóch dni przerobiła w myślach każdą możliwą kombinację słów: „Lubię cię jako przyjaciela, ale niejako chłopaka”. Teraz te wszystkie starannie dobrane słowa wyleciały jej z głowy.

– Przepraszam cię, Vic – wyrzuciła z siebie. – Ja po prostu... nie mogę...eee, wydaje mi się, że nie jesteśmy dla siebie stworzeni.

Vic przyjął to zaskakująco dobrze, no ale przecież nie na darmo był najzdolniejszym studentem na roku podczas studiów medycznych.

– To Tom Barry, prawda?

Holly poczuła się tak, jakby mierzyła piętnaście centymetrów.

– Przepraszam – rzekła, zwieszając głowę. – Nie łącz nas związek ani nic innego.

– Ale szalejesz za nim? – zapytał przenikliwie. – Już chyba bym wolał, żeby był ktoś inny.

Wychodzi bowiem na to, że jestem tak koszmarnym nudziarzem, że nie możesz znieść mego towarzystwa. I rzeczywiście zawsze miałem przecucie, że lubisz Toma bardziej niż twierdzisz.

Holly poczuła, jak oczy zachodzą jej łzami.

Pojawiły się ich koktajle i Vic wypił swój do dna.

– Faj, ale ohydztwo.

– Trzeba trochę czasu, by się przekonać do pszenicy pociągnęła nosem Holly.

Vic wziął ze stolika ich rachunek.

– Zapłacę za to i pójdę – rzekł.

Holly pokręciła głową i wyciągnęła rękę, by wziąć od niego rachunek. Nadgarstkiem zaczepliła o nietkniętą szklankę z koktajlem i przewróciła ją. Vic szybko jak błyskawica chwycił z baru garść serwetek i rozłożył je na kałuży szokującego rózu.

– Przepraszam – powiedziała ze łzami w oczach Holly. Przepraszam za wszystko...

– Nie smuć się – odparł łagodnie Vic, przykucając obok jej krzesła. Podał jej serwetkę, by mogła wytrzeć z dłoni odrobinę koktajlu truskawkowego. Jego życzliwość sprawiła, że zrobiło jej się jeszcze bardziej smutno i zanosilo się na to, że pociąganie nosem zamieni się w szloch.

– Nie płacz. Jesteś naprawdę wyjątkową osobą, Holly. Szkoda, że nie jestem w twoim typie. No ale tak już jest – wzruszył ramionami. – Raz na wozie, raz pod wozem. Nikt tu dzisiaj nie umarł, okej?

Kiwnęła głową, ocierając oczy serwetką.

Vic wstał i uśmiechnął się do niej.

– No to na razie.

I poszedł. Holly siedziała tam całe wieki, nienawidząc samej siebie. Vic był takim uroczym, przyzwoitym człowiekiem. Dlaczego nie potrafiła go pokochać? I czy już zawsze miała pragnąć tego, czego nie mogła mieć?

Pranie z każdą chwilą stawało się coraz cięższe i Holly cieszyła się, kiedy dotarła do domu. Zostawiła torby na korytarzu i natychmiast włączyła telewizor. Nie obchodziło jej to, że nie ma nic ciekawego, i tak to będzie oglądać. Dzisiejszego wieczoru nie chciała być sama z własnymi myślami.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

– Proszę mi więc powiedzieć, jakiego rodzaju badania pani przeprowadza? – Dziennikarka zamruwała oczami skrytymi za okularami w dyskretnych, złotych oprawkach. Dyktafon czekał gotowy, a w jej każdym geście widać było niezwykłą dociekliwość. – Uosabia się pani ze swoimi postaciami? Jak trudno jest pisać o tematach w rodzaju, och, powiedzmy eutanazji bądź cudzołóstwa? Tak przy okazji, to były naprawdę świetne wątki. I czy to prawda, że szykuje się rozbudowany wątek dotyczący alkoholizmu?

Tara starała się, by na jej twarzy nie malował się smutek. To nie wina tej biednej dziennikarki, że ostatnie wątki w *National Hospital* mogły być żywcem wyjęte z życia Tary i pokazane na ekranie nawet bez żadnych poprawek. Wyrzuty sumienia z powodu pójścia do łóżka ze Scottem Irvingiem pęczniały w niej niczym ropień, z każdym dniem większy i bardziej bolesny. Kiedy wpatrywała się w monitor, widziała twarz męża. Każde pisane zdanie kierowało jej myśli na Finna. Każda scena zdawała się mieć coś wspólnego z jej poczuciem winy. I odnosiła wrażenie, jakby wszystko i wszyscy spiskowali przeciwko niej, byle tylko gorzej się czuła.

Bea, niedawno zatrudniona młodsza dziennikarka z kobiecego magazynu „Style”, przemyślała spojrzeniem po zaafierowanej twarzy Tary. Wszystko na planie było tak bardzo interesujące. Ludzie biegali wokół przez cały czas z telefonami komórkowymi i słuchawkami, rozmawiając i gestykulując, mawiając kąty ustawienia kamery, ciągnąc za sobą grube kable. Bea ledwie była w stanie uwierzyć w to, że spędza cały dzień na planie *National Hospital*, i że obiecano jej dostęp do wszystkich miejsc, a także możliwość przyglądania się kręceniu scen. Miała nadzieję, że uda jej się przeprowadzić wywiad z tym oszałamiającym doktorem McCambridge, który był jej ulubieńcem, ale nigdzie nie było go widać...

Tara zmusiła się do powrotu myślami do powierzonego jej zadania. To ją poprosił Aaron, by porozmawiała z Beą. Na planie miano właśnie kręcić kluczową scenę, w której jedna z głównych bohaterek przyznaje się do romansu z kolegą pracy. Była lekarką na stażu i początkowo Tara zastanawiali się, biorąc pod uwagę ilość pracy prawdziwych stażystów, skąd, u diabła, ta biedna

kobieta miała czerpać energię do uprawiania seksu z własnym mężem, nie wspominając o przyrodzie pozamałżeńskiej. Obecnie bardzo się starała nie myśleć o pojęciu przygód pozamałżeńskich, koniec, kropka.

– Badanie to kwestia kluczowa – Tara usłyszała własne słowa. Nie znosiła słowa „kluczowy”. To był prawdziwy bełkot kierownictwa średniego szczebla i już samo użycie go dowodziło, że jej procesy myślowe są równie pomieszane jak sygnały telewizyjne. – Kiedy pracujemy nad konkretnym wątkiem, wszyscy scenarzyści siadają razem i odbywa się burza mózgów. Przerzucamy się pomysłami. Nie działa to tak dobrze, gdy się siedzi samemu w domu. Praca zespołowa to klucz do sukcesu.

Bea była zafascynowana i trzymała niewielki dyktafon tuż pod nosem Tary, jakby jej rozmówczyni właśnie wyjawiała sekret sensu oraz jak się pozbyć cellulitu.

– Ale skąd pochodzą te pomysły? – zapytała Bea, przebiegając wzrokiem po długiej liście pytań, nad których wymyśleniem spędziła cały wczorajszy wieczór. – Jak na przykład ta dzisiejsza scena z dr Kavanagh. Jestem prawdziwą fanką i oglądałam te odcinki, gdzie no wie pani, jej mąż ma się dowiedzieć, a ona robi wszystko, by to ukryć. Och, to takie rzeczywiste. Pani naprawdę wchodzi w jej duszę i widzi, jak strasznie ona musi się czuć. Z pewnością trudno wejść w taki sposób do czyichś myśli?

Tarze udało się przywołać na twarz minę pełną namysłu, jakby zastanawiała się, w jaki sposób odpowiedzieć na te zawile pytania. Artykuł mógłby się okazać doprawdy ciekawy, gdyby powiedziała: „Tak, wiem wszystko o cudzołóstwie, ponieważ niedawno zdradziłam męża z jednym ze scenarzystów. Mówię o Scotcie Irvingu, który jest całkiem niezły, ale obecnie nie rozmawia ze mną, co oznacza, że atmosfera na planie jest lodowata i sztywna. A mój mąż coś podejrzewa, więc także ze mną nie rozmawia, co niewątpliwie pomaga mi w lepszym zrozumieniu tego akurat tematu. A więc owszem, osobiste doświadczenia pomagają w pisaniu...” Zamiast tego wzruszyła ramionami. – To nie ja napisałam dzisiejszą scenę – powiedziała. – Pracuję nad innym wątkiem, związanym z Tonym Carlisle.

Pożałowała tych słów natychmiast, gdy je wypowiedziała. Wątek Tony'ego Carlisle dotyczył staczania się w alkoholizm, w którym to temacie rzeczywiście się specjalizowała. Teraz Bea będzie chciała wiedzieć, jakie przeprowadziła w związku z tym badania i kiedy tylko Tara zacznie myśleć o Finnie, na pewno się rozplacze.

– Och, dr McCambridge – wyszeptała z podekscytowaniem Bea, zapominając o wywiadzie. – Uwielbiam go. Jest miły czy zbyt gwiazdorski, by rozmawiać ze zwykłymi ludźmi? Bardzo bym chciała z nim porozmawiać, ale pewnie ma dość udzielania wywiadów. – Popatrzyła skwapliwie na Tarę błyszczącymi oczami fanki gwiazd ekranu.

– W żadnym wypadku – skłamała Tara. Uratowana w ostatniej chwili. – On uwielbia dziennikarzy. – Pomachała do Stephena, który szybko do niej podszedł, kiedy dostrzegł dyktafon.

Z bliska Stephen był jeszcze bardziej przystojny niż na ekranie i Bea zareagowała w taki sam sposób, jak wszyscy inni: zarumieniła się, oblała się zimnym potem i wyciągnęła w jego stronę drżącą dłoń.

– Cześć – odezwał się Stephen, opadając na krzesło. – Naprawdę, co za beznadzieja. Powiedziałem mojemu asystentowi, że dzisiaj muszę wyjść wcześniej i iść do dentysty, a teraz sprawdzam i okazuje się, że mam zdjęcia aż do ósmej!

Tara zdusiła uśmiech. Gdyby Stephen chodził tak często do dentysty, jak twierdził, miałby zęby ze szczerego złota. Według niej chciał się po prostu zmyć wcześniej, ponieważ dziś odbywała się premiera sztuki Pintera. Co najmniej połowa obsady zdążyła już zgłosić nagłe wypadki medyczne, problemy z opiekunkami do dzieci i chorych krewnych, byle tylko wyjść wcześniej do domu.

– Zawsze pracuje pan do późna? – zapytała Bea, a jej trzymająca dyktafon dłoń nadal lekko drżała, kiedy podsunęła go bliżej przystojnej twarzy Stephena. – Sądziłam, że granie w tego typu produkcji oznacza stałe godziny pracy, nawet jeśli niezupełnie od dziewiątej do siedemnastej.

– Chciałbym! Reżyser to nadzorca niewolników! – warknął Stephen, po czym rozpoczął swoją dobrze wszystkim znaną śpiewkę na temat długich godzin pracy, niskiej płacy, zero czasu na próby, braku szacunku dla aktorów serialowych i ryzach nowych dialogów do uczenia się z dnia na dzień. – Nie wspominając już o braku czasu na inne projekty – dodał ponuro, mając na myśli lukratywną rolę w filmie francuskim, który w zeszłą zimę kręcono w Connemarze. Dzięki niej miałby pieniądze na zapłacenie podatków. – Nie uwierzyłybyś, gdybym ci opowiedział, co się dzieje za kulisami – dodał złośliwie.

Tara przez chwilę czuła się winna. Zniknęła gdzieś osoba zajmująca się promocją, która opiekowała się Beą i bez wątplenia byłaby wściekła, że Stephenowi pozwolono rozmawiać z dziennikarką bez niej. Może i był gwiazdą tego serialu, i odniósł z tego powodu ogromny sukces, ale należał do tych ludzi, którzy lubią czuć się pokrzywdzeni. Nigdy do niego nie dotarło, że ma więcej władzy i jest znacznie bardziej uprzywilejowany od wielu ludzi z obsady.

– Bardzo mało czasu na próby, kręcenie scen po kolei, tak że nie ma szansy na popracowanie nad którąś z nich – recytował listę swych żali. – A jeśli chodzi o wątki to... ech. Ostatnio dostałem wątek z piekła rodem. – Popatrzył ze złością na Tarę. – Tak jak te sceny miłosne z tą głupią Sherry DaVinci. Moja postać nigdy by nawet nie spojrzała na taką idiotkę.

Wydawał się taki wściekły, że Bea przelknęła ślinę i cofnęła się na swoim krześle.

– Stephen. – Asystentka produkcji, uzbrojona w podkładkę do pisania z klipsem i mikrofon bezprzewodowy, uśmiechnęła się do aktora, mając nadzieję, że w niczym nie przeszkadza, inaczej na pewno zostałaby zrugana.

Stephen oddalił się szybko, nie pożegnawszy się z Beą ani Tarą.

– Niezupełnie tak go sobie wyobrażałam – wyszeptała Bea.

– On jest wyjątkiem – odparła Tara, litując się nad nią. – Większość naszych aktorów i aktorek to fantastyczni ludzie. Muszę cię przedstawić Allegrze Armstrong, ona uwielbia pracę w *National Hospital* i to prawdziwa profesjonalistka, a przy tym jest przemiła. Naprawdę ją polubisz.

– Dzięki – mruknęła Bea.

– Widzisz, Stephen bardzo otwarcie mówi o minusach aktorstwa – ciągnęła Tara – choć trzeba mu przyznać trochę racji. Granie w telenoweli to ciężka praca, ale ponieważ w wywiadach dla czasopism wszyscy widzą aktorów, którzy wyglądają olśniewająco, nikomu nie przyjdzie to do głowy. Prawdę mówiąc, to nie mamy zbyt licznej obsady i wszyscy pracują naprawdę intensywnie, by kręcić trzy odcinki tygodniowo. Mają parę dni na nauczenie się swoich kwestii, a potem muszą się tu zjawić i grać. Próby techniczne są tak naprawdę dla ekipy od sprzętu, więc nikt nie czeka, by się przekonać, czy aktorom dobrze wychodzi jakaś scena, czy nie. A potem są zupełnie zdani na łaskę i niełaskę widzów. Większość kontraktów odnawianych jest co sezon i jeśli jakaś postać otrzymuje negatywne recenzje, odpada. Tylko sobie wyobraź taką nieustanną presję.

– Nigdy nie myślałam o tym w taki sposób. – Bea gorączkowo sporządzała notatki, na wypadek gdyby akurat w tym momencie miało się jej skończyć miejsce w dyktafonie. – Sprawiasz wrażenie nieco krytycznie do tego nastawionej, Taro. Nie lubisz tu pracować?

W oddali Tara widziała, jak głowa Scotta Irvinga wychyla się ponad przepierzeniem.

Nie od razu odpowiedziała na to pytanie, koncentrując się na obserwowaniu Scotta. Najwyraźniej szukał Aarona.

Osunęła się niżej na krześle, nie chcąc, by spoczął na niej wzrok jego laserowych oczu. Scott patrzył na nią z tak otwartą niechęcią, że Tara często kurczyła się w sobie pod jego spojrzeniem. Udawała, oczywiście, że wcale tak nie jest. W odpowiedzi patrzyła na niego wyzywająco, posyłając mu swoje najbardziej twarde spojrzenie w stylu „mylisz mnie z kimś, kto nie ma tego w dupie”.

– Oczywiście, że lubię – odparła automatycznie. – Uwielbiam. Wszyscy uwielbiamy. Będę musiała lecieć, Beo – powiedziała, rozglądając się za kimś, komu mogłaby podrzucić dziennikarkę.

– O rany, zapytałam cię o wszystko? – Bea przejrzała w ekspresowym tempie swoje notatki i sprawdziła listę pytań. – Opowiedz mi o rozdaniu nagród telewizji, wasza ekipa wygrała wtedy jedną. Czy to było najważniejszym wydarzeniem w twojej karierze?

Tara cofnęła się myślami do wieczoru sprzed wielu miesięcy, do czasu, kiedy w jej życiu wszystko grało, kiedy miała małżeństwo, kiedy nie wiedziała o tym, że Finn zapija się na śmierć, kiedy jej mama i tata żyli razem szczęśliwie jak normalni rodzice, kiedy nie była cudzołożnicą. Wydawało się, że od tego czasu minął milion lat.

– Było fantastycznie – powiedziała drewnianym głosem. – To był fantastyczny wieczór, zdecydowanie najważniejszy.

\*\*\*

Kiedy Tara wróciła do domu, samochód jej męża stał na swoim miejscu, co ostatnimi czasy było czymś niezwykłym. Od tamtej niechlubnej imprezy Godzilli wracał do domu coraz później. Przepelniona wyrzutami sumienia i przerażona, że Finn odkrył jej koszmarną tajemnicę, Tara czuła, że nie może mu nic powiedzieć. To była sytuacja patowa. Obchodziła go na palcach, nie wspominając ani słowem o picciu, gotowa znieść wszystko w ramach pokuty za to, że go zdradziła. Jeśli tylko nigdy się o tym nie dowie, ona jakoś da radę. Za jakiś czas poruszą problem picia Finna, ale dopiero wtedy, gdy demony Tary usną na dobre. O ile w ogóle tak się stanie.

– Cześć – powiedziała, wszedłszy do mieszkania. Postawiła teczkę, zrzuciła buty i sięgnęła pod stolik na korytarzu po wygodne espadryle, które latem lubiła nosić zamiast kapci.

– Cześć. – Finn siedział w kuchni i jadł płatki śniadaniowe, co najpewniej było jedną z niewielu rzeczy do jedzenia, jakie zostały w domu.

Tara wzięła z miski czerniejącego banana i obrała go, przyrzekając w duchu, że w weekend wybierze się do supermarketu. Skończyło im się tyle podstawowych artykułów spożywczych, że łatwiej było powiedzieć, co zostało.

– Powinniśmy porozmawiać – rzekł Finn. – O nas.

Palce u nóg Tary podkuliły się.

– Co masz na myśli? – zapytała, grając na zwłokę.

– Mam na myśli to, że powinniśmy porozmawiać o naszym małżeństwie i o tym, co z niego zostało. – Finn nabrał kolejną łyżkę płatków.

– Co masz przez to na myśli? – zapytała ponownie Tara.

Finn dokończył płatki i wstawił miskę do zlewu. Stał przed nią.

– Miej. Choć. Trochę. Szacunku. Dla. Mojej. Inteligencji – wycedził powoli.

W ciele Tary zaczęła pulsować adrenalina pod wpływem reakcji „walcz albo uciekaj”.

– Nawet teraz zaprzeczasz, że coś jest nie tak, Taro. Myślałem, że jesteś mądrzejsza. Nie ma sensu kłamać. Ja wiem, że się z kimś przespałaś. Nie wiem z kim – dodał – ale wiem, że to zrobiłaś. Prawdę powiedziawszy, gównu mnie obchodzi, kto to był, ponieważ mam to już gdzieś.

Tara nie miała pojęcia, że jest w stanie odczuwać tak ogromny strach. Jej serce waliło głęboko w splocie słonecznym. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale wydobył się z nich jedynie gardłowy odgłos, towarzyszący szokowi.

– Widzisz, czekałem, aż mi o tym powiesz – ciągnął Finn. Oparł się o zlew i skrzyżował ramiona, obserwując ją zimnym wzrokiem. Jego całe ciepło zniknęło razem z senną zmysłowością i delikatnym uniesieniem kącików kształtnych ust. Finn już się nie uśmiechał. – Nazwij mnie głupcem, ale wydawało mi się, że nasze małżeństwo coś dla ciebie znaczy i że przyznasz się do tego, co się wydarzyło. Żyliśmy w dużym stresie, mieliśmy problemy, nieważne. Mogliśmy się z tym uporać, Taro. Wybaczyłbym ci. Kochałem cię.

Tara była jedynie w stanie wpatrywać się w niego bez słowa, a w jej wnętrzu płonęło poczucie winy. Wtedy dotarł do niej sens jego ostatniego zdania. Kochałem. Powiedział, że kochał. Nie, że kocha.

– Potem się zmieniłaś – mówił dalej. – Następnego wieczoru, kiedy wróciłaś do domu, od razu wiedziałem, że z kimś się pieprzyłaś. Myślałaś, że nie zauważę?

Tara pragnęła podbiec do niego i zarzucić mu ramiona na szyję, przyciągając do siebie tak, by jego głowa nachyliła się i by całował jej twarz, i mogłaby smakować słodycz jego ust,

delikatnie dotykających jej warg. Mogłaby wszystko naprawić, gdyby tak zrobiła, wiedziała, że tak mogłoby być. Finn nie potrafił się jej oprzeć.

– Ta malinka na twojej szyi też cię zdradziła.

Pomyślała o nieudolnych próbach jej zakamuflowania.

– Finn, posłuchaj... – zaczęła.

– Nie będę słuchać – wybuchnął. – Słuchałbym kilka tygodni temu, ale nie teraz. To koniec, Taro. W ogóle nie powinniśmy byli brać ślubu. Ledwie się znaleźliśmy. Co my sobie, do diabła, myśleliśmy?

– Kochaliśmy się – wyszeptała Tara. – Dlatego właśnie wzięliśmy ślub. To nie musi być koniec, Finn. Możemy pójść na terapię, porozmawiać z kimś, wydobyć na wierzch wszystkie problemy.

– Oszczędź mi tych bredni o terapii – warknął. – Nie przychodzi mi do głowy nic gorszego niż wylewanie naszych cholernych żali przed jakimś pacanem, które je sobie poanalizuje. To wszystko jest wystarczająco mocno spieprzone i nie chcę dalej pieprzyć, próbując rozwiązać nasze „problemy ze związkiem”. Idź sobie sama. Ja nie będę się temu przyglądał.

– Nie! – zawołała, podbiegając do niego i zarzucając mu ramiona na szyję. – Możemy to naprawić, Finn, kochamy się, a tylko to się liczy, prawda? – paplała teraz, a jej słowa o miłości wydostawały się z jej ust w staroświecki sposób, a nie w starannych zdaniach, które by pokazały Finnowi, że go uwielbia.

– Daj sobie spokój z przedstawieniem, Taro. To nie jest odcinek twojej telenoweli. To prawdziwe życie, i to koniec.

Z nietypową dla siebie szorstkością strząsnął z siebie jej ramiona.

– Nie odchodź – jęknęła.

Jednak on i tak to zrobił. Usłyszała tylko trzask zamykanych drzwi. Przynajmniej nie zabrał nic z sobą, pocieszała się Tara. Wróci, wiedziała, a wtedy ona wszystko naprawi. Powie mu, że czuła się zagubiona i samotna z powodu jego picia, ale że poradzą z tym sobie. Była zestresowana, zachowała się zupełnie jak nie ona, kochała go i nieważne jak bardzo nienawidził tego, co ona zrobiła, ona nienawidziła tego jeszcze bardziej. I nienawidziła siebie.

Nadal zastanawiając się nad tym, co mu powie, udała się powoli do salonu, ale zatrzymała się w drzwiach. Coś było nie tak, gdzie się podziały ich wszystkie rzeczy? Wieża, płyty, czarny skórzany fotel, który Finn uwielbiał, choć był stary i skóra w niektórych miejscach była cienka niczym papier: wszystko zniknęło.

Pobiegła na osłep do sypialni. Drzwi szafy były otwarte i część Finna była pusta. Zostały jedynie koszule, które mu kupiła. Wisiały ze smutkiem w pustej przestrzeni. Zniknął budzik z radiem, wszystkie jego książki, gazety i zdjęcia. Musiał zrobić to dzisiaj, gdy ona była w pracy.

Na drżących nogach Tara wróciła do salonu i z odrętwieniem przyglądała się temu, co zostało. Przez wiele miesięcy powtarzała, że mają za dużo rzeczy i że mieszkanie lepiej by wyglądało po dokonaniu bezwzględnej czystki. Cóż, teraz było z pewnością wyczyszczone. Tara osunęła się na sofę.

Finn odszedł na dobre, i to ona wszystkiemu była winna.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Pogoda w Castletown się zmieniła. Zupełnie jakby Matka Natura postanowiła odzwierciedlić pochmurniejący nastrój Rose: słońce daśało się, a w jego miejsce pojawiły się chmury. Sztormy nawiedzały wschodnie wybrzeże, a mieszkańcy i turyści musieli pozostawać w domach z powodu niezwykle silnego wiatru i ulewnego deszczu.

Rose trzeci dzień z rzędu stała w oknie Pokrzywowej Chatki i przyglądała się widocznym w oddali olbrzymim, spienionym falom. W każdej prognozie pogody ostrzegano przed wichurami, więc wszystkie łodzie pochowały się w porcie.

– Nie znoszę takiej pogody – oświadczyła Freddie, wkładając na siebie wymyślny strój do chodzenia w deszczu, złożony między innymi ze sztormiaka, który mógłby się spodobać Sherlockowi Holmesowi.

– To prawda, jest przygnębiająca – zgodziła się Rose, nadal wpatrując się obojętnie w dal. Tak bardzo się cieszyła ze spotkania ze Stellą i Amelią, ale teraz po tej radości nie było już śladu, pozostało natomiast jedynie dręczące uczucie, że wszystkich zawiodła. Tarę, Holly, nawet Adele. Wszyscy jej potrzebowali, a ona wyjechała jak gdyby nigdy nic i ich zostawiła. Przecież nie dowiedziała się o zdradach Hugh dopiero teraz. Wiedziała o nich od lat. Po prostu teraz zdecydowała się okazać swój gniew, a wszyscy padli jego niewinnymi ofiarami.

– Chodź, Rose – popędziła ją Freddie, wciskając mocno kapelusz na śnieżnobiałą głowę. – Chodź ze mną na spacer. Dobrze ci to zrobi. Siedzisz w domu od niedzieli, nie licząc wczorajszego rozwożenia posiłków.

– Nie – odparła Rose. – Nie jestem w nastroju.

– Jak chcesz.

Nie było jej godzinę i kiedy wróciła, mokra i zmarznięta z trzema szczęśliwymi, ubłoconymi psami, Rose sprawiała wrażenie, jakby w tym czasie w ogóle nie ruszyła się z miejsca.

Freddie nie odezwała się ani słowem. Udała się do łazienki, by wziąć gorącą kąpiel, która miała ukoić jej obolałe mięśnie. Kiedy koło strumienia postawiła lewą nogę na niepewnym gruncie, ta się ugięła, a towarzyszył temu ostry ból. Podczas późniejszego marszu bolała ją kostka, która teraz, po długiej drodze do domu, była niepokojąco większa od drugiej kostki.

W wannie zupełnie odmówiła posłuszeństwa i Freddie musiała użyć całej swojej siły, by się z niej podciągnąć. Siedząc niezgrabnie na bawełnianym dywaniku łazienkowym, naga, mokra i z pulsującą kostką, nawet niezmordowana Freddie poczuła strach o przyszłość. Nie miała zamiaru porzucić swej wielkiej wanny na rzecz jakiegoś prysznicza dla staruszków, który można brać na siedząco. Prędzej by umarła. Po kilku minutach odpoczynku i ostrego łajania się za takie pesymistyczne myśli, kuśtykając, wyszła z łazienki, owinięta szlafrokiem z chińskiego jedwabiu.

– Rose – powiedziała, krzywiąc się z bólu. – Myślisz, że mogłabyś zerknąć na moją nogę? Chyba ją zwichnęłam.

Rose natychmiast do niej podbiegła.

– Freddie, co się stało? – zapytała, pomagając dojść jej do sofy.

– Tak jakby zwichnęłam ją przy strumieniu – odparła Freddie, gdy Rose pomagała jej położyć obie nogi na sofie.

– Jest bardzo spuchnięta – stwierdziła z niepokojem Rose. – Lepiej wezwę lekarza.

– Bzdura – oświadczyła Freddie. – Nie ma takiej rzeczy, której by nie wyleczył odpoczynek i okład z arniki.

– Jesteś przegłosowana – odparła stanowczo Rose. Freddie wyglądała tak, jakby się buntowała przeciwko tej próbie naruszenia niezależności, więc Rose osłodziła gorzką pigułkę. – Poza tym – dodała nonszalancko, biorąc do ręki słuchawkę – im szybciej zagoi się kostka, tym szybciej będziesz mogła znowu chodzić na spacer z psami. Kiedy wychodzą tylko ze mną, nigdy nie są tak do końca zadowolone i wciąż się oglądają, by sprawdzić, czy ty też idziesz.

Freddie uśmiechnęła się szeroko i oparła o poduszki.

– To klasyczny przykład manipulacji – stwierdziła. – Ale tak wprawnie przeprowadzonej, że nie będę się uskarżać.

Lekarz zjawił się późnym popołudniem. Zabandażował kostkę Freddie, dał jej środki przeciwbólowe i leki przeciwzapalne, i kazał leżeć jak najdłużej. Zmierzył jej także ciśnienie i osłuchał płuca.

– Zdrowa jak ryba – orzekł, chowając stetoskop do torby. – Jest pani żywym dowodem na to, że sekretem długiego życia jest mnóstwo wina, świeżego powietrza i niezamartwianie się. – Jego oczy zwężyły się. – Przestała pani w końcu palić te swoje papierosy?

– Nie – odparła beczelnie.

Lekarz zaśmiał się. Przyłączyła się do niego Rose.

– Wszyscy moi pacjenci kłamią, kiedy pytam ich o takie rzeczy, ale pani zawsze jest brutalnie szczerą.

– Wypalam dwa dziennie i jeszcze mnie nie zabiły – stwierdziła Freddie.

Lekarz podziękował za proponowaną mu herbatę, ponieważ właśnie zdążył do Domu Opieki Albertine, znajdującego się na drugim końcu Castletown.

– Wykonują tam kawał naprawdę dobrej roboty – rzekł – a w tym tygodniu stracili kolejnego pracownika. Nie wiem, jak sobie poradzą bez wolontariuszy. Personel ciężko pracuje. Nie wiem, co się stanie ze wszystkimi pacjentami, jeśli zostaną zmuszeni do zamknięcia tego domu opieki.

– Do diabła z tą kostką! – oświadczyła wściekle Freddie. – Pomogłabym, gdybym nie była uziemiona. – Jej oczy rozbłysły. – Ale jeśli załatwiłby mi pan jakieś kule, mogłaby m kuścić...

– W żadnym wypadku – przerwała jej Rose. – Będiesz odpoczywać, dopóki noga nie wydobrzeje. Ja pomogę. Nie mam doświadczenia w pracy w domu opieki, ale mogę ścielić łóżka i robić tego typu rzeczy – powiedziała do lekarza. – Przydałabym się?

Zarówno on, jak i Freddie wyglądali na zachwyconych propozycją.

– Idealnie się pani nadaje – odparł. – Zadzwońię do kierowniczk i powiem, żeby się z panią skontaktowała. A tymczasem pani – zwrócił się do Freddie – ma odpoczywać.

Miło jest znowu się kimś opiekować, pomyślała Rose w czwartek rano, przygotowując śniadanie dla Freddie. W normalnych okolicznościach jej ciotka nie wymagała żadnej opieki i dumna była ze swojej niezależności.

– Jesteś do tego stworzona – powiedziała starsza pani, gdy Rose położyła tacę na jej kolanach.

– Do robienia jajecznic? – zaśmiała się Rose.

– Nie, do opiekowania się ludźmi. Potrzebujesz tego. To instynkt macierzyński.

– Może i tak.

Rose skończyła pić kawę i udała się na obowiązkowy spacer z psami. Następnie pojechała rozwozić posiłki starszym ludziom. Uznała, że dużo skumulowanych zajęć działa na nią ożywczo. Zapomniała już, jak przyjemnie zarządza się mnóstwem spraw i rzeczy, które runęłyby niczym domek z kart, gdyby nie było jej w pobliżu. W Kinvarrze prowadziła dom, dbała o Hugh i była odpowiedzialna za różne imprezy charytatywne. Tutaj nie miała żadnych prawdziwych obowiązków.

Freddie nie potrafiła ukryć rosnącego zniecierpliwienia z powodu tego, że jest uziemiona na sofie z kostką w górze. Kiedy Rose wróciła z rozwożenia posiłków i wizyty w supermarkecie, jej ciotka była śmiertelnie znudzona.

– Nie znoszę tego! – jęknęła. – Leżenie i czytanie jest fajne tylko wtedy, gdy nie powinno się tego robić. Nie mogę robić dosłownie nic.

Rose, mając za sobą wiele lat radzenia sobie z małymi, marudnymi dziećmi, zastanawiała się intensywnie nad tym, czym by tu zająć ciotkę.

– Twoje pudło ze zdjęciami! – oświadczyła z triumfem.

– Mówiłaś, że od lat chcesz je popisywać i powkładać do albumów.

Freddie się rozpromieniła.

– Pojadę szybko do miasta, może znajdę jakieś albumy – zaproponowała Rose. Zanim pojechała, poszukała wielkiego, zakurzonego pudła, które Freddie trzymała od dziesiątek lat na szafie. Postawiła je na niskim stoliku obok sof, tak by Freddie nie musiała się nigdzie ruszać. – Po powrocie wstawię obiad. Kupiłam naprawdę ładną jagnięcinę i powiesz mi, na co masz ochotę. A potem pomogę ci ze zdjęciami.

W Castletown Rose spotkała lekarza, który chciał wiedzieć, czy Freddie udaje się nie nadweręzać kostki. Następnie wpadła na grupkę pokerowych przyjaciółek ciotki, które obiecały, że w piątkowy wieczór wpadną na partyjkę.

W domu stwierdziła, że Freddie porzuciła sofę i siedzi teraz przy stole, na którym rozłożone były całe stosy zdjęć. Obandażowana kostka spoczywała na jednym z krzeseł.

– Popatrz, Rose, zdjęcia Anny. Myślałam, że je zawieruszyłam.

Rose nachyliła się nad stołem i przyjrzała trzem małym czarno-białym zdjęciom matki. Wyglądała młodziej niż zapamiętała ją Rose, włosy miała po dziewczęcemu rozpuszczone, sylwetkę drobną i młodzieńczą.

– Zawiodłam ją – powiedziała, nie odrywając wzroku od fotografii.

– W jakim względzie? – zapytała leniwie Freddie.

– Nie utrzymując małżeństwa. Naprawdę się starałam, Freddie. Matka była taka szczęśliwa, kiedy wyszłam za Hugh, zawsze mnie pragnęła zobaczyć, że się wybijam.

Freddie zdjęła okulary, potarła miejsce na nosie, gdzie zostawiły wgłębienie.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego zostałam z Hugh. Skoro wiedziałam, że romansował z tymi wszystkimi kobietami, to dlaczego nie doprowadziłaś do konfrontacji? Ponieważ naprawdę nie miałaś nic przeciwko nim, tak?

– Oczywiście, że miałam! Uwielbiałam Hugh, byłam zdruzgotana, kiedy się po raz pierwszy dowiedziałam, ale z kim mogłam porozmawiać? Komu mogłam o tym powiedzieć? Adele? Matce Hugh? Mojej matce?

– Dlaczego nie doprowadziłaś do konfrontacji z nim?

– Nie wiem.

– Duma, Rose. To duma powstrzymywała cię przed powiedzeniem czegokolwiek. Nie chciałaś przyznać, że coś się psuje w rajku Millerów. Najwyraźniej pozbyłaś się całej dumy, kiedy wściekłaś się podczas rubinowych godów i dałaś miejscowym temat do rozmyślań. Teraz musisz to kontynuować.

Rose zaczęła odczuwać irytację z powodu tego ataku. Ona nikogo nie zdradziła. To Hugh był winowajcą.

– Powiedziałaś, że nie będziesz się w to angażować przypomniała.

– Nie, postanowiłam nie robić tego, dopóki nie będziesz gotowa na szczerą rozmowę – odparła Freddie. – Teraz jesteś. Wracaj do Hugh i porozmawiaj z nim, na litość boską. Choćbyście po pięciu minutach mieli się pozabijać, przynajmniej stawisz temu czoło. Nie możesz już zawsze uciekać.

– Ja wcale nie uciekam – zaprotestowała Rose.

– Uciekasz. Uciekłaś od swojej przeszłości. Mogłabyś nigdy nie pogodzić swego nowego życia ze starym, widziałam to.

Zaszokowana Rose wpatrywała się we Freddie.

Jej ciotka mówiła w sposób rozsądny i życzliwy, tak jak zawsze, ale jej słowa i tak sprawiały ból.

– Rose, musisz się wyleczyć, zanim ruszysz z życiem do przodu – kontynuowała Freddie. – Wiem, że to boli, ale porozmawiajmy o tym. Nigdy nie doprowadziłaś do konfrontacji z Hugh, ponieważ nie chciałaś, by jego rodzina uważała, że w jakiś sposób zawiodłaś, i musiałaś udowodnić, że jesteś równie dobra jak oni. I nigdy – mówiła Freddie łagodnym tonem – nie zdawałaś sobie sprawy z tego, że zawsze byłaś równie dobra jak Millerowie.

Prawda tych słów była dla Rose niczym małe promyki światła. Kiedyś robiła co w jej mocy, by udowodnić, że wszystko w jej życiu jest idealne; to był jej mechanizm obronny. Zrobiła tak, kiedy urodziła się Holly i Rose udało się ukryć przed wszystkimi swoją depresję. Nikt nie musiał wiedzieć. Nie mogło być żadnych widocznych pęknięć na życiu Rose. Z tego też powodu jej smutek ciągnął się przez lata, a biedna Holly cierpiała. Duma Rose skrzywdziła jej kochane dziecko.

– Anna była szczęśliwa, ponieważ nie musiałaś urabiać sobie rąk po łokcie tak jak ona – kontynuowała Freddie. – Była dumna i dla niej osiągnięciem było to, że udało ci się wyjść z ubóstwa, w jakim żyła nasza rodzina. Ale tobie było wstyd, że odeszłaś, prawda?

– Tak i nie – odparła w zamyśleniu Rose. – Ja po prostu nigdy nie czułam, że gdzieś naprawdę przynależę. – Pamiętała, jak jej matka upierała się, by Rose została w szkole, podczas gdy większość osób w jej wieku już dawno się z nią pożegnała. Anna Riordain urodziła troje dzieci i przeżyła śmierć jednego z nich jako niemowlęcia. Stoicka w obliczu tej tragedii, Anna pełna była determinacji, by nic się nie stało Rose i jej bratu, Jamesowi. Sześć lat starszy James

dorastał, planując emigrację do Australii, i gdy skończył siedemnaście lat, zrealizował ten plan. Pozbawiona ukochanego syna, Anna snuła wielkie plany dla jedynej córki.

Rose mogła jako nastolatka pomagać na farmie; większość dziewcząt porzucała szkołę, by pracować na roli. Jednak nie Rose.

– Wielka dama! – wołały za nią miejscowe dzieci, kiedy rok po roku wracała ze szkoły, gdy tymczasem oni zdążyli już rzucić książki w ką, by pomagać rodzicom.

– Nie zwracaj na nich uwagi – mówiła dumnie Anna do Rose. – Tobie się uda odnieść sukces i wtedy już się nie będą śmiać.

Kiedy dyrektor szkoły powiedział Annie, że Rose jest wzorową uczennicą i że jeśli ma w pełni wykorzystać swój potencjał, powinna chodzić do oddalonej o dwadzieścia pięć kilometrów szkoły przyklasztornej, Anna zaczęła pracować na akord, dziergając swetry dla wielkich sklepów dla turystów i ich zamożnych klientów, spragnionych ręcznie robionych irlandzkich swetrów. Psując sobie wzrok kiepskim oświeceniem i skomplikowanymi ściegami, zarobiła na szkolny mundurek córki i jej podręczniki.

Płacono jej grosze za tę pracę, pomyślała z goryczą Rose. Ale ta właśnie praca zapewniła jej wykształcenie, które pozwoliło jej wejść do innego świata.

– Wiem, że nie spodoba ci się to, co powiem, Rose, ale ponosisz częściową winę za to, co stało się z tobą i Hugh.

– Ja?

– Tak. Powinnaś była położyć temu kres wiele lat temu albo go zostawić. Hugh kochał cię, ale od zawsze był też czarusem.

– To absurdalne. Nie do mnie należało pilnowanie go – oświadczyła gorąco Rose.

– Zgadza się. Ale mogłaś mu powiedzieć, że ma wybór: ty i wasza rodzina albo inne kobiety. Nie jedno i drugie.

Z niezobowiązującą miną Freddie wróciła do porządkowania starych fotografii.

Po tych słowach w pokoju zapadła cisza i słychać było jedynie tykanie starego zegara Freddie. Zerknąwszy na ciotkę, Rose zobaczyła, że ta nie sprawia wrażenia ani trochę zdenerwowanej tą wymianą zdań. Wydawała się całkiem zadowolona, przeglądając zdjęcia i co jakiś czas głaszcząc uszy Pig, która kładła łeb na kolanach swej pani specjalnie w tym celu. Freddie nie widziała nic złego w mówieniu tego, co się myśli. Znacznie większą zbrodnią było mówienie czegoś innego.

Rose pomyślała ponuro, że może właśnie dlatego tak ochoczo zapomniała o Castletown. Jej rodzina z obu stron to byli tacy waleczni ludzie. Matka była taka sama i zawsze otwarcie mówiła, co myśli. Matka, co Rose uświadomiła sobie teraz z zaskakującą jasnością, nigdy by nie zniosła niewierności. Tupnęłaby nogą i nie pozwoliła na rozpad rodziny. No ale ojciec Rose nigdy by się nie ośmielił na skok w bok. Nie tak jak Hugh. Rose uderzyła niesprawiedliwość tego wszystkiego. Freddie nie mogła winić jej, to Hugh zawiódł na całej linii.

– Zranił mnie, powinien tego pożałować!

– Nie jesteś święta, Rose Riordain – oświadczyła surowo Freddie. – Czy ty nigdy nie uczyniłaś niczego, czego żałowałaś?

Freddie była teraz niczym wielki inkwizytor.

– Holly. – Nawet w uszach Rose brzmiało to słabo. – Zawiodłam Holly.

– Jak?

– Kiedy się urodziła, cierpiałam na depresję poporodową i długo trwało, nim z niej wyszłam. Może nawet lata. – Rose zamknęła oczy pod wpływem towarzyszącego wspomnieniom bólu. – Ledwie byłam w stanie się nią opiekować, a potem ona urosła i wiedziała. Wiem, że wiedziała. Nie była taka, jak pozostałe dziewczynki. Stella i Tara nie mogły się wprost doczekać, by mnie zobaczyć, uściskać i opowiedzieć o wszystkim, Holly zaś była taka zamknięta w sobie, taka odległa, tak jakby wiedziała, że nie kochałam ją właściwie, gdy była malutka, i nie mogła mi tego wybaczyć.

– Wybacz, że to powiem, ale to absurdalne, co teraz mówisz – oświadczyła żywo Freddie. – Nie wiedziała, ona jedynie wyczuwała, że zachowujesz się inaczej w stosunku do niej. Dzieci nie

są głupie. Zachowywałaś się inaczej i ona na to reagowała. Ośmielam się stwierdzić, że nadal reaguje. Zawsze była cicha, czujna i milcząca. Oceniająca świat.

– To i tak moja wina – odparła z płaczem Rose.

– Cóż, jedyne, co musisz zrobić, to jej to wynagrodzić. Od ciebie zależy, czy wrócisz i to naprawisz.

– Jak?

– Powiedz jej o tym, bądź szczerą.

– Kilka miesięcy temu prawie powiedziałam o tym komuś – wyznała powoli Rose. – Moja koleżanka, Minnie, jest wyraźnie w depresji i próbowałam znaleźć dla niej pomoc, ale nie pozwoliłam sobie uczynić tego, co mogłoby naprawdę pomóc. Nie potrafiłam jej powiedzieć, że ja też przechodziłam paskudną depresję i że może z niej wyjść.

– Jak się ona teraz czuje?

– Nie wiem – przyznała Rose. – Od przyjazdu tutaj nie dzwoniłam do niej. – Nagle uśmiechnęła się szeroko. – Wiesz co, Freddie, teraz to jeszcze tylko musisz mi powiedzieć, że jestem Najślabszym Ogniwem.

Freddie wyglądała na skonsternowaną.

– Nieważne. To by znaczyło, że zostałam odpowiednio skarcona.

– Nie taki miałam zamiar – odparła szczerze Freddie. – Kocham cię, Rose, i pragnę, byś była szczęśliwa.

– Wiem. – Nachyliła się i poklepała ciotkę po ramieniu.

– Pewnie przed kolacją muszę wyjść na spacer z tymi trzema kundlami.

Na dźwięk słowa „spacer” Mildred, Prinny i Pig spojrzały na nią wyczekująco.

– Chodźcie, dziewczynki – powiedziała Rose.

Zmieniła buty i wyszła na dwór. Bardzo chciała побыć jakiś czas sama. Tyle rzeczy chciała przemyśleć. Tyle słów Freddie pełnych było bolesnej prawdy. Miała rację w kwestii spotkania z Hugh. Rose musiała stanąć z nim twarzą w twarz. Gdy wchodziła na wzgórze za domem w towarzystwie zadowolonych psów, podjęła decyzję: zostanie z Freddie, dopóki jej kostka się zupełnie nie wygoi. A potem pojedzie do domu.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Tara jechała zatłoczoną obwodnicą M50, jedynie częściowo skupiając się na prowadzeniu samochodu. Przynajmniej nie miała radia, któremu musiałaby stawiać czoło. Odkąd Finn odszedł, nie była w stanie słuchać radia. Każda piosenka zdawała się mówić o miłości i złamanym sercu, a Tara nie potrafiła słuchać ani o jednym, ani o drugim. Nawet najbardziej taneczne utwory przypominały jej różne wieczorne wyjścia z Finnem.

Uświadomiła sobie, że jedzie niewłaściwym pasem, i próbowała go zmienić, na co inny kierowca zatrąbił gniewnie.

– Przepraszam – pomachała ręką. – Przepraszam za wszystko, przepraszam, że żyję.

Kiedy zaczynała karierę scenarzystki, pisała o kimś, kto ulotnił się jak kamfora. Nie tak jak magik, ale w każdym innym sensie. Wtedy Tara uważała, że to głupi watek. Ludzie nie znikali ot tak, mówiła do Isadory.

Teraz wiedziała, że to możliwe, i że tak właśnie się działo. Praktycznie rzecz biorąc, Finn zniknął w poniedziałek wieczorem. Teraz było czwartkowe popołudnie, prawie trzy koszarne dni, odkąd widziała go po raz ostatni. Nie pojawił się w pracy, co wyraźnie rozeźliło Derry'ego, o czym Tara dowiedziała się, gdy przełknęła dumę i zadzwoniła do biura.

Nie pojechał także do rodziców do Czterech Wiatrów, o czym Tara się dowiedziała w okrężny sposób. Dzwoniła do Jeffersonów kilka razy, nim wreszcie zamiast Glorii słuchawkę podniósł Desmond. Wtedy zapytała od niechcenia, czy ona i Finn mogliby zaprosić Desmonda i Glorię na obiad w najbliższy weekend.

– Byłoby cudownie, ale muszę sprawdzić w Ministerstwie Wojny – zażartował Desmond w swój tradycyjny, delikatny sposób.

Na drugim końcu linii Tara zbladła. Finna nie było u rodziców, gdzie więc się podziewał?

– Desmondzie, nie powiedziałam ci prawdy. Finn i ja pokłóciliśmy się i odszedł ode mnie. I nie wiem, gdzie teraz jest. Myślałam, że może pojechał do ciebie i Glorii.

– Och, Taro – tylko tyle powiedział ze smutkiem Desmond.

To się działo wczoraj. Dzisiaj jechała do Czterech Wiatrów, by porozmawiać z teściem i dowiedzieć się, gdzie może być Finn. Glorii nie będzie w domu i Tara miała nadzieję, że Desmond nie wspomniał jej o tym. Naturalnie nie mogła go o to poprosić. Do niego należała decyzja, to czym mówić żonie.

Nikt z ekipy *National Hospital* nie wiedział o tym, co się stało. Nawet Isadora. Zrozpaczona Tara poszła we wtorek jak zwykle do pracy, ale miała tak dzikie spojrzenie i bladą twarz, że wszyscy zakładali, iż jest chora.

– Nie przychodź tutaj, jeśli masz grypę – powiedział z przerażeniem Tommy, kiedy spotkał się z upiornie wyglądającą Tarą na porannym zebraniu. – Nie chcemy, byś nas wszystkich pozarażała.

– Wyglądasz okropnie – dodał Aaron. – Powinnaś jechać do domu.

Tara skwapliwie skorzystała z tej możliwości i wyszła, zanim zdołała wpaść na Isadorę. Najbliższa przyjaciółka wiedziałaby, że tym, co dolega Tarze, na pewno nie jest grypa. Od tamtego czasu co rano dzwoniła do pracy i mówiła, że jest chora, po czym siedziała w odrętwieniu w domu, warując przy telefonie i dzwoniąc na komórkę Finna. Nie mogła mu zostawiać więcej wiadomości. W słuchawce usłyszała rzeczową informację, że jego skrzynka z wiadomościami jest pełna. Była pełna dlatego, że nie odsłuchiwał i nie kasował jej błagalnych próśb o powrót do domu? Czy też była pełna dlatego, że nie wysłuchał żadnej z jej wiadomości i leżał we wraku swego auta, ranny i niezdolny zadzwonić po pomoc? Takie właśnie myśli bez końca prześladowały Tarę.

Na widok Czterech Wiatrów skąpanych w promieniach popołudniowego słońca ból w jej sercu stał się jeszcze bardziej dojmujący. Nigdy nie przyjechała tutaj bez Finna, śmiejącego się i żartującego, próbującego poprawić jej humor przed spotkaniem z teściową. Oddałaby wszystko, byle cofnąć czas, tak by on znowu siedział obok. Jakże inaczej by wtedy wszystko rozegrała.

Desmond wyszedł jej na spotkanie. Był tak bardzo podobny do Finna, że Tara musiała siłą powstrzymać się od płaczu. Uściskali się.

– Byłem w szopie i bawiłem się trochę z sadzonkami – rzekł Desmond. – Chciałabyś je zobaczyć?

Tara nigdy wcześniej nie zaglądała do sanktuarium teścia, więc się zgodziła. Kiedy weszła do środka wiedziała już, dlaczego wolał pracować w szopie niż spędzać czas w lodowatym królestwie Glorii. Znajdował się tutaj stary fotel z mnóstwem sprężyn wystających z tyłu i wielki stół warsztatowy z doniczkami, roślinami i wszelkiego rodzaju sprzętem ogrodowym. Niedoświadczone oczy Tary nie widziały, by Desmond szczególnie mocno oddawał się pracy ogrodniczej. Zdjęła z taboretu krzyżówkę z dzisiejszej gazety i usiadła.

– Nie, usiądź proszę na fotelu – nalegał z galanterią Desmond.

– Jest mi wygodnie – odparła Tara. Czekala, aż ją zapyta, o co chodzi, ale on tego nie uczynił. Zrozumiała, że jej mąż i jego ojciec mają wiele wspólnych cech. Finn także nigdy nie chciał rozmawiać o problemach. A przynajmniej do tamtego straszego wieczoru. – Finn i ja pokłóciliśmy się w poniedziałek wieczorem i to była naprawdę ostra kłótnia. Powiedział, że ode mnie odchodzi. – Tara czuła palący wstyd, że mówi to ojcu Finna. – W naszym małżeństwie były problemy, ale tym razem wina leżała po mojej stronie – przyznała. – Od tamtej pory nie dał znaku życia. Nie chodzi do pracy, ma wyłączoną komórkę. Nawet Derry nie wie, gdzie on jest, a wiem to na pewno, ponieważ jest wściekły na Finna za to, że nie pojawił się na jakimś ważnym spotkaniu. Pomyślałam, że może ty wiesz, dokąd pojechał – zakończyła nieprzekonująco.

– Chciałbym móc ci pomóc, Taro – rzekł Desmond. – Ale nie jestem w stanie.

Na jego twarzy widniało bardziej współczucie niż potępienie, przez co Tarę ogarnęły jeszcze większe wyrzuty sumienia. Nie zasługiwała na życzliwość Desmonda. Zdradziła jego syna, zasługiwała na pogardę.

– Musiał przecież gdzieś pojechać, do jakiegoś miejsca z dzieciństwa, o którym ja nie wiem – rzekła, desperacko pragnąc otrzymać jakąś wskazówkę. – Pytałam już wszystkich jego przyjaciół i nikt nie ma pojęcia. Czy Finn powiedziałby Glorii, dokąd jedzie?

Uśmiech Desmonda był cierpki i bardziej niż trochę gorzki.

– To ostatnia osoba, której by o tym powiedział – rzeki. – Sądziłem, że o tym wiesz.

– Cóż, nie – odparła Tara. – Tak naprawdę to nic nie wiem na temat związku Finna z matką. Wiem jedynie, że ona go kocha...

– Och, ona go kocha, zgadza się. Za bardzo. – Desmond wstał i zaczął grzebać przy jakichś czarnych doniczkach na stole. – Gloria zawsze była bardzo mocno zaangażowana we wszystko, co miało związek z Finnem, ale ona taka już jest. Często się denerwuje. Finn i ja jesteśmy starymi wygami, jeśli chodzi o rozbrajanie jej i zachowanie spokoju, ale nie zawsze jest to łatwe. A jeszcze trudniejsze, odkąd się z tobą ożenił – dodał niemal przepraszająco. – Wiem, że nie mogłaś nie zauważyć, że Gloria żywi do ciebie niechęć.

Przez chwilę panowała cisza. Tara przetrawiała tę informację.

– Zawsze sądziłam, że Finn dogaduje się z matką, że dobrze sobie radzi z jej... intensywnością.

Desmond westchnął.

– Nie wydaje mi się, moja droga. On to po prostu wymazuje z rzeczywistości, w taki właśnie sposób sobie z tym radzi. A odkąd wyjechała Fay, jest jeszcze gorzej. – Odwrócił się nagle, zadowolony, jakby właśnie udało mu się odgadnąć jakieś szczególnie trudne hasło w krzyżówce. – Otóż to. Porozmawiaj z Fay. Może będzie wiedziała. On jej dużo mówi.

Tarze zrobiło się niewiarygodnie smutno na myśl, że jej mąż zwierzał się siostrze, która mieszka tysiące kilometrów i wiele stref czasowych stąd, a tak mało jej, kobiecie, z którą dzielił łóżko i życie. Dlaczego nigdy nie wypytała go o szczegóły jego relacji z matką? Było jasne, że Gloria uwielbiała syna z obsesyjną żarliwością, która przewyższała normalne stosunki na linii matka – syn. Tara, z biegłą znajomością relacji międzyludzkich dzięki pracy scenarzystki, zupełnie nie dostrzegła, że to może mieć wpływ na Finna. Beztrosko zaakceptowała jego pogodne uwagi na temat tego, że ludzie „przyzwyczajają się” do Glorii. Przypomniała sobie Boże Narodzenie, zanim jeszcze zrozumiała, że jego picie wymknęło się spod kontroli, kiedy celowo wprawiał się w stan beztroskiego upojenia alkoholowego, by poradzić sobie ze świętami. Wtedy powinna była to zobaczyć. Jak to możliwe, że przegapiła wszystkie te sygnały? Czy tak bardzo zakochana była w fizycznych cechach Finna, że w ogóle nie zajrzała głębiej?

– Zakładam, że nie chcesz, by Gloria wiedziała o zniknięciu Finna – powiedziała Tara.

– Boże uchojaj. – Desmond wyglądał na przestraszonego. – Finnowi nic nie będzie. Jest odporny. Najwyraźniej musi pobyć trochę sam. Kiedy był dzieckiem, jeszcze zanim się tutaj przeprowadziliśmy, chował się na strychu. Niełatwo było się tam dostać: musiał się wspiąć na szafę, by dosięgnąć tam, gdzie rury z wodą wychodziły na strych, ale jakoś mu się to udawało. Lubił spokój.

– Można więc powiedzieć, że już wcześniej uciekał? – Tara chwytła się wszelkich możliwości.

– Zapytaj Fay. – Desmond oderwał kawałek gazety i napisał na nim adres e-mailowy. – Polubisz Fay – rzekł. – To świetna dziewczyna. – Wyglądał na rozmarzonego i Tarze zrobiło się strasznie żal tego przemiłego człowieka, który patrzył, jak jego córka ucieka na drugi koniec świata, a wszystko z powodu jego zgorzkniałej, zazdrosnej żony.

Tara ucałowała policzek Desmonda. Pragnęła, by nie było jej tutaj, gdy Gloria wróci do domu na swej miotle.

*Droga Fay!*

*Nie znasz mnie, ale mam nadzieję, że o mnie słyszałaś. Jestem Tara Miller, żona Finna. Wiem, że pewnie się zastanawiasz, dlaczego piszę do Ciebie po raz pierwszy, ale jestem zdesperowana. Finn i ja pokłóciliśmy się, i odszedł ode mnie. To się wydarzyło trzy dni temu i od tamtej pory nie odezwał się do mnie, co zupełnie do niego nie pasuje. Nie chowa długo urazy.*

*Nie pojawia się w pracy i nie ma go u Waszych rodziców. (Wasz ojciec wie, co się stało – to on dał mi Twój adres e-mailowy – natomiast matka nie wie.) Jeśli przychodzi Ci do głowy jakieś miejsce, do którego mógł pojechać Finn, proszę, daj mi znać. Albo powiedz, czy kontaktował się z Tobą.*

*Tak bardzo się boję. Nie wiem, co mogło mu się przytrafić, i wyobrażam sobie najgorsze. Obdzwoniłam wszystkie szpitale i nawet dzwoniłam na policję, ale ponieważ ode mnie odszedł i jest osobą dorosłą, nie jest uznawany za zaginionego.*

*Przepraszam, że zawracam Ci głowę, ale jestem naprawdę zdesperowana.*

*Tara Miller.*

Przeczytała ponownie ten e-mail. Był poniżej jej normalnego poziomu, ale kogo to obchodziło. Kliknęła „wyślij”. Teraz mogła tylko czekać.

Nie była w stanie się uspokoić i co pół godziny logowała się na swojej skrzynce, by sprawdzić, czy dostała jakąś wiadomość. W końcu o wpół do dwunastej, po wieczorze spędzonym na bezcelowym skakaniu po kanałach, poddała się. Fay mogła wyjechać, być w pracy, gdziekolwiek. Mogła nie chcieć odpisać Tarze; mogła mieć dość problemów rodzinnych. Czy nie taki był właśnie powód jej wyjazdu z kraju?

W łóżku Tara zapadła w niespokojny sen. Śniła, że znajduje się na pełnej słońca bezludnej wyspie. Biegła po piasku, próbując dogonić Finna, ale ciągle znajdował się kilka kroków przed nią, a jej nogi zdawały się być jak z ołowiu. Zawołała go, ale się nie odwrócił. – Finn!

Tarę obudził własny krzyk. Serce waliło jej jak młotem i była cała rozpalona. Włączyła lampkę przy łóżku, by przegnać nocne demony i spojrzała na zegarek. Wpół do czwartej. W Kalifornii było teraz wpół do siódmej wieczorem, a może wpół do ósmej? Zalogowała się i oto mrugała do niej wiadomość od Fay Jefferson. Została wysłana pół godziny temu.

*Witaj, Taro!*

*Miło Cię poznać, Bratowo. Szkoda, że w takich okolicznościach. Czy masz coś przeciwko, jeśli zapytam, o co się pokłóciliście? Nie chcę się wtrącać w Wasze osobiste sprawy, ale wydaje mi się, że wiem, co stanowi część problemu. Finn i ja wiele razy rozmawialiśmy na ten temat. Aha, Finn się ze mną nie kontaktował, ale jeśli to robi, powiem mu, by się do Ciebie odezwał. Muszę przyznać, że normalnie to nie on jest w naszej rodzinie od ucieczek. To moja broszka.*

*Adios, Fay.*

Trzęsąc się jeszcze z powodu snu, Tara stuknęła szybko w klawiaturę.

*Fay, jesteś tam jeszcze? Mogę do Ciebie zadzwonić? Proszę.*

*Tara.*

Nie rozłączała się i czekała przy komputerze. Siedem minut później pojawiła się jednolinijkowa wiadomość z numerem telefonu.

– Dziękuję ci, Fay, dziękuję – powtarzała z radością Tara, kiedy wystukiwała numer.

Jej szwagierka odebrała po trzecim sygnale.

– Cześć, Taro, trochę późno u ciebie, co?

Irlandzki akcent Fay nabrał kalifornijskiej miękkości, ale mimo to Tara słyszała w jej głosie ślady chropowatego głosu Finna.

– Cześć. – Rozpłakała się. – Masz głos zupełnie jak twój brat.

– Ma na sumieniu wiele sprawek, ale raczej nie doprowadza kobiet do łez – powiedziała łagodnie Fay.

– Nie, to moja wina – odparła Tara.

– Dlaczego? – zapytała Fay.

Tara opowiedziała jej prawdziwą wersję wydarzeń, a nie tę ugrzecznioną w stylu „pokłóciliśmy się i on odszedł”. Nawet nie przyszło jej do głowy, by nie powiedzieć prawdy. Była pełna desperacji, a ta zupełnie obca osoba, siostra Finna, była jej ostatnią szansą.

– Nie tego się spodziewałam – powiedziała wreszcie Fay.

– Myślałam, że ma to związek z alkoholizmem Finna.

Tara gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Jego alkoholizmem?

– Ta-ak. – Fay rozciągnęła to słowo w dwie sylaby. – Nie mówił ci o tym?  
– Nigdy, ale wiesz, jak to jest. Tak bardzo się martwiłam i za każdym razem, gdy o tym rozmawiamy, on twierdzi, że nie ma żadnego problemu, ale ma i, och Fay, to prawdziwe piekło.  
– Tara ponownie zaczęła płakać, tym razem bezgłośnie. – Opowiedz mi o tym.

Tara otarła oczy wierzchem dłoni.

– Kiedy wzięliśmy ślub, uważałam, że problemem jest jego praca i te wszystkie biznesowe spotkania, które musi odbębnić dział sprzedaży – mówiła głosem nabrzmiałym łzami. – Wyglądało to tak, że Finn zawsze wracał późno do domu i na dodatek pijany. Kiedy pił, nigdy nie był agresywny ani nic w tym rodzaju, był po prostu inny. – Próbowала znaleźć właściwe słowa, którymi mogłaby wytłumaczyć ten dziwny stan, to, że wciąż był Finnem, ale w jakiś sposób innym, tak jakby pragnął znajdować się wiele kilometrów dalej. – Zaczęłam reagować alergicznie, gdy mówił, że musi podejmować klientów albo wyjść gdzieś z Derrym.

– Och, Derry, taa. – Fay roześmiała się, ale w jej śmiechu nie było wesołości. – Pamiętam go.

– Nienawidzę Derry'ego – Tara wyrzuciła bezbarwnym głosem. – Bardzo dużo pije i nawet jeśli Finn wychodził tylko na jedno piwo, a był z nim Derry, zawsze wracał pijany. A potem Finn wydał pieniądze, które pobrał z naszego konta, i nie byliśmy w stanie zapłacić raty za hipotekę.

– Co zrobiłaś?

– Doprowadziłam do konfrontacji. Byłam wściekła. Powiedział, że wszystko będzie dobrze, że niedługo dostanie premię, ale nie dostał, i dalej pił, a ja byłam taka zła... – Tara jakiś czas temu wstała, a teraz osunęła się na pozostały w salonie fotel. – Wtedy właśnie przespałam się z tym facetem z pracy. To nie jest usprawiedliwienie, Fay. To, że Finn pije, nie oznacza, że ja muszę wskakiwać innym facetom do łóżka.

– Ale chciałaś mu odpłacić, prawda?

Tara westchnęła.

– Fay, jeśli to jest właśnie leczenie parapsychologiczne, to jesteś w tym naprawdę specjalistką.

Jej szwagierka zachichotała.

– Nie lecę za pomocą parapsychologii, powiedziałam tak tylko, by zirytować matkę. Jestem instruktorką fitness. Z Irlandii przywiozłam stopień naukowy w dziedzinie nauk humanistycznych, ale nie bardzo mi się to przydało na tutejszym rynku pracy, więc się przekwalifikowałam.

– Nie dogadujesz się z nią.

– Można tak powiedzieć – odparła kąśliwie Fay. – Finn i ja mamy z nią zupełnie inne relacje. Ze mną się nie dogadywała, ale uwielbiała Finna. Był zawsze taki słodki, starał się być dla niej wyjątkowo miły, tak by była zadowolona i odczepiła się ode mnie. Mówił na przykład: „Mamo, wyglądasz na zmęczoną. Odpocznij sobie, a Fay i ja posprzątamy”, a ona zachwycała się: „Finn, kochanie, jesteś taki dobry” i szła na górę, i kładła się albo malowała paznokcie i wszyscy byli zadowoleni z tego, że nie ma jej w pobliżu.

Tara musiała o coś zapytać.

– Sądysz, że Finn pije z tego właśnie powodu, z powodu matki i dzieciństwa? – Pragnęła, aby istniał jakiś powód, ponieważ wtedy można to było spróbować rozwiązać.

– To mi przypomina żart napisany na drzwiach kabiny w toalecie: „Moja matka zrobiła ze mnie alkoholika”. A pod spodem ktoś inny dopisał: „Czy jeśli dam jej motek wełny, to z niej też zrobi?”. Nikt nie czyni nikogo alkoholikiem, Taro – oświadczyła stanowczo Fay. – To, co przytrafia ci się w życiu, może pchnąć cię w tym kierunku, ale wymigiwaniem się jest twierdzenie, że to inna osoba zmusza cię do tego. Ja wcale nie stoję teraz w obronie matki. To naprawdę nieciekawa osoba.

Tara zgadzała się z tym. Gloria była dziwną kobietą, a jednak jej córka okazała się ciepła i przyjacielska. Tara uświadomiła sobie, że nawet sposób, w jaki Fay mówi, wydaje się jej taki

znajomy, że nawet nie zawahała się, czy prowadzić z nią tę dziwną i bardzo osobistą rozmowę.

– Czytałam, że naukowcy ciągle się zastanawiają, co ma wpływ na występowanie alkoholizmu, geny czy wychowanie, czy jest to skaza genetyczna, czy też zachowanie wyuczone. Ale jeśli mam być szczerą, to moja matka nie wręczyła Finnowi butelki i nie powiedziała: „Dokończ to, mały”. Sam to zrobił i tylko jego należy za to winić. Finn pije od dawna – kontynuowała Fay. – Jest ode mnie dwa lata starszy i po raz pierwszy zauważyłam to, gdy miał, no nie wiem, może dziewiętnaście lat. Nigdy nie pił, by dobrze się bawić, pił, by się naprawdę wyłączyć. Wszyscy próbowaliśmy wtedy kupować alkohol w barach, to był klasyczny bunt nastolatków. Byliśmy dorośli, mogliśmy dostać piwo, taa, jasne. Ale Finn pił inaczej, nawet wtedy. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, co to znaczy, dopóki nie poszłam na studia i nie miałam na pierwszym roku zajęć z psychologii. Mieliśmy wykład o alkoholizmie i wtedy nagle dodałam dwa do dwóch. Wszystko, co mówił wykładowca, przypominało mi mojego brata. Picie jako mechanizm radzenia sobie z problemami.

Tarze zrobiło się niewiarygodnie smutno. Potrzeba było telefonu na drugi koniec świata, by dowiedziała się rzeczy o swym mężu, które dawno powinna była wiedzieć.

– Od lat wiemy, że Finn ma problem – mówiła dalej Fay.

– On i ja rozmawiamy o tym, ale nikt inny. Moja matka nigdy by nie przyznała, że jej syn ma jakieś wady, no a tato, cóż, tato nie znosi utarczek. Kiedy Finn zadzwonił w zeszłym roku i powiedział, że się żeni, niechętnie go zapytałam, czy ty o tym wiesz. Odparł, że pije, ale że wszystko ma pod kontrolą.

Tara siedziała w pełnej smutku ciszy. Wszystko teraz nagle miało sens; jak mogła wcześniej tego nie widzieć?

– Dlaczego nie dostrzegłam tego od samego początku? – zapytała. – Mogłabym mu jakoś pomóc.

– Finn nie pasuje do portretu typowego pijaka. Nie włóczy się po ulicach i nie potyka na chodnikach. Jest bystry, uprzejmy, normalnie funkcjonuje. Skąd mogłaś wiedzieć?

– Powinam była – upierała się Tara. – Kocham go.

– Musisz zadać sobie pytanie, czy nadal jesteś w stanie go kochać, wiedząc o tym.

– Oczywiście, że tak. Ale gdzie on jest?

– A dzwoniłaś do ośrodków odwykowych? Może sam się zgłosił do któregoś z nich?

– Myślisz, że tak by zrobił? – W Tarze rozbłysła iskierka nadziei.

– Prawdopodobnie czuje, że cię stracił, że sięgnął dna, więc żeby cię odzyskać, musi uporać się z tym problemem.

– Ale to on zostawił mnie – zauważyła Tara. – A nie odwrotnie.

– Pił tamtego wieczoru?

Tara nie wiedziała.

– Miejmy nadzieję, że jest na odwyku i trzymajmy kciuki. Jeśli rzeczywiście tam jest, będzie cię potrzebował po wyjściu.

– Będę przy nim – oświadczyła Tara, a głos jej drżał.

– Muszę lecieć – rzekła Fay. – Mam dzisiaj w klubie fitness drugą zmianę. Bądźmy w kontakcie, dobrze?

– Tak, i dzięki za wszystko.

Gdy Tara się rozłączyła, próbowała sobie wyobrazić, co by zrobiła, gdyby Stella lub Holly były alkoholiczkami. Zaciągnęłaby je na odwyk i trzymała tam, dopóki by z tego nie wyszły. Fay zdawała się wiedzieć wszystko o Finnie, a jednak nigdy go nie zmusiła, by coś z tym zrobił. No ale w końcu podobno taki był właśnie problem z uzależnieniami: nie można nikogo zmusić do leczenia. Uzależniona osoba sama musi chcieć. Tara czuła się w tym temacie niczym ignorantka. Powinna kupić jakąś książkę o alkoholizmie. Wtedy ją olśniło: Internet. Oczywiście. Nie potrzebowała książki. Połączyła się z siecią i zaczęła szukać.

Siedziała długo w nocy i czytała o rodzinach, i partnerach alkoholików. Historie te na pozór bardzo się od siebie różniły, ale łączył je ten sam ból, który był rezultatem życia z alkoholem.

Czytała o żonach i mężach, którzy rozwiedli się ze swymi pijącymi małżonkami, zbyt wiele razy doprowadzeni do kresu wytrzymałości, którzy opisywali, jak ciężko było im dojść do siebie po tym, co przeszli. Czytała o dorosłych dzieciach alkoholików, których wiele lat po śmierci pijącego rodzica nadal dręczyły koszmary związane z powrotem tatusia albo mamusi do domu ze znajomym bliskiem w oczach i w oparach alkoholu.

Czytała także i dobre historie, gdzie ludzie wlewali w innych nadzieję, że może istnieć życie po pożegnaniu się z butelką.

„Byłam żoną dwóch ludzi, miłego mężczyzny, którego kochałam, i zgorzkniałego, okrutnego mężczyzny, którym tamten się stawał po kielichu” – napisała pewna kobieta. „Przez wiele lat żyłam z nimi dwoma, aż wreszcie miałam dosyć i wyrzuciłam go z domu, dla dobra swojego i naszych dzieci. Dopiero wtedy on stawiał czoło temu, co zrobił. Mój mąż wrócił, nie ten pijący, ale ten dobry i przyzwoity. Jest z nami od czterech lat i nie ma dnia, bym nie dziękowała Panu za to, że nam go oddał. Tak właśnie może się zdarzyć, przyrzekam”.

Czytając te opowieści, Tara czuła ściskanie w gardle. Te prawdziwe historie były bardziej przejmujące od wszystkiego, co mogła sama napisać.

Gdyby tylko otrzymała drugą szansę u Finna. Ale teraz wydawała się ona nieosiągalna. Tara mogła jedynie mieć nadzieję, że jej mąż uczynił właściwy krok i poszedł na odwyk. Dopóki nie otrzyma innych wieści, musi jakoś dalej żyć.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

– Przypomnij mi jeszcze raz, dlaczego w ogóle idziemy na to przyjęcie? – mruknęła Joan, bawiąc się świeżo pomalowanymi czarnymi włosami, obciętymi na nowoczesnego pазia. Przygotowując się do przeprowadzki do Nowego Jorku, zmieniła swój styl i przyzwyczajała się do noszenia rzeczy ze swej kolekcji. Nadal ubierała się w odlotowe T-shirty z graffiti, ale bardzo się starała, by jej bardziej ekstrawaganckie ubrania dobrze wyglądały z tymi z głównego nurtu.

– Chcę odnieść sukces, a bycie zbyt dziwnym nie sprawdza się na Siódmej Alei – oświadczyła Kenny'emu i Holly, kiedy okazali zaskoczenie tym nowym wizerunkiem. Dzisiaj miała na sobie elegancką grafitową sukienkę bez rękawów, a pod nią obcisłą, białą siatkową koszulę z bawełnianym kołnierzykiem i mankietami. Całości dopełniały szpilki z Genuine Forties i klasyczna torebka wieczorowa YSL ze sklepu z rzeczami vintage.

– Idziemy na to przyjęcie, ponieważ kochamy Toma i musimy wesprzeć go w potrzebie – odparł Kenny, który nie musiał gmerać nic przy swoim stroju, gdyż wiedział, że jego kremowy lniany garnitur w stylu „facet od dietetycznej coli” jest nienaganny. – I mamy nadzieję, że Caroline zakocha się w jednym z tych piękniśków, którym kazałem wkręcić się na przyjęcie, i w ten oto sposób zostawi kochanego Toma w spokoju. – Nie dodał: „dla Holly”. On i Joan może i uważali, że Tom byłby idealny dla ich Holly, ale nie odezwali się na ten temat ani słowem. Ich przyjaciółka była wystarczająco przygnębiona. – Poza tym jedynym innym wyjściem jest znalezienie czarownicy i rzucenie uroku na Caroline, a jak na razie nie otworzyli w Dublinie filii „Czarownice To My” – kontynuował niestrudzenie Kenny.

Był czwartek, dzień wielkiego przyjęcia zaręczynowego Toma i Caroline. Joan i Kenny znajdowali się w mieszkaniu Holly, czekając, aż wyłoni się z sypialni.

– Holls, co ty tam robisz? – wrzasnęła Joan. – Chcę jechać na to przyjęcie i poznać modeli Kenny'ego.

Kenny zadzwonił wcześniej odważnie do Caroline i wspomniał o tym, że w dniu przyjęcia pracuje podczas sesji zdjęciowej.

– Będę pracował z czterema najbardziej smakowitymi modelkami w tym kraju. Chciałbym cię prosić o wielką przysługę. Mógłbym ich zabrać z sobą? Bardzo by im się spodobało na waszym przyjęciu.

Zgodnie z przewidywaniem, ochoczo na to przystała.

– Jennifer Lopez to pikus w porównaniu z Caroline, jeśli chodzi o ego – westchnął Kenny. – Sam wszystko załatwiłem, a ona autentycznie wierzy w to, że najlepsi modele w kraju sikają w majtki, by się wkręcić na jej nędzną imprezę.

Holly przeglądała się w lustrze w sypialni. Nie mogła wyjść w tej sukience. To był wieczór Caroline, a istniała przecież niepisana zasada o nieprzyćmiewaniu panny młodej, prawda? Chodząc z Joan po sklepach vintage, natrafiła na czerwoną suknię od Herve Legera, cudowną kreację, która zachowywała się niczym bielizna wyszczuplająca i nadawała klepsydrowej figurze Holly jeszcze lepsze proporcje, w stylu Jessiki Rabbit. Holly nie przymierzyłaby czegoś tak odważnego, tyle że Joan chciała ją zobaczyć na kimś, by zachwycać się kunsztem Legera. Kiedy ją włożyła, nawet kierowniczka sklepu przyszła podziwiać efekt. No i Joan się uparła, że Holly musi ją kupić.

Teraz uznała, że nie ma odwagi na coś aż tak zmysłowego. To była sukienka, którą mogła przymierzać, kiedy pragnęła poprawić sobie humor, bo naprawdę wyglądała w niej olśniewająco, ale po prostu Holly nie potrafiłaby wyjść w niej z domu. Ludzie by na nią patrzyli.

– Mamy nadzieję, że nie zdejmujesz tej sukni? – Joan stanęła w drzwiach sypialni.

– O, widzę, że jesteś gotowa – stwierdził Kenny, zaglądając do pokoju. – Chodźmy.

– Nie wiem... – westchnęła żałośnie Holly.

Chwycili ją i wypchnęli przez drzwi sypialni. Joan wbiegła do niej z powrotem po torebkę wieczorową.

– Jezu, Holly, jak się czujesz? Wyglądasz fantastycznie.

Dwóch speców od mody lustrowało ją krytycznym wzrokiem.

– Odrobinę więcej błyszczycy – stwierdził Kenny. – Poza tym jest idealnie.

Joan otworzyła drzwi i zeszedli razem po schodach. Holly podciągnęła sukienkę nieco wyżej, by zakrywała więcej piersi.

– Caroline padnie na twój widok – piała z zachwytu Joan.

Na te słowa Holly się zatrzymała. Nie chciała, by Caroline padła na widok jej sukni bojowej. Ponieważ tak właśnie by to wyglądało: zdesperowana, rozgoryczona kobieta, która przegrała i teraz po raz ostatni prezentowała wszystko, co ma. Caroline cholernie dobrze wiedziała o tym, że Holly podoba się Tom, nawet jeśli on wydawał się zupełnie tego nieświadomy. A Holly pogorszyłaby tylko wszystko, robiąc z siebie głupca w tej sukni; sukni, która krzyczała: „patrz, co tracisz!”. Równie dobrze mogła zabrać z sobą transparent z takim właśnie napisem.

Nie chciała, by Tom zapamiętał tę atmosferę desperacji. Chciała być chłodna i spokojna, i tak bardzo się cieszyć z powodu zaręczyn, na ile to możliwe: inne zachowanie wносиło złą karmę. A po dzisiejszym wieczorze nie zobaczy ich już nigdy więcej. Tom i Caroline przeprowadzali się do większego mieszkania. Holly wiedziała, że otrzyma zaproszenie na ślub, ale nie pójdzie. Dzisiejszy wieczór był wystarczająco koszmarny. Będzie pełna gracji i przy odrobinie szczęścia nikt nie zauważy, że to dla niej wieczór porażki.

– Zapomniałam wyłączyć... eee... telewizor – wykombinowała na poczekaniu i odwróciła się. – Idźcie, zaraz was dogonię.

W mieszkaniu zdarła z siebie sukienkę i rzuciła ją na łóżko. Wyciągnęła z szafy dobrze dopasowany garnitur w kolorze kości słoniowej i białą koszulę. Ubrała się szybko, po czym zmieniła sandaalki na sztywne czarne pantofle bez pięty, a błyszczącą torebkę na skórzaną. Kobieta w lustrze była elegancka i prezentowała styl bizneswoman, a jej strój wyglądał tak, jakby wybiegła z pracy, nie mając czasu na przebranie się. Nie mówił, że zbyt mocno się starała.

– Co do licha... – zaczęła Joan, kiedy dołączyła do nich Holly. Czekali na ulicy i machali na taksówkę.

– Daj jej spokój – zbeształ ją Kenny. – Holly wie, co robi.

W hotelowym lobby wielki szyld oznajmiał, że przyjęcie rocznicowe państwa Jacob odbywa się w Sali Sackville, przyjęcie weselne państwa O'Connor w Sali Wzgórze Tary, a przyjęcie zaręczynowe pary Barry/Davis w Sali Cuchulainn.

– Całkiem historycznie jak na dziesięcioletni hotel – stwierdził Kenny. Wszystkie trzy nazwy wiele znaczyły w irlandzkiej historii i mitologii.

– Podejrzewam, że turyści uwielbiają mieć do czynienia ze starą Irlandią – zauważyła Joan. Wtedy w jej głowie pojawiła się pewna myśl. – Boże, czy myślicie, że kiedy pojadę do Nowego Jorku, będę się musiała nauczyć historii Irlandii? Kiedy przed laty przyjechała z Filadelfii moja ciotka, wprost odchodziła od zmysłów, kiedy się dowiedziała, że nie znam żadnych starych irlandzkich pieśni i tym podobnych. Sądziła także, że będę umiała mówić po irlandzku, a wiecie przecież, że jedyne, co umiem po irlandzku to: „Czy mogłabym wyjść z klasy do toalety, proszę pani?”

– Przestań się martwić – roześmiał się Kenny. – Nikt nie będzie od ciebie oczekiwał, że zaczniesz opowiadać te bzdurne legendy o krasnalach. A poza tym kiedy tam pojedziesz, ogarnie cię nostalgia i zaczniesz kupować irlandzką muzykę folkową i będziesz się rozrzewniać w dniu Patryczka, szlochać za Starym Krajem.

– Wcale nie. Jestem fanką muzyki klubowej i święto Patryczka lubię tylko dlatego, że to dzień wolny od pracy.

– Ale na pewno znasz choć trochę historię Irlandii – ciągnął Kenny.

– Nie byłam dobra z historii. I co z tego? – zirytowała się Joan. – Nie wszyscy byliśmy w szkole kujonami.

– Czy wy dwoje będziecie się klócić przez cały wieczór, czy też idziemy w końcu na to przyjęcie? – zapytała ostro Holly.

– No dobrze, ja pójdę pierwsza – rzekła Joan. – Wy dwoje za mną, nawijając w taki sposób, jakbyście właśnie odbywali najbardziej interesującą rozmowę na całej planecie i zupełnie nie zauważyli, że już tu jesteście.

– Porozmawiamy o historii Irlandii? – zapytał niewinnie Kenny i Holly wybuchnęła śmiechem.

W ten sposób inni goście odnieśli wrażenie, że ta trójka pięknie ubranych, eleganckich ludzi świetnie się bawi we własnym olśniewającym towarzystwie.

– Nie było to zbyt trudne, prawda? – mruknęła Joan, kierując ich małą grupkę w stronę baru.

– Powinniśmy najpierw iść się przywitać z Tomem i Caroline? – zapytała niespokojnie Holly. Nie miałyby nic przeciwko temu, by w ogóle nie widzieć bezgranicznie szczęśliwej pary narzeczonych, ale wiedziała, że to niemożliwe.

– Nie, oni mogą podejść do nas – odparła Joan i zaczęła zamawiać drinki.

Holly rozejrzała się ukradkiem.

Sala, ozdobiona kosztowną tapetą malowaną w bluszcz dla oddania mistycznej, irlandzkiej atmosfery, była wystarczająco duża, by pomieścić nawet dwieście osób, a na jednym jej końcu znajdowała się scena. Powyżej wisiał krzykliwie różowy transparent z napisem: „Gratulacje dla Toma i Caroline”. Wszędzie porozwieszane były różowe balony w kształcie serca, gryzące się koszmarnie z tapetą.

– Widzicie któregoś z moich gości? – zapytał Kenny, wyciągając szyję.

– Nie, pewnie wszyscy schowali się w łazience i dzwonią gorączkowo z komórek, by znaleźć jakąś fajniejszą imprezę – odparła Joan.

– Robią to dla mnie – rzeki Kenny – i nie wyjdą, dopóki nasza kochana Caroline nie zobaczy, że popełnia poważny błąd, decydując się na tylko jednego mężczyznę, gdy tymczasem jest na świecie tylu przystojnych facetów, którym ona podoba się jak diabli.

– Nie liczyłabym na to – oświadczyła Joan, a jej oczy rozszerzyły się.

Holly i Kenny podążyli za jej spojrzeniem. Tłum ludzi rozdzielił się, ukazując filigranową blondynkę w błyszczącej czerwonej sukience. To była Caroline, uśmiechająca się niczym kot, który właśnie wypił dwie miseczki śmietanki. Jej suknia przypominała porzuconą suknię Holly pod tym względem, że odsłaniała sporo ciała i miała niesamowicie głęboki dekolt oraz nieco bardziej subtelne rozcięcie na udzie. Holly jednak miała krągłości, które mogła pokazać w tego typu syreniej sukni, natomiast Caroline nie. Jej małe jędrne piersi i chłopiące biodra, idealnie się nadające do jej ulubionych sukienek o kroju halki, w tym przypadku były zupełnie nie na miejscu.

– Nie mogę uwierzyć, że włożyła coś takiego – rzuciła pogardliwie Joan. – To przecież zupełnie nie jej styl.

Holly zmówiła w myślach modlitwę dziękczynną, że swoją czerwoną suknię zostawiła w domu. Obok siebie ona i Caroline wyglądałyby niczym mały i duży. Albo, co gorsza: wersja odłuszczonego i pełnotłusta.

Było oczywiste, że narzeczoną Toma nie dręczą żadne wątpliwości w kwestii stroju. Lekkim krokiem zbliżyła się do ich trójki.

– Tak się cieszę, że przyszliście! – krzyknęła przenikliwie, wymachując z podnieceniem rękami. – To naprawdę ekscytujące, prawda? Podobają ci się moja sukienka? – zapytała Joan, wyraźnie skora do podlizywania się projektantce z powodu tej jeszcze nierozwiązanej kwestii sukni ślubnej. – To Versace.

– Zeszły sezon, w dodatku kopia – mruknął Kenny do ucha Holly.

Uderzyła go lekko po ręce.

– Nie bądź złośliwcem.

– Co myślicie o moich cudownych balonach? – rozplątywała się Caroline. – Powinnam była wybrać czerwone, by mi pasowały do sukni, ale wolę różowe. Są bardziej romantyczne – dodała, sepleniąc słodko.

Holly miała nadzieję, że jej przyjaciółka nie zacznie okazywać, że robi jej się niedobrze od infantylizmu Caroline. Detektor głupoty Joan był bardzo czuły.

– Gdzie Tom? – zapytała Holly.

– Gdzieś tam – odparła Caroline. Jej uwagę odwróciła grupka nowo przybyłych kobiet w cekinowych sukniach. Machały do niej radośnie. – Później pogadamy! – pisnęła. Oddaliła się chwiejnie na wysokich obcasach, by powitać gości, krzyżując: – Tak się cieszę, że przyszliście!

Za nowo przybyłymi stało trzech najprzystojniejszych mężczyzn, jakich Holly miała okazję widzieć w całym swoim życiu. Wszyscy ubrani byli swobodnie w znoszone dżinsy, mieli modnie zmierzwiłone włosy i cechowała ich niedbała elegancja ludzi tak pięknych, że mogą się ubierać w cokolwiek. Jeden z nich podobny był do Brada Pitta i przypominał Holly jej szwagra. Finn miał taki sam swobodny, seksowny chód, informujący, że donikąd się nie spieszy. Dostrzegli Kenny'ego i ruszyli w jego stronę. W zestawieniu z ich olśniewającą urodą z bliska wszyscy wydawali się podekscytowani i niemal chłopięcy w swym entuzjazmie. Przywitani się z Kennym i uściśnęli dłonie dziewcząt.

– Cudownie was poznać.

– Och, a więc to wy jesteście Joan i Holly!

– Dużo o was słyszeliśmy.

Nie minęło dużo czasu, a ich szóstka śmiała się i żartowała, jakby znali się od lat. Kenny pokazał chłopcom narzeczonych.

– On jest boski – westchnął Brad Pitt, który naprawdę miał na imię Napier.

Holly zachichotała do szklanki z sokiem pomarańczowym. Kenny mrugnął do niej.

– Nape to diesel – wyszeptał Kenny.

Holly wyglądała na skonsternowaną.

– Jeździ na innym paliwie.

Załapała.

Kiedy Tom podszedł, by się z nimi przywitać, z Caroline mocno przyklejoną do ręki, wyglądało na to, że przebiegły plan Kenny'ego nie wypali. Dwóch modeli hetero ignorowało Caroline, gdy tymczasem Napier patrzył uwodzicielsko na Toma.

– Caroline, musisz poznać Napiera, Denzila i Kurta – oświadczył stanowczym tonem Kenny, popychając Napiera w kierunku Caroline.

– Witajcie, chłopcy – uśmiechnęła się kokieteryjnie. Tylko sobie wyobraźcie, prawdziwi modele na jej przyjęciu. Przeprowadzka do Dublina to jednak był dobry pomysł.

Tom wysunął rękę z dłoni Caroline i przysunął się bliżej Holly.

– Dzięki, że przyszłaś – rzekł. – Ładnie wyglądasz.

Holly popatrzyła na swój poważny garnitur.

– Trochę za formalnie jak na dzisiejszy wieczór – odparła przepraszającym tonem. – Przepraszam.

– Nie, jest śliczny. Ty zawsze wyglądasz... – Tom urwał w połowie zdania, jakby dotarło do niego, że te słowa są niezbyt stosowne. – Ślicznie – rzekł wreszcie. – Ty zawsze wyglądasz ślicznie.

– Ty też świetnie wyglądasz. – Miał na sobie kaszmirowy sweter, który ona, Kenny i Joan dali mu w prezencie na te pamiętne urodziny; był to dzień, w którym na scenie pojawiła się Caroline, przekreślając nadzieję, której Holly nawet sobie nie uświadamiała. Pomyślała o drogiej książce o tym sławnym architekcie, którą kupiła dla Toma tylko od siebie. Nadal leżała pod łóżkiem, owinięta wstążką niczym pudełko z nadziejami i marzeniami.

– To ten sweter, który mi daliście – powiedział Tom.

– Tak – odparła Holly. Bez sensu było udawać niewiedzę. Pamiętała wszystko, w co ubierał się Tom i co do niej mówił, kiedy to nosił. – Kenny mówi, że macie nowe mieszkanie; jeden z tych wytwornych apartamentów w Glasnevin.

Kiwnął głową.

– Caroline bardzo chce urządzić parapetówę, zanim położymy parkiet.

– Przemieniasz się w balangowicza – przekomarzała się łagodnie. – Przyjęcia zaręczynowe, parapetowy, wesela... Kiedy więc wyprowadzasz się z Windmill Terrace?

– W przyszłym tygodniu.

– Tak szybko? – Popatrzyła w swoją szklankę. Jeszcze tylko jeden tydzień, a potem Tom zniknie z jej życia na dobre. Tak było lepiej.

– Mam nadzieję, że wszyscy pozostaniemy w kontakcie – rzeki. – Ty, Kenny, Joan, ja. Nasza ekipa z Purple Mosquito.

To już było zbyt wiele dla Holly. Nie mogła znieść tego, że będzie jedynie kolejnym imieniem w książce z adresami Toma i Caroline, wspomnieniem dni spędzonych na Windmill Terrace. Już wyobrażała sobie, jak Caroline ją przedstawi: „To Holly, która mieszkała w takim ślicznym mieszkanku pod Tomem. Tak, pamiętacie, kiedy przeprowadził się do Dublina i zanim ja też się przeprowadziłam, najpierw mieszkał w tym lichym domu. Cóż, Holly była sąsiadką Toma, jedną z trójki cudownie szalonych ludzi. Prawdę mówiąc to jedną z nich była Joan Atwood, ta projektantka”. Wtedy Caroline dodałaby szeptem, że Holly kiedyś podkochała się w Tomie. „Słodka dziewczyna, szlochała na naszym ślubie. Mówię wam”.

– Tom, przepraszam, muszę już iść. Bawcie się dobrze. – Wcisnęła mu w rękę swoją szklankę i nie bacząc na malujące się na jego twarzy zdumienie, wyszła pośpiesznie z sali do lobby. Nie czekała, by zobaczyć, czy Kenny lub Joan zauważyli jej nagłe wyjście. Łatwo by się domyślili, co się stało. Wybiegła z hotelu i pędziła ulicą, wymijając przechodniów. Byle tylko dalej od Toma.

Śpiesząc się, ani razu się nie odwróciła. Gdyby to uczyniła, zobaczyłaby, że Tom przebija się przez gości, próbując biec za nią. Ale kiedy znalazł się na ulicy, po Holly już dawno nie było śladu.

Kiedy znajdowała się wystarczająco daleko, zwolniła kroku. Już nigdy więcej nie chciała go widzieć. To za bardzo bolało. Nie było sensu zadręczać się rozważaniami „gdyby tylko”. Gdyby tylko na samym początku powiedziała mu, co czuje; gdyby tylko miał szansę powiedzieć jej, że lubi ją, ale tylko jako przyjaciółkę, wtedy może jakoś by go przeboleła. Ale niekończąca się nadzieja, że w końcu dostrzeże jej miłość, że zrozumie, iż to ona, a nie Caroline jest dla niego odpowiednią kobietą, była męką. Holly przyspieszyła. Podjęła decyzję, że usunie się z jego życia. To nie on usuwał się z jej życia, ale ona z jego. Była silna. Przeboleje Toma Barry'ego.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Clarisse i Wendy Cavaletto siedziały w porze lunchu w hotelowej restauracji i studiowały menu. Wendy nie była głodna i wolałaby kanapkę gdzieś na mieście, ale Clarisse bardzo zależało

na tym, by widywano ją we wszystkich właściwych miejscach i upierała się przy nagrodzonej gwiazdkami Michelina restauracji w hotelu Manon.

– Wendy, nie możesz się ukrywać. Musisz wychodzić i spotykać się z ludźmi – perorowała Clarisse przez telefon.

Wendy nie była pewna, w jaki sposób lunch z byłą szwagierką stanowił spotkanie się z „ludźmi”, ale uznała, że to część jakiegoś wielkiego planu Clarisse, by umieścić jej nazwisko w rubrykach towarzyskich. Clarisse żywiła nieszczególnie skrywane pragnienie należenia do socjety i podczas letniego sezonu wyścigowego czyniła gorączkowe, aczkolwiek jak na razie nieskuteczne wysiłki, by wygrać tytuł „najlepiej ubranej damy” na wyścigach w Leopardstown, Fairyhouse i Galway.

– Wcale się nie ukrywam – odparła Wendy. – Zapisalam się do amatorskiego kółka teatralnego i na siłownię.

– Nie to miałam na myśli – rzekła ze zniecierpliwieniem Clarisse. – Musisz się pokazywać we właściwych miejscach.

Teraz, kiedy już tutaj siedziały na tarasie, bardzo widoczne, Wendy żałowała, że nie uparła się przy tej spokojnej kanapce. Hotel Manon pełen był, jak to określała Clarisse, ludzi czynu, i Wendy nie zachwycała perspektywa rozplakania się na oczach wszystkich. A istniała taka możliwość, ponieważ Clarisse miała wieści na temat Niej, nowej kobiety Nicka, Wendy zaś się przekonała, że w kwestiach dotyczących byłego męża reaguje absurdalnie emocjonalnie. Po wielu odwołaniach w ostatniej chwili Clarisse wreszcie zaprosiła Nicka i Stellę na kolację, i teraz miała dla niej informacje.

– Chyba kieliszek szampana – rzuciła Clarisse, kiedy zjawił się kelner, by przyjąć zamówienie.

– Dla mnie nie – rzekła Wendy. – Jestem samochodem.

– Bzdura – odparowała jej szwagierka. – Jeden kieliszek cię nie zabije. Wskoczmy później na zakupy, więc za kierownicą usiądziesz dopiero za kilka godzin. Miło, prawda?

– Tak – odparła Wendy, posyłając jej wymuszony uśmiech. Clarisse bardzo się starała, ale stanowiła kiepski substytut Belindy, najlepszej przyjaciółki Wendy z Londynu. Belinda była tego typu osobą, która dokładnie by wiedziała, w jaki sposób podnieść ją na duchu. Na pewno nie byłby nim lunch w pretensjonalnym, drogim hotelu. Czasami była żona Nicka przyłapywała się na tym, że żałuje, iż wyprowadziła się z Londynu.

Tam znajdował się jej system wspomagający, w mieście, z którego przez lata usiłowała się wyrwać. Teraz z kolei prawie tego żałowała. Irlandia nie okazała się taka, jak się wcześniej spodziewała. Egoistycznie się rozwinęła. Wendy przechowywała w sercu obraz starej Irlandii, a ta przekształciła się w nowoczesny europejski kraj, którego nie rozpoznawała. Po dwudziestu latach spędzonych za granicą nikogo nie znała i czuła, że tu nie pasuje.

Jej siostra mieszkała w Stanach, a rodzice nie żyli. Krąg jej dawnych znajomych się porozpraszał i została jej tylko Clarisse.

Trudno było polegać na wsparciu kogoś takiego jak jej szwagierka. Clarisse miała zwyczaj mówić o różnych sprawach w swój własny, specyficzny sposób. Nie tylko przedstawiała fakty, ale dodawała ich własną interpretację i dlatego właśnie Wendy nie była tak do końca pewna, czy chce usłyszeć o nowej dziewczynie Nicka właśnie od niej.

Zanim na stole zjawił się szampan, jakoś udało im się porozmawiać trochę o wszystkim i niczym. Wzmocniona bąbelkami Clarisse zaczęła:

– Cóż, nie zrobiła na mnie wielkiego wrażenia, mogę cię zapewnić. Wyraźnie nie wydaje zbyt dużo na ubrania. Miała na sobie lnianą spódnicę przynajmniej sprzed pięciu lat. Też taką kiedyś miałam, ale już dawno temu ją wyrzuciłam. No i te jej włosy, cóż, katastrofa. Ma taką krótką, bezwzględną fryzurę. – Clarisse się wzdrygnęła.

Wendy poczuła się tym lekko podniesiona na duchu na tyle, by zapytać:

– Ładna jest?

– Niebrzydka, jeśli lubi się coś takiego. Ciemne włosy i niewiele makijażu. Bardziej pasowałby jej blond. – Clarisse dotknęła swych włosów z kosztownymi pasemkami. Zarówno

ona, jak i Wendy były blondynkami. Clarisse nie potrafiła zrozumieć, dlaczego wszystkie kobiety nie malują się na blond. Uważała, że rozjaśnianie maskuje siwiznę i jest znacznie bardziej twarzowe. – I uważam, że wygląda na swoje lata.

Wendy desperacko pragnęła się dowiedzieć, ile ona ma lat. Jakoś udało jej się nie zapytać o to Nicka podczas tej zenującej rozmowy telefonicznej, kiedy krzyczała na niego i oświadczyła, że jest draniem, skoro znalazł sobie kogoś nowego tak szybko, i że ma nadzieję, że marnie skończy.

Clarisse nie rozczarowała jej.

– Młodsza od niego, powiedziałabym, że jest przed czterdziestką, choć mogłaby bardziej o siebie zadbać. Nie wygląda na osobę chodzącą do salonów piękności.

Wendy przetrawiała tę wiadomość, nie mając pewności, czy się cieszy, czy smuci tym, że jej były mąż umawia się z kobietą, która mogłaby bardziej o siebie zadbać. Nie powinno mieć znaczenia, z jaką kobietą się spotyka, ale jednak miało. Zupełnie jakby wybór nowej partnerki miał bezpośredni związek z samą Wendy. Młodsza i ambitna dziewczyna oznaczała, że Wendy brakowało tych właśnie cech. Co było niemal równie upokarzające jak szybkość, z jaką Nick przebolewał rozwód i znalazł ją.

– Co sądził Howard? – zapytała Wendy. Zawsze lubiła brata Nicka, choć nie mieli z sobą wiele wspólnego. Był inspektorem podatkowym, a podatki stanowiły dla Wendy temat śmiertelnie nudny.

– Cóż, znasz Howarda. – Mina Clarisse mówiła, że ona знаła Howarda zbyt dobrze i prawdę powiedziawszy, miała tego dość. – Lubi najdziwniejszych nawet ludzi. Ta trójka rozmawiała przez cały wieczór o urbanistyce i kontaktach w rajach podatkowych.

Zjawiły się ich sałatki.

– Coś ci jednak powiem – rzekła Clarisse, nadziewając na widelec kawałek kurczaka. – Mam co do niej pewne przeczucie. Kiedy wyszli, powiedziałam do Howarda: „Wspomnisz moje słowa, oni spotykają się dłużej niż trzy miesiące”.

Wendy wpatrywała się w nią ze zdziwieniem.

– Co masz na myśli?

– Cóż, sprytnie to pomyślane, nie sądzisz? On i ty rozstajecie się, on wraca do kraju i nagle na scenie pojawia się ta nowa kobieta. Nazwałabym to dość szybkim tempem. – Clarisse popatrzyła protekcjonalnie na byłą szwagierkę. — Mam nadzieję, że nie uważasz, iż się wtrącam, Wendy, ale chciałam, byś o tym wiedziała. Mam podejrzenie, że Nick nie jest do końca z tobą szczery w kwestii Stelli.

Wendy upuściła widelec. Miała w nosie to, że hałas ten mógł zaskoczyć tych wszystkich jedzących lunch ludzi czynu. Dopiła szampana i spojrzała ponuro na Clarisse.

– Nie mówię, że jestem tego stuprocentowo pewna – kontynuowała Clarisse, machając upierścienioną dłonią na kelnerkę. – Po prostu uznałam, że powinnaś o tym wiedzieć.

Wendy potrzebowała jeszcze jednego kieliszka szampanii. Pal licha samochód. Zostawi go na parkingu.

– Kolejną interesującą rzeczą jest to, co się stało – Clarisse zdążyła już wpaść w rytm – kiedy zapytałam, jak układają się jej kontakty z dziewczynkami. Cóż, atmosfera zrobiła się tak gęsta, że można ją było kroić nożem. Uśmiechnęła się, owszem, ale widać było, że to sztuczny uśmiech. O tak. Nick siedział jedynie i był szary na twarzy. I o to chodzi – oświadczyła triumfującym tonem Clarisse. – To właśnie jest twoja karta atutowa, Wendy. Dziewczynki jej nie lubią, a Nick nigdy nie będzie z kimś, z kim nie będą się one dogadywać. Zrobiłby wszystko dla Jenny i Sary. Wystarczyłoby, że pstryknęłabyś palcami i byś go odzyskała.

Pojawiła się cała butelka szampana.

– Jesteśmy po rozwodzie – powiedziała słabym głosem Wendy. – To mój były mąż.

– Bzdury – odparła lekceważąco Clarisse. – Możecie ponownie wziąć ślub. Mnóstwo ludzi tak robi. Nagły zwrot i odzyskujecie zdrowy rozsądek. Małżeństwo twoje i Nicka było udane i pozwól, że coś ci powiem – kiwnęła na nią palcem. – Nie ma zbyt wielu wolnych mężczyzn,

czekających na kobiety w naszym wieku. Nick to dobra partia i dlatego właśnie Pani Nigdy Nie Chodzę Do Kosmetyczki tak szybko go złapała.

Wendy sączyła szampana. Czuła się samotna. A stosunki z Jenną stawały się coraz gorsze. Gdy przebywały razem w domu, warczały na siebie od rana do wieczora, ponieważ brakowało Nicka, który by wszystko łagodził i nie pozwalał córce długo się dąsać.

Ta część Wendy, która zaakceptowała nieodwracalny koniec ich małżeństwa, zamknęła się teraz. Mogliby to zrobić dla dobra dzieci. Wendy dałaby radę trwać w związku z powodu dzieci; czyż nie tak czyniły kobiety? Tyle że Nick powiedział, że nie jest już dobrze, że od wielu lat nie było i że wiedzą o tym oboje. I wtedy wiedziała, że mówił prawdę. Ale teraz...

Clarisse miała rację: Nick uwielbiał ich córki. Zrobiliby dla nich wszystko. Sara była na tyle duża, że sama sobie radziła, ale Jennie potrzebna była stabilizacja.

– Napij się jeszcze szampana – powiedziała Clarisse zbliżając butelkę do jej kieliszka.

– Poproszę.

– Widzisz – kontynuowała szwagierka – ja na twoim miejscu, co nie znaczy, bym chciała wtrącać swoje trzy grosze, absolutnie, aleja na twoim miejscu pozwoliłabym tej kobiecie zobaczyć, że dla Nicka najważniejsze są dzieci. Pokazać jej, co jest dla niego na pierwszym miejscu. Pozbawić ją satysfakcji.

Clarisse, która od samego początku zapalała niechęcią do Stelli Miller, z zadowoleniem opadła na oparcie. Natychmiast przejrzała Stellę. Kobiety jej pokroju uganiały się za cudzymi mężami. Clarisse знаła ten typ. Czekwały, aż na jakimś dobrym małżeństwie pojawi się rysa, i bam! Już tam były ze swymi wielkimi oczami i jędrnymi ciałami. Uważała, że stanowią zagrożenie dla porządnych kobiet. Nie chciała, by Howardowi przychodziło coś do głowy w związku z kobietami tego pokroju.

– On rzeczywiście uwielbia dziewczynki – powiedziała łzawie Wendy.

– No widzisz. – Clarisse uniosła kieliszek. – Za przyszłość.

\*\*\*

Stella bardzo lubiła, gdy Nick krzątał się po kuchni razem z nią. Nie znaczy to, by podejmował się jakichś większych kulinarnych zadań z wyjątkiem wkładania kurczaka do piekarnika, ale chętnie obierał, kroił w plasterki i siekał, i nie miał nic przeciwko opróżnianiu zmywarki do naczyń, czego Stella dosłownie nie znosiła. Na tym właśnie polega życie rodzinne, pomyślała radośnie, ostrożnie parząc gruszki na sałatkę z roqueforta, gruszek i fig. Było południe w śliczną niedzielę i szykowali się do lunchu w formie bufetu w niewielkim ogrodzie Stelli.

Ona i Nick w zeszłym tygodniu pomalowali mur białą farbą i osłonięte, nasłonecznione podwórko nabrało nieco marokańskiego stylu, ze ścianami porośniętymi klematisem. W rogach poustawiane były różnokolorowe donice, kolor zaś uzupełniały wiszące kosze.

Amelia rozkładała w ogrodzie zabawki, przygotowując się na przybycie Shony i Becky. Hazel, Ivan i bliźniaczki mieli się zjawić za pół godziny, a oprócz nich Vicki z aktualną miłością swego życia, Craigiem z pracy.

– Co mam jeszcze zrobić? – zapytał Nick, zaglądając jej przez ramię, gdy parzyła gruszki. Potarł nosem o jej szyję i objął mocno w talii.

Stella zapomniała na chwilę o gruszkach i przytuliła się do niego, delektując się bliskością jego silnego ciała.

Wczoraj został na noc i we trójkę zjedli na kolację pizzę. Kiedy Amelia poszła spać, Stella i Nick położyli się na sofie i oglądali w telewizji jakiś stary film, bezgranicznie szczęśliwi, a potem czas było iść do łóżka. Wtedy zrobiło się jeszcze przyjemniej. Kochali się już nie tak intensywnie i zniknęła gdzieś leniwa atmosfera wieczoru, zastąpiona przez gorący, bardzo fizyczny seks, w którym ich dzikie podniecenie łączyło się z sobą.

Ich ciała mokre były od potu, poruszali się w zgodnym rytmie, głodni siebie, aż wreszcie razem osiągnęli spełnienie.

– To lepsze niż pigułka nasenna – wymruczała Stella, gdy przytulała się do niego, a oczy same jej się zamykały.

Teraz czuła się seksowna i kochana, przyjemnie bolały ją mięśnie od ich wyczynów i była świadoma tego, że ciało jej kochanka znajduje się blisko niej. Pomyślała, że dzięki seksowi czuje się zdecydowanie bardziej zmysłowa. Jęknęła z zadowolenia, gdy dłonie Nicka otoczyły jej piersi i pocierały brodawki, aż te zaczęły sterczeć pod czarną koszulką.

– Przystań, inaczej nie będziemy mieli gruszek sparzonych, lecz rozgniecione – mruknęła. Boże, jak dobrze on wic dział, jak ją podniecić.

Oderwali się od siebie ze śmiechem, gdy usłyszeli, jak w ogrodzie Amelia woła mamę.

– W takim razie przestań mnie kusić w tej krótkiej bluzeczce – odparował Nick. – Skoro jesteś zajęta, pójdę sprawdzić, co chce Amelia.

Stella przyglądała im się przez okno. Dziewczynka pokazywała na robaka, który siedział na jej lalkach. Nick wziął go do ręki i ostrożnie przeniósł w inne miejsce, a potem wrócił i przykucnął, by wysłuchać jej planów odnośnie do podwieczorku dla lalek.

Stella sprawdziła gruszki i pomyślała, że ma szczęście, że znalazła Nicka.

Dawał jej tyle pewności siebie w różnych względach: choćby wyglądu. Nie znaczy to, że Stella uważała się za brzydką, ale zawsze była powściągliwa, nosząc ubrania, które bardziej pasowały kobiecie starszej od niej, i nigdy nie kusiło jej bycie młodą i szaloną. Ostatnio kupiła sobie wesołe, modne topy, które nosiła do wygodnych dzinsów. Porzuciła neutralną szminkę na rzecz błyszczaków w nasyconych kolorach i zakładała całą swoją biżuterię w stylu vintage, która do tej pory pyszniła się tylko w zaciszu sypialni.

Poczucie pewności siebie dotyczyło także podejmowania gości. Nagle fajnie było zapraszać ludzi na lunch albo kolację, i nowa, udoskonalona Stella nie przejmowała się także za bardzo menu. Kartkowała swoje książki kucharskie, serwowała domowej roboty pizzę z sałatką i przepyszne bruschetty. Pieklą duże kurczaki z czosnkiem i cytryną, podawała delikatnie obgotowane młode warzywa, a kawałki ziemniaków posypywała rozmarynem i innymi przyprawami. Dzisiaj szykowała fantastyczny bufet, przy którym więcej będzie rozmowy niż pracy. Nie przejmowała się tym, że ma tylko cztery kieliszki do wina do kompletu, a będzie sześcioro dorosłych. Mieli wystarczająco dużo innych kieliszków i na pewno nikomu nic będzie to ani trochę przeszkadzać.

Zadzwoiła komórka Nicka.

– Nick, telefon! – zawołała, biorąc aparat z blatu i podając go przez prowadzące na patio drzwi.

– Cześć, Jenno – powiedział Nick ciepło, wchodząc do kuchni.

Stella wycisnęła z gruszek nadmiar soku i ułożyła je w naczyniu. Następnie zaczęła układać na nich ser i przygotowywać do zapiekania. Do tego będą świeże figi i kawałeczki szynki parmeńskiej wśród różnych gatunków sałaty, polane odrobiną dressingu.

Nick wyszedł rozmawiać do salonu. Stella przyznała, że radio naprawdę głośno gra. Nie w tym rzecz, że Nick nie chciał rozmawiać ze swoją córką przy niej. Mimo to Stella nie mogła się powstrzymać przed podsłuchiwaniami. Wstrzymała oddech i poczuła lekkie ściskanie w żołądku – Oczywiście, że mogę przyjechać, kochanie. Nie martw się. Powiedz mamie, by też się nie martwiła.

W głowie Stelli rozległ się dzwonek alarmowy. Chyba nie miał zamiaru nigdzie teraz jechać? Jenna i Sara wybielały się na popołudniowy koncert w parku Phoenix i dlatego właśnie odwołały niedzielne odwiedziny u Nicka. Dzięki temu Stella miała możliwość zorganizowania tego nieplanowanego lunchu. Na niedzielę zazwyczaj nie czyniła żadnych planów związanych z Nickiem, ponieważ był to jeden z jego dni z dziewczynkami. Jednak teraz, kiedy zdążyła coś zaplanować, Jenna zmieniła zdanie. Stellę ogarnęła bezsilna wściekłość.

Mina Nicka mówiła „przepraszam”, jeszcze zanim zdążył cokolwiek powiedzieć.

– To Jenna – rzekł. – W samochodzie Wendy wysiadł akumulator i nie może zawieźć ich na koncert. Będzie ich czworo, więc powiedziałem, że wpadnę i ich zawiozę.

– Teraz?

Nick się skrzywił.

– Tak, teraz. Przepraszam, Stello, ale ona mnie błagała.

– A co się stało ze wszystkimi autobusami albo taksówkami? – zapytała zgryźliwie.  
– Spóźnią się na koncert, jeśli nimi pojadą. Samu wiesz, jak one kursują w niedzielę. Słuchaj, naprawdę szybko wróć.

– Nie będzie cię by mi pomóc; nie będzie cię, by wszystkich zabawić, choć to ma być przecież nasz lunch. – Stella czuła, jak w żyłach pulsuje jej gniewnie krew. – Dlaczego nie mogłeś odmówić Jennie? To dla mnie ważne.

– To tylko lunch – odparł uspokajającym tonem.

Na dźwięk tych słów tak bardzo okrzyczana cierpliwość Stelli uległa wyczerpaniu.

Nick próbował złożyć na jej czole przepraszający pocałunek, ale ona nie miała nastroju na całusy.

– Tylko lunch? – krzyknęła. – To nie jest tylko lunch. Zaprosiłam moich przyjaciół, by przyszli tutaj i spędzili czas z nami, nie ze mną, z nami. A ty musisz wyjść, jeszcze zanim zdążą przyjść, ponieważ twoja córka nie może się spóźnić na jakiś koncert i żąda, byś ją zawiózł samochodem, zamiast jechać autobusem jak normalne nastolatki.

Ten wybuch ze strony łagodnej, spokojnej Stelli zaszokował Nicka.

– To nie jest tak – zaprotestował.

– A właśnie, że jest – odparowała. – Dokładnie widzę, gdzie w twoim życiu jest miejsce dla mnie. Daleko, daleko w łańcuchu pokarmowym, hen poniżej od Jenny i Sary. Nic dziwnego, że Jenna nie okazuje mi ani odrobiny szacunku, skoro ty także tego nie robisz! Ona wie, że wystarczy, że pstryknie palcami, a ty pędzisz, bez względu na to, czego ja chcę. Tego właśnie ją nauczyłeś, Nick, i mam tego dość.

Słuchał w milczeniu tej tyrady.

– Wiesz, co jest najgorsze? – dodała Stella. – Zaczynam rozumieć, jak czuła się Wendy, odsunięta na bok przez Jennę i Sarę.

– Proszę, nie mów tak, Stello – błagał ją. – Wiesz, jak bardzo cię kocham. Ale naprawdę muszę to zrobić. Nie stawiaj mnie przed wyborem: ty albo moje córki.

– Nigdy cię nie prosiłam o to, byś wybierał – odparła posępnie. – Nigdy. Rozumiem, co to znaczy kochać dziecko, nigdy nie oczekiwałabym, że wyrzekniesz się tego dla mnie. Ale możesz kochać jednocześnie mnie i swoje córki. Jedyne, o co cię proszę, to szacunek twój i twojej rodziny, ale Jenna nigdy nie będzie mnie szanować, ponieważ ty jej na to pozwalasz; zdecydowałaś się ignorować jej zachowanie, ponieważ zżerają cię wyrzuty sumienia z powodu rozwodu, a to ja na tym tracę. A więc w tym wszystkim jest jednak jakiś wybór. – Stella wpatrywała się w niego. – I ty wyraźnie podjąłeś decyzję. Głupia byłam, że dopiero teraz zdałam sobie z tego sprawę. – Odwróciła się na pięcie i zaczęła na nowo siekać świeżą bazylię, którą zdążyła już raz posiekać.

– Niedługo wróć, tak szybko, że nawet nie zauważysz mojej nieobecności – rzekł Nick. – Wtedy o tym porozmawiamy, dobrze?

Nie odpowiedziała. W normalnych okolicznościach nawet wychodząc po gazetę, Nick całował ją czule na pożegnanie. Dzisiaj wiedziała, że nie może spojrzeć na niego ponownie, bo gniew, który wzbierał w niej od tak dawna, każe jej krzyżeć.

Słuchała, jak bierze do ręki kluczyki do samochodu, następnie zamyka za sobą drzwi. Stella wybuchnęła płaczem. Cały dzień był zepsuty i wiedziała, kogo powinna za to obwiniać.

Godzinę później nikt by się nie domyślił, że Stella przez dziesięć minut płakała w łazience, gdzie skryła się przed Amelią. Uważny obserwator może by coś wywnioskował z silniejszego niż zwykle makijażu: grubsza warstwa podkładu skrywała ślady po łzach, zaś roztarta kredka do oczu kamuflowała ich zaczerwienie. Amelia nie zwróciła uwagi na to, że jej matka przebrała się z topu na ramiączkach w długą lnianą koszulę, która zakrywała ją niczym beduiński namiot. Stella nie mogła pozostać w krótkim topie, który tak bardzo podobał się Nickowi, czuła się w nim głupio. Jej lniana koszula pochodziła z czasów sprzed Nicka, właściwie to z czasów prehistorycznych.

– Hazel, Ivan, wchodźcie! – powiedziała pogodnie, kiedy otworzyła gościom drzwi. – Cześć, Shona i Becky. – Pocałowała obie dziewczynki, po czym uściskała ich rodziców.

– Wyglądasz świetnie – rzekła Hazel, gdy zamknęła za sobą drzwi. – Nie widziałam cię w tym wcześniej. Czy to kaftan?

Dzwonek ponownie rozbrzmiał wesoło. Przed drzwiami znajdowali się Vicki, Craig i olbrzymi bukiet kwiatów.

– Hej – odezwała się Vicki. – To tylko my.

Stella przywitała ich wylewnie i musiała się starać, by na widok tego pięknego bukietu nie zwilgotniały jej oczy. Vicki była taka wspaniałomyślna. Nawet do głowy by jej nie przyszło, by odwiedzić przyjaciółkę, nie przynosząc z sobą jakiegoś podarunku.

– Nie powinnaś była – rzekła Stella – ale cieszę się, że to zrobiłaś. Są śliczne.

– Zaslugujesz na nie po tym całym gotowaniu – uśmiechnęła się szeroko przyjaciółka. – Umieram z głodu, więc mam nadzieję, że naszykowałeś mnóstwo czegoś jadalnego. Na jeden dzień robię sobie wolne od diety.

Za nią wszedł Craig, niosąc w ręku butelkę wina. Dwuletni pościg za Vicki wreszcie się opłacił. Miał zawadiacką twarz, rudawozłotą czuprynę i cięte poczucie humoru, i był idealnym partnerem dla Vicki, za którą szalał.

Stella zaprowadziła gości do ogrodu i kiedy już popodziwiano nową farbę i starannie nakryty mozaikowy stół z ładną zastawą i dekoracjami z pomarańczowych gerber, Vicki usadowiła się na krześle, zamknęła oczy i delectowała się słońcem.

– Uwielbiam jeść na dworze – westchnęła. – To doskonały pomysł, Stello. Dziękuję ci.

Ivan i Craig także usiedli, gdy tymczasem bliźniaczki i Amelia zniknęły w domu, żeby popsocić. Przez cały czas przebywały w domu bliźniaczek, więc dla całej trójki podwójnie ekscytująca była wizyta w domu Amelii, a ona aż się rwała, by im pokazać swoje najnowsze skarby.

– Napijcie się? – zapytała Stella.

Kiedy udała się pospiesznie do środka po wodę mineralną i wino, za nią podążyła Hazel.

– Nicka jeszcze nie ma? – zapytała, podziwiając talerze zjedzeniem, gdy Stella otworzyła lodówkę.

– Och, został wezwany do biura – odparła lekko. – Uruchomił się alarm i musiał jechać. Nie powinno to długo potrwać.

Chociaż Stella mocno nie znośiła okłamywać kochanej Hazel, nie zniosłaby nieuchronnej litości przyjaciółki, gdyby wyjawiała, dokąd pojechał Nick i dlaczego. Wystarczyło, że Stella wiedziała teraz, iż Nick wybierze swoje córki zamiast niej, na zawsze. Nie chciała, by jej przyjaciółka także o tym wiedziała. Upokorzenie ma w końcu swoje granice.

– W niedzielę? Co za cholerstwo – powiedziała ze współczuciem Hazel. – Wow, to wygląda niesamowicie – dodała, gdy Stella wzięła naczynie z kombinacją gruszek i sera, i wstawiła je do opiekacza.

Stella wręczyła przyjaciółce wino i butelkę wody mineralnej.

– Rozlejesz? – zapytała. – Ja muszę tu zostać.

Zajęła się kończeniem lunchu i usłyszała, jak Ivan pyta, kiedy zjawi się Nick.

– Och, wezwano go do biura – odparła Hazel.

– Biedak, przepadnie mu całe jedzenie – rzekła współczującym tonem Vicki. – Co jest z tą pracą, zawsze kiedy człowiek zaplanuje sobie coś fantastycznego, wtrąca się praca i wszystko knoci.

Przeszli na inny temat i kiedy Stella pojawiła się z dwoma talerzami, rozmowa dotyczyła akurat piłki nożnej.

To był pod każdym względem idealny, leniwy lunch. Stella wyniosła na dwór miniwieżę, tak by trójka dzieciaków mogła słuchać ukochanej muzyki pop. Słońce świeciło przez całe popołudnie i trzeba było nieźle się natrudzić przy ustawianiu parasola, by goście mogli się schronić przed palącymi promieniami. Wszyscy gawędzili radośnie, a Stella pełna była determinacji, by odgrywać rolę idealnej gospodyni, wesoło napełniając szklanki, plotąc trzy po trzy, zrywając się z krzesła, by przynieść na deser przepyszne bezy truskawkowe i świeże owoce.

Jednak przez cały czas nasłuchiwała niespokojnie dźwięku telefonu. Zastanawiała się, czy Nick wziął sobie jej wybuch do serca. Czy postanowił w ogóle nie zawracać sobie głowy wracaniem?

– Proszę, wystarczy – jęknął Ivan po zjedzeniu dwóch porcji bezy. Siedział teraz na krześle i klepał się po brzuchu.

– Czas, byśmy zbieżeli się do domu – rzekła z zalem Hazel. – Jest już po trzeciej, a czeka na mnie tona rzeczy do prasowania. Szkoda, że Nick jeszcze nie wrócił. Dzwonił?

– Zostawił wiadomość na sekretarce – skłamała Stella. – Niestety utknął tam na dobre. Szkoda.

Krzątała się, zbierając brudne talerze i sztućce.

– Pomogę ci – zaproponowała Hazel.

– W żadnym wypadku. – Stella posłała jej swój najbardziej promienny uśmiech. – Idź już, Hazel, i do zobaczenia jutro rano.

Po ich wyjściu Stella wróciła do ogrodu. Craig i Amelia prowadzili dyskusję na temat hodowli robaków.

– Czy możemy poszukać w donicach robaków, mamó? – zapytała dziewczynka, skora do założenia własnej hodowli, gdy Craig wszystko jej wytłumaczył.

– Lepiej będzie pod klematisem – odparła Stella. – Tylko bądź ostrożna.

Usiadła obok Vicki, położyła nogi na wolnym krześle i nalała sobie szklanekę wody gazowanej.

– Co się stało? – zapytała Vicki.

– Nic.

– A ja jestem Królową Saby. – Vicki posiała przyjaciółce pytające spojrzenie. – No mów, dziewczyno.

Stella opowiedziała wszystko, cicho, tak by nie słyszeli Amelia i Craig.

– No i od tamtej pory nie zadzwonił – skończyła i poczęstowała się ostatnim kawałkiem bezy.

– Co zrobisz?

Stella wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Staram się o tym nie myśleć. Boję się, że powiedziałam za dużo.

– Nie ma czegoś takiego jak powiedzenie za dużo – zauważyła Vicki. – Problemem jest duszenie wszystkiego w sobie. Miałaś rację, mówiąc mu prawdę. Wiem, że kocha swoje dzieci, ale dzisiejszy incydent trudno nazwać sprawą życia i śmierci. Mógł powiedzieć, że nie może teraz przyjechać, ale że odbierze je po koncercie lub coś w tym rodzaju.

– Tak. – Stella ponuro wsunęła sobie bezę do ust. Wcześniej zbyt była zajęta bieganiem wokół i byciem wesołą gospodynią, by wiele jeść. Teraz poczuła, że jest głodna. Nick mógł powiedzieć, że nie może odebrać Jenny i Sary. – Nie proszę go, by wybierał pomiędzy mną a dziewczynkami. Nigdy bym tego nie zrobiła. Sama przecież jestem rodzicem, rozumiem, czym jest posiadanie dzieci, ale... – Westchnęła. – Chcę, by Nick zrozumiał, że może kochać razem mnie i dziewczynki, że to nie muszą być ja albo one. Moglibyśmy jakoś się o to postarać.

– To jednak dobry facet. Kocha cię, wiesz o tym. Musicie sobie z tym jakoś poradzić, razem.

Stella kiwnęła ze znużeniem głową. Żałowała, że nie ma w pobliżu Rose, z którą mogłaby o tym porozmawiać. Bez niej czuła się dziwnie pozbawiona steru. Matka mówiła, że na to trzeba czasu, ale Stella zmęczona była czekaniem.

– Ale to dziwne, że Nick ani nie zadzwonił, ani nie wrócił – powiedziała Vicki.

– Wiem. Trochę się boję, że coś mu się mogło stać. – Stella zerknęła na zegarek. Zbliżała się czwarta. Od jego wyjścia minęło już kilka godzin i poczuła nagle mdłości na myśl, że Nickowi mógł się przydarzyć jakiś straszliwy wypadek samochodowy, i że jej ostatnie słowa skierowane do niego były okropne. Odsunęła rozplywającą się bezę. – Zadzwonię do niego na komórkę.

– Zaczekaj. A jeśli do ciebie po prostu nie zadzwonił, co wtedy mu powiesz?

– Że możemy nad tym popracować – odparła Stella, po czym udała się pospiesznie do domu. Ze zdumieniem ujrzała, że mruga do niej światelko na automatycznej sekretarce. Wśród tych wszystkich rozmów i głośnej muzyki nie słyszała, że dzwonił telefon. Dlatego nawet na niego

nie spojrziała, kiedy szła przez salon, by pożegnać się z Hazel i Ivanem. O nie, wszystko mogło się zdarzyć, a ona nie zauważyła tego cholernego mrugania. Z niepokojem odsłuchiwała wiadomość.

– Stella, cześć. – Pauza. – Jestem przed wejściem na koncert z dziewczętami i jedna z ich koleżanek nie pojawiła się, więc mają wolny bilet. Naprawdę bardzo chcę, bym z nimi wszedł. Pójdę na pierwszą godzinę, a potem przyjadę do ciebie, okej? To raczej nie moja ulubiona muzyka – dodał cierpko. – Ale pomyślałem, że to może poprawić moje stosunki z Jenną. Musi po prostu wiedzieć, że ją kocham. I wtedy wszystko będzie dobrze, obiecuję. Ona się czuje niepewnie, w tym właśnie problem. Powinienem wrócić przed trzecią. Mam nadzieję, że przyjęcie udane. Pa. Kocham cię – dodał.

W uszach Stelli to „kocham cię” zabrzmiało tak, jakby zostało wypowiedziane po zastanowieniu.

Tym razem nie płakała. Zamiast tego zadzwoniła na komórkę Nicka, poczekała, aż włączy się poczta głosowa i zostawiła krótką, ostrą wiadomość: „Jest za dziesięć czwarta, przyjęcie się skończyło i wychodzę. Nie będzie mnie przez cały wieczór. Nie musisz przyjeżdżać”.

Jej twarz nadal płonęła, gdy maszerowała przez kuchnię do ogrodu.

Craig dał sobie spokój z poszukiwaniem robaków i siedział teraz na krześle ze stopami Vicki na kolanach. Masował je powoli. Jęknęła ekstatycznie i oparła się wygodniej na krześle.

– Jest w tym wspaniały – rzekła do Stelli.

Craig uśmiechnął się szeroko.

– Na początku nie chciała mi dać dotknąć swych stóp, ale teraz – popatrzył z uwielbieniem na swoją dziewczynę – przepada za tym.

– Odmawiam rano wyjścia z łóżka bez małego masażu – potwierdziła Vicki, przeciągając się leniwie.

Stella poczuła, jak w jej czaszce pojawia się wielka kula gniewu. Powinna mieć mężczyznę, który masowałby jej teraz stopy i pomagał posprzątać ten bałagan po przyjęciu. Zamiast tego siedziała niczym jedna z brzydkich sióstr, sama i bez nikogo, kto pomasaowałby jakąkolwiek część jej ciała.

– Rozmawiałś z nim? – zapytała Vicki.

– Tak i nie – odparła Stella przez zaciśnięte zęby. Dzwonił wcześniej i zostawił wiadomość, że idzie razem z dziewczętami na pierwszą godzinę koncertu i że wróci później. Prawdę powiedziawszy, to miał wrócić już godzinę temu. – Jej promienny uśmiech był niebezpieczny.

Vicki westchnęła.

– Powinniśmy się zbierać – powiedziała. – Byś mogła wyjść.

– Wychodzimy gdzieś, mam? – zapytała Amelia.

– Tak – odparła Stella, strzepując ziemię z jeszcze niedawno czystego różowego T-shirtu córki. – Jedziemy do kina.

– Hurra! – zawołała Amelia. – Nick też jedzie?

– Nie.

Vicki, Craig i Amelia pomogli Stelli zanieść brudne talerze do środka, gdzie zostawiła je na ociekaczu, czekające na włożenie do zmywarki.

– W porządku, Craig, możesz je tak zostawić – rzekła, kiedy zaczął je wkładać do środka. – Później to zrobię. Śpieszymy się, chciałam tylko wnieść wszystko do kuchni.

Pragnęła opuścić Delgany Avenue jak najszybciej, przed powrotem Nicka. Była taka zła i nie ufała sobie na tyle, by się z nim spotkać. Kto wie, co by wtedy powiedziała. Sąsiedzi nie musieliby włączać telewizorów, by oglądać telenowełe: wystarczyło, że wyjrzeliby przez okno i słuchali koszarnej kłótni w domu Stelli Miller.

Vicki i Craig wyszli. Przyjaciółka pocałowała Stellę na pożegnanie i wyszeptała jej do ucha:

– Zadzwoń do mnie później.

Pięć minut później Amelia i Stella szły spieszenie chodnikiem w stronę stacji Sandymount. W Dun Laoghaire znajdował się wielki kompleks kinowy, zaledwie dwadzieścia minut kolejką

podmiejską. Amelia była uradowana tą nieoczekiwaną przyjemnością i chciała wiedzieć, jaki obejrzą film.

Stella nie miała pojęcia. Nie sprawdziła nawet w gazecie, jakie grają filmy i o której godzinie. W najgorszym wypadku będą musiały godzinę poczekać na odpowiedni film, a tym czasem mogły robić naprawdę dużo rzeczy, na przykład spacerować po nabrzeżu i oglądać jachty. Stella wyjęła komórkę, poszukała w spisie telefonów numeru informacji kinowej i wystukała go. Grano dwa filmy animowane i na szczęście jednego z nich Amelia jeszcze nie widziała. Zaczynał się za czterdzieści pięć minut. Stella zarezerwowała dwa miejsca. Nie wróca do domu przed wpół do dziewiątej, wystarczająco późno, by wiadomość dotarła do Nicka.

\*\*\*

W drodze powrotnej pełna ekscytacji związanej z dzisiejszym dniem i filmem oraz zbyt dużą ilością popcornu Amelia siedziała oparta o matkę i drzemała. Nawet możliwość oglądania szybko uciekających widoków za oknem nie była w stanie utrzymać jej rozbudzonej i Stellę ogarnęły wyrzuty sumienia, że tak późno położyła córkę do łóżka. Jej złość nie osłabła. Na sali kinowej zamiast filmu widziała zamazany obraz, w myślach zaś powtarzała sobie, co dokładnie powie Nickowi, kiedy się z nim spotka. Musiała stanąć z nim twarzą w twarz. Uciekanie i ukrywanie się nie było w stylu Stelli. Gdyby zadzwonił później, powie mu, by przyjechał. Jeśli mieli się rozstać, chciała to zrobić osobiście, a nie przez telefon.

\*\*\*

Nad ranem w poniedziałek Stellę obudziła burza. Usiadła półprzytomnie, nie mając pewności, co to za odgłos. Wtedy niebo rozdarła kolejna głośnie błyskawica. W okna walił deszcz, zupełnie jakby desperacko pragnął dostać się do środka. Spojrzała na zegarek. Wpół do szóstej. Wyczerpana po niespokojnej nocy osunęła się z powrotem na poduszki i zastanawiała, czy jest w ogóle nadzieja, że jeszcze zaśnie. Wstać musiała dopiero o siódmej.

Przez jej głowę przebiegało jednak tyle myśli, że zaśnięcie okazało się niemożliwe. Postanowiła poczekać jeszcze dziesięć minut, pragnąc odpłynąć w nicość, tak się jednak nie stało.

– Cholera. – Odrzuciła kołdrę, wstała z łóżka i narzuciła na siebie szlafrok. Burza sprawiła, że znacznie się ochłodziło. Stella udała się do kuchni, ciesząc się, że wczoraj wieczorem wszystko posprzątała. Stanięcie w obliczu sterty niepozmywanych naczyń z zastygniętym jedzeniem nie stanowiłoby dobrego początku dnia. Choć ten dzień był od początku skazany na porażkę, pomyślała ponuro. Sprawiała to wczorajsza rozmowa z Nickiem.

Poszukała swojej ulubionej kawy, zmieliła ziarna i zaparzyła dzbanek napoju. Zazwyczaj tylko podczas weekendów robiła świeżą kawę. Rankiem nigdy nie miała na to czasu, w pośpiechu do potęgi trzeciej. Z wielkim kubkiem kawy w dłoniach usiadła na ulubionym krześle w oranżerii i wyglądała na ogród, gdzie deszcz smagał bezlitośnie klematis. Po kamiennej podłodze patio przesuwali się miniregiment robaków – ich różowe ciała błyszczały wydłużone podczas tej wielkiej wyprawy. Dlaczego robaki przemieszczały się tylko podczas deszczu? Czy były przekonane, że ludzie w takie dni nie wychodzą na dwór, więc nie rozdepczą ani nie rozjadą małych stworzeń? A może próbowały uciec przed swymi ptasimi adwersarzami, w nadziei, że aerodynamika mokrych piór wyklucza latanie podczas deszczu?

Stella uśmiechnęła się smutno. Dzień wcześniej Amelia złapała tylko jednego robaka, a teraz było ich całe mnóstwo.

Podkuliła pod siebie nogi i sączyła kawę, aż sprzed jej oczu zniknął ogród, a zamiast niego pojawiła się twarz Nicka. Jak ona miała przeżyć ten dzień bez niego?

Wczorajszego wieczoru zostawił dwie wiadomości. Obie spokojne i nieco smutne. Prosił, by do niego zadzwoniła. Nie zrobiła tego. A potem przygotowywała właśnie mundurek Amelii na jutro do szkoły, kiedy zadzwonił telefon. Zanim Stella zdążyła jej powiedzieć, by nie odbierała, Amelia podniosła słuchawkę.

– Pojechaliśmy na film i jadłam popcorn, a mamusia nie – trajkotała Amelia.

Uśmiechając się, Stella sięgnęła po słuchawkę.

– Pa pa, mamusia już tu jest.

– Witaj, Stello – odezwał się Nick.

– Witaj. – Z niewyjaśnionych przyczyn teraz, kiedy z nim rozmawiała, chciało jej się płakać, choć podczas wszystkich poprzednich odbywanych w myślach rozmów krzyczała na niego z wściekłością. Gniew minął, pozostało zaś przeraźliwie smutne uczucie, że ich cudowny związek dobiegł końca.

– Chciałbym przyjechać...

Stelli zamarło serce.

– ... ale nie mogę. Jest u mnie Jenna. Ona i Wendy pokłóciły się wieczorem i... no cóż, kiepsko się to skończyło. Więc przyjechała do mnie. Dobrze, że byłem w domu.

Prawda, że dobrze? – pomyślała gorzko Stella. Ale gniew nie powrócił.

– Wiem, że jesteś zła.

– Nie, nie jestem zła. Jestem zrezygnowana i skazana na to, że nasz związek nie wychodzi, ponieważ to ja się ciągle staram, a ty w ogóle – odparła Stella. Wiedziała, że nie jest to do końca sprawiedliwe, ale miała to gdzieś. Czy do Nicka nie dotarło ani jedno z jej wcześniejszych słów?

– To nieprawda, Stello. – Nick wydawał się przygnębiony. – Kocham cię, zrobiłbym dla ciebie wszystko, ale dzisiejszy dzień był trudny.

– A dla mnie jaki był, jak sądzisz? – zapytała. – Zawiodłeś mnie dzisiaj, Nick. Już to było wystarczająco złe, ale zamiast wrócić i spróbować wszystko naprawić, ty tego nie uczyniłeś.

– Dopiero co się rozwiódłem, Stello – odparł z irytacją. – Próbuję odbudować dobre stosunki z Jenną i Sarą. To nie jest proste. Sądziłem, że dzisiejszy dzień będzie dobry dla dziewczynek.

– Mimo że wiedziałeś, że oczekiwałam, że zostaniesz tutaj na lunch? – Stella była teraz spokojna.

– Sądziłem, że zrozumiesz.

– Taa, stara dobra Stella, wyrozumiała Stella. Wiesz, co się dzieje z ludźmi, którzy zawsze rozumieją? Dają się stłamsić, Nick. Nie mogę pozwolić sobie na to, byś stłamsił mnie i Amelię. Nie możemy już zawsze być tymi gorszymi.

– To cios poniżej pasa. Zrobiłbym wszystko dla Amelii i nie jesteście tymi gorszymi.

– To zabawne, ponieważ tak właśnie się czuję. – Pragnęła, by zrozumiał, spróbowała więc jeszcze ten jeden, ostatni raz. – Kocham cię, Nick i to cudownie, że tak wspaniale dogadujesz się z Amelią. Zawsze byłam gotowa pokochać Sarę i Jennę, są częścią ciebie, oczywiście, że chcę je kochać. Sara to wspaniała dziewczyna, naprawdę za nią przepadam. Ale w przypadku Jenny nigdy nie otrzymałam szansy, ona mi na to nie pozwoli, nie wyjdzie mi naprzeciw. – Zamilkła na chwilę. – I nie uczyni tego, dopóki nie będzie wiedziała, że mnie i ciebie łączy silny związek. Czy to rozumiesz?

W tle rozbrzmiał jakiś głos. Stella usłyszała, jak Nick zakrywa ręką słuchawkę, więc kiedy się odezwał, jego głos był stłumiony, ale jednak dało się zrozumieć, co mówi.

– Chwileczkę, kochanie. Nie zejdzie mi długo.

Tym razem w oczach Stelli pojawiły się łzy. Nie mogli się nawet rozstać z sobą jak normalni ludzie. Jenna musiała wziąć w tym udział.

Sięgnęła na ławę po chusteczki, odsuwając słuchawkę od ucha, gdy ocierała łzy.

– Stella, halo?

– Muszę kończyć, Nick – powiedziała szybko. – Muszę pomyśleć. Jestem pewna, że ty też. Być może popełniliśmy ogromny błąd.

Na drugim końcu linii panowała cisza.

– Odezwę się do ciebie w tygodniu.

Nie uczynił nic, by ją przekonać, żeby zmieniła zdanie.

– Dobranoc, Nick – powiedziała, zgniatając w ręce chusteczkę.

– Dobranoc. – W jego głosie słychać było chłód.

Stella rozłączyła się i po raz drugi tego dnia wybuchnęła płaczem.

Teraz, w porannym, poniedziałkowym świetle kołysała się na krześle w przód i w tył, wciąż trzymając w dłoniach stygnącą kawę. Czy popełniła wielki błąd? Ta myśl wczoraj długo nie

pozwalala jej zasnąć, a potem Stella budziła się co pół godziny, dręczona niespokojnymi snami, zlana potem i rozgrzana.

Cofnęła się myślami do ostatniego razu, kiedy leżała na swoim łóżku ze skórą błyszczącą od potu. Czy to naprawdę zaledwie w sobotę ona i Nick uprawiali taki fantastyczny seks? Zdawało się, że od tego czasu upłynęło tysiąc lat.

Ponownie ogarnął ją strach. Czy odepchnęła od siebie jedyne go mężczyznę, którego potrafiła pokochać, ponieważ jej marzenia o szczęśliwej rodzinie nie spełniały się wystarczająco szybko? Czy też zrobiła to, co należało, i pożegnała się z kimś, kto miał zbyt wiele niedokończonych spraw, by kiedykolwiek pokochać ją naprawdę?

To właśnie było najstraszniejsze: Stella po prostu nie wiedziała. W życiu nie było oczywistości, nie tak jak w prawie, gdzie istniały wyraźne przepisy i człowiek wiedział, czy postępuje się zgodnie z nimi. W życiu przepisy nie miały żadnego sensu.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Rose stała w damskiej toalecie w Lee's i przeglądała się uważnie w lustrze. Strój miała w porządku: kremowa lniana koszula i rozszerzane spodnie w kolorze czekoladowym były odpowiednie dosłownie na każdą okazję. Problem stanowił wyraz jej twarzy. Wokół ust miała pełne napięcia bruzdy i uznała, że wygląda tak, jakby właśnie szła do dentysty na dwie godziny leczenia kanałowego bez znieczulenia. Tak nie może być. Pocierała skronie, by pozbyć się choć części napięcia i próbowała głęboko oddychać. Wiedziała, że Holly zaskoczyła ją niezapowiedziana wizyta matki i Rose nie chciała jej wystraszyć wyglądem osoby, która przynosi wieści o śmierci kogoś bliskiego.

Przyjazd do Holly był decyzją nagłą. Rose przez wiele dni rozmyślała o tym, co powiedziała jej Freddie. Dziwne, ale nie rozpamiętywała uwag ciotki o Hugh i o niej. Wystarczająco dobrze rozumiała dynamikę ich relacji, by wiedzieć, że Freddie mówi prawdę. Za to jej myśli bez końca zajmowało rozważanie, że zawiodła kiedyś Holly i że mogłaby naprawić ich relacje, gdyby powiedziała córce prawdę o tym, co się wydarzyło, gdy była malutka. Holly zasługiwała na to, by wiedzieć. Freddie miała rację także i w tej kwestii: minął już czas na ucieczkę przed tym, co trudne do przełknięcia. Ciotka oświadczyła, że nic jej nie będzie, jeśli zostanie sama przez cały dzień, ale Rose, bojąc się, że zacznie skakać i uszkodzi swą nie do końca wyleczoną kostkę, poprosiła kilka przyjaciółek ciotki, by zajrzały w ciągu dnia do Pokrzywowej Chatki.

– Nie jestem dzieckiem, Rose – powiedziała łagodnie Freddie, gdy się dowiedziała o tych zawiłych ustaleniach.

– Ustap mi, Freddie – błagała Rose. – W ten sposób mogę jechać do Holly do Dublina z czystym sumieniem.

Teraz Rose pomalowała usta szminką i po raz ostatni przejrzała się w lustrze, po czym udała się do sklepu. Kiedy mijała działy z pościelą i wyposażeniem kuchni, dotarło do niej, że tak rzadko tu bywa. To był piękny dom towarowy, a jednak odkąd Holly zaczęła tu pracować, Rose mogła na palcach jednej ręki policzyć, ile razy się tutaj wybrała.

Dużo się zmieniło od czasu jej ostatniej bytności. Teraz było tu przestronnie i widno, jak w eleganckim lofcie, gdzie można kupować śliczne rzeczy. Lee's w niczym nie przypominał ciemnych, zagraconych domów towarowych z czasów młodości Rose. Weszła do działu z zagraniczną modą, gdzie pragnęła pracować Holly. Rose nie czuła onieśmienia, gdy eleganckie sprzedawczynie mierzyły ją wzrokiem zza stojaków ze strojami od Yves St Laurenta. Już dawno temu wyrobiła w sobie taką umiejętność, że wszędzie wyglądała jak u siebie. Jednak poczuła ukłucie winy z powodu tego, że jej kochana Holly nie posiada tej umiejętności. Odziedziczyła po matce wrodzone wyczucie stylu, ale dręczył ją brak wiary w siebie i poczucie zagubienia. I czy była to wina Rose? Przesunęła dłonią po ubraniach ze zwiewnego szyfonu w naturalnych kolorach i wzdrygnęła się w duchu na widok ceny, po czym przeszła, by dotknąć starannie poskładanych dżinsów. Na każdym wyhaftowano delikatnie srebrny półksiężyc.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytała jedna ze sprzedawczyń. Była ładna i ubrana w białą koszulę i czarne spodnie, ale Rose pomyślała, że nie umywa się do jej córki. Poza tym Holly zadałaby to pytanie w bardziej szczerzy sposób. Ta dziewczyna wyglądała tak, jakby nie mogła się doczekać przerwy i miała gorącą nadzieję, że nikt do tego czasu nie poprosi o żadną pomoc.

– Nie, dziękuję – odparła bez zająknięcia Rose, po czym się oddaliła.

Udała się na najniższy poziom. W dziale dziecięcym panował spory ruch i Rose mogła stanąć obok schodów ruchomych, i obserwować swoją córkę przy pracy. Wraz z dziewczyną z krótkimi jasnymi włosami znajdowały się przy kasie. Holly starannie składała kilka małych ubrań, a jej koleżanka zajmowała się kartą kredytową klienta. Rose pomyślała z radością, że Holly wygląda w pracy na zadowoloną i pewną siebie. Chyba czuła się tutaj jak u siebie w domu. Klient oddalił się razem z reklamówkami i Rose podeszła do kasy.

– Mama. – Na twarzy Holly malowało się bezgraniczne zdumienie.

– Witaj, skarbie, przyjechałam na zakupy i pomyślałam, że zrobię ci niespodziankę – odparła Rose.

– Zrobiłaś. Mamo, to jest Bunny, moja przyjaciółka. Bunny, to moja mama.

– Dzień dobry, pani Miller – rzekła Bunny. – Muszę przyznać, że naprawdę jesteście do siebie podobne.

Przesuwała spojrzeniem od matki do córki. Szeroko rozstawione oczy Holly były bardziej nieśmiałe niż oczy jej matki, ale poza tym były podobne do siebie jak dwie krople wody.

Rose uśmiechnęła się promiennie.

– Dziękuję za ten komplement. Myślisz, że mogłybyśmy zjeść razem lunch?

– Mam przerwę dopiero za pół godziny – odparła Holly, patrząc na Bunny, która kiwnęła głową – ale Bunny mnie zastąpi.

– Naprawdę zmienił się ten dom towarowy – zauważyła Rose, gdy wjeżdżały schodami na parter. – Już tak dawno tu nie byłam, że ledwo go rozpoznałam.

– Musisz tu częściej zaglądać – odparła lekko Holly.

Wyszły z Lee's i Holly poprowadziła je do niewielkiej kafejki.

– Czy coś się stało, mamoo? – zapytała, gdy już usiadły przy małym stoliku pod oknem.

Rose westchnęła.

– Zasługuję na to – odparła. – Gdybym częściej cię odwiedzała, nie zakładałabyś automatycznie, że musiała się wydarzyć jakaś tragedia.

– Nie o to mi chodziło – odparła szybko Holly. – Chodzi po prostu o to...

– Że nigdy nie przyjeżdżam cię odwiedzać. Przepraszam. Dlatego jestem tutaj: by rozwiązać ten problem między nami.

W oczach Holly pojawiła się nieufność.

– Jaki problem?

– Holly, wiemy, że on istnieje, i to moja wina. Chcę wszystko naprawić.

– Chcecie złożyć zamówienie? – Obok ich stolika stała żująca gumę kelnerka, z której bilo totalne znużenie.

Rose widziała, że Holly jest zbyt oszołomiona, by mówić.

– Dwie razowe kanapki z tuńczykiem? – Popatrzyła na Holly, która uśmiechnęła się słabo. – Dwie wody mineralne, gazowaną i niegazowaną – kontynuowała Rose. – Dziękuję.

– Chcą panie kawę?

– Nie teraz – odparła stanowczo pani Miller.

Kelnerka odeszła powłócząc nogami.

– Odpowiada ci tuńczyk? – zapytała Rose. Holly ponownie się uśmiechnęła. Jej matka nie wiedziała, jak się z tym wszystkim uporać, ale nie miała wyjścia. Zabrała się więc do dzieła. – Widzisz, chcę ci wszystko wynagrodzić. Freddie i ja rozmawialiśmy o twoim ojcu i byłam tak bardzo zła z powodu tego, co on zrobił, a potem ciotka zapytała mnie rozsądnie, czyja też kogoś skrzywdziłam. Starala się pokazać mi, że wszyscy popełniamy błędy, ale musimy żyć dalej. – Rose przekonała się, że nie jest w stanie patrzeć dłużej w wielkie, ciemne oczy córki, więc

opuściła spojrzenie na swe dłonie, które rytmicznie zaciskała. – Powiedziałam, że skrzywdziłam cię z powodu depresji poporodowej, na którą cierpiałam po twoim przyjsciu na świat.

– Co takiego? Nie wiedziałam, że miałaś depresję.

– W głosie Holly slychać było niedowierzenie. – Nikt mi nie powiedział.

– Nikt o tym nie wiedział – przyznała Rose. – To była moja wielka tajemnica, ale dotknęło to ciebie, a ja nigdy ci nie wyznałam prawdy. Tak bardzo cię przepraszam, skarbie.

Sięgnęła ponad stołem i ujęła nie stawiające oporu dłonie Holly.

Widziała, jak w oczach córki wzbierają łzy, widziała, jak Holly walczy z nimi, by nie spłynęły po policzkach.

– Myślałam, że to dlatego, że zamiast mnie chciałaś mieć chłopca – odezwała się wreszcie.

– A skąd! – zawołała Rose. – Tak się cieszyłam na twoje narodziny. W połowie ciąży lekarz powiedział nam, że jesteś chłopcem, ale absolutnie nie chodziło o to. Och, Holly, tak trudno to wytłumaczyć. To nie miało nic wspólnego z tobą, problemem byłam ja sama.

– Opowiedz mi w takim razie. Mamy mnóstwo czasu – rzekła Holly.

Rose wróciła myślami do wydarzeń sprzed dwudziestu ośmiu lat.

Na początku ciąży była tak bardzo podekscytowana, ale gdy zbliżała się do jej końca Rose przez cały czas czuła się straszliwie zmęczona. Stella miała wtedy dziewięć lat i była bardzo samodzielną dziewczynką, ale Tara była wymagającą pięcioletką, która potrzebowała dużo uwagi i nie rozumiała, że matka w zaawansowanej ciąży nie jest w stanie wciąż za nią biegać. Kiedy nadszedł termin rozwiązania, Rose sądziła, że już nigdy nie urodzi. W przypadku Stelli i Tary nie mogła się doczekać narodzin dziecka, a teraz nie mogła się doczekać, kiedy wszystko wreszcie się skończy. Ale nawet to okazało się skomplikowane. Po pełnych udręki trzydziestu trzech godzinach Holly przyszła na świat przez cesarskie cięcie.

Rose wciąż miała w pamięci to, jak leżała wyczerpana na szpitalnym łóżku, czując tępy ból w dole brzucha i mdłości, będące skutkiem zaaplikowania morfiny. Krzycząca Holly leżała obok niej w szpitalnym łóżeczku, a życzliwe, zabiegane pielęgniarki miały czas jedynie na to, by wyjąć Holly i ułożyć ją delikatnie w ramionach Rose.

– Ma pani już dwie córeczki, prawda? Więc ma pani duże doświadczenie – uśmiechały się do Rose.

Ból i smutek przytłoczyły Rose, i czuła, że nie da sobie rady z tym nowym dzieckiem, dzieckiem, które zdawało się bez przerwy płakać. Jak takie małe stworzenie mogło czynić aż tyle hałasu? Przecież Stella i Tara nie płakały tak dużo, prawda? Rozglądając się po sali, widziała inne matki, radośnie trzymające w ramionach swe nowo narodzone dzieci i zazdrościła im szczęścia, i zaradności.

Sznur członków rodziny odwiedzał je w szpitalu i wszyscy zachwycali się maleńką Holly, i mówili Rose, zmuszającej się do uśmiechu, że jest prawdziwą szczęściarą. Gdyby tylko tak się czuła.

Powtarzała sobie, że wszystko będzie lepiej, kiedy już wróci do domu ze szpitala. Problem tkwił w tym, że leżała na dużej sali i musiała slychać innych płaczących dzieci. W zaciszu własnego domu jakoś to wszystko się ułoży. Jednak było leszcze gorzej. Hugh starał się jak mógł i bardzo pomagała jej Angela, zajmując się Tarą i Stellą, tak by ona miała czas dla Holly. Ale nic, co robiła Rose, nie uspokajało jej córeczki i wyczerpanie, i smutek ogarnęły Rose niczym wielka fala ciemności. Nie powiedziała nikomu o tym, co czuje, bo jak mogła? Ukrywanie tej wstydlivej tajemnicy wydawało się jedyną możliwą opcją. Co za człowiek, slysząc płacz swego dziecka, czuje, jak wokół jego duszy zaciska się pięść smutku? Jakaż matka pragnie, by wszystko to odpłynęło w dal, by mogła wczolgać się do łóżka i pozostać w nim, dopóki nie minie rozpacz i niezadowolenie?

Czuła się wyrodną matką, tak jakby nikt przed nią nie czuł czegoś takiego. Jak mogła nie kochać Holly? Co z nią było nie tak?

– Patrząc wstecz, nie wiem, dlaczego zachowałam to dla siebie – powiedziała cicho Rose. – Wydaje mi się, że Angela odgadła prawdę, ale ja ją odepchnęłam. Nie dopuszczałam do siebie nikogo, nie chciałam, by ktokolwiek wiedział, że przez to przechodzę. Duma to straszna rzecz.

– Cierpiałas na depresję – odparła Holly. – Nie byłaś w stanie podejmować rozsądnych decyzji. Nie bądź dla siebie taka surowa.

Kochana córka, była taka życzliwa i wielkoduszna.

– W ciągu następnych lat duma była częścią tego wszystkiego – rzekła. – Gdybym tylko powiedziała ci, przez co przesłama, może byś zrozumiała. Dręczyły mnie straszne wyrzuty sumienia, że nie byłam dobrą matką przez jakieś pierwsze dziewięć miesięcy twego życia. A kiedy byłaś już nastolatką i nie dogadywałyśmy się z sobą, czułam, że to z powodu tego, jak się zachowywałam, gdy byłaś mała. Sądziłam, że wiesz o tym i mnie obwiniasz.

– Nie chodziło o to – przyznała Holly. – Ja naprawdę sądziłam, że zamiast mnie chcieliście chłopca. Widzisz, Adele mi powiedziała, że nawet mieliście już wybrane imię i w ogóle, i potem czułam się taka niechciana. Wiem, że brzmi to absurdalnie, ale...

Rose o mało się nie rozplakała.

– Cholerna Adele – oświadczyła z żarem. – Mieliśmy wybranych wiele imion i kiedy myśleliśmy, że będziesz chłopcem, z jakiegoś powodu podobało nam się imię Emlyn. Licho wie czemu, teraz bym go nie wybrała, ale Holly, nigdy, przenigdy nie myśl, że cię nie chcieliśmy. Proszę, uwierz mi. Przechodziłam depresję poporodową, nie byłam sobą. To nie miało nic wspólnego z tobą.

Kelnerka postawiła na stoliku talerze z dwiema kanapkami i dwie szklanki z wodą.

Rose była zbyt wytrącona z równowagi, by podziękować, uczyniła więc to Holly. Następnie popatrzyła zdecydowanie na matkę.

– Posłuchaj mnie teraz, mamó, przestań się denerwować. Wynikło nieporozumienie i powinnam była mieć więcej rozumu niż słuchać Adele.

– Nadal nie mogę uwierzyć, że przez tyle lat tkwiłaś w przekonaniu, że zamiast ciebie pragnęliśmy chłopca. To straszne. – W sercu Rose wzbierała gorycz. Zawiodła Holly. Powinna była dostrzec, że coś jest nie tak, i naprawić to, zamiast pozwalać, by smutek jątrzył się niczym otwarta rana. – Wybacz mi. Proszę, powiedz, że możemy zacząć od początku.

– Oczywiście, że tak. – Tym razem wyglądało to tak, jakby to Holly była matką, tą, która opiekuje się i chroni. – Nie mogę uwierzyć, że tak myślałam – dodała z żalem. – Powinnam być mądrzejsza, ale czułam się taka niepewna, a to wydawało się całkiem rozsądnym powodem. Pewnie pragnęłam winić coś konkretnego za to, jak się czuję.

– A przez cały czas wina leżała po mojej stronie – powiedziała ze smutkiem jej matka.

– Nieprawda – zaprotestowała Holly. – Chciałam, by istniał powód, wyjaśniający moją niepewność siebie i nieśmiałość, chciałam móc zrzucić na coś winę. Łatwiej jest winić coś lub kogoś zamiast stanąć twarzą w twarz z samym sobą. Jestem tym, kim jestem, i to ja mogę to zmienić, to mój obowiązek.

– Ale ja jestem twoją matką i powinnam ci była pomóc, powinnam była zrozumieć twoje poczucie zagubienia.

– Ależ pomogłaś i teraz też pomagasz. – Holly powiedziała to tak szczerze, że Rose poczuła się nieco pocieszona. – Kocham cię, mamó i wiem, że ty też mnie kochasz, czyż nie to jest najważniejsze? Zostawmy wszystko inne za nami, dobrze?

Na kanapkę Rose skapnęły łzy, ale nie przejęła się tym. Komu w takiej chwili potrzebne jedzenie?

– Musimy to zjeść – rzekła przeprasza jąco Holly. – Zostało mi tylko piętnaście minut przerwy.

Dziewczyna wgrzyła się w swoją kanapkę, gdy tymczasem swoją Rose jedynie skubała.

– Podczas swojego wykładu Freddie stwierdziła, że nie pozostają zupełnie bez winy w kwestii romansów waszego ojca.

Holly jadła i słuchała z szeroko otwartymi oczami.

– Wiedziałam o nich od lat i żyłam z tą wiedzą. Powinnam była doprowadzić do konfrontacji i powiedzieć mu, że w ten sposób niszczy nasze małżeństwo. Naprawdę nie sądzę, by zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo mnie rani. Dla niego to była odskocznia, nieco rozrywki.

– Teraz tego żałuje – rzekła Holly. – Jest zdruzgotany twoim odejściem, mamó, i tak bardzo żałuje. Zrobiłby wszystko, byle tylko móc cofnąć czas.

– Jesteś dobrą córką – uśmiechnęła się Rose. – Zaopiekowałam się nim.

– Potrzebował opieki – odparła prosto córka. – To nie była kwestia stanięcia po czyjejś stronie. Ale on bardziej mnie potrzebował. – Zawahała się, nim zadała pytanie, na które najbardziej pragnęła poznać odpowiedź. – Myślisz, że jest jakaś nadzieja na to, że się pogodzicie?

– Nie wiem. Najpierw musiałam rozwiązać sprawy między tobą a mną, a dopiero teraz pomyślę o waszym ojcu – odparła Rose. – To było ważniejsze.

Pomimo dręczącego niepokoju o Hugh, Holly poczuła ukłucie dumy na myśl, że była najważniejszą osobą w myślach matki.

– On cię kocha – powiedziała szybko. Musiała się wstawić za swoim tatą.

– Wiem – odparła Rose. – Wiem. Muszę po prostu postanowić, co zrobić. Ależ narobiłam bałaganu, no nie? Krzywdząc ciebie i nie rozwiązując problemów w moim małżeństwie.

– Bzdura. – Holly poczuła wyrzuty sumienia, że powiedziała nie to, co trzeba. – To ja mam katastrofalne życie uczuciowe – dodała.

– Nigdy nie opowiadasz mi o swoich chłopakach – zauważyła cicho Rose.

– Nigdy nie było zbyt wiele do opowiadania – odparła żartobliwie Holly. – Kiedy zakochałam się w Richiem Murdochu, rozpoczęła się długa seria beznadziejnych miłości.

– Nigdy nie powiedziałaś mi także, dlaczego rozstałaś się z Richiem.

Holly skrzywiła się.

– Jeśli mam być szczerą, to pragnęłam, byś się sama domyśliła. Rzucił mnie i nie chciałam, by wszyscy o tym wiedzieli.

– Dobrze wiedziałam, co zrobiła ci ta mała świnka, ale odniosłam wrażenie, że nie chcesz współczucia z mojej strony. Ojciec powiedział mi, że rozmawiałaś z nim o Richiem. Poczułam się wtedy straszną matką, skoro wolałaś o swoim złamanym sercu rozmawiać z ojcem. Stella i Tara zwierzały mi się ze swoich problemów, ale ty nie.

– Och, mamó – powiedziała ze smutkiem Holly. – Nie wiedziałam. Sądziłam, że nie masz pojęcia o Richiem.

Rose wzruszyła ramionami.

– Twój ojciec i ja rozmawialiśmy ze sobą, wiesz? Zwierzałaś się więcej jemu niż mnie.

– Spotkałam się z Richiem na przyjęciu z okazji waszych rubinowych godów. – Holly uśmiechnęła się szeroko.

– Przepraszam cię – przerwała jej Rose. – Jego matka błagała o to, nie miał jej kto przywieźć i zamierzałam cię ostrzec...

– Nic się nie stało, naprawdę. Flirtował ze mną jak szalony, aleja byłam bardzo chłodna i opanowana. Chciał nawet mój numer telefonu.

– Mam nadzieję, że mu go nie dałaś. – Rose oburzyła się jego tupetem.

– Dałam mu do zrozumienia, że nie wierzę we wchodzenie dwa razy do tej samej rzeki – odparła dumnie Holly.

– No a co z nową rzeką? – zapytała nieśmiało jej matka.

Holly przywołała kelnerkę i zamówiła kawę, po czym zaczęła opowiadać o Tomie.

– Przebolełam go – oświadczyła na koniec. – Trochę głupio usychać z tęsknoty za mężczyzną, który jest zaręczony z inną.

– Zdradził ją z tobą? – zapytała podejrzliwie Rose.

Holly pokręciła głową.

– Obawiam się, że nie zdarzyło się nic skandalicznego. Nasza znajomość była najbardziej niewinna w historii Windmill Terrace. Te dwie starsze panie z suterenu prowadzą pewnie bardziej szalone życie seksualne niż ja. Rozmawialiśmy i śmialiśmy się, i... – Holly zamknęła oczy, przypominając sobie wszystko, co razem robili. Gdy mówiła o nim na głos, jej związek z Tomem wydawał się równie fascynujący jak jednoosobowa impreza, ale on naprawdę był fascynujący. Przy nim cała ożywała. Jak to ubrać w słowa? – Potrafiłam z nim rozmawiać.

Nigdy nie byłam zbyt dobra w rozmawianiu z mężczyznami. Kenny się nie liczy, ale wiesz, co mam na myśli. Tom był moim przyjacielem. Być może w tym właśnie tkwił problem. – Holly sprawiała wrażenie zirytowanej na siebie. – Pierwszy facet, z którym potrafię rozmawiać, i od razu wyobrażam sobie, że to romans stulecia.

– Ale on także cię lubił?

Holly skinęła głową.

– Chyba po prostu czekałam, aż to on wykona pierwszy krok, ale tego nie uczynił, a potem na scenie pojawiła się jego dziewczyna. Tara mówi, bym o nim zapomniała. – Spojrzała na matkę, by się przekonać czy Rose zgadza się z tą radą.

– Tara to Tara, a ty to ty, Holly. Warto o niego walczyć?

– Teraz już nie ma sensu. Jest zaręczony, Caroline zaplanowała ślub stulecia, najpewniej łącznie z Filharmonią Londyńską, grającą coś, co symbolizuje jej prawdziwą miłość do Toma, podczas gdy ona z gołębiem w ręku popłynie w stronę ołtarza w sukni ślubnej ozdobionej tysiącem pąków róż.

– To się wydaje lekką przesadą – stwierdziła Rose, która należała do osób przeciętnie romantycznych.

– Tak, Caroline wierzy w romans, tylko myli go z romansidłem.

Rose zmarszczyła nos.

– Wydaje się okropna. Powinnaś go przed nią uratować.

– Taki był plan Kenny'ego. Przywłókł z sobą trzech pięknych męskich modeli, by flirtowali z Caroline i pozwolili jej się przekonać, że świat otwiera się przed nią i że po co od razu brać ślub. – Holly uśmiechnęła się. – Kenny nie powinien posiadać telewizji satelitarnej. Ogląda zbyt wiele komedii romantycznych, gdzie tego typu sceny są na porządku dziennym.

– Tak jak ten film, gdzie Julia Roberts każe Rupertowi Ewerettowi udawać, że jest jej chłopakiem, i przez to jej były robi się zazdrosny?

– Wprost uwielbiam ten film – westchnęła Holly. – Najśmieszniejsze jest jednak to, że ona też nie zdobywa w końcu tego faceta. Ale nie przeszkadza jej to; jest szczęśliwa bez niego. Gdyby tylko prawdziwe życie było równie proste jak w filmach.

– Mogłoby być – odparła jej matka. – Powinnaś powiedzieć Tomowi, co czujesz.

Holly pokręciła głową.

– Tom to przeszłość. To koniec. Dlatego właśnie wyszłam z jego przyjęcia zaręczynowego. Jaki sens, bym doprowadzała się do szaleństwa, próbując pozostać z nim w przyjaźni? Nie chcę się z nim przyjaźnić. Szaleję na jego punkcie. Szalałam – poprawiła się. – Musiałam całkowicie z nim zerwać. Nie da się być czymś przyjacielem, jeśli ten ktoś ci się podoba.

– Kiedy Harry poznał Sally – uśmiechnęła się Rose.

– Właśnie. No więc Tom należy do przeszłości i mam przed sobą dobrą przyszłość. – W głosie Holly słychać było zdecydowanie. – Po drugie przenoszę się do działu z zagraniczną modą. Gabriella odchodzi i wiem, że się nadaję. Już się tego nie boję.

– Jestem z ciebie taka dumna – rzekła Rose, a głos drżał jej z emocji.

Uśmiech Holly był słodki, gdy nachyliła się nad pustymi talerzami i pogłaskała dłoń matki.

– Wiem – powiedziała.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

– Och, mamusiu, było super i tatuś też się przejechał, ale powiedział, że się strasznie bał! Ja nie. – Amelia triumfowała, że w przeciwieństwie do swego ojca nie bała się tego straszego odcinka podróży pociągiem Królowny Śnieżki w Eurodisneylandzie.

Stella uśmiechnęła się do telefonu, szczęśliwa, że Amelia tak dobrze się bawi na wakacjach, smutna jednak, gdyż to ona chciała zabrać córkę do Disneylandu. No, ona i Nick. Często o tym rozmawiali, ale teraz to raczej nie wchodziło w rachubę. Kiedy więc Glenn zaproponował, że zabierze ich córkę do tego parku rozrywki podczas wspólnych dwutygodniowych wakacji w czerwcu, Stella uznała, że musi się zgodzić. Ważne było, by Glenn miał dobre kontakty z małą,

poza tym wiedziała teraz wystarczająco dużo na temat rozbitych rodzin, by nie wykorzystywać Amelii w swego rodzaju walce o władzę rozwiedzionych rodziców. Czas spędzony z ojcem wyjdzie Amelii na dobre i Stella powiedziała Glennowi, że jego kontakt z córką musi być bardziej regularny.

– Musi dorastać, wiedząc, że jesteś częścią jej życia i że ona jest częścią twojego.

– Tak, martwię się tym, że zapomni o mnie – odparł Glenn. – Staram się utrzymywać kontakt, ale wiesz, jaki jestem. Nigdy nie byłem dobry, jeśli chodzi o urodziny i tego typu sprawy.

– Wiem – odparła zwięźle Stella. – Nie martw się, nie pozwolę ci o tym zapominać. Dla dobra Amelii.

– Pa pa, mamusiu, tęsknię za tobą – powiedziała Amelia i po raz pierwszy od rozpoczęcia podekscytowanego monologu na temat Disneylandu przybrała ton trochę żaloszny.

– Ja za tobą też tęsknię, kochanie, ale niedługo wracasz do domku, a teraz masz mnóstwo fantastycznych rzeczy do robienia – odparła pogodnie Stella, nie chcąc smucić Amelii i mówić jej, jak mocno za nią tęskni.

– Dobrze – rzekła Amelia. – Pa.

Stella rozłączyła się i wróciła do kuchni, gdzie przygotowywała sobie na kolację tost z serem. Kiedy nie było Amelii i Nicka, nie chciało jej się gotować porządnych posiłków.

Minął tydzień od wielkiej kłótni z Nickiem; tydzień, podczas którego się nie widzieli. Przez pierwszych kilka dni Stella uparła się, by do niego nie dzwonić. Uznała, że to on może wykonać pierwszy krok. Zadzwoił do niej w piątek rano, by powiedzieć, że jego matka jest w szpitalu i że jedzie ją odwiedzić.

– Leżała w łóżku z grypą i upadła, gdy próbowała wstać. Złamała biodro i jest w kiepskim stanie – rzekł. W jego głosie słychać było znużenie i smutek. – Zawsze miała słabe drogi oddechowe i martwię się, że przerodzi się to w zapalenie płuc, którego nie będzie w stanie zwalczyć. Przepraszam, to był koszmarny tydzień. Jenna znowu ma kłopoty w szkole, i to jeszcze nie wszystko. Ona i Wendy są w stanie wojny; Jenna jest bardzo niegrzeczna dla matki. Próbowałem z nią rozmawiać, ale ona ciągle powtarza: „A co ci do tego?”. Nie jestem w stanie do niej dotrzeć, a Wendy się wścieka i twierdzi, że nie staram się tego rozwiązać. Nie wyobrażasz sobie, jakie to wszystko jest okropne.

Stella pomyślała, że bez trudu jest w stanie wyobrazić sobie tę scenę. Zrozpaczony Nick próbuje utrzymać pokój, ale w jakiś sposób zawodzi wszystkich: zawodzi Jennę tym, że nie jest już tatą mieszkającym w jej domu, i zawodzi Wendy, nie radząc sobie z zadaniem, które ona mu powierza. A to zadanie było niewykonalne. Nick nie był w stanie naprawić relacji Jenny z matką. To sprawa pomiędzy nimi. Bez względu na skutki uboczne rozwodu Wendy nie powinna obwiniać Nicka o każdy zaistniały problem. Zniszczy swoje relacje z Jenną, jeśli będzie tak robić.

Choć przysięgła sobie, że nie będzie się wypowiadać zbyt wiele na temat relacji Jenna/Wendy, musiała coś powiedzieć.

– Nick, nie pozwól, by Wendy wmanewrowała cię w sytuację, kiedy przy każdej rozmowie z Jenną będziesz musiał ciskać na nią gromy.

– Ja nie ciskam na nią gromów – zaprotestował Nick.

– To było dość ostre określenie. Ale za każdym razem, gdy widzisz się z Jenną, kończy się to tak, że rozmawiasz z nią stanowczo. Wiem – dodała, słysząc, że Nick już-już ma jej przerwać – zachowuje się źle w szkole i jest okropna wobec Wendy, ale to są dwie zupełnie odrębne kwestie. Nie możesz mieć kontroli nad Jenną do tego stopnia, by mówić jej, jak ma postępować w kontaktach z matką. Ona dorasta, bada granice. – Stella uśmiechnęła się do siebie. A więc teraz wstawia się za Jenną i jej prawami, zamiast na nią utyskiwać.

Na drugim końcu linii panowała cisza.

– Masz rację, Stello. Przepraszam cię za to, że musisz się z tym borykać. Przepraszam za wszystko – dodał. – Powinienem był zadzwonić, by ci to powiedzieć, ale tak nie zrobiłem. Dziś

rano postanowiłem, że to już trwa wystarczająco długo i miałem zamiar zajrzeć do ciebie wieczorem, i spróbować wszystko naprawić, ale teraz...

– Wszystko w porządku – wtrąciła Stella. – Możemy porozmawiać po twoim powrocie.

Nie była pewna, dokąd zaprowadzi ich ta rozmowa, ale co tam. Porozmawiają.

Ponownie odezwał się w niedzielę wieczorem. Głos miał zachrypnięty ze zmęczenia.

– Lekarze uważają, że nastąpiło przesilenie. Prawdę powiedziawszy, to dopiero co wsiadła na mnie za to, że wyglądam, jakbym rano w ogóle się nie uczesał, a w takim razie na pewno wraca do zdrowia.

– To wspaniale – odparła Stella. Naprawdę polubiła charakterną matkę Nicka i straszna była myśl o tej iskierce dotkniętej bolesną, straszną chorobą.

– Jeśli wszystko będzie szło w dobrym kierunku, to we wtorek wracam do Dublina. – Zawahał się. – Mógłbym zaprosić cię na kolację?

Stella zastanawiała się nad tym przez chwilę. Jeśli ona i Nick mieli rozwiązać dręczące ich nieporozumienia, potrzebna im była szcera rozmowa. Zabieranie się za to w pełnej ludzi restauracji byłoby prawdopodobnie błędem.

– Ja przygotuję kolację u siebie – rzekła.

Po raz pierwszy od tygodnia Stella obudziła się w poniedziałek w lepszym humorze. Pomimo wszystko nie mogła się doczekać spotkania z Nickiem. Wcześniej zjawiała się w pracy i zajęła się porannymi spotkaniami.

– Co słychać? – zapytała z wahaniem Vicki krótko przed porą lunchu.

Stella wzruszyła ramionami.

– Okej.

– To dobrze. Jesteś w nastroju na babski, plotkarski lunch?

Cały ubiegły tydzień przerwy na lunch spędzała przy biurku, zbyt załamana, by się udzielać towarzysko. Dziś jednak uznała, że lunch to doskonały pomysł.

– Bardzo chętnie. Ale co z Craigiem?

Obecnie często przyłączał się do nich podczas lunchu. On i Vicki myśleli o sobie coraz poważniej, i Stella lubiła przekomarzać się z przyjaciółką na temat dzwonów weselnych.

– Craig zna swoje miejsce – odparła skromnie Vicki.

– W łóżku, z odkurzaczem, w kuchni – wyrecytowała. – Nigdy na babskich lunchach.

– No to mów wszystko – zarządziła Vicki, kiedy siedziały już przy stoliku w zatłoczonej restauracji po drugiej stronie ulicy, zamówiwszy tyle jedzenia, że wystarczyłoby dla całego regimentu. Stella, która cały ubiegły tydzień nie miała apetytu, nagle stwierdziła, że jest głodna jak wilk.

– Jutro wieczorem przychodzi na kolację i mamy zamiar porozmawiać. O wszystkim.

– Bądź szcera, powiedz mi, co czujesz – poradziła Vicki.

– A jeśli on nie rozumie, jak bardzo cię zdenerwował, rzuć go.

Bardzo lubiła Nicka, ale była niezwykle opiekuńcza wobec przyjaciółki. Jeśli Nick ponownie skrzywdzi Stellę, będzie miał do czynienia z Vicki.

– Czy jeśli jutro o północy zadzwonię do ciebie cała zapłakana, to przyjedziesz mi na ratunek? – zapytała Stella.

– Obiecuję.

Kiedy Stella wróciła do kancelarii, na jej poczcie głosowej czekała wiadomość.

– Dzień dobry, z tej strony pani Winston, wicedyrektorka szkoły The Harmon. Próbuję się skontaktować z panem Nickiem Cavaletto w sprawie jego córki, Jenny, i w jego biurze otrzymałam ten numer. Byłabym bardzo wdzięczna, pani Miller, gdyby mogła mi pani pomóc.

Zostawiła numer telefonu, który Stella pospiesznie zapisała, po czym go wystukała.

– Dzień dobry, pani Winston, z tej strony Stella Miller, jestem, eee... przyjaciółką Nicka. – Raczej nie mogła powiedzieć czegoś innego, prawda? – Nick wyjechał z Dublina w sprawach rodzinnych. Mogę jakoś pomóc? Jest jakiś problem z Jenną?

– Tak i niestety nie mogę dodzwonić się także i do pani Cavaletto.

– Spróbuję złapać Nicka na komórkę i powiedzieć mu, by do pani zadzwonił – zaproponowała Stella. Nieważne, jaki był problem z Jenną, ona się w to nie mieszała.

– Już próbowałam, ale ma wyłączoną komórkę – odparła pani Winston.

– Rozumiem – rzekła Stella. W szpitalu musiał wyłączać telefon. – Wiem, gdzie on jest; to po prostu kwestia przekazania mu wiadomości. Zrobię, co w mojej mocy.

– Dziękuję. Naprawdę by mi tym pani pomogła.

– Jenna nie jest chora, prawda? – zapytała po to tylko, by mieć pewność, że to nie poważnego.

W słuchawce słychać było pełne dezaprobaty prychnięcie pani Winston.

– Nie jest chora; została zawieszona i trzeba, by ktoś zabrał ją do domu.

Kilka minut trwało, nim udało jej się znaleźć Nicka w szpitalu. Wydawał się zdenerwowany, gdy usłyszał głos Stelli.

– Co się stało? – zapytał.

Wyjaśniła mu pokrótce.

– Cholera. Tylko tego nam trzeba. Co ona przeskrobała?

– Pani Winston nie powiedziała, a ja nie pytałam. Nie może skontaktować się z Wendy, a chęć, by ktoś zabrał Jennę do domu.

– Dziękuję, jestem ci naprawdę wdzięczny, że się tym zajęłaś — powiedział ze znużeniem Nick. – Zadzwonię później.

Jednak kiedy rzeczywiście zadzwonił piętnaście minut później, był to telefon z prośbą o pomoc.

– Jenna wpakowała się w niezłe tarapaty – powiedział. Sprawiał wrażenie jeszcze bardziej wykończonego niż poprzednio. – Została przyłapana na urwaniu się z matematyki i paleniu z koleżanką w łazience, a kiedy zdybał je nauczyciel, Jenna wściekła się i oświadczyła coś w stylu, że ma cholerne prawo palić, jeśli przyjdzie jej na to ochota. Podobno większość jej tyrady stanowiły niecenzuralne słowa. Pani Winston właśnie mi oświadczyła, że nie będą tolerować w szkole tego typu zachowania. Jenna otrzymała ostrzeżenie i jeśli coś podobnego się powtórzy, mogą ją wydalić ze szkoły.

Stella się skrzywiła.

– Problem w tym, że Wendy nie ma w domu, a jej komórka jest wyłączona. W szkole nalegają, by odebrać Jennę. Wiem, że proszę cię o ogromną przysługę, mając na uwadze wszystko to, co wydarzyło się między nami, i wiem, że jesteś zajęta w pracy, ale czy zrobiłabyś to?

– Nie wyobrażam sobie, by w ogóle wsiadła ze mną do samochodu – zauważyła Stella.

– Wsiądzie – odparł posępnie Nick. – Właśnie z nią rozmawiałem i była bardzo przygaszona.

Stella nie umiała wyobrazić sobie Jenny przygaszonej. Musi poprosić panią Winston, by zdradziła jej swój sekret.

– Oczywiście, że to zrobię – odparła z pewnością siebie, której jednak nie czuła. Jenna będzie dla niej najpewniej koszmarne niegrzeczna, ale pomimo ich kłótni nie mogła zawieść Nicka. Gdyby był zwykłym rodzicem, któremu trzeba odebrać ze szkoły dziecko, też by pomogła.

– Dzięki – odparł z wdzięcznością.

\*\*\*

Tuż po trzeciej Stella zajechała przed szkołę The Harmon. Grupa uczniów i uczennic w szarych dresach wchodziła właśnie do budynku na popołudniowe zajęcia sportowe.

– Szukam gabinetu pani Winston – Stella zaczęła parę słodkich dzieciaków. Wyglądali tak młodo, że musieli chodzić do pierwszej klasy.

Idąc zgodnie z ich wskazówkami, znalazła się na nowoczesnym korytarzu ze znakami kierującymi do różnych gabinetów. W biurze przed gabinetem dyrektora i wicedyrektora przy komputerze siedziała szkolna sekretarka. Była to dziewczyna uderzająco atrakcyjna i Stella wyobraziła sobie, że wszyscy uczniowie się w niej podkochują.

– W czym mogę pomóc?

– Jestem Stella Miller i przyjechałam po Jennę Cavaletto.

Dziewczynie zrzęda mina.

– Och – rzekła.

– Ma spore kłopoty?

– Całkiem spore – odparła dziewczyna. – Ma szczęście, że dyrektora akurat nie ma. Jest surowszy od pani Winston.

Stella zastanawiała się, jaki może być ten dyrektor, ponieważ pani Winston przez telefon wydawała się bardzo surowa. Okazała się wysoką, szczupłą kobietą z krótkimi siwymi włosami i poważną, inteligentną twarzą.

– Pani Miller, dziękuję, że pani przyjechała. Rozumiem, że jest pani macochą Jenny.

Stella usiadła na zaproponowanym jej krześle.

– Niezupełnie. Jestem przyjaciółką jej ojca. Jutro wraca do domu i jestem pewna, że on i pani Cavaletto zjawią się tutaj, by wszystko omówić.

– Dobrze, że pani przyjechała po Jennę. Nasza polityka nie zezwala uczniom na pozostawanie na terenie szkoły, kiedy zdarzy się coś takiego. Jeśli zostają w klasie, nagle okazuje się, że zrobili coś odważnego, bo postawili się personelowi. To silnie podważa wszystko, za czym się opowiadamy. Przekonaliśmy się, że wysłanie ucznia do domu to jasny przekaz, że takie zachowanie nie jest akceptowalne.

– Oczywiście, że nie – odmruknęła Stella.

Pani Winston zadzwoniła, by przyprowadzono Jennę.

Stella zastanawiała się, czy powinna powiedzieć pani Winston, że Jenna może kategorycznie odmówić pojechania do domu razem z nią.

Postanowiła tego nie robić.

Jenna weszła do gabinetu. Była blada. Na jej twarzy nie malowała się wojowniczość, jak podczas wszystkich wcześniejszych spotkań ze Stellą.

– Cześć, Jenno – odezwała się beznamyślnie Stella. – Przyjechałam, by zabrać cię do domu.

– Okej – odparła cicho dziewczyna ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– Mam nadzieję, że przemyślisz to, co ci powiedziałam, Jenno – powiedziała pani Winston.

– Jeśli nie jesteś przygotowana na to, by zachowywać się w rozsądny sposób, nie ma dla ciebie miejsca w Harmon.

– Tak – mruknęła Jenna.

Choć wiele razy Stella zrobiłaby wszystko, byle zobaczyć Jennę przybitą i zganioną, teraz, gdy się to wydarzyło, żal jej było tej dziewczyny. Nie wyglądała już na twardą i zbuntowaną. W szkolnym mundurku z plamą od długopisu na mankietcie i plecakiem zwisającym z jednego ramienia wyglądała jak dziecko, które potrzebuje przytulenia.

Na pewno nie chciałaby, aby przytuliła ją Stella.

– Chodźmy – rzekła Stella. – Dziękuję, pani Winston.

Jenna wyszła pierwsza. Wyraźnie nie mogła się doczekać usunięcia się z zasięgu wzroku pani Winston.

Szły w milczeniu do samochodu.

Kiedy Stella uruchomiła silnik, włączyło się także radio. Nie ściszyła go. Mając na uwadze przeszłość, nie chciała rozmawiać z Jenną, na wypadek gdyby dziewczyna znowu się miała zacząć na nią wściekać.

– Pewnie dostanę teraz wykład – warknęła Jenna, gdy dojechały do szkolnej bramy.

Stella, skoncentrowana na włączeniu się w długi sznur samochodów, pokręciła głową.

– Nie ode mnie. To sprawa pomiędzy tobą a twoimi rodzicami.

– Ale ty jesteś moją macochą. – Sposób, w jaki wypowiedziała to słowo, sprawił, że brzmiało niczym „morderca”.

Miesiąc temu Stella wybuchnęłaby gniewem z powodu tonu Jenny. Ale zdążyła już dostać nauczkę. Córka Nicka była problematycznym dzieckiem, i nie do niej należało wychowywanie jej. Ona mogła jedynie zachować spokój.

– Nie, Jenno, nie jestem twoją macochą. Jesteś zbyt duża, by mieć macochę, niepotrzebna ci moja pomoc. I nie mam zamiaru się z tobą kłócić. Jeśli tego właśnie chcesz, zadzwoń do swojej matki. Zabieram cię do siebie w ramach przysługi dla twego ojca, to wszystko. Jeśli chcesz się kłócić, to zawracam i oddaję cię z powrotem pani Winston.

Jenna nie odezwała się ani słowem.

– Chcesz, bym podrzuciła cię do domu czy wolisz pojechać do mnie i poczekać, aż dozwonimy się do twojej matki?

– Do ciebie – odparła szybko Jenna.

– Dlaczego? Przecież nie lubisz przebywać w moim domu?

– Tata powiedział, że powinnam zostać u ciebie, dopóki nie porozmawia z mamą.

Reszta drogi upłynęła w milczeniu. Stella pomyślała o tym, że Wendy może pojawić się wściekła w jej domu i zacząć krzyżeć. Dziwnie, ale nie zdenerwowała jej ta myśl. Wendy mogła sobie krzyżeć i pomstować, ile tylko jej się chciało. Stella nie znajdowała się w pętli rodziny Cavaletto. Niech sami rozwiązują swoje problemy. I lepiej, żeby zrobili to szybko, nim Jenna zrobi coś naprawdę skandalicznego. Ten biedny dzieciak próbował zwrócić na siebie uwagę i wyglądało na to, że nikt nie zdaje sobie z tego sprawy.

Gdy zajechały na miejsce, Stella weszła do domu, a za nią niepewnie Jenna. Wściekle mrugało światelko automatycznej sekretarki. Stella minęła je.

– Masz wiadomości – rzekła Jenna.

– Naprawdę nie jestem w nastroju na wiadomości – odparła Stella. – Najpierw muszę napić się herbaty. Chcesz herbatę albo kanapkę?

– Nie.

W Stelli wreszcie zapłonął gniew.

– Mówi się „nie, dziękuję” – oświadczyła z wściekłością.

– Kto tak mówi? – Słowa Jenny były bezczelne, ale na jej twarzy pojawił się błysk niepewności.

– Ja tak mówię – odparowała Stella. – Wyjaśnijmy sobie jedno, teraz obowiązują inne zasady. – Jenna zamrugała ze zdziwieniem oczami. – To mój dom i byłam gotowa dzielić go z twoim ojcem. Kochałam go. Ponieważ go kochałam, bardzo się starałam, jeśli chodzi o ciebie, a ty mi to rzuciłaś z powrotem prosto w twarz. To twój wybór, masz do tego prawo. Nikt cię nie może zmusić do tego, byś mnie lubiła. Ale – Stella wpatrywała się w dziewczynę, a w jej oczach płonął gniew – nie masz wyboru, jeśli chodzi o bycie dla mnie niegrzeczną w moim własnym domu. Jeśli nie potrafisz zachowywać się kulturalnie, nie będziesz tutaj przychodzić. Proste. To trochę tak jak z panią Winston i twoją szkołą. W życiu obowiązują zasady, Jenno, i jeśli będziesz je ciągle łamać, ludzie będą mieli ciebie dość. Jeśli mam być szczerą, mam w tej chwili większe zmartwienia na głowie niż ciebie.

Stella udała się do kuchni i włączyła czajnik, czując, jak ogień w jej żyłach nieco przygasa. Pomyślała, że nie powinna była tego mówić. Oparła głowę o chłodne drzwi lodówki. A więc to by było na tyle, jeśli chodzi o spokój i opanowanie. Eksperci ze Sztuki tworzenia nowych rodzin byliby przerażeni, gdyby ją usłyszeli. Włączono telewizor w salonie. Kiedy zaparzyła herbatę rumiankową, poszła do Jenny. Zobaczyła, że ma w dłoni paczkę papierosów.

– Nawet nie myśl o tym, by tutaj palić.

– Nie miałam zamiaru – odparła szybko Jenna. – Tata zabije mnie za palenie.

Stella uśmiechnęła się po raz pierwszy od dłuższego czasu.

– Mój ojciec wpadł w szal, kiedy moja najmłodsza siostra zaczęła palić. Miała siedemnaście lat i oświadczył jej, że ma szlaban do końca życia. Przestała i ponownie zaczęła, kiedy wyjechała z domu.

– Jaka ona jest? – zapytała Jenna, wyglądając na zainteresowaną.

– Śliczna; jest bardzo wysoka, ma ciemne włosy i pracuje w domu towarowym Lee's.

– Uwielbiam Lee's – odparła z entuzjazmem Jenna. – Ma zniżkę? Mogłabym ją poznać?

– To chyba nie byłby dobry pomysł – stwierdziła Stella. – Holly przechodzi ostatnio trudne chwile, a wiem, że ty nie jesteś zbyt przyjaźnie nastawiona do członków rodziny Miller.

- Lubię Amelię – zaprotestowała Jenna.
- To tylko mnie nienawidzisz, prawda? – zapytała cierpko Stella.
- Nie nienawidzę cię – mruknęła dziewczyna.

Przez kilka chwil panowała cisza.

- Gdzie jest Amelia?
- W Eurodisneylandzie razem ze swoim ojcem.
- Och. Myślałam, że miała tam jechać razem z tobą i tatą.

Po smutnej minie Jenny, która towarzyszyła wypowiedzianiu tych słów, Stella wyczuła, że to był kolejny gwóźdź do trumny. Jenna była zazdrosna jak diabli, że ich ojciec kocha Amelię.

- Mieliśmy zamiar jechać do Francji – rzekła cicho Stella.

– Ale teraz, kiedy twój ojciec i ja... cóż, plany uległy zmianie. Ojciec Amelii zabrał ją na dwutygodniowe wakacje i powiedział, że chce z nią jechać do Eurodisneylandu.

– Co masz na myśli mówiąc, że „plany uległy zmianie”? – Na twarzy Jenny malowała się podejrzliwość.

Stella zastanawiała się, czy powiedzieć Jennie prawdę. Ciekawe, w jaki sposób zareagowałaby na wiadomość o ich rozstaniu. Najpewniej podskoczyłaby z radości, co stanowiłoby ostateczny dowód na to, o ile był takowy potrzebny, że Jenna nie znosiła myśli o obecności w życiu ojca innej kobiety.

– Prawdopodobnie się rozstaniemy – powiedziała beznamiętnie Stella. Czekala na reakcję, ale zamiast spodziewanego uśmiechu, na twarzy Jenny pojawiła się niepewność.

Zniknęła znacząca mina osoby dorosłej. Córka Nicka wyglądała jak zdenerwowany dzieciak, który został przyłapany na robieniu czegoś złego.

- Coś się stało? – zapytała z ciekawością Stella.

Jenna pokręciła bez słowa głową.

– Nic. – Wzięła do ręki kubek z herbatą rumiankową i skierowała się do drzwi sypialni. – Przepraszam. – Głos Jenny był cichy i przepełniony skruchą. – Nie chciałam tego.

- Nie chciałaś czego?

– Nie chciałam, byście się rozstawali. Nigdy nie chciałam zranić taty – jęknęła ze łzami w oczach. – Kocham go. To dlatego, że mama powiedziała, że on zapomni o nas, jeśli... – Urwała i otarła rękawem oczy.

- Zapomni o was, jeśli... – podpowiedziała łagodnie Stella.

– Jeśli będzie miał nową rodzinę – dokończyła i podniosła wyzywającym gestem brodę, jakby chciała powiedzieć Stelli: „nie możesz temu zaprzeczyć”.

– Potrafisz sobie wyobrazić, że twój ojciec mógłby zapomnieć o tobie pod wpływem jakichkolwiek okoliczności? – zapytała Stella.

Na ładnej twarzy Jenny widać było niepewność.

– Ponieważ ja nie potrafię. On cię kocha, uwielbia wręcz, Jenno. – Stelli straszliwie żal było tej zagubionej dziewczyny, która wyobrażała sobie, że jej ukochany ojciec mógłby się przestać nią interesować. – Nigdy by o tobie nie zapomniął i coś z niego byłby za ojciec, gdyby tak uczynił. A on jest przecież dobrym tatą, prawda?

Jenna pokiwała żałośnie głową.

- Ale ty mnie nienawidzisz – powiedziała nagle.

Stella westchnęła, czując wyrzuty sumienia.

– To nieprawda. I naprawdę mi przykro, że doprowadziłam do tego, iż tak myślałaś, naprawdę przykro mi z tego powodu. Nie podoba mi się to, że jesteś wobec mnie niegrzeczna i że robisz wszystko, byle tylko utrudnić mi życie.

Jenna miała na tyle przyzwoitości, by wyglądać na zawstydzoną.

– Ale to, że nie lubię twojego zachowania, nie oznacza, że nie lubię ciebie. Gdy tymczasem ty od początku nie dałaś mi żadnej szansy, tak jakbyś mnie obwiniała o to, że twoi rodzice się rozwiedli. – Proszę bardzo, powiedziała to. Stella wstrzymała oddech. Po raz pierwszy była z Jenną szczerą i dobrym pomysłem wydało się oczyszczenie atmosfery raz na zawsze. Ale czy to był błąd?

– Mama powiedziała... – Jenna urwała.

Stella z całą pewnością nie miała ochoty wdawać się w rozmowę na temat tego, co uważa Wendy, więc zrezygnowała z tematu.

– Co Sara sądzi o waszym ojcu i o mnie?

– Powiedziała mi, żebym nie była głupia i że to się nigdy nie stanie: nigdy już nie będą razem.

Jenna patrzyła się smutno w podłogę. Podziwiała starszą siostrę i poczuła się jak głupi dzieciak, kiedy jej to powiedziała.

– Na jakiej żyjesz planecie? – zapytała gniewnie Sara. – Mamie i tacie lepiej jest osobno. Zapomniałaś już te wszystkie krzyki i wrzaski? Ja nie. Dobrze mieć trochę ciszy i spokoju. To, że mama chce, by tata wrócił, wcale nie oznacza, że on tak właśnie zrobi. I czy wtedy byłoby lepiej? Dorośnij!

Jenna zawsze nosiła w sercu tę nadzieję, nadzieję, że wszystko może się ułożyć i że jej mama, i tata znowu będą razem. Przez większość czasu wiedziała, że to tylko dzieciinne marzenie, tak jak wtedy, gdy patrzyła w swoją disnejowską śnieżną kulę i marzyła o tym, jakby to było, gdyby choć na chwilę znalazła się w jej środku. Wiedziała, że rodzice, którzy się rozstali, nie wracają w jakiś magiczny sposób do siebie, ale mama mówiła o tym tak, jakby to naprawdę było możliwe.

– Chcesz, by tata wrócił, prawda, skarbie? – zapytała tego dnia, kiedy spotkała się z ciotką Clarisse. Widać było, że mama płakała i piła. Jenna nie znosiła Clarisse, głupiego babska, które zawsze mówiło tym swoim udawanym wytwornym głosem z wyjątkiem przypadków, gdy myślała, że nikt jej nie słyszy.

Clarisse musiała powiedzieć mamie, że tata nie jest szczęśliwy i że mogłyby sprawić, by wrócił do domu.

– Clarisse mówi, że wie, iż nienawidzisz tamtej kobiety i że od samego początku dałaś to jasno do zrozumienia – rzekła mama.

Jennie zrobiło się wtedy wstyd na myśl, że ktoś tak okropny jak ciotka Clarisse uważa, że celowo zachowuje się jak jędra. Znaczący się... zaraz, zaraz? Dziewczyna była zła, ponieważ nikt niczego jej nie mówił, traktowano ją jak dziecko i oczekiwano, że na wszystko się zgodzi. Tata znał Stellę bardzo długo, zanim powiedział o tym Jennie. Nawet Amelia, która była dzieckiem, wiedziała o tym. A potem, kiedy poznała Stellę i brzydko się zachowywała, ona patrzyła na nią z takim lekceważeniem, tak jakby nie była sobie w stanie wyobrazić, że ktoś może być taki okropny. Jenna czuła się wtedy jak robak. Gorzej niż robak, jak gnida.

Stella była taka spokojna i elegancka, wyglądała jak osoba, której można powiedzieć różne rzeczy, ale córka Nicka nie potrafiła, nie po tamtym pierwszym razie. Nie mogła stać się Miłą Jenną skoro zaczęła jako Okropna Jenna.

Stella odstawiała kubek na ławę i usiadła obok Jenny.

– Nie próbowałam być twoją mamą – rzekła. – Kocham twoją tatę i chciałam jedynie, byśmy były przyjaciółkami. To wszystko.

– Ja też kocham moją tatę – odparła Jenna i rozplakała się. Zerwała się i pobiegła do łazienki, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Stella westchnęła. No cóż, w każdym razie próbowała.

Kiedy tuż przed szóstą rozległ się dzwonek przy drzwiach, Stella wiedziała, kto to może być.

Wendy Cavaletto była szczupła, miała blond włosy obcięte na pazia, wprawdzie umalowane jasnyniebieskie oczy i nienaganny strój. Była opalona i z pewnością wyglądała na swój wiek, ale Stellę zaskoczyło to, jak bardzo jest atrakcyjna. W jej wyobrażeniach Wendy przybrała postać rozwrzeszczanej megiiery z długimi szponami i wiecznie niezadowoloną miną. Niespodzianką okazało się stanięcie twarzą w twarz z tą stylową kobietą w czarnym spodniem z lnu.

– Wejź, Wendy – rzekła Stella. – Jestem Stella Miller. – Nie wyciągnęła ręki, nie wiedząc, czy gest ten zostanie odrzucony, czy nie.

– Wiem, witaj. Dziękuję ci. – Wendy uśmiechnęła się blado, ale Stella uświadomiła sobie, że ona także jest spięta. Pomimo uśmiechu jej zęby były mocno zaciśnięte.

– Tędy. – Zaprowadziła ją do pokoju, gdzie stała Jenna, czekając niespokojnie na matkę.

– Cześć, mammo.

– Co się stało tym razem? – zapytała ostro Wendy, wpatrując się w córkę. Jej opanowanie i spokój gdzieś zniknęły. – Wobec kogo byłaś dzisiaj bezczelna?

Stelli zrobiło się jeszcze bardziej żal Jenny. Łatwo było dostrzec, dlaczego jest drażliwym dzieckiem, które z najbliższego powodu wpada w gniew. Nauczyła się tego od matki.

– Masz ochotę napić się wody albo kawy? – zapytała, skora do wyjścia z pokoju, by nie być świadkiem tej konfrontacji.

– Nie, dziękuję, jedziemy. – Głos Wendy był urywany.

– Dziękuję ci, że ją odebrałaś. Byłam na spotkaniu z przyjaciółką i nie włączyłam telefonu, ale wiem, że musiałaś wyjść wcześniej z pracy. Mam tylko nadzieję, że Jenna to docenia, choć nigdy nie docenia niczego, co ja dla niej robię. – To brzmiało jak znajoma tyrada.

– To nie był dla mnie żaden problem – odparła szybko Stella. Teraz to naprawdę szczerze żałowała Jenny. Nie wyobrażała sobie, jak ona i Amelia dogadywałyby się z sobą, gdyby udzielała jej publicznie reprymendy tak, jak to czyniła Wendy ze swoją córką. Krzyk nie rozwiąże problemu.

– Do widzenia. – Wendy odwróciła się na pięcie i skierowała w stronę drzwi, równie skrępowana jak Stella.

Jenna nie ruszyła się z miejsca.

– Dzięki, Stello – powiedziała cicho. Podniosła głowę i uśmiechnęła się, tak delikatnie i szybko, że Stella nie była pewna, czy przypadkiem to nie było przywidzenie. – Do zobaczenia niedługo – dodała dziewczyna.

Stella nie wiedziała, co ma na to odpowiedzieć, ale poszła za Jenną do drzwi. Prawdopodobnie już jej więcej nie zobaczy. Jeśli ona i Nick postanowią ostatecznie zakończyć swój związek.

Wendy zdążyła już wejść do swego samochodu i Jenna odwróciła się w progu, by powiedzieć coś do Stelli.

– Jenna! – zawołała ze zniecierpliwieniem Wendy.

Wzruszyła ramionami.

– Muszę lecieć, pa.

– Do widzenia – odparła Stella. Kierowana impulsem, wyciągnęła rękę i poklepała pokrzepiająco ramię Jenny. Pożałowała tego od razu, gdy to uczyniła. Ileż razy Jenna odtrąciła taki gest. Ale nie tym razem.

– Dzięki – rzekła cicho, po czym pobiegła do samochodu matki.

Stella zamknęła drzwi i zastanawiała się, czy wreszcie udało jej się przełamać lody w stosunkach z córką Nicka – czy też Jenna była jedynie zadowolona, ponieważ sądziła, że ojciec rozstanie się ze swoją partnerką? Odkąd Stella wspomniła o takiej ewentualności, Jenna zachowywała się niemal uprzejmie, co było niechybnie oznaką tego, że w duchu szalała z radości. Ale czy w tym wszystkim był też ślad czegoś jeszcze, poczucia, że Stella nie przeszkadza jej już tak bardzo, jak do tej pory? Nie, pewnie nie, pomyślała Stella. Jenna za bardzo jej nienawidzi.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Holly pomachała do Bunny ponad stojakiem dziecięcych kurtek dżinsowych i błyszczących T-shirtów. Bunny, która wyglądała na wykończoną całym dniem przygotowań do rozpoczęcia letniej wyprzedaży, uniosła oczy do nieba, po czym wróciła do sprawdzania, czy na każdym niemowlęcym stroju wyjściowym widnieje cena. Sierpniowa wyprzedaż rozpocznie się jutro rano, ale dzisiaj wieczorem, o szóstej, Lee's zaleje falą klientów, którzy posiadali sklepowe karty kredytowe i mieli przywilej specjalnej dwudziestoprocentowej zniżki w wieczór poprzedzający wyprzedaż. Zarówno Holly, jak i Bunny były weterankami takich wieczorów, które zazwyczaj były znacznie bardziej szalone niż pierwszy dzień wyprzedaży. Posiadacze kart byli

zapamiętałyimi zakupowiczami, gotowymi walczyć do ostatniej kropli krwi, byle tylko zrobić zakupy z ogromną zniżką. W oczekiwaniu na falę klientów, Lee's był przez cały dzień zamknięty, gdy tymczasem personel metkował wszystkie rzeczy z myślą o wyprzedazy. Nad ustalaniem cen pracowano już drobiazgowo od tygodnia, ale upewnienie się, że każda rzecz ma nową metkę z ceną, było wyczerpującą i czasochłonną pracą. Teraz wybiła piąta i Holly miała nadzieję, że Bunny będzie gotowa wyskoczyć na szybką kawę przed trzema bezkofeinowymi godzinami.

Przykucnęła obok przyjaciółki.

– Już prawie skończyłaś? – zapytała.

– Jeszcze pięć minut – odparła Bunny. – Powinam była skończyć już wieki temu, ale ta nowa dziewczyna, Meg, zmarnowała godzinę na przyklejanie naklejek z pięćdziesięcioprocentową zniżką na ciuszki Pretty Mama, które są z nowej kolekcji, i musiałam to wszystko odklejać. Nie mam pojęcia, na jakich prochach jechała panna Jackson, kiedy zatrudniała Meg. Jest bardzo słodka i w ogóle, ale miewa przywidzenia. Och, oto nadchodzi.

Holly przyglądała się z zainteresowaniem swej następczyni. Meg z całą pewnością nadawała się na sprzedawczynię w dziale dziecięcym, miała ledwie skończone dwadzieścia lat, dziecienną twarz i ujmujący, asymetryczny uśmiech.

– Bunny, zabijesz mnie, ale zapomniałam przynieść z magazynu pudło z japonkami. Są ich setki i jeszcze ich nie ometkowałam. Sorki!

Bunny próbowała zgromić Meg spojrzeniem, ale nie udało jej się.

– Zrobimy to razem – westchnęła. – A tak przy okazji, Meg, to jest Holly, która pracowała tu przed tobą.

– Cudownie cię poznać. Bunny mówi, że przeszłaś do mody zagranicznej. Też bym tak chciała.

Bunny posłała Holly spojrzenie, które mówiło, że Meg nie ma co liczyć nawet na parzenie herbaty w dziale mody zagranicznej, skoro błędnie metkuje i zostawia w magazynie całe kartony przecenionych rzeczy. Co innego zrobić to z japonkami i ubrankami dla dzieci, a zupełnie co innego z designerskimi sukniami wieczorowymi, gdzie pięćdziesięcioprocentowa pomyłka opłaciłaby większości klientów dwumiesięczną hipotekę.

– Dawaj te japonki i uwiniemy się z nimi w dziesięć minut – powiedziała Bunny do Meg. – Za kwadrans przyjdę do ciebie na stołówkę – dodała do Holly. – Najpierw muszę pobiec na parking na fajkę.

– Nic nie mów o papierosach – odparła błagalnie Holly, która próbowała rzucić palenie. Odkąd ubiegała się – i otrzymała – stanowisko Gabrielli w dziale zagranicznej mody, ograniczyła je do pięciu dziennie. To nie było łatwe. Bywały chwile, kiedy tak bardzo tęskniła za dotychczasowymi dwudziestoma, że tylko silna wola powstrzymywała ją przed bieganiem na parking podczas każdej przerwy. Gdyby udało jej się tak wytrzymać jeszcze miesiąc, zupełnie rzuciłaby palenie. Udała się na stołówkę, myśląc, że tak wiele się zmieniło w ciągu ostatnich kilku tygodni. Jej transformacja w osobę wypalającą tylko pięć papierosów dziennie nie była jedyną. Druga zmiana nie była widoczna tak od razu: dotyczyła wnętrza Holly. Odkryła w sobie najbardziej nieosiągalną cechę: pewność siebie. Nie pojawiła się ona nagle, raczej powoli, delikatnymi falami. Jednak dla Holly miało to ogromne znaczenie.

Pomagała jej także świadomość, że jest dobra w swej pracy. Miała wrodzone wyczucie tego, co jest modne, i instynkt, który wysoko ceniły klientki sklepu. Doceniały także szczerą życzliwość Holly; nie robiła różnicy pomiędzy zamożną matroną, którą do sklepu przywiózł szofer, a fanatyczką magazynu „In Style”, która oszczędzała jak szalona, by sobie kupić jeden markowy ciuch.

Na stołówce Holly zaparzyła sobie zieloną herbatę i usiadła obok Annmarie, jednej z nowych koleżanek z działu mody.

Zadbana i opanowana, należała do osób, które wcześniej niezwykle onieśmiały Holly. Ale teraz, gdy razem pracowały, Holly się przekonała, że Annmarie w ogóle nie jest taka, jak to sobie wcześniej wyobrażała: była przyjacielska, pełna życia i miała cięte poczucie humoru.

- Toffi? – zapytała Annmarie, podając jej torebkę ze słodyczami.
- Poproszę. – Holly sięgnęła do torebki.
- Weź dwa – poradziła Annmarie. – Cukier ci się przyda.

Miała rację. O wpół do dziewiątej Holly jeszcze nigdy w życiu nie czuła takiego zmęczenia. Wieczór przedsprzedaży w dziale dziecięcym to pikuś w porównaniu z tą oszalałą gorączką, której towarzyszyło wymachiwanie torebkami i gdzie dorosłe kobiety szalały wśród stojaków z designerskimi ubraniami, wściekając się, kiedy odkrywały, że idealny garnitur Prady jest tylko w rozmiarze trzydzieści sześć, gdy tymczasem im potrzebna czterdziestka. I kogo obwiniały za tę niegodziwość? Personel.

Początkowa gorączka zdążyła już opaść i klientki były bardziej zrelaksowane, gdy przerzucały ubrania na wieszakach. Holly i Annmarie pozwoliły sobie na chwilę oddechu.

– Przypomnij mi, bym już nigdy nie zakładała tych butów – wycodziła Annmarie przez zaciśnięte zęby. Podniosła do góry nogę odzianą w botek do kostki z miękkiego zamszu, z obcasami jak sztylety. – Może i wyglądają ładnie, ale nie są stworzone na wieczór wyprzedazy.

Holly właśnie miała jej odpowiedzieć, kiedy zobaczyła zbliżające się dwie klientki i przywołała swój zawodowy i ciepły uśmiech; uśmiech, który powoli przemieniał się w grymas. Jedną z klientek była Caroline, druga zaś musiała być jej matką. Miała taką samą drobną budowę, dziewczęce jasne włosy i taki sam gust, jeśli chodzi o strój. W tej chwili obie miały oczy jak szparki.

– Mam nadzieję, że jesteś zadowolona – syknęła starsza wersja do Holly, która aż się cofnęła przed tak otwartą wrogością.

Idealnie wydepilowane brwi Annmarie uniosły się.

– Nie ma sensu z nią rozmawiać, mam – uśmiechnęła się szyderczo Caroline, a jej twarz była równie wykrzywiona z gniewu jak matczyna. – Sprytnie to rozegrała. Myśli, że wygrała, ale to nieprawda!

– Przepraszam, czy mogę w czymś pomóc? – zapytała bez zająknienia Annmarie, stając przed zaszokowaną Holly.

– Nie możesz. Tylko ona może. Ukradła mi narzeczonego! – zapiszczała Caroline.

– O czym ty mówisz? – zapytała Holly, wychodząc zza koleżanki. Nie miała zamiaru się chować; nie miała przecież nic do ukrycia.

– Dobrze wiesz! – syknęła Caroline Starsza. – Nie zgrywaj tu teraz pensjonarki. Powiedziałam córce, że byłaś koniem trojańskim. I Tom dał się na to nabrać, cóż, chcę, żebyś wiedziała, że nigdy nie będziesz z nim szczęśliwa...

– Nie widziałam się z Tomem od waszego przyjęcia zaręczynowego – zaprotestowała Holly. Co się tutaj działo?

– Nie uprawiaj ze mną tych swoich gier. Doskonale wiesz, o czym mówię! – wrzasnęła piskliwie Caroline. – Ukradł mi go! Dziś rano się wyprowadził. Po prostu spakował się i wyprowadził, powiedział, że nam nie wychodzi. Możesz w to uwierzyć?

Jej matka patrzyła spode łba na Holly.

– Powiedz jej, co się stało, kiedy go zapytałaś, czy jest ktoś inny – poleciła.

– O tak, do tego właśnie zmierzałam – warknęła Caroline. – Powiedziałam, że nie zmuszę go, by został, jeśli tego nie chce, ale że muszę wiedzieć jedno, tylko jedno, czy odchodzi do ciebie! – Prawie wypluła słowo „ciebie”. – Przynajmniej miał na tyle przyzwoitości, by się zawstydić i on mnie nie okłamał, nie tak, jak ty... ty krowo! Kłamiesz, że się z nim nie widziałas, a ja wiem, że to nieprawda!

Annmarie posłała Holly udręczone spojrzenie i ze zdumieniem przekonała się, że na ślicznej twarzy jej koleżanki zaczyna się pojawiać coś na kształt uśmiechu.

– Caroline, myślę, że powinnaś stąd wyjść – powiedziała uprzejmie Holly. – Popełniasz wielki błąd. To, że Tom cię zostawił, jest twoją winą, nie moją. Nie widziałam się z nim od waszego przyjęcia zaręczynowego i taka jest prawda.

Choć raz Caroline zaniemówiła.

– Tom i ja nigdy nie byliśmy nikim więcej niż przyjaciółmi – dodała Holly. Mogła to powiedzieć z ręką na sercu. Bez względu na to, co ona czuła do Toma, on nigdy nie zdradził Caroline ani nie powiedział nic niestosownego. Oczywiście, że pragnęła, by było inaczej, ale to nie miało znaczenia.

– Nie wierzę ci – oświadczyła Caroline. – Widziałam, jak na ciebie patrzy, jak z tobą rozmawia.

– Tom i ja nigdy nie zrobiliśmy niczego, o co mogłabyś być zazdrosna – rzekła Holly.

– Tak? Cóż, w takim razie dlaczego powiedział „wybacz, wybacz”, kiedy go zapytałam, czy zostawia mnie dla ciebie? – zapiszczała Caroline. – Dlaczego temu nie zaprzeczył?

– Nie wiem – odparła Holly, a w jej sercu zaczęła śpiewać radość. Tom zostawił rano Caroline dla niej. Wiedziała, że zjawi się u niej.

– Kłamczucha – syknęła matka Caroline.

Annmarię przejęła dowodzenie.

– Proszę pani – zaczęła głosem, który ociekał lodowatą uprzejmością. – Przykro mi, ale nie pozwalamy na obrażanie naszego personelu. Najwyraźniej zaszło jakieś nieporozumienie i jeśli nie uspokoi się pani, będę zmuszona wezwać ochronę.

Obie kobiety poróżnowały z wściekłości, ale Caroline widziała, że Annmarię nie żartuje.

– Chodź – rzekła do matki. – Powiedziałyśmy już wszystko.

Posłała Holly ostatnie spojrzenie, pod którym mleko by się zsiadło, po czym gniewnie sobie poszły.

– Musisz mi teraz opowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi – oświadczyła Annmarię.

Twarz Holly rozjaśnił uśmiech.

– Oj, to całkiem niezła historia – odparła.

\*\*\*

Holly w drodze do domu wstąpiła do ulubionych delikatesów, by zrobić zakupy. Dziś wieczorem zdecydowanie kuchnia włoska. Gdy niosła zakupy do autobusu, śpiewała do siebie, nie dbając o to, czy ktoś ją słyszy.

– Wygląda pani na szczęśliwą – powiedział kierowca, kiedy wysiadała na końcu Windmill Terrace. – Randka?

Uśmiechnęła się promiennie.

– O tak.

Na dwóch domach niedaleko nieopodal ich mieszkania wisiały szyldy „Na sprzedaż”, a na bramie numeru 65 widniał wniosek o pozwolenie na budowę. A więc tu się zaczyna reorganizacja, pomyślała Holly. Rejon zaczynał się modernizować i właściciel ich domu bez wątpienia zastanawiał się już nad tym, jak skłonić lokatorów do wyprowadzki, by móc go sprzedać firmom deweloperskim. Tego właśnie Holly, Kenny i Joan obawiali się od miesięcy, ale dzisiaj Holly nie przejmowała się tym. Wszystko będzie dobrze.

W domu zabrała się za przygotowywanie włoskich kulek mięsnych, które Tomowi kiedyś bardzo smakowały. Kiedy kulki były już uformowane, włożyła je do lodówki, by później je ugotować. Nie potrwa to długo, a kiedy zjawi się Tom, chciała być gotowa, by podać mu pyszną kolację, podczas gdy on będzie jej wszystko opowiadał.

Następnie wzięła prysznic, myjąc się ulubionym żelem Jo Malone, który dostała od Kenny'ego i używała oszczędnie, gdyż był drogi. Rozkoszując się cudownym zapachem, Holly wytarła się, a następnie w każdy centymetr ciała wtarła balsam Fairy Cake. Wreszcie włożyła swą najładniejszą bieliznę, na nią zaś długą, jedwabną suknię w stylu vintage, klapki na wysokim obcasie, całości zaś dopełniał różowy jedwabny kwiat. Była gotowa.

Zapaliła wszystkie świece w całym mieszkaniu, wyłączyła światło, nastawiła muzykę i czekała na Toma. Zostawił Caroline. Zostawił ją dla niej.

Kiedy minęła dziesiąta, a dzwonek przy drzwiach uparcie milczał, Holly wyjęła z włosów kwiat i podeszła do lodówki, gdzie na stojąco zjadła ser i krakersy. Wyłączyła odtwarzacz CD i próbowała znaleźć w telewizji coś interesującego. Zawsze mogła go później wyłączyć, kiedy zjawi się Tom.

O jedenastej zrozumiała, że on nie przyjdzie. Przygnębiona wyłączyła telewizor, zdmuchnęła świece i poszła do łóżka. Tym razem zawód miłosny był jeszcze bardziej bolesny niż poprzednio. Wtedy tak naprawdę nie wierzyła, że Tom jest w niej zakochany. Miała nadzieję, ale zero dowodów.

Teraz, dzięki wieczornej tyradzie Caroline, pozwoliła sobie uwierzyć, że Tom naprawdę ją kocha i że przyjdzie do niej. Ależ była głupia, że w to uwierzyła. Zazdrość Caroline uczyniła z Holly główną podejrzaną. Tom najpewniej miał po prostu dość narzeczonej i Holly nie miała z tym nic wspólnego. Jak mogła być aż tak naiwna?

Kiedy nazajutrz rano Holly dotarła do Lee's, kolejka była tak długa, że skręcała razem z budynkiem i dochodziła niemal do wejścia dla personelu.

– Niektórzy czekali całą noc – powiedział pracownik ochrony, wpuszczając ją do środka.

– Wiem, co czuję – mruknęła.

Z Holly emanował smutek, ale nawet jeśli Annmarie zastanawiała się, dlaczego jej koleżanka nie jest już tą pełną radości kobietą z poprzedniego wieczoru, była zbyt uprzejma, by o to pytać. Poza tym wszyscy byli zbyt zajęci, by zajmować się czymś tak przyziemnym jak rozmowa.

Zanim nadszedł wieczór, sklep wyglądał tak, jakby przeszło przez niego tornado, które porwało połowę ubrań i porzuciło je w niewłaściwym kącie, w dodatku przewrócone na lewą stronę. Holly i Annmarie przyglądały się z przerażeniem swemu królestwu. Ich zadaniem było zostanie po pracy i doprowadzenie działu do porządku. Albo zjawienie się w sklepie nazajutrz o siódmej rano.

– Dzisiaj – zaproponowała Annmarie. – Dzięki temu jutro nie będziemy musiały zrywać się z łóżka bladym świtem.

Holly kiwnęła głową. Przez cały dzień bardzo się starała wyglądać pogodnie i przyjacielsko, i była tym wykończona.

Kiedy tego wieczoru wróciła z pracy, w domu panowała grobowa cisza. Było tuż po dziesiątej i z mieszkania Kenny'ego i Joan nie dobiegała żadna muzyka. Pewnie gdzieś wyszli. Holly, która chętnie poszłaby do swych sąsiadów po słowa pociechy, otworzyła ze znużeniem drzwi. Rzuciła torebkę na kuchenny blat i policzyła, ile wypaliła dzisiaj papierosów. Przynajmniej dziesięć, co było naprawdę okropne. Ale i tak miała teraz ochotę zapalić kolejnego.

Rozległo się stanowcze pukanie do drzwi; nie delikatne w stylu Joan albo Kenny'ego. Głośne i rzeczowe. To może ten nowy lokator z góry, bezczelny facet po trzydziestce. Miał wąskie, czerwone usta, które stanowczo zbyt często oblizywał tego dnia, kiedy Holly go poznała. Do głowy przyszło jej słowo „odrażający”. Nie była dziś w nastroju na coś takiego. Otworzyła z ponurą miną. A tam razem z kilkoma walizkami i złożonym stołem kreślarskim stał Tom.

– W ogóle cię nie słyszałam – odezwała się Holly, patrząc ze zdumieniem na wszystkie rzeczy, poustawiane na drugim piętrze.

– Kenny mi pomógł – odparł Tom.

– Przypomnij mi, bym nigdy więcej nie zgłaszał się na ochotnika do czegoś takiego – jęknął Kenny, pokonując ostatni schodek z kartonowym pudłem w objęciach.

– Wyprowadziłem się z mieszkania w Glasnevin – rzekł Tom.

– Wiem.

– Skąd...?

– Spotkałam Caroline i ona... eee... powiedziała mi, że się rozstaliście. – Holly wiedziała, że zachowuje się bardzo formalnie, ale nie dbała o to. Nie miała zamiaru znowu cierpieć. Holly Miller skończyła już z wyciąganiem pochopnych wniosków.

– Gdzie spotkałaś Caroline? – zapytał od niechcienia Kenny, strzepując z jasnobezowej lnianej koszuli wyimaginowany pyłek.

– Przyszła do Lee's. Tam na siebie wpadłyśmy – wyjąkała Holly.

Kenny posłał jej wiele mówiące spojrzenie.

Wiedziała, że Tom przygląda się jej, ale ona celowo nie patrzyła mu prosto w oczy. Nie miała zamiaru robić z siebie głupca.

– Co powiedziała Caroline? – zapytał.

– Niewiele – skłamała Holly.

– Tak czy inaczej Tom nie ma teraz gdzie mieszkać, więc powiedziałem, że po wyjeździe Joan może zamieszkać u mnie – kontynuował Kenny.

Holly pomyślała o mieszkaniu Kenny'ego i Joan. Było większe od jej, oczywiście, ale i tak miało tylko dwie miniaturowe sypialnie. Nie było tam miejsca dla olbrzyma o wzroście metr osiemdziesiąt pięć, który siadając, zajmował połowę trzyosobowej sofy, i to bez wyciągania nóg. Joan chodziła przez sen i nieważne, gdzie położyliby Toma, i tak by się o niego przewracała.

– Do czasu wyjazdu Joan gdzie położyć te wszystkie rzeczy i gdzie będzie spał? – zapytała.

Na twarzy Kenny'ego widniała mina w stylu „ugłaskiwanie trudnego klienta”.

– Cóż, widzisz, w tym właśnie momencie wchodzisz ty, Holls. Joan wyjeżdża za dwa tygodnie i do tego czasu, aby wszystko ułatwić, Tom musi przechowywać gdzieś swoje rzeczy. Albo może mieszkać u ciebie, a rzeczy trzymać u nas.

Holly pomyślała, że twarz Kenny'ego jest taka anielska. Nawet kiedy zajmował się swataniem, miał minę niewiniątka. Ale wyciągał pochopne wnioski, tak jak wcześniej ona. To, że Tom zostawił Caroline, nie oznaczało automatycznie, że chciał być z Holly.

– To chyba nie jest zbyt dobry pomysł – powiedziała szybko.

Zaskoczenie na twarzy Kenny'ego było niemal komiczne, ale Tom w ogóle nie wyglądał na zaskoczonego. Do Holly dotarło, że wiedział, o co chodzi przyjacielowi, i był tym zakłopotany. Miał nadzieję, że Kenny pomoże mu w znalezieniu lokum, a teraz znowu wplątywany był w swatanie z Holly. Twarz dziewczyny płonęła ze wstydu i bólu.

– Przepraszam – powiedziała i cofnęła się do swego mieszkania, zatraskując za sobą drzwi.

– Nie ma go! – zawołał Kenny dziesięć minut później. – Wpuść mnie.

Holly wychyliła się z łazienki, gdzie próbowała osuszyć łzy, i przekręciła zamek w drzwiach, tak że się otworzyły. Z chusteczkami przyciśniętymi do oczu nie czekała, aż Kenny wejdzie. Wróciła do łazienki i wyciągnęła mleczko do demakijażu, by wytrzeć policzki, na których tusz do rzęs pozostawił czarne smugi. Wyglądała paskudnie ze spuchniętymi od płaczu oczami.

– Przykro mi, Kenny – pociągnęła nosem – ale on nie jest zainteresowany. Wiem, że starasz się dla mnie, jak możesz, ale nie można zmusić nikogo do miłości. Wczoraj rozstał się z Caroline, wiem o tym, ponieważ przyszła do Lee's, by na mnie wrzeszczeć. To mnie obwinięła! Naprawdę, możesz w to uwierzyć?

Słysząc to, Kenny nalewał do czajnika wody z kranu. – I myślałam, że Tom zostawił ją z mojego powodu, i czekałam na niego wczoraj cały wieczór, ale on się nie pojawił. – Holly spryskała twarz zimną wodą, niepewna, czy to coś da. – On nie jest zainteresowany, Kenny, i był po prostu zażenowany, że wszyscy wciąż popychają mnie mu w ramiona.

Czekała na reakcję Kenny'ego. To nie było w jego stylu, by nie wyrażać własnej opinii na jakiś temat.

– Nie mogę uwierzyć, że byłam aż tak głupia – ciągnęła. – Głupia, głupia, głupia. – Przyglądała się swemu odbiciu i widziała czerwoną na twarzy, durną grubaskę zakochaną w facecie, który kiedyś był jej przyjacielem, a teraz uciekłby od niej jak najdalej. Westchnęła. Nie miała na twarzy już ani odrobiny makijażu, posmarowała ją więc grubą warstwą kremu nawilżającego. Równie dobrze może się nieco postarać, by nie zrujnować do końca cery. Być może łzy działają jak domowej roboty peeling enzymatyczny. Z błyszczącą twarzą, czerwonymi oczami i nienawiścią do samej siebie wyszła z łazienki. – Och, Kenny, co ja mam teraz zrobić?

Ale to nie Kenny stał w jej kuchni i wkładał właśnie torebki herbaty do dwóch kubków. To był Tom.

– Al... – Holly próbowała coś powiedzieć, ale z jej głowy wyleciały wszystkie inteligentne słowa. – Co...

– Herbata. – Tom podał jej kubek.

Trzymanie go w dłoniach przywróciło choć szczątki pozorów normalności.

– Byłeś tu przez cały ten czas – powiedziała. – Myślałam, że to Kenny. Słyszałeś wszystko. – To było niemal zbyt wiele do zniesienia. Dlaczego on to zrobił? Czy chciał ją do końca upokorzyć?

– Napij się herbaty, Holly, skarbie – rzekł miękko.

– Czy to rozsądne? – zapytała. – Dawać kobiecie, którą właśnie koszmarnie upokorzyłeś, duży kubek z wrzątkiem? – Zaczęły jej drżeć ręce.

– Jesteś zdenerwowana. Pomyślałem, że to pomoże – odparł, wyciągając rękę po jej kubek.

– Pomoże w czym? – zapiszczała, odsuwając się tak gwałtownie, że herbata rozlała się wokół jej butów. – Pomoże mi wyglądać na jeszcze większego głupca niż jestem? Co tutaj robisz, Tom? Nie możesz tu zostać. Powiedziałam ci to. – Jej głos był wysoki i pełen wściekłości, a ból kazał jej atakować. – Na ile sposobów mam ci to powtarzać?

– Kocham cię, Holly. – Powiedział to najpierw cicho, po czym powtórzył głośniej. – Kocham cię, Holly Miller. Nawet jeśli ty mnie nie kochasz, nawet jeśli uważasz, że w ogóle nie powinienem tu przychodzić, kocham cię.

Wpatrywała się w niego nic nierozumiejącym wzrokiem, słuchając słów, które od wielu miesięcy tak bardzo pragnęła usłyszeć, a w które teraz nie mogła uwierzyć.

– Słyszałaś mnie? – zapytał. Wyjął kubek z rąk Holly i stanął tak blisko niej, że czuła ciepło jego ciała i zapach użytej wiele godzin temu wody kolońskiej.

Położył swe wielkie dłonie na jej biodrach, z zachwytem badając palcami ich zarys. W jakiś naturalny sposób poczuła, że powinna przysunąć się bliżej Toma, tak że ich ciała dzieliły zaledwie centymetry, a jej twarz znajdowała się tuż-tuż przy jego ramieniu. A gdyby uniosła głowę, patrzyłaby w jego twarz, na jego usta.

Wcześniej wielokrotnie myślała o całowaniu się z Tomem, myślała także o jego dłoniach, pieszczących jej ciało, ale teraz, kiedy stała naprzeciwko niego, zapomniała o wszystkich wymaganych pocałunkach.

Była w stanie myśleć jedynie o jego bliskości, męskości, tym, że pragnęła go bardziej niż czegokolwiek innego na świecie.

– Mówiłeś poważnie? – wyszeptwała.

Aby rozwiać jej wątpliwości, powtórzył:

– Kocham cię.

A potem jego usta zbliżyły się do jej warg i całowali się namiętnie, delektując się swoją bliskością. Holly ujęła dłońmi jego głowę i przyciągała ją bliżej siebie, on obejmował ją ramieniem i przyciskał mocniej do siebie. Słysząc było ciche jęki pełne rozkoszy i Holly nie sądziła, że to ona może je wydawać.

Odsunął swe usta, tylko na tyle, by móc widzieć jej twarz.

– Kochasz mnie?

Holly pogłaskała jego kochaną twarz, zdumiona tym, że Tom nie czuje miłości płynącej z czubków jej palców.

– Czy cię kocham? Zwariowałeś? Kocham cię tak mocno, że aż boli.

Wtedy ramiona Toma mocno objęły ją w talii i uniosły z podłogi. Holly otoczyła go w pasie nogami, jej usta złączone z jego ustami, języki zanurzające się głęboko i słodko. Powoli i nie wpadając na żadne przeszkody, Tom zaniósł ją do sypialni i położył na łóżku.

W całym dotychczasowym życiu Holly nie czuła się tak pociągająca i godna pożądania. Całując się i mrużąc czule słówka, rozbierali się nawzajem, Tom zaś zachwycał się przy każdym zdejmowanym z Holly ubraniu.

– Jesteś taka piękna – wymruczał, kiedy rozpiął stanik i dotknął palcami jednej jasnoróżowej brodawki. Holly wygięła plecy w łuk i jęknęła z rozkoszy. Czuła się piękna. I drobna. Obok silnego, muskularnego ciała Toma była szczupła i delikatna niczym trzcina. Jeszcze bardziej upajające było to, jaki miała na niego wpływ. Kiedy oboje byli już nadzy i Holly przesuwała palcami od jego klatki piersiowej do płaskiego brzucha i niżej, Tom jęknął tak, jakby już nie mógł dłużej wytrzymać.

– Chciałem, by trwało to wieczność – rzekł ochryple, kiedy przykrył ciało Holly swoim, zaś ona przeciągnęła się leniwie pod nim, rozkoszując się dotykiem jego skóry. Powoli schodził z pocałunkami od obojczyka aż do jedwabistej skóry ud, a jego dłonie pieściły ją i głaskały.

– Następnym razem może tak być – odparła.

Nie miała pojęcia, że seks może być tak czuły i namiętny. A kiedy Tom wszedł w nią i w jej wnętrzu eksplodowały najcudowniejsze i najbardziej intensywne uczucia, jakich zdarzyło jej się doznać, poczuła się jak pradawna bogini płodności przepelniona oślepiającym światłem, gdy ziemia, słońce, księżyc i morze wpływały do niej podczas magicznej ceremonii.

Potem leżeli wtuleni w siebie. Głowa Holly spoczywała na wielkim ramieniu Toma, a ich nogi splecione były z sobą czule.

– Kocham cię, Holly – rzeki Tom. – Kocham cię już od tak dawna, praktycznie odkąd cię poznałem. Ale tamtego wieczoru podczas pokazu Joan, kiedy byłaś taka odważna i piękna, płynąc po wybiegu niczym wojownicza królowa, w pełni to do mnie dotarło.

Holly wyciągnęła rękę i palcami dotknęła jego torsu.

– Ja też cię kocham – rzekła. – Kocham, kocham, kocham. – Zaśmiała się lekko i wtuliła głowę jeszcze bardziej w jego ramię. – To zabawne, że wybrałaś właśnie ten wieczór – dodała. – Nie mogłam uwierzyć, kiedy Caroline powiedziała, że się zaręczycie, czekałam, aż powiesz, że to jakaś pomyłka.

– No bo była – jęknął, pocierając ręką czoło. – Caroline czegoś chce, więc Caroline to dostaje. Już od dłuższego czasu dreptaliśmy w miejscu. Częściowo dlatego właśnie wyprowadziłem się z Cork. Nasz związek umierał śmiercią naturalną i wtedy ona przyjechała do Dublina, spodobała jej się tutaj, no i już.

Holly usiadła na łóżku.

– Poprosiłaś ją, by za ciebie wyszła?

Tom także usiadł.

– I tak, i nie – odparł przeproszającym tonem. – Rozmawialiśmy o tym jakiś rok temu. Ale nigdy nie postanowiliśmy, że tak, pobieramy się. A potem Caroline zjawiała się tutaj w weekend poprzedzający pokaz mody i rzekła: „No dobrze, zróbmy to. Weźmy ślub”. Nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Nie? – zasugerowała Holly.

Tom delikatnie wziął ją w ramiona, tak że patrzyli sobie prosto w oczy.

– Masz rację, to właśnie powinienem był powiedzieć, ale tego nie zrobiłem. A kiedy się przekonałem, że jej nie kocham, że kocham ciebie, było za późno. Znajdowaliśmy się już na ślubnej karuzeli i nie wiedziałem, jak się z tego wyplątać, nie łamiąc jej serca.

Holly pocałowała go delikatnie.

– Jesteś dobrym człowiekiem – rzekła. – Nie chciałaś jej skrzywdzić.

– To prawda. Osobą, której miałem ochotę zrobić krzywdę, był Vic. Chciałem wyrwać mu jedną kończynę po drugiej za to, że śmiał cię tknąć.

Holly była zdumiona, widząc prawdziwą wściekłość na normalnie łagodnej twarzy Toma. Usta miał zaciśnięte w ciemną, ponurą kreskę, a spojrzenie kamienne.

– Mój wielki, przystojny mężczyzna z Cork, walczący o moją cnotę – mruknęła, trącając nosem jego szyję. – Pomiędzy mną a Vikiem nic nie było, cóż, przynajmniej nie z mojej strony – poprawiła się. – Pragnęłam, by Vic był tobą.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Próbował zaciągnąć mnie do łóżka. – Czowała, jak przy tych słowach całe ciało Toma tężeje. – Ale nie potrafiłam tego zrobić. Pragnęłam, byś to był ty.

– Tak się cieszę – powiedział, skrywając twarz na jej ramieniu. – Wiem, że nie mam prawa być zazdrosny, ale... jestem.

– W tym kontekście zazdrość jest jak najbardziej na miejscu – odparła zartobliwie Holly. – Ja byłam zazdrosna o Caroline.

– A ona o ciebie – rzekł Tom. – Dwa dni temu spotkałem się z koleżanką na piwie i Caroline wpadła w szał, oskarżając mnie o to, że spotkałem się z tobą. To przelało czarę. Wściekała się na

mnie o pierwszej w nocy, a ja nagle wyobraziłem sobie siebie i Caroline już zawsze razem. Caroline i Tom. Nie Holly i Tom. Wtedy właśnie zrozumiałem, że muszę postąpić uczciwie i odejść. Nazajutrz wyprowadziłem się, gdy tymczasem ona dalej na mnie krzyczała.

– Wieczorem pojawiła się w sklepie i to mnie za to obwiniała.

– A potem wróciłaś do domu i czekałaś na mnie – zakończył Tom. — Przepraszam. Widzisz, musiałem się najpierw dowiedzieć, czy nadal spotykasz się z Vikiem. Zadzwoiłem do Kenny'ego, ale nie mogłem go złapać aż do dzisiejszego ranka i wtedy powiedział mi, że Vica już nie ma. Musiałem także wiedzieć, czy czujesz do mnie to samo – rzekł powoli Tom.

– Kochany Kenny, niesamowita swatka – zaśmiała się Holly. – Stoi pewnie na korytarzu ze szklanką przy drzwiach i słucha. Tak bardzo się starał nas wyswatać.

– Wiem. A za każdym razem, gdy Joan wyskakiwała z kolejnym idiotycznym pomysłem umówienia cię z kimś, wpadałem we wściekłość.

– Naprawdę? – Holly zamknęła radośnie oczy, delektując się świadomością, że Tom był o nią zazdrosny.

Zadzwoił głośno telefon, przerywając tę cudowną atmosferę.

– Halo? – zapytała Holly.

– Cześć – odparł Kenny. – Nie chcieliśmy pukać, ale czy wszystko okej?

Holly uśmiechnęła się szeroko.

– Bardzo okej. – Odwróciła się do Toma. – Chcesz, by Kenny przyniósł tu twoje rzeczy? – zapytała. Kiwnął głową. – Przyjdź do nas, Kenny.

Tom i Holly obdarzyli się powolnym pocałunkiem, po czym wstali. Gdy Tom się ubierał, ona owinęła się szlafrokiem i poszła otworzyć drzwi.

Na korytarzu stali Kenny i Joan, czekając niecierpliwie.

Holly nie odezwała się ani słowem, ale zdradził ją promienny uśmiech.

– Ooch – powiedział tylko Kenny. Uśmiechnął się do niej, uszczęśliwiony tym, że Holly i Tom wreszcie się odnaleźli. – Prawdziwa miłość to naprawdę wspaniała sprawa, czyż nie? Wisisz mi dziesięć funtów, Joan – dodał.

– Wcale nie – odparła projektantka, która dopiero co wróciła do domu. – Zawsze wiedziałam, że w końcu się zejdą.

Zakład dotyczył tego kiedy, a nie czy i nie mogę sobie przypomnieć, co ty powiedziałaś ani tego, co ty...

– Cześć wam – odezwał się Tom, wyłaniając się z sypialni z paczką w dłoniach. – Szukałem moich skarpetek i pod łóżkiem znalazłem to. Jest na tym napisane moje imię, Holly.

Millerówna spojrzała na starannie zapakowany prezent urodzinowy, który kilka miesięcy temu kupiła dla Toma, ale mu nie dała.

– To twój prezent gwiazdkowy – odparła ze śmiertelnie poważną miną – ale jeśli chcesz, możesz go teraz otworzyć.

W odpowiedzi Tom nachylił się i pocałował ją delikatnie w usta.

– Prezenty gwiazdkowe? Już? – zapytała zgorszona Joan. – Oszalałaś, Holly? To znaczy cholera jasna. Przerażasz mnie. W zeszłym tygodniu moja siostra miała urodziny i nadal nic dla niej nie mam...

Tom ponownie pocałował Holly, kiedy zobaczył książkę o Lee Corbusierze. Podziwiał ją razem z Kennym, gdy tymczasem Joan nawijała dalej o prezentach i o tym, że naprawdę jest kompletnie spłukana. Holly zaparzyła kolejny dzbanek herbaty i nie mogła przestać się uśmiechać. Wszystko układało się po prostu doskonale.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Stella stała przed oddziałem intensywnej opieki medycznej i opierała się o jasnozieloną szpitalną ścianę. Spędziła tu całą noc, ale tak naprawdę nie czuła się śpiąca. Słyszała, że w przypadku traumy ludzkie ciało potrafiło w sobie znaleźć zapasy energii, by przetrwać. I to

prawda. Była ósma rano, a ona przetrwała noc tylko dzięki trzem kubkom kawy i butelce wody mineralnej. Zero snu. Nawet gdyby była w łóżku, też by nie spała: za bardzo się denerwowała.

Telefon od Angeli tuż po dwudziestej trzeciej sprawił, że przeżyła wstrząs.

Gdy tylko Stella usłyszała głos przyjaciółki rodziny, obawiała się najgorszego.

– Angela, ja... co... O nie, to coś z tatą, prawda? – zapytała, przytrzymując się brzegu ławy, by zachować równowagę.

– Miał zawał i jest teraz w szpitalu w Kinvarrze. Jest na OIOM-ie. Lekarze nie chcą mówić zbyt wiele mnie ani Alastairowi, ponieważ nie jesteśmy rodziną. Uważam, że powinnaś przyjechać... – Angela urwała.

– Jak poważny był zawał?

– Niestety bardzo – odparła ponuro. – Był akurat z nami i nie wiem, co by się stało, gdyby był wtedy sam. Tak bardzo się bał, Stello, ale ciągle powtarzał, by nie mówić waszej matce. Przepraszam, nie wiedziałam, co zrobić.

– Dobrze zrobiłaś, że do mnie zadzwoniłaś. Będę tam za godzinę – wyszeptała Stella. – Wezmę komórkę. Dzwon do mnie o każdej porze.

Zostawiła numer i rozłączyła się, po czym pobiegła spakować do torby podręcznej parę rzeczy. Trzy minuty po telefonie Angeli siedziała już w samochodzie. Wystukała numer Tary, ale włączyła się automatyczna sekretarka.

– Tara, jeśli tam jesteś to proszę, odbierz. – Nie odebrała. Cholera. Stella nie chciała zostawiać niepokojącej wiadomości na sekretarce, ale nie miała innego wyjścia. – Zadzwon do mnie na komórkę natychmiast, jak tego odsłuchasz. Pa.

Zadzwoniła też na komórkę Tary, ale została przełączona na pocztę głosową, gdzie zostawiła taką samą wiadomość. Następnie zadzwoniła do Holly.

– Hej, Stello – rzekła Holly śpiącym głosem.

– Witaj, kochanie, mam złe wieści. Tata miał zawał.

– O nie. – Holly była już w pełni rozbudzona.

– Właśnie dzwoniła do mnie Angela i zabrałam parę rzeczy, i jestem w samochodzie, żeby jechać do domu. Chcesz, żebym po ciebie podjechała?

– Tak. Powinno ci to zabrać dziesięć minut. Będę czekać przed bramą.

Błada na twarzy Holly, ściskająca w ręce niewielką walizkę, czekała, kiedy Stella zatrzymała się przed domem na Windmill Terrace.

Siostry uściskały się ze łzami w oczach.

– Czy Angela powiedziała coś więcej? Jest w bardzo złym stanie? – zapytała Holly, gdy już zapięła pasy.

Stella pokręciła głową.

– Nie wiedziała zbyt wiele. Na szczęście był wtedy razem z Angelą i Alaistaiem, od razu zadzwonili po karetkę. Wolę nie myśleć, co by się stało, gdyby był sam... – Musiała przygryźć wargę, by się nie rozplakać.

Holly poklepała siostrę po ramieniu.

– No już, Stello, wszystko będzie dobrze, musimy w to wierzyć. Jeśli zjawimy się w szpitalu, spodziewając się najgorszego, tata natychmiast to wyczuje. Musimy myśleć optymistycznie, ze względu na niego. I jest teraz pod dobrą opieką, nic mu się tam nie stanie.

– Wiem. – Stella otarła oczy i starała się skoncentrować na drodze.

– Zadzwoniłaś do Tary?

– Nie ma jej w domu, a nie chciałam zostawiać jej wiadomości i mówić, co się stało. – Stella zawahała się. – Mama też nie wie. Angela powiedziała, że tata ją błagał, by nie dzwoniła do mamy.

Holly jęknęła.

– Och, biedny tata. On myśli, że jeśli mama się dowie, przyjedzie do domu tylko dlatego, że jest chory, a on chce, by wróciła dlatego, że chce z nim być. Musimy jej powiedzieć, Stello.

– Nie możemy dzwonić do niej w środku nocy, jeszcze by miała po drodze wypadek albo coś w tym rodzaju.

– Cóż, w takim razie musimy zadzwonić z samego rana. Ona go kocha, wiesz? – dodała Holly. – Naprawdę go kocha.

\*\*\*

Los im sprzyjał w drodze i po niecałej godzinie byli już w Kinvarrze. Lata całe minęły, odkąd któraś z nich była w szpitalu, ale oddział intensywnej opieki medycznej na kardiologii był dobrze oznaczony, więc bez wahania wbiegły po schodach i przeszły szybko korytarzami, aż zobaczyły Angelę i Alastaira, siedzących w milczeniu w poczekalni. Trzymali się za ręce i Angela płakała. Stella zwolniła kroku, aż poruszała się niczym osoba idąca przez bagno. Angela mogła płakać tylko z jednego powodu.

– Nie! – zaszlochota Stella, a słowo to wydobyło się z jej ust niczym jeden długi jęk.

– Och, Stello, wszystko w porządku. – Alastair zerwał się z krzesła i mocno przytulił obie siostry. – On żyje, jest dobrze, nas tylko trochę poniosły emocje...

Tego właśnie trzeba im było usłyszeć. Gdy Holly ścisnęła Angelę, dziękując jej, Stella pobiegła, by znaleźć pielęgniarkę, która zabrałaby je do ojca.

Na oddziale panował spokój i słychać było jedynie pikanie sprzętu. Zajęte były trzy z czterech łóżek. Pacjenci leżeli nieruchomo niczym mumie, owinięci cienkimi szpitalnymi kołdrami i otoczeni maszynami, które rejestrowały ich każde bicie serca. Hugh znajdował się tuż pod oknem.

Przed wszystkim Stella pomyślała, że ten mężczyzna w łóżku nie przypomina jej ojca. On zawsze wyglądał zdrowo, emanowało z niego ciepło i żywiołowość. Teraz leżał unieruchomiony, a jego skóra była szara, jakby już nie żył. Do nosa miał podłączone rurki doprowadzające tlen, do piersi przyklejone czujniki od monitora, a do jednej dłoni podłączoną kroplówkę. Pielęgniarka zrobiła miejsce, by mogły stanąć obok niego.

– Nie przerażcie się. To zawsze tak strasznie wygląda – powiedziała spokojnie.

– Jak on się czuje? – zapytała Stella, dotykając bezwładnej dłoni Hugh. Holly przysunęła sobie krzesło z drugiej strony łóżka, usiadła i pogłaskała czoło ojca, a jej oczy zamglone były od łez.

– Dzielnie się trzyma – odparła powściągliwie pielęgniarka. – Miał szczęście, że przebywał akurat z ludźmi, którzy zadzwonili po karetkę. Przyślę lekarza, by z wami porozmawiał. Proszę usiąść. – Przysunęła drugie krzesło i Stella opadła na nie z wdzięcznością. Pielęgniarki wchodziły i wychodziły, robiły notatki, kiwały głowami do siostr, które siedziały w pełnej odrętwienia ciszy.

Stella modliła się tak, jak jeszcze nigdy wcześniej, prosząc Boga o wybaczenie, że tak rzadko chodziła do jego domu, ale błagając go o pomoc.

Proszę, proszę, uratuj mego ojca. To dobry człowiek, nie zasługuje na to, by umrzeć.

Dopiero po upływie pół godziny pojawiła się lekarka, drobna Hinduska z najciemniejszymi, najbardziej życzliwymi oczami, jakie Stella w życiu widziała.

– Wasz ojciec miał rozległy zawał. W tej chwili największe zagrożenie stanowi arytmia: nieprawidłowy rytm serca. Monitorujemy go i podajemy leki, by mieć to pod kontrolą, ale kilka kolejnych godzin okaże się decydujące.

W ciągu nocy Stella i Holly czekały na zewnątrz, kiedy ekipa medyczna zajmowała się ich ojcem. Stella odesłała Alastaira i Angelę do domu, by trochę odpoczęły.

– Nie ma sensu, byśmy wszyscy tu siedzieli – powiedziała. – Musicie się przespać.

Dwa razy kupiły słabą kawę z mlekiem ze stojącego na korytarzu automatu, ale z powodu zaciśniętego żołądka Stella nawet tego nie zdołała wypić do końca.

Wydawało się, że stan Hugh nie ulega poprawie w ciągu tych długich, samotnych nocnych godzin. Raz przebudził się na chwilę i uśmiechnął blado do córek, które wyszeptaly, że wszystko będzie dobrze i że go kochają, i... Ale on zdążył już ponownie odpłynąć, wlewając tylko w ich serca odrobinę nadziei.

O wpół do ósmej pielęgniarka odesłały siostry, by zjadły śniadanie.

– Zadzwonimy, gdy nastąpi jakaś zmiana. O wpół do dziesiątej ma się zjawić specjalista, więc wtedy wróćcie.

Holly powiedziała, że pójdzie tylko na chwilę do ubikacji, więc Stella czekała na nią, opierając się ze znużeniem o szpitalną ścianę, cofając się myślami do zeszłej nocy.

Niedługo będzie mogła ponownie zadzwonić do Tary.

– Okej? – zapytała Holly, wychodząc z toalety i obejmując ramieniem siostrę.

Stella kiwnęła głową.

W szpitalu panowała spokojna, nierzeczywista atmosfera, a na zewnątrz był jasny, słoneczny ranek. Dziwnie było patrzeć na ruch na ulicy: samochody ze zmęczonymi ludźmi jadącymi do pracy, ludzi energicznie zdążających na przystanki autobusowe. Na OIOM-ie miało się wrażenie, że czas uległ zawieszeniu, a teraz Stella widziała, że wcale tak nie jest.

Pielęgniarka poleciła im wcześniej otwieraną kafejkę po drugiej stronie ulicy. Szpitalna stołówka zostanie otwarta dopiero za kilka godzin. W Kafejce Sida, otwartej przez cały dzień powiał je zapach smażeniny i aromat mocnej kawy.

– Nie wiem, czy zdołam cokolwiek przełknąć – mruknęła Stella.

– Bzdura – odparła stanowczo Holly. – Zamawiamy obfite irlandzkie śniadanie i zjesz wszystko co do okruszka, nawet jeżeli będę ci to miała osobiście wepchnąć do buzi.

Stelli jakoś się udało zjeść połowę porcji i rzeczywiście poczuła się znacznie lepiej, kiedy zabrała się za kawę.

– Wolałabym, żebyś je rzuciła – powiedziała, kiedy Holly zapaliła papierosa.

– Nie zrzedź – odparła błagalnie siostra. – Ograniczyłam do pięciu dziennie.

– Choroby serca są dziedziczne i jeśli nadal będziesz palić, pewnego dnia skończysz tak jak tata, na szpitalnym łóżku – oświadczyła Stella. Nagle poczuła złość na Holly za to, że pali. Jak mogła w taki sposób narażać własne życie?

Holly przyglądała się grze emocji na bladej twarzy Stelli i wiedziała, że jej siostra ma rację. Stella nie zrzedziła, ona po prostu się martwiła.

Otworzyła swoją paczkę papierosów. Zostało dziewięć. Dziewięć, no i ten, którego właśnie paliła.

– Masz rację – rzekła, wzdychając. – Obiecuję, że już nigdy więcej nie kupię fajek, umowa stoi? Wypalę te i koniec.

– Obiecujesz?

– Prędzej umrę niż przysięgę złamię. – Holly wyrecytowała tę dziecięcą obietnicę z zamkniętymi oczami.

– Może nie poruszaj tu tematu śmierci – rzekła Stella, ale uśmiechała się. – Dziękuję, Holly. Wiem, że to będzie trudne, ale oddasz sobie w ten sposób przysługę. I nam wszystkim.

Najmłodsza Millerówna zaciągnęła się wyjątkowo głęboko.

– Kiedyś i tak musiałam chwycić byka za rogi – rzekła. – A skoro mowa o reszcie Millerów, czy nie powinnyśmy zadzwonić do Tary?

\*\*\*

Tara leżała nieruchomo na łóżku, słuchając radia i starając się rozbudzić. Uznała, że pigułki nasenne są stanowczo przereklamowane. Już lepsza była jej poprzednia bezsenność. Ubiegła noc była drugą, podczas której wzięła tabletkę i mimo że rzeczywiście spała, bardziej się czuła jak znokautowana przez Mike'a Tysona niż odprężona po śnie. Isadora wspomniała, że tabletki są silne, ale nie mówiła nic na temat ich zdolności nokautujących.

– Lekarz mi je zapisał po śmierci mego ojca – wyjaśniła Isadora. Zerknęła na datę ważności. – Nie, są jeszcze dobre. Ale nie pij do nich wina ani niczego w tym rodzaju, inaczej rano będziesz półprzytomna.

W mieszkaniu Tary nie było już żadnego alkoholu. Zawartość wszystkich butelek wylała do zlewu, nawet tej po toniku, która, jak się ze zdumieniem przekonała, była do połowy wypełniona wódką. Robiło jej się niedobrze, gdy tylko czuła zapach alkoholu i nie była w stanie znieść myśli o czymś więcej niż kieliszku szprycera z białego wina. W jej życiu nie było już miejsca na alkohol, nie po tym, co uczyniła Finnowi.

W obydwu więc przypadkach popiła tabletkę wstrzemięźliwą szklanką wody mineralnej, a mimo to po przebudzeniu czuła się niczym zombie.

Poruszyła się na łóżku. Wydawało jej się, że nogi ma jak z ołowiu. Zdecydowanie koniec z tabletkami nasennymi. Jediną opcją był chłodny prysznic. Szum wody zagłuszył dźwięk dzwoniącego telefonu i Tara stała z twarzą uniesioną do strumienia wody, starając się orzeźwić zimną wodą. Właśnie się wycierała, kiedy telefon ponownie zadzwonił. Było dopiero dziesięć po ósmej, nikt oprócz Finna nie dzwoniłby do domu o tej porze. Tara rzuciła się w stronę stojącego na korytarzu telefonu i przekonała się ze zdumieniem, że ma dwie wiadomości.

– Halo?

– Tara, dzięki Bogu. – To Stella. – Jest z tobą Finn?

Przez głowę Tary przemykały możliwe odpowiedzi.

– Nie, wyszedł wcześniej do pracy – odparła szybko, po czym dodała: – A dlaczego pytasz?

– Nie chciałam, byś była sama, kiedy ci to powiem. Chodzi o tatę. Miał zawał.

Tara owinęła się ciaśniej ręcznikiem i zaczęła się trząść.

\*\*\*

– Dzień dobry, dziewczynki – powitał je ojciec. Siedział na łóżku, a pielęgniarka podawała mu właśnie kilka tabletek.

– Och, tato – uśmiechnęła się promiennie Stella.

Holly pocałowała go delikatnie w czoło.

– Nieźle nas przestraszyłeś, ty łobuzie – przekomarzała się.

– Prawdopodobnie za dużo tańców na dyskotecę – zażartowała pielęgniarka. – Ci wysocy, srebrnowłosi faceci wszyscy są tacy sami. Kiedy przekroczą sześćdziesiątkę, nagle dostają hopla na punkcie tańców.

Hugh roześmiał się, a Holly i Stella odprężyły się, gdy zobaczyły w jego zmęczonych oczach iskierkę humoru.

– No dobrze, dziewczęta, chcemy, by wasz ojciec się teraz trochę zdrzemnął, więc wyrzucimy was na kilka godzin. Personel z nocnej zmiany mówi, że spędziłyście tutaj całą noc, może więc i wam przydałaby się odrobina odpoczynku. Zaopiekujemy się tutaj Panem Tancerzem i zadzwonimy, jeśli tylko zacznie wyczyniać coś szalonego.

To było właściwe podejście. Hugh nie znosił być traktowany jak inwalida i teraz jego uśmiech stał się jeszcze szerszy, jakby rzeczywiście mógł tańczyć, a nie leżał przykuty do łóżka po rozległym zawale serca.

Na zewnątrz inny lekarz przekazał im informacje o stanie ojca.

– Musimy sprawdzić, jak bardzo ucierpiało jego serce i czy do zawału przyczynił się zator tętniczy. Za kilka dni prawdopodobnie wykonamy angiogram, ale najpierw chcemy mieć pewność, że jego stan jest stabilny. Tym pierwszym kilku dniom towarzyszy największe ryzyko.

Kiedy lekarz poszedł, Stella i Holly wróciły na salę, by posiedzieć przez kilka minut z ojcem.

– Rozmawialiśmy z Tarą i przesyła ci pozdrowienia. Jest w drodze do Kinvarry.

Hugh kiwnął głową.

– Jeśli chodzi o waszą matkę... – zaczął.

– Mamy zamiar do niej zadzwonić – odparła zdecydowanie Holly. – Nie denerwuj się, tato. Mama musi się z tobą spotkać.

– A jeśli nie będzie chciała przyjechać? – zapytał słabym głosem Hugh.

Stella skrzyżowała ukradkiem palce.

– Przyjedzie.

Siostrami wstrząsnął stan ich domu w Kinvarrze. Było w nim czysto, ale sprawiał wrażenie zimnego i niezamieszkanego. Duch Rose zniknął, bez jej ożywczej obecności pomieszczenia były gołe i zimne.

– Idź do łóżka, Holls – rzekła Stella. – Ja poczekam na Tarę. Powiedzieli, że wpuszczą ją, by zobaczyła tatę, ale nie pozwolą jej zostać, jeśli będzie spał, więc powiedziałam, by przyjechała tutaj, a później razem do niego pojedziemy.

– Musisz zadzwonić do mamy.

Stella zastanawiała się, czy dzwoniąc do Rose, postępuje właściwie. Nie chciała martwić Hugh w jego stanie, ale wiedziała, że matka nigdy by jej nie wybaczyła, gdyby ją wyrzuciła poza nawias w obliczu takiego kryzysu.

\*\*\*

Rose spędziła rano w Domu Opieki Albertine, ścieląc łóżka. Prawdę mówiąc, wykonywała też wiele innych czynności, ale oficjalnie zajmowała się łózkami.

– W komisji zdrowia mówimy, że właśnie tym zajmują się nasi wolontariusze – wyjaśniła Jessica Arthur, kierowniczka domu opieki. – Gdyby myśleli, że mamy ludzi, którzy robią coś więcej, mogliby obciąć nam część dotacji na pracowników i wtedy zupełnie byśmy sobie nie poradzili.

Rose i tak nie miała pojęcia, w jaki sposób radzą sobie obecnie. Na oddziale Marigold, na którym pracowała, było czternaścioro ludzi wymagających całodobowej opieki, a problemy z personelem oznaczały, że często do pracy stawiały się mniej niż cztery pielęgniarki. Freddie wpisała się na listę wolontariuszy, ale lekarz powiedział, że jej kostka potrzebuje jeszcze kilku dni, by wydobrzeć, więc do tego czasu pomocą zajmowała się Rose.

Tym oto sposobem Rose pomagała karmić Violet, drobną, kruchą staruszkę, która była prawie niewidoma i po kilku wylewach żyła we własnym świecie. Violet miała dziewięćdziesiąt lat i kiedy jeszcze dobrze się czuła, uczyła grać na pianinie i oddawała się namiętnie hodowli orchidei. Obecnie dzień po dniu siedziała w wygodnym fotelu, wykonanym specjalnie dla chorych ludzi, wyłożonym miękką owczą skórą, by nie bolały jej kości. Przykryta była mięciutkim, moherowym kocem w kolorze liliowym, ponieważ, jak wyjaśniła Ellen, siostra oddziałowa, „Violet uwielbia liliowy i różowy”. To właśnie Rose podobało się w Albertine. Wydawało jej się, że w niektórych domach opieki to upodobanie Violet do liliowego i różowego zostałoby zapomniane, jako że utrzymanie koców w czystości nie jest łatwe, no a poza tym Violet nawet dobrze nie widziała kolorów. Ale w Albertine największe znaczenie miały godność i miłość. Violet lubiła swoje koce, więc je miała.

Podczas gdy Rose delikatnie wkładała łyżeczką jogurt do ust staruszki, reszta personelu mogła spokojnie zająć się innymi pracami, zapobiegać nieszczęściu, kiedy osiemdziesięcioletnia Gwen prawie wpadła na drzwi, ponieważ źle widziała nawet w okularach z grubymi szklami, potańczyć trochę z Mike'em do muzyki Glenna Millera i cierpliwie prowadzić pacjentów do jednej z trzech łazienek oddziału.

– Ooch, *In The Mood* – westchnęła pogodnie Ellen. Objęła ramieniem Mike'a, a on obdarzył ją bezzębnym uśmiechem. – Zatańczymy? – zapytała.

Mike nie pamiętał, kim jest ani nawet kim jest jego jedyny syn, gdy ten go odwiedzał, ale kochał Glenna Millera i zawsze był gotowy tańczyć walca.

– Dobra robota – dodała Ellen, gdy wraz z Mike'em mijają Rose i zobaczyła, że Violet zjadła prawie cały jogurt. – Myślę, że zdecydowanie zostaliście przyjaciółkami na śmierć i życie, zgadza się, Violet, skarbie?

Wszyscy pacjenci na oddziale Marigold cierpieli na różne formy upośledzenia układu nerwowego, od szkód spowodowanych wylewem i demencją do urazów mózgu. Nie byli najłatwiejszymi pacjentami w domu opieki i, jak wyjaśniła kierowniczka, tylko wyjątkowe osoby mogły tu pracować. Ale Rose bardzo lubiła tu przyjeżdżać. Podczas tych trzech ranków w tygodniu czuła się tak, jakby odnalazła swoje powołanie. Tym właśnie powinna się być zajmować całe życie: opiekowaniem się innymi. Nie udziałem w niekończących się zebraniach komitetów i omawianiem tego, ile biletów loteryjnych jest w stanie sprzedać. Nie, w tym właśnie była dobra. Naprawdę pomagając ludziom.

Po ranku w Albertine Rose przejechała przez Castletown i zatrzymała się przed sklepem Murphy's, by kupić coś na dzisiejszy obiad. Sprzedawano tu wszystko od jedzenia do piłek plażowych i podczas letnich miesięcy kłębiły się tu dzieci, stojące w kolejce po lody, gdy tymczasem brązowi wczasowicze, którzy wcześniej opalali się na plaży, przechadzali się wolnym krokiem po sklepie, a do ich bosych stóp przyklejony był piasek z plaży. Freddie mówiła, że o tej porze roku na podłodze sklepu Murphy's zawsze leży całkiem gruba warstwa

piasku. Niosąc koszyk, Rose minęła dwie dziewczynki, które stały przed stojakiem z okularami przeciwsłonecznymi i próbowały podjąć niezwykle ważną decyzję, czy lepiej wyglądają okulary w błyszczącej, srebrzystej oprawie, czy też w dziewczęco różowej. Nie mogły mieć więcej niż osiem albo dziewięć lat i bez końca przymierzały okulary, chichocząc do siebie, a potem chichocząc jeszcze głośniejszym głosem, gdy widziały w lustrze swoje odbicie.

Przypominały Rose Amelię i przez chwilę dręczyło ją poczucie straty. W ciągu lata Amelia często przebywała całe tygodnie u Hugh i Rose, i tak wspaniale spędzali razem czas, przeżywając wspólnie różne przygody: chodził do McDonald'sa; przyglądały się, jak Hugh jedzie kolejką górską, gdy do Kinvarry przyjeżdżało wesołe miasteczko, i machały mu z dołu. Powstrzymując łzy, które nagle napłynęły jej do oczu, Rose precyzyjnie się obok grupy klientów, którzy naradzali się nad kupnem emulsji do opalania. Wrzuciła do koszyka bagietkę, dodała trochę miejscowego cheddara, słoik marynowanych cebulek z ekologicznej uprawy na końcu ulicy, a potem wzięła jeszcze pomidory, sałatę, ogórka i paprykę na sałatkę. Była prawie druga, kiedy Rose zaparkowała przed Pokrzywową Chatką i wyjechała z bagażnika zakupy.

Z domku wybiegły ciężko dyszące Mildred, Prinny i Pig, a za nimi ciągle jeszcze utykająca Freddie.

– Gdzie twoja kula? – zapytała surowo Rose, kiedy szła w stronę domku, a psy z podekscytowaniem badały dochodzące z toreb z zakupami przecudne zapachy. – Jestem wykończona – kontynuowała. – Miałam świetny ranek, ale, oj, to naprawdę ciężka praca... – Urwała, ponieważ Freddie dziwnie na nią patrzyła. Zrozumiała natychmiast, że to wzrok w stylu „jak tu przekazać złe wieści”. Zaczęła się trząść i musiała odstawić torby na ziemię.

– Wejść do środka – rzekła Freddie, podnosząc je.

– Nie. – Rose stała nieruchomo. – Nie wejść, dopóki mi nie powiesz. Dziewczynki czy Amelia? Powiedz mi, na miłość boską, Freddie!

– To Hugh. Miał atak serca. Stella zadzwoniła rano tuż po twoim wyjściu. Nie chciała, byś usłyszała to przez telefon i ja się z nią zgodziłam, dlatego nie dzwoniłam do ciebie do domu opieki.

– Atak serca. – Rose wiedziała, że jej twarz jest równie oszołomiona jak myśli. – Ale jak... I jak on się czuje? Nie zmarł, prawda? Chyba nie próbujesz przekazać mi tego w delikatny sposób?

– Nie. Hugh żyje, ale leży w szpitalu w Kinvarrze i Stella i Holly są przy nim. Tara też tam jedzie. No już – popędziła ją Freddie. – Wejść do środka i usiądź. Doznałaś szoku.

Rose pozwoliła Freddie wprowadzić się do domku i usiadła przed kominkiem. Czowała się słaba, wycieńczona, jakby wyszano z niej wszystkie siły vitalne i została z niej jedynie skorupa. Kliknięcie czajnika powiedziało jej, że Freddie zmierza na ratunek z gorącą, słodką herbatą.

– Kiedy to się stało?

– Wczoraj wieczorem.

To był dla niej jeszcze większy wstrząs.

– Wczoraj? Ale dlaczego nie powiadomiono mnie wcześniej?

Rose nie była w stanie tego zrozumieć. Ona i Freddie cały wczorajszy wieczór siedziały w domu, ponieważ partyjka pokera, absolutnie ulubiona forma wieczornej rozrywki jej ciotki, została odwołana.

Psy, wyczuwając, że Rose jest zdenerwowana, zgromadziły się wokół niej, by ją pocieszać. Wyciągnęła rękę i poklepała miękki łeb Prinny, gdy tymczasem Freddie w milczeniu zajmowała się zaparzeniem herbaty.

– Freddie, dlaczego nie powiedziały mi wcześniej? – zapytała ponownie Rose, nim w jej głowie zaświtała odpowiedź. – Hugh nie chciał, żebyś wiedziała, prawda?

Freddie postawiła na niskim stoliku tacę z herbatą.

– Wiem, że zazwyczaj pijesz bez cukru, ale teraz, kiedy jesteś w stanie szoku...

– Freddie, powiedz mi – rzuciła ostrzegawczo Rose.

– Nie chciał, byś wiedziała. Jeśli chodzi o ścisłość, to nie chciał także, by wiedziały o tym Stella, Tara i Holly. Ale Angela Devon nie posłuchała go i zadzwoniła do Stelli.

– Ale nie do mnie – rzekła cicho Rose.

– Być może uznała, że dziewczęta powinny najpierw przekonać ojca – odparła rozsądnie Freddie.

Rose przełknęła łyk herbaty i wzdygnęła się. Była za słodka, nie nadawała się do picia. Pobiegnęła do swego pokoju, znalazła komórkę i włączyła ją. Szybko wystukała numer Stelli, a po chwili Holly, ale obydwie były wyłączone. Następnie zadzwoniła do Tary.

– Och, mamó – rzekła ze łzami w oczach Tara. – Jadę właśnie do Kinvarry. Stelli dopiero niedawno udało się ze mną skontaktować. Biedny tata, nie wiem, jak on się czuje, ani nic...

– Ćśś – odparła uspokajająco Rose. – Nie martw się, kochanie, wszystko będzie dobrze. W szpitalu w Kinvarrze pracują naprawdę świetni lekarze, zaopiekują się waszym ojcem. Wiesz, że jest silny jak byk.

– Wcale nie – zaszlochała Tara. – Tak bardzo schudł i nie chce jeść i w ogóle. Stella mówiła, że bardzo stracił na wadze i po prostu się poddał. Ja już nie zniosę więcej, mamó. Nie dam rady. Nie po Finnie.

– Co się z nim stało? – zapytała z przerażeniem Rose.

– Odszedł ode mnie – zaszlochała Tara.

Rose zamknęła oczy i odmówiła krótką modlitwę o bezpieczeństwo rodziny. To jej wina. Powinna się była nimi opiekować, a wtedy żadna z tych rzeczy by się nie wydarzyła.

– Taro, skarbie, wszystko będzie dobrze. Ojciec wyzdrowieje, wiesz przecież, że on się łatwo nie poddaje. Przyjadę tam jak najszybciej i poprawię mu nastrój. A jeśli chodzi o Finna, on cię kocha, skarbie. Wróci.

– Nie wróci, nie ma go już strasznie długo, w ogóle nie daje znaku życia – kontynuowała Tara.

Rose czuła się tak, jakby przegapiła dziesięć odcinków telenoweli i teraz miała problem z nadrobieniem zaległości.

– Nie martw się – powtórzyła. – Wszystko będzie dobrze.

Tara pożegnała się, pociągając nosem, następnie Rose zaczęła się w szybkim tempie pakować.

– Przekaż Hugh pozdrowienia ode mnie – powiedziała Freddie, wchodząc do pokoju Rose, by pomóc.

Kiwnęła głową. Nie chciała myśleć o tym, żeby się nie rozplakać.

– Pokaż mu, że go kochasz – dodała Freddie. – Tego właśnie potrzeba wam obojgu.

\*\*\*

Rose nie wiedziała, w jaki sposób pokonała drogę dzielącą Castletown od Kinvarry. Jechała na autopilocie – jakaś część podświadomości mówiła jej, gdzie skręcić i gdzie szczególnie uważać. Pragnęła śmigać niczym wiatr, łamiąc nakazy prędkości, by dotrzeć do Hugh, nim będzie za późno, ale rozsądna Rose wiedziała, że nie może tego zrobić. Wystarczy, że jedno z nich leży w szpitalu.

Próbowała wyobrazić sobie zdrowego i silnego Hugh w szpitalu. Nigdy w życiu nie był chory. Grypa, zapalenie oskrzeli, zmęczenie: to były przypadłości, które dotyczyły innych ludzi, ale nie jego. Był pełen sił witalnych, pulsujących energicznie w jego żyłach.

– Dobra krew – lubił sobie żartować, czym irytował Rose, ponieważ wydawało jej się, że sugeruje, iż jego bogate, uprzywilejowane pochodzenie uczyniło go twardszym od jej biednej, chłopskiej rodziny. Jakaż była głupia. On wcale nie miał tego na myśli. Był po prostu dumny, w ten typowo męski sposób, że nigdy nie choruje. W żaden sposób nie zamierzał uwłaczać tym jej rodzinie.

Do diabła, miała gdzieś ograniczenia prędkości. Musiała tam w końcu dotrzeć. Jeśli zatrzymają policja, powie im, że pędzi do męża, który miał zawał, i że go kocha, i chce z nim być. Kochała go, naprawdę. Dodała gazu. Proszę, proszę, niech nie będzie za późno. W przeciwnym razie nigdy sobie tego nie wybaczy.

\*\*\*

– Stel, dzwoni do ciebie Glenn! – zawołała z dołu Holly i Stella pobiegła do sypialni rodziców do drugiego aparatu.

– Glenn, halo?

– Tak strasznie mi przykro z powodu twego taty.

– Dzięki – odparła i wybuchnęła płaczem.

– Nie chciałem cię zdenerwować – rzekł skrępowany Glenn. – Chciałem ci tylko powiedzieć, że otrzymałem twoją wiadomość i zapytać, czy chcesz, bym przywiózł szybciej Amelię.

– Tak – zaszlochała Stella.

Kiedy skończyła rozmawiać z Glennem, poszła do dawnej sypialni Holly. Jej siostra leżała na łóżku w ubraniu.

– Nie mogę zasnąć – westchnęła. – Bardzo bym chciała, jestem wykończona.

– Wciąż płaczę i nie wiem dlaczego – zaszlochała Stella.

– Stella, tata jest w szpitalu, mamę zżerają wyrzuty sumienia z powodu tego, że opuściła nas wszystkich w potrzebie, czemu nie miałabyś płakać?

Holly przytuliła do siebie Stellę i uspokajała ją tak, jak Amelię, głaszcząc siostrę po głowie i mruczając uspokajająco.

– Wszystko będzie dobrze, kochanie, zobaczysz, że tak właśnie będzie.

– To absurdalne. To ja powinnam być tą najstarszą, która nie płacze. – Stella zaszlochała w ramię Holly i ze zdumieniem się przekonała, że ramię to nagle zaczyna drżeć od tłumionego śmiechu.

– Jesteś zabawna, wiesz? – zaśmiała się Holly. – Bycie najstarszą nie oznacza niczego, z wyjątkiem tego, że byłaś jedyną z nas, która dostawała nowe palta do szkoły!

Pomimo łez Stella zachichotała.

– Przykro mi z tego powodu.

Jako najstarsza Millerówna w ciągu lat spędzonych w Cardinal School miała dwa nowe, rdzawoczerwone palta, a Tara i Holly donaszały je po niej.

– Rozmawiałas już z Nickiem?

Stella zaczęła płakać jeszcze głośniej.

– Nie wychodzi nam – odparła. – Nie widziałam go od ponad tygodnia i myślę, że to koniec. Wszystko się poplątało.

Siostry siedziały przez chwilę na łóżku. Holly nie odzywała się, tylko gładziła siostrę po włosach.

– Możecie to naprawić, wiesz? – odezwała się wreszcie Holly, kiedy wyglądało na to, że Stelli przeszedł najgorszy płacz. – Spójrz na to, co się stało ze mną i Tomem. Gdybyśmy oboje od początku mówili głośno to, co myślimy, zaoszczędzilibyśmy sobie mnóstwo cierpienia.

Stella uściśnęła mocno dłoń Holly. Tak bardzo się ucieszyła, gdy się dowiedziała, że między Holly a Tomem wszystko się ułożyło. Jej siostra zasługiwała na wszystko, co najlepsze.

– Kochasz go, możecie popracować nad rozwiązaniem problemów – upierała się Holly.

Stella otarła oczy.

– Optymistyczna część mnie wierzy w to, ale w obecnej chwili nie jestem nastrojona szczególnie optymistycznie.

– Stello Miller – oświadczyła surowo Holly. – Nigdy nie poddawałaś się tak łatwo. Wracaj do Nicka i jestem pewna, że wszystko się ułoży. Jenna przekona się do ciebie, po prostu najpierw musi cię poznać. Jesteś najmilszą, najcieplejszą i najcudowniejszą osobą, jaką znam, i jestem z ciebie dumna jak diabli. Miej więc nieco wiary.

Stella uśmiechnęła się przez łzy.

– Dziękuję ci. Spróbuj się teraz trochę przespać. Zadzwoń do Nicka i sprawdź, co i jak.

\*\*\*

Ciągle zbierało jej się na płacz, gdy rozmawiała z Nickiem, i musiała się powstrzymać przed wyrzuceniem z siebie, że bardzo by chciała, by on był teraz przy niej.

– Twój tata wyzdrowieje – pocieszał ją Nick, kiedy usłyszał o zawale Hugh. – Jest silny i zdrowy, musisz w to wierzyć.

– Wiem. – Stella sięgnęła po chusteczkę. – Tak właśnie mówi Holly, ale to takie straszne widzieć go w szpitalu, podłączonego do tych wszystkich urządzeń i w ogóle. Wyglądał tak krucho i staro, nigdy nie myślałam tak o moim ojcu.

– Tak samo się czułem w przypadku mojej matki.

Milczeli, myśląc o bólu, z którym pewnego dnia przyjdzie im się zmierzyć. Stella wiedziała, że nikt nie żyje wiecznie, nawet Hugh i Rose.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że pozostajemy rozdzieleni z powodu rodziców? – zapytał miękko Nick, próbując rozładować atmosferę. – Tak jakbyśmy byli parą nastolatków, a oni starali się uniemożliwić nam spotkanie się z sobą, byśmy mogli się uczyć.

Stella roześmiała się.

– Nie patrzyłam na to w taki sposób.

– Ja tak. Tak bardzo za tobą tęsknię, Stello. Nie masz pojęcia. – W głosie Nicka słychać było teraz ogień. – Jedyne, co mi pozwala funkcjonować, to myśl, że znowu cię zobaczę i że wszystko naprawimy.

Stella stała przy oknie w kuchni. Teraz przysiadła na parapecie.

– Jenna mówiła, że jej powiedziałaś, iż prawdopodobnie się rozstaniemy.

Stella skrzywiła się. W ustach Nicka brzmiało to tak zimno, a ona wcale tego nie chciała.

– Byłam naprawdę podłamana i jeśli mam być szczerą, sądziłam, że ucieszy się na taką wieść.

– Prawdę mówiąc, nie ucieszyła się. Wiem, że była dla ciebie okropna...

Stella przerwała mu.

– Tamtego dnia była bardzo słodka, Nick. Tak naprawdę to po raz pierwszy rozmawialiśmy z sobą.

– O tym też mi powiedziała. Bardzo przeprosza nas oboje i mówi, że wcale nie chciała, byśmy się rozstali. I – dodał ponuro – wygląda na to, że to Clarisse maczała w tym palce, każąc Wendy sądzić, że dla dobra Jenny powinniśmy znowu się zejść.

– Och. – W głowie Stelli kolejna część układanki wskoczyła na swoje miejsce. – Mówiłam ci, że Clarisse mnie nie lubi.

– Cóż, zamierzam zamienić parę słów z nią i z Wendy.

– Może powinienes dać temu spokój – poradziła Stella. Nagle zapragnęła chronić Jennę i nie chciała, by Wendy albo Clarisse skierowały na nią swój gniew. – Jestem pewna, że Wendy także nie jest łatwo i nie poprawiłoby sytuacji, gdybyś winił ją za to, że Clarisse to małpa.

– Ty jesteś szefem – zażartował Nick.

– Cieszę się, że zdajesz sobie z tego sprawę – odparowała.

Kiedy Stella odłożyła słuchawkę, uśmiechała się. Gdyby tylko tata wyzdrowiał, wszystko naprawdę byłoby dobrze.

Poczuła się teraz naprawdę głodna i otworzyła lodówkę. Nic dziwnego, że ojciec się rozchorował. W lodówce nie było praktycznie niczego oprócz mleka i pokrytego warstwą pleśni sera.

– No dobrze, w takim razie wybieram się na krótkie zakupy – oświadczyła głośno. Zostawiwszy kartkę dla Holly, na wypadek gdyby się obudziła, Stella udała się do supermarketu, gdzie wzięła jeden z większych wózków i zaczęła go zapełniać. W zamrażarce też pewnie nic nie było, więc do wózka wrzucała najróżniejsze rzeczy: owoce, warzywa, soki, chleb, mąkę na domowej roboty chleb, kurczaka, ryby. Wkrótce wózek był tak ciężki, że ledwie go pchała. O rany, ależ ona była głodna. Może kupi sobie jakąś sałatkę i zje ją po drodze do domu. Wzięła do ręki plastikowy pojemnik i zastanawiała się, co do niego włożyć. Marynowane cebulki, tak. I tuńczyk w tłustym, gęstym sosie, koniecznie. Coraz bardziej zapełniała pojemnik, omijając sałatkę ryżową i chrupiące warzywa, by znaleźć coś jeszcze bardziej bogatego w cholesterol. Jajka w majonezie... Stella znieruchomiała z łyżką w połowie drogi do pojemnika. Nie zносиła jajek w majonezie. Od zawsze. A jednak teraz nagle przepelniała ją ochota właśnie na nie.

Zachcianki. Szok, jakiego doznała na wieść, że jej ukochany ojciec jest w szpitalu, był tylko odrobinę większy od tego, który przeżyła, uświadomiwszy sobie, że jest w ciąży. Po raz drugi w ciągu dwudziestu czterech godzin Stella musiała się czegoś przytrzymać, by zachować równowagę.

\*\*\*

Rose widziała Hugh przez szklane drzwi na oddziale intensywnej opieki medycznej. Spał i był sam. Pchnęła drzwi i weszła do środka, kierując się bezszelestnie w stronę łóżka męża.

Rose była w życiu naprawdę w wielu szpitalach i widziała wielu chorych ludzi, a mimo to wstrząsnął nią widok Hugh na szpitalnym łóżku. Wydawał się taki nieruchomy, tak jakby życie opuszczało jego ciało nawet teraz, na jej oczach. Postanowienie, które podczas jazdy trzymało łzy Rose na uwięzi, teraz uległo złamaniu i poczuła, jak jej gardło ściska tępy ból.

Powinna była przyjechać do domu wcześniej. Gdyby tak uczyniła, to mogłoby się w ogóle nie wydarzyć. Przysiadła ostrożnie na skraju łóżka i przyłożyła chłodne dłonie do rozpalonego czoła Hugh. Wyglądał dziwnie młodziej. Utrata wagi sprawiła, że przypominał jej mężczyznę, w którym zakochała się wiele lat temu, nawet jeśli miał teraz dużo więcej zmarszczek.

Tyle mieli wtedy marzeń. Mieli się razem zestarzeć. Taki był wtedy ich plan i jeszcze mogli go zrealizować. Jeśli będzie miała szczęście. Oszukiwała się, że potrafi usunąć Hugh ze swego życia: nie potrafiła. Potrzebowała go, pomimo wszystko.

Jego powieki zadrżały i nagle się otworzyły. Wpatrywał się w nią oczami zamglonymi od snu.

– Rose – wychrypiał. – Przyjechałaś.

– A myślałeś, że co zrobię? – zapytała miękko, gładząc jego czoło. – Że zostawię cię na pastwę Adele?

– Była tu, ale odesłałem ją do domu – odparł. – To ciebie potrzebuję.

– Wcześniej tak nie było – rzekła lekko.

– Och, ale potrzebowałem, Rose, naprawdę. – Oczy Hugh wypełniły się łzami i Rose zagryzła wargę, by też się nie rozpłakać. Dużo czasu minęło, nim miała okazję widzieć jego łzy. – Nie sądziłem, że przyjedziesz – dodał chrapliwym szeptem. – Powiedziałaś, że to koniec.

Nachyliła się ku niemu, by nie musiał się męczyć i głośno mówić.

– Myliłam się, Hugh. To nie koniec, nie kiedy ludzie są z sobą tyle co my. Potrzebowałam czasu dla siebie, teraz wróciłam. Aby postawić cię na nogi.

Uśmiechnął się słabo i zamknął na chwilę oczy.

– Potrzebuję tego – rzekł. – Nie radzę sobie bez ciebie. – Próbował usiąść i Rose musiała mu pomóc. – Powiedziałem im, by do ciebie nie dzwoniły – rzekł niespokojnie. – Nic chciałem, byś wróciła dlatego, że umieram.

– Och, Hugh. – Rose zbliżyła twarz do jego twarzy. – Ty nie umierasz, mój kochany. Nie pozwolę ci na to. Poza tym i tak miałam zamiar wrócić do domu. Musiałam zostać u Freddie, ponieważ zwichnęła nogę w kostce. Miałam wrócić do domu od razu, gdy jej się polepszy.

– Przyrzekasz?

Kiwnęła głową.

– Tato! Mamo! – Podnieśli głowy i zobaczyli, że na oddział wbiega Tara, z twarzą zalaną łzami i poblądłą. Wyglądała niczym jakaś zjawa. – Myślałam, że już cię nigdy nie zobaczę – powiedziała, chowając twarz w poduszce obok ojca.

Oczy Hugh napotkały spojrzenie Rose.

– Nie płacz, skarbie – rzekł. – Wszystko już jest dobrze.

Rose znalazła krzesło, na którym Tara mogłaby usiąść. Wyglądała na tak słabą, że Rose nie chciała, by stała.

– Przepraszam, skarbie. – Hugh nadal głaskał sterczące włosy swej średniej córki. – Nigdy nie chciałem skrzywdzić waszej matki ani was. Nie umiem wytłumaczyć...

Tara położyła palec na jego ustach.

– Ćśś – rzekła łagodnie. – Rozumiem.

I rzeczywiście tak było. Kochała Finna, a jednak ślepo go zdradziła. Wtedy nie myślała o tym, jak bardzo to zrani jej męża. Uczyniła to po prostu pod wpływem impulsu. Dopiero po wszystkim dotarło do niej, jak bardzo go zraniła ta chwila nieuwagi. Wcześniej potępiała ojca za jego niewierność, a potem sama zrobiła to samo. Dlatego tak dobrze rozumiała teraz Hugh.

Przed jej oczami ponownie stanęła pełna goryczy i bólu twarz Finna z tamtego wieczoru i nie była w stanie powstrzymać zduszonego szlochu.

– Nie płacz – błagał ją Hugh, myśląc, że to przez niego.

– Nie chodzi o ciebie – załkała Tara. Trzymała jego dłoń i płakała.

– Wszystko będzie dobrze – rzekła Rose, głaszcząc jednocześnie męża i córkę.

I po raz pierwszy od naprawdę długiego czasu Tara po myślała, że może rzeczywiście tak właśnie będzie.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Personel szpitalny nakłaniał Hugh do chodzenia.

– Już dwa razy okrążyłem dzisiaj to piętro – oświadczył z oburzeniem żonie, kiedy przyjechała w piątek po lunchu.

– Starają się przygotować cię do udziału w maratonie – odparła z powagą Rose, wkładając do szpitalnej szafki butelki z wodą i jabłka. Minęły cztery dni, odkąd przyznała do szpitala z Castletown i stan Hugh uległ w tym czasie zdecydowanej poprawie. Obiecany angiogram wykazał zaskakująco mały zator tętniczy jak na mężczyznę w jego wieku i po weekendzie miał zostać wypisany ze szpitala. Lekarze przepisali mu całą listę medykamentów i oświadczyli, że musi teraz chodzić na regularne kontrole, dużo ćwiczyć i unikać stresu.

Hugh, nienależący do najłatwiejszych pacjentów, irytował się tym przebywaniem w zamknięciu – i tym, co jak na razie zostało niewypowiedziane między nim a Rose. Nie było czasu na długie rozmowy o przyszłości, częściowo dlatego, że zawsze ktoś zaglądał do sali Hugh, a częściowo dlatego, że Tara spędzała w szpitalu mnóstwo czasu. Stella i Holly pojechały w środę wieczorem do domu, ale średnia córka wzięła w pracy urlop, by zostać w Kinvarrze. Nie chciała, ale Rose nalegała. Zaszokowana wymizerowaną twarzą Tary i jej brakiem energii, pragnęła mieć średnią córkę w pobliżu, by móc się nią zająć.

– Nigdy nie wykorzystujesz całego urlopu – rzekła stanowczo. – Weź go teraz.

Dzisiaj Tara długo spała i kiedy się obudziła, wyglądała nieco lepiej. Na policzkach pojawiły się zdrowe kolorki, zaś w oczach widać było odrobinę dawnego blasku.

– Masz coś przeciwko, jeśli dziś po południu nie pojedę do szpitala, mamu? – zapytała. – Chyba wybiorę się do miasta i rozejrzę po sklepach, może posiedzę trochę w czytelni.

– Dobry pomysł – odparła Rose, z ulgą widząc, że Tara wraca powoli do swego normalnego stanu.

Co oznaczało, że Rose i Hugh mają dla siebie całe popołudnie. Adele, która była bardzo wstrząśnięta chorobą brata, miała zajrzeć dopiero wieczorem.

– Przejdźmy się jeszcze kawalek – rzekła teraz Rose.

Gderając, Hugh pozwolił, by mu pomogła włożyć szlafrok, po czym ruszyli powoli korytarzem. Rose trzymała męża pod ramię.

Za rogiem się odezwała:

– Musimy porozmawiać.

Czuła, jak ciało Hugh się spina.

– Nie chcesz rozmawiać? – zapytała.

– Chcę – odparł. – Tylko denerwuję się tym, co masz zamiar powiedzieć.

– Dlaczego? A co twoim zdaniem chcę powiedzieć?

– Że przyjechałaś tutaj, by się upewnić, że jeszcze nie odchodzę z tego ziemskiego padołu, a teraz, kiedy czuję się już lepiej, ty ponownie wyjeżdżasz. Nie zniósłbym tego.

– Dlaczego w takim razie nic nie powiedziałaś? – zapytała Rose. – Nie, nie mów mi. Sądziłaś, że jeśli nic nie powiesz, problem sam zniknie. – Miała dość kunktatorstwa Hugh.

– Proszę, Rose – błagał. – Nie kłóć się ze mną. Nie jestem w stanie się kłócić. Przepraszam za wszystko, tak bardzo przepraszam. Powiedziałem ci to wcześniej i miałem wiele tygodni na to, by siedzieć i myśleć o tym wszystkim. Nie robiłem nic innego, wiesz? Myślałem o tobie, dziewczętach i o tym, jak was wszystkie zawiodłem. – Szli dalej, ale głowa Hugh była teraz opuszczona, jakby odprawiał pokutę. – Uwierz mi, Rose, gdybym wiedział, jak bardzo to cię rani, nigdy bym tego nie zrobił. Ja po prostu nie myślałem. Spotykanie się z tymi kobietami było głupie, tak bardzo głupie, ale nigdy nie były one substytutem ciebie. To się po prostu przydarzyło.

– A jak ty byś się poczuł, gdybym ja zrobiła to samo? – zapytała. Jej głos miał twarde brzmienie. – Gdyby to przydarzyło się mnie? Gdybym miała przygodę z Alai-stairem albo mały romans z Jamesem z banku? Jakbyś się wtedy czuł? Wiesz dokładnie, jakbyś się czuł, byłbyś wściekły i zdruzgotany, Hugh.

– Chciałbym ich pozabijać – odparł z prostotą.

– W moim przypadku nie jest inaczej. Tyle że ja miałam chęć zabić także i ciebie. Jak mogłeś zrobić mi coś takiego, Hugh? – To było właśnie pytanie, które od tak dawna prześladowało Rose. Jak mężczyzna mógł zdradzać, kobietę i myśleć, że to nic nie znaczy, i jak mógł zdradzać i nadal ją kochać? Mężczyźni i kobiety są zupełnie różni, co zawsze podkreślali specjaliści od nowoczesnej psychologii. Ale czy to wystarczające wytłumaczenie?

– Rose, przepraszam. Nie umiem wynagrodzić ci tego, co wydarzyło się w przeszłości, ale to naprawdę przeszłość. Już od lat nie spojrziałem na żadną inną kobietę. Ona... ona była częścią przeszłości i próbowałem być dla niej miły.

To akurat Rose umiała sobie wyobrazić. Hugh nigdy nie był dobry w pozbywaniu się ludzi.

– Teraz wszystko jest inaczej. Gdybyś tylko wróciła do domu i została, proszę...

Pomachała do nich pielęgniarka i Rose jakoś udało się odmachać jej uprzejmie. Szli dalej.

– I już nigdy, przenigdy tego nie zrobisz – powiedziała.

– Nigdy. Kocham cię, prawie cię utraciłem, Rose. Tak mi przykro...

Hugh oparł się ze zmęczeniem o sztywną poręcz, która biegła wzdłuż wszystkich korytarzy. Ponownie wydawał się szary na twarzy, co uświadomiło Rose, że do jego wyzdrowienia jeszcze długa droga. Ogarnęła ją fala współczucia. Pomimo wszystko naprawdę szczerze kochała Hugh.

– Powinnam była coś powiedzieć już dawno temu – powiedziała cicho. – Wiedziałam, że jesteś związany z innymi kobietami, i nic z tym nie zrobiłam, ponieważ uważałam, że ważniejsze jest utrzymanie rodziny niż rozbicie jej z powodu twoich romansów.

– Rose, proszę, wybacz mi.

– Wybaczyłam – odparła sucho. – Inaczej nie byłoby mnie tutaj. Najpierw musiałam wybaczyć sobie.

– Ty nie zrobiłaś nic złego – przerwał jej.

– Pozwoliłam, by to się ciągnęło. Żyliśmy w kłamstwie, Hugh, i już nigdy czegoś takiego nie zrobię. Wszyscy sądzili, że mamy wszystko, wspaniali Millerowie. Życie w tym kłamstwie o mały włos nas nie zniszczyło.

Uścisnął mocno jej dłonie.

– Ale nie zniszczyło, prawda, Rose? To nie jest koniec, proszę.

– Nie, ale musisz mi obiecać, że to się już nigdy nie powtórzy. Musisz wybrać mnie, Hugh. Ponieważ jeśli znowu mnie zdradzisz, odejdę od ciebie i już nigdy się z tobą nie spotkam. Nigdy.

– Wiem. Obiecuję. Kocham cię.

Wierzyła mu. Hugh rozumiał, że ona mówi poważnie.

Na tym jasnozielonym korytarzu objęli się. Rose tuliła szczupłe ciało swego męża, uważając, by nie robić tego zbyt mocno.

– To nie koniec – wyszeptała mu do ucha. – Ale nie może być już więcej kłamstw ani sekretów.

– Nigdy – odszepnęła, przytulając ją do siebie równie mocno.

– Boże, spójrzcie tylko na tę parkę – odezwała się kobieta z personelu kuchennego, pchając wózek z podwieczorkiem.

- Wyrzucą cię stąd, skarbie, jeśli będziesz się tak zachowywać! – ryknęła do Rose.
  - Myśli, że jestem twoją flamą – powiedziała cierpko Rose.
- Hugh uśmiechnął się.
- Znacznie lepiej, jesteś moją żoną.

\*\*\*

Stella stała przed sklepem jubilerskim Austyn's i podziwiała pierścionki zaręczynowe. Na grubych poduszkach z aksamitu nie było widać żadnych cen. Znała tę zasadę: jeśli musisz pytać o cenę, to znaczy, że cię na nie stać. Zastanawiała się, który z nich podoba jej się najbardziej. Olbrzymi brylant, oglądany w grudniu, został zastąpiony czymś podobnym, kolejnym kastetem, któremu potrzebny byłby własny agent ubezpieczeniowy i linia specjalna na posterunek policji.

Wystawiono tam jeden pierścionek, który naprawdę jej się podobał: w stylu art deco z oszlifowanym w kwadrat brylantem otoczonym małymi szmaragdami. Wyciągnęła rękę i próbowała sobie wyobrazić, jak by na niej wyglądał. Zauważyła, że spuchły jej palce. Tak samo się działo, gdy była w ciąży z Amelią. Brzuch miała mały aż do piątego miesiąca, ale zatrzymywanie wody w organizmie oznaczało, że od trzeciego miesiąca nie mogła nosić obrączki. Jeśli dobrze policzyła, była teraz w trzecim miesiącu, i wyglądało na to, że problem z zatrzymywaniem wody się powtarza.

- Wybierasz najładniejszy? – odezwał się jakiś głos.

- Nick! – Stella odwróciła się i Nick chwycił ją w ramiona.

- Przepraszam za spóźnienie. Znalezienie tutaj miejsca parkingowego to prawdziwy koszmar.

Stella przytuliła go mocno, czując, jak otwierają się znajome śluzy. Płakała z najbliższego powodu. Jak, u licha, miała mu powiedzieć, że jest w ciąży, nie wybuchając przy tym łzami w restauracji? Hormony to jedno, ale to akurat było doprawdy absurdalne.

Przez te cztery dni, odkąd wiedziała o ciąży, Stella w myślach analizowała każdą możliwą kombinację słów „urodzą nasze dziecko”.

Po prostu nie miała pojęcia, jak to powiedzieć. Ona i Nick nigdy nie rozmawiali na temat posiadania wspólnego dziecka. Mieli wystarczająco wiele kłopotów z dotychczasowym potomstwem.

- Tak bardzo za tobą tęskniłem – powiedział Nick, nadal ją przytulając. – Gdybyś nie była dzisiaj wolna w porze lunchu, wmaszerowałbym do twojego gabinetu i ponownie udawał klienta. Nie wytrzymałbym do wieczora.

Stella uśmiechnęła się szeroko. Tak się akurat składało, że przełożyła kilka spotkań, by móc wyjść z Nickiem na lunch. Kiedy wczoraj wieczorem wróciła z Kinvarry, celowo powiedziała, że jest już za późno na spotkanie, ponieważ przepełniały ją obawy i niepewność, jak wyjawić mu tę wielką nowinę. Szli teraz ulicą, trzymając się za ręce, i zatrzymali się przed japońską restauracją, którą oboje lubili. Obok niej znajdowała się staromodna amerykańska knajpa, słynąca z hamburgerów, pikantnych ziemniaków i nafaszerowanych kaloriami czekoladowych deserów, które natychmiast dodawały konsumentowi pięć kilo.

- No dobrze, zdrowy lunch u Japończyków czy obżeranie się olbrzymią ilością frytek? – zapytał Nick.

- Frytki – odparła zdecydowanie Stella.

- Okej – rzekł ze zdziwieniem.

- I ciasto czekoladowe na deser – dodała marzycielsko.

Kiedy usiedli w restauracji, intensywny zapach grillowanych hamburgerów sprawił, że Stelli pocięła ślinka.

- Umieram z głodu – oświadczyła, przeglądając kartę dań i zastanawiając się, czy mogłaby zamówić dodatkową cebulę do hamburgera. Och, tak, koktajl mleczny. Oblizwała wargi. Wielka szklanka gęstego, kremowego koktajlu truskawkowego byłaby idealna.

Kelnerka bez mrugnięcia okiem przyjęła ich zamówienie. Przyzwyczajona była do tego, że ludzie zamawiają olbrzymie porcje. Nick z kolei przyglądał się w pełnym oszołomieniu milczeniu, jak Stella decyduje się na grzyby z czosnkiem („poproszę dodatkowy czosnek”),

MegaByte Burgera („dużo cebuli”), wielki półmisek ziemniaków, koktajl truskawkowy deluxe i guacamole jako dodatek do dania głównego. Wyrecytowawszy zamówienie, uśmiechnęła się i popatrzyła na Nicka.

– Eee, średni hamburger z serem, mała porcja ziemniaków i cola – rzekł.

– Możesz wziąć trochę moich grzybów – zaproponowała uprzejmie Stella.

– Przymierałaś głodem w Kinvarrze? – zapytał żartobliwie, kiedy pojawił się koktajl mleczny, wielka porcja grzybów z czosnkiem i hamburger Stelli, a ona rzuciła się na posiłek tak, jakby przez ostatnie sześć miesięcy była na diecie doktora Atkinsa.

Kelnerka postawiła przed nim talerz z jego hamburgerem; przy nim posiłek Stelli wydawał się ogromny.

– Jesz za dwóch – zaśmiał się.

Usta Stelli otworzyły się i Nick przestał się śmiać. Jego dłoń, w połowie drogi do talerza z ziemniakami, opadła jak kamień na stół.

Stella przełknęła duży łyk koktajlu.

– Nie wiedziałam, jak ci powiedzieć. Ale chyba to zrobiłam.

– Jesteś w ciąży. – To było na wpół pytanie, na wpół stwierdzenie.

Stella nagle poczuła, że już nie jest w stanie jeść. Z jej żołądkiem działo się to samo, co podczas lotu samolotem podczas turbulencji.

A wtedy Nick uśmiechnął się i turbulencyjne uczucie zniknęło.

– To niesamowite, nasze dziecko. Jak długo?

– Trzy miesiące.

Jego dłonie ominęły górę jedzenia i odnalazły dłonie Stelli.

– Nie wiem, co powiedzieć – nadal uśmiechał się idiotycznie. – Jestem zachwycony, to... my...

– Nie byłam pewna, jak zareagujesz. – Stella uśmiechnęła się do niego promiennie. – W naszym życiu jest wystarczająco dużo zamętu.

– Och, Stello, kocham cię. – Trzymając się za rękę jak nastolatki na pierwszej randce, uśmiechali się z rozmarzeniem.

– Ja też cię kocham.

– Kiedy więc urodzi nam się dziecko?

Zachichotała.

– Dziecko urodzi się nam, jak mówisz, w grudniu. Mam nadzieję, że masz zamiar wziąć na siebie swoją część skurczów i wszelkiego innego bólu?

– Poproszę o znieczulenie – odparł. – Jestem niezbyt odporny na ból. I nagrania ze śpiewem wielorybów, nie zapominaj o nich. Uwielbiam je.

Oboje zaśmiali się z tych głupot. Przez cały dzień Stelli chciało się śmiać. Jak mogła martwić się, że musi powiedzieć Nickowi o ciąży? Jedyne pytanie to jak o tym powiedzieć dzieciom. Stella miała nadzieję, że Amelia będzie uszczęśliwiona, ale co z Jenną?

– Amelia już od lat chciała mieć siostrzyczkę – powiedziała. – Nie jestem pewna, jak zareaguje, jeśli urodzi się chłopiec. Jak myślisz, co sobie pomyślą twoje córki?

– Dwa miesiące temu jęknąłbym na myśl o powiedzeniu Jennie o czymś takim – odparł Nick. – Ale teraz wydaje mi się, że będzie dobrze. W tygodniu odbyłem z nią długą rozmowę; rozmowę, którą należało przeprowadzić kilka miesięcy temu.

Żołądek Stelli doświadczył nieco więcej turbulencji i napiła się koktajlu.

– Jenna przeprasza, Stello. Powiedziała mi, że przeprosiła cię w zeszłym tygodniu.

– Zgadza się. Naprawdę myślałam, że dokądś zmierzamy, a wtedy ona wybuchnęła płaczem i pobiegła do ubikacji.

– Cóż, jest jej autentycznie przykro. Słowo „przepraszam” w ustach Jenny to nie byle co. Na mnie też spoczywa wina. Już na samym początku popełniłem błąd, kiedy nie powiedziałem jej o nas – przyznał Nick. – Ona nie jest już dzieckiem, a ja tak ją właśnie traktowałem.

– W takim razie będziemy musieli szybko powiedzieć jej i Sarze o dziecku – zauważyła Stella. – I będziesz musiał także porozmawiać z Wendy. – Zastanawiała się, jak jego była żona przyjmie tę wiadomość.

– Wendy nie będzie robić problemów – odparł Nick. – Dla dobra dziewczynek. Rozmawialiśmy o tej całej kompromitacji z Clarisse i Wendy była wściekła, że moja bratowa tak nią manipulowała; zwłaszcza że to miało taki wpływ na Jennę. Oboje pochłonięci byliśmy tym, co sami czujemy, i nie dostrzegliśmy, jak oddziałuje to na nią.

Stella czuła, że słuza za chwilę ponownie się otworzy. Wszystko naprawdę może się ułożyć.

– Nie ma powodu do płaczu, kochanie – Nick sięgnął do kieszeni po chusteczkę. Znalazł ją i podał Stelli. – Może zjemy, dobrze? Właśnie przypomniało mi się, że mam coś jeszcze do zrobienia.

Stella otarła oczy i spojrzała na swój posiłek. Trochę już ostygł, ale ona znowu była głodna, i szkoda byłoby go zmarnować. Przez cały czas rozmawiali o dzieciach. Stella opowiadała mu, jak to było, kiedy Amelia była mała, Nick zaś wspominał Sarę jako niegrzecznego malucha, który biegał na górę i odkręcał krany z wodą, gdy tylko Nick odwrócił się na chwilę. Nawet kiedy mówił o Wendy, opowiadając, że Jenna była w porównaniu z Sarą takim grzecznym dzieckiem, że siedziała na kolanach Wendy i uśmiechała się ślicznie do wszystkich, Stelli już to nie przeszkadzało. Nick miał swoją przeszłość, a ona swoją: odczuwanie o nią zazdrości było bezcelowe. Liczyła się teraźniejszość i przyszłość, ich przyszłość. A teraz przyszłość rysowała się różowo.

– Chodź, Stello – powiedział Nick, kiedy skończyli jeść. – Zapłacimy rachunek.

Ponownie szli radośnie chodnikiem i Stella śmiała się, gdy Nick wciąż ją pytał, czy nie jest zmęczona albo czy nie musi odpocząć.

– Jestem w ciąży, a nie chora – przekomarzała się z nim.

– Wiem – powiedział. – Ale chcę się tobą opiekować.

– Będiesz musiał – odparła żartobliwie. – Kiedy się zrobię gruba, będę prawdziwym tyranem. Choć, gdyby się nad tym dłużej zastanowić, może i przydałby mi się odpoczynek. Możesz być moim niewolnikiem i nieść mnie.

– Żaden problem. Dźwig strażacki wystarczy? – Nick objął Stellę silnym ramieniem.

Śmiali się jeszcze, kiedy dotarli do miejsca, w którym się spotkali; przed wystawę Austyn's.

Nick pokierował ją delikatnie w stronę okna wystawowego, przy którym stała, kiedy się zjawił.

– Który ci się podoba? – zapytał miękko.

Stella odwróciła się i wpatrywała w niego bez słowa.

– Szyją ciężowe suknie ślubne, a przynajmniej tak mi się wydaje – kontynuował Nick. – Albo możemy poczekać, jeśli sądzisz, że twoja ciotka Adele mogłaby zaszokowana zemdleć na widok bratanicy, idącej do ołtarza w dziewiątym miesiącu ciąży.

Myśl o minie ciotki Adele była tak wyborna, że Stella wybuchnęła śmiechem.

– Czy to znaczy, że nie? – zapytał, uśmiechając się szeroko.

– Nie, to znaczy, że tak – odparła.

Trzymając się za ręce weszli do sklepu.

Zza lady wyskoczył sprzedawca.

– Sir, madam, w czym mogę pomóc?

– Chcielibyśmy się przyjrzeć pierścionkom zaręczynowym – oświadczył Nick z dumą w głosie.

– Poduszka numer jeden – dodała Stella.

Sprzedawca uśmiechnął się. Boże, jak on lubił swoją robotę.

\*\*\*

Posiadłość Mike'a Hammonda leżała w niewielkiej kotlinie wśród trzydziestu akrów wzgórz. Sam dom był rozłożystym budynkiem w stylu ranczerskim, za nim zaś znajdowały się pomieszczenia dla personelu, stajnia i osobna siłownia oraz garaże dla jego kolekcji starych samochodów. Tara wiedziała o tym, ponieważ dom i druga żona Mike'a, portugalska modelka,

niedawno pokazani zostali w jednym z czasopism. Przed domem znajdowały się dwa padoki, na których pasły się dwa lśniące cisawe konie. Uniosły swe zgrabne łby, by przyjrzeć się z zaciekawieniem mijającemu ich samochodowi Tary.

To są dopiero prawdziwe pieniądze, pomyślała z żalem Tara, świadoma tego, że zmarnowała szansę, by kiedykolwiek takich właśnie pieniędzy dotknąć. Praca nad scenariuszem kolegi Mike'a była jej szansą zabyśnięcia, a z powodu wszystkiego, co się działo w jej życiu, okazała się jednym z najtrudniejszych zadań, jakie zdarzyło jej się realizować. Słowa, które normalnie wylewały się z głowy nieprzerwanym potokiem, tym razem nie pojawiały się. Każda poprawka okupiona była mrówczą pracą, w efekcie czego Tara uważała, że wykonała tę pracę najgorzej w swej dotychczasowej karierze. Każdy wers przypominał jej o bólu towarzyszącym picciu Finna i głupocie przygody ze Scottem Irvingiem. Gdyby rzeczywiście nakręcono na podstawie tego scenariusza film, Tara nie mogłaby go oglądać, żeby nie przypominać sobie tego straszego okresu.

Asystent Mike'a, Steve, poprowadził ją przez dom do gabinetu na pierwszym piętrze z panoramicznym widokiem na okolicę. Znajdowały się w nim palisandrowe meble, elegancki dywan Aubusson i obrazy olejne na ścianach, i zdecydowanie pomieszczenie to nie należało do typu, do którego była przyzwyczajona. No ale przecież nazwisko Mike'a wiele znaczyło w Hollywood. Byłby pewnie zdumiony, gdyby się dowiedział, że Tara pracuje na laptopie, stojącym na brzydkim i tanim stoliku komputerowym pod oknem w salonie.

– Dzięki, że przyjechałaś, Taro. – Wszedł Mike. Wyglądał swobodniej niż zwykle, miał na sobie dżinsy i bluzę, tak jakby dopiero co przebywał w stajni ze swymi ukochanymi rumakami. Wizerunek proroka ze Starego Testamentu nie był tak ewidentny, kiedy brakowało codziennego czarnego garnituru rodem z LA. Uścisnął jej dłoń. – Napijesz się czegoś?

– Nie. – Tarę zaskoczyła gwałtowność jej odpowiedzi. – Przepraszam – dodała. – Poproszę wodę.

– Dla mnie też – powiedział do Steve'a.

– Masz piękny dom – rzekła Tara, dochodząc do siebie.

Uśmiechnął się szeroko.

– Nieźle, jak na wsioowego chłopaka z Galway – rzekł.

Tara odpowiedziała uśmiechem.

– Można tak powiedzieć.

Pokazał jej gestem, by usiadła. Siedzieli naprzeciwko siebie na dwóch przepastnych, kremowych sofach.

– Pomówmy o scenariuszu – zaczął Mike.

– Jest mi naprawdę przykro – przerwała mu Tara. – Sknociłam to, wiem. To była ogromna szansa, a ja ją zaprzepaściłam. Tak wiele się działo...

– Chciałem ci właśnie powiedzieć, że bardzo spodobało mi się to, co zrobiłaś z tym scenariuszem – stwierdził Mike.

Tara wpatrywała się w niego ze zdumieniem.

– Niemożliwe, to było straszne. Charakterystyka postaci była słaba i nie byłam w stanie tego wyprostować.

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł w milczeniu Steve. Postawił przed każdym z nich szklankę wody, po czym się oddalił.

Nerwy, które wcześniej jakoś udawało się jej zdusić, teraz wydostały się na wierzch. Tara wzięła swoją szklankę i napiła się wody.

– Oryginalny scenariusz to były pieprzone bzdury – oświadczył Mike. – Rzekłbym, że nie do uratowania, a jednak tobie udało się tchnąć w niego prawdziwe życie. Zgoda, zdarzały się miejsca, gdzie było nijako, ale także całe mnóstwo przeblysków prawdziwego geniuszu. Udało ci się to zrobić i jestem pod wrażeniem.

Wypiła więcej wody.

– Częściowo dlatego właśnie zaprosiłem cię tu dzisiaj. Pewne sprawy trzeba załatwić osobiście. Aaron mówił mi, że masz problemy.

– Aaron? – Tara miała wrażenie, jakby jej synapsy były popalone. – Co Aaron miał z tym wspólnego?

Mike wzruszył ramionami.

– Znamy się od bardzo dawna. Wiele lat temu pracowaliśmy razem w Nowym Jorku.

A więc stąd wiedział, że Tara współpracuje z Mike'em Hammondem.

– Mam dla ciebie propozycję, ale muszę wiedzieć, czy możesz ją przyjąć. Chciałbym, żebyś pojechała ze mną pracować do LA.

Tarze udało się nie upuścić szklanki tylko dlatego, że mocno trzymała ją w dłoniach.

– Ale jeśli masz problemy osobiste, możesz nie chcieć tego zrobić. Muszę to wiedzieć, i to w dodatku szybko.

– Pracować nad czym?

– Scenariuszem filmowym. To coś historycznego, co może cię zniechęcić, ponieważ lubisz pracować nad rzeczami współczesnymi, ale...

– Nie, bardzo bym chciała – przerwała mu Tara. Ledwie była w stanie w to uwierzyć. O tym właśnie zawsze marzyła: o otrzymaniu szansy wyjazdu do LA i zostaniu scenarzystką filmową. Zgoda, wiedziała, że scenarzyści może i znajdują się na samym dole słupa totemicznego, ale miała to gdzieś. To było coś naprawdę bajkowego.

– To świetnie, ale muszę wiedzieć, że dasz sobie radę, że już minął ten ciężki okres, o którym wspominałaś – kontynuował Mike.

Tara zastanawiała się czy Aaron wiedział więcej o tym, co dzieje się w jej życiu niż udawał. Był wystarczająco bystry, by się dowiedzieć o tej nieszczęsnej historii ze Scottem Irvingiem; być może wiedział także o Finnie i powiedział Mike'owi. Tak czy inaczej, musiała powiedzieć prawdę.

– Mój mąż i ja rozstaliśmy się. – Wypowiedzenie tych słów sprawiło, że zachciało jej się płakać. Finn zniknął, a więc jak najbardziej można to było nazwać rozstaniem. Już od trzech tygodni w ogóle się do niej nie odzywał.

– Więc zmiana scenerii by się przydała, tak?

Tara kiwnęła głową.

– Zmiana scenerii byłaby dokładnie tym, czego mi trzeba. – Skoro Finn nie wracał, równie dobrze mogła wyjechać z kraju. Być może jeśli wszystko nie będzie jej ciągle o nim przypominać, zacznie leczyć swe poranione serce.

– Gratulacje. – Mike uniósł szklankę. – Podobno wznoszenie toastu przynosi pecha, ale ja nie piję, więc co mi tam.

Tara także podniosła szklankę i stuknęła się nią delikatnie z Mike'em.

– Ja też nie piję – powiedziała.

\*\*\*

Tara stała w drzwiach apartamentowca i patrzyła, jak ciężarówka się oddala. Jej życie było teraz spakowane w pudła i jechało właśnie do jakiejś anonimowej przechowalni, gdzie będzie czekać, aż nadejdzie czas, że Tara ponownie będzie go potrzebować. Wysłała do Los Angeles dwa wielkie pudła i Mike obiecał, że jego ludzie dopilnują, by dotarły one do mieszkania, które dla niej wynajął.

Wciąż nie do końca docierało do niej, że wyjeżdża z Irlandii. Wszystkiemu towarzyszyło zdecydowane poczucie nierzeczywistości, choć przeżyła już całe to pożegnalne zamieszanie. Była na hucznej imprezie z kolegami z *National Hospital* i poczuła wielką ulgę, kiedy Scott Irving się nie pojawił. Pojechała do Czterech Wiatrów, by oddać kilka drobiazgów, których Finn nie zabrał z sobą tego wieczoru, kiedy ją zostawił.

Gloria była nieobecna, ku uldze Tary. Mimo że jej niechęć do teściowej stopniowo zmieniała się w litość, nie oznaczało to, że miała ochotę się z nią spotkać. Desmond uściskał ją mocno i rzekł, że ją kocha, przez co Tara poczuła się koszmarnie i płakała przez całą drogę do domu.

Zostało jej jeszcze spotkanie rodzinne jutro wieczorem w Kinvarrze i Tara miała nadzieję, że do tego czasu zacznie czuć ekscytację związaną z wyjazdem. Rose planowała odświętną kolację

dla całej rodziny, ale Stella martwiła się, że ta uroczystość, razem z Tomem i Nickiem, podziela na Tarę rozstrajająco.

– Zgadzasz się? Mają tam być Tom i Nick, więc po prostu mi powiedz, jeśli wolisz, by się nie zjawili.

– Nie mogę już zawsze być w żałobie – odparła Tara. – I byłabym niezłą żołą, gdyby rozstrajało mnie to, że ja straciłam miłość, a moje siostry ją znalazły.

– Och, wiesz, o co mi chodzi – rzekła Stella. – Mogłabyś woleć, żebyśmy byli tylko my.

– Nie, im nas więcej, tym weselej.

Tara nie kłamała. Nie smucił jej fakt, że będzie sama na swej specjalnej kolacji. Do nieobecności Finna musiała przywyknąć. Bądź co bądź wynikała z jej winy. Tara zasługiwała na pokutę.

Zamknęła drzwi mieszkania i rozejrzała się. Wyglądało dziwnie pusto bez tych wszystkich książek, papierzysk, płyt i różnych innych śmieci. Ludzie z agencji wynajmu nieruchomości mieli się zjawić jutro z samego rana, by wziąć od Tary klucze, a po południu mieli już umówionych potencjalnych klientów. Wynajęcie mieszkania było jedyną możliwą opcją, jako że bez Finna nie mogła go sprzedać.

Włączyła czajnik, zaparzyła sobie herbatę, po czym usiadła na sofie, przeskakując pilotem po kanałach. Dla zabicia czasu oglądała konkurencyjną telenowelę, kiedy usłyszała w korytarzu jakiś hałas. Zamarła z przerażenia, rozglądając się gorączkowo za jakąś bronią; czymś, co mogłaby użyć przeciwko intruzom. Byli w korytarzu, szli w stronę salonu...

Nagle w drzwiach pojawił się Finn. Ubrany był w swoje stare, wysłużone dżinsy, a na jego twarzy malowała się niepewność. Oboje wpatrywali się w siebie bez słowa.

– Cześć, Taro – odezwał się Finn.

Nie była w stanie się ruszyć, wpatrywała się jedynie w niego, chłonąc go po tym czasie niewidzenia się. Włosy miał krótsze i bardziej sterczące, a twarz chudsza, jakby zbyt dużo ćwiczył na siłowni. A jego oczy... próbowała rozszyfrować, co mówią jego oczy. Czy przyszedł po resztę swoich rzeczy i podać nazwisko swego adwokata? Czy też, ośmielała się mieć nadzieję, chodziło o coś innego?

– Powiedz coś – mruknął. – Nie patrz tak na mnie.

– Witaj. – Tara wstała z sofy, ale czuła się zbyt niepewnie, by ruszyć w jego stronę. A jeśli pójdzie go przytulić, a on ją odtrąci? Nie zniosłaby tego. Samotna łza pojawiła się w jej oku. Otarła ją niecierpliwie.

Finn rozglądał się po pokoju, dostrzegając puste półki, brak fotografii i codziennych drobiazgów.

– Co się stało ze wszystkimi rzeczami?

– Wyprowadzam się – odparła Tara, przyglądając mu się uważnie. – Mieszkanie zostanie wynajęte. Żadne inne rozwiązanie nie przyszło mi do głowy.

Finn oparł się o ścianę.

– Wyprowadzasz się, tak? Aby z nim zamieszkać?

Tara poczuła konsternację. Zamieszkać z kim? Z Mike'em Hammondem?

– Nie bądź niemądry, zapytał mnie, czy będę pracować nad scenariuszem... – zaczęła, po czym nagle dotarło do niej, o co pyta Finn. Czy wyprowadzała się, by zamieszkać z tym, z kim się przespalała. Czy wyprowadzała się, by zamieszkać ze Scottem Irvingiem. To było tak śmieszne, tak totalnie absurdalne, że Tara wybuchnęła śmiechem, takim wysokim, który brzmiał dziwnie nawet w jej uszach. – Nie, nie bądź niemądry.

– Co w tym niemądrego? – zapytał cicho.

Tara uznała, że jedno z nich musi przejąć inicjatywę. Podeszła do niego i oparła się o brzeg sofy, zaledwie pół metra od miejsca, w którym stał.

– To niemądre, ponieważ to był wielki błąd, który popełniłam zdruzgotana tym, co się dzieje między nami. Kocham cię, Finn, nigdy nie istniał dla mnie nikt inny, ale popełniłam błąd. Wyprowadzam się, ponieważ otrzymałam propozycję pracy za granicą. Nie wiedziałam, co mogłabym zrobić innego, gdyż jestem... jestem... – Nie chciały się pojawić właściwe słowa. Tara

pragnęła powiedzieć Finnowi, że nie ma nikogo innego i że kocha go całym swoim sercem, ale to się powtórzyło. Właśnie wtedy, gdy potrzebowała idealnych słów, by mu powiedzieć, co czuje, jej język odmawiał posłuszeństwa. Cóż za ironia w przypadku kobiety, która pracowała ze słowami. – Zrozpaczona – spróbowała, zła na siebie, ponieważ to brzmiało tak banalnie. A jednak komunały odnosiły skutek, o ile były prawdziwe. – Jestem zrozpaczona, ponieważ mnie zostawiłeś i nie mogę przestać myśleć o tobie i o tym, jak inaczej moglibyśmy to rozegrać, gdybyś wrócił. – Uszła z niej para i skończyły się słowa.

Finn przyglądał jej się. Nie dało się wyczytać niczego z jego twarzy ani oczu.

– Rozmawiałaś z Fay – powiedział.

Kiwnęła głową.

– Twierdzi, że nadal mnie kochasz, mimo że powiedziała ci o moim alkoholizmie.

Tara wstrzymała oddech. Finn nigdy wcześniej nie użył tego słowa.

Uśmiechnął się blado.

– Tak, powiedziałem to na głos. Alkoholizm. Jestem alkoholikiem. – Jego oczy nie były już nieczytelne, były niebieskie i niespokojne. Wpatrywał się w jej oczy, wwierał się do jej duszy.

– Czy nadal mnie kochasz?

W odpowiedzi Tara zbliżyła się do niego, objęła ramionami i przyłgnęła mocno.

– Och, Taro – zapłakał, chowając twarz w jej włosach, a potem jego usta znalazły się na jej wargach i całowali się, zaś po policzkach Tary spływały łzy. – Kocham cię.

– Ja ciebie też – zaszlochała. – Ale już nigdy, przenigdy mnie nie zostawiaj.

Kiedy łzy zostały już osuszone, usiedli obok siebie na sofie i Finn opowiedział jej, gdzie był. Nie w ośrodku odwykowym w ścisłym znaczeniu tego słowa, ale raczej w New Ageowym miejscu prowadzonym przez wyleczonego alkoholika, który chciał się jakoś odwdziżyć. Płaciło się, by mieszkać w jednym z jego pokoi, pracowało na niewielkiej, ekologicznej farmie i chodziło każdego dnia na mityngi AA. Nikt nie miał możliwości przejścia przez to dwa razy. To była umowa jednorazowa. Leczyłeś się i nie było drugiej szansy.

Kiedy Finn wypadł wtedy z domu jak burza, myślał, żeby się tam udać, ale był zbyt wściekły. Dopiero po dwudniowym chlaniu podjął decyzję.

– Nie mogłem do ciebie zadzwonić, musiałem się przekonać, czy jestem w stanie przestać – rzekł. – W przeciwnym wypadku powrót oznaczałby błąd. Nie mogłem niszczyć także twojego życia.

– Mogłeś mi powiedzieć, że nic ci nie jest. – Tara przypomniała sobie ból, jaki jej towarzyszył, gdy zastanawiała się, gdzie podziewa się Finn. – Myślałam, że nie żyjesz i twoje ciało leży gdzieś porzucone.

– Myślałem o tym, by napisać do ciebie e-mail, ale byłem zbyt wielkim tchórzem – przyznał. – Nie dałbym sobie rady, gdybyś mi odpisała, że już nigdy więcej nie chcesz mnie widzieć.

Rozmawiali do późnego wieczora. Finn siedział, trzymając Tarę za rękę, pragnąc, by go zrozumiała, ale wciąż bojąc się opowiedzieć jej swą historię.

– Siedziałaś z jednym ginem z tonikiem, a ja pragnąłem być taki jak ty. Jeden drink ci wystarczał, wcale nie musiałaś pić kolejnego. Ale ja... – Twarz Finna pełna była smutku. – Jeden nie wystarczał. Ani dwa. Ja pragnąłem każdego drinka w barze. Nigdy nie było dość, pragnąłem wymazać wszystko i nie myśleć.

– Nie myśleć o czym? – Tara czuła desperacką potrzebę, by to zrozumieć.

– O sobie samym, o tym, co do siebie czuję, jak bardzo się nienawidzę. Trudno to wyjaśnić.

Ucisnęła jeszcze mocniej jego dłoń.

– Spróbuj – rzekła miękko.

– Nie byłem wystarczająco dobry, była we mnie ta wyrwa, ta pustka i musiałem to ukrywać. – Finn zamknął oczy, tak jakby widział to, o czym mówi, i dopiero wtedy był w stanie to opisać.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Taro, i nie rozumiesz, jak to jest nie być dobrym człowiekiem.

– Nie bądź niemądry, jesteś wspaniałym człowiekiem...

– Nie, pozwól mi wytłumaczyć. To właśnie widzę wewnątrz siebie: tę ziejącą dziurę, tę nicość. A kiedy piję, ona nieco się oddala. Albo nie czuję tak wiele. Kiedy piję, jestem w stanie

siebie lubić. Ta nienawiść do samego siebie zaczyna maleć wraz z pierwszym łykiem wódki. Czuję to miłe ciepło i jest dobrze, i w tym właśnie problem, sądzę, że jeśli napiję się więcej, będę czuł więcej tego ciepła. Ale to nie działa w taki sposób, więc piję dalej i próbuję na nowo przeżyć to początkowe uczucie, a potem wpadam w przerażenie, że to miłe uczucie zupełnie zniknie i odczuwam przymus, by pić więcej. Nawet kiedy byłem pijany, musiałem wypić jeszcze więcej, na wszelki wypadek. W kuchni, w butelce po toniku trzymałem wódkę.

Tara kiwnęła głową.

– Wiem, znalazłam ją.

Finn otworzył oczy i wyglądał na zawstydzonego.

– Przepraszam – rzekł. – Naprawdę cię kocham, wiesz o tym, prawda?

– Tak, wiem. Dlaczego mi o tym wszystkim nie powiedziałeś? Mogłam ci jakoś pomóc.

– To właśnie jest pytanie za sto punktów, prawda? – zapytał cierpko. – Żaden alkoholik nie chce mówić o tym nikomu, ponieważ wtedy inni ludzie będą wiedzieć. To nie będzie strach już tylko w twojej głowie, on będzie prawdziwy i będzie trzeba się z nim zmierzyć. I przestać pić.

– A teraz?

– Teraz to skończone. Nie mogę już pić, nigdy. Drink nigdy nie będzie dla mnie tylko drinkiem, Taro. Będzie narkotykiem, środkiem znieczulającym. Nie mogę już więcej pić. Ani kieliszka szampana przy wyjątkowej okazji, ani pół butelki wina do kolacji. Bardzo bym chciał to kontrolować, ale nie umiem. Jestem uzależniony.

– Musisz przestać spotykać się z ludźmi, z którymi piłeś – rzekła Tara.

– Na przykład z Derrym? I tak jestem zwolniony.

– Dobrze. Co powiesz na nowy start w nowym kraju?

– Mają tam mityngi AA?

Tara uśmiechnęła się szeroko.

– Mają prześliczną pogodę, cudowne plaże, fantastyczny standard życia, a my mamy mieszkanie tuż obok Melrose.

– Mieszkanie, tak? – zapytał Finn. Posadził ją sobie na kolanach, tak że siedzieli teraz mocno w sobie wtuleni. – To brzmi świetnie. Zróbmy to, ale wiesz, co chcę zrobić najpierw?

Pokręciła głową.

– Iść z tobą do łóżka, przytulić się i zasnąć. Tak bardzo mi ciebie brakowało, zwłaszcza w nocy. Leżałem tam i myślałem, jak przytulam cię mocno, śpię z twoim ciałem obok mojego, budzę się i czuję twoje plecy przyciskające się do mnie, twoją nagą skórę tuż przy mojej. To właśnie pragnę zrobić teraz: spać.

Jeszcze nigdy żaden pomysł nie spodobał się Tarze tak bardzo. Wstali, wyłączyli światło i trzymając się za ręce, poszli do sypialni.

Ich seks był delikatny i czuły, tak jakby ta czułość mogła im wynagrodzić ból rozłąki. Potem Finn przytulił się do żony i zasnął. Ale Tara wiedziała, że ona nie będzie w stanie tak od razu zasnąć. Musiała pomyśleć o wielu sprawach. Leżała w ciemnościach i myślała o przyszłości z Finnem.

Wiedziała, że w prawdziwym życiu nie ma happy endów, nie ma spaceru w stronę zachodzącego słońca przy mistycznych dźwiękach skrzypiec. Ich wspólne życie będzie prawdziwe, trudne i być może bolesne: surowa rzeczywistość zamiast świata w kolorze sepii podczas wyświetlania napisów.

Finn nie będzie już mógł przesiadywać na leniwych przyjęciach i przesuwając długimi, zręcznymi palcami po brzegu kieliszka. Tara kiedyś uwielbiała się temu przyglądać, to było niczym ich prywatne preludium do seksu, sugestia, że te palce wkrótce z taką samą subtelnością będą badać jej ciało.

Jego oczy błyszczały, gdy napotykał jej spojrzenie, drażniąc się z nią i sprawiając, że przez jej ciało przebiegał dreszcz wyczekiwania.

Nie, ich życie będzie oznaczało unikanie tego typu przyjęć, chodzenie do domu wtedy, gdy wszyscy inni będą wychodzili się bawić. Oboje uśmiechną się z napięciem podczas różnych

uroczystości, kiedy będą wznoszone toasty szampanem, a mnóstwo ludzi, nie rozumiejąc, niewinnie będzie mówić: „Och, ale musisz wypić jeden kieliszek. Jeden nie zaszkodzi”.

Czy Finn będzie sobie z tym umiał poradzić? A ona? Czy mogła być strażnikiem jego trzeźwości, zawsze obserwującym, nagradzającym dobre zachowanie, jak matka niegrzecznego dziecka? Tara nie chciała być niczym strażnikiem. Poruszyła się delikatnie na łóżku i przyglądała się śpiącemu Finnowi. Nadal te same długie rzęsy i pogodny, spokojny wyraz twarzy. We śnie wyglądał tak, jakby w jego życiu przytrafiły się wyłącznie dobre rzeczy.

Wyciągnęła rękę i dotknęła pasma jego złotych włosów. Nadal wyglądał anielsko i był tu, razem z nią. Tara zamknęła na chwilę oczy, by przekonać się, co czuje. No i proszę: mała oaza spokoju w jej duszy, wysyłająca ciepło do całego ciała. Otworzyła oczy. Nadal ją czuła. Czuła ją, ponieważ była z Finnem. To dzięki niemu to czuła. Dokonywali tego razem.

Poprawiała poduszkę, by przybrała idealny kształt, następnie wierciła się w łóżku, aż jej ciało leżało przyklejone do Finna. Jęknął przez sen i poruszył się, przysuwając się bliżej niej, obejmując ją jednym ramieniem. Tara przysunęła się jeszcze bliżej i zamknęła oczy. Istniała tylko jedna opcja: musieli spróbować. Teraz, kiedy już podjęła decyzję, wiedziała, że będzie spała jak niemowlę.

\*\*\*

Rose stała w ogrodzie obok róż piżmowych i osłaniała oczy przed wieczornym słońcem. Z domu dobiegały ostatnie dźwięki motywu muzycznego, rozpoczynającego wiadomości o szóstej. Na dworze jedynym słyszalnym dźwiękiem było leniwe bzyczenie pszczoł, zmęczonych po dniu pracy pośród kwiatów w wielkim ogrodzie Rose. Ona sama czuła się także zmęczona, ale to było przyjemne zmęczenie po miłym dniu. Ranek spędziła w towarzystwie Minnie Wilson i warto było otworzyć się przed nią, by zobaczyć, jak do Minnie dociera, iż nie jest jedyną osobą, której zdarzyło się walczyć z depresją. Była tak wzruszająco wdzięczna za pomoc, że Rose poczuła się winna, że nie zrobiła tego znacznie wcześniej. Skrywała się za fasadą swego idealnego życia zamiast zdobyć się na szczerość i spróbować pomóc Minnie. Przyrzekła sobie, że coś takiego już się nigdy nie powtórzy. Złota fasada Millerów została obalona. Rose pragnęła wieść prawdziwe życie.

Po południu pojechała z Hugh na zakupy, po jedzenie na rodzinną kolację, która miała być kolacją pożegnalną Tary i Finna.

Hugh uznał, że byłoby naprawdę wyjątkowo, gdyby to on coś ugotował i Rose uznała, że czemu nie. Dawna Rose miałaby wątpliwości i kręciłaby się w pobliżu, by pomóc, czekając na chwilę, gdy będzie potrzebna jej kompetencja. Nowa Rose radośnie pozwoliła innym przejąć stery i udała się do ogrodu, by ścinać kwiaty na stół.

W rezultacie Hugh pracował ciężko w domu, mrużąc co chwila pod nosem, że coś musi być nie tak z obieraczką do warzyw, ponieważ nie działa jak należy.

Rose wzięła sekator i wkrótce zapełniła stary ogrodowy koszyk na kwiaty swymi ulubionymi białymi różami. Zerwała też kilka listków lawendy, by jej bukiet pachniał jeszcze intensywniej i zbierała właśnie rozmaryn do ambitnego dania Hugh z jagnięcego udźca, kiedy jej mąż zjawił się w ogrodzie w jej starym fartuchu. Nadal nie przybrał na wadze po ataku serca. Wyglądał przez to starzej i bardziej bezbrinnie. Rose wiedziała, że nie jest już złotym chłopcem. Był jej mężem i choć starał się to ukryć, nadal miał na niego wpływ niedawny kontakt z własną śmiertelnością.

– Bardzo narzekałem? – zapytał, gdy przysiadł na starej, drewnianej ławeczce obok cennego skalniaka.

Rose udawała, że się nad tym zastanawia.

– Tylko odrobinę – odparła. – Ale to rzeczywiście jest beznadziejna obieraczka.

– Ale ty dawałaś sobie z nią radę.

– Jestem ekspertem – przypomniała mu, siadając obok niego. – Zebrałam ci jeszcze trochę rozmarynu.

Wziął od niej powyginane gałązki i wdychał ich zapach.

– Już całe lata minęły, odkąd po raz ostatni gotowałem – rzekł. – Zdążyłem zapomnieć, ile mi to sprawia przyjemności. Pomimo narzekania na sprzęt – dodał cierpko.

– Co to było takiego, co próbowałaś robić zaraz po tym, jak wzięliśmy ślub? Coś z fasolą w sosie pomidorowym i...

– Grzybami z jajkiem w środku. Nie bardzo mi to wychodziło, prawda?

Rose zamknęła w słońcu oczy. Cudownie było tutaj siedzieć, odpoczywając i donikąd nie pędząc. Po prostu być. Potrzebowała czasu spędzonego w Pokrzywowej Chatce, by to docenić.

– Cisza przed burzą – dumał Hugh.

– Już się nie mogę doczekać, by poznać Toma – odparła Rose. – Powiedziałam Holly, że zrozumiemy, jeśli nie będzie miał wielkiej ochoty na poznanie od razu całego klanu Millerów, ale ona odparła, że podchodzi do tego spokojnie.

– O ile Adele nie wyciągnie narzędzia do miażdżenia kciuków i nie zabierze się za przepytywanie go – rzeki Hugh.

Oboje jęknęli na myśl o jej mało subtelnym sondowaniu chłopaków, których uznawała za nieodpowiednich. W ciągu ostatnich tygodni Adele zdecydowanie złagodniała, ale nie wymagajmy cudów. Zawał Hugh natychmiast zakończył rozdzwięk pomiędzy Adele a jej ukochanym bratem. Uszczęśliwioną była w duchu tym, że on i Rose znowu są razem, choć nigdy nie powiedziała tego na głos.

– Tom jest architektem, więc spodoba się Adele – uznała Rose. – Mam tylko nadzieję, że nie będzie mówiła nic biednemu Finnowi o zgubnych skutkach picia. Zamienisz z nią na ten temat słowo?

– Tak, oczywiście. – Miller się zawahał. – Martwię się o Tarę i Finna. To nie będzie dla nich łatwe.

Rose uśmiechnęła się.

– Nic nie jest łatwe, Hugh. Ja też się o nią martwię. Martwię się o nich wszystkich. I o ciebie. Ale musimy pozwolić im samym zająć się sobą. Tara i Finn bardzo mocno się kochają, to najlepszy początek ze wszystkich możliwych. Byli z sobą szczerzy.

Palce Hugh wsunęły się w jej dłoń i Rose uściśniła je mocno.

– Przepraszam, że nie zawsze byłem z tobą szczerzy – powiedział.

– Ćśś – odparła. – To już przeszłość. Żyjemy przyszłością, pamiętasz?

– Rose – od strony kuchennych drzwi odezwał się płaczliwy głos. – Coś się przypala. Strasznie śmierdzi i boli mnie przez to głowa.

Mąż i żona wymienili rozbawione uśmiechy.

– Chwileczkę, Adele! – zawołała Rose. – To może ty pójdziesz porozmawiać z siostrą, a ja się zajmę tym tłustym udźcem? – zaproponowała.

Usta Hugh dotknęły czule jej policzka, palcami zaś przesunął po miękkim łuku podbródka.

– Co tylko sobie życzysz, Rose.

\*\*\*

W kuchni Adele mruczała pod nosem, gdy otworzyła drzwiczki piecyka i zajrzała, co takiego gotuje Hugh. Coś się przypaliło, to pewne. Nie widziała co, więc wyjęła z piecyka całe naczynie. Na półce niżej stało naczynie ze zwęglonymi warzywami. Brokuły. Wyglądało na to, że Hugh ugotował je, a potem wstawił do piekarnika, by pozostały ciepłe. Idiota. Ale uśmiechnęła się. Niemal stracili tego idiotę, a tego by nie zniosła.

Wyjęła zwęglone warzywa i wyrzuciła do kosza. Doprawdy, co sobie myślała Rose, pozwalając Hugh gospodarować w kuchni. Można by pomyśleć, że Rose sama się tym zajmie w przypadku wielkiej, rodzinnej kolacji. Hugh nie potrafił ugotować nawet jajka. Dobrze, że była tutaj ona do pomocy.

Oplukała świeże brokuły i pomyślała o zbliżającej się kolacji. Interesująco będzie poznać kawalera Holly. Architekt, ot co. Adele była pod wrażeniem. Holly dobrze się postarała. I Stella także. Adele podobał się ten miły Nick, chociaż to rozwodnik. No ale w końcu nie można mieć wszystkiego. A jeśli chodzi o Tarę... To była inna historia. Adele oczywiście nie odezwie się ani słowem. Nikt nie oskarży ją o to, że wsadza swoje trzy grosze tam, gdzie nie trzeba, to pewne.

Jednak jest jasne jak słońce, że Tarę czekają kłopoty z tym młodym Finnem. To może i uroczy chłopak, ale oznacza kłopoty. Ona widziała to od samego początku.

Ale jednak wydawało jej się, że jakoś to się w końcu ułoży. Szczęście, o to przecież chodziło. Czyż nie lepiej urodzić się szczęśliwą niż bogatą?